

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA



RACJA STANU

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika
Tekst Jeff Rovin

Tom Clancy

Racja stanu

Tytuł oryginału:

Games of State

Tłumaczył: KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

□ Czwartek, 09.47 - Garbsen, Niemcy

Dopiero kilka dni temu dwudziestojednoletnia Jodie Thompson dowiedziała się, co to wojna.

W 1991 roku zbyt zajmowali ją chłopcy, telefony od przyjaciółek i trądzik, by zwróciła uwagę na wojnę w Zatoce Perskiej. Z telewizji zapamiętała wyłącznie białe błyski na szafirowym nocnym niebie i komentarze na temat rakiet Scud, wystrzeliwanych na Izrael i Arabię Saudyjską. Nie uważała ignorancji za powód do dumy, ale przecież czternastoletnie dziewczęta mają własne poważne problemy. Wietnam był sprawą jej rodziców, a o Korei wiedziała tyle, że weteranom postawiono pomnik akurat wtedy, gdy zdała do liceum. II wojna światowa była zaś wojną jej dziadków. Zdumiewające, ale tę właśnie wojnę miała poznać najlepiej.

Pięć dni temu Jodie zostawiła szlochających rodziców, zachwyconego młodszego brata, zaprzyjaźnionego chłopaka z sąsiedztwa i bardzo smutną rudą spanielkę imieniem Ruth, i z Rockville Centre na Long Island przeniosła się do Niemiec, by odbyć praktykę na planie pełnometrażowego filmu pod tytułem „Tirpitz”. Dopiero w samolocie, podczas lektury scenariusza, dowiedziała się czegoś więcej o Adolfie Hitlerze, Trzeciej Rzeszy i Osi, choć jej babcia od czasu do czasu wypowiadała się z wielkim szacunkiem o prezydencie Rooseveltcie, a dziadek od czasu do czasu z wielkim szacunkiem wypowiadał się o prezydencie Trumanie, bo bomba atomowa, którą kazał rzucić, ocaliła go od śmierci w obozie dla jeńców wojennych w Birnie. Obozie, w którym odgryzł ucho człowiekowi, który go torturował.

Kiedy Jodie zapytała dziadka, dlaczego mu odgryzł ucho, czy nie spowodowało to tylko pogorszenia tortur, łagodny starszy pan stwierdził po prostu: „Czasami musisz zrobić to, co musisz zrobić”.

Jeśli nie liczyć tej rozmowy z dziadkiem, Jodie trafiła na II wojnę światową wyłącznie przy okazji filmów dokumentalnych na kanale A&E i to zawsze przypadkiem, gdy szukała MIV.

A potem przeszła przyspieszony kurs wiedzy o szaleństwie, które najwyraźniej ogarnęło wówczas cały świat. Nienawidziła czytania, gubiła się nawet w połowie wstępniaka z

„TV Guide”, scenariusz jednak ją zafascynował. Spodziewała się, że będą w nim wyłącznie okręty i działa, a on opowiadał o ludziach. Dowiedziała się z niego o setkach tysięcy marynarzy, walczących wśród lodowatych fal Północnego Atlantyku i dziesiątkach tysięcy, które w nich utonęły. Dowiedziała się z niego o siostrzanej jednostce „Tirpitz”, „Bismarcku”

- „postrachu oceanów”. Dowiedziała się z niego o fabrykach w Albany, które odegrały główną rolę w produkcji samolotów dla Aliantów. Dowiedziała się z niego, że większość żołnierzy była w wieku jej chłopaka i że bali się tak, jak w takiej sytuacji bałby się Dennis.

Po przybyciu na plan Jodie obserwowała, jak wspaniały scenariusz nabiera życia.

Dziś na przykład widziała, jak wokół domku w Garbsen niedaleko Hanoweru kręcono scenę zbiorową, podczas której skompromitowany były oficer SA żegna rodzinę i, by odkupić winy, zaciąga się do *Kriegsmarine*. Widziała wspaniałe efekty specjalne, przedstawiające atak RAF-u, który zniszczył „Tirpitz” w Trömsøfjörd, w Norwegii, w 1944 roku, zabijając tysiąc członków załogi. Tu, w przyczepie służącej za rekwizytornię, miała nawet szansę dotknąć pamiątek wojennych.

Jodie nadal nie całkiem potrafiła uwierzyć, że takie szaleństwo rzeczywiście ogarnęło kiedyś ludzi, choć otaczały ją jego dowody. Miała przed sobą bezprecedensowy zestaw pamiątek: unikalne medale, ozdobne sznury do mundurów galowych, kołnierzyki, spinki do mankietów, broń i pamiątki wypożyczone z prywatnych zbiorów Europy i Stanów Zjednoczonych. Na półkach znajdowały się troskliwie zachowane, oprawione w skórę mapy, książki wojskowe i wieczne pióra pochodzące ze zbiorów feldmarszałka von Harbou, wypożyczone do filmu przez jego syna. W szafie, w bibliotecznym szufladzie znajdowały się zdjęcia „Tirpitz”, zrobione przez samoloty zwiadowcze RAF-u i miniaturowe okręty podwodne, natomiast w przeszklonej szafce przechowywano fragment jednej z prawie sześciotonowych bomb *Tallboy*, które uszkodziły okręt. Piętnastocentymetrowy, zardzewiały odłamek miał być użyty jako tło dla napisów końcowych.

Tłuszcz mógł zaplać pamiątki, więc dziewczyna, szczupła brunetka, wytarła dłonie w bluzę z emblematem Szkoły Sztuk Wizualnych, rum wzięła w nie oryginalny sztylet *Sturmabteilung*, po który ją tu przysłano. Wielkie, ciemne oczy prześlizgnęły się z brunatnej, wykończonej srebrem pochwy na brązową rękojeść, przy końcu której, w kręgu, znajdowały się litery SA, pod nimi zaś niemiecki orzec i swastyka. Ostrze i pochwa pasowały do siebie tak ściśle, że z wysiłkiem udało się jej wyjąć broń o dwudziestocentymetrowej klindze.

Sztylet był ciężki... i wstrętny. Patrząc nań Jodie zastanawiała się, ilu ludzi zabił. Ile żon stało się za jego sprawą wdowami? Ile przez niego płakało matek?

Obróciła go w rękę. Odczytała wytrawione na czarno słowa *Alles für Deutschland*. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, wczoraj, podczas prób, jeden ze starszych niemieckich aktorów wyjaśnił jej, że oznacza to „Wszystko dla Niemiec”.

- Od każdego żyjącego wówczas w Niemczech - tłumaczył - wymagano, by wszystko oddał Hitlerowi. Zawód, życie, człowieczeństwo. - Starszy pan pochylił się, spojrzał jej w oczy. - Gdyby twój chłopak powiedział coś niepoehlebnego o Rzeszy, miałaś go wydać. Co więcej, miałaś też być dumna z tego, że go wydałaś.

- Thompson, sztylet!

Piskliwy głos reżysera, Larry'ego Lankforda, przerwał jej rozmyślenia. Wcisnęła sztylet do pochwy i skoczyła w stronę drzwi przyczepy.

- Bardzo pana przepraszam! - krzyknęła. - Nie wiedziałam, że pan czeka!

Zeskoczyła ze schodków, w pośpiechu ominęła strażnika i biegiem okrążyła przyczepę.

- Nie wiedziałaś?! - wrzeszczał Lankford. - Każde opóźnienie w kręceniu zdjęć jest warte dwa

tysiące dolarów za minutę. - Szyja reżysera wyłoniła się zza zasłony czerwonej apaszki.

Klasnął w dłonie. - Trzydzieści trzy dolary - powiedział za pierwszym klaśnięciem. -

Sześćdziesiąt sześć! Dziewięćdziesiąt dziewięć...

- Idę! - sapnęła dziewczyna - Sto trzydzieści dwa dolary...

Jodie poczuła się głupio. Uwierzyła asystentowi reżysera, Hollisowi Arlennie, który twierdził, że Lankford nie będzie kręcił jeszcze przez co najmniej dziesięć minut. A przecież kierownik produkcji ostrzegł ją, że Arlenna to mały człowieczek z wielkim ego, żywionym poniżaniem innych.

Dysząc ciężko, znalazła się wreszcie na miejscu. Arlenna zagroził jej drogę do reżysera, odebrał sztylet i - nie patrząc dziewczynie w oczy pokłusował, by wręczyć go reżyserowi.

- Dziękuję - powiedział grzecznie Lankford, odbierając od niego rekwizyt.

Podczas gdy pokazywał aktorowi, jak ma go wręczyć swemu filmowemu synowi, młody asystent wycofał się, ani razu nie spojrzawszy na Jodie i trzymając się od niej z daleka.

Ciekawe, ale wcale mnie to nie dziwi, pomyślała.

Mimo iż spędziła na planie niespełna tydzień, Jodie zdążyła się już zorientować, jak działa filmowy biznes. Z każdego ambitnego, mądrego człowieka starano się zrobić niezdarnego głupca, bo w ten sposób nikomu nie zagrażał. A jeśli coś spieprzyłeś, ludzie trzymali się od ciebie z daleka. Prawdopodobnie zasady te obowiązywały w każdym biznesie, ludzie filmu wynieśli je jednak do rangi sztuki.

Wracając do przyczepy Jodie rozmyślała o tym, jak bardzo brakuje jej systemu wzajemnej pomocy i poparcia, tak doskonale funkcjonującego w Hofstra. Co innego jednak szkoła, a co innego rzeczywisty świat. Chciała być reżyserem, ale tylko szczęściu zawdzięczała, że dostała praktykę. Zdecydowała, że skończy ją silniejsza i mądrzejsza. I - jak inni - będzie się rozpychała łokciami, jeśli okaże się, że tak trzeba.

Wróciła do przyczepy. Starszy strażnik, Niemiec, puścił do niej oko.

- Ci bohaterowie za nic w świecie nie ośmielą się krzyżeć na gwiazdy, więc krzyczą na ciebie - powiedział. - Na twoim miejscu przestałbym się przejmować.

- Wcale się nie przejmuję, panie Buba - zapewniła go Jodie nieszczerze, acz z uśmiechem. Zdjęła wiszący przy wejściu do przyczepy notatnik. Wypisana w nim była lista ujęć przewidzianych na dzisiejszy dzień, z dokładnym wyszczególnieniem potrzebnych do każdego z nich rekwizytów.

- Jeśli to najgorsze, co ma mnie spotkać podczas kręcenia tego filmu, wytrzymam -

powiedziała jeszcze. Pan Buba uśmiechnął się, a ona weszła do przyczepy.

Zabiłaby za papierosa, ale wewnątrz nie wolno było palić, a nie bardzo mogła obijać się na dworze. Musiała przyznać sama przed sobą, że zabiłaby nie tylko za papierosa. Zabiłaby choćby za to, żeby Hollis się od niej odczepił.

Położyła dłoń na klamce i zatrzymała się nagle.

- Panie Buba - powiedziała - chyba widziałam kogoś tam, w lesie. Strażnik podniósł głowę i rozejrzał się.

- Gdzie?

- Jakies pół kilometra stąd. Daleko od planu, ale wolałabym, żeby nie zepsuli żadnego z ujęć pana Lankforda.

- Słusznie. - Buba wyjął krótkofalówkę z futerału przy pasie. - Nie wiem, jakim cudem ktoś mógłby dotrzeć aż tu, ale sprawdzimy. Przekazał informację, Jodie tymczasem wróciła do przyczepy. Próbowала zapomnieć o wściekłym Lankfordzie, wkraczając w mroczny świat, w którym tyrani dysponowali bronią, a nie scenopisem i atakowali narody raczej niż praktykantki.

□ Czwartek. 09.50 - Hamburg, Niemcy

Wielki odrzutowiec opadł na pas startowy międzynarodowego lotniska w Hamburgu.

Przebudziło to Paula Hooda z niespokojnego snu.

Z głową na ogrzanej słońcem zasłonie, Paul nie otwierał oczu. Wolał śnić.

Jeszcze chwilę, jedną chwilę...

Silniki ryknęły, zwalniając samolot i jednocześnie odganiając resztki snu. Już w chwilę później Hood nie pamiętał nawet, jaki to był sen, wiedział tylko, że bardzo satysfakcjonujący.

Przeklął w myśli, otworzył oczy, przeciągnął się rozprostowując kości i poddał się naporowi rzeczywistości.

Szczupły, czterdziestotrzyletni dyrektor Centrum był zeszywniały i obolały po ośmiu godzinach spędzonych w fotelu. W Centrum tego rodzaju loty nazywano „maluszkami”, ponieważ nie spełniały wymogu „trzynastu godzin w powietrzu”, w których to przypadkach urzędnikom rządowym wolno było kupić bilety przestronnej, wygodnej pierwszej klasy. Bob Herbert był święcie przekonany, że Stany Zjednoczone poświęcają tyle uwagi Japonii i krajom Bliskiego Wschodu, ponieważ negocjatorzy i dyplomaci uznają wyłącznie pierwszą klasę. Przepowiadał, że kiedy limit powiększony zostanie do dwudziestu czterech godzin, frontem handlowej i politycznej walki stanie się Australia.

Paul Hood miał wprawdzie skurcze, ale przynajmniej odpoczął. Herbert nie myli się, pomyślał. Sekret spania w samolocie nie polegał na wygodzie. W końcu nie było mu bynajmniej wygodnie, a jednak się przespał. Kluczem okazała się cisza. Zatycki do uszu sprawiły cud.

Hood usiadł wyprostowany. Zmarszczył brwi. Przez głowę przeleciało mu:

„Przyjechaliśmy do Niemiec na zaproszenie wiceministra spraw zagranicznych, przyjrzeć się sprzętowi technicznemu wartości milionów dolarów, a tymczasem szczęśliwym człowiekiem uczynił mnie kawałek plastiku rodem z Brooklynu, kosztujący całe pięćdziesiąt centów. Jest w tym jakiś morał”.

Wyjął zatycki i, wkładając je do ebonitowego pojemniczka, próbował przypomnieć sobie, nie tyle to co w śnie sprawiło mu przyjemność, lecz przynajmniej zatrzymać znikające wrażenie przyjemności. Nie udało mu się to jednak. Podniósł zasłonę i, mrużąc oczy, wyjrzał

na światło słoneczne.

Sny, młodość, miłość... - pomyślał. To, czego pożąda się najbardziej, znika najszybciej. A może

pożąda się czegoś właśnie dlatego, że znika?

W każdym razie - powiedział sobie - jaki mam powód, żeby narzekać na życie? Żona i dzieciaki są zdrowe i szczęśliwe. Kocham je i moją pracę. Mam powody do radości, których brakuje wielu ludziom.

Zirytowany na samego siebie, pochylił się ku Mattowi Stollowi. Korpulentny oficer wsparcia operacyjnego siedział w fotelu przy przejściu, po jego prawej stronie. Właśnie zdejmował słuchawki.

- Dzień dobry - powiedział mu Hood.

- Dzień dobry. - Matt włożył słuchawki do schowka w siedzeniu przed nim. Zerknął na zegarek, po czym obrócił ku przyjacielowi wielką, rumianą twarz, przypominającą swoim wyrazem oblicze wesołej laleczki Kewpie. - Przylecieliśmy dwadzieścia pięć minut przed czasem - oznajmił wysokim, ostrym głosem pedanta. - A tak chciałem wysłuchać

„Rocking' 68" po raz dziewiąty!

- Co? Przez osiem godzin słuchałeś muzyki?

- No, przecież! W trzydziestej ósmej minucie najpierw jest Cream, potem Cowsills a potem Steppenwolf. To jak cudowna brzydota Quasimodo - „Indian Lake" między „Sunshine of Your Love" i „Born to be Wild".

Paul Hood tylko się uśmiechnął. Nie miał zamiaru przyznawać się do tego, że kiedy dorastał, lubił Cowsills.

- W każdym razie te zatyczki od Boba wypłynęły mi po prostu z uszu. Zapominasz, że my, ludzie słusznej postury, pocimy się bardziej niż chudzielce.

Hood spojrzał za Stolla. Siedzący po przeciwnej stronie przejścia siwowłosy oficer wywiadu nadal spał.

- Może ja też powinienem słuchać muzyki? - stwierdził. - Wiesz, miałem sen i...

- Zapomniałeś? Hood skinął głową.

- Znam to uczucie. To jak przerwa w dostawie prądu, przez którą giną dane w pamięci komputera. Wiesz, co robię, kiedy zdarzy mi się coś takiego?

- Słuchasz muzyki, co?

Stoll spojrzał na niego, zdziwiony.

- Pewnie właśnie dlatego ty jesteś szefem, a nie ja - powiedział. Jasne, słucham muzyki.

Czegoś, co kojarzy mi się z czymś przyjemnym. Człowiekowi od razu robi się lżej na duszy.

Z drugiej strony przejścia rozległ się nagle głos z wyraźnym południowym akcentem.

- A ja polegam wyłącznie na zatyczkach. Zapewniają mi spokój. Jak ci się spodobały, szefie?

- Są wspaniałe. Zasnąłem, nim minęliśmy Halifax.

- A nie mówiłem? Powinien pan wypróbować je w biurze. Następnym razem, kiedy generał Rodgers dostanie jednego z tych swoich napadów albo Martha zacznie się mądrzyć jak zwykle, niech pan je założy i udaje, że słucha.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało zadziałać - wtrącił Stoll. - Mike mówi więcej milcząc niż gadając, a Martha rozsyła po całym mieście swoje diatryby pocztą elektroniczną.

- Panowie, dajcie spokój Marcie - ostrzegł ich Hood. - Jest dobra w tym, co robi...

- Jasne - przytaknął Herbert. - A gdybyśmy jej tego nie przyznali, oskarżyła by nas wszystkich o rasizm i napastowanie seksualne...

Paul Hood nie pofatygował się, aby zaprzeczyć. Pierwsze, czego nauczył się jako burmistrz Los Angeles to to, że nie zmienia się przekonania ludzi dyskusją na ich temat. Lepiej zamknąć dziób. Stawia to dyskutantów w pozycji gorszych, a człowieka otacza aurą godności.

Na ten wyższy poziom dyskutant może się dostać tylko poświęcając coś z niższego poziomu, a to już kompromis. Prędzej czy później wszyscy zmuszeni zostaną do zawarcia kompromisu.

Nawet Bob, choć jemu zajmie to więcej czasu niż innym.

Odrzutowiec zakończył kotowanie. Rękaw ruszył powoli w jego kierunku. - Niech to diabli, oto nowy wspaniały świat - kontynuował Herbert. - Mam wrażenie, że teraz najbardziej potrzebujemy elektronicznych zatyczek do uszu. Nie słysząc tego, czego nie chcemy słyszeć, nie ryzykujemy politycznej niepoprawności.

- Infostrada ma podobno otwierać umysły, a nie zamykać je - zauważył Stoll.

- No, dobra, ale ja jestem z Filadelfii w Missisipi. Za moich czasów nie było tam infostrad, tylko gruntowe drogi, które wiosną zalewała powódź, więc zbieraliśmy się wszyscy, żeby je oczyścić.

Zgasł napis ZAPIĄĆ PASY. Ludzie zaczęli wstawać... wszyscy oprócz Herberta. Zbierali podręczny bagaż z półek, a on siedział, wpatrzony w zapalone światełko do czytania.

Piętnaście lat temu, w zamachu na ambasadę amerykańską w Bejrucie stracił władzę w nogach; Hood

zdawał sobie sprawę, że paraliż nadal mu dokucza i choć pracownicy Centrum nic sobie nie robili z jego kalectwa, Herbert nie lubił nawiązywać kontaktu wzrokowego z obcymi. Nienawidził wielu rzeczy, a współczucie znajdowało się na samym czele tej listy.

- Wiecie - powiedział z namysłem - tam, w domu, wszyscy zaczynaliśmy z jednego miejsca na drodze i pracowaliśmy razem. Kiedy pojawiały się różnice zdań co do tego, co powinniśmy zrobić i jak, rozwiązywano je próbując najpierw tak, a jak się nie udało, to inaczej, i w końcu odwalaliśmy robotę. Teraz, kiedy się z kimś nie zgodzisz, to zaraz oskarżają cię o nienawiść do tej grupy mniejszościowej, do której ten ktoś akurat przypadkiem należy.

- Bo tak jest najłatwiej - przyznał Stoll. - Robić to, co najłatwiej zrobić, oto nowe amerykańskie marzenie.

- Tylko niektórych - zaprotestował Hood. - Tylko niektórych.

Po otwarciu drzwi samolot zaczął się przeludniać, a kiedy w przejściu nie było już nikogo, pojawiła się stewardesa z wózkiem inwalidzkim linii lotniczej. Wózek Herberta, z wbudowanym telefonem komórkowym i laptopem, przyleciał do Niemiec jako bagaż.

Dziewczyna ustawiła składany wózek obok siedzenia, po czym wyciągnęła ku Bobowi pomocną dłoń.

- Nie trzeba - burknął kaleka. - Robię to od czasu, gdy pani nosiła jeszcze koszulę w zębach. - Potężnie umięśnione ramiona uniosły go ponad poręczami, bez kłopotów znalazł się na skórzanym siedzeniu. Ruszył, sam obracając koła, a Hood i Stoll poszli za nim, dźwigając ręczny bagaż.

Upał hamburskiego lata przedostał się do rękawa, ale był niczym w porównaniu z tym, co pozostawili za sobą, w Waszyngtonie. Wkrótce znaleźli się w ruchliwym, klimatyzowanym terminalu. Stewardesa wskazała im urzędnika ambasady, którego przysłał im na spotkanie fang i który miał im pomóc w załatwianiu formalności paszportowych i celnych. Potem pożegnała się z nimi, ale nim odeszła, Herbert złapał ją za nadgarstek

- Przepraszam za nieuprzejme słowa - powiedział - ale to... - poklepał oparcia wózka - ...i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Rozumiem i przykro mi, jeśli pana uraziłam. - Ależ nie, skądże znowu!

Dziewczyna odeszła z uśmiechem, a tymczasem urzędnik już się przy nich znalazł.

Poinformował, że gdy tylko dopełnią formalności limuzyna zawiezie ich nad jezioro, do hotelu „Alster Hof”. Potem wskazał im drogę, a kiedy Herbert rozpedził wózek, został z tyłu i ruszył za nimi. Przez wielkie okna widać było ruchliwy Paul Baumer Platz.

- Cholera - powiedział nagle Bob. - Co za ironia! - Ironia? - zdziwił się Hood.

- Za diabła nie potrafię znaleźć wspólnego języka z rodakami, za to tu, na lotnisku zbombardowanym przez Aliantów wraz z potową tego cholernego Hamburga, przepraszam za ostre słowa młodą niemiecką stewardesę. I jestem gotów współpracować bez ograniczeń z ludźmi, którzy postrzelili mojego tatę w Ardenach. Trzeba trochę czasu, żeby do tego przywyknąć.

- Sam powiedziałeś, że to nowy świat.

- A pewnie. Rzuca mi wyzwanie, muszę dotrzymać mu kroku. I dotrzymam, Paul. Bóg mi świadkiem, że dotrzymam.

Z tym słowami mocno pchnął kota. Jechał wymijając Amerykanów, Europejczyków i Japończyków... Hood był pewien, że każdy z nich na swój sposób też starał się wygrać wyścig z uciekającym mu światem.

□ Czwartek, 09.59 - Garbsen, Niemcy

Gdy, okrążywszy wzgórze, Werner Dagover zobaczył siedzącą pod drzewem kobietę, skrzywił się z niesmakiem.

Ci na drodze odwalili dobrą, naprawdę doskonałą robotę, pomyślał. Przepuścili tę babę.

Pamiętał czasy, kiedy w Niemczech podobna niedbałość kończyła wszelkie marzenia o karierze.

Podchodząc do kobiety, ten potężny, sześćdziesięciodwuletni mężczyzna wspominał, jak, kiedy miał siedem lat, zamieszkał z nim wuj Fritz. Fritz Dagover był naczelnym siodlarzem w wojskowej szkole jeździectwa i najstarszym stopniem żołnierzem na służbie, kiedy pijany instruktor jazdy konnej ukradł o północy konia *Generalmajora*, zabrał go na próbny galop i złamał mu nogę. Choć wuj Fritz nie miał z tym nic wspólnego i nawet nie wiedział o kradzieży, wraz z instruktorem postawiony został przed sądem polowym i karnie zwolniony ze służby. I mimo że podczas wojny brakowało cywilnych robotników, a on był

doświadczonym kaletnikiem, nie mógł znaleźć pracy. W siedem miesięcy później odebrał sobie życie, wypijając kufel nasyconego arsenikiem piwa.

To prawda, myślał Werner, że podczas dwunastu lat istnienia III Rzeszy popełniono wiele zła. Ale też wielki nacisk kładziono wówczas na odpowiedzialność osobistą. Odcinając się od przeszłości, odrzuciliśmy również dyscyplinę, etykę pracy i wiele innych cnót.

Dziś niewielu strażników decydowało się ryzykować życiem za dzienną stawkę. Jeśli sama ich obecność na planie filmowym albo w sklepie nie odstraszyła przestępcy, tym gorzej dla pracodawcy. Dla większości z nich nic nie znaczył fakt, że wykonują akurat taki a nie inny zawód.

Dla Wenera Dagovera z Sichern GmbH fakt ten znaczył jednak bardzo wiele. Sama nazwa jego hamburskiej firmy znaczyła przecież „bezpieczeństwo”. Niezależnie od tego, czy miał do czynienia z kobietą przypadkowo przerywającą zdjęcia, czy z uzbrojonym gangiem celebrytów urodziny Hitlera w trakcie Dni Naporu, Werner gotów był wypełnić powierzone mu zadanie.

Po poinformowaniu szefa zmiany o obecności w lesie nieznannej kobiety wyłączył

krótkofalówkę. Następnie wyprostował się, sprawdził, czy oznaka firmy nie przekrzywiła się i zgarnął rozwichrzone włosy pod czapkę. Trzydzieści lat pracy w hamburskiej policji nauczyło go że, by wzbudzić szacunek, należy co najmniej sprawiać wrażenie człowieka godnego szacunku.

Jako dowódca ochrony firmy Sichern na tę operację, Werner objął stanowisko w przyczepie stojącej na głównej ulicy małego miasteczka. Gdy otrzymał telefon od Bernarda Buby, wsiadł na rower, przejechał nim na plan, niespełna pół kilometra, i zostawił go przy przyczepie z rekwizytami. Potem,

starając się nie wzbudzić zainteresowania członków ekipy, ruszył wokół wzgórza, by wreszcie znaleźć się w dziesięciohektarowym lesie. Po przeciwnej stronie lasu biegła druga droga, na której powinien znajdować się posterunek pilnujący ludzi, mających ochotę urządzić sobie w lesie piknik, obserwować ptaki czy robić to co tu robiła ta kobieta.

Zbliżając się do drzewa, czując na plecach ciepłe promienie słońca, Werner nadepnął na łupinę orzecha. Szczupła młoda kobieta poderwała się zaniepokojona i obróciła w jego kierunku. Była wysoka, twarz miała arystokratyczną, o wystających kościach policzkowych, ostry nos i oczy sprawiające wrażenie płynnego, mieniącego się w słońcu złota. Ubrana była w luźną białą bluzkę, dżinsy i czarne mocne buty.

- Dzień dobry - powiedziała lekko zdyszczonym głosem.

- Dzień dobry - odparł spokojnie Werner, zatrzymując się o dwa kroki od niej. Uchylił

czapki. - Proszę pani, tam, za tym wzgórzem, kręcony jest film i, niestety, nikomu nie wolno tu przebywać. - Machnął ręką, wskazując za siebie. - Proszę ze mną, odprowadzę panią do głównej drogi.

- Ależ oczywiście. Przepraszam. Tak się zastanawiałam, co też robią na drodze ci mężczyźni. Myślałam, że zdarzył się jakiś wypadek.

- Gdyby to był wypadek, usłyszałyby pani sygnał karetek - zauważył Werner.

- No tak, ma pan rację. - Dziewczyna sięgnęła za drzewo. - Pan pozwoli, że wezmę plecak.

Strażnik połączył się przez krótkofalówkę z szefem zmiany, informując go, że odprowadzi nieproszonego gościa na drogę.

- Powiedział pan, film? - Dziewczyna zarzuciła plecak na ramię. Może gra w nim ktoś sławny?

Werner miał właśnie wyjaśnić jej, że niewiele wie o filmie i słynnych aktorach, kiedy nad głową usłyszał szum liści. Spojrzał w górę w sam czas, by dostrzec zeskakujących z najniższej gałęzi dwóch ubranych na zielono mężczyzn w kominiarkach na twarzach. Niższy z nich wylądował przed nim. W dłoni trzymał *Walthera P38*. Wyższego, który znalazł się za jego plecami, nawet nie miał okazji zobaczyć.

- Nic nie mów - powiedział mężczyzna z pistoletem. - Potrzebujemy tylko twojego munduru.

Werner spojrzał na dziewczynę, wyjmującą właśnie z plecaka *Uzi* ze składaną kolbą.

Twarz miała nieruchomą, spokojną; w żaden sposób nie zareagowała na pogardliwe spojrzenie, którym ją obrzucił. Podeszła do niższego mężczyzny, kolanem usunęła go na bok i przycisnęła lufę *Uzi* do brody Wernera. Spojrzała na wiszącą mu na piersi plakietkę z nazwiskiem.

- Niech pan mnie dobrze zrozumie, panie Dagover - powiedziała. My zabijamy bohaterów. Ma pan zdjąć mundur... natychmiast.

Werner jednak wahał się przez chwilę nim rozpiął i zdjął pas. Nacisnął krótkofalówkę upewniając się, że nie wypadnie, po czym położył go na ziemi. Zaczął odpinać wielkie mosiężne guziki bluzy, a tymczasem kobieta przyklękała i podniosła pas. Wyjęła krótkofalówkę, obróciła ją i oczy się jej zwęziły.

Palilo się małe, czerwone światełko nadawania. Strażnik poczuł, jak w gardle robi mu się nagle sucho. Zdawał sobie sprawę z tego, że włączenie nadawania - umożliwienie szefowi podsłuchania ich rozmowy to ryzyko, ale w jego pracy ryzyko było czasami konieczne. Nie żałował tego, co zrobił.

Dziewczyna przycisnęła przycisk LOCK, przerywając transmisję. Nad ramieniem Wenera spojrzała na stojącego za nim mężczyznę. Skinęła głową. Werner Dagover sapnął, gdy na jego szyi zacisnęło się pół metra cienkiego, miedzianego drutu. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł w życiu, był przeraźliwy ból rozchodzący się od szyi w dół kręgosłupa.

Niewysoki, potężnie zbudowany Rolf Mumau z Drezna, znajdującego się niegdyś w Niemieckiej Republice Demokratycznej, stał obok wielkiego dębu. Ten dziewiętnastolatek, uzbrojony, uważny, obserwował wzgórze oddzielające go od planu filmowego. W rękę trzymał *Walthera P38*, ale nie była to jedyna broń, którą dysponował. Zatknięta za pas kominiarka nabita była ołowianymi krążkami, które czyniły z niej w walce groźną pałkę.

Wyostrzona szpilka do kapelusza świetnie nadawała się do przebijania gardeł, wystarczyło tylko przyłożyć jej ostrze do skóry i pchnąć. Szkiełko zegarka przynosiło zdumiewająco dobre efekty, przeciągnięte po oczach przeciwnika. Natomiast bransoletka z prawej ręki, zsunięta na dłoń, świetnie sprawdzała się jako kastet przy bójce na pięści.

Od czasu do czasu odwracał się, by sprawdzić, czy nikt nie zbliża się od strony drogi.

Oczywiście nikt się nie zbliżył. Zgodnie z planem, wraz z dwoma innymi członkami Feuer zaparkowali samochody z boku drogi i przeszli ją, kiedy strażnicy zrobili sobie przerwę na kawę. Tak się przy tym zagadali, że nie zauważyliby nawet słońca.

Ciemne oczy Rolfa otwarte były czujnie, blade usta zaś mocno zaciśnięte. To także skutek treningu. Ciężko pracował, by kontrolować mruganie. Wojownik czeka, kiedy przeciwnik mrugnie i wtedy atakuje. Ćwiczył też zawsze z zamkniętymi ustami. Zwykłe chrząknięcie może poinformować przeciwnika, że zadał dobry cios albo że masz jakieś kłopoty. I wystarczy odrobinę wysunąć język, by odgryźć go sobie po uderzeniu w podbródek.

Słuchając dziwek, pedałów i bogaczy, rojących się za wzgórzem, na planie filmowym, czuł się silny i dumny. Oni wszyscy zginą w płomieniu Feuer. Niektórzy dziś, większość później, ale w końcu, dzięki ludziom takim jak Karin i słynny *Herr Richter*, światowa wizja *Fuhrera* zostanie zrealizowana.

Głowę chłopaka pokrywały krótkie, ciemne włosy, zaledwie osłaniające wyciętą na skórze głowy, ognistoczerwoną swastykę. Pod nie zdejmowaną od pół godziny maską zgromadził się pot, nadając krótkim włosom chłopięcy połysk. Pot ściekał mu także do oczu, ale Rolf ani drgnął. Karin zwracała

wielką uwagę na dyscyplinę i nigdy nie dopuściłaby, gdyby któryś z jej ludzi wytarł czoło lub się podrapał. To wolno było wyłącznie Manfredowi, a i on rzadko korzystał z przywileju. Dyscyplina wcale jednak nie przeszkadzała Rolfowi Murauowi. Karin twierdziła, że bez niej są jak „ogniwa, które nie tworzą łańcucha”.

Oczywiście, miała rację. Przedtem, wraz z czterema, pięcioma przyjaciółmi atakował przecież indywidualnych wrogów, nigdy jednak nie Ośmielił się wystąpić przeciw sile. Nigdy nie ośmieliłby się wystąpić przeciw policji albo oddziałowi antyterrorystycznemu. I on, i przyjaciele, nie wiedzieli, jak dać Ujście gniewowi i pasji. Karin właśnie miała to zmienić.

Po prawej, za dębem, dziewczyna skończyła zdejmować mundur ze strażnika. Wkładał go potężny Manfred Piper. Gdy ciało rozebrane zostało do bielizny, dwudziestoosmioletnia dziewczyna pociągnęła je po miękkiej trawie w stronę głazu. Rolf nie zaproponował jej pomocy. Kiedy wreszcie ustalili rozmiar munduru, odesłała go, żeby stał na warcie. A więc musiał stać na warcie.

Kątem oka obserwował wbijającego się w mundur Manfreda. Plan zakładał, że Karin i jeden z nich dostaną się w pobliże planu zdjęciowego, a więc dziewczynie musiał

towarzyszyć ktoś w mundurze strażnika Sichern. Ponieważ strażnik był potężnie zbudowany, jego mundur na Rolfie wyglądałby po prostu śmiesznie, więc, choć rękawy okazały się dla niego za krótkie, a kołnierzyk za ciasny, tę robotę dostał Manfred.

- Już tęsknię za luźną wiatrówką - mówił właśnie, z trudem dopinając kurtkę. -

Obserwowaliście pana Dagovera, kiedy do nas podchodził?

Rolf zdawał sobie sprawę, że pytanie nie jest skierowane do niego, więc nawet się nie odezwał. Karin próbowała ukryć zwłoki w wysokiej trawie za głazem. Nie odpowiedziała.

- Widzieliście, jak poprawił sobie znaczek i czapkę? - mówił dalej Manfred. - Był dumny z munduru. Szedł wyprostowany. Od razu widać, że wychowała go III Rzesza. Bardzo możliwe, że należał do Hitlerjugend. Sądzę, że w sercu był jednym z nas. - Współzałożyciel Feuer pokręcił wielką, łysą głową. Skończył zapinać guziki i spróbował trochę naciągnąć rękawy. - Niedobrze, że ludzie jego kalibru zmiękli od wygod. Gdyby tylko nie zabrakło mu ambicji i wyobraźni... mógł bardzo przysłużyć się sprawie.

Karin wstała. W milczeniu podeszła do drzewa i zdjęta wiszące na gałęzi plecak i broń.

Nie była gadułą jak Manfred.

A jednak, pomyślał Rolf, on ma rację. Werner Dagover prawdopodobnie bardzo ich przypominał. I kiedy wreszcie nadejdzie burza, znajdą sojuszników wśród ludzi takich jak on.

Nie zabraknie kobiet i mężczyzn gotowych bez strachu oczyścić ziemię z podludzi: kalekich fizycznie i psychicznie, kolorowych, niepożądanych ze względu na pochodzenie lub religię.

Lecz... strażnik próbował skontaktować się z dowódcą, a Karin nie należy do ludzi, okazujących

miłosierdzie przeciwnikom. Gdyby się sprzeciwił, zabiłaby nawet jego... i miałaby rację. Kiedy rzucił szkołę, żeby zostać żołnierzem powiedziała mu przecież, że jeśli ktoś sprzeciwi ci się raz, prawdopodobnie sprzeciwi się znowu. A tego - powiedziała - nie może ryzykować żaden dowódca.

Właśnie podniosła Uzi, wsunęła go do plecaka i podeszła do Manfreda. Ten trzydziestoczteroletni mężczyzna nie miał zapalu i odczytania młodszego towarzysza broni, był

za to całkowicie jej oddany. W ciągu dwóch lat spędzonych w Feuer Rolf nie widział, żeby kiedykolwiek rozdzielili się na dłużej. Nie wiedział, czy to miłość, czy chcą się tylko bronić nawzajem, czy też może jedno i drugie, ale zazdrościł im tej więzi.

Karin była gotowa. Zamarła na chwilę, wczuwając się w rolę naiwnej zagubionej dziewczyny, którą zagrała dla strażnika, a potem spojrzała na wzgórze.

- Idziemy - powiedziała niecierpliwie.

Manfred ujął jej ramię swą wielką dłonią i poprowadził ją w stronę planu. Kiedy znikli mu z oczu, Rolf obrócił się i truchtem pobiegł w stronę drogi. Tam na nich zaczeka.

□ Czwartek, 03.04 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Przyglądając się niewielkiej kupce leżących na jego łóżku komiksów, generał Mike Rodgers zadawał sobie pytanie, gdzie, do cholery, podziała się niewinność.

Odpowiedź na to pytanie oczywiście znał. Umarła. Wszyscy i wszystko musi kiedyś umrzeć.

Czterdziestopięcioletni zastępca dyrektora Centrum obudził się o drugiej nad ranem i nie mógł już zasnąć. Od dnia śmierci podpułkownika W. Charlesa Squiresa, dowodzącego w misji oddziałem Iglica, Rodgers nie przestawał wspominać owej rozprawy z Rosjanami. Siły powietrzne zachwycone były dziewiczym lotem zbudowanego w technologii *stealth* helikoptera *Mosquito*, pilotom zaś przyznano, że robili wszystko, by wydobyć Squiresa z płonącego pociągu.

Rodgers przesłużył dwie tury w Wietnamie, dowodził brygadą zmechanizowaną w Zatoce Perskiej i miał doktorat z historii współczesnej. Aż za dobrze rozumiał słowa Lorda Macaulaya: „istotą wojny jest gwałt”. Wiedział, że w walce giną ludzie... czasami tysiące ludzi. Liczba ofiar nie ułatwia jednak pogodzenia się z jedną śmiercią, zwłaszcza jeśli zabity żołnierz pozostawił po sobie żonę i małego synka.

Zamiast leżeć w łóżku i płakać, Rodgers wyjechał ze swego skromnego domu w wiejskim stylu do najbliższego 7-Eleven. Rano miał się zobaczyć z Billem Squiresem; nie chciał

przyjść na spotkanie z pustymi rękami. Melissa Squires nie przepadała za prezentami typu słodczyce czy gry wideo, komiksy wydały mu się jednak dobrym pomysłem. Mały kochał

superbohaterów.

Jasnobrązowymi oczami Rodgers wpatrywał się w przestrzeń, znów wspominając swojego superbohatera. Charlie był mężczyzną kochającym życie, a jednak nie zawahał się poświęcić go, by ocalić ранego nieprzyjaciela. To co zrobił uszlachetniło ich wszystkich -

nie tylko tak blisko ze sobą związanych członków Iglicy i siedemdziesięciu ośmiu pracowników Centrum - ale wszystkich razem i każdego z osobna obywatela kraju, który Charlie kochał.

W oczach Rodgersa pojawiły się łzy. Nie chciał o tym myśleć, więc wrócił do wertowania komiksów.

Najpierw zszokowało go, że są dwunastokrotnie droższe niż w czasach, kiedy on je czytał; kosztują nie dwanaście centów, lecz dolar pięćdziesiąt sztuka. Wszedł z domu mając w kieszeni zaledwie parę dolarów drobnymi i musiał zapłacić za to cholerstwo kartą kredytową. Bardziej niepokojące wydało mu się jednak, że nie potrafi odróżnić złych facetów od dobrych facetów. Superman miał długie włosy i piekielny charakter, Batman był

właściwie psychopata, Robin nie przypominał już grzecznego chłopca z przedmieścia, lecz łobuza z ulicznego gangu, a odpalająca papierosa od papierosa, kompletnie zwariowana baba imieniem Wolverine największą przyjemność czerpała z rozszarpywania ludzi szponami na kawałki.

Jeśli Melissa nie może się pogodzić z batonikami, to tego z pewnością nie przełknie, pomyślał. Zrzucił komiksy z łóżka na podłogę. Nie, czegoś takiego nie może dać dzieciakowi.

Może powinienem poczekać trochę i kupić mu „Hardy Boys” - pomyślał jeszcze, ale nie był całkiem pewien, czy chce poznać dalsze losy Franka i Joe'ego. Bracia mieli najprawdopodobniej kolczyki w nosie, tasaki i temperament wściekłych psów. A ich ojciec, Fenton, przedwcześnie posiwiiał i spotykał się wyłącznie z kobietami poważnie myślącymi o małżeństwie. Jak ja, stwierdził generał.

Niech to diabli, podjadę do sklepu z zabawkami i kupię mu jakąś figurkę. Figurkę i może dobrą dokumentalną kasetę wideo albo szachy. Coś dla rąk i coś dla głowy.

Rodgers machinalnie pogładził się po garbatym nosie, a potem sięgnął po pilota. Usiadł, podparł się poduszką, włączył telewizor i sprawdził, co nadają na różnych kanałach.

Kolorowe, puste współczesne filmy i blade stare komedyjki. Zdecydował się wreszcie na kanał starych filmów, na którym nadawano coś z Lonem Chaneyem, Jr., wilkołakiem. Chaney błagał właśnie młodego mężczyznę w białym fartuchu o skrócenie cierpień.

- Wiem, co czujesz - pocieszył go.

Na ogół Chaney miał jednak szczęście - jego cierpienia skracała srebrna kula. On sam jednak, jak to się zdarza tym wszystkim, którzy przeżyli wojnę, byli ofiarami przestępstwa lub ludobójstwa, czuł ból, nie tak gwałtowny jak kiedyś, lecz nadal obecny. Ból, raniący najdotkliwiej w sytuacji takiej jak dziś, wcześniej rano, kiedy człowiek jest ze sobą sam na sam, a rzeczywistość dociera do niego wyłącznie w postaci monotonnego szumu telewizora i błysków światła przejeżdżających pod oknem samochodów. Sir Fulke Greville napisał w jednej z elegii: „Cisza wzmacnia żal”.

Wyłączył telewizor, pogasił światła, uklepał poduszki i położył się na brzuchu. Zdawał

sobie sprawę, że nie jest w stanie zmienić tego, co czuje. Wiedział także, że nie powinien poddawać się smutkowi. Musiał myśleć o wdowie i jej synu, czekał go także gorzki obowiązek wyboru kolejnego dowódcy Iglicy, a poza tym musiał dowodzić Centrum do końca tygodnia, do przyjazdu Paula Hooda z Europy. A dziś czekał go jeden z gorszych dni w pracy. Jak to słusznie powiedział prawnik Centrum, Lowell Coffey II, „w kurniku pojawi się lisica”.

W środku nocy, wśród panującej wokół ciszy, szczególnie łatwo było uznać, że tego się nie da zrobić, że to za dużo. Nagle Rodgers pomyślał jednak o ludziach, którym nie dane było żyć wystarczająco długo, by przygniótł ich ciężar życia i nagle ciężar ten przestał wydawać się aż tak przygniatający.

Zasnął myśląc, że może nie powinien dziwić się lekkim napadom szaleństwa Batmana w średnim

wieku.

□ Czwartek, 10.04 - Garbsen, Niemcy

Jodie weszła do przyczepy. Zerknęła na listę rekwizytów i skrzywiła się.

- Świetnie - burknęła pod nosem. - Po prostu świetnie!

Udawana pogoda, którą zademonstrowała w rozmowie z panem Bubą, zmieniła się w prawdziwy niepokój. To, czego potrzebowała, znajdowało się w małej łazience przyczepy.

Ominięcie zagradzających jej drogę stołów i kufrów samo w sobie miało być zadaniem trudnym. Biorąc pod uwagę jak dopisywało jej dziś szczęście, Lankford nakręci robioną właśnie scenę bez dubli, odeśle film do wywołania i przejdzie do następnej, nim ona zdoła się stąd wydostać.

Odłożyła ciężki notes i dokładniej przyjrzała się torowi przeszkód. Najszybciej byłoby po prostu przeczołgać się pod stołami, była jednak pewna, że gdyby spróbowała, ktoś by ją zauważył. Kiedy dostała dyplom i profesor Ruiz oznajmił jej, że przyznano jej praktykę, powiedział jeszcze, że Hollywood może próbować okraść ją z jej pomysłów, z jej twórczych zdolności i entuzjazmu, ale obiecał, że rany szybko się zablizną. Ostrzegł ją jednak, by nigdy, nigdy nie poświęcała swej godności, bo raz poświęcona, godność nie wróci nigdy. Więc Jodie godnie ruszyła pomiędzy stoły, zręcznie i pracowicie pokonując labirynt.

Zgodnie z listą rekwizytów potrzebowała dwustronnego zimowego munduru, który nosił

jeden z marynarzy „Tirpitz”. Mundur wisiał w łazience, ponieważ w szafie znajdowała się stara, muzealna broń. Miejscowe władze rozkazały trzymać ją w zamknięciu, a na klucz zamykały się wyłącznie drzwi szafy.

Wreszcie dotarła do łazienki. Drzwi, zastawione ciężkim stołem i jeszcze cięższym kufrem, otwierały się tylko częściowo. Udało się jej jakoś wcisnąć do środka; zatrzasnęły się i Jodie natychmiast dostała ataku kaszlu. Zapach kamfory wręcz dusił, silniejszy nawet niż w mieszkaniu jej babci w Brooklynie. Oddychając przez usta, zaczęła grzebać wśród mniej więcej czterdziestu plastikowych worków z ubraniami, szukając przymocowanych do nich nalepek. Bardzo pragnęła otworzyć okno, ale wstawiono w nie kratę - ochronę przed złodziejami - więc sięgnięcie do klamki graniczyłoby z cudem.

Zakłęła w duchu. To już szczyt wszystkiego, pomyślała. Nic gorszego nie może mi się przydarzyć: napisy na nalepkach z opisem zawartości worków były w języku niemieckim.

W notatniku powinna znajdować się kartka z tłumaczeniem, więc, klnąc jeszcze raz, wydostała się jakoś z łazienki i ruszyła z powrotem, coraz bardziej zaniepokojona. Mniej więcej w połowie drogi usłyszała dobiegające z dworu, zbliżające się głosy.

Do diabła z entuzjazmem i zdolnościami twórczymi, profesorze Ruiz, pomyślała. Była pewna, że jej

kariera w świecie filmu skończy się za jakieś dwadzieścia sekund.

Pokusa, by zacząć się czołgać, była przemożna, lecz Jodie oparta się jej z wysiłkiem.

Kiedy znalazła się już wystarczająco blisko, pochyliła się jak najdalej, zahaczyła palcem o kółko i przyciągnęła notatnik ku sobie. Zrozpaczona, zaczęła coś nucić pod nosem, udając przed samą sobą, że tańczy jak nie tańczyła nigdy od czasu balu zapoznawczego pierwszoroczników. Pomogło, wkrótce znów była w łazience. Przymknęła drzwi, położyła notatnik na umywalce i jak najszybciej potrafiła, zaczęła odczytywać naklejki, porównując je z kartką wydruku komputerowego.

□ Czwartek, 10.07-Garbsen, Niemcy

Buba usłyszał dobiegające zza przyczepy głosy.

- ...należę do tych ludzi, którzy po prostu nie mają szczęścia - mówiła kobieta szybkim, zdyszonym głosem. - Kiedy wchodzę do sklepu, to w chwilę potem, jak wyszła z niego gwiazda filmowa. Kiedy idę do restauracji, to w dzień po przyjęciu zorganizowanym przez słynnych ludzi. Na lotnisku mijam się z nimi dosłownie o minuty.

Buba tylko pokręcił głową. Mój Boże, babka ma gadane, pomyślał. Biedny Werner.

- No i tak - dwie postaci wyłoniły się zza przyczepy - zupełnie przypadkowo trafiłam na plan filmowy, od gwiazd dzielą mnie zaledwie metry, a pan nie pozwala mi zobaczyć nawet jednej.

Patrzył na nich, kiedy się do niego zbliżali. Kobieta zasłaniała mu Wenera, który nasunął

czapkę nisko na oczy. Szerokie ramiona wysunięte miał do przodu. Babka tańczyła prawie, wymachując rękami. Buba chciał jej powiedzieć, że gwiazdy filmowe wcale nie są takie znów wspaniałe. Niczym nie różnią się od normalnych ludzi, tyle że normalni ludzie nie wymagają ciągłej opieki i nie wściekają się tak łatwo. Mimo wszystko żal mu było dziewczyny. Werner wyjątkowo ściśle przestrzegał poleceń, ale może dałoby się nagiąć je na tyle, żeby zobaczyła jakąś gwiazdę filmową.

- Słuchaj - powiedział - skoro pani i tak jest naszym gościem, czemu nie miałyby...

Nie dane mu było skończyć zdania. Manfred wyszedł zza domagającej się spotkania z gwiazdą kobiety i uderzył go pałką Wenera. Pierwszy cios trafił strażnika wprost w usta; Buba upadł na przyczepę, krztusząc się krwią i wybitymi zębami. Drugi cios w prawą skroń odrzucił mu głowę na lewe ramię. Ochryply kaszel ucichł niemal natychmiast. Ciało Buby opadło na ziemię; siedział teraz oparty o przyczepę, a po brodzie i ramieniu ściekała mu krew.

Manfred otworzył drzwi do przyczepy, wrzucił do niej pałkę i sam wskoczył do środka.

W tej samej chwili ktoś z ekipy filmowej krzyknął: - Jodie! Karin obróciła się, położyła plecak i wyjęta z niego *Uzi*.

Niewysoki mężczyzna pokręcił z dezaprobatą głową i ruszył w ich kierunku.

- Jodie, co ty do cholery tam wyrabiasz, ty nasza była praktykantko?

Karin wyprostowała się i odwróciła. Asystent reżysera zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię. Stał jakieś pięćdziesiąt metrów od niej.

- Hej! - krzyknął, mrużąc oczy. Oskarżycielskim gestem wymierzył palec w kierunku przyczepy - Kim

pani jest? I czy to jeden z naszych rekwizytów? Nie wolno pani...

Szybkie paf-paf-paf Uzi przerwało przemowę Hollisa Arlenny. Upadł na wznak, nie widzącymi oczami wpatrując się w niebo, a gdy padał, ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, wrzeszcząc przeraźliwie. Ponaglony przez śliczną gwiazdkę, młody aktor próbował

dotrzeć do leżącego na ziemi asystenta reżysera. Czołgał się w jego kierunku, gdy druga krótka seria pozbawiła go czubka głowy. Skulił się, jakby zapadł się w sobie. Gwiazdka, ukryta za kamerą, rozkrzyczała się i nie mogła przestać.

Ryknął potężny silnik ciężarówki. Manfred przycisnął gaz, zagłuszając wrzaski ekipy.

- Jedziemy! - krzyknął do Karin, zatraskując drzwi przyczepy. Dziewczyna przez chwilę szła tyłem, celując z Uzi w potencjalnych przeciwników. Twarz miała kamienną. Kiedy ciężarówka nabrała prędkości, wskoczyła do środka, podciągnęła składane schodki i zamknęła drzwi.

Manfred ruszył drogą przez las. Ciało martwego Buby bezwładnie opadło na ziemię.

□ **Czwartek, 10.12 - Hamburg, Niemcy**

Jean-Michel nie miał wątpliwości, że jego spotkanie z przywódcą, z no *wym Fuhrerem* z własnego nadania, powinno nastąpić w St. Pauli w Hamburgu.

W 1682 roku tu, na zboczu wzgórza nad łabą, wzniesiono kościół pod wezwaniem świętego Pawła. W 1814 roku Francuzi zniszczyli spokojną wioskę. Po ich ataku nic już nie było takie jak przedtem. Wybudowano hoteliki, tancbudy i burdele, mające służyć załogom rzecznych parowców i w połowie XIX wieku St. Pauli stało się znane jako dzielnica rozpusty.

Dziś, po zmroku, nadal nią było. Jaskrawe neony i prowokacyjne wystawy reklamowały wszystko, począwszy od jazzu a skończywszy na kręgielniach, począwszy od seksualnych spektakli a skończywszy na tatuazach, począwszy od gabinetów figur woskowych a skończywszy na grach hazardowych. Niewinnie brzmiące pytania: „Ma pan chwilkę czasu?”,

„jest pan sam?” kojarzyły gości z prostytutkami, narkotyki zaś oferowano nazywając je bez osłonek, tyle że ściszym głosem.

Doprawdy bardzo dobrze się złożyło, że przedstawiciel Nowych Jakobinów właśnie tu spotka się z Felixem Richterem. Francuska inwazja jeszcze raz miała zmienić Niemcy, ale tym razem przy współdziałale samych Niemców. I na lepsze.

Francuz zostawił obu swych towarzyszy śpiących w hotelu na An der Alster. Przed wejściem złapał taksówkę. Piętnastominutowa droga do St. Psuli zakończyła się na Grosse Freiheit, w samym sercu dzielnicy zmysłowych rozrywek, pustej teraz, jeśli nie liczyć turystów, którzy mieli ochotę po prostu ją sobie obejrzeć, nie kosztując zakazanego owocu.

Jean-Michel odgarnął z czoła gęste, ciemne włosy i zapiął ciemnozielony sweter. Wysoki, nieco przyciężki, czterdziestotrzyletni wiceprezes Demain z przyjemnością oczekiwał

spotkania z Richterem. Ci, którzy go znali (a było ich niewielu) i ci, którzy znali go dobrze (tych było zaledwie kilku) zgadzali się w dwóch sprawach. Po pierwsze, Richter był oddany sprawie. Doskonale! Pan Dominique wraz z resztą swego francuskiego zespołu to też ludzie oddani sprawie. Co więcej, pan Dominique nienawidził pertraktować z ludźmi obojętnymi.

Po drugie, zgodnie z panującą powszechnie opinią, Richter był człowiekiem nieobliczalnym, zdolnym powitać kogoś jak przyjaciela, a w następnej chwili wydać rozkaz jego zamordowania, jeśli tylko taki miał kaprys. I pod tym względem wydawał się duchowym bratem tajemniczego mocodawcy Jean-Michela. Pan Dominique albo kochał ludzi, albo ich nienawidził, był wielkoduszny lub bezwzględny, w zależności od wymagań chwili. Podobnie zachowywali się na przykład Napoleon lub Hitler.

Coś takiego po prostu tkwi w przywódcach, pomyślał Jean-Michel. Nie potrafią być letni.

Dumą napawało go, że zna pana Dominique'a. Miał nadzieję, iż poznanie Richtera także będzie powodem do dumy.

Podszedł do czarnych metalowych drzwi prowadzących do jego klubu, „Auswechseln”.

Nie znalazł w nich niczego szczególnego: jak każde drzwi, wyposażone były w judasza i dzwonek. Po lewej, na framudze, widniała marmurowa kozia głowa.

Francuz nacisnął przycisk dzwonka i czekał.

„Auswechseln” - czyli „Substitut” - należał do najbardziej niesławnych, dekadencckich i cieszących się największym powodzeniem nocnych klubów St. Pauli. Wpuszczano doń wyłącznie pary. Każda dostawała przy wejściu naszyjnik, jeden różowy, a jeden niebieski, z różnymi numerami. Nowe pary - na jeden wieczór - dobierały się tymi właśnie numerami. Do uczestnictwa w owym misterium dopuszczano wyłącznie dobrze ubranych, przystojnych ludzi.

Z otwartego pyska koziej głowy rozległ się ostry głos: - Kto tam?

- Jean-Michel Horne - odpowiedział Francuz. Już miał zamiar dodać po niemiecku:

„Jestem umówiony z *Herr* Richterm, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Jeśli pomocnicy Richtera nie wiedzą, z kim się on spotyka, to jego operacja prowadzona jest po dyletancku.

Od takiej operacji Jean-Michel i jego ludzie powinni się trzymać z daleka.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Przeszło dwumetrowy kulturysta uprzejmie zaprosił go do środka, zamknął i zaryglował drzwi, a potem położył mu na ramieniu łapę wielką jak bochen chleba. Przesunął Francuza pod ścianę obok kasy, bardzo dokładnie obszukał i kazał mu poczekać.

Jean-Michel zauważył zainstalowaną w ścianie kamerę wideo. Kulturysta miał w uchu słuchawkę. Napewno ktoś porównywał teraz twarz Francuza ze zdjęciem, przysłanym faksem z biura pana Dominique'a w Demain. Po krótkiej chwili wielkolud powiedział: - Chwileczkę -

i znikł w mroku.

Skuteczne, pomyślał Jean-Michel, słuchając dudniących po parkiecie ciężkich kroków wielkiego ochroniarza. Ostrożność należało tylko pochwalić. Pan Dominique też nie dotarł

tam, gdzie dotarł, dzięki lekkomyślności.

Rozejrzał się. Jedyne w tym pomieszczeniu światło padało z czterech czerwonych neonowych lamp w kształcie koła, świecących nad barem, po jego prawej ręce. Widział więc niewiele i trudno było mu powiedzieć nie tylko, jak wygląda klub, lecz także czy wielki ochroniarz w ogóle wyszedł z sali. Jedyne, co mógł stwierdzić na pewno to, że mimo szumu ciężko pracujących wentylatorów we wnętrzu czuć było lekki, mdlący zapach dymu papierosowego, alkoholu i pożądania.

Po minucie, może dwóch, usłyszał powracające kroki, bardzo różniące się od poprzednich: lekkie choć zdecydowane; idący człowiek niewątpliwie nie powłóczył nogami.

W chwilę później w krąg padającego znad baru czerwonego światła wstąpił Felix Richter.

Francuz rozpoznał tego eleganckiego trzydziestodwulatka ze zdjęć, które pokazano mu przed wyjazdem, żadna fotografia nie była jednak w stanie uchwycić siły tego mężczyzny.

Richter miał około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, krótkie, starannie przystrzyżone jasne włosy, ubrany zaś był w nienagannie skrojony garnitur z kamizelką, lśniące lakierki i czarny krawat w czerwone paski. Nie nosił żadnej biżuterii; w jego środowisku zamiłowanie do niej odbierano jako cechę kobiecą, a na takie skojarzenie nie mógł sobie pozwolić.

„Ordery. Moim ludziom pozwalam nosić wyłącznie order” - napisał kiedyś we wstępniku swej gazety, „Unser Kampf” - „Nasza Walka”. Znacznie bardziej uderzające od stroju były jednak jego oczy. Fotografia w ogóle nie oddała ich mory. Nawet w słabym, czerwonym świetle po prostu przykuwały. I nieruchomiały, wpatrzony w człowieka. Richter nie należał najwyraźniej do ludzi zwykłych odwracać wzrok.

Zbliżając się, Niemiec wykonał gest taki, jakby wyciągał rewolwer z kabury, dziwny, lecz elegancki. Dłonią przesunął wzdłuż nogawki spodni aż na biodro, a potem szybko wyciągnął rękę. Jean-Michel ujął ją, dziwiąc się sile uścisku.

- Bardzo się cieszę, że mógł pan przyjechać - powiedział Richter. Myślałem tylko, że będzie panu towarzyszył pański pracodawca.

- Jak pan wie, pan Dominique woli prowadzić interesy z siedziby swej firmy. Dysponuje techniką, która umożliwia ograniczenie wyjazdów do minimum.

- Rozumiem. Nie pozwala się fotografować, rzadko go można zobaczyć. Tajemniczy człowiek.

- Pan Dominique jest tajemniczy, lecz nie oznacza to braku zainteresowania. Mam reprezentować go w naszych rozmowach; w trakcie Dni Naporu będę też jego oczami i uszami.

Richter uśmiechnął się.

- Chce sprawdzić, czy jego szczodre datki są właściwie wykorzystywane?

Jean-Michel pokręcił głową.

- Tu się pan myli, panie Richter. Pan Dominique nie działa w ten sposób. Inwestuje tylko w ludzi, którym wierzy.

Niemiec puścił dłoń gościa, stanął obok niego, ujął go za łokieć i poprowadził w ciemność.

- Proszę nie sądzić, że musi pan bronić Dominique'a przede mną tłumaczyć. - Warto sprawdzić od czasu do czasu, co robią towarzysze broni.

Towarzysze broni? - pomyślał Jean-Michel. Pan Dominique był właścicielem firmy wartej miliardy dolarów. Kontrolował jedną z największych prawniczych organizacji we Francji, ba - na świecie! Niewielu było ludzi, których skłonny byłby uważać za swych

„towarzysz”. Mimo wspólnoty interesów, *Herr* Richter nie mieścił się w tej grupie.

Richter nagle zmienił temat.

- Pokój hotelowy, który panu zarezerwowaliśmy... - spytał - ...czy podoba się panu?

- Jest doskonały. - Francuza nadal irytowała arogancja jego rozmówcy. - Doskonale.

Mieszka pan w jednym z niewielu prawdziwie starych hoteli w Hamburgu. Podczas wojny alianci obrócili w perzynę niemal całe miasto. Hamburg miał pecha. To port. Jest jakaś ironia w tym, że przetrwało tak wiele starych drewnianych budynków. - Wyciągnął ramiona, jakby pragnął objąć całe St. Pauli. - Alianci nie zabijali prostytutek i pijaków, wyłącznie matki z dziećmi. Nas jednak nazywają potworami i to fałszując wydarzenia. Na przykład mityczny Holocaust...

Jean-Michel zauważył, że nagły wybuch rozmówcy nie pozostawił go obojętnym. Choć w Niemczech negowanie Holocaustu karane było w majestacie prawa, podczas studiów na akademii medycznej Richter robił to nieustannie. Nie przestał nawet, gdy za antysemityczne uwagi odebrano mu stypendium. Organa władzy niechętnie karały agitatorów nie uciekających się do gwałtu, musiały jednak zareagować, bowiem światowe stacje telewizyjne nagrały i pokazały jego antysemityczne przemówienie w Oświęcimiu, zatytułowane

„Żydowskie kłamstwa”. Spędził w więzieniu dwa lata. Młodzi współpracownicy prowadzili jego rządzący wówczas interes i dbali, by legenda ich szefa rosła.

Ponieważ człowiek ten był odważny i oddany sprawie, Jean-Michel postanowił

zapomnieć o kiepskim początku spotkania.

Podeszli do stolika. Richter włączył stojącą na nim lampę. Przedstawiała Pana grającego na fletni.

Usiedli obaj. Światło nie sięgało oczu Niemca, lecz Francuz widział je mimo to, niemal tak nieprzejrzyste jak sam mrok. Ten gość zarobił miliony na klubie i na firmie wynajmującej hostessy w Berlinie, Stuttgarcie, Frankfurtach i Hamburgu, ale bez ryzyka można było przyjąć, że nawet gdy jeszcze nie miał tej forsy, już był sukinsynem.

Podniósł oczy na antresolę. Drzwi, drzwi, drzwi, prowadzące najpewniej do pokoi dla gości, którzy pragnęli nie tylko potaćzyć.

- Jak rozumiem, ma pan tam mieszkanie?

- Owszem, ale korzystam z niego przez jedną, może dwie noce w tygodniu. Większość czasu spędzam w siedzibie Narodowej Partii Socjalistycznej XXI Wieku w Bergedorfie, na południu. Tam właśnie rodzi się wszystko to, co najważniejsze w naszym ruchu. Tam piszemy mowy, udzielamy porad telefonicznych, stamtąd wysyłamy pocztę elektroniczną, tam publikujemy gazetę... ma pan „Kampf” z tego tygodnia?

Jean-Michel skinął głową.

- Wspaniale! Wszystko to jest całkowicie legalne. Nie tak jak niegdyś, na początku, kiedy władze ściagały mnie za to czy tamto wymyślone naruszenie prawa. Ach tak, przybył pan tu dla uczczenia Dni Naporu? Będzie pan także reprezentował swego pracodawcę w

„rozmowach”, jak to określił w naszej jedynej krótkiej rozmowie telefonicznej?

- Tak, *Herr* Richter. - Jean-Michel pochylił się, opierając dłonie na stole. - Przybyłem złożyć panu propozycję.

Rozczarował się. Richter ani drgnął.

- Słucham pana z uwagą - powiedział tylko.

- Pan Dominique, choć się tym nie chwali, wspomaga finansowo neonazistowskie ruchy na całym świecie. Razorheads w Anglii, Żołnierzy Polski, Whites Only Association w Stanach Zjednoczonych. Próbuje stworzyć światową sieć organizacji, których wspólnym celem jest czystość etniczna.

- Wraz z Nowymi Jakobinami byłoby to jakieś sześć tysięcy ludzi stwierdził Richter.

- Owszem, w przybliżeniu. A kiedy włączy się w Stanach do Internetu, liczba ta z całą pewnością wzrośnie.

- Owszem, najprawdopodobniej tak. Widziałem jego gry. Wspaniała rozrywka.

- Pan Dominique proponuje, by pańska organizacja, XXI Wiek, dołączyła do innych.

Dostarczy panu funduszy, udzieli dostępu do technologii Demain, umożliwi odegranie roli w kształtowaniu przyszłości świata.

- Roli - powtórzył Richter. - Jak w teatrze. - Nie w teatrze. W historii.

Niemiec uśmiechnął się zimno.

- A dlaczego miałbym grać w jego sztuce, kiedy jestem w stanie wystawić własną?

I znów Francuza zszokowała ta zarozumiałość.

- Ponieważ dysponuje on środkami, o jakich pan mógłby najwyżej marzyć. Dzięki swym powiązaniom może też zapewnić panu ochronę zarówno polityczną, jak i osobistą.

- Ochronę przed kim? Rząd nie ośmieli się mnie tknąć. Dwa lata spędzone w więzieniu uczyniły ze mnie męczennika za sprawę. Moi ludzie są mi oddani.

- Istnieją inni. Inni potencjalni nowi *Fuhrerzy* - stwierdził Jean-Michel. W jego głosie pojawiła się groźba.

- Doprawdy? Ma pan na myśli kogoś określonego?

Faceta należało koniecznie przycisnąć i chyba nadarzyła się po temu okazja.

- Szczerze mówiąc, *Herr Richter*, pojawiają się opinie, że Karin Doring i jej Feuer to wschodzące gwiazdy przyszłości.

- Pojawiają się opinie..? - powtórzył spokojnie Richter.

Jean-Michel skinął głową. Wiedział, że Felix Richter i Karin Doring są jawnymi nieprzyjaciółmi od dwóch lat, kiedy to Karin przybyła ze Wschodnich Niemiec głosząc terroryzm, jako doktrynę walki ideologicznej. Richter, który właśnie wyszedł z więzienia, był

zwolennikiem działalności politycznej. Oboje krytykowali się otwarcie, aż wreszcie doszło do tego, że członkowie Feuer zabili w zasadzce dwóch ludzi Richtera. Przywódców obu ruchów wezwano na spotkanie w berlińskim hotelu, po którym to spotkaniu zgodzili się walczyć swymi metodami, nie atakując się wzajemnie. Niemniej między terrorystką ze Wschodu a dobrze wychowanym lekarzem nadal istniało napięcie.

- Karin jest energiczną, charyzmatyczną osobowością - powiedział. Ma na koncie parę śmiałych akcji. Wiemy, że zaplanowała i przeprowadziła atak na bank w Bremie, podpaliła także salę sądową w Norymberdze...

- Zrobiła to i nie tylko to - zgodził się Richter. - Umie walczyć. Jest jak kot, który przewodzi innym kotom, kot śmietnikowy, doskonały dowódca w terenie. Zarówno pan, jak i pańscy protektorzy nie zdajecie sobie jednak sprawy z tego, że nie zdoła nigdy zbudować i poprowadzić partii politycznej. Nadal nalega na osobisty udział we wszystkich swych akcjach. Pewnego dnia wpadnie w ręce władz. A jeśli nawet nie, wystarczy jedna wadliwie skonstruowana bomba...

- Być może. Ale w ciągu zaledwie dwóch lat Feuer zdobył sobie tysiąc trzystu członków oraz trzydziestu regularnych żołnierzy.

- Słusznie, lecz to w większości *Ossies* - wschodni Niemcy. Zwierzęta. W ciągu pięciu lat zdobyłem sobie pięć tysięcy zwolenników po tej stronie byłej granicy. To, panie Horne, jest podstawą ruchu

politycznego. To, panie Horne, jest nasza przyszłość.

- Każdy ma swoje miejsce. Zdaniem pana Dominique'a oboje bylibyście wartościowymi sojusznikami. Dlatego właśnie poinstruował mnie, bym porozmawiał także z nią.

Przenikliwe spojrzenie przykuwających oczu przesunęło się z zegara na twarz gościa.

Niemiec miał oczy robota, wszystko widzące, pozbawione śladu uczucia. Wstał. Ich krótkie spotkanie najwyraźniej właśnie miało się zakończyć. Jean-Michel nie ukrywał zdumienia.

- Dziś o wpół do szóstej po południu, przyjdę do pana do hotelu oznajmił Niemiec. - I ona, i ja będziemy obecni na wieczornym zlocie w Hanowerze. Tam zobaczy pan na własne oczy, kto wydaje rozkazy, a kto je wykonuje. Do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Z cienia za plecami Francuza wyłonił się wielki bramkarz.

- Chwileczkę, *Herr* Richter! - zawołał wyzywająco Jean-Michel. Richter zatrzymał się.

Gość wstał.

- Otrzymałem instrukcje, by skontaktować się z moim mocodawcą dziś rano, a nie dziś wieczorem. Co mam mu powiedzieć?

Richter odwrócił się. W mroku płonęły jego niesamowite oczy.

- Proszę mu powiedzieć, że rozważę jego hojną ofertę. A tymczasem chciałbym mieć jego poparcie i przyjaźń.

- A jednak mnie pan wyprasza!

- Wypraszam? - Pytanie to zostało zadane głosem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu.

- Nie jestem ani popychadłem, ani jakimś gorylem. Jako przedstawiciel pana Dominique'a spodziewam się co najmniej uprzejmości.

Niemiec podszedł do niego powoli. - Przedstawiciel Dominique'a...

- Pana Dominique'a Jemu przynajmniej winien pan jest szacunek Chce pana wspomóc...

- Francuzi zawsze wspomagają przedstawicieli opozycji. Pomogliście Dacko obalić Bokasę w Republice Środkowej Afryki, w 1979 roku. Gościliście ajatollaha Chomeiniego, podczas gdy planował powrót do Iranu. Francuzi spodziewają się, że wróciwszy do władzy goście okażą im wdzięczność, choć rzadko się jej doczekują. Szanuję Dominique'a - głos Richtera mroził - lecz w odróżnieniu od pana, panie Horne, nie muszę czepiać się niczyjego fartuszka. On chce mojej pomocy. Ja nie potrzebuję pomocy od niego.

Ten człowiek jest szaleńcem, pomyślał Jean-Michel. Usłyszał już dość. - Pozwoli pan, że odejdę -

powiedział.

- Nie, nie pozwolę. Nie odejdzie pan, póki przed panem stoję - odparł Richter.

Francuz przeszył go wściekłym spojrzeniem. Odwrócił się. Wpadł na bramkarza, który złapał go za szyję i bezceremonialnie obrócił twarzą do Niemca.

- Richter, jesteś szalony! - wycharczał Horne.

- To bez znaczenia. Ważne jest, że wydaję rozkazy.

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że pan Dominique o wszystkim usłyszy? Uważasz, że nie zaprotestuje? Przecież my...

- My! - przerwał Richter, patrząc gościowi wprost w oczy. - Całe to „my wiemy...”, „my słyszeliśmy...” - Był nieprzytomny z wściekłości. „My”, *monsieur*? Kim pan jest?

I w tej chwili Richter wyciągnął dłoń, tak jak przy spotkaniu, tylko tym razem w dłoni tej był nóż, którego ostrze zatrzymało się milimetry przed lewym okiem Jean-Michela.

Uniesione, mierzyło prosto w źrenicę.

- Wiesz, kim jesteś? - spytał Richter. - Jesteś pieskiem pokojowym. Mimo wściekłego gniewu, Francuz poczuł przeraźliwy skurcz żołądka. To szaleństwo, pomyślał. Nagle poczuł

się tak, jakby wpadł w pętlę czasu. Przecież w świecie telewizyjnych kamer i natychmiastowego międzynarodowego krzyku oburzenia nie ma miejsca na Gestapo, a jednak stoi oko w oko z gestapowcem, który właśnie grozi mu torturami!

Richter wpatrywał się w niego, a jego oczy były aż nazbyt przytomne. Mówił równym głosem, nie krzyczał.

- Rozmawiałeś ze mną, jakbyśmy byli sobie równi. Czego w życiu dokonałeś oprócz załapania się do drużyny człowieka, który ma wizję przyszłości?

Francuz czuł, jak gardło zaciska mu się coraz mocniej. Przełknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic. Za każdym mrugnięciem przypominające lancet ostrze płytko cięło mu powiekę. Próbował znieść to w milczeniu, ale w końcu jęknął.

- Myliłem się - ciągnął Richter. - Nie jesteś nawet pieskiem pokojowym. Jesteś owcą, którą pasterz wysłał w swym zastępstwie. Żeby mi złożyć propozycję, lecz także by sprawdzić, jak mocne mam zęby. A jeśli cię zagryzę? Dominique czegoś się o mnie dowie.

Będzie wiedział, że nie lękam się jego wysłanników. Będzie wiedział, że w przyszłości ma mnie traktować inaczej. A jeśli o ciebie chodzi... - wzruszył ramionami - ...cóż, znajdzie sobie innego

lokaja.

- Nie! - krzyknął Francuz. Gniew na moment pokonał strach. - Pan nie rozumie!

- Ależ rozumiem. Sprawdzałem twoje dane w komputerze, kiedy wchodziłeś przez drzwi.

Dołączyłeś do organizacji Dominique'a dwadzieścia jeden lat i jedenaście miesięcy temu.

Awansowałeś dzięki zdolnościom naukowym. Otrzymałeś patent na czterobitowy procesor do gier, który umożliwił Demain sprzedaż bardziej skomplikowanych produktów w czasach, kiedy inne firmy miały procesory jedno, może dwubitowe. Związany był z tym niewielki skandal w Stanach Zjednoczonych. Jedna z kalifornijskich firm zgłosiła, że twój wynalazek dziwnie przypomina produkt, który właśnie mieli skierować na rynek.

Jean-Michel przesunął się lekko. Czy Richter przekazuje wyłącznie posiadane fakty, czy też może wie coś więcej o początkach Demain?

- Niedawno uzyskałeś patent na układ bezpośrednio stymulujący komórki nerwowe; układ, którego Demain będzie używać w swych nowych programach komputerowych. W

szkole byłeś jednak apolityczny. Kiedy Demain cię kupiło, przyjąłeś poglądy Dominique'a i dopiero wtedy dopuszczony zostałeś do wewnętrznego kręgu jego Nowych Jakobinów, pragnących uwolnić Francję od Algierczyków, Marokańczyków, Arabów i naszych wspólnych przeciwników, Żydów. Najważniejszym słowem jest tu jednak słowo „pomoc”, panie Horne. W hierarchii ważności ta etniczna nędza stoi najniżej. Oddani służby zajmują miejsce nad nią, ale ich też można zastąpić. Francuz milczał.

- Pozostała nam więc do rozstrzygnięcia jeszcze jedna sprawa. Jak głęboko potrafię ugryźć.

Richter uniósł ostrze noża. Jean-Michel próbował poruszyć głową, ale wielki bramkarz tylko mocniej uchwycił go za włosy. Nóż przesunął się wyżej i poruszał się powoli ku kącikowi oka.

- Wiesz, że przed przyłączeniem się do partii XXI Wieku studiowałem medycynę?

Odpowiedz.

- Tak. - I nienawidząc się za to, co robi, Jean-Michel dodał jeszcze: - Proszę pana, błagam...

- Byłem lekarzem - kontynuował Richter. - Gdybym zdecydował się praktykować, byłbym wybitnym lekarzem. Ale na to się nie zdecydowałem - a wiesz, dlaczego? Bo uświadomiłem sobie, że nie potrafiłbym leczyć genetycznie upośledzonych. Wspomniałem o tym bo, jak widzisz, znalazłem inny sposób na użycie nabytej podczas studiów wiedzy.

Używam jej, by kontrolować ludzi. Kontrolując ciało, kontroluję też umysł. Na przykład, przesuwając nóż coraz wyżej wiem, że napotka on pewien mięsień, a jeśli go przetnie, będziesz miał spore problemy z patrzeniem w górę lub w dół. Będziesz musiał nosić opaskę -

trudno jest wykonywać najprostsze czynności, gdy oczy pracują niezależnie, no i - roześmiał

się - wyglądałbyś dość przerażająco z jednym okiem patrzącym do przodu, a drugim poruszającym się zupełnie niezależnie.

Jean-Michel dyszał ciężko. Nogi mu drżały, gdyby bramkarz nie przytrzymał go za włosy, byłby upadł. Widział tylko zamazany kształt ostrza noża i zaczerwienioną twarz Niemca. Poczł bolesne ukłucie nad gałką.

- Proszę, nie... - zaszlochał. - *Mon Dieu, Herr Richter...*

Na policzki pociekły mu łzy i nie widział już prawie nic. Drżała mu szczęka, a to powodowało ruchy oka, każdy podkreślony spazmem bólu. Bardzo powoli Richter przysunął

do noża lewą dłoń. Dotknął nią rękojeści, jakby już za chwilę miał pchnąć...

- A czy wiesz może - spytał spokojnie - że to, co właśnie robimy, jest częścią procesu prania mózgu? Studiowałem zastosowania tej techniki przez KGB. Byli w niej mistrzami. To, co mówi się człowiekowi przerażonemu i cierpiącemu ból, jego mózg przyjmuje za prawdę.

Oczywiście, by osiągnąć trwały efekt, należy czynność powtarzać. Systematycznie i dokładnie.

Delikatnie pchnął nóż do góry. Ból, przy którym dotychczasowe doświadczenia wydawały się niczym, wybuchnął pod czołem Jean-Michela, który krzyknął przeraźliwie, a potem już tylko jęczał. Choć strasznie się wstydział, nie mógł przestać.

- I jak myślisz, mały baranku, jesteśmy sobie równi?

- Myślę... - Francuz przełknął z wysiłkiem - ...myślę, że udowodnił pan to, co chciał pan udowodnić.

- Ja udowodniłem? Proszę, pierwsza rozsądna wypowiedź, jaką usłyszałem z pańskich ust. Niewątpliwie przypadkowa.

Poruszył nożem, wywołując kolejny przeraźliwy okrzyk bólu.

- A próbowałem udowodnić rzecz następującą. W niedalekiej przyszłości Dominique będzie potrzebował mnie bardziej, niż ja będę potrzebował jego. Żołnierze Nowych Jakobinów to niewielka siła, odpowiednia wyłącznie do wykonywania zadań lokalnych, ja natomiast mam możliwości działania na skalę międzynarodową. I będę działał na skalę międzynarodową. Nowe gry komputerowe znajdują się w sieci, będą dostępne w całej Ameryce, ale potrzeba czasu, by wywarły odpowiedni efekt. Ja i moi ludzie możemy pojechać do Stanów, spotkać się z amerykańskimi nazistami, wywrzeć na nich bezpośredni wpływ. My jesteśmy z *Vaterlandu*, ojczyzny ruchu, wy należycie do tych, których podbito i nauczono służyć. Świat podąży za mną i to teraz, zaraz, a nie za pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat. I - co równie ważne - dostanę pieniądze. A to, panie Horne, sprawia, że nie jestem tylko równy panu Dominique'owi. Nie! W rzeczywistości jestem od niego

lepszego.

Richter uśmiechnął się i puścił nóż, który wylądował na jego otwartej dłoni. Odstąpił, chowając go w ukrytej w rękawie pochwie. Francuz jęknął, lecz tym razem nie tylko z bólu, lecz także ulgi.

- A więc proszę przy najbliższej okazji powiedzieć panu Dominique'owi o lekcji pokory, jakiej panu udzieliłem. Jestem pewien, że on to zrozumie. Proszę mu także powiedzieć, że nikt, nawet Karin Doring, nie zostanie" przywódcą ruchu w Niemczech. To moje przeznaczenie. Czy mamy jeszcze coś do załatwienia?

Bramkarz zwolnił uścisk na chwilę, umożliwiając Francuzowi gorliwe potrząśnięcie głową.

- Doskonale! - Richter obrócił się. - Ewald wezwie panu taksówkę. Ma pan chwilę czasu, by jakoś się ogarnąć. Ufam, że dziś spotkamy się jeszcze raz. To będzie pamiętny wieczór.

Kiedy jego szef znikł, bramkarz puścił włosy Jean-Michela. Francuz zwałił się na ziemię i przewrócił na bok. Drżał na całym ciele. Lewym okiem widział niewyraźnie, jakby przez czerwoną zasłonę - to krew gromadziła mu się na górnej powiece i ściekała na dolną.

Leżąc bezwładnie, nadal nieprzytomny z przerażenia, Jean-Michel wyjął chusteczkę z kieszeni. Dotknął nią oka i przyjrzał się blad różowej plamie - krwi zmieszanej ze łzami. Za każdym mrugnięciem czuł ukłucia palącego bólu. Gorsze od fizycznych były jednak cierpienia duchowe. Na myśl o tym, jak się zachował i jakim okazał się tchórzem, czuł

strasliwy wstyd. Ścierając krew delikatnymi ruchami chusteczki, uświadomił sobie jednak, że mimo wszystko wypełnił zadanie, wyznaczone mu przez pana Dominique'a. Złożył

propozycję, która została odrzucona przez tego próżnego aż do szaleństwa durnia.

Richter nie podejrzewał jednak nawet, jaki cel przyświecał panu Dominique'owi, co wręcz nakazywało mu podporządkowanie sobie niemieckiego faszysty. Nie chodziło o wzmocnienie ruchu czystości etnicznej, lecz o wywołanie kryzysu zaufania do niemieckiego rządu. Pan Dominique pragnął zdestabilizować Niemcy w stopniu wystarczającym, by reszta Europy uznała, że naród ten nie jest w stanie dyktować jej przyszłości w łonie Wspólnoty Europejskiej. Rola przywódcy musiała przypaść Francji, a opinie Francji kształtować będzie niewielka grupa wartych grube miliardy dolarów magnatów przemysłowych.

Gdzie pójdzie Wspólnota Europejska, tam podąży za nią Azja i reszta świata.

Jean-Michel nie miał co do tego najmniejszych nawet wątpliwości, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę panujący w Stanach Zjednoczonych chaos. A kiedy cel zostanie osiągnięty, pomyślał, pan Dominique pozbędzie się Richtera. Pół wieku temu Francja przekonała się boleśnie, jak niebezpiecznie jest pozwolić wzrosnąć w siłę niemieckim faszystom.

Minęło kilka minut. Francuz dźwignął się na kolana. W końcu zdołał nawet podciągnąć się na krześle i powstać. Stał zgarbiony, niemal wisząc na oparciu.

Na razie musisz zapomnieć o tym, co cię tu spotkało - powiedział sobie. Praca naukowa nauczyła go cierpliwości. A poza tym, jak przed wyjazdem powiedział mu pan Dominique, nawet nieszczęście czegoś człowieka uczy. A to nieszczęście wiele nauczyło go o nowym *Fuhrerze*.

Wreszcie schował chusteczkę i ruszył w kierunku drzwi, nie czekając na pomoc Ewalda.

Otworzył je, osłonił zranione oko przed ostrym blaskiem słońca i poszedł do czekającej na niego taksówki.

□ **czwartek, 11.05 - Hamburg, Niemcy**

Jazda autostradą z lotniska do centrum miasta trwała mniej więcej trzydzieści pięć minut.

jak zawsze podczas podróży służbowej Paul Hood żałował, że nie może zatrzymać samochodu i obejrzeć przynajmniej niektórych z budynków, pomników i muzeów, które mijali. Wręcz nieznośna była świadomość, iż z pędzącego sto czterdzieści kilometrów na godzinę samochodu może zaledwie rzucić okiem na kościoły, które już były stare, gdy Amerykę zamieszkiwali tylko Indianie, lecz gdyby nawet dysponował czasem wcale nie miał

pewności, czy poświęciłby go na zwiedzanie zabytków. Gdziekolwiek jechał, starał się wszystkie swe siły oddać sprawie, którą właśnie załatwiał. A to nie zostawiało wielu okazji na zabawę w turystę. Poświęcenie obowiązkom służbowym zyskało mu nawet przydomek

„Papieża Pawła Centrum”. Paul nie był tego całkiem pewien, podejrzewał jednak, że przydomek ten wymyślony został przez rzecznika prasowego Centrum, Ann Farris.

Czuł nieokreślony smutek patrząc na przemykające za oknami nowoczesne wieżowce.

Smutek wywołany zachowaniem Ann... i swoim również. Młoda rozwódka niemal nie ukrywała swych uczuć, a kiedy zostawali we dwoje w pracy, po godzinach, ich bliskość wydawała mu się wręcz niebezpieczna. Tkwiło w tym coś dziwnego, nieokreślonego lecz pociągającego; coś, czemu łatwo byłoby się poddać. Lecz... jaki mógł być tego koniec? Był

przecież żonaty, miał dwójkę małych dzieci i nigdy nie zgodziłby się z nimi rozstać. Racja, od jakiegoś czasu nie miał jakoś szczególnej ochoty na kochanie się z żoną i czasami, choć się za to nienawidził, musiał przed samym sobą przyznać, że chętnie w ogóle by z tego zrezygnował. Nie była już tą darzącą go bezgranicznym podziwem, opiekuńczą, energiczną Sharon Kent, którą poślubił. Była mamuszką, postacią z telewizji kablowej, mającą swe własne życie i współpracowników, których znał wyłącznie z bożonarodzeniowych przyjęć. Była starsza, zmęczona i nie pragnęła go już tak jak niegdyś.

Zaś ty sam, pomyślał, w każdym razie co najmniej w marzeniach, nadal jesteś Cydem z kopią nietkniętą przez czas, siedzącym na galopującym koniu.

Oczywiście, to tylko wyobrażenia. W rzeczywistości - przyznawał to z niechęcią -

fizycznie w niczym nie przypominał nieustraszonego rycerza... no, chyba że takim widziała go Ann. I może dlatego coś nieuchronnie go ku niej pociągało.

Lecz przecież wraz z Sharon wybudowali sobie pałac wspomnień i miłość, choć inną niż niegdyś, dawno temu. Gdyby musiał wrócić do domu, do rodziny, po krótkiej przygodzie w biurze, jakby się wówczas czuł? Właściwie sam nie wiedział, jakby się wówczas czuł. A przecież zastanawiał się nad

tym wystarczająco często, podczas długiej powrotnej drogi samochodem z Andrews, po tym, jak po całonocnej dyskusji uzgodnili wreszcie z Ann treść kolejnego oświadczenia dla prasy. Pewnie czułby się jak jakiś cholerny robal, pełzający po ziemi i w głębi niej szukający tego, co potrzebne mu jest do przeżycia.

Zresztą... gdyby nawet potrafił poradzić sobie z poczuciem winy, tego rodzaju związek nie byłby w porządku ze względu na nią. Ann była wspaniałą dziewczyną, miała serce anioła.

Prowadzić ją niczym na smyczy... dawać jakąś nadzieję tam, gdzie nie ma najmniejszej nadziei, związać swe życie w najintymniejszy możliwy sposób z życiem jej i jej synka... nie, byłoby to po prostu złe.

A jednak, mimo wszystko, bardzo jej pragniesz - powiedział sobie Paul Hood. Może dlatego oboje z Sharon postanowili pracować tak ciężko. Zamienili wzajemny fascynujący związek na coś, co nadal gotowi byli robić z całym entuzjazmem młodości, na coś, co każdego dnia wydawało się im nowe, świeże, jeszcze nie doświadczone.

Dobry Boże, dałbym wszystko za jedną noc tego, co było niegdyś między nami, pomyślał.

Hotel „Alster Hof” wybudowany został pomiędzy dwoma najpiękniejszymi jeziorami Hamburga. Paul, Stoll i Herbert nie podziwiali jednak widoków - mieli zaledwie tyle czasu, by umyć się i przebrać, i już musieli wychodzić. Herbert zdołał jednak wyrzeć przez okno, podczas gdy Stoll sprawdzał, czy w ich pokoju nie założono podsłuchu.

- Krajobraz mają tu całkiem przyjemny - zauważył, kiedy zjeżdżali windą do recepcji.

Machinalnie obracał półmetrowy kawałek kija od szczotki, ukryty pod lewym oparciem fotela, po prostu dla ochrony. Pod prawym trzymał nóż myśliwski. - Tyle żaglówek... bardzo przypomina mi to Chesapeake.

- To Binnenalster i Aussenalster - podpowiedział usłużny niemiecki windziarz. - Alster Wewnętrzny i Alster Zewnętrzny.

- Całkiem dorzeczne nazwy - przyznał Herbert, wkładając kij w uchwyt - choć ja pewnie nazwałbym je Alsterem Większym i Alsterem Mniejszym. To większe jezioro... pewnie ma z dziesięć razy tyle powierzchni co mniejsze?

- Trzysta pięćdziesiąt dziewięć akrów większe, a mniejsze czterdzieści pięć - podpowiedział usłużnie windziarz.

- Zmieściłem się w granicach błędu - stwierdził wesoło Herbert. I **nadal** uważam, że moje nazwy są lepsze. Łatwo jest odróżnić to, co małe od tego, co duże. Za to łatwo pomylić się, kiedy człowiek nie wie, **która** część miasta jest „wewnętrzna”, a która „zewnątrzna”.

- To może zechciałby pan umieścić list ze swymi uwagami w specjalnej skrytce, w recepcji. - Windziarz palcem wskazał im kierunek. - To tam, tuż obok skrzynki pocztowej.

Herbert przyjrzał mu się uważnie. Paul także się w niego upatrzył; nie potrafił

zdecydować, czy chłopak z nich kpi, czy po prostu pragnie być pomocny. Niemcy nie słyną z poczucia humoru, choć podobno nowe pokolenie nauczyło się sztuki kpiny z amerykańskich filmów i z telewizji.

- Może i tak zrobię - stwierdził Herbert, wyjeżdżając z windy. Zerknął na Stolla, ugiętego pod ciężarem plecaka. - Masz tłumacza. Jakby to brzmiało po niemiecku?

Stoll uderzył w klawisze elektronicznego urządzenia wielkości małego notesu.

- Zdaje się, że *Grossealster i Kleinealster* - poinformował przyjaciela. - Nie brzmi to szczególnie elegancko - zauważył Hood.

- A nie - zgodził się Herbert - ale wiesz co? Wydaje się o całe niebo lepsze od tego, co mamy w Filadelfii, w Missisipi. Jezioro Zdechłego Kota, Błotnisty Strumyk...

- A ja uważam, że się mylisz. Przynajmniej od razu ma się przed oczami właściwy obraz - zauważył Stoll.

- Słusznie. Choć nie jest to obraz, który chciałoby się widzieć na pocztówce. No i na obrotowym stojaczku w sklepie rzeczywiście mamy zdjęcia głównej ulicy, starej szkoły i nic więcej.

- To już wolałbym jezioro i strumyk - zakończył dyskusję Stoll. Szli zatłoczonym hotelowym holem. Hood rozglądał się w poszukiwaniu Martina Langa i wiceministra spraw zagranicznych Richarda Hausena. Tego ostatniego nie znał, ale z niecierpliwością oczekiwał

kolejnego spotkania z wielkim przedsiębiorcą w dziedzinie elektroniki, Langiem. Rozmawiali ze sobą przez dłuższy czas w Los Angeles, z okazji kolacji wydanej dla uczestników międzynarodowych targów komputerowych. Szczerość i inteligencja Niemca bardzo mu wtedy zaimponowały. Od razu zdał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z humanistą rozumiejącym, że nie ma firmy bez zadowolonych pracowników. Płynność kadr była u niego praktycznie zerowa. Problemy rozwiązywali dyrektorzy wyższego szczebla, zwykli pracownicy nawet się o nich nie dowiadywali.

Kiedy nadszedł czas na praktyczne zastosowanie pomysłu Mike'a Rodgersa i Matta Stolla, pomysłu stworzenia Centrum Regionalnego, czyli CR, do wyposażenia go w komputery Lang nadawał się najlepiej i on pierwszy przyszedł im na myśl. Jego firma opatentowała opartą na fotonach technikę Lichtturm, „Latarnia Morska” - elastyczną, nowoczesną... i kosztowną. Jak to zwykle w sprawach z udziałem rządu, samo stworzenie CR

wymagać miało delikatności i niemal akrobatycznej zręczności, z czego Hood doskonale zdawał

sobie sprawę. Przeprowadzenie przez Kongres półmiliardowego budżetu miało być trudne, a - gdyby wyposażenie kupiono za granicą - mogło w ogóle okazać się niemożliwe.

Jednocześnie

Centrum miałoby kłopoty z wprowadzeniem CR za granicę, gdyby nie zawierało ono sprzętu produkcji miejscowej.

W końcu, rozmyślał Hood, da się to sprowadzić do dwóch spraw. Jedną to fakt, że Niemcy będą wkrótce przewodzić Wspólnocie Europejskiej. Zdolność mniej więcej dowolnego przemieszczania ruchomego centrum szpiegowskiego do i z Niemiec, umożliwi Stanom Zjednoczonym obserwację tego, co dzieje się w całej Europie. Kongresowi bardzo się to spodoba. Po drugie, firma Langa, Hauptschlüssel, czyli „Klucz Uniwersalny” będzie musiała zgodzić się na zakup sporej części materiałów, potrzebnych w tym lub owym celu, od firm amerykańskich. Większość wydanych na CR pieniędzy tak czy inaczej pozostanie więc w Stanach.

Paul był przekonany, że uda mu się sprzedać to rozwiązanie Langowi. Wraz z Mattem miał zamiar pokazać mu nowe techniki, na które Niemcy z pewnością nabiorą apetytu; coś, na co niewielki dział badawczy Centrum wpadł przy okazji szukania sposobów na sprawdzenie prawidłowości funkcjonowania obwodów elektronicznych o wysokiej szybkości. Lang to z całą pewnością człowiek honorowy, lecz jest także biznesmenem i patriotą. Znając na wylot sprzęt CR i jego możliwości, może próbować przekonać własny rząd do zgody na znalezienie sposobów jego zneutralizowania. On sam pójdzie zaś do Kongresu po pieniądze na zneutralizowanie tego zagrożenia i te pieniądze wyda już w firmach amerykańskich.

Uśmiechnął się. Choć Sharon, nienawidząca negocjacji, nie potrafiła tego zrozumieć, podobnie jak nie będący dyplomatą Mike Rodgers, jego samego naprawdę to bawiło.

Przeprowadzanie własnych pomysłów na arenie międzynarodowej przypominało skomplikowaną partię szachów. Choć żaden gracz nie wychodził z niej bez strat, fajnie było walczyć o to, by zachować na planszy jak najwięcej pionków.

Zatrzymali się obok automatów telefonicznych, z dala od tłumu gości. Hood przyjrzał się barokowemu wystrojowi wnętrza, spojrzął na dziwną mieszankę eleganckich biznesmenów i niedbale ubranych turystów. Stojąc w tym względnie spokojnym miejscu mógł obserwować ludzi skupionych na własnych sprawach, własnych problemach, idących własną drogą ku...

Przy drzwiach wejściowych błysnęły jasne włosy. Zwrócił na nie uwagę nie dlatego, że lubił blondynki, lecz raczej ze względu na charakterystyczny ruch. Wychodząc z hotelu, kobieta przechyliła głowę lekko w prawo i pewnym, szybkim ruchem przerzuciła długie włosy z ramienia na ramię.

Hood stał, zdumiony. Jak ptak podrywający się do lotu, pomyślał. Patrzył, niezdolny wykonać najdrobniejszego ruchu. Widział, jak kobieta wychodzi na dwór i za drzwiami skręca w prawo. Przez chwilę zapomniał nawet mrugać. Irytujący hałas hotelowego holu w jednej sekundzie zmienił się w niemal niesłyszalny szum.

- Szefie, widzi pan ich? - spytał Stoll.

Hood nie odpowiedział. Zmusił się do ruszenia z miejsca; pobiegł w kierunku drzwi, omijając kręcących się wokół ludzi i leżące na podłodze sterty bagażu; odpychając łokciami tych, którzy, pogrążeni w rozmowie, przypadkowo stali mu na drodze.

Złota dama, pomyślał.

Wypadł na dwór. Skręcił w prawo.

- Taksówkę? - spytał go uprzejmie odźwierny w liberii.

Nie usłyszał jego pytania. Widział samochód, jadący podjazdem w stronę szosy. Jaskrawe słońce odbijało się od jego szyb. Nie dostrzegł pasażera. Spojrzał na odźwiernego.

- Czy do tej taksówki wsiadła kobieta? - spytał. - Ja.

- Czy pan ją zna? - spytał podniesionym głosem i nagle zdał sobie sprawę, że mógł nawet przestraszyć chłopaka. Wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. - Przepraszam -

powiedział. - Nie chciałem tak na pana krzyżeć. Chodzi o to, że... że ja chyba znam tę kobietę. Czy jest waszym gościem?

- *Nein*. Przyniosła paczkę.

- Do recepcji? - Hood gestem wskazał wejście.

- Nie, nie do recepcji. Oddała ją komuś w środku.

Obok nich zmaterializowała się nagle starsza Angielka, koniecznie potrzebująca taksówki.

- Pan wybaczy - przeprosił go odźwierny. Podeszedł do krawężnika, dmąc w gwizdek.

Paul stał z opuszczoną głową, podekscytowany. Nagle znalazł się przy nim Stoll, a za nim przed hotel wyjechał Herbert.

- Cześć - powiedział spokojnie Matt.

Paul stał przy krawężniku, próbując jakoś się uspokoić.

- Wystartowałeś, jakby pies uciekł ci na autostradę - zauważył Stoll. - Dobrze się czujesz?

Hood tylko skinął głową.

- Ach, od razu nas przekonałeś - zażartował Herbert.

- Wszystko w porządku. Tylko... zresztą nic. To długa historia.

- Jak „Diuna” Uwielbiam takie historie. Chciałbyś porozmawiać? Ktoś znajomy?

- Tak - przyznał po dłuższej chwili Hood. - Kto? - zainteresował się Herbert.

- Złota dama - odparł cicho Hood. Stoll gwizdnął cicho.

- Aha! Przepraszam, że spytałem. - Zerknął na Herberta, który tylko wzruszył ramionami, samym spojrzeniem dając do zrozumienia, że nic nie pojmuje.

Odźwierny wrócił tymczasem na swój posterunek.

- Może widział pan, komu oddała tę paczkę? - spytał go cicho Paul. Chłopak z żalem potrząsnął głową.

- Przepraszam, ale nie - powiedział. - Wzywałem taksówkę dla pana Tsubaraya i nie zauważyłem.

- Nic nie szkodzi. Rozumiem. - Hood wyciągnął z kieszeni dziesięciodolarowy banknot. -

Jeśli jeszcze kiedyś się tu zjawi, czy spróbuje pan dowiedzieć się, kim jest? Proszę jej powiedzieć, że Paul... - zawahał się. - Nie. Niech jej pan nie mówi, kto się o nią pytał. Proszę tylko spróbować czegoś się o niej dowiedzieć.

- *Jawohl!* - stwierdził radośnie odźwierny i podszedł do krawężnika, by odtworzyć drzwi nadjeżdżającej taksówki.

Stoll szturchnął szefa łokciem.

- Hej, za dychę nawet ja postąpiłbym tu na bramce. I bardzo bym uważał.

Paul zignorował jego uwagę. Co to za szaleństwo? Nie potrafił określić, czy przeżywa piękny sen, czy koszmar.

Stali tak w milczeniu, kiedy do krawężnika podjechała długa, czarna limuzyna.

Odźwierny pokłusował w jej kierunku. Z otwartych przez niego drzwiczek wyłonił się tęgi, siwy mężczyzna. On i Paul dostrzegli się w tej samej chwili.

- *Herr Hood!* - Martin Lang podniósł dłoń w geście powitania, uśmiechając się szczerym, serdecznym uśmiechem. Ruszył przed siebie drobnym, energicznym krokiem, wyciągając rękę. - Jak to miło znów pana zobaczyć. Wygląda pan doskonale, po prostu doskonale.

- Waszyngton służy mi bardziej niż Los Angeles - odparł Paul. Choć patrzył na Langa, przed oczami miał nadal obraz kobiety, ruch głowy, jasne, odrzucone włosy...

Przestań! - skarcił się w myśli. Masz tu robotę do zrobienia. I masz własne życie!

- Tak naprawdę - mruknął Stoll - Paul dobrze się prezentuje, bo przespał się w samolocie.

Mnie i Boba będzie musiał poszturchiwać, żebyśmy nie zasnęli podczas rozmów.

- Bardzo w to wątpię - stwierdził Lang. - W odróżnieniu ode mnie, panowie jesteście młodzi. Pełni sił.

Podczas, gdy Paul przedstawiał mu swych towarzyszy, z limuzyny wysiadł jasnowłosy, wyglądający bardzo godnie mężczyzna, mający niewiele ponad czterdzieści lat. Podszedł do nich powoli.

- *Herr Hood* - powiedział Lang - zechce pan poznać Richarda Hausena.

- Witajcie w Hamburgu. - Głos Hausena był głęboki, dźwięczny, angielszczyzna zaś wręcz doskonała. Uścisnął dłoń każdemu z nich z osobna, kłaniając się przy tym lekko. Paula zaskoczyło, że przybył sam; amerykańscy urzędnicy tej rangi nie ruszali się nigdzie bez co najmniej dwóch asystentów na posługi.

Stoll odniósł zupełnie inne wrażenie. - Przypomina mi Drakulę - szepnął.

Paul Hood ignorował na ogół częste choć dyskretne komentarze swego oficera wsparcia operacyjnego, musiał jednak przyznać, że ten jest wyjątkowo celny. Hausen miał na sobie czarny garnitur, jego twarz zaś była blada, napięta. Zachowywał się też z uderzającą, staroświecką uprzejmością. Biorąc jednak pod uwagę to, co udało mu się przeczytać przed wyjazdem, Hood nabrał przekonania, że właściwsze byłoby raczej porównanie do kata Drakuli, doktora Van Helsinga. Jednak, zamiast tropić wampiry, Richard Hausen zwalczał

neonazistów. Psycholog Centrum, Liz Gordon, użyła zasobów gophera* Organizacji Narodów Zjednoczonych w Internecie dla sporządzenia jego profilu psychologicznego.

Napisała w nim, że „z nienawiścią kapitana Ahaba tropi prawicowych radykałów.

Stwierdziła też, że ten człowiek traktuje ich nie tylko jako zagrożenie statusu jego kraju na arenie międzynarodowej, lecz także „atakuję ich z zapałem, sugerującym niechęć natury osobistej, wywodzącą się być może z przeszłości. Jej źródłem mogą być prześladowania w okresie dzieciństwa, co zdarza się wielu dzieciom z rodzin farmerskich, wysyłanych do szkoły w wielkim mieście”. W przypisie Martha Mackall dodała ostrzeżenie - według niej Hausen może szukać bliższych związków z USA po to tylko, by podrażnić nacjonalistów i ściągnąć ich ataki na siebie. „Uczyniłoby to z niego męczennika” - napisała - „a uzyskanie opinii męczennika jest dla polityka dużą pokusą”.

Hood zapamiętał tę uwagę pod hasłem PRAWDOPODOBNE. Na razie obecność Hausena uznał po prostu za dowód, że niemiecki przemysł elektroniczny chętnie robiłby interesy z rządem Stanów Zjednoczonych.

Lang poprowadził ich do limuzyny. Obiecał im „najlepszy autentycznie niemiecki obiad w

Niemczech z rewelacyjnym widokiem na łabę". Hooda nie obchodziło, co zje i gdzie.

Pragnął tylko jak najszybciej zabrać się do pracy, pogрузić w negocjacje, odzyskać wreszcie jakieś poczucie perspektywy.

System menu w Intemecie ułatwiający nawigowanie po sieci, wymyślony na Uniwersytecie Minnesota, którego maskotką jest świstak (ang. gopher [przyp. red.]).

Tak się jednak złożyło, że obiad smakował mu wyśmienicie choć, kiedy sprzątano po deserze, Stoll pochylił i wyznał szeptem, że zupa z węgorka i czarne jagody ze śmietaną i cukrem nie zaspakajają apetytu tak, jak dobre tłuste taco i koktajl mleczno-truskawkowy.

Jak na niemieckie obyczaje jedli wcześnie i restauracja była niemal pusta. Rozmawiali prawie wyłącznie o polityce, a rozmowa zaczęła się od uwagi o pięćdziesięcioleciu Planu Marshalla. Paul, od dwudziestu lat spotykający się służbowo z międzynarodową śmietanką przemysłowców, inwestorów i polityków wiedział, że Niemcy wdzięczni są Amerykanom za program ekonomiczny, który podniósł ich kraj z powojennej ruiny. Wiedział także, że ci sami Niemcy poczuwają się do odpowiedzialności za działania III Rzeszy i przy każdej okazji demonstrują głęboką skruchę. Zauważył też, że w ciągu kilku ostatnich lat pojawiła się wśród nich także duma z tego, jak w pełni i bez zastrzeżeń przyjęli na siebie konsekwencje tego, co w czasie II wojny światowej uczynił ich kraj. Richard Hausen osobiście uczestniczył we wprowadzeniu programu odszkodowań dla więźniów obozów koncentracyjnych.

Martin Lang był nie tylko dumny, lecz także rozgoryczony.

- Rząd japoński w ogóle nie użył słowa „przepraszamy” aż do obchodów pięćdziesiątej rocznicy zakończenia wojny - powiedział, nim jeszcze podano przystawki. - Francuzi jeszcze dłużej czekali z przyznaniem się, iż ich kraj współuczestniczył w deportacjach siedemdziesięciu pięciu tysięcy Żydów. To, co zrobili Niemcy, było wręcz niewyobrażalna ohydą, ale przynajmniej usiłujemy jakoś pojąć, co się zdarzyło.

Lang zauważył także, że efektem ubocznym niemieckiej skruchy są napięte stosunki tego kraju z Francją i Japonią.

- Jest tak, jakbyśmy, przyznając się do zbrodni, złamali bandycką regułę milczenia.

Uważają nas teraz za tchórzki, za naród niezdolny do wierności własnym przekonaniom.

- I właśnie dlatego Japończyków trzeba było bombą atomową skłonić do uznania klęski - mruknął Herbert.

Inną znaczącą zmianą, którą Hood zaobserwował w ciągu ostatnich kilku lat, była rosnąca niechęć w

stosunku do byłych Niemiec Wschodnich. Okazała się kolejnym *Zahnschmerzen* Hausena, który on sam określał uprzejmie jako „uprzedzenie”.

- To inny kraj - mówił. - Zupełnie jakby Stany Zjednoczone chciały zjednoczyć się z Meksykiem. Wschodni Niemcy to nasi bracia, ale bracia ci przyjęli sowiecką kulturę i sowiecki sposób życia. Są leniwi i uważają, że winniśmy im odszkodowanie, bo porzuciliśmy ich po wojnie. Wyciągają ręce nie po narzędzia, nie po wykształcenie, ale po pieniądze. A kiedy ich młodzież nie dostaje pieniędzy, staje się gwałtowna, organizuje się w gangi.

Wschód wciąga nasz kraj w finansową i duchową przepaść, z której wydobywać się będziemy przez dziesięciolecia.

Hood zdumiony był tak otwarcie wyrażoną niechęcią wysokiej rangi polityka. Jeszcze bardziej zdumiało go jednak, że dyskretny i pod każdym względem doskonały, nie odstępujący ich na krok, kelner ośmielił się chrząknięciem wyrazić aprobatę dla tej opinii.

Hausen wskazał go palcem.

- Jedna piąta z każdej zarobionej przez niego marki wędruje na wschód - wyjaśnił.

Podczas posiłku nie dyskutowali. Na to czas nadejść miał później, w hamburskim biurze Hausena. Niemcy wyznawali zasadę, że partnera najpierw trzeba poznać, nim spróbuje się go wykorzystać.

Pod koniec posiłku zaćwierkał telefon komórkowy. Hausen przeprosił towarzystwo i obrócił się plecami do obecnych. Mówił niewiele, ale kiedy znów spojrzął na obecnych, jego błyszczące oczy wydawały się zaćmione, a wąskie usta wykrzywiał grymas.

- Dzwonił mój asystent - wyjaśnił, odkładając telefon na stół. Spojrzął na Langa, a potem na Hooda. - Terrorysty zaatakowali ekipę filmową niedaleko Hanoweru. Cztery osoby nie żyją, a młoda Amerykanka zaginęła. Mamy podstawy podejrzewać, że została porwana.

Lang zbladł.

- Ekipa filmowa? - powtórzył. - Czyżby chodziło o „Tirpitz”? Hausen skinął głową. Był wyraźnie poruszony.

- Czy wiadomo, kto to zrobił? - spytał Herbert.

- Nikt się nie przyznał - odparł Hausen - ale wiadomo, że strzelała kobieta.

- Doring - stwierdził Lang. Spojrzął na Hausena, a potem na Herberta. - To mogła być tylko Karin Doring, przywódczyni Feuer. Jej grupa jest najagresywniejsza ze wszystkich niemieckich grup neonazystowskich. Jest dokładnie tak, jak mówił Richard - wyjaśnił

smutnym, spokojnym głosem. - Rekrutuje dzikusów ze wschodu i sama ich szkoli.

- Plan zdjęciowy nie był zabezpieczony? - zdziwił się Herbert. - Jedną z ofiar jest strażnik

- wyjaśnił Hausen.

- Ale po co atakować ekipę filmową? - spytał Hood.

- Film jest koprodukcją amerykańsko-niemiecką - odparł Hausen. Dla Doring samo to jest wystarczającym powodem. Chce wyrzucić z Niemiec wszystkich cudzoziemców. Terrorysty ukradli jednak także ciężarówkę pełną nazistowskich pamiątek: medali, mundurów, broni i tak dalej. - Sentymentalne sukinsyny - zakpił Herbert.

- Może? - przyznał Hausen. - A może pamiątki potrzebne im są z innych powodów.

Widzicie, panowie, w naszym kraju od wielu lat ma miejsce pewne obrzydliwe wydarzenie, nazywane Dniami Naporu.

- Coś o tym słyszałem - przyznał Herbert.

- Podejrzewam, że nie z gazet. Nasi dziennikarze nie chcą reklamować tego wydarzenia.

- Czy nie czyni ich to współnikami w czymś w rodzaju nazistowskiej cenzury? -

zastanowił się Stoll.

- Nie, do diabła - odparł Herbert. Twarz wykrzywił mu grymas. Wcale ich za to nie winię.

Przyjaciele z Interpolu opowiadali mi o tych Dniach Naporu. Coś doprawdy wstrętnego.

- Dokładnie - przytaknął Hausen. Spojrzał na Stolla, a potem na Hooda. - Przesycone nienawiścią gangi z Niemiec i nawet innych europejskich krajów przyjeżdżają do Hanoweru, znajdującego się jakieś sto kilometrów na południe stąd. Spotykają się, wymieniają choremi ideami, literaturą. Niektóre z nich, na przykład grupa Doring, zwykły w tym czasie dokonywać zarówno symbolicznych, jak i strategicznie ukierunkowanych ataków.

- W każdym razie nasze informacje zdają się wskazywać na Doring uzupełnił Lang. - Jest błyskotliwa i bardzo, bardzo dokładna w planowaniu. - A rząd nie atakuje podczas Dni Naporu, bojąc się stworzyć męczenników - zakończył Herbert.

- Rzeczywiście, wiele osobistości rządowych lęka się właśnie tego przyznał Hausen. -

Lęka się powiększania podziwu, jaki ma wielu skądinąd trzeźwo myślących Niemców dla tego, co dokonał nasz naród ożywiony i zmobilizowany pod rządami Hitlera. Ludzie ci uważają, że można prawnie wyrugować radykalizm bez karania samych radykałów. Rząd woli czasami postępować

ostrożnie, co szczególnie widać w trakcie Dni Naporu, gdy ma się do czynienia ze tego rodzaju zagęszczeniem wrogich sobie elementów. - A jakie jest pańskie zdanie? - spytał Hood.

- Uważam, że powinniśmy robić jedno i drugie. Niszczyć tych ludzi tam, gdzie ich widzimy, użyć prawa by wykurzyć tych, którzy kryją się w cieniu.

- I uważa pan, że ta Karin Doring - czy z kimkolwiek mamy tu do czynienia - potrzebuje pamiętek na Dni Naporu? - zwrócił się do polityka Herbert.

- Ci, którzy je otrzymają, zostaną związani bezpośrednio z Rzeszą. Hausen sprawiał takie wrażenie, jakby myślał głośno. - Proszę sobie wyobrazić, jaką da im to motywację.

- Motywację do czego? Kolejnych ataków?

- Tak. Ale być może nie chodzi o nic więcej niż kolejny rok lojalnej służby.

Siedemdziesiąt do osiemdziesięciu grup werbuje członków. W tej sytuacji lojalność nabiera dodatkowego znaczenia.

- Może to także podnieść serca tych, którzy całą sprawę znają wyłącznie z gazet - wtrącił

Lang. - Ludzi, którzy, jak wspomniał Richard, nadal podziwiają Hitlera.

- A co wiadomo o tej Amerykance? - zmienił temat Herbert.

- Była praktykantką - wyjaśnił Hausen. - Po raz ostatni widziano ją w ciężarówce. Policja sądzi, że mogła zostać porwana wraz z nią. Herbert zerknął na Hooda, Paul myślał przez chwilę, a potem skinął głową.

- Przepraszam na chwilę - powiedział głośno Herbert. Odjeżdżając od stołu, poklepał

wbudowany w poręcz wózka telefon. - Znajdę sobie jakiś cichy, spokojny kącik i wykonam parę telefonów. Być może zdołamy dodać coś do posiadanych przez was informacji.

Lang wstał, podziękował im i przeprosił za kłopot. Herbert zapewnił go, że nie ma powodu do przeprosin.

- Straciłem żonę i nogi w ataku terrorystycznym w Bejrucie - wyjaśnił. - Mam ochotę zapolować na każdego z tych łotrów, który choćby pokaże gębę. - Spojrzał na Hausena. - Te łobuzy to mój wrzód na... na ręce, *Herr* Hausen, a wrzód należy przeciąć.

Zakręcił i pojechał między stolikami. Hausen usiadł, wyraźnie próbując się uspokoić.

Hood przyglądał mu się uważnie. Liz miała rację, coś tu było nie tak.

- Prowadzimy tę walkę od przeszło pięćdziesięciu lat - powiedział poważnie polityk. -

Można się zaszczepić przeciwko chorobie, można znaleźć schronienie przed burzą, lecz jak bronić się przeciwko czemuś takiemu? Jak walczyć z nienawiścią? A nienawiść rośnie. Z

roku na rok mamy więcej grup, a każda z nich ma więcej członków. Niech nas Bóg chroni, jeśli się kiedykolwiek zjednoczą.

- Mój zastępca w Centrum jest zdania, że z ideą walczy się lepszą ideą - stwierdził Paul. -

Chciałbym wierzyć, że ma rację. jeśli nie... wskazał kciukiem Herberta, kierującego się na taras od strony rzeki ...zgadzam się z moim szefem wywiadu. Upolujemy ich.

- Są doskonale zamaskowani - powiedział Hausen - świetnie uzbrojeni i niemal nie sposób ich zinfiltrować, ponieważ przyjmują wyłącznie bardzo młodych nowych członków.

Rzadko kiedy wiemy z góry, co planują.

- To chwilowe - pocieszył go Matt Stoll. Lang przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Co pan ma na myśli, *Herr* Stoll? - zainteresował się.

- Widzieliście panowie ten plecak, który zostawiłem w samochodzie? Obaj Niemcy jednocześnie skinęli głowami. Stoll uśmiechnął się.

- No więc jeśli dogadamy się w sprawie CR, wykurzymy myszki z naszej spiżarni!

□ Czwartek, 11.42 - Wunstorf, Niemcy

Kiedy Jodie Thompson usłyszała rozlegające się na zewnątrz krzyki, pomyślała najpierw, że Hollis Arlenna woła właśnie ją. Praktycznie zamknięta w łazience, jeszcze szybciej przebierała w ubraniach, przeklinając rekwizytorów, którzy opisali je po niemiecku i Arlenę za to, że jest takim sukinsynem.

Nagle usłyszała strzały. Wiedziała, że nie należą one do sceny, którą miano właśnie kręcić. Wśród rekwizytów była cała filmowa broń, a jedyny klucz do szafki miał pan Buba.

Strzałom zawtórowały okrzyki bólu i strachu, i wtedy już zorientowała się, że to coś strasznego. Dała sobie spokój z torbami. Przyłożyła ucho do drzwi.

Ryknął silnik ciężarówki. Była pewna, że to ktoś z ekipy próbuje uciec od tego czegoś, co zdarzyło się na planie. Potem trzasnęły drzwi i usłyszała kroki. Jakiś człowiek kręcił się po przyczepie w milczeniu, co Wzięta za zły znak. Gdyby był strażnikiem, rozmawiałby przez krótkofalówkę.

Nagle łazienka wydała się jej bardzo duszna i bardzo mała. Dostrzegła, że pozostawiła drzwi otwarte. Podeszła do nich chwiejnie i zamknęła je na zamek. Potem przykucnęła wśród wypełnionych kostiumami plastikowych toreb, trzymając się nich mocno, bo ciężarówką huśtało. Miała zamiar kryć się, póki ktoś po nią nie przyjdzie.

Bardzo uważnie słuchała tego, co dzieje się dookoła. Nie nosiła zegarka i upływ czasu ocenić mogła tylko według dźwięków. Teraz intruz bawi się sztyletami, leżącymi na stole po lewej. Teraz podchodzi do gabloty z medalami. Teraz stukają otwierane i zamykane szuflady.

Nagle, przez szum wentylatora na suficie, usłyszała potrząsanie drzwiami po drugiej stronie przyczepy. W chwilę później rozległy się cztery głośne trzaski. Złapała jedną z toreb tak kurczowo, że aż przebiła ją paznokciami. Co do diabła tam się działo?! Cofnęła się pod ścianę. Serce podeszło jej do gardła.

Ciężarówka skręciła ostro; drzwi schowka otworzyły się z trzaskiem. Tajemniczy ktoś mijał stół, ale szedł nie tak niezdarnie i ostrożnie jak ona, lecz szybko, zdecydowanie. Szedł w stronę drzwi do łazienki. Nagle pomysł schronienia się tu nie wydawał się już Jodie aż tak doskonały.

Rozejrzała się dookoła. Łazienka miała okno z nieprzezroczystego szkła. Niestety, zakratowane. Nikt nie mógł dostać się przez nie do środka czy też, jak w jej przypadku, wyjść na zewnątrz.

Intruz nacisnął klamkę. Jodie skuliła się, ukryta za kołyszącymi się łagodnie torbami, a potem cofnęła się aż pod toaletę. Za plecami miała maleńką kabinę prysznicu. Wcisnęła się w jej szklane drzwi. W uszach czuła uderzenia serca.

Seria strzałów zagłuszyła bicie serca. Jodie krzyknęła głosem stłumionym przez ściskany w zębach

kciuk. Z drzwi wprost na torby odprysły drzazgi drewna i kawałki plastiku.

Zaskrzypiały i dziewczyna dostrzegła najpierw lufę, rozgarniającą torby z ubraniami, a potem wpatrzoną w siebie twarz. Kobięcą twarz. Spojrzała najpierw na to coś, co przypominało lufę pistoletu maszynowego, a potem w zimne, złote oczy. Nadal przygryzała kciuk. Lufa broni uniosła się. Jakby ponaglona tym gestem, Jodie wstała. Opuściła ramiona. Pot ciekł jej po udach.

Usłyszała kilka wypowiedzianych po niemiecku słów. - Nie... nie rozumiem -

powiedziała.

- Mówię: podnieś ręce i obróć się. - Angielszczyzna kobiety daleka była od doskonałości.

Jodie posłusznie uniosła dłonie... i zawahała się. Na wykładach powiedziano jej kiedyś, że zakładnikom często strzela się w tył głowy.

- Proszę, nie... - przemówiła. - Jestem tylko praktykantką. Przydzielono mnie do tego filmu zaledwie kilka tygodni temu i...

- Obróć się! - warknęła kobieta.

- Proszę, nie... - szepnęła Jodie, mimo wszystko wykonując jej polecenie. Stała twarzą do zakratowanego okna. Usłyszała szelest przesuwanych ubrań. Na karku poczuła dotyk lufy.

- Proszę... ! - chlipnęła.

Drgnęła, kiedy kobieta przesunęła dłonią po lewej stronie jej ciała, od ud po pierś, a potem po prawej. Obmacała ją także za paskiem, po czym obróciła. Lufa pistoletu mierzyła wprost w usta dziewczyny.

- Nie wiem... przecież nawet nie wiem, o co tu chodzi. - Jodie płakała, łzy ciekły jej po policzkach. - Nic nikomu nie powiem...

- Cisza!

Jodie zdawała sobie sprawę z tego, że zrobi wszystko, co rozkaże jej ta kobieta.

Przerażające było stwierdzenie, że broń w ręce kogoś, kto jest zdecydowany jej użyć, całkowicie pozbawia człowieka wolnej woli.

Otworzyły się drzwi przyczepy i do środka wszedł młody mężczyzna. Stał za Karin.

Zajrzał do łazienki. Twarz miał bladą, we włosach wystrzyżony znak swastyki. Nie odrywając oczu od zakładniczki, Karin odwróciła się w jego kierunku.

- Zaczynaj - zakomenderowała.

Chłopak strzelił obcasami i zabrał się za przeglądanie zawartości przyczepy.

Karin nadal wpatrywała się w Amerykankę.

- Nie lubię zabijać kobiet - powiedziała w końcu. - Ale nie mogę też wziąć zakładniczki.

Stracę swobodę ruchów.

A więc tak. Usłyszała właśnie wyrok śmierci. Stała niczym sparaliżowana. Szlochała.

Nagle przypomniała sobie, jak była w pierwszej klasie, nauczyciel na nią krzyknął i zmoczyła majtki, jak płakała wtedy i nie umiała przestać i jak śmiały się z niej inne dzieci. Nie został jej już nawet najmniejszy strzęp pewności siebie, poczucia własnej wartości i godności.

Była w stanie zrobić tylko jedno. Upadła na podłogę. Klęczała, obrócona plecami do kabinki prysznicza, kącikiem zapłakanych oczu patrzyła na toaletę i umywalkę, błagała o życie.

I - zamiast ją zastrzelić - terrorystka wezwała jeszcze jednego mężczyznę, tym razem starszego. Rozkazała mu, by zabrał kostiumy. Potem zamknęła łazienkę. Zaskoczona Jodie czekała, co będzie dalej, w każdej chwili oczekując rozdzierającej drzwi serii. Stała na sedesie, odwrócona bokiem, by stanowić jak najmniejszy cel. Nie doczekała się jednak strzałów, usłyszała tylko szuranie i stuk czegoś ciężkiego. Czegoś, co zostało oparte o drzwi.

Nie zastrzelą mnie, pomyślała. Zostałam tylko uwięziona!

Czekała, stojąc na sedesie w całkiem przepoconym ubraniu. Przyłożyła ucho do ściany; pragnęła usłyszeć wszystko, co się będzie działo. Najpierw rozległ się zgrzyt metalu, jakby coś przekręcano z wysiłkiem, potem stuki, potem dźwięk metalu przebijanego raz, drugi i trzeci. Ktoś rozdarł jakiś materiał i w powietrzu uniósł się zapach benzyny.

Paliwo, pomyślała w strasznym przerażeniu. Otworzyli zbiornik z paliwem.

- Nie! - krzyknęła, zeskakując z toalety. Całym ciałem rzuciła się na drzwi. - Przecież mówiłaś, że nie lubisz zabijać kobiet! Proszę!

W chwilę później poczuła dym, usłyszała tupot nóg ludzi wybiegających z przyczepy, a na matowym szkle szyby dostrzegła odbicie pomarańczowych płomieni. Ci ludzie mieli zamiar spalić przyczepę wraz z nią! Nagle zdała sobie sprawę z tego, że ta kobieta w rzeczywistości wcale jej nie zabija, po prostu pozwala jej umrzeć.

Jeszcze raz rzuciła się na drzwi. Ani drgnęły. Stała w maleńkiej łazience, - rozjaśnionej blaskiem płomieni i zaczęła krzyczeć ze strachu i rozpacz.

□ **Czwartek, 05.47 - Waszyngton, Dystrykt Columbia**

Liz Gordon skończyła mieć kawę i właśnie zapalała pierwszego tego dnia papierosa, kiedy zadzwonił telefon.

- Ciekawe, kto to może być? - spytała samą siebie trzydziestodwuletnia kobieta, mocno zaciągając się papierosem. Popiół spadł na nocną koszulę; strzepnęła go machinalnie. Stała, drapiąc się po gęstych kasztanowatych, kręconych włosach, zastanawiając się, gdzie wetknęła słuchawkę telefonu bezprzewodowego.

- Gdzie się do cholery podział ten telefon? - syknęła Liz, kopiąc górę gazet wzniesioną przy kuchennym stole.

Nie, nie obawiała się, że ten, kto do niej dzwoni, znudzi się i odłoży słuchawkę. O tej godzinie mogła być to przecież wyłącznie Monica, dzwoniąca z Włoch. Współlokatorka i najlepsza przyjaciółka za żadne skarby świata nie zrezygnowałaby z przyjemności zamienienia z nią paru słów. W końcu przecież nie widziały się przez niemal cały dzień!

A jeśli telefonuje Sinatra, pomyślała Liz, dyżurny psycholog Centrum, lepiej dowiedzieć się o tym od razu i zaraz oddzwonić.

Przez trzy lata wspólnego mieszkania, Monica - muzyk-pracoholik obsłużyła chyba wszystkie nocne kluby, śluby i Bar Micwy w okolicy. W rzeczywistości pracowała tak ciężko, że Liz nie tylko nakazała jej wakacje, ale jeszcze w połowie je opłaciła, po prostu by mieć pewność, że dojdą do skutku.

Na jednym z kuchennych krzeseł znalazła wreszcie telefon. Nim go jednak włączyła, skupiła się na moment, by „zmienić świat”. Do tego stopnia utożsamiała się z pacjentami, że dla każdego z nich kreowała w myśli odrębny świat, świat umożliwiający jej jak najpełniejsze ich leczenie. W innym przypadku nieuchronnie natykałaby się na przeszkody, nie umiała skupić uwagi, zajmowała rzeczami najzupełniej zbędnymi. Choć Monica była przyjaciółką, nie pacjentką, rozróżnienie tych dwóch kategorii przychodziło jej czasami z największą trudnością.

Wślizgując się w jej świat, Liz sprawdziła jeszcze notatki przyklejone do drzwi lodówki popiersiem Chopina na magnesie. Były tylko dwa telefony: od jej perkusisty, Angelo „Tima”

Panniego i matki; oboje dzwonili wyłącznie po to, by dowiedzieć się, czy bez problemu dotarła do Rzymu.

- *Pronto*, pani Sheard - powiedziała wreszcie do słuchawki. Telefoniczne „słucham”

należało do dwóch znanych jej włoskich słów.

- Przykro mi Liz, ale to nie Monica - odparł zdecydowanie męski głos. - Mówi Bob Herbert.

- Bob? Co za niespodzianka! Co słyszeć w ojczyźnie Freuda? - Zawsze myślałem, że Freud był Austriakiem.

- Był, ale Niemcy mieli go dla siebie przez rok. Anszlus miał miejsce w 1938. Freud zmarł w 1939.

- W tej chwili wcale nie wydaje mi się to zabawne. Wygląda na to, że *Vaterland* pręży mięśnie i szykuje się do budowy nowej tysiącletniej Rzeszy. Liz sięgnęła po papierosa.

- Co się stało? - spytała.

- Nie widziałaś dzisiejszych wiadomości?

- Pierwsze wiadomości będą o szóstej. Bob, co się do diabła stało?

- Banda neonazistów zaatakowała ekipę filmową - wyjaśnił Herbert. - Zabili kilka osób, ukradli przyczepę z pamiątkami z czasów hitlerowskiej Rzeszy i odjechali. Nie nawiązali żadnego kontaktu, ale wygląda na to, że wzięli zakładniczkę, Amerykankę.

- Jezu! - Psycholog zaciągnęła się kilka razy.

- Ich dowódcą była chyba kobieta. Karin Doring. Słyszałaś coś o niej? - Nazwisko brzmi znajomo. - Liz ruszyła w kierunku gabinetu. Zaczekał sekundkę, sprawdziła, co mamy na ten temat. - Włączyła komputer, weszła do bazy danych w Centrum i zażądała pliku Doring. W

niespełna dziesięć sekund miała go już na monitorze.

- Karin Doring - powtórzyła. - Upiór z Halle. - Upiór skąd?

- Z Halle. - Liz szybko przejrzała zawartość pliku. - To jej rodzinne miasto we Wschodnich Niemczech. Nazywają ją „upiorem”, bo ma zwyczaj znikać ze sceny, nim pojawi się choćby najmniejsza szansa jej złapania. Nie używa kominiarek ani przebrań - chce, żeby ludzie wiedzieli, czego dokonała. I rzeczywiście, cieszy się popularnością. W zeszłym roku udzieliła wywiadu gazecie „Nasza Walka”. Opisała się w nim jako nazistowski Robin Hood, walczący w imię gnębionej niemieckiej większości.

- Toż to szaleństwo!

- Ale ona nie jest szalona, niestety. To właśnie największy problem z tego typu ludźmi. -

Liz rozkaszała się i, nadal paląc papierosa, przeglądała tekst na monitorze. - Na studiach, pod koniec lat siedemdziesiątych, przez krótki czas była członkiem enerdowskiej partii komunistycznej SED.

- Szpiegowała przeciwnika, co? - Najprawdopodobniej nie.

- Dobra, dobra, już lepiej się zamknę.

- Nie, myślisz prawidłowo. Wyciągnąłeś logiczny wniosek z przesłanek, tyle, że wniosek ten jest najprawdopodobniej błędny. Najwyraźniej próbowała odkryć, ideologicznie mówiąc, samą siebie. Komuniści i prawicowi ekstremiści mają ze sobą wiele wspólnego, przede wszystkim brak elastyczności w myśleniu. Jest to zresztą cecha wszystkich radykałów. Ci Ludzie nie potrafią określić przyczyn własnej frustracji, więc szukają ich wokół siebie.

Potrafią, najczęściej podświadomie, przekonać samych siebie, że ich nieszczęścia zawinione są przez innych, przy czym „innych” oznacza wszystkich, którzy się od nich różnią. W

hitlerowskich Niemczech winę za bezrobocie zrzucano na Żydów, bo w bankach, na uniwersytetach i wśród lekarzy było ich nieproporcjonalnie wielu. Rzucali się w oczy, byli zamożni i wyraźnie odróżniali się od reszty społeczeństwa. Żyli w innej tradycji, mieli swoje własne obrzędy, swoje własne święta. Stanowili łatwy cel. To samo dotyczyło Żydów w komunistycznej Rosji.

- Rozumiem. Masz coś na temat jej kontaktów, kryjówek, zwyczajów? Liz nadal przeglądała dokument. Był on podzielony na rozdziały: NAJWAŻNIEJSZE FAKTY, BIOGRAFIA, SPOSÓB DZIAŁANIA.

- Jest samotniczką - powiedziała po chwili. - W świecie terrorystów oznacza to, że pracuje wyłącznie w małej grupie, z trójką, najwyżej czwórką ludzi. Nigdy nie wysyła nikogo do wykonania zadania, którego nie podjęłaby się sama.

- Pasuje to do dzisiejszego ataku - przyznał Herbert. - Jakie jej akcje znamy?

- Nigdy nie przyznaje się do ataku... - To też się zgadza...

- ...ale świadkowie łączą ją z podłożeniem bomb zapalających w centrum handlowym w Bonn, będącym własnością Arabów, dostarczeniem bomby-pułapki w kartonie alkoholu na zabawę w konsulacie Republiki Południowej Afryki w Berlinie. Jedno i drugie miało miejsce w zeszłym roku. - Jest też bezlitosna - zauważył Bob.

- Owszem. I dlatego podoba się twardym neonazistom. Chociaż jedna rzecz wydaje się dziwna. Podpalony przez nią sklep sprzedawał męskie ubrania, a zabawa w ambasadzie była wieczorem kawalerskim.

- A co w tym dziwnego? Może nienawidzi mężczyzn?

- Zupełnie nie pasowałoby to do neonazistowskiej ideologii.

- Słusznie. Zabijają masowo, bez podziału na kobiety i mężczyzn. Może to dobrze ze względu na tę dziewczynę, jeśli rzeczywiście jest ich zakładniczką? Może jej nie zabiją?

- Nie stawiałabym na to - zaprotestowała Liz. - „Nie zabijać kobiet” nie musi być ich przykazaniem, tylko swego rodzaju kurtuazją. Mam tu informację, że dwaj świadkowie, próbujący zidentyfikować ją osobiście, zginęli w ciągu kilku dni po nawiązaniu kontaktu z władzami, jeden w wypadku

samochodowym, drugi w wyniku napadu. Świadek z wypadku był kobietą. Inna kobieta, próbująca opuścić jej grupę, Feuer - to znaczy „Ogiery” - także została zabita.

- Załatwili ją. Zupełnie jak mafia.

- Niezupełnie. Dezerterka została utopiona w toalecie po pobiciu i poranieniu brzytwą. W

każdym razie załatwia to sprawę oszczędzania kobiet.

Liz wróciła do biografii Karin.

- Zaraz sprawdzimy, skąd wywodzi się nasza panna Doring. - Przerwała na chwilę, pogrążona w lekturze. - No i mamy! Matka zmarła, gdy córka miała sześć lat. Wychowywał

ją ojciec. Założę się o dolary przeciw pesos, że przeżyła nieprzyjemne chwile.

- Znęcanie się?

- Oczywiście. I znów, klasyczna sytuacja. Jako dziecko Karin była albo bita, albo wykorzystywana seksualnie, albo jedno i drugie. Chowiała to w sobie, a potem zaczęła szukać sposobu na wyładowanie gniewu. Spróbowała komunizmu, nie spodobał się jej z jakiegoś powodu...

- Właśnie zdychał - odpowiedział Bob.

- ...a potem odkryła neonazizm, przyłączyła się do niego i zajęła postawę ojcowską; taką, jakiej brakowało jej u ojca.

- A co porabia papa Doring?

- Nie żyje. Marskość wątroby. Zmarł, kiedy Karin miała lat piętnaście, mniej więcej w tym czasie, gdy odkryła politykę.

- Doskonale. A więc mniej więcej wiemy, kim jest nasz przeciwnik. Uwielbia zabijać mężczyzn, nie waha się zabijać kobiet. Założyła grupę terrorystyczną szalejącą po kraju i atakującą cudzoziemców oraz ich firmy. A właściwie po co? Żeby ich wystraszyć?

- Karin z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, że to beznadziejne. Ambasady będą istnieć, ludzie będą handlować. Bardziej prawdopodobne, że jest to odpowiednik plakatu rekrutacyjnego. Coś, co pomaga jej skupiać wokół siebie agresywnych nieudaczników. Przy okazji, Bob, najwyraźniej jest to założenie słuszne. Cztery miesiące temu, kiedy jej akta aktualizowano po raz ostatni, Feuer miał tysiąc trzystu członków z rocznym przyrostem ich liczby rzędu dwudziestu procent. Z kryjówek do kryjówek przenosi się z Karin trzydziestu stałych żołnierzy.

- A wiemy przynajmniej, Karin?

- Zmieniają je. W archiwum mamy trzy zdjęcia. - Przyjrzała się im po kolei. Przeczytała podpisy. - Jedno zrobione zostało nad jeziorem w Meklemburgii, drugie w lasach Bawarii, trzecie w górach, gdzieś na granicy z Austrią. Nie znamy ich środków transportu, ale według mnie wygląda to tak, jakby rozbijali namioty w pierwszym lepszym miejscu.

- Mają pewnie mikrobus albo półciężarówkę. - Herbert sprawiał wrażenie mocno rozczarowanego. - Grupy partyzanckie tej wielkości wypracowują sobie na ogół jakieś trasy, choćby po to, żeby łatwiej było organizować zaopatrzenie. Ale... z telefonami komórkowymi i przy kurierskich dostawach paczek, nie ma już żadnych ograniczeń. Ile znamy leśnych kryjówek?

- Wyłącznie te trzy.

Telefon zapiszczał, sygnalizując, że ktoś oczekuje na połączenie. Z pewnością dzwoniła Monica, po odbiór wiadomości. Dostanie szafu, ale Liz nie mogła teraz przerwać rozmowy.

- A podwładni? Komu ufa?

- Jej najbliższym współpracownikiem jest Manfred Piper. Przyłączył się do grupy po maturze. Najwyraźniej ona zajmuje się sprawami wojskowymi, a on funduszami, sprawdzaniem kandydatów i innymi tego rodzaju drobiazgami.

Herbert milczał przez dłuższą chwilę.

- Niewiele mamy, co? - zauważył w końcu.

- Wystarczająco wiele, żeby ją zrozumieć. Ale do złapania... nie. Herbert znów zamilkł.

- Słuchaj, Liz - wrócił do tematu - nasi niemieccy gospodarze sądzą, że ukradła ciężarówkę, żeby mieć pamiątki do rozdania na Dzień Naporu, takie tutejsze święto nienawiści. Czy ma to sens wobec posiadanych przez nas informacji o wyborze celów politycznych?

- Chyba macie nie to, co trzeba. Jaki to był film? - „Tirpitz”. O tym okręcie.

Liz wlogowała się do KREĆCONE FILMY, strony Internetu zawierającej wszystkie informacje o produkowanych na świecie filmach. Znalazła „Tirpitz”.

- Ekipa filmowa była celem politycznym, Bob - wyjaśniła. - Ten film kręcono w koprodukcji z Amerykanami.

- A więc albo pamiątki były premią, albo premią byli amerykańscy filmowcy?

- Słusznie.

- Słuchaj, mam teraz zamiar porozmawiać z tutejszymi władzami. Może odwiedzę też obchody Dni Naporu?

- Uważaj, Bob. Na widok faceta w wózku inwalidzkim, neonaziści nie otwierają mu uprzejmie

drzwi. Pamiętaj, jesteś inny...

- Zapamiętam. Słuchaj, jakbyś dowiedziała się jeszcze czegoś o tej damie i jej grupie, zadzwoń na mój telefon komórkowy.

- Załatwione. Uważaj na siebie i *ciao* - pożegnała go, używając drugiego ze znanych sobie włoskich słów.

□ Czwartek, 11.52 - Tuluza, Francja

Obity boazerią pokój był wielki i ciemny. Oświetlała go jedna lampa, stojąca obok potężnego mahoniowego biurka. Na biurku stały wyłącznie: telefon, faks i komputer, ustawione w ciasnym półokręgu. W mroku zaledwie widać było półki na tylnej ścianie.

Zapełniały je miniaturowe gilotyny. Niektóre z nich, z drzewa i żelaza, rzeczywiście mogły coś obciąć, inne zrobione były ze szkła lub metalu, był nawet plastikowy model sprzedawany w Stanach Zjednoczonych.

We Francji gilotyny używane były przy wykonywaniu wyroków śmierci aż do 1939 roku, kiedy to przed więzieniem św. Piotra w Wersalu stracono w ten sposób mordercę Eugena Weidmanna. Dominique nie lubił jednak owych nowoczesnych maszyn, wyposażonych w wielkie, solidne kosze na głowy, osłony zabezpieczające kata przez fontanną krwi, miękkie zawieszenie tłumiące głuchy stuk ostrza. Dominique lubił wyłącznie oryginały.

Naprzeciw jego biurka, w upiornym cieniu, stała niespełna dwumetrowa gilotyna rzeczywiście używana w czasach rewolucji francuskiej. Nigdy nie poddano jej restauracji.

Podpory miała nadgniłe, a dolną poprzeczną belkę wygładziły ciała, które przyjęła w swe objęcia *Madame La Guillotine*. Ostrze, podciągnięte niemal na samą górę, zardzewiało od krwi i deszczu, zaś wiklinowy kosz, także oryginał, był dziurawy. Dominique widział na niej jednak kawałki niedomielonej mąki, używanej do wysuszania krwi, a w koszu nadal znajdowały się włosy. Włosy pochwycone przez gałązki wikliny, kiedy głowy wtaczały się do kosza.

Gilotyna wyglądała dokładnie tak jak w 1796 roku, kiedy to po raz ostatni zapięto pasy pod pachami i na nogach nieszczęsnika i gdy *lunette*, żelazny kołnierz, który przytrzymywał

jego głowę, unieruchamiał ofiarę dokładnie w tym, a nie innym, miejscu. Niezależnie jak bardzo bali się śmierci, skazańcy nie mogli uniknąć drewnianego bala z wpuszczonym weń ostrzem. W momencie gdy kat je uwalniał, nic już nie było w stanie uratować ich przed czterdziestokilogramową masą. Głowa spadała do kosza, ciało odpychano do innego kosza i już prowadzono następną ofiarę. Działo się to tak szybko, że podobno ciała w koszach nadal oddychały, opróżniając płuca z powietrza przez szyję, a wciąż żywe mózgi w odciętych głowach umożliwiały ofiarom gilotyny obserwowanie upiornych pozostałości po własnej egzekucji.

W szczytowym okresie Wielkiego Terroru kat Charles Henri-Sanson wraz z pomocnikami potrafił podobno ścinać jedną osobę na minutę. W ciągu trzech dni od ostrza gilotyny zginęło trzystu ludzi, w ciągu sześciu tygodni tysiąc trzystu z dwóch tysięcy ośmiuset trzydziestu jeden ściętych pomiędzy szóstym kwietnia 1793 roku a 29 lipca 1795

roku.

Ciekawe, co by pan na to powiedział, *Herr* Hitler? - pomyślał Dominique. Komory gazowe w Treblince zaprojektowano do zabijania dwustu osób w piętnaście minut, komory gazowe Oświęcimia do zabijania dwóch tysięcy. Czy mistrzowi mordu gilotyna zaimponowałaby, czy też rozbawiłaby go amatorszczyzna jej twórców.

Gilotyna była oczkiem w głowie pana Dominique'a. Za nią, na ścianie, wisały gazety z czasów rewolucji oraz oprawione w ozdobne ramy ryciny, a także dokumenty podpisane przez Dantona i innych przywódców rewolucji francuskiej, lecz nic nie poruszało go tak jak gilotyny. Nawet w ciemności, przy zaciągniętych zasłonach, wyczuwał ich obecność, obecność narzędzi dowodzących, że by odnieść sukces, należy postępować bezwzględnie.

Dzieci arystokracji ginęły od ostrza jego gilotyny, lecz taka jest cena rewolucji.

Zapisał telefon - trzeci z telefonów, jego prywatna linia; telefonów z tej linii nie odbierała sekretarka. Ten numer znali tylko jego wspólnicy i Horne.

Dominique pochylił się w miękko wyściełanym skórzanym fotelu. Był to szczupły mężczyzna o wydatnym nosie, wysokim czole i mocnym podbródku. Włosy miał krótko przystrzyżone i tak czarne, że wręcz dramatycznie kontrastowały z białym swetrem o wywijanym kołnierzu i białymi spodniami, które miał na sobie.

Wcisnął przycisk odbioru. - Tak? - spytał cicho.

- Dzień dobry, panie Dominique. Tu Horne. Dominique zerknął na zegarek.

- Jest bardzo wcześnie - zauważył. - Spotkanie nie trwało długo.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

Jean-Michel spełnił polecenie. Opowiedział o wykładzie, do którego wysłuchania zmuszono go torturami, i o tym, jak to Richter uważa się za równego samemu Dominique'owi. Przekazał także te kilka faktów dotyczących Karin Doring, o których wspomniał Richter.

Jego pracodawca wysłuchał tego wszystkiego, nie przerywając mu ani słowem. Kiedy Jean-Michel skończył, spytał:

- A jak twoje oko?

- Sądzę, że wszystko będzie dobrze. Na dziś po południu zamówiłem sobie wizytę u okulisty.

- Doskonale. Wiesz, że nie powinieneś pójść na spotkanie z Richterem bez Jeana i Yvesa?

Po to ich z tobą posłałem.

- Wiem, *monsieur* i bardzo przepraszam. Nie chciałem onieśmielić Richtera.

- No i nie onieśmieliłeś go. - Dominique mówił spokojnym głosem, szerokie usta skrzywił nawet w

uśmiechu, ciemne oczy patrzyły jednak przed siebie z wyraźnie widoczną wściekłością.

- Czy jest tam Henri? - Tak - odparł Horne.

- Daj mi go. I, Jean-Michel, nie zapomnij zabrać ich ze sobą dzisiaj wieczorem.

- Oczywiście, panie Dominique.

A więc mały *Fuhrer* atakuje, pomyślał Dominique. Znieważa posłów. Nie zaskoczyło go to. Próżność Richtera sprawiła, że bez zastrzeżeń wierzył w to, co o nim pisano. Próżność i to, że jest Niemcem. Ci ludzie nie rozumieją znaczenia słowa „pokora”.

Henri przemówił do słuchawki. Rozmowa z nim trwała zaledwie kilka sekund. Kiedy skończyli, Dominique przerwał połączenie i rozsiadł się w fotelu.

Richter ciągle jeszcze był zbyt słaby, by stanowić w Niemczech prawdziwą siłę, ale trzeba wskazać mu jego miejsce, nim wzrośnie w siłę. Zdecydowanie i niekoniecznie łagodnie. Nadal był głównym kandydatem Francuza w Niemczech, lecz jeśli nie zdobędzie się jego, zdobędzie się Karin Doring. Ona też była niezależna, lecz także potrzebowała pieniędzy. A kiedy zobaczy, co spotkało Richtera, będzie się zachowywała rozsądnie.

Przyglądał się czarnemu cieniowi gilotyny, a gniew powoli odpływał z jego oczu. Jak Danton, który swą krucjatę przeciw monarchii rozpoczął jako człowiek umiarkowany, i on będzie musiał stawać się coraz surowszy. Jeśli nie, to zarówno na przeciwnikach, jak i na zwolennikach zacznie wywierać wrażenie coraz słabszego.

Dość to skomplikowane - Richter musi ponieść karę surową, ale nie aż tak surową, by go od niego odepchnęła. Lecz, zgodnie ze słowami Dantona, wypowiedzianymi w 1792 roku:

„Śmiałość, zawsze śmiałość, tylko śmiałość”. Śmiałość gilotyny, śmiałość przekonań. Jak wtedy, tak i teraz tego potrzebowali ludzie, by zwyciężyć w rewolucji.

A jego rewolucja zwycięży. I wtedy spłaci dawne długi. Nie chodzi o rachunki z Richterem, lecz o rachunki z innym Niemcem, z Niemcem, który zdradził go pewnej nocy, dawno temu. Z człowiekiem, który puścił wszystko w ruch.

Richard Hausen musi zostać zniszczony.

□ Czwartek, 11.55 - Wünstorf, Niemcy

W łazience rozległ się dźwięk alarmu pożarowego. Tylko dzięki niemu Jodie opanowała się i przestała krzyczeć.

To dym, przedostający się do środka przez przewody wentylacyjne, uruchomił alarm.

Jednostajny dźwięk przedarł się przez pancerz paniki, przywracając dziewczynie poczucie rzeczywistości, uświadamiając jej, w jakiej znalazła się sytuacji. Odetchnęła głęboko i uspokoiła się.

- Chcą wysadzić przyczepę w powietrze - powiedziała do siebie. Jak wtedy, kiedy stała wpatrzona w lunę pistoletu, tak i teraz, Jodie Thompson doskonale świadoma była tego, że każda chwila może być jej ostatnią. Podeszła do okna i przełożyła dłoń przez metalowe kraty.

Odblokowała zamek czubkami palców i otworzyła je. Przycisnęła twarz do krat; w tej pozycji widziała tonący długi kawałek materiału. Płomienie buchały, podsycane nieskrępowanym przepływem powietrza. Jodie wysunęła ramię, próbując sięgnąć szmacianego lontu. Zabrakło jej dobrych trzydziestu centymetrów.

- O Boże, nie!

Odskoczyła od krat, odgarnęła włosy z czoła, próbowała myśleć. Musi być coś, co pomogłoby jej go dosięgnąć. Umywalka. Sedes. Nic. Umywalka.

Mogłaby zalać ogień, ale nie miała żadnego naczynia, wiadra, konewki... - Myśl! -

krzyknęła wściekle.

Rozejrzała się uważnie. Prysznic... ale nie miała ręcznika. Próbowała oderwać rączkę, na której go wieszano, lecz nie dała rady. Główna prysznicu przyczepiona była do gumowego węża.

Zerwała go ze ściany, puściła wodę, podbiegła do okna. Tym razem brakowało zaledwie kilku centymetrów. " Płomień niemal sięgał wlewu do baku, kiedy, szczerząc z gniewu zęby, Jodie puściła prysznic i złapała w usta ręczniczek do rąk. Namoczyła go w toalecie, podbiegła do okna wysunęła przez nie rękę na całą długość i wyrzuciła go na zewnątrz.

Rozległ się syk. Wyjrzała.

Udało się jej zdusić płomień. Częściowo, bowiem lont pod przyczepą palił się nadal.

Pozostał tylko jeden ręcznik.

Jodie błyskawicznie ściągnęła bluzkę. Ją też zanurzyła w wodzie. Tym razem jednak nie wyrzuciła kawałka mokrego materiału, tylko z całej siły uderzyła nim w ściankę przyczepy.

Pociekła woda. Jeszcze raz. Woda trysnęła w dół, niczym deszcz podczas silnej burzy. Ogień zasyczał i znikł, a w górę uniosła się cienka wstążka dymu. Nigdy jeszcze nie czuła słodszych zapachu.

- Pieprz się! - krzyknęła do terrorystki, której zawdzięczała wszystkie te przeżycia. - Nie lubisz zabijać kobiet? No, to nie zabiłaś kobiety! Nie dostaniesz mnie!

Włożyła rozkosznie moką koszulę i z kolei przyjrzała się drzwiom. - Wy następne - powiedziała z odzyskaną pewnością siebie.

Nie musiała się już śpieszyć z wyrwaniem pręta do ręczników ze ścianki kabiny prysznicowej. Mocno oparta o ścianę, wymierzyła mu solidnego kopniaka. Mając już odpowiednie narzędzie, podeszła do zablokowanych drzwi. Podparte ramieniem przesunęły się akurat na tyle, by można było włożyć pręt w szczelinę przy framudze. Pchała przez kilka minut póki coś, czym przyciśnięto drzwi, nie przesunęło się na tyle, by mogła się wydostać na zewnątrz.

Przeszła nad przewróconym stołem, podbiegła do drzwi przyczepy i otworzyła je.

- Nie dostałaś mnie - powtórzyła. Szczękę wojowniczo wysunęła do przodu, uniosła pięści. Obróciła się, spojrzała na swe niedawne więzienie... i aż zadrżała.

A co, jeśli ci ludzie oczekują eksplozji? Czy, jeśli jej nie usłyszą, powrócą?

Choć wyczerpana, obiegła przyczepę. Gałązką zdjęła zwęgloną szmatę z baku. Wspięła się do kabiny, wcisnęła elektryczną zapalniczkę. Czekając, aż się ogrzeje, wyrwała kilka kawałków materiału z obicia kufra w przyczepie. Kiedy zapalniczka była już wystarczająco ciepła, zapaliła nią jeden z tych kawałków i podeszła do baku. Drugim wytarła wodę, po czym trzeci włożyła do zbiornika. Płonącym strzępem podpaliła go, upuściła i uciekła-do lasu, byle dalej. Na filmach, a obejrzała ich wiele, widziała mnóstwo płonących samochodów, ale one wybuchały nie w pożarze paliwa, lecz od podłożonych przez fachowców ładunków wybuchowych. Nie miała pojęcia, jak wielki i głośny będzie ten wybuch.

Kiedy biegła, pomyślała, że powinna zasłonić uszy dłońmi.

Niemal natychmiast usłyszała stłumiony, głuchy huk wybuchu, głośniejszy od niego trzask rozrywanego metalu i ogłuszającą eksplozję opon. Chwilę później uderzyła w nią fala gorącego powietrza. Czuła, jak parzy ją przez moką bluzkę, przez włosy, zapomniała jednak o nim natychmiast, gdy wokół niej zaczęły padać rozgrzane do czerwoności kawałki metalu wraz z odłamkami szkła. Przypomniła sobie grad ognia z „Dziesięciu Przykazań” i to, że, kiedy oglądała film, pomyślała, iż nie sposób się skryć przed czymś takim. Padła na ziemię, okrywając głowę dłońmi, podciągając kolana do piersi. Wielki kawał błotnika przedarł się przez gałęzie drzew, runął na ziemię tuż przy jej stopach. Zerwała się i pobiegła dalej.

Skręciła w stronę drzewa z nadzieją, że gałęzie osłonią ją przed co większymi fragmentami

rozerwanej przyczepy. Przytuliła się do pnia, padła na kolana, szlochając, jakby wyczerpał się cały zapas jej odwagi. Pozostała w tej pozycji, nawet gdy nic jej już nie zagrażało. Nogi drżały jej, nie była w stanie się podnieść. Po chwili puściła nawet drzewo.

Wreszcie wstała i ruszyła przed siebie. Krańcowo wyczerpana, zagubiona w lesie, postanowiła trochę odpocząć. Choć miękka, zielona trawa wręcz zapraszała, by się na niej ułożyć, wspięła się na drzewo. Znalazła dwie rosnące blisko siebie gałęzie, wtuliła się w nie, złożyła głowę na jednej z nich i zamknęła oczy.

Zostawili mnie, żebym umarła, pomyślała jeszcze. Zabili ludzi na planie!

Szloch ustawał powoli. Strach jednak nie opuszczał dziewczyny, choć zdawała sobie sprawę nie tylko z tego, jak łatwo przyszło im ją skrzywdzić, lecz także z tego, że znalazła w sobie nieoczekiwanie dużo siły. Nie dałam się zabić, myślała.

W pamięci pozostał jej niczym nie zmacony obraz zimnej twarzy Karin. Nienawidziła jej, nienawidziła jej pewności siebie i jej spokoju. Pragnęła powiedzieć temu potworowi, że choć omal nie zabrał jej życia, to nie tknął nawet jej ducha.

Z chęcią zemsty zwyciężyła jednak potrzeba snu.

□ Czwartek, 06.40 - Quantico, Wirginia

Mike Rodgers nie zamierzał składać wizyty Billowi Squiresowi przed siódmą, ale kiedy tuż po szóstej zadzwoniła do niego Melissa, wskoczył w mundur, złapał komiksy - nie miał

już czasu na kupienie innego prezentu, a nie chciał przyjeżdżać z pustymi rękami - i ruszył w drogę.

- To nic szczególnie groźnego - powiedziała mu przez telefon Melissa - ale czy nie mógłbyś przyjechać trochę wcześniej? Chciałabym, żebyś coś zobaczył. - Powiedziała też, że nie chce nic teraz wyjaśniać, bo Billy jest w pokoju, ale na miejscu gość sam zorientuje się, o co chodzi.

Mike Rodgers nienawidził tajemnic i przez całe czterdzieści minut drogi wyobrażał sobie wszystkie możliwe zagrożenia, od plagi mrówek albo nietoperzy po coś, co chłopak mógł

zmalować całkiem samodzielnie.

Nie wymyślił nic, co nawet w przybliżeniu przypominałoby rzeczywistość.

Baza oddziału Iglica znajdowała się w Akademii FBI w Quantico, w Wirginii.

Członkowie oddziału kwaterowali w mieszkaniach w bazie, rodziny miały domy w mieście.

Melissa i Billy mieszkali w największym z nich, położonym najbliżej basenu.

Byłoby cudem, gdybyśmy znaleźli nowego dowódcę Iglicy przed początkiem nowego tysiąclecia, pomyślał generał. Człowiek, którego naprawdę chciał mieć na tym stanowisku, pułkownik Brett August, już zdążył mu odmówić i to nawet dwukrotnie. I pewnie odmówi po raz trzeci, przy okazji kolejnego telefonu. Funkcję tę pełnił więc tymczasowo major Shooter, wypożyczony z bazy sił powietrznych Andrews. Wszyscy go lubili, okazał się doskonałym strategiem, ale brakowało mu, niestety, doświadczenia bojowego. Nie dał nikomu powodu do przypuszczeń, by miał się nie sprawdzić w terenie, ale też trudno było o pewność, że się sprawdzi. Biorąc pod uwagę ekstremalne, pełne szczególnego napięcia misje, jakie Iglica wykonała w Północnej Korei i Rosji, było to ryzyko, na które nie mogli sobie pozwolić.

Zaparkował swego nowiutkiego, jaskrawoczerwonego Blazera przy krawężniku i ruszył

w kierunku domu. Melissa otworzyła drzwi, nim przed nimi stanął. Wyglądała normalnie, wydawała się odprężona i Rodgers zwolnił nieco kroku.

Wbiegł po schodach. Uścisnęli się przyjaźnie.

- Dziękuję, że przyjechałeś, Mike.

- Ładnie pachniesz. Szampon morelowy?

Skinęła głową.

- Coś nowego?

- Postanowiłam zmienić parę rzeczy w życiu. - Melissa opuściła wzrok. - No, wiesz...

Mike pocałował ją w czoło.

- Oczywiście.

Ominął ją, uśmiechnięty. Nadal dziwnie się czuł, wchodząc do tego domu i nie czując zapachu najlepszej kawy na rynku. Chanie pijał tylko najlepszą kawę.

- Gdzie jest Billy?

- Bierze kąpiel. Zużywa mnóstwo energii w kąpeli, więc potem jest spokojniejszy w szkole.

Rodgers słyszał dobiegające z góry pluski. Spojrzał na Melissę. - Czyżby dziwnie się zachowywał?

- Od kilku dni. Dlatego poprosiłam, żebyś przyjechał trochę wcześniej. Melissa weszła do dużego pokoju i gestem poprosiła Mike'a, żeby poszedł za nią. Znaleźli się w pokoju rekreacyjnym, udekorowanym oprawionymi zdjęciami samolotów bojowych. Położył

komiksy obok drukarki. Melissa włączyła komputer.

- Pomyślałam sobie, że Billy miałby zabawę i trochę odmiany, gdyby podłączyć go do Internetu - powiedziała. - To gopher.

- Co? - zdziwił się Rodgers.

- Rozumiem, że niewiele wiesz o Internecie?

- Nie. Można by powiedzieć, że niewiele wiem o technologicznych rozrywkach biernych.

Melissa skinęła głową.

- Gopher jest właściwie systemem komputerowego menu, ułatwiającym użytkownikom dostęp do tekstowych zasobów Internetu.

- Jak system dziesiętny Deweya w dobrych bibliotekach?

- Coś takiego. - Melissa uśmiechnęła się. - Chodzi o to, że w sieci istnieją takie miejsca...

jakby grupy... umożliwiające kontakty dzieciom, które straciły ojców. Kontakty anonimowe, dzieci nie widzą się, rasa nie ma żadnego znaczenia. Billy rozmawiał z nimi, nawiązał kontakt ze wspaniałymi dziećmi, które miały mu wiele do zaoferowania. Zeszłego wieczora jeden z

korespondentów, dwunastolatek nazwiskiem Jim Eagle, poprowadził go na netsurfing, zakończony w czymś co nazywa się Centrum Wiadomości.

Komputer obudził się do życia. Melissa pochyliła się nad klawiaturą. Wlogowała się w Centrum Wiadomości i Rodgers natychmiast zorientował się, co za informacje oferuje to szczególne Centrum.

„S” w znaku firmowym do złudzenia przypominało faszystowskie „SS”. Melissa wywołała plik FAQ - Często Zadawanych Pytań - wysyłany do nowych uczestników listy.

Rodgers odczytał jego zawartość z rosnącym niesmakiem.

Pierwsze pytanie dotyczyło „netykiety”: właściwych określeń na czarnuchów, Żydów, homoseksualistów, Latynosów i członków innych mniejszości. Drugie zawierało listę dziesięciu największych postaci historycznych, wraz z krótkim opisem ich osiągnięć.

Pierwszy na liście był Adolf Hitler, dalsze miejsca zajmowali: zamordowany przywódca faszystów amerykańskich George Lincoln Rockwell, zabójca Martina Luthera Kinga James Earl Ray oraz dowódca kawalerii Południa w wojnie domowej, generał Nathan Bedford Forrest. Na liście znajdował się także jeden bohater literacki, Simon Legree, nadzorca niewolników z „Chaty wuja Toma”.

- Billy nie zrozumiał, o co chodzi w tym FAQu, więc na ślepo poszedł za Jimem Eagle'em i włączył się w dyskusję - tłumaczyła Melissa. - Ten dzieciak - jeśli to rzeczywiście dzieciak, w co wątpię - najwyraźniej przegląda zasoby sieci, szukając pełnych żalu, samotnych malców i próbuje ich skaptować.

- Podstawiając autorytet za ojca lub matkę? - Dokładnie.

Melissa wprowadziła Mike'a w toczącą się właśnie dyskusję.

Składały się na nią krótkie, naszpikowane błędami ortograficznymi listy, przepelnione nienawiścią do jednostek i grup etnicznych bądź wyznaniowych. Inne podstawiały nowe, obrzydliwe słowa do słynnych piosenek, był nawet przepis na to, jak zabić i wyfiletować Murzynkę.

- To właśnie zobaczył Billy - powiedziała cicho Melissa, wskazując na drukarkę. -

Przysłali mu nawet grafikę. Zostawiłam ją tu, nie chciałam robić z tego wielkiej sprawy. Nie chciałam go wystraszyć.

Na podajniku drukarki leżała kolorowa ilustracja. Z boku i z góry przedstawiała leżące ciało, z którego usunięto szkielet. Zdjęcie zaopatrzone było w strzałki i w instrukcje. Sądząc ze szczegółów, zrobione zostało w kostnicy. Rodgersa do mdłości doprowadzały fotografie z pola walki, ale tam zwłoki zawsze były anonimowe, to zdjęcie zaś przedstawiało człowieka, i przedstawiało go z niewątpliwym sadyzmem. Przez moment miał ochotę porwać na strzepy Pierwszą Poprawkę, opanował jednak wybuch gniewu, choć wyłącznie dlatego, że w gniewie upodabniał się do tych sukinsynów.

Zabrał wydruk, złożył go i schował do kieszeni.

- Poproszę naszych specjalistów z Centrum, żeby przyjrzeni się temu bliżej. Mamy taki program, Samson, który blokuje działanie innych programów. Może uda się nam ich powstrzymać?

- Ale przecież zaczną od nowa - zauważyła Melissa. - A poza tym to wcale nie jest najgorsze.

Jeszcze raz pochyliła się nad klawiaturą. Przeszła na stronę WWW, na której co piętnaście sekund pokazywano krótki, animowany fragment gry.

Sekwencja przedstawiała mężczyznę ze sznurem w dłoni, ścigającego Murzyna przez las.

By dogonić uciekającego, ścigający musiał przeskakiwać przez trupy i uchylać się przed nogami zlinczowanych wisielców. Napis u góry ekranu głosił: Mamy dla ciebie PĘTLE! Za dziewięć godzin i dwadzieścia minut będziesz mógł

ściągnąć sobie „Wieszanie”, grę WHOA! I nie tylko to! - Wiesz może, co to takiego WHOA? - spytał Rodgers.

- Ja wiem - rozległ się za ich plecami dziecinny głos. - Jim mi powiedział.

Obrócili się oboje jak na komendę. Billy ruszył w ich kierunku różnym krokiem.

Odpowiednik polskiego: Prr! [przyp. red.].

- Cześć - powitał go Rodgers. Zasalutował chłopcu, który uroczyście oddał mu honory, a potem przyklęknął i chwycił malca w objęcia.

- Dzień dobry, generale Rodgers - dokończył powitania Billy. WHOA to skrót od Whites Only Association. Jim powiedział, że chcą powstrzymać wszystkich innych. „Wystarczy krzyknąć WHOA!”

- Rozumiem. - Rodgers nie wstawał z klęczek. - A co o tym myślisz?

Chłopak tylko wzruszył ramionami. - Nie wiem - przyznał.

- Nie wiesz? - wtrąciła Melisa.

- No, bo... wczoraj wieczorem, kiedy zobaczyłem to zdjęcie, pomyślałem o tacie. Zabili go. Byłem rozgniewany.

- Ale rozumiesz - powiedział Rodgers - że ci ludzie są bardzo, bardzo źli. I że większość ludzi nie wierzy w te straszne rzeczy, w które wierzą oni.

- Jim twierdzi, że wierzą, tylko boją się przyznać.

- To nieprawda. Każdy z nas ma swoje drobne uprzedzenia, nie znosi różnych drobiazgów, alarmów samochodowych, szczekających psów. A niektórzy nie znoszą paru osób, sąsiada, szefa w pracy albo...

- Tata mówił, że nienawidzi ludzi pijących kawę neskę. Mówił, że to Filicośćam.

- Filistyni - uzupełniła Melissa. Odwróciła się, wargi miała mocno zaciśnięte.

Rodgers uśmiechnął się szeroko.

- - Jestem pewien, że tak naprawdę twój tata wcale ich nie nienawidził. Słowa nienawiść często używamy w oderwaniu od tego, co oznacza. Krótko mówiąc, Jim nie ma racji. Znam mnóstwo ludzi, ale wśród tych ludzi nie ma nikogo, kto nienawidziłby całej grupy osób. Jim i jemu podobni... im sprawia przyjemność poniżanie innych. Muszą nienawidzić, to jest jak choroba. Choroba umysłowa. Gdyby nie nienawidzili cudzoziemców albo wyznawców religii innej niż ich religia, nienawidziliby ludzi, którzy mają inne włosy niż oni, albo są od nich niżsi, albo lubią hamburgery, a nie lubią hotdogów.

Billy zachichotał.

- Próbuję ci wytłumaczyć, że oni są źli i nie powinieneś wierzyć we wszystko, co ci mówią. Mam książki i taśmy o ludziach takich jak Winston Churchill, Frederick Douglass, Mohandas Gandhi.

- Śmieszne nazwisko.

- Może ci się wydawać niecodzienne, ale ten człowiek miał doskonałe pomysły. Oni wszyscy mieli wiele cudownych rzeczy do powiedzenia. Następnym razem przyniosę ci coś o nich. Możemy razem poczytać książki, obejrzeć wideo.

- Dobrze - zgodził się Billy.

Chodzi oczywiście o Mahatmę" (Mohandasa Karamchanda) Gandhiego (1869-1948). Mahatma to określenie bramińskiego mędrca, nauczyciela, a także (zwłaszcza w Indiach) każdego człowieka, którego mądrość i sposób życia wzbudzają najwyższy szacunek [przyp. tłum.].

Mike Rodgers wstał. Kciukiem wskazał na stoliczek do drukarki. Uświadomił sobie nagle, że długowłosy Superman nie wydaje mu się aż tak zły.

- A tymczasem - oznajmił - przywiozłem ci trochę komiksów. Dziś Batman, Gandhi następnym razem.

- Dzięki! - Billy zerknął na matkę, która w odpowiedzi skinęła głową. Podbiegł do stolika, chwycił

komiksy, zaczął je przerzucać.

- Poczytasz po szkole - upomniała go matka.

- Oczywiście - poparł ją generał. - A teraz, jeśli szybko się przygotujesz, podrzucę cię do szkoły. Zatrzymamy się w naszym barze na racje polowe i może jakąś grę komputerową, a poza tym będziesz pierwszą osobą, która przejedzie się w moim nowym Blazerze.

- Grę komputerową? Mają tam „Blazing Combattle”! - To wspaniale.

Billy zsalutował generałowi, jeszcze raz podziękował mu za komiksy i wybiegł. Kiedy na schodach na piętro rozległ się tupot jego nóg, Melissa chwyciła dłoń gościa.

- Jestem ci bardzo, bardzo wdzięczna - powiedziała i pocałowała go w policzek.

Zaskoczony, Rodgers poczuł, że się rumieni. Obrócił głowę. Melissa puściła jego dłoń, a on ruszył w ślad za chłopcem.

- Mike? Zatrzymał się.

- To nic wielkiego. Po prostu czuję się z tobą związana. Po tym, co razem przeszliśmy...

nic na to nie poradzisz.

Generał zaczerwienił się jeszcze bardziej. Chciał powiedzieć, że oczywiście, kocha ich oboje, kochał Charliego, ale milczał. W tej chwili wcale nie był pewny, co czuje.

- Dziękuję - powiedział w końcu z uśmiechem, nie dodając nic więcej.

Billy zbiegł ze schodów. Generał Mike Rodgers poszedł za nim, chłopak tymczasem jak rakieta wybiegł z pokoju, ciągnąc za sobą plecak. Młodzieńczy apetyt wywiał go na ulicę w tempie iście ekspresowym.

- Tylko żadnych słodyczy, generale! - krzyknęła Melissa w chwili, gdy drzwi zatrzaskiwały się z hukiem. - I niech się za bardzo nie ekscytuje tą grą.

□ Czwartek, 08.02 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Senator Barbara Fox i jej dwóch doradców przyjechali do bazy sił powietrznych Andrews Mercedesem pani senator. Starszy doradca, Neil Lippes siedział z tyłu, obok Barbary Fox, młodszy doradca, Bobby Winter, prowadził, na siedzeniu pasażera leżała teczka.

Na spotkanie o ósmej trzydzieści przyjechali za wcześnie, o czym uprzejmie poinformował ich wpuszczający samochód wartownik.

- Wręcz przeciwnie - stwierdziła pani senator. - Jesteśmy jakieś dwadzieścia pięć milionów dolarów za późno.

Samochód ruszył ku niczym się nie wyróżniającemu, piętrowemu budynkowi, stojącemu w pobliżu stanowisk dla samolotów rezerwy marynarki. W czasie zimnej wojny za ścianami koloru kości słoniowej znajdowała się sala pilotów, tam też odbywały się odprawy. To ci piloci mieli za zadanie ewakuować najważniejsze osobistości Waszyngtonu na wypadek ataku nuklearnego.

Teraz, po dokonanej kosztem stu milionów dolarów remoncie, mieściła się w nim kwatera główna Centrum - Narodowego Centrum Rozwiązywania Sytuacji Kryzysowych.

Zatrudniało na pełen etat siedemdziesięciu ośmiu pracowników: najlepszych taktyków, logistyków, żołnierzy, dyplomatów, analityków wywiadu, specjalistów komputerowych, psychologów, ekspertów zwiadu, specjalistów od ochrony środowiska, prawników i łączników ze środkami masowego przekazu. Centrum miało też czterdziestu dwóch pracowników współpracujących stale z Departamentem Obrony i CIA, oraz dowodziło taktycznym oddziałem uderzeniowym Iglica.

Barbara Fox była jednym z pomysłodawców Centrum, o czym bezustannie przypominali jej koledzy senatorowie, dla których oczkiem w głowie były pieniądze podatników. Niegdyś też aktywnie je popierała. Pierwotnie miała to być organizacja łącznikowa i wspomagająca CIA, Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, Biały Dom, Departament Stanu, Departamentu Obrony, Agencję Wywiadu Wojskowego, Narodowe Biuro Rozpoznania i Centrum Analiz Zagrożeń. Lecz, po uporaniu się ze sprawą zakładników w Filadelfii, którą zrzuciła im na barki onieśmielona nagle FBI, po odkryciu i zlikwidowaniu sabotażu na promie kosmicznym, Centrum dorównało każdej z wymienionych tu instytucji, a potem nawet je przewyższyło.

Organizacja mająca być w założeniu centrum informacyjnym o możliwościach SWAT, jako jedyna miała teraz przywilej śledzenia, rozpoczynania i prowadzenia operacji o zasięgu międzynarodowym.

Do tych możliwości dostosowano nowy budżet sześćdziesięciu jeden milionów dolarów, o czterdzieści trzy procent wyższy niż w poprzednim roku, w którym przewyższył on budżet sprzed dwóch lat zaledwie o osiem procent. Na coś takiego pięćdziesięcioośmioletnia pani senator z Kalifornii, zasiadająca w Senacie przez czwartą kadencję, nie miała zamiaru pozwolić. Nie - biorąc pod uwagę, że ten rok był rokiem wyborów. Nie - biorąc pod uwagę,

Amerykańska policyjna jednostka antyterrorystyczna [przyp. red.]

że jej koledzy z CIA i FBI zaczęli się domagać podobnego traktowania. Paul Hood mógł

sobie być przyjacielem, któremu pomogła uzyskać posadę dyrektora Centrum, ale i on, i jego arogancki zastępca, Mike Rodgers, będą po prostu musieli dostosować skalę swych operacji do możliwości. Możliwości, które z pewnością uznają za dalece niewystarczające.

Winter zaparkował samochód przy betonowej donicy na kwiatki, pełniącej jednocześnie rolę barykady przeciwko atakowi samochodu-pułapki. Wysiedli i ruszyli ścieżką z ceramicznych płytek położonych na krótko przyciętej trawie. Kiedy doszli do drzwi, sfilmowała ich kamera wideo. Niemal w tej samej chwili dobiegający z głośników kobiecy głos zaprosił ich do środka. Zabrzęczał elektryczny zamek.

W budynku powitali ich dwaj uzbrojeni strażnicy. Jeden stał na korytarzu, drugi za szybą z kuloodpornego szkła. Sprawdzono im przepustki Kongresu (ze zdjęciami), po teczkach przesunięto ręcznymi wykrywaczami metalu. Przeszli korytarzem parteru - na parterze mieściła się administracja - do znajdującej się na jego końcu windy, przy której stał trzeci strażnik.

- Już widzę, na czym mogliśmy oszczędzić jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów -

powiedziała pani senator do starszego doradcy, gdy drzwi windy zamykały się za nimi.

Obaj doradcy zachichotali. Winda o srebrzystych ścianach śmignęła w dół, do podziemi, w których działo się to, co w Centrum najważniejsze. Kolejny uzbrojony strażnik przywitał

ich, kiedy wyszli z windy. Sprawdził im przepustki (Barbara Fox mruknęła: „siedemdziesiąt pięć tysięcy”) i skierował ich do poczekalni.

Pani senator posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Jesteśmy tu, by zobaczyć się z generałem Rodgersem, a nie czekać, kiedy znajdzie dla nas czas.

- Bardzo przepraszam, proszę pani, ale generał jest nieobecny.

- Nieobecny? - Senator Fox zerknęła za zegarek, wyraźnie zirytowana. - Mój Boże, a byłam pewna, że generał Rodgers tu mieszka! - Spojrzała na strażnika. - Ma telefon w samochodzie?

- Tak, proszę pani.

- Niech pan do niego zadzwoni.

- Bardzo mi przykro, ale nie znam numeru. Ma go pan Abram.

- To niech pan zadzwoni do niego! I powie mu, że z nim też chcemy się zobaczyć. I że nie przywykliśmy wysiadywać w poczekalniach.

Strażnik wykonał polecenie. Choć zmiana drugiego zastępcy dyrektora skończyła się oficjalnie o szóstej rano, miał on prawo podejmowania decyzji pod nieobecność przełożonych.

Tymczasem otworzyły się drzwi windy i na korytarz wyszła Martha Macali, analityk polityczny i ekonomiczny Centrum. Na twarzy tej przystojnej, czterdziestodwuletniej Murzynki widać było charakterystyczny wyraz porannego znużenia. Znikł on natychmiast, gdy tylko dostrzegła gości.

- Senator Fox! - uśmiechnęła się serdecznie. - Jak się pani czuje? - Cholernie zniecierpliwiona - odpowiedziała pani senator.

Podają sobie ręce.

Martha zerknęła na młodego strażnika. - Coś się stało? - spytała.

- Nie sądziłam, że Superman musi spać - odparła Barbara Fox. - Superman?

- Generał Rodgers.

- Och! - Martha Macali znów się roześmiała. - Rozumiem! Powiedział, że dziś rano ma zamiar wpaść do Squiresów.

- Mam nadzieję, że chodzi mu o chłopca. Zmieszany strażnik odwrócił wzrok.

- A może zaczekamy na niego w moim gabinecie? - spytała Martha, wyciągając rękę. -

Każę przynieść nam kawę z rogalikami.

- Rogaliki? - pani senator odpowiedziała jej uśmiechem, a zwracając się do Neila dodała:

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy i parę setek.

Obaj doradcy, podobnie jak Martha, roześmieli się na te słowa. Barbara Fox wiedziała, że Martha Macali nie ma pojęcia, o czym właściwie rozmawiają. Zareagowała wyłącznie po to, by uczynić siebie częścią ich grupy. Oczywiście nie było w tym nic złego, ale - choć jej uśmiech obnażał mnóstwo białych zębów - nie mówił nic o osobie, która się uśmiechała.

Prawdę mówiąc, zdaniem senator Fox, Martha nie miała za grosz poczucia humoru.

Kiedy wyłożonym wykładziną korytarzem szli do jej gabinetu, spytała: - A co słyhać w Komitecie Nadzoru Wywiadu? Nic nie wiem o tym, by działania Iglicy na terenie Rosji spowodowały jakieś daleko idące reperkusje?

- Biorąc pod uwagę, że zapobiegli przewrotowi, nic w tym dziwnego. - Rzeczywiście.

- Słyszałam nawet, że prezydent Żanin zażyczył sobie, aby wmurowano w odbudowany most plaketkę upamiętniającą podpułkownika Squiresa.

- Co za wspaniały pomysł!

Dotarli na miejsce. Martha wystukała swój numer na umieszczonej we framudze drzwi klawiaturze elektronicznego zamka, po czym przepuściła gości przed sobą. Nim senator Fox usiadła na fotelu, w jej gabinecie pojawił się Bill Abram.

- Dzień dobry - powitał ich pogodny, wąsaty żołnierz. - Pragnę przekazać wiadomość państwu, że przed minutką dzwonił generał Rodgers z informacją, że spóźni się odrobinę.

Senator Fox spojrzała na niego, zdumiona. Brwi miała uniesione, usta lekko rozwarte - jej długa twarz wydawała się jeszcze dłuższa.

- Kłopoty z samochodem? - zainteresowała się. Martha Mackall roześmiała się głośno.

- Tkwi w korku - wyjaśnił Abram. - Twierdzi, że nie wiedział, iż o tej porze korki są takie okropne. Zawsze przyjeżdżał wcześniej. Barbara Fox opadła na miękko wyściełany fotel. Jej doradcy stanęli za nią.

- A czy pan generał wyjaśnił, dlaczego dziś przyjeżdża później? Chyba nie zapomniał o naszym spotkaniu?

- Nie, nie zapomniał. - Abram lekko poruszył wąsikiem. - Prosił, żeby przekazać, że...

eee... gra wojenna z udziałem personelu Iglicy okazała się... eee... fascynująca.

Martha spojrzała na Abrama karcącym wzrokiem.

- Nie planował przecież żadnej gry wojennej na dziś rano. - Jej oczy miały błyskawice.

- Chyba że chodzi o jedną z tych ich słynnych bitew w basenie...

- Ależ nie, skąd - zapewnił ją Abram, machinalnie poprawiając muszkę. - To było coś innego. Coś... eee... nie planowanego.

Senator Fox potrząsnęła głową.

- Poczekam - powiedziała stanowczo. Słyszając te słowa, Bill Winter położył jej teczkę obok fotela. - Poczekam, bo to, co mam do powiedzenia, nie może czekać. Obiecuję jednak wam wszystkim, że po przyjeździe generał Rodgers znajdzie Centrum całkiem innym niż to, z którego wyjechał wczoraj. - Zadarła ostry nos. - Całkiem i na zawsze innym.

□ Czwartek, 14.10 - Hamburg, Niemcy

Paul Hood wraz z towarzyszącymi mu osobami opuścił restaurację o pierwszej dwadzieścia. Po drodze do siedziby Hauptschlüssel GmbH, firmy Martina Langa mieszczącej się w malowniczej miejscowości Gluckstadt, trzydzieści minut jazdy samochodem na północny zachód od Hamburga, podrzucili do hotelu Boba Herberta, który miał zamiar zatelefonować jeszcze w parę miejsc w związku z atakiem na ekipę filmową.

Podobnie jak Hamburg, małe Gluckstadt także rozłożyło się nad brzegiem Łaby, w odróżnieniu od Hamburga sprawiało jednak wrażenie bardzo spokojnego i bardzo prowincjonalnego. Wyglądało jak ostatnie miejsce na ziemi, które nadawałoby się na siedzibę nowoczesnej firmy elektronicznej. Sam budynek też na nią nie wyglądał; przypominał

przyciętą piramidę, od góry do dołu wyłożoną czarnymi zwierciadłami.

- Galaretką w technologii *stealth* - zażartował na jego widok Stoll.

- Niezły opis - odparł Lang. - Został zaprojektowany tak, by raczej podkreślać charakter otoczenia, niż je niszczyć.

Do rozmowy wtrącił się Richard Hausen.

- Kiedy zorientowaliśmy się, do jakiego stopnia komuniści zanieczyścili powietrze i wodę, niszcząc piękno Wschodnich Niemiec, zaczęliśmy poważniej pracować nad gmachami przyjemnymi nie tylko dla oka, lecz także dla pracowników - powiedział.

Hood musiał przyznać mu jedno - w odróżnieniu od polityków amerykańskich polityk niemiecki nie przemawiał starannie wymanikirowanymi, oczekiwanymi przez słuchaczy słowami.

Wnętrze trzypiętrowego budynku wydawało się jasne i przestronne. Parter podzielony był

na trzy części. Tuż za drzwiami znajdowały się indywidualne stanowiska dla ludzi pracujących przy komputerach. Szereg drzwi po prawej stronie prowadził do gabinetów. Za stanowiskami komputerów, oddzieleni od nich szkłem, mężczyźni i kobiety w białych laboratoryjnych fartuchach, maskach i płóciennych czapkach na głowach pracowali nad skomplikowanym procesem fotoredukcji, miniaturyzując z pełnowymiarowych planów procesory i układy scalone.

Nadal miły, choć wyraźnie przygnębiony terrorystycznym atakiem, Lang powiedział:

- Moi ludzie pracują od ósmej do piątej z dwiema półgodzinnymi i jedną godziną przerwą. Mamy salę gimnastyczną, w piwnicy jest basen, dysponujemy także małymi pokoikami z łóżkiem i prysznicem dla tych, którzy pragną odpocząć lub odświeżyć się.

- Już widzę łóżka i prysznice w Waszyngtonie - zakpił Stoll. - Te tłumy biurokratów już by w ogóle nic nie robiły.

Pokazawszy gościom niewielki parter, Lang zabrał ich na znacznie obszerniejsze pierwsze piętro. Zaledwie się tam znaleźli, zadzwonił telefon komórkowy Hausena.

- Może to informacja w sprawie terrorystów - powiedział polityk, odchodząc w kąt.

Już pod jego nieobecność Amerykanie obejrzelili halę, w której roboty produkowały masowo układy scalone. Stoll nie mógł oderwać od nich wzroku; obserwował panele kontrolne, kamery i wysięgniki wykonujące pracę, do której potrzebne kiedyś były pewne ręce, lutownice i precyzyjne piłki do metalu. Odstawił plecak na stół, po czym wdał się w rozmowę z jednym z techników, doskonale mówiącą po angielsku kobietą, sprawdzającą pod mikroskopem gotowy produkt. Kiedy spytał, czy może popatrzeć, dziewczyna zerknęła na Langa, który skinieniem głowy udzielił pozwolenia, i cofnęła się o krok. Matt przycisnął oczy do okularu, a potem wypowiedział kilka banalnych komplementów na temat najwyraźniej bardzo nowoczesnego układu przetwarzania dźwięku.

Wycieczka skończyła się na drugim piętrze. Podeszli do windy, czekając na Hausena.

Stał, zgarbiony, w kącie, zatykał ucho palcem i raczej słuchał niż mówił. Stoll tymczasem zajrzał do plecaka, zabrał go ze stołu i dołączył do nich. Uśmiechnął się do Hooda. Paul w odpowiedzi puścił do niego oko.

- Bardzo załuję - mówił właśnie Lang - że nie mogę zabrać was do laboratoriów na drugim piętrze, w których prowadzi się badania naukowe i doskonalili nasze produkty.

Zapewniam panów, że to nic osobistego dodał, zerkając na Stolla - po prostu udziałowcy by mi się zbuntowali. Rozumiecie, to całkiem nowa technologia, która zrewolucjonizuje przemysł.

- Rozumiem - przytaknął Matt. - A ta nowa technologia... czy nie ma ona przypadkiem czegoś wspólnego z kwantami i zasadą nakładania mechaniki kwantowej?

Po raz drugi tego dnia Lang pobladł. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo pragnął coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Stoll uśmiechnął się szeroko. - Pamięta pan może, co mówiłem o tej mojej absolutnie bezużytecznej maszynie?

Lang tylko skinął głową.

Matt poklepał plecak, który trzymał w zaciśniętej garści.

- No więc, *Herr* Lang, właśnie był pan świadkiem tego, co potrafi! Stojący w rogu przy laboratorium, Richard Hausen miał wrażenie, że świat wokół niego znika. Słuchał głosu z przeszłości, z koszmarnej przeszłości, nie wierząc, by głos ten był rzeczywisty.

- Cześć, Haussier - powitał go ów głos z wyraźnym francuskim akcentem. Użył

przydomku, pod jakim Hausen znany był podczas studiów ekonomicznych na Sorbonie:

„Haussier”, finansowy byk. Znało go bardzo niewielu ludzi.

- Słucham? - odparł ostrożnie. - Kto mówi?

- Twój przyjaciel i kolega z grupy, Gerard Dupre - odparł cicho głos. Na bladej twarzy Hausena pojawił się wyraz całkowitej pustki. W głosie nie było tego gniewu, tego ożywienia, które pamiętał doskonale, lecz przecież to może być Dupre, pomyślał. Przez chwilę nie był w stanie powiedzieć nic. Przed oczami widział upiorny taniec twarzy, obrazów.

- Tak, Dupre. - Twarz i obrazy znikły na dźwięk głosu w słuchawce. - Ten, któremu groziłeś. Ten, którego ostrzegłeś, by nie wracał. A jednak wróciłem. Jako Gerard Dominique, rewolucjonista.

- Nie wierzę, że to ty - wykrztusił Hausen.

- Mam podać ci nazwę kawiarni? Nazwę ulicy? - W głosie zabrzmiała stal. - Nazwiska dziewczyn?

- Nie! Ty to zrobiłeś, nie ja!

- Twoje słowa przeciw moim. - Mówię prawdę!

- Twoje słowa przeciw moim - powtórzył powoli głos. - Skąd masz ten numer?

- Dostanę wszystko, czego chcę. Dostanę każdego, kogo chcę. Hausen tylko pokręcił głową.

- Dlaczego akurat teraz? Przecież minęło piętnaście lat...

- W oczach bogów to zaledwie chwilka. - W słuchawce rozległ się śmiech. - Tych bogów, którzy teraz pragną cię osądzić.

- Osądzić mnie? Za co? Przecież powiedziałem tylko prawdę o twoich zbrodniach. To, co zrobiłem, było słuszne...

- Słuszne? - przerwał mu głos. - Nie pieprz. Lojalność, Haussier. Lojalność jest kluczem do wszystkiego. Lojalność zarówno w dobrych, jak i w złych czasach. Lojalność w życiu i lojalność w chwili śmierci. Tylko lojalność odróżnia ludzi od podludzi. Ponieważ tak bardzo pragnę wyeliminować podludzi, Haussier, mam zamiar zacząć od ciebie.

- Dziś jesteś potworem takim samym jak wtedy - wysyczał Hausen. Czuł, jak pocał mu się dłonie. Musiał ścisnąć słuchawkę z całej siły, inaczej na pewno by ją upuścił.

- Nie - zaprzeczył głos. - Dziś jestem znacznie większym potworem. Znacznie, znacznie większym,

bowiem dysponuję nie tylko wolą przeprowadzenia tego, co chcę przeprowadzić, lecz także środkami.

- Ty? Środki masz wyłącznie dzięki ojcu...

- A właśnie że nie! - W głosie zabrzmiała wściekłość. - Wszystko zawdzięczam sobie!

Tacie po wojnie dopisało szczęście. Każdy kto miał fabrykę, zarabiał wtedy krocie. Nie, on był głupcem jak ty, Haussier, choć przynajmniej starczyło mu rozsądku, by zdechnąć.

- Dupre - powiedział Hausen, myśląc przy tym: co to za szaleństwo? - A może powinienem powiedzieć: Dominique? Nie wiem, gdzie jesteś i kim się stałeś, ale pamiętaj, ja też nie jestem tym, kim byłem. Nie jestem zwykłym studentem, którego pamiętasz.

- Och, oczywiście! - W słuchawce znów rozległ się śmiech. - Znam każdy twój ruch.

Każdy twój ruch, nawet najmniejszy. Awans w polityce, kampania przeciw grupom nienawiści, małżeństwo, urodziny córki, rozwód. A właśnie, śliczna ta twoja córka. Nadal tak lubi balet?

Hausen jeszcze mocniej zacisnął dłoń na telefonie.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę, własnoręcznie cię zamorduję!

- Bardzo pochopne słowa jak na takiego ostrożnego polityka. Lecz na tym polega piękno ojcostwa, prawda? Kiedy zagrozi się dziecku, nic innego nie ma znaczenia. Ani zdrowie, ani fortuna...

- Jeśli chcesz walczyć, walcz ze mną - wykrztusił Hausen.

- Oczywiście, wiem, Haussier. *Alors*, problem polega na tym, że zawsze próbowałem trzymać się z dala od nastolatków. Same z nimi kłopoty. Rozumiesz, prawda?

Niemiec wpatrywał się w pokrytą terakotą podłogę, przed oczami miał jednak postać młodego Gerarda Dupre. Wściekłego, agresywnego, przepelnionego nienawiścią. On sam nie potrafił poddać się wściekłości. Nawet wobec zimnych gróźb skierowanych przeciw jego córce.

- A więc chcesz mnie osądzić - powiedział, uspokajając się całą siłą woli. - Jak nisko bym upadł, ty upadniesz niżej.

- Ależ nie, nie sędzę. Bo wiesz, w odróżnieniu od ciebie, mnie od mej prawdziwej działalności oddzielają szczelne kordony wiernych pracowników. Zbudowałem imperium ludzi, którzy myślą podobnie jak ja. Wynająłem nawet specjalnego człowieka do śledzenia życia i poczynań Richarda Hausena. Odszedł już, ale dostarczył mi wielu ważnych informacji na twój temat.

- Nadal istnieje coś takiego jak prawo. Wspólnikiem przestępstwa można być na wiele sposobów.

- Kto ma to wiedzieć, jeśli nie ty? - spytał z wyraźną kpinią głos w słuchawce. - W

każdym razie ta paryska sprawa już się przedawniła. Prawo nie może ukarać ani ciebie, ani mnie. Zastanów się jednak, co powiedzieliby wyborcy, gdyby o wszystkim się dowiedzieli?

Gdyby ktoś opublikował zrobione tamtej nory zdjęcia?

Zdjęcia, pomyślał Hausen. Aparat... Czyżby Dupre robił zdjęcia?

- W każdym razie pragnę cię poinformować, że mam plan zniszczenia ciebie i twojej kariery - poinformował głos. - Chcę, żebyś to sobie przemyślał. Chcę, żebyś czekał.

- Nie! - odparł stanowczo Hausen. - To ja znajdę sposób, żeby zniszczyć ciebie.

- Być może - zgodził się głos. - Ale przecież trzeba jeszcze rozważyć losy pewnej ślicznej trzynastoletniej tancerki. Ja wprawdzie przysiągłem sobie nie dotykać nastolatek, ale inni członkowie mej grupy...

Hausen przycisnął LOCK, przerywając rozmowę. Schował telefon do kieszeni i obrócił

się. Przywołał na twarz sztuczny uśmiech, a potem zapytał kogoś o toaletę. Następnie gestem poprosił Langa, by zabrał gości na dół i nie czekał na niego. Powinien uciec stąd, powinien wszystko przemyśleć.

Znalazłszy się w łazience Hausen pochylił się nad umywalką, nabrał wody w złożone dłonie i przemył nią twarz. Pozwolił wodzie wyciekać powoli między palcami, a kiedy jego ręce były puste, i tak nie oderwał ich od twarzy.

Gerard Dupre.

Miał nadzieję, że nigdy już nie usłyszy tego nazwiska. Miał nadzieję, że nigdy już nie zobaczy tej twarzy, nawet oczami wyobraźni.

Lecz Dupre wrócił... a on sam też powrócił do Paryża, powrócił do tej najczarniejszej nocy swego życia, powrócił w świat strachu i poczucia winy, od których uwalniał się przez całe lata.

Trzymając twarz w dłoniach Hausen zapłakał łzami strachu... i wstydu.

□ Czwartek, 08.16 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Podrzuciwszy Billy'ego do szkoły i odpocząwszy nieco po emocjach dwóch rozgrywek

„Pola bitwy”, Rodgers zadzwonił z samochodu do Darrella McCaskeya, oficera łącznikowego Centrum z FBI. McCaskey zakończył już pracę i generał złapał go w jego samochodzie. Nie byłby zaskoczony, gdyby okazało się, że podczas rozmowy minęli się na autostradzie. Powoli zaczynał wierzyć, że cała współczesna technika to nic więcej, niż sprzedawanie ludziom dwóch puszek na sznurku za tysiące, tysiące dolarów. Oczywiście te szczególne puszkę zaopatrzone były w zabezpieczenie przed podsłuchem, wymieniające wysokie i niskie tony głosu na wyjściu i odtwarzające je prawidłowo na wejściu. Sygnał przypadkowo odebrany innym telefonem jawiłby się jako bezsensowny bełkot.

- Cześć, Darrell - powiedział generał.

- Dzień dobry, generale. - McCaskey, jak zwykle rankiem, był w raczej kiepskim humorze. - Niech pan mnie lepiej nie pyta o ten mecz siatkówki. Departament Obrony strasznie dał nam w skórę.

- Dobrze, nie zapytam. Ale słuchaj, mam tu coś i chcę, żebyś to dla mnie sprawdził.

Nazywają się WHOA - Whites Only Association. Słyszałeś o nich?

- A jakże, słyszałem. Niech pan mi nie mówi, że dowiedział się pan czegoś o BALTIC

AVENUE. Ta operacja miała być ściśle tajna.

- Nie. Nic o niej nie wiem.

BALTIC AVENUE było bieżącą nazwą operacji FBI przeciw „przeciwnikowi wewnętrznemu”. Zapożyczyli tę nazwę z „Monopol”. BALTIC AVENUE była pierwszym zadaniem po GO - czyli początku misji. Nazwa kodowa zmieniała się co tydzień i Rodgers nie mógł się doczekać poniedziałków, kiedy to McCaskey wtajemniczał go w nowe nazwy.

- Czyżby BALTIC AVENUE interesowała się WHOA? - Nie. W każdym razie nie bezpośrednio.

Generał zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma sensu pytać rozmówcy o tę szczególną akcję. Choć linia była zabezpieczona przed podsłuchem, zabezpieczenie to skutkowało wyłącznie wobec czyjegoś przypadkowego włączenia się na nią. Rozmowy można było monitorować i rozkodowywać, a niektóre z tych rasistowskich grup były wyjątkowo dobrze przygotowane do nowoczesnej pracy operacyjnej i wywiadowczej.

- Powiedz mi, co wiesz o NHOA? - spytał wobec tego.

- Duża organizacja. Mają kilka obozów treningowych na południowym wschodzie, południowym

zachodzie i północnym zachodzie. Oferują pełen zakres usług, od kursów w rodzaju: „Sam zrób sobie amunicję” po pozaszkolne zajęcia dla dzieci. Publikują ilustrowany magazyn „Phurer”, co wymawia się *Führer*, mający redakcje i biura sprzedaży w Nowym Jorku, Los Angeles i Chicago, i sponsorują popularny zespół rockowy AWED: „All Whites Electric Dudes”.

- Są też w Internecie - dodał Rodgers.

- Wiem. A od kiedy to surfujesz po sieci?

- Nie surfuję. To zajęcie chłopaka Charliego Squiresa. Znalazł nawet grę o linczowaniu czarnuchów.

- O, cholera!

- Powtarzasz moje własne słowa. Mów, co wiesz.

- Ciekawe, że ty mnie o to pytasz. Przed chwilą rozmawiałem z niemieckim kumplem z Biura Ochrony Konstytucji w Dusseldorfie. Cholernie się martwią Dniami Naporu, na których zbierają się naziści z okolicy; tajni wylazą z dziur, a jawni włożą w dziury, jeśli rozumiesz, o czym mówię. - Wcale nie jestem pewien.

- To posłuchaj. Neonazizm jest nielegalny, więc jego zdeklarowani zwolennicy nie mogą gromadzić się publicznie. Spotykają się na leśnych polanach, w stodołach, w opuszczonych fabrykach. Jednak ci, którzy udają działaczy politycznych, mogą spotykać się publicznie, choćby głosili, poglądy nazistowskie.

- Teraz wszystko jasne - westchnął Rodgers. - Ale dlaczego nie obserwują tych zdeklarowanych?

- Obserwują - wyjaśnił McCaskey - jeśli umieją ich znaleźć. Ale kiedy nawet ich znajdą -

na przykład takiego Richtera, który siedział w więzieniu - to ci goście idą po prostu do sądu, skarżą się na prześladowania policyjne, no i trzeba ich zostawić w spokoju. Ludzie bardzo nie lubią skinheadów, ale - ich zdaniem - wygadanych i dobrze ubranych sukinsynów pokroju Richtera należy zostawić w spokoju.

- A rząd nie może sobie pozwolić na utratę zbyt wielu wyborców.

- Nie może, a poza tym nie może też pozwolić na to, by neonaziści wyszli na ofiary systemu. Niektórzy z tych małych hitlerków mają od cholery charyzmy. Ciebie by nawrócili.

Doskonale radzą sobie przed kamerami telewizji i świetnie wychodzą w wieczornych wiadomościach.

Mike'owi Rodgersowi nie podobało się to, co właśnie usłyszał. Od dłuższego czasu musiał jakoś godzić się z tym, że środki masowego przekazu po prostu pomagają kryminalistom. Było coś w smutnej twarzy oskarżonego i zdeterminowanej twarzy oskarżyciela, co przeciągało uwielbiającą

przeigranych publiczność na stronę tego pierwszego.

- Więc co z tym twoim niemieckim przyjacielem?

- Biuro Ochrony Konstytucji ma zmartwienie. Do Dni Naporu doszedł im jeszcze ten nowy fenomen, Thule Network. To zbiór mniej więcej setki skrzynek pocztowych i bulletin boards, umożliwiających grupkom i komórkom neonazistów wzajemny kontakt i nawiązywanie sojuszy. Nie ma sposobu, by przesłedzić korespondencje do źródła, więc władze są bezradne, nie potrafią jej powstrzymać.

- A co to takiego to Thule?

- Legendarne źródło cywilizacji europejskiej, leżące gdzieś na północy. - McCaskey roześmiał się. - Kiedy byłem mały, czytałem mnóstwo książek fantasy i cała kupa opowieści o różnych bohaterskich barbarzyńcach działa się właśnie tam. „Ursus z Ultima Thule”, tego rodzaju rzeczy.

- Prawdziwa męskość i europejska czystość - zadumał się Rodgers. - Symbole nie do odparcia.

- Aha. Chociaż nie jestem w stanie uwierzyć, że miejsce podobno tak piękne wydało coś aż tak obrzydliwego.

- Zakładam, że Thule Network znalazło sobie jakieś dojście do Stanów? - spytał Rodgers.

- Nie jako Thule. Od jakiś dwóch lat federalni, Centrum Praw Ubogich Południa w Alabamie i Centrum Szymona Wiesenthala dokładnie obserwują ślady, jakie na infostradzie pozostawiły grupy nienawiści. Problemem, jak w Niemczech, jest to, że źli faceci działają na ogół zgodnie z prawem. A poza tym Pierwsza Poprawka broni ich w całej pełni.

- Pierwsza Poprawka nie uprawnia do zachęcania do gwałtu.

- I nie zachęcają. Jasne, śmierdzą pod niebiosa, ale są cholernie ostrożni. - Muszą się gdzieś potknąć. - Rodgers był pewny siebie. - A jak już się potkną, chce być na miejscu z młotkiem i gwoździemi do trumny.

- Jak na razie się nie potknęli. FBI obserwuje wszystkie neonazistowskie strony WWW -

mają pięć stron gier plus osiem narodowych bulletin boards. Mamy także dwustronną umowę z Niemcami o wymianie wszelkich informacji zdobytych w sieci.

- Tylko z Niemcami?

- Z nimi, z Anglikami, Kanadyjczykami i Izraelem. Nikt inny nie chce wywoływać wilka z lasu. Jak na razie nie trafiliśmy na nic nielegalnego. - Tylko niemoralnego - stwierdził

Rodgers.

- Jasne. Ale sam wiesz najlepiej, że walczyliśmy w całej kupie wojen, by zapewnić prawo wyrażania własnych poglądów wszystkim Amerykanom, także tym z WHOA.

- Walczyliśmy także w wojnie mającej udowodnić, że Hitler był zły. Bo był i pozostał.

Jeśli o mnie chodzi, nadal prowadzimy wojnę z tymi sukinsynami.

- A skoro już mówimy o wojnie, przed wyjściem z domu miałem telefon od Boba Herberta. Zapewne całkiem przypadkowo potrzebuje informacji o niemieckiej grupie terrorystycznej Feuer. Słyszałeś o ich porannym ataku?

Mike Rodgers wyjaśnił, że nie oglądał wiadomości, więc McCaskey wszystko mu pokrótce opowiedział. Morderstwa po raz kolejny uświadomiły generałowi, że neonaziści są równie bezwzględni co potwory, które ich zrodziły: Hitler, Heydrich, Himmler. Nie potrafił

uwierzyć i nigdy nie uwierzy, że takich ludzi mieli na myśli Ojcowie Założyciele, kiedy pisali konstytucję.

- Masz kogoś, kto szuka tego, czego potrzebuje Bob? - spytał.

- Liz zdobyła dodatkowe informacje o Feuer - odparł McCaskey. Mam zamiar się z nią spotkać, gdy tylko dojadę do biura. Przejrzę je i wyślę co najważniejsze Bobowi, CIA i Interpolowi. Szukają sprawców, a także tej porwanej dziewczyny.

- Doskonale. Kiedy skończysz, przynieś mi dane. Pogadamy sobie we trójkę, z Liz. Nie sądzę, żeby spotkanie z senator Fox długo trwało.

- O rany! Będziesz stał na własnych nogach po spotkaniu z panią senator?

- Nic mi nie będzie - zapewnił go Rodgers. - Skoro tak twierdzisz...

- Nie wierzysz mi, co?

- Paul jest dyplomatą - stwierdził po prostu McCaskey. - Ty kopiesz ludzi po tyłkach. Nie widziałem jeszcze senatora wrażliwego na cokolwiek oprócz dotyku ust na pośladku.

- Rozmawialiśmy o tym z Paulem. Uważa, że skoro udowodniliśmy naszą wartość w Korei i w Rosji, możemy nieco ostrzej postawić się Kongresowi. Uważamy, że - biorąc pod uwagę skuteczność i poświęcenie Iglicy - pani senator zawaha się przed powiedzeniem mi

„nie" na żądanie zwiększenia budżetu.

- Zwiększenia?! Generale, zastępca dyrektora Clayton z naszego biura powiedział mi, że musi obciąć ze swojego budżetu dziewięć procent. A i tak miał szczęście. Plotki głoszą, że CIA ma ciąć od dwunastu do piętnastu procent!

- Porozmawiam z panią senator - obiecał Rodgers. - Potrzebujemy ludzi w terenie. Biorąc pod uwagę wszystkie te zmiany w Europie, na Bliskim Wschodzie, a już zwłaszcza w Turcji, bardzo, bardzo

potrzebujemy ludzi w terenie. Sądzę, że potrafię jej to wytłumaczyć.

- Generale, mam nadzieję, że się pan nie myli. Nie sądzę, by ta dama choć raz pomyślała trzeźwo od dnia, kiedy zamordowano jej córkę, a mąż włożył lufę w usta i pociągnął za spust.

- Przecież nadal zasiada w komitecie, którego zadaniem jest pomoc w ochronie tego kraju. I to jest chyba najważniejsze.

- Ale odpowiada przed płacącymi podatki wyborcami. W każdym razie życzę panu szczęścia, generale.

- Dziękuję.

W rzeczywistości Rodgers wcale nie był taki pewny siebie, nie wtajemniczył także McCaskeya w słowa A. E. Housmana o szczęściu: „Szczęście to przypadek, kłopoty to pewność”. A jeśli senator Fox miała z czymś coś wspólnego, kłopoty rzeczywiście były pewne.

W dwie minuty później Rodgers zjechał z autostrady na szosę prowadzącą do bazy Andrews. Zadzwonił do Hooda i porozmawiał z nim krótko o aktualnych sprawach.

Poinformował go o przygodzie Billy'ego z siecią i prosił o przekazanie, że przydziela tę sprawę Darrellowi, którego zadaniem będzie odszukanie twórcy gry. Hood zgodził się ze wszystkimi jego posunięciami.

Potem generał zatopił się w rozmyślaniach o grupach nienawiści. Czy to możliwe, że są dziś skuteczniejsze niż kiedykolwiek, czy też może potęga i szybkość reakcji mediów uwrażliwiła ludzi na ich istnienie.

A może chodzi o jedno i drugie na raz, pomyślał, mijając stojącego w bramie strażnika.

Informacje mediów prowokowały podobnie jak faszyci myślących ludzi do zakładania własnych grup, a to z kolei skłaniało media do kolejnych informacji o ich nie kontrolowanym rozroście.

Jedna brudna ręka myje drugą brudną rękę.

Zaparkował i rażno ruszył ku wejściu. Z panią senator miał się spotkać O ósmej trzydzieści, a już było dwadzieścia pięć po. Pani senator znana była z tego, że przyjeżdża wcześniej i także z tego, że wścieka się, jeśli druga strona nie jest na to przygotowana.

Prawdopodobnie przegrywam już jeden do zera. Dwa do zera, jeśli jest w szczególnie złym humorze.

Kiedy wysiadł z windy na dolnym poziomie i na twarzy strażniczki, Anny Mui, dostrzegł

wyraz współczucia, zdał sobie sprawę, że przegrywa dwa zero.

Cóż, pomyślał jeszcze, jakoś będę musiał sobie z tym poradzić. Dowódcy radzą sobie w każdej sytuacji, a Rodgers uwielbiał dowodzić. Uwielbiał dowodzić Iglicą, uwielbiał

kierować Centrum pod nieobecność Paula Hooda, uwielbiał widzieć, jak rodzi się coś dobrego dla Ameryki. Dumą napawał go fakt, że był kółkiem, choćby nawet małym, w wielkiej maszynie.

Zadaniem kółka jest współpracować z innymi kółkami - powiedział sobie. Nawet jeśli tymi kółkami są politycy.

Przechodząc obok gabinetu Marthy Macall, zatrzymał się jak wryty. Przez otwarte drzwi dostrzegł siedzącą w środku Barbarę Fox. Z ponurego wyrazu jej twarzy łatwo przyszło mu wywnioskować, że przegrywa już trzy do zera. Przed rozpoczęciem meczu.

Spojrzał na zegarek. Ósma trzydzieści dwa. - Przepraszam - powiedział.

- Niech pan wejdzie, generale Rodgers. - Głos senator Barbary Fox był wysoki, napięty. -

Pani Mackall właśnie opowiadała mi o swoim ojcu. Moja córka była wielbicielką jego muzyki.

- Wszyscy lubiliśmy Macka - odparł generał. - Kiedy byłem w Wietnamie, nazywaliśmy go Duszą Sajgonu.

Martha Macall przybrała poważny, profesjonalny wyraz twarzy. Rodgers znał go doskonale i wiedział też, że ma zwyczaj przyjmować poglądy ludzi, którzy byliby w stanie przyspieszyć jej karierę. Jeśli senator była przeciw niemu, Martha również będzie przeciw niemu. Znacznie bardziej niż zazwyczaj.

Przysiadł na krawędzi jej biurka. Senator Fox chciała mieć przewagę serwisu - najwygodniejszego fotela. Zgoda, ale będzie musiała patrzeć na niego do góry.

- Niestety - rozpoczęła przemówienie - nie przyjechałam tu dyskutować z panem o muzyce, panie generale Rodgers. Będziemy rozmawiać nie o muzyce, lecz o budżecie.

Czułam się bardzo rozczarowana, kiedy sekretarka dyrektora Hooda poinformowała mnie wczoraj, że ma on ważniejsze sprawy do załatwienia. Że wydaje pieniądze, których nie będzie miał. Zdecydowałam jednak, że mimo wszystko przyjadę.

- Wspólnie opracowywaliśmy budżet Centrum, pani senator. Potrafię odpowiedzieć na każde zadane przez panią pytanie.

- Wystarczy odpowiedź na jedno. Od kiedy to rządowa drukarnia zaczęła publikować fantastykę naukową?

Rodgers poczuł, że żołądek zaczyna go palić. McCaskey miał rację, tą sprawą winien zająć się Paul.

Senator Fox położyła teczkę na kolanach i otworzyła ją.

- Poprosiliście o zwiększenie budżetu o osiemnaście procent w chwili, gdy wszystkie agencje rządowe dokonują drastycznych cięć. - Wręczyła generałowi jego własny, trzynastostronicowy dokument. - Ja tymczasem wręcę komisji finansowej ten budżet. Budżet z dokonanymi przeze mnie, własnoręcznie, niebieskim ołówkiem, cięciami opiewającymi na trzydzieści procent.

Rodgers zamarł, patrząc jej w oczy. - Cięciami?

- Możemy porozmawiać o tym, na co przeznaczyć pozostałe siedemdziesiąt procent, ale cięcia nie podlegają negocjacji.

Generał miał ochotę cisnąć w nią budżetem. Odczekał chwilę, aż przejdzie mu ta ochota.

Wreszcie, spokojnie, odłożył go na biurko Marthy. - Nie brak pani odwagi, pani senator - powiedział tylko.

- I panu, generale. - Barbara Fox siedziała nieporuszona.

- Wiem. Swą odwagę udowodniłem wobec Wietnamczyków z Północy, Irakijczyków i Koreańczyków.

- Wszyscy wiemy o pańskich medalach. - Pani senator zachowywała się nadzwyczaj uprzejmie. - Ale medale nie dają panu przecież wyłączności na odwagę.

- Nie, nie dają - przyznał spokojnie Rodgers. - Są wyrokiem śmierci. Mamy najlepszy możliwy oddział bojowy, a przecież straciliśmy Bassa Moore'a w Korei i Charliego Squiresa w Rosji. Jeśli obetnie nam pani budżet, nie będę w stanie dać moim ludziom wsparcia, którego potrzebują.

- Wsparcia? A po co im wsparcie? Mają zamiar znów przeżyć kilka przygód za granicą?

- Nie. Cały wywiad naszego kraju opiera się na elektronice. To FLINT. Satelity szpiegowskie. Podszłuchy. Fotografie wywiadowcze. Komputery. To dobre narzędzia, ale one same nie wystarczą. Trzydzieści, czterdzieści lat temu na całym świecie mieliśmy ludzi.

HUMINT - to klucz. Mieliśmy ludzi, którzy infiltrowali obce rządy, organizacje wywiadowcze i grupy terrorystyczne, ludzi stosujących zdrowy rozsądek, inicjatywę, zdolność twórczego myślenia i odwagę, by zdobyć dla nas informacje. Najlepsza kamera wszechświata nie wyjmie dokumentów z zamkniętej szuflady. Tylko człowiek może włamać się do komputera nie podłączonego do sieci. Satelita szpiegowski nie spojrzy terroryście w oczy i nie powie nam, czy jest on już fanatykiem, czy też nadaje się może do normalnego życia. Musimy odbudować te zasoby.

- Piękna przemowa, ale w tym pana nie poprę. Nie potrzebujemy jakiegoś HUMINT-u, by chronić amerykańskie interesy. Iglica powstrzymała koreańskich szaleńców od zniszczenia Tokio. Ocaliła administrację prezydenta Rosji; prezydenta, który musi jeszcze udowodnić, że jest naszym sojusznikiem. Dlaczego amerykańscy podatnicy mają utrzymywać międzynarodowe siły policyjne?

- Bo tylko oni są do tego zdolni - odparł spokojnie Rodgers. - Walczymy z rakiem, pani senator.

Komórki rakowe wycina się, gdziekolwiek się pojawia.

- Zgadzam się z panią, senator Fox - odezwała się; za jego plecami Martha Macall. -

Istnieją powołane do tego celu instytucje, którym Stany Zjednoczone mogą przedstawić problemy polityki międzynarodowej. ONZ i Trybunał Międzynarodowy powstały właśnie po to, by się nimi zajmować. No i jest jeszcze NATO.

Rodgers nawet się nie obejrzał. - Gdzie, Martho? - spytał tylko. - Słucham?

- Gdzie były ONZ i NATO, kiedy rakiet *Nodong* wystartowała z terytorium Korei Północnej? My byliśmy lekarzami, dzięki którym Japonia nie dostała gorączki wysokości mniej więcej miliona stopni.

- Oczywiście, był to przykład doskonale wykonanej pracy - przyznała senator Fox. - Ale po raz kolejny twierdzą, że pracy tej nie powinien wykonywać rząd Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone przetrwały wojnę Związku Radzieckiego z Afganistanem. Stany Zjednoczone przetrwały wojnę Iraku z Iranem. Przetrwają wszystkie tego rodzaju konflikty.

- Proszę to powiedzieć amerykańskim rodzinom ofiar zamachów terrorystycznych. Nie prosimy o zabawki. Nie prosimy o luksusy. Prosimy o zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom naszego państwa!

- W doskonałym świecie bylibyśmy w stanie chronić każdy budynek, każdy samolot, każde życie - stwierdziła pani senator, zamykając teczkę. - Nasz świat nie jest jednak doskonały. Cięcia w budżecie pozostaną, dokładnie takie, jakie zaznaczyłam. Nie będzie dyskusji, nie będzie przesłuchań w Kongresie.

- Doskonale. Kiedy wróci Paul, zacznij pani cięcia od mojej pensji. Barbara Fox przymknęła oczy.

- Panie generale, bardzo pana proszę... Poradzimy sobie doskonale bez dramatycznych gestów.

- Nie jestem specjalistą od dramatycznych gestów. - Generał wstał, obciągając mundur. -

Po prostu nie wierzę w wykonywanie pracy w połowie. Jest pani izolacjonistką, pani senator.

Jest nią pani od czasu tej tragedii we Francji.

- Francja nie ma nic wspólnego z...

- Ależ oczywiście, że ma. I doskonale rozumiem, jak się pani czuje. Francuzi nie znaleźli mordercy pani córki, prawda? Nie sprawiali nawet wrażenia szczególnie zainteresowanych jego znalezieniem, więc po co im pomagać? Pozwoliła pani jednak, by sprawy prywatne przyćmiły pani prawidłowy osąd sytuacji. Weszły w konflikt z interesami narodu.

- Generale - wtrąciła Martha - ja nie straciłam nikogo za granicą, a jednak zgadzam się z panią

senator. Centrum powstało celem wspomaganiania innych agencji, a nie wspomaganiania innych narodów. Straciliśmy z oczu jego główny cel.

Rodgers wreszcie na nią popatrzył.

- Twój ojciec śpiewał taką piosenkę. „Chłopiec, który zgasił światło”. O białym chłopaku, który zgasił światło w klubie, by mógł w nim wystąpić murzyński śpiewak...

- Proszę mi nie cytować ojca! - Martha niemal krzyczała. - I proszę mi nie mówić, że mam szczęście i załapałam się do tego klubu, bo nikt mi nie pomagał...

- Jeśli tylko pozwolisz mi skończyć... - Rodgers pozostał idealnie spokojny. Nigdy nie podniósł głosu na kobietę, jego mama nie tak wychowała syna. - ...wyjaśnię, że wcale nie to miałem na myśli. Przez cały czas chodzi mi o jedno. To, co Goschen nazwał „splendid isolation**”, po prostu nie istnieje. Nie istnieje w świecie muzyki i nie istnieje w świecie polityki. Jeśli załamie się Rosja, będzie to miało wpływ na Chiny, państwa nadbałtyckie i Europę. Jeśli ucierpi Japonia...

- Teorii domina uczyłam się w szkole podstawowej - zaprotestowała Martha.

- Wszyscy się jej uczyliśmy - poparła ją senator Fox. - Czy rzeczywiście wierzy pan, że generał Michael Rodgers i Centrum to dwa filary, na których wspiera się cały współczesny świat? .

- Robimy, co do nas należy - odparł generał. - A musimy robić więcej.

- A ja twierdzę - wybuchła senator - że już zrobiliśmy za wiele. Gdy byłam jeszcze nowicjuską w Senacie, Francja zabroniła samolotom amerykańskim przelotu nad swoim terytorium, kiedy chcieliśmy zbombardować Trypolis i Benghazi. A Francuzi są podobno naszymi sojusznikami! Powiedziałam wówczas podczas sesji, że zbombardowaliśmy nie tę stolicę. I mówiłam poważnie. Całkiem niedawno rosyjscy terroryści wysadzili tunel w Nowym Jorku. Czy Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosjan rozpoczęła ich energiczne poszukiwania? Czy wasi nowi najlepsi przyjaciele z rosyjskiego Ośrodka nas ostrzegli? A dziś, czy ich funkcjonariusze polują na rosyjskich gangsterów na naszej ziemi? Nie, generale.

Odpowiedź brzmi: „nie!”

- Paul pojechał do Rosji nawiązać kontakty z ich Ośrodkiem. Sądzymy, że będą współpracować.

- Wiem. Czytałam jego raport. A czy wie pan może, kiedy zaczną? Z pewnością po tym, jak już władujemy w ich Ośrodek dziesiątki milionów dolarów, czyniąc go równie nowoczesnym co nasze Centrum. Tylko... kiedy generał Orłow pójdzie na emeryturę, jego miejsce zajmie ktoś wrogi Stanom Zjednoczonym, a my znów staniemy twarzą twarz z przeciwnikiem, którego sami uczyniliśmy silniejszym!

- Amerykańska polityka doskonale zna ryzyko związane z takimi związkami. Ponosiliśmy klęski. Ale o wiele częściej otwartość bardziej się nam opłacała. Nie wolno nam porzucić nadziei. Musimy być

optymistami.

Barbara Fox wstała. Wręczyła teczkę jednemu ze swych doradców i wygładziła czarną spódnicę.

- Generale, pański talent oratorski jest doskonale znany, ale ja nie lubię, kiedy wygłasza mi się wykład. Jestem optymistką i mam nadzieję, że uda się nam rozwiązać wszystkie

George Joachim Goschen (1831-1907)- polityk brytyjski [przyp. red.].

* *Splendid isolation* (ang.) - cudowne odosobnienie - brytyjska doktryna izolacjonistyczna [przyp. red.].

amerykańskie problemy. Nie poprę jednak Centrum jako bazy międzynarodowych sił

pokojowych. Funkcje doradcze - tak. Źródło informacji wywiadowczych - tak. Ośrodek rozwiązywania kryzysów wewnętrznych - tak. Drużyna amerykańskich Supermanów na wakacjach - nie! Na te funkcje, które wymieniałam, budżet będziecie mieli wystarczający.

Skinęła głową Rodgersowi, podała rękę Marthcie Macali i ruszyła do wyjścia.

- Pani senator? - zatrzymał ją generał.

Obróciła się. Mike Rodgers podszedł do niej. Byli niemal jednego wzrostu; wpatrywała się w niego bez drgnienia powiek.

- Darrell McCaskey i Liz Gordon mają pracować wspólnie celem rozwiązania pewnego problemu. Sądzę, że słyszała pani o ataku grupy terrorystycznej na ekipę kręcącą film w Niemczech?

- Nie. „Post” o tym nie informował.

Oczywiście. Rządzący czerpali informacje z „Washington Post” i CNN. Rodgers liczył na to, że pani senator nic jeszcze nie wie.

- Atak miał miejsce około czterech godzin temu. Są ofiary śmiertelne. Bob Herbert pojechał do Niemiec służbowo. Prosił nas o pomoc.

- A pan uważa, że powinniśmy pomóc w śledztwie niemieckim władzom? Jakie podstawowe interesy naszego państwa zostały naruszone przez ten atak? Czy dokonano rachunku kosztów? Co sobie pomyślą podatnicy?

Rodgers głęboko zastanowił się nad doborem właściwych słów. Zastawił pułapkę i Fox właśnie w nią wpadła. Pani senator nieprędko otrząśnie się z szoku.

- Wiem, co pomyśli sobie dwójka podatników. Rodzice dwudziestoletniej Amerykanki, którą prawdopodobnie porwali terroryści.

Spojrzenie stalowych,

niebieskoszarych oczu senator Fox nagle jakby się rozplęło. Zadrżała lekko, zachwiała się i natychmiast wyprostowała. Przez krótką chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Nie bierze pan jeńców, prawda, panie generale? - Kiedy przeciwnik się podda, biorę, pani senator.

Barbara Fox po prostu patrzyła mu w oczy. Był w nich straszliwy smutek, jakby skupiały żal całego świata. Rodgers czuł się strasznie.

- I jakiej spodziewa się pan odpowiedzi? Oczywiście, macie pomóc im ocalić tę dziewczynę. Jest przecież Amerykanką.

- Dziękuję pani... i bardzo mi przykro. Interesy amerykańskie bywają ukryte we wszystkim, co robimy.

Senator Fox wpatrywała się w generała jeszcze przez chwilę, a potem spojrzała na Marthę. Życzyła jej miłego dnia, po czym wyszła niemal biegiem. Doradcy truchtali tuż za nią.

Rodgers nie pamiętał, kiedy wziął budżet z biurka, ale kiedy ruszył do wyjścia, zdał sobie sprawę, że trzyma go w ręku.

□ Czwartek, 14.30 - Hamburg, Niemcy

Henri Toron i Yves Lambesc nie odczuwali zmęczenia. Już nie. Powrót Jean-Michela obudził ich, a telefon pana Dominique'a doprowadził do pełnej fizycznej i umysłowej sprawności. Co prawda nieco po fakcie.

To, co się stało, było oczywiście winą Jean-Michela. Wysłano ich jako jego obstawę, ale on zdecydował się pójść do klubu na St. Pauli sam. Przylecieli z Francji o pierwszej w nocy.

Do wpół do trzeciej dwaj goryle grali w blackjacka. Gdyby szef ich obudził, poszliby za nim, dziarscy i gotowi bronić go przed Hunami. Ale nie. Pozwolił im spać. Bo i czyż mógł oczekiwać nieszczęścia?

- Jak pan myśli, dlaczego Dominique nas z panem wysłał? - ryknął Henri, kiedy poraniony Horne pojawił się w drzwiach. - Żebyśmy się wysypiali, czy żebyśmy pana bronili?

- Nie spodziewałem się żadnego zagrożenia.

- Kiedy ma się do czynienia z Hunami - powiedział sentencjonalnie Henri - zagrożenie-istnieje zawsze.

Dominique zadzwonił, kiedy Yves wkładał kostki lodu do ręcznika przeznaczonego jako kompres na skaleczoną powiekę. Telefon odebrał więc Henri.

Pan Dominique nie podniósł głosu. Nigdy nie podnosił głosu. Poinstruował ich po prostu i wysłał do roboty. Obaj goryle wiedzieli, że za to niedopatrzenie czeka ich miesiąc dodatkowej służby. Taka była standardowa kara za pierwszą wpadkę. Ci, którzy pozwolili sobie na drugą, wylatywali z hukiem. Wstyd spowodowany faktem, że zawiedli zaufanie, sprawiał ból o wiele większy, niż obcięcie koniuszka palca, który na początku swej kariery obaj musieli zostawić w koszyku jednej z małych gilotynek pana Dominique.

No więc pojechali taksówką na St. Pauli. W tej chwili stali oparci o samochód, zaparkowany po przeciwnej stronie „Auswechselln". Na ulice wyroił się już tłum turystów, dwudziestometrowy odcinek przecznicy między Francuzami a klubem pozostawał jednak pusty.

Potężnie zbudowany, mierzący sobie dobre metr dziewięćdziesiąt Henri palił papierosy, równie potężnie zbudowany i o kilka centymetrów wyższy Yves żuł gumę. Yves uzbrojony był w *Berettę 92F*, którą trzymał w kieszeni. Henri wolał belgijski pistolet *FN HP*. Pracę mieli prostą: wejść do klubu i doprowadzić *Herr Richtera* do telefonu... używając takich metod, jakie okażą się konieczne.

Od przeszło dwóch godzin Jean obserwował wejście do klubu przez dym palonych jeden za drugim papierosów. Kiedy się wreszcie otworzyły, poklepał Yvesa po ramieniu i obaj ruszyli szybko w ich

kierunku.

Z klubu wychodził prawdziwy gigant. Francuzi udali, że chcą go ominąć, po czym nagle się odwrócili. Gigant nie zdążył jeszcze na dobre wyjść, kiedy Henri wepchnął mu lufę w brzuch i rozkazał cofnąć się do środka.

- *Nein* - usłyszał w odpowiedzi.

Mogło to oznaczać jedno z dwojga - albo facet był bardzo oddany swemu pracodawcy, albo nosił kamizelkę kuloodporną. Henri nie strzepił sobie gęby, po prostu mocno przydepnął

mu stopę i wepchnął go do budynku. Wielkolud padł na bar, jęcząc, lufa zaś przeniosła się z żołądka na czoło. Yves, także z bronią w ręku, zniknął w ciemności po prawej.

- Richter. *Ou est-il?* - spytał Jean.

Bramkarz klubu po niemiecku poinformował go, że może iść do diabła. Henri był

lingwistą w stopniu wystarczającym do rozpoznania słowa *Holle*. Reszty domyślił się z tonu głosu. Przyłożył lufę do lewego oka jeńca.

- *Le dernier temps* - powiedział. - Pytam po raz ostatni. Richter. *Tout de suite*.

Z ciemności rozległ się mówiący po francusku głos.

- Nikt nie wdziera się do mojego klubu z bronią w ręku i nie żąda niczego takim tonem.

Puść Ewalda.

Z tyłu klubu dobiegł ich odgłos kroków. Henri nadal trzymał broń w oku wielkiego ochroniarza. Niewyraźna postać pojawiła się przy końcu baru i usiadła na wysokim stołku.

- Rozkazałem ci go puścić. Natychmiast - powiedział Richter.

Yves podszedł do niego z prawej. Richter nawet na niego nie spojrział. Henri ani drgnął.

- *Herr* Richter - powiedział tylko - mój przyjaciel ma zamiar nakręcić pewien numer na barowym telefonie i wręczyć panu słuchawkę.

- Nic z tego, póki trzymasz na muszce mojego pracownika.

Yves znalazł się już za jego plecami. Niemiec nie obrócił się w jego kierunku. Henri przyglądał mu się w ciemności. Miał przed sobą alternatywę. Mógł po prostu puścić Ewalda, ale w ten sposób spełniłby wolę Richtera, a to byłoby kiepskim początkiem pracy, którą mieli dziś wykonać. Mógł go także najzwyczajniej w świecie zastrzelić i w ten sposób wstrząsnąć jego upartym pracodawcą, ale

ryzykowałby pojawienie się policji. I, strzelając, wcale nie zagwarantowałby sobie, że Richter spełni jego polecenie.

Więc... właściwie nie miał wyjścia. Pan Dominique polecił im, aby zmusili Richtera, by do niego zadzwonił, a także kazał im wykonać tę drugą robotę. Nie kazał zwyciężać w pojedynku na silną wolę.

Odstąpił o krok, puszczając bramkarza. Ewald wyprostował się powoli, obrzucił go bardzo nieprzyjaznym spojrzeniem i zaraz podszedł do szefa.

- Nic się nie stało - powiedział mu Richter. - Ci ludzie mnie nie skrzywdzą. Sądzę, że przyszli załatwić spotkanie z Dominique'iem.

- Proszę pana, nie zostawię pana z nimi samego.

- Ewald, naprawdę, jestem całkiem bezpieczny. To wprawdzie Francuzi, ale przecież nie muszą być beznadziejnie tępi. Idź. Żona na ciebie czeka, a ja nie chcę, żeby się denerwowała.

Wielki bramkarz spojrzał z nienawiścią na Yvesa.

- Tak jest, proszę pana - powiedział w końcu. - Jeszcze raz życzę panu miłego popołudnia.

- I nawzajem. Spotkamy się jutro rano.

Ewald jeszcze raz spojrzał na Yvesa, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Po drodze mocno trącił Jeana.

Stuknęły zamykane drzwi. W zapadłej nagle ciszy Henri słyszał tykanie swego zegarka.

Głową wskazał stojący na krańcu baru, czarny biurowy telefon.

- No, już - powiedział koledze. - Dzwon.

Yves wykręcił numer i wyciągnął słuchawkę do Richtera. Richter siedział z rękami na kolanach. Bez ruchu. Henri skrzywił się.

- Włącz głośnik - polecił.

Yves wcisnął odpowiedni przycisk i odłożył słuchawkę. Usłyszeli ponad dziesięć sygnałów, nim rozmowa została przyjęta.

- Felix? - zabrzmiało przez głośnik. - Tak, Dominique, to ja.

- Jak się masz?

- Doskonale. - Richter spojrział na Henri ego, który właśnie przypalał nowego papierosa od starego. -
Chociaż nie odpowiada mi towarzystwo pańskich goryli. - Dlaczego pan mnie obraża, *monsieur*?
Dlaczego straszy mnie pan użyciem siły? Czy myślał pan, że nie zechcę rozmawiać?

- Ależ skąd - odparł dobrodusznie Dominique. - Nie po to ich przysłałem. Prawdę mówiąc, Felix,
przyszli, by zamknąć pański klub.

Dominique mógłby przysiąc, że słyszy, jak Richter nagle się prostuje.

- Zamknąć klub? Za przystrzyżenie pańskiego baranka, pana Horne'a?

- Nie. Popełnił błąd odwiedzając cię sam. Zasłużył sobie na to. Chcę ci po prostu wykazać, że jesteś
bezradny i. musisz przystać na moją propozycję.

- Użyje pan siły jak zwykły mafiozo? Spodziewałem się po panu czegoś lepszego.

- To już, Richter, twój problem. Utrzymuję wpływy wszelkimi dostępnymi mi sposobami.

A skoro już mowa o sposobach, nie dzwoń dziś wieczór do swoich hostess, sprawdzić, ile mają
zamówień. Dziewczęta, chłopcy zresztą też, gremialnie przenieśli się do konkurencji.

- Moi ludzie tego nie zniosą. Nie da się zmusić ich do posłuszeństwa siłą.

Henri zauważył zmianę w głosie Richtera. Swobodna pewność siebie gdzieś znikła. I czuł

na sobie jego spojrzenie; spojrzenie śledzące jego dłoń, kładącą zapalonego papierosa na otwartym
rejestrze gości.

- Oczywiście. Nie będą posłuszni sile. Pójdą za panem. A pan będzie posłuszny moim rozkazom,
albo straci pan coś więcej niż środki do życia. Książka gości niemal natychmiast zaczęła dymić.
Richter wstał i zrobił krok w kierunku Henri ego, który po prostu podniósł

pistolet, zatrzymując go szybko i skutecznie.

- Przemawia przez pana wściekłość, *monsieur*, nie zdrowy rozsądek - powiedział

Niemiec. - Kto odniesie korzyść, jeśli się nawzajem wykrwawimy? Tylko opozycja.

- Pan przelał pierwszą krew. Miejmy nadzieję, że więcej się jej nie poleje.

Karta książki gości zabłysła płomieniem, oświetlającym twarz Richtera - twarz o ściągniętych
brwiach i skrzywionych ustach.

- Jest pan ubezpieczony wystarczająco wysoko, by zacząć od nowa kontynuował

Dominique - ja tymczasem dopilnuję, by pańskiej grupie nie zabrakło pieniędzy na prowadzenie bieżącej działalności. Sprawa nie ucierpi. Zraniona została tylko pańska próżność. A to, Richter, nie zakłóci mi spokojnego snu.

Książka gości płonęła, jej kartki zwijały się w żarze, zmieniały w czarny popiół. Jean zaniósł ją na bar. Dorzucił do ognia serwetki koktajlowe; kilka z nich rozsypał także po drodze do zbiornika dwutlenku węgla, służącego do robienia wody sodowej.

- A teraz proponuję, żebyś wyszedł z moimi współpracownikami. Nie jest to ten rodzaj Feuer, do którego chciałbyś się zbliżyć na niebezpieczną odległość. Do widzenia, Felixie.

Trzasnęła odkładana słuchawka. W głośniku rozległ się sygnał wolnej linii. Henri podszedł do drzwi. Gestem wskazał pozostałej dwójce, że mają iść za nim.

- Mamy zaledwie dwuminutową zwłokę - powiedział. - Lepiej już chodźmy.

Zza pleców Richtera wyszedł Yves. Wyjął z ust gumę i przykleił ją pod barem. Richter jednak nawet się nie poruszył.

- *Herr* Richter - powiedział Henri - aby zapobiec groźbie stłumienia ognia, pan Dominique nakazał mi upewnić się, że pan wyszedł... lub że nigdy pan nie wyjdzie. Proszę wybierać.

Richter wpatrywał się we Francuzów; oczy lśniły mu odbitym blaskiem płomienia. Nagle spojrzął przed siebie i poszedł do wyjścia rażnym krokiem. Henri i Yves wybiegli z klubu za nim.

Przeszedł ulicą kilka metrów i zatrzymał taksówkę. Henri i Yves pobiegli w przeciwnym kierunku, w stronę błękitnej Łaby. Nie odwrócili się słysząc huk eksplozji, trzask spadających na ulicę gruzów i krzyki ludzi - rannych, przerażonych, wołających o pomoc.

Wybuch spowodował, że taksówkarz zjechał na pobocze, obejrzał się za siebie, zaklął i wyskoczył z samochodu, by przyjść z pomocą ofiarom eksplozji. Felix Richter nie dołączył

do niego. Pozostał w samochodzie, gapiąc się przed siebie. Nie wiedział, jak wygląda Dominique, nie widział więc jego twarzy; przed oczami miał krwawą mgłę. I tu, w zamkniętym samochodzie, zaczął wrzeszczeć. Krzyczał, póki w płucach nie zabrakło mu powietrza, krzyczał z głębi duszy, póki dusza nie zaznała spokoju, krzyczał, aż rozboleło go gardło i uszy. Potem znów nabrał powietrza i znów krzyknął głosem nabrzmiałym nienawiścią i wściekłym gniewem.

Wreszcie umilkł. Z czoła aż w kąci oczu ściekał mu pot. Oddychał ciężko, ale znów był

spokojny i znów myślał jasno; rozważał, co powinien zrobić. Spojrzął przed siebie, na tłum gapiący się na płomienie. Niektórzy ludzie przyglądali mu się, on jednak nie opuścił wzroku.

Niczego się nie wstydził i niczego nie bał.

Tłum, pomyślał nagle. Tłum był siłą *Fuhrera*. Tłum był krwią, którą jego serce pompowało w krwiobieg ojczyzny. Tłum...

Nie, teraz już z pewnością nie dołączy do Dominique'a. Nie będzie pionkiem w jego grze, nie zostanie zwyciężony. Nie pozwoli, by Dominique'owi uszło na sucho coś tak potwornego.

Nie sposób go zniszczyć, pomyślał.

Dobrze, więc należy go upokorzyć. Zaskoczyć.

Tłum. Ludzie. Żywa krew narodu. Trzeba im dać serce. A rząd... ciało... musi stosować się do woli ludzi.

Obserwując w lusterku zagładę swego klubu Richter planował, co zrobi. Wsiadł z taksówki i przeszedł dwie przecznice, oddalając się od tłumu. Złapał inną taksówkę, która zawiozła go do domu, gdzie czekał na niego telefon. Ta rozmowa z całą pewnością zmieni historię Niemiec... i świata.

□ Czwartek, 08.34 - Nowy Jork

Trzypiętrowa, licowana brązowym piaskowcem kamienica na Christopher Street w West Village wybudowana została w 1844 roku. Drzwi, parapety okien i ganek, do którego wchodziło się po dwóch schodkach, pozostały oryginalne. Mająca już swoje lata brązowa farba łuszczyła się wprawdzie, wewnątrz wyglądało jednak elegancko, choć wiekowo. Budynek stał dość blisko rzeki Hudson, na niepewnym gruncie, podłogi więc trochę się wypaczyły, a wiele nie pomalowanych cegieł obluźowało. Na fasadzie powstały faliste, symetryczne linie.

Zaprawę uzupełniono w miejscach, w których wykruszyła się i odpadła.

Gmach ten usytuowany był pomiędzy znajdującą się na rogu kwiaciarnią i sklepem ze słodyczami. Od chwili przybycia do Stanów Zjednoczonych w początku lat osiemdziesiątych państwo Dae-jung, małżeństwo Koreańczyków, właściciele kwiaciarni, nie zwracali najmniejszej nawet uwagi na ludzi wchodzących i wychodzących ze stu pięćdziesięcioletniego budynku. Podobnie panowie Daniel Tetter i Matty Stevens, obaj w średnim wieku, właściciele sklepu ze słodyczami „Voltaire Candied Shop”. Od czasu, gdy przed dwudziestu siedmioma laty otworzyli interes, Tetter i Stevens zaledwie parę razy widzieli właściciela budynku, mieszkającego w Pittsburghu.

Nagle, przed trzema miesiącami, trzydziestosiedmioletni starszy agent specjalny Douglas DiMonda z nowojorskiego biura FBI i czterdziestotrzyletni szef biura detektywów policji nowojorskiej Peter Arden odwiedzili Dae jungów oraz Tettera i Stevensa w ich domach.

Właściciele sklepów zostali poinformowani, że cztery miesiące temu siłami FBI i policji utworzono oddział do zadań specjalnych, prowadzący śledztwo przeciw mieszkańcom kamienicy. Powiedziano im tylko, że wynajmujący w niej mieszkanie Earl Gurney jest białym rasistą, podejrzanym o przeprowadzenie zakończonych rozlewem krwi akcji przeciw Murzynom i homoseksualistom w Detroit i Chicago. Właściciele sklepów nie zostali natomiast poinformowani, że paramilitarna grupa, do której należał Gurney, Pure Nation*, przed rokiem zinfiltrowana została przez agenta FBI. W zaszyfrowanych listach do „mamy”, mieszkającej w Grenada Hills w Kalifornii, „John Wooley” przekazał informacje o obozie treningowym Pure Nation w górach Mohawk w Arizonie i planach grupy wynajmowania się jako zbrojne ramię innych organizacji rasistowskich. Agent wiedział, że planowana jest jakaś wielka akcja w Nowym Jorku, coś znacznie poważniejszego, niż zamordowanie trzech Murzynów w Detroit i zgwałcenie pięciu lesbijek w Chicago, lecz, niestety, nie został

wysłany na Manhattan wraz z grupą uderzeniową i nie wiedział, co Pure Nation dla niej zaplanowała. Plany znał tylko dowódca, Gurney.

Mijały miesiące, podczas których śledzono podejrzanych z ulicy i z zaparkowanych samochodów, zbierano odciski palców z wyciągniętych ze śmietników butelek i puszek, sprawdzano ich przeszłość w komputerach. DiMonda i Arden nabrali w końcu przekonania, że mają w garści najgroźniejszych członków Pure Nation. Sześciu z siedmiu mieszkających w

Pure nation (ang.)-czysty naród (przyp. red.).

budynku mężczyzn oraz jedna z dwóch kobiet oskarżeni byli w przeszłości o poważne przestępstwa. Niestety, władze nadal nie miały pojęcia, co właściwie planuje Gurney.

Podstuch telefoniczny ujawnił wyłącznie rozmowy o pogodzie, pracy i rodzinach, nie było faksów. Ze sprawdzanych za zgodą sędziego listów oraz paczek nie dowiedziano się niczego.

Przestępcy z całą pewnością zakładali, że są obserwowani i podsłuchiwani kolejny dowód na to, że coś się rzeczywiście dzieje.

Nagle, dwa tygodnie przed rozmową z Dae jungami oraz Tetterem i Stevensem, zespół

obserwacyjny dostrzegł coś, co uczyniło koniecznym jak najszybszą interwencję w rozwój wydarzeń. Dziewięcioro mieszkańców kamienicy coraz częściej przynosiło do niej pudła, torby i walizki. Przychodzili wyłącznie parami; jedna osoba z pary zawsze miała ręce wolne i zawsze trzymała je w kieszeniach kurtki. Policjanci nie mieli wątpliwości, że ręce owe zaciśnięte są na broni i że pudła, torby i walizki również są jej pełne. DiMonda z Ardenem nie mieli jednak zamiaru zadowolić się zaledwie paroma sztukami broni. Na górze znajdował się najprawdopodobniej jej skład - i o to im chodziło.

Pomysł z nakazem rewizji został z miejsca odrzucony. Nim zdołaliby dotrzeć na trzecie piętro - kwaterę główną lokowano zazwyczaj najwyżej jak się tylko dało - kompromitujące dokumenty i dyskietki komputerowe z pewnością zostałyby zniszczone. Poza tym ani policja, ani FBI nie miały zamiaru cackać się z terrorystami. Szef Biura, Moe Gera, zgodził się na wprowadzenie na scenę grupy uderzeniowej, tak cicho i spokojnie jak to tylko możliwe.

Właściciele obu sklepów radośnie oddali je do dyspozycji władzom. To prawda, lękali się nie tylko samej akcji, lecz także jej późniejszych następstw, ale w 1995 roku brali przecież udział w marszu protestacyjnym przeciw atakom skinheadów, uznali więc, że nie mogliby żyć wiedząc, że zginęli przez nich ludzie. DiMonda obiecał, że policja da im ochronę w domu i w pracy.

Oddział szturmowy wprowadzano do akcji etapami. Agent FBI pochodzenia koreańskiego, Park, posłany został do pracy w kwaciarni. Tetter i Stevens zatrudnili w charakterze sprzedawcy Jonesa, czarnego detektywa nowojorskiej policji. Obaj pracownicy spędzali sporo czasu na chodniku przed swymi sklepami, paląc papierosy i w ogóle rzucając się w oczy wchodzącym i wychodzącym z domu ludziom. Po dwóch miesiącach w obu sklepach znalazło się jeszcze po trzech nowych sprzedawców, tak że ogólna liczba agentów na miejscu sięgnęła ośmiu. Wszyscy pracowali w dzień, kiedy przed kamienicą był

największy ruch. Prawdziwym sprzedawcom zapłacono, by siedzieli w domu.

Każdy z nowo zatrudnionych dbał o to, by stale rzucać się w oczy kręcącym się przed domem

ludziom. Często zauważani, stali się w końcu niewidzialni.

Policjant patrolujący zazwyczaj tę ulicę otrzymał nowy rejon. Zastąpił go detektyw Arden. Zamaskowawszy bary kulturysty pod luźnym ubraniem, DiMonda włóczył się po ulicy jako bezdomny nędzarz, sypiający na ganku domu i od czasu do czasu spędzany z niego kopniakami. Sam Gurney w którymś momencie zwrócił się do Ardena z żądaniem, żeby trzymał „to cholerne śmierdzące ściervo” z dala od jego domu. Arden obiecał, że zrobi co się da.

FBI dostało plany budynku od właściciela, pewnego, że ma do czynienia z obiecującym kupcem. Wskanowano je do komputera w nowojorskim biurze FBI. Na ich podstawie program wygenerował trójwymiarowy obraz wnętrza. Opracowano plan ataku. Wybrano odpowiedni dzień. Zdecydowano się na atak rano, kiedy jednokierunkowa uliczka, przy której stała kamienica, miała być najmniej zatłoczona. Zwyczajni ludzie byli już o tej porze w pracy, a turyści nie docierali jeszcze do Greenwich Village.

Nieco wcześniej rano w dniu ataku, gdy na dworze było jeszcze ciemno, policjanci po cywilnemu zajęli miejsca w sklepach, po pięciu w każdym. Ich zadanie polegało na aresztowaniu szczurów, wykurzonych na dwór podczas akcji. Policjantów ze sklepów poinformowano, że mają wkroczyć do akcji, gdy DiMonda krzyknie „Hej; ty!”. Każdy z nich miał też zaczynać, gdyby DiMonda został przez kogoś zaatakowany lub gdyby Arden próbował usunąć go z ganku. W momencie ataku przez oddział główny, dwunastoosobowy oddział pomocniczy miał wyskoczyć z półciężarówki, zaparkowanej za rogiem, na Bleecker Street. Sześciu z dwunastu funkcjonariuszy otrzymało rozkaz wkroczenia do akcji wyłącznie w przypadku strzelaniny. Gdyby tak się stało, policja gotowa była zamknąć uliczkę i dopilnować, by nikt nie wyszedł z mieszkania. Gdyby neonazistom udało się wyrwać z budynku, pozostałych sześciu agentów z grupy pomocniczej miało czekać na nich na ulicy.

Na Bleecker stała także zaparkowana karetka - na wszelki wypadek.

Wszystko zaczęło się o ósmej trzydzieści cztery, kiedy to na ganku ulokował się DiMonda z kubkiem kawy w jednym ręku i bagietką w drugim. W ciągu ostatnich kilku tygodni pierwsza dwójka członków Pure Nation opuszczała kamienicę między dziesiątą a wpół do jedenastej, jechała metrem na Trzydziestą Trzecią Ulicę, a stamtąd szła do biura na Szóstej Alei. W biurze nie ukrywano niczego - był to oddział redakcyjny wraz z lokalnym działem sprzedaży rasistowskiego magazynu „Phurer”. Opuszczali biuro z czymkolwiek, co akurat dostarczyć mieli do domu. FBI sprawdziła dostarczane do redakcji paczki, nie znalazła jednak ani śladu broni. Należało przypuszczać, że pracownicy kupują broń, amunicję i noże na ulicach i przechowują je na potrzeby Pure Nation lub kogokolwiek, kto ich potrzebuje.

Drzwi kamienicy otworzyły się o ósmej czterdzieści cztery. W tym momencie DiMonda rzucił kubeczką po kawie w prawo, przed sklep ze słodyczami, i wpadł do środka jakby stracił równowagę. Arden, czekający w sklepie, wyszedł dokładnie w momencie, kiedy dostrzegł lecący w jego kierunku kubeczek.

Młoda, twarda kobieta z ufarbowanymi na blond włosami, przeszła nad leżącym ciałem.

- Panie władzo! - krzyknęła. - Niech pan go stąd zabiera!

Wysoki, wąsaty mężczyzna złapał o wiele od siebie niższego DiMondę. Miał zamiar wywalić go na ulicę.

- Hej, ty! - krzyknął DiMonda.

Funkcjonariusz, który wyszedł z kwaciarni, stanął bezpośrednio za kobietą. Kiedy ruszyła, by popchnąć „włóczęgę”, wskoczył między nich i odepchnął ją. Kobieta zatoczyła się z krzykiem w stronę kwaciarni, przed którą czekał już na nią drugi policjant, który dokonał

formalnego aresztowania. Ponieważ opierała mu się, dwaj kolejni zaciągnęli ją na zaplecze.

Arden tymczasem wszedł do kamienicy.

- Co pan do cholery wyprawia! - krzyknął na niego neonazista, który zmagął się z niechlujnym DiMondą na ulicy. Czekali tam już na niego dwaj agenci. Trafili do cukierni.

- Niech się pan nie martwi, panie szanowny! - krzyknął Arden. - Załatwię tego włóczęgę tak, żeby już nigdy nie wszedł panu w drogę. - Miał nadzieję, że uspokoi tym okrzykiem każdego, komu przyszłoby do głowy przysłuchiwać się wydarzeniom na klatce schodowej.

Arden miał już w ręku dziewięćmilimetrowego *Sig Sauera* P226. Stał przy ścianie, po lewej stronie schodów. DiMonda dołączył do niego, uzbrojony w *Colta M1911A*. Ośmiu pozostałych agentów weszło parami. Pierwsza para zajęła się pokojem na parterze, tuż za schodami. Jeden z nich klęknął przy drzwiach, drugi pozostał na schodach, obserwując je aż do piętra. Druga para minęła Ardena i DiMondę, zajmując miejsce na piętrze. Agenci szli ostrożnie, wyprostowani, stawiając stopy pośrodku schodów. W ten sposób minimalizowali szansę skrzypnięcia starych schodów.

Następna para dotarła w ten sposób do drugiego półpiętra. Czwarta na drugie piętro.

Jeden agent z pary stawał przy drzwiach, drugi zajmował się schodami. Ostatnia z par ulokowała się wreszcie na półpiętrze trzeciego piętra, na które wspięli się DiMonda z Ardenem. DiMonda stanął naprzeciw drzwi, Arden po prawej stronie schodów. Wpatrywał

się w partnera. Decydowało FBI - jeśli ich człowiek wejdzie, policjant miał pójść za nim, jeśli nie wejdzie, gotów był ubezpieczyć jego odwrót i sam się stąd wynieść.

Z kieszeni oberwanej kurtki DiMonda wyjął małe urządzenie, przypominające trochę strzykawkę ze zbiorniczkiem wielkości mniej więcej trzech ustawionych na sobie dziesięciocentówek. Przykucnął, ściskając broń w prawej ręce i ostrożnie wsunął cienką

„igłę” w zamek Następnie przyłożył oko do „zbiorniczka”.

FOALSAC - aparat fotograficzny i urządzenie do podglądania w jednym kawałku, zbudowane na światłowodach - umożliwiało obserwację wnętrza przez dziurkę od klucza, nie generując przy tym ani światła, ani dźwięku. W „zbiorniczku” mieściła się mała bateria kadmowa i film, na którym można było utrwalić to, co widać było przez obiektyw. DiMonda przejechał obiektywem od lewej do prawej, naciskając lekko spód kasety z filmem za każdym razem, kiedy chciał zrobić zdjęcie. Jeśli dojdzie do procesu sukinsynów, zdjęcia będą ważnym dowodem, zwłaszcza, że FOALS.9C ujawnił stopy pistoletów maszynowych, kilka granatników *M-79* oraz pewną liczbę ustawionych w koziół karabinów maszynowych *FMK*.

W pokoju znajdowały się poza tym trzy osoby. Kobieta i mężczyzna jedli śniadanie przy stole stojącym w prawym rogu pomieszczenia, a trzeci członek grupy, sam Gurney, siedział twarzą do drzwi przy stoliku komputerowym i pracował na laptopie. Oznaczało to, że pozostali neonaziści znajdują się w mieszkaniach na niższych piętrach.

DiMonda wskazał na pokój i podniósł do góry trzy palce. Arden spojrział w dół, powtarzając jego gest. Następnie odczekał, aż pozostali agenci sprawdzą swoje pokoje.

Wreszcie przysłała wiadomość, że doliczono się wszystkich członków grupy; znajdowali się po dwóch na mieszkanie. DiMonda pokazał swoim ludziom uniesiony w górę kciuk, co oznaczało, że przechodzą teraz do następnego etapu. Pracowali szybko, by zdążyć, nim komuś zechce się wyjść na spacer albo po gazetę.

DiMonda odłożył FOALSAC Ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo, że drzwi zostały wzmocnione metalowymi prętami, nie próbowano ich wyważyć. Agenci założyli na nich ładunki plastiku, umieszczając je nieco w lewo od klamek. Ładunki dobrano tak, by bez problemu wywaliły zamki i wyrwały drzwi z futryny, na każdy z nich założono też niewielką metalową tarczę, skupiającą falę uderzeniową oraz zegarek kwarcowy na magnesie. Zegarki zabezpieczone

były

plastikową

nakładką,

po

jej

zdarciu

rozpoczęła

się

dziesięciosekundowe odliczanie, po którym z zegarka przez tarczę docierał do ładunku prąd

elektryczny, powodując wybuch.

DiMonda odchylił głowę. Pół piętra niżej stał, obserwując go, jeden z agentów. Na skinienie odpowiedział skinieniem. Na trzy, odliczane kiwaniem głowy, wszyscy agenci zerwali plastikowe nakładki z zegarków.

Rozpoczęło się ciche oczekiwanie. Stojący na półpiętrach agenci szybko przysunęli się do drzwi. Podczas planowania operacji rozważono wszystkie możliwe opcje rozmieszczenia bandytów i teraz postępowano według z góry założonego planu. Agenci Park i Johns weszli na górę. Park stanął za DiMondą, Johns na schodach, za Ardenem. Pozostali rozstawili się w podobny sposób na reszcie pięter.

DiMonda przesunął się w lewo; gdyby został na miejscu, mogłaby go uderzyć oderwana wybuchem klamka. Najpierw wskazał na siebie, potem na Parka, na końcu na Jonesa. Po wejściu mieli zająć się nazistami w tym porządku, licząc od lewej do prawej. Arden był

„wolny” - miał wspomóc tego, kto akurat wymagałby pomocy.

Zegar skończył dziesięciosekundowe odliczanie. Rozległ się wybuch, przypominający nieco pęknięcie napełnionej powietrzem papierowej torby. Mosiężna klamka przeleciała obok nich i jednocześnie drzwi się otworzyły.

DiMonda wpadł do środka jako pierwszy, za nim wbiegli Park, Johns i Arden.

Wyskoczyli z powstałej po wybuchu chmury dymu; gdy tylko znaleźli się w środku, odsunęli się od siebie. Jak jeden mąż wrzasnęli, „Nie ruszać się!”. Uczono ich tak krzyczeć twardym, możliwie najdonośniejszym głosem, mającym przstraszyć i sparaliżować zatrzymanych.

Mężczyzna i kobieta, przedtem spokojnie jedzący śniadanie, zerwali się na równe nogi.

Stali niczym sparaliżowani. Gurney miał najlepszy refleks. Zerwał się z miejsca, rzucił

laptopem w Parksa i prawą ręką sięgnął pod stół. Parks opuścił broń, złapał komputer i krzyknął do Ardena: „Bierz go!”.

Arden zareagował nim usłyszał krzyk. Zatoczył łuk swym dziewięćmilimetrowym pistoletem, Gurney zdołał jednak wyrwać z kabury pod stołem *Skorpiona*. Wystrzelił

pierwszy, a pierwsza z wystrzelonych przez niego kul trafiła Ardena w samą krawędź

kamizelki kuloodpornej z kewlaru, roztrzaskując mu lewe ramię, odrzuciła go przy tym jednak od toru następnych pocisków z serii, bezpiecznie dziurawiących ścianę. Policjant zdążył wystrzelić, podobnie jak Parks, który przedtem klęknął jeszcze i odłożył komputer.

Jedna z kul Ardena trafiła nazistę w lewe biodro, druga w prawą stopę. Parks wystrzelił dziurę w jego prawym przedramieniu.

Wściekle skrzywiony z bólu, Gurney upuścił broń i padł na lewy bok. Park podbiegł do niego i przyłożył mu pistolet do skroni. Podczas tego czterosekundowego pojedynku stojący przy stole kobieta i mężczyzna nie zdążyli się nawet poruszyć.

Na niższych piętrach wszystko przebiegło gładko, strzały na trzecim sprowadziły jednak na miejsce oddział rezerwowy. Policjanci wpadli do mieszkania w chwili, gdy Park zakuwał

krwawiącego Gurneya. DiMonda i Johns rzucili swymi jeńcami o ścianę, do której musieli przytulić twarze; ręce mieli złożone na plecach. Podczas zakuwania w kajdanki kobieta wrzeszczała, że DiMonda jest zdrajcą swej rasy, mężczyzna zaś groził mu zemstą na rodzinie.

Oboje konsekwentnie ignorowali Johnsa.

Trzej członkowie oddziału rezerwowego wpadli do środka w formacji dwa-jeden: dwaj wskakiwali pierwsi, rozchodząc się w lewo i w prawo, trzeci leżał na brzuchu w drzwiach, kryjąc ich. Kiedy zobaczyli rannych Ardena i Gurneya, a pozostałych neonazistów w kajdankach, wezwali karetkę i sami zajęli się aresztowanymi.

DiMonda podszedł do Ardena.

- Nie mogę w to uwierzyć - jęknął Arden.

- Nic nie mów - poradził mu DiMonda, klękając przy jego głowie. Jeśli ci coś złamali, lepiej żeby nie było przemieszczenia.

- Jasne, że coś mi złamali - jęczał Arden. - Złamali mi cholerne ramię! Dwadzieścia lat pracy i najmniejszej ranki. Człowieku, ten kutas przerwał mi szczęśliwą passę. I jak głupio.

Najstarszy numer świata, strzał spod stołu.

Choć ranny, Gurney postanowił wtrącić swoje trzy grosze. - Umrzesz - powiedział. -

Wszyscy umrzecie.

- Kiedyś z pewnością - odparł DiMonda, obserwując, jak układają go na noszach. - Ale na razie, nadal będziemy wykurzać z nor takie szczury jak wy.

Neonazista tylko się roześmiał.

- Nie będziecie musieli wykurzać. - Zakaszłał, zacisnął zęby. - Sami wyjdziemy, żeby was zagryźć.

□ Czwartek, 14.45 - Hamburg, Niemcy

Paul Hood i Martin Lang byli niesłychanie zdziwieni, kiedy Hausen zjawił się z informacją, że musi ich opuścić.

- Zobaczymy się później, w moim biurze - powiedział, potrząsając dłonią Hooda. Stolla oraz Langa pożegnał lekkim ukłonem, i natychmiast wyszedł. Żaden z nich nie spytał go nawet, co się stało, po prostu patrzyli, jak szybko idzie po parkingu do swego samochodu, który pozostawił tam wcześniej.

Stoll, obserwując ruszający samochód, spytał:

- Jest Supermanem czy coś w tym rodzaju? Zachowuje się jakby chciał powiedzieć

„wygląda to na robotę dla *Übermenscha!*”.

- Nigdy go takim nie widziałem - stwierdził Lang. - Sprawiał wrażenie wyjątkowo poruszonego. Zauważyliście, jakie miał oczy?

- Jak to, oczy? - zdziwił się Hood. - Podkrążone. Moim zdaniem płakał. - Może zmarł mu ktoś w rodzinie?

- Może. Ale wtedy by nam powiedział. Przełożyłby spotkanie. - Lang powoli pokręcił głową. - Bardzo dziwne.

Hood czuł się nieswojo, chociaż nie wiedział, dlaczego. Choć prawie nie znał Hausena, nabrał przekonania, że wiceminister spraw zagranicznych RFN to człowiek o niezwykłej sile woli, pełen zrozumienia i współczucia. Że jest politykiem twardo trzymającym się swych przekonań, pewnym, iż w ten sposób najlepiej służy krajowi. Z przygotowanych przez Liz Gordon materiałów wiedział, że sprzeciwił się publicznie neonazistom podczas pierwszych Dni Naporu, przed wielu laty, że napisał serię niepopularnych komentarzy do gazet, domagając się w nich publikacji „Księgi Śmierci z Auschwitz” - sporządzonej przez Gestapo listy ludzi zamordowanych w tym obozie koncentracyjnym. Żeby Hausen przed czymś uciekał... nie, nie leżało to w jego charakterze.

Cóż, nadal mieli robotę do zrobienia. Lang przybrał obojętny, zawodowy wyraz twarzy i poprowadził ich do swego gabinetu.

- Czego potrzebuje pan do prezentacji? - spytał Stolla. - Płaskiej powierzchni. Biurko będzie w sam raz.

Pozbawiony okien pokój był zdumiewająco mały. Oświetlały go wpuszczone w sufit lampy fluorescencyjne, jedynymi meblami były zaś dwie obite białą skórą kanapy, stojące pod przeciwległymi ścianami. Biurko Langa składało się z szerokiej tafli szkła spoczywającej na dwóch

białych, marmurowych kolumnach. Ściany pomalowane były na biało, podłoga wyłożona została również białymi kafelkami.

- Zakładam, że lubi pan biel - zauważył Stoll.

- Mówią, że ma dodatni wpływ na psychikę - odparł Lang. - A gdzie mogę to położyć?

- Na biurku. Nic się nie stanie, jest całkiem mocne, a ta powierzchnia się nie rysuje.

Stoll postawił plecak koło białego telefonu.

- Dodatni wpływ na psychikę? - zainteresował się. - To znaczy, że nie jest tak przygnębiająca jak czerń, smutna jak błękit i tak dalej?

- O to właśnie chodzi.

- Już widzę, jak proszę senator Fox o pieniądze na przerobienie Centrum w bieli -

powiedział Paul.

- Zrobiłoby się jej czerwono przed oczami - zażartował Stoll. - Nigdy nie dałaby ci zielonego światła.

Hood skrzywił się. Lang nie brał udziału w tej wymianie zdań. Z napięciem przyglądał się plecakowi.

Matt Stoll wyjął z niego srebrną skrzynkę mniej więcej wielkości pudełka na buty. Z przodu skrzynka miała coś w rodzaju migawki, z tyłu okular.

- Laser półprzewodnikowy z podglądem - wyjaśnił. Drugi przedmiot przypominał miniaturowy faks.

- To system odtwarzania obrazu z łączami optycznymi i elektrycznymi - dodał.

Na biurku pojawiło się jeszcze nieco mniejsze od pierwszego pudełko, z którego sterczały kable.

- A to zasilanie - zakończył objaśnienia. - Nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się robota na wolnym powietrzu. Albo na laboratoryjnym stole - dodał z uśmiechem.

- Robota? Jaka robota? - Lang przyglądał się z zainteresowaniem leżącym na jego biurku cudeńkom.

- Mówiąc najprościej - przeszedł do rzeczy Stoll - mamy tu coś, co nazywamy *T-Birdem*.

Ukierunkowuje on szybkie impulsy lasera półprzewodnikowego, generując sygnały laserowe.

Trwają one... och... około stu femtosekund, jedną dziesiątą trylionowej części sekundy. -

Wcisnął czerwony przycisk zasilania. - Otrzymujemy teraherzową oscylację w paśmie od podczerwieni do fal radiowych, a dzięki temu z kolei możemy powiedzieć, co jest w lub za czymś cienkim - papierem, drewnem, plastikiem, prawie wszystkim. Żeby powiedzieć, co to, należy tylko właściwie zinterpretować formy fal. W połączeniu z tym - poklepał system odtwarzania obrazu - można rzeczywiście zobaczyć to, co się wykryło.

- Jak w promieniach Roentgena? - podpowiedział Lang.

- Ale bez promieni Roentgena - odparł Stoll. - Urządzenie to pozwala także na chemiczną analizę przedmiotu - na przykład tłuszczu na kawałku szynki. No i jest znacznie mniejsze niż klasyczny rentgen. Matt podszedł do przemysłowca z wyciągniętą ręką. - Mogę poprosić o portfel? - spytał.

Lang wręczył mu portfel wyjęty z tylnej kieszeni marynarki. Stoll postawił go jak najbliżej przeciwległej krawędzi biurka. Następnie nacisnął zielony guzik. Srebrne pudełko zabuczało cicho, a potem „faks” wypłuł z siebie kawałek papieru.

- Działa niemal bezgłośnie - zauważył. - Włączyłem go w pańskim laboratorium, a stojący obok mnie technik nawet się nie zorientował. Papier wysunął się do końca. Stoll wyjął

wydruk, zerknął nań i podał Langowi.

- Żona i dzieci? - spytał.

Lang przyjrzał się nieco zamazanemu rodzinnemu zdjęciu. - Zdumiewające. Aż nie do wiary - przyznał.

- A proszę sobie wyobrazić, co osiągnęlibyśmy przepuszczając to zdjęcie przez komputer.

Wyostrzylibyśmy je, wzmocnilibyśmy detale i... - Kiedy nasze laboratorium wybudowało prototyp, próbowaliśmy za jego pomocą określić, jakie płyny i gazy znajdują się w bombie terrorysty - wtrącił Hood. - Gdyby się to udało, moglibyśmy neutralizować ładunki wybuchowe, nawet się do nich nie zbliżając. Mieliśmy jednak problem potrzebny był

odbiornik po drugiej stronie obiektu, analizujący przepływające przezeń „promienie T”. W

końcu nasz dział badań i rozwoju doszedł jednak do tego, jak analizować je u źródła. Dzięki temu *T Bird* może pracować jako narzędzie wywiadowcze.

- A jaki jest efektywny zasięg? - spytał Lang.

- Księżyc - odparł Hood. - Nie testowaliśmy urządzenia na dalszą odległość. Zajrzeliśmy do

lądownika Apollo 11. Armstrong i Aldrin najwyraźniej nie znosili bałaganu. Teoretycznie urządzenie powinno pracować na takiej odległości, na jaką sięga promień lasera.

- Mój Boże, przecież to piękne!

Hood, do tej pory stojący w kącie, zbliżył się do przemysłowca.

- *T Bird* będzie najważniejszym urządzeniem Centrum Regionalnego - oznajmił. -

Musimy je jednak zmniejszyć, a także poprawić rozdzielczość, by agenci mogli używać go w terenie. Musimy także uzyskać zdolność oddzielania czynników zewnętrznych - na przykład prętów zbrojeniowych w betonie.

- I tu właśnie wchodzi pańskie małe procesorki - wtrącił Stoll. Chcemy, żeby nasz facet mógł stać pod ambasadą i czytać otwieraną w środku pocztę.

- Proponujemy panu zamianę technologiami - oznajmił Hood. - Dostanie pan to, co kryje się w tych pudełkach, a my dostaniemy pańskie procesory.

- Wspaniałe urządzenie - powtórzył Lang. - Czy jest coś, przez co *T Bird* nie widzi?

- Przede wszystkim metal - wyjaśnił Stoll. - Ale pracujemy i nad tym problemem.

- Zdumiewające. - Lang nie potrafił wręcz oderwać wzroku od fotografii.

- A wie pan, co w tym wszystkim najlepsze? - Matt Stoll nie mógł powstrzymać się od żartu. - Póki nie rozwiążemy tego naszego problemu, niech pan pomyśli o forsie, jaką zrobimy na wykładanych metalową folią portfelach!

□ Czwartek, 08.47 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

- Zachowałeś się jak prawdziwy sukinsyn.

To stwierdzenie Marthy Macall wydawało się wisieć w powietrzu przez kilka sekund, jakby na coś czekając. Mike Rodgers zatrzymał się, nie docierając do drzwi. Kiedy wreszcie zdecydował się na odpowiedź, był już całkowicie spokojny. Choć nienawidził tego z całego serca, pozostało faktem, że dziś ludzie nie mogli już rozmawiać po prostu jak ludzie. Martha była od niego lepsza, gdy dochodziło do ostrej konfrontacji, ale biały mężczyzna, decydując się na ostrą konfrontację z czarną kobietą, wręcz prosił się o sprawę sądową. Ta patologia była nieuniknionym i nawet koniecznym dziedzictwem działań takich łobuzów jak członkowie WHOA.

- Bardzo mi przykro, że tak to odbierasz - powiedział. - I choć niewiele to znaczy, przykro mi także, że zdenerwowałem panią senator.

- Szczerze mówiąc, nic się właściwie nie stało. Użyłeś śmierci jej córki, żeby pozbawić ją argumentów w rozmowie, a potem nazwałeś ją wrogiem. A teraz bezczelnie mówisz

„przepraszani”.

- Racja, powiedziałem „przepraszam”. Ale nie bezczelnie. Naprawdę mi jej żal, Martho.

- Naprawdę?

Rodgers ruszył do wyjścia, ale Martha Macall zagroziła mu drogę. Pochyliła się, aż ich twarze dzieliły zaledwie centymetry.

- Powiedz mi, Mike, czy wykręciłbyś ten sam numer z Jackiem Chanem, Jedem Lee lub którymkolwiek mężczyzną-senatorem, z którym współpracujemy? Czy wobec nich zachowałbyś się tak bezwzględnie?

Jej ton sprawił, że Mike poczuł się jak w sądzie. Bardzo chciał powiedzieć Marcie, żeby się wyniosła sama wie gdzie, ale zdecydował się na inną odpowiedź.

- Prawdopodobnie nie.

- Masz cholerną rację. Prawdopodobnie nie. W męskim klubie mężczyźni o sobie dbają.

- Nie w tym rzecz. Potraktowałbym ich inaczej, bo oni nie próbowaliby przyciąć mnie przy samej ziemi.

- Och, a więc sądzisz, że jej zachowanie skierowane było przeciwko tobie? Senator Fox gnębi generała Rodgersa, bo czuje do niego nieukrywaną nienawiść?

- Częściowo tak. Nie z powodu mojej płci, nie ma w tym nic osobistego, ale dlatego, iż wierzę, że jako jedyne pozostałe na tym świecie supermocarstwo, Stany Zjednoczone mają obowiązek interweniować tam, gdzie to konieczne i w taki sposób, w jaki jest to konieczne.

Centrum jest w tym układzie najważniejszą częścią, bo może interweniować błyskawicznie.

Martho, czy naprawdę sądzisz, że przemawiałem za sobą?

- Owszem. Tak to wyglądało.

- Nie. Chodziło mi o ciebie. Ciebie, mnie, Paula, Ann, Liz, ducha Charliego Squiresa.

Broniłem Centrum i Iglicy. Ile pieniędzy, ile ofiar w ludziach kosztowałyby nowa wojna koreańska? Albo wyścig zbrojeń z nowym Związkiem Radzieckim? To, czego tu dokonaliśmy, zaoszczędziło naszemu krajowi miliardy dolarów!

Mówiąc to dostrzegł, że Martha odrobinę się uspokoiła. Zaledwie odrobinę.

- Dlaczego nie rozmawiałeś z nią tak, jak teraz rozmawiasz ze mną? - spytała.

- Ponieważ zostałem postawiony wobec *fait accompli* - odparł generał. - Odbijałaby moje argumenty jak piłeczki od ściany.

- Widziałam, jak przyjmowałeś gorsze cięgi od Paula. - Podlegam mu służbowo.

- A czy Centrum nie podlega służbowo pani senator Fox, Chanowi, Lee i innym członkom kongresowej Komisji Nadzoru Wywiadu

- Do pewnego stopnia, oczywiście. Ale najważniejszym słowem jest tu słowo „komisja”.

Senatorowie Chan i Lee nie są bezkompromisowymi izolacjonistami. Porozmawialiby z Paulem lub ze mną o cieciach, daliby nam szansę przedyskutowania sprawy.

Martha podniosła zaciśniętą pięść na wysokość twarzy.

- Załatwimy tę sprawę w dymie cygar w bibliotece - zakpiła. - Załatwiono tak wiele spraw.

- Mężczyźni je załatwili. Ale niech Bóg broni, by kobieta podjęła decyzję i zażądała od mężczyzny wprowadzenia jej w życie. Jeśli spróbuje, odwrócisz się i zdzielisz ją w łeb.

- Co najmniej równie mocno, jak ona zdzieliła w łeb mnie. Myślisz, że jestem kawałkiem drewna? Kto tu prosi o odrobinę równouprawnienia, przynajmniej od czasu do czasu?

Na to pytanie Martha Macall nie znalazła już odpowiedzi. Rodgers opuścił wzrok.

- Moim zdaniem ta sprawa po prostu wyrwała się spod kontroli. Mamy inne problemy.

Jacyś idioci lada chwila wprowadzą do sieci gry, w których biali linczują czarnych. Mam zamiar spotkać się później z Liz i Darrellem, i zobaczyć, czy nie uda się nam im przeszkodzić. Chciałbym usłyszeć twoje zdanie na ten temat.

Martha przytaknęła skinieniem głowy. Mike spojrzał na nią. Czuł się parszywie.

- Słuchaj, nie znoszę ludzi z typem umysłowości pozwalającym im widzieć tylko stąd dotąd. Nie znoszę tego zwłaszcza u siebie. Przypuszczam, że to jak własne terytorium u zwierząt: armia broni armii, marines bronią marines...

- Kobiety kobiet. Generał uśmiechnął się.

- *Touche*. Sądzę, że w głębi serca wszyscy jesteśmy zwierzętami terytorialnymi.

- Myślę, że to jeden z dobrych przykładów naciągnięcia faktów do tezy.

- Wiec posłuchaj jeszcze innego. „Będę rządzić autokratycznie. To moja praca. Dobry Bóg mi wybaczy - to jego praca”. Kobieta wypowiedziała te słowa. Katarzyna Wielka. Cóż, Martho, czasami bywam autokratą. A kiedy nim jestem, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Oczy Marthy zwęziły się lekko. Sprawiała wrażenie, jakby postanowiła gniewać się dalej, ale już nie potrafiła.

- Odpowiadasz ciosem na cios - przyznała z uśmiechem. Generał też się uśmiechnął, a potem zerknął na zegarek.

- Muszę zadzwonić. Możesz od razu skontaktować się z Liz i Darrellem. To przyspieszy sprawy. Zobaczymy się później.

Martha rozluźniła się i ustąpiła mu z drogi.

- Mike? - powiedziała jeszcze, kiedy ją mijał. - Tak?

- Zadałeś pani senator ciężki cios. Proszę, zrób mi przysługę i zadzwoń do niej jeszcze.

Po prostu, żeby się upewnić, że nic jej nie jest. - Sam o tym pomyślałem. - Mike Rodgers był już na korytarzu. Wiesz, ja też potrafię wybaczać.

□ **Czwartek, 14.55 - Hamburg, Niemcy**

Bob Herbert spędził ponad godzinę ze słuchawką przy uchu. Było to strasznie frustrujące zajęcie.

Siedząc w wózku i używając prywatnej linii telefonicznej najpierw porozmawiał ze swym asystentem w Centrum, Alberto Grimotesem. Alberto trafił do nich niedawno wprost z kliniki Johna Hopkinsa, był bardzo rozgarniętym doktorem psychologii i miewał niezłe pomysły.

Temu bardzo jeszcze młodemu człowiekowi najbardziej brakowało doświadczenia życiowego, ale przynajmniej umiał ciężko pracować. Herbert traktował go jak młodszego brata.

- Pytanie pierwsze - powiedział - brzmi: który z sojusznicznych wywiadów mógłby udzielić Centrum informacji z ostatniej chwili na temat niemieckich terrorystów?

- Najprawdopodobniej izraelski, brytyjski lub polski; tylko oni uważnie obserwują te grupy - odparł Alberto. - Innym narodom brak charakterystycznego, instynktownego strachu przed Niemcami.

Herbert czekał, podczas gdy Alberto sprawdzał bazę danych HUMINT - agentów terenowych. Informacje o nich zawierał plik, o którym mówił, że jest pelisą Centrum -

nazywał się FUT'RO.

Bob zawsze wstydził się konieczności błagania o strzępy informacji, ale pozostawało prawdą, że ich własne źródła w Niemczech znikły, jakby ich nigdy nie było. Przed połączeniem wschodnich i zachodnich Niemiec, Stany Zjednoczone usilnie i skutecznie pomagały RFN w wyłapywaniu członków grup terrorystycznych, przybywających ze wschodu. Po zjednoczeniu wywiad amerykański dosłownie znikł z tego kraju. Niemieccy terroryści to oczywiście problem europejski, nie amerykański. Biorąc pod uwagę upust krwi, jaki w postaci cięć budżetowych Kongres zaszerwował CIA, Narodowej Agencji Rozpoznania i innym organizacjom wyspecjalizowanym w zbieraniu informacji, walczyły one jak wściekłe tylko o to, by opanować Chiny, Rosję i półkulę zachodnią.

To tyle, jeśli chodzi o nasze kryształowe kule do przewidywania miejsca przyszłych kłopotów, pomyślał gorzko Herbert.

Nawet przy założeniu, że jakiś sojuszniczny rząd ma swoich ludzi w Niemczech, nie było przecież gwarancji, iż zechce podzielić się informacjami. Od czasu przecieków z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, szeroko omawianych w prasie, Amerykanom starano się mówić jak najmniej. Nikt nie lubi demaskować własnych źródeł informacji.

- Hub i Shlomo mają w terenie odpowiednio czterech i dziesięciu ludzi - poinformował

Alberto. Mówił o komandorze Hubbardzie z wywiadu brytyjskiego i Uri Shlomo Zoharze z Mossadu.

Nie rozmawiali przez bezpieczną linię, więc Herbert nie pytał o szczegóły. Wiedział

jednak, że agenci Hubbarda zajmują się przede wszystkim próbami zastopowania przemytu broni z Rosji, agenci Mossadu zaś zastopowaniem przemytu broni do krajów arabskich.

- A wygląda mi na to, że chłopcy Bogdana sprzątają po Ruskich dodał Alberto, mówiąc o Bogdanie Zagórskim z wywiadu polskiego i komentując jego niedawną wojnę z wywiadem rosyjskim. - Chcesz się pośmiać? - spytał nagle.

- Chętnie, bo wcale mi nie do śmiechu - stwierdził Herbert.

- Patrzę na listę i myślę, że jedyną osobą, która naprawdę mogłaby nam pomóc, jest Bernard.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Herbert rzeczywiście by się roześmiał.

- On ma nam pomóc? - spytał z niedowierzaniem. - Nigdy! –

- A jednak. Pozwól, że przeczytam ci raport od Darrella.

Bob czekał, wystukując „Drogę do Alabamy” na poręczy inwalidzkiego wózka.

„Bernard” odnosiło się do pułkownika Bernarda Benjamina Ballona z francuskiej *Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale*. Tradycyjnie ta instytucja policyjna ślepa i głuchła, gdy dochodziło do zbrodni na tle rasowym, zwłaszcza tych popełnionych na Żydach i emigrantach. Żandarmeria miała także swego rodzaju układa Niemcami. Jak długo francuscy agenci trzymali się od nich z daleka, Niemcy nie wyjawiali nazwisk tysięcy kolaborantów współpracujących z Rzeszą w czasie wojny. Niektórzy z nich, mężczyźni i kobiety, zajmowali teraz prominentne stanowiska w polityce i biznesie. Wykorzystywali je, naciskając na francuskich oficerów wywiadu, by pilnowali własnego nosa.

Mający lat czterdzieści parę, Ballon był jednym z najfantastyczniejszych policjantów znanych Herbertowi. Wyznawał zasadę bezwzględного zwalczania przestępstw. Wyrwał, nie licząc się z niczym, żandarmerię z bagienka apatii.

Mimo wszystko jednak odpowiadał za swe działania przed rządem, a rząd ten nie służył z sympatii do Stanów Zjednoczonych. Francja rzuciła się w objęcia fanatycznego, odnowionego nacjonalizmu do tego stopnia, że ze słowników wyrzucano zapożyczone z angielskiego słowa, z menu restauracji amerykańskie potrawy, z ekranów kin hollywoodzkie filmy. Sam pomysł, jakoby Francuzi byli w stanie pomóc Amerykanom, już wydawał się niepokojący, a jeszcze bardziej niepokojące wydawało się Bobowi to, że być może będzie musiał prosić o coś tych gnębicieli Ameryki. Pomysł, by pozytywnie odnieśli się do jego prośby, robił wrażenie zdecydowanie absurdalnego.

- Bernard ma teraz problemy w domu - odezwał się wreszcie Albert. - Szuka możliwych powiązań między wrogimi ugrupowaniami Francji i Niemczech. W zeszłym tygodniu skontaktował się z „Wielkim Okiem”, a oni z kolei skontaktowali się z Darrellem. Darrell pomógł Bernardowi zdobyć

trochę z poszukiwanych przez niego informacji.

„Wielkie Oko” było stosowanym przy rozmowach po nie zabezpieczonych przed podsłuchem liniach, slangowym określeniem Interpolu. Darrell pełnił nie tylko rolę łącznika Centrum z FBI, miał także swe kontakty z Interpolem i innymi międzynarodowymi organizacjami zwalczającymi przestępczość.

(oryg.) *Big I* (żargonowe określenie Interpolu), fonetycznie brzmi też jak "wielkie oko" [przyp. red].

- A czego chciał? - zainteresował się Herbert. Nadal stukał palcami po poręczy wózka.

Bardzo, ale to bardzo nie chciał kontaktować się z Francuzami.

- Tego nie mamy w aktach. Informacja wyłącznie dla Darrella. Musiałbym zapytać go osobiście.

- To zapytaj. I zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz coś wiedział. - Dobrze. Masz może dostęp do jakiejś bezpiecznej linii?

- Nie będę miał czasu na szukanie. Musisz zaryzykować i zadzwonić na fotel. Nie zapomnij poinformować o wszystkim generała Rodgersa.

- Nie zapomnę. A ponieważ z pewnością o to zapyta, powiedz mu, co masz zamiar zrobić?

- Powtórz mu ode mnie, że mam zamiar sprawdzić kilka teorii. - Rozumiem.

- Masz jakieś informacje o tym, gdzie na ogół koncentrują się obchody Dni Naporu?

- Coś jak bar z drinkami za darmo? - To wcale nie jest śmieszne.

- Przepraszam. I szukam.

Bob Herbert usłyszał stuk klawiszy komputera.

- jest. W zeszłym roku i dwa lata temu uczestnicy konwencji zaczęli na ogół o szóstej po południu, toastem w *Bierhalle* w Hanowerze.

- Ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie zaskoczyło - burknął Bob. Rzeczywiście, nie powinno. Nieszławnej pamięci pucz 1923 roku, kiedy Hitler po raz pierwszy próbował sięgnąć po władzę i dostał po łapach, zaczął się w piwiarni w Monachium. Ci ludzie najwyraźniej uważali, że może udać się im tam, gdzie nie udało się Hitlerowi.

Drugie ponad pół godziny Bob Herbert spędził poszukując samochodu z ręcznym gazem i hamulcem. Kilka firm wypożyczało samochody dla niepełnosprawnych, ale z kierowcami, a to mu wcale nie

odpowiadało. Miał zamiar poszukać informacji podczas obchodów Dni Naporu, w sercu wydarzeń, i nie chciał narażać kierowcy.

Znalazł w końcu coś dla siebie, choć bez kuloodpornych szyb i katapulty - „tylko tak sobie żartuję”, upewnił pozbawionego poczucia homoru pracownika wypożyczalni - i kazał

podprowadzić samochód pod Hotel. Postanowił zrezygnować z elegancji, rozwiązał krawat, ściągnął białą koszulę i zastąpił je prezentem od siostry, luźną bluzą z wypisanymi na piersi słowami: MY NAME IS HERBERT... BOB HERBERT. Narzucił na nią sportową marynarkę i pojechał na dół. Z pomocą obsługi wsadził otwarty wózek na specjalnie przygotowane na inwalidzkie wózki miejsce, zamiast tylnego siedzenia. Ruszył, z rozłożonym na siedzeniu pasażera otwartym planem miasta. Obok planu leżał zdjęty z wózka przenośny telefon i elektroniczny tłumacz Matta Stolla. Tak wyposażony, Bob Herbert wyjechał na ulice miasta swym nowym Mercedese.

Co za ironia, pomyślał. Kaleka o bardzo ograniczonych możliwościach poruszania się sam jeden reprezentuje całość siatki szpiegowskiej USA w Niemczech. No, ale z drugiej strony nie brakło mu doświadczenia i chęci działania, a poza tym miał za sobą potężną, wspierającą go organizację. Agenci pracowali w terenie, dysponując znacznie słabszymi atutami. I choć nie spodziewał się, by kiedykolwiek zdołał zginąć w tłumie, w pełni podpisywał się pod mottem agenta: „Docień to, że ludzie wiedzą więcej, niż się im zazwyczaj wydaje i że mogą powiedzieć wszystko, gdy są nieostrożni, pijani lub głupi”.

Cieszył się, że jest niezależny, a już rozkoszą napawało go, iż działa. Dopiero teraz zrozumiał, co musiał czuć Mike Rodgers w Korei, gdy znów znalazł się w akcji.

Z hotelu jechał niespełna dwie godziny; prosto, bez problemów, biegnącą z północy na południe autostradą A1, nie mającą ograniczenia prędkości, lecz jedynie prędkość zalecaną, sto do stu trzydziestu kilometrów na godzinę, choć wszystkich jadących poniżej stu trzydziestu traktowano tu jak *grafin* - hrabinę: powolną, stateczną, przyciężką.

Bob jechał spokojnie i równo sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Otworzył okno, ciesząc się orzeźwiająjącym powiewem wiatru. Nawet przy tej prędkości nie umknęło mu jednak nic z piękna zielonej Dolnej Saksonii. Przygnębiające było tak uświadomić sobie, że w tych wspaniałych lasach i starych, stuletnich wioskach narodził się jeden z najgwałtowniejszych i najzaraźliwszych ruchów rasistowskich w historii.

Taki jest ten nasz raj, pomyślał. Pod każdym drzewem czai się, wąż. Niejeden wąż.

Co innego myślał o ludziach i pięknie, kiedy po raz pierwszy, wraz z żoną, przyjechał do Libanu. Wspaniałe błękitne niebo, zabytki, niektóre zwykłe, a niektóre wręcz majestatyczne, oddani Bogu chrześcijanie i muzułmanie. Francuzi wycofali się z Libanu w 1946 roku i wtedy to religijni „bracia” rozpoczęli okrutną, bratobójczą wojnę. Amerykańska piechota morska zgasiła pożar w 1958 roku, ale walki wybuchły ponownie w roku 1970. Amerykanie w końcu wrócili. Niebo nadal było błękitne, a zabytki wciąż piękne, kiedy, w 1983 roku, muzułmanie dokonali samobójczego ataku na ambasadę amerykańską w Bejrucie. Zginęło pięćdziesiąt osób, o wiele więcej było rannych. Od tego czasu piękno nigdy już nie wydawało się Bobowi niewinne, prawdę mówiąc niewiele o nie dbał. Nawet

życie, niegdyś pełne obietnic, stało się po prostu sposobem czekania na chwilę, kiedy znów połączy się z żoną.

Hanower uderzająco nie pasował do okolicy. Prawdę mówiąc, nie pasował do niczego.

Podobnie jak Hamburg, podczas II wojny światowej został ciężko zbombardowany.

Pomiędzy nowoczesnymi gmachami, w gęstwinie szerokich dróg przelotowych, przy wąskich uliczkach, wśród barokowych ogródków, stały gdzieniegdzie grupki szesnastowiecznych domków z pruskiego muru. Nie bardzo mu się to podobało, wolał otwarte przestrzenie, wśród których się wychował. Jeziorka, komary, żaby, sklepiki na rogach ulic. A jednak zaskoczyły go te dwa oblicza miasta.

Pasuje, pomyślał, kierując się w stronę Rathenauplatz. W mieście o dwóch obliczach mieszkają ludzie o dwóch twarzach.

Ironia losu sprawiła, że większość kawiarenek i restauracji znajdowała się w spokojnej, starszej części Hanoweru. Jego uroda kryła jadowite gady. Na miejsce dotarł jadąc po prostu za zauważonymi przedtem na drodze trzema skinheadami na motocyklach. Ani przez chwilę nie sądził, by jechali do Sprengel Museum na wystawę sztuki nowoczesnej.

Droga zabrała mu dziesięć minut. Gdy dotarł na miejsce, natychmiast zauważył *Bierhalle*.

Znajdowała się pośrodku rzędów kawiarni i barów, z których większość była zamknięta.

Piwiarnia miała ceglana, otynkowaną na biało fasadę i prosty szyld z nazwą wypisaną wielkimi czerwonymi literami na czarnym tle.

- No jasne - szepnął do siebie Bob, przejeżdżając obok niej. Kolory faszystowskich Niemiec. Swastyki wystawione na widok publiczny były w Niemczech nielegalne, ci ludzie jednak przywoływali je nie łamiąc prawa. W rzeczywistości, co przypomnieli im podczas obiadu Hausen, choć sam neonazizm również był nielegalny, grupy nazistów obchodziły prawo, nazywając się na wszelkie możliwe sposoby, od Synów Wilków począwszy na Narodowych Socjalistach XXI Wieku skończywszy.

Mimo że sama *Bierhalle* nie był niespodzianką, zgromadzeni przed nią ludzie byli.

Dziesięć okrągłych stolików przed wejściem nie mieściło gości, których liczba rosła w oczach. Przed piwiarnią stało, siedziało na chodniku, krawężniku, wprost na ulicy, a nawet opierało się o zaparkowane wokół samochody, których właściciele nie zdążyli zabrać i które odzyskają dopiero za trzy dni, po zakończeniu uroczystości, około trzystu na ogół młodych ludzi. Przez tłum szybko przebijali się ci nieliczni, którzy zdecydowali się wyjść dzisiaj z domu. Z przodu ruchem ulicznym kierowało czterech policjantów. Pijących starannie omijały jadące ulicą samochody.

Bob Herbert spodziewał się zobaczyć armię skinheadów i brązowych koszul: ogolone łby i tatuaże

lub starannie wyprasowane nazistowskie mundury z naramiennikami. Skinów rzeczywiście było kilkadziesiąt; trzymali się w grupkach, dziesięciu tu, kilkunastu tam, ale w większości goście *Bierhalle*, zarówno mężczyźni, jak i kilka kobiet, ubrani byli w drogie choć pozornie niedbałe ubrania, włosy zaś przystrzyżone mieli modnie, choć może nieco konserwatywnie. Śmiali się i żartowali swobodnie, sprawiając wrażenie młodych prawników lub może maklerów giełdowych, którzy przyjechali do miasta na zjazd branżowy. Scena ta była wręcz przerażająca w swej niewinności. Coś podobnego mogło się zdarzyć w ukochanym, rodzinnym miasteczku Herberta.

Wyćwiczonym okiem Bob podzielił scenę na fragmenty, a następnie zapamiętał każdy z osobna. Nie zajmował się szczegółami. Przeanalizuje je później, wydobyte z wyćwiczonej pamięci.

Przejeżdżając powoli, starał się także wsłuchać w rozmowy. Nie mówił dobrze po niemiecku, ale sporo rozumiał. Ci ludzie rozmawiali o polityce, o komputerach i o gotowaniu, na litość boską! Nie tego oczekiwał; spodziewał się raczej starych niemieckich pieśni pijackich. Nic dziwnego, że władze trzymały się z dala od świętujących Dni Naporu. Gdyby zamknęły to towarzystwo, musiałyby zapewne przyznać się potem do aresztowania słynnych lekarzy, prawników, maklerów giełdowych, dziennikarzy, dyplomatów i jeden Bóg wie, kogo jeszcze! I niech Bóg ich wspomaga, jeśli kiedykolwiek ludzie ci znajdą powód, by przeciw nim wystąpić. Na razie nie byli wystarczająco silni, lecz gdy się wzmocnią i zjednoczą, demokratyczne Niemcy rozpadną się jak domek z kart.- Nastanie epoka wodza, którego świat będzie miał wszelkie powody się lękać.

Bob Herbert poczuł, jak zaciska mu się żołądek. Chciał krzyknąć: „Nie macie prawa, sukinsyny!”, ale wiedział, że przeciwnie, sukinsyny mają prawo. Co za ironia - to właśnie pokonanie Hitlera umożliwiło tym ludziom mówienie i robienie niemal wszystkiego, jak długo to, co mówili i robili, nie miało wyraźnego podtekstu religijnego lub rasistowskiego, i nie zaprzeczało Holocaustowi.

Przy końcu ulicy. odbywała się rejestracja - przy stoliku siedziało kilka osób, mężczyźni i kobiety. Przed stolikiem rosła kolejka, ale nikt się nie przepychał, nikt się nie skarżył, nic nie zakłócało wszechobecnego poczucia wspólnoty. Bob obserwował organizatorów zbierających pieniądze i rozdających porządek dnia, czarno-czerwone nalepki na samochody oraz znaczki.

Cholera, uruchomili tu niezły mały interes, pomyślał zdumiony. Wszystko to sprawiało wrażenie przemyślanego, legalnego... i szalenie niebezpiecznego. W odróżnieniu od skinheadów, uważanych w tym środowisku za klasę niższą, otoczonych powszechną pogardą, ci mężczyźni i tych kilka kobiet było wystarczająco mądrych, by nie przekraczać granic prawa. A kiedy będzie ich już wystarczająco wielu, by wystąpić i wygrać wybory, z pewnością zmienią prawo. Dokładnie tak, jak je zmienili w 1933 roku, kiedy to w pełni zgodnie z prawem oferowali Hitlerowi władzę absolutną nad Niemcami.

Jeden z gospodarzy, wysoki młody człowiek o bardzo jasnych włosach, stał

wyprostowany przy stole, potrząsając dłonią każdego nowo zarejestrowanego członka ruchu.

Wydawał się sztywniejszy w obliczu niewielu skinheadów, bardziej rozluźniony, gdy nie było ich w pobliżu.

Nawet szczury mają swoją hierarchię, pomyślał Bob. Z zaciekawieniem dostrzegł, jak jeden z owych

skinów wyrwał dłoń w uścisku i wyprostował ją w tradycyjnym hitlerowskim pozdrowieniu. Był to tylko pojedynczy, nostalgiczny wyskok, którym pozostali wydawali się być zażenowani. Wyglądało to trochę tak, jakby pijak wszedł do baru podczas odbywającego się tam przyjęcia i zamówił piwo. Tolerowali tego człowieka, ale nie odpowiedzieli na jego pozdrowienie. Najwyraźniej w nowej Rzeszy schizmy rodziły się równie często, jak w starej.

Pojawiały się już podziały, którymi można byłoby manipulować z zewnątrz.

Za Mercedesem Herberta zdążył się już ustawić korek. Bob zwolnił ręczny hamulec, pchnął dźwignię gazu i gwałtownie ruszył spod piwiarni. Był wściekły: wściekły na te oślizgłe gady, spadkobierców wojny i ludobójstwa, wściekły na system, dzięki któremu istnieli i prosperowali.

Skręcił za rogiem i zorientował się, że na sąsiednich uliczkach wprowadzono zakaz parkowania. Cieszył się, że nie było tu cywila z lizakiem. Gdyby był, za bardzo przypominałoby to jakiś cholerny, niewinny wiejski jarmark.

Miejsce na samochód znalazł na jednej z dalszych ulic. Nacisnął znajdujący się obok radia przycisk. Lewe tylne drzwi otworzyły się, wysunął się uchwyt z wózkiem i opuścił

wózek na ulicę. Bob bez wysiłku przesunął go ku przednim drzwiom. Postanowił, że zrobi interes z ludźmi produkującymi takie samochody. Zacznie sprowadzać je do Stanów.

Doprawdy, niesłychanie ułatwiały życie.

Wślizgnął się na fotel, skulony, jakby zaraz miał ruszyć do walki. Przycisnął guzik i uchwyt na wózek cofnął się do samochodu. Zamknął drzwi i pojechał chodnikiem w kierunku *Bierhalle*.

□ Czwartek, 15.28 - Tuluza, Francja

Dominique czuł już smak zwycięstwa. Czuł jego wagę, widział jego kształt i wiedział, że jest blisko. Bardzo blisko.

Sz szczególnie mocno czuł bliskość zwycięstwa od chwili, gdy jego nowojorski prawnik zadzwonił z informacją, że policja miasta Nowy Jork i FBI połknęły przynętę. Oddział Pure Nation, wyznaczony do tego celu przed wieloma miesiącami, został wreszcie aresztowany.

Gurney i jego ludzie zniosą aresztowania jak prawdziwi naziści: dumnie, bez strachu. A przy okazji zdradzą FBI składy broni i literatury, oraz tożsamość człowieka, który zgwałcił te lesbijki w Chicago. FBI będzie się napawało zwycięstwem.

Też mi zwycięstwo! Dominique uśmiechnął się szeroko. Zbieranie odpadków. Zajmie im to czas, odciągnie ludzi od innych spraw, a przy okazji poprowadzi policję we właściwym, czyli niewłaściwym kierunku.

Zdumiała go łatwość, z jaką FBI dało się oszukać. Przysłali szpiega. Zawsze przysyłają szpiegów. Przyjęto go wraz z grupą kandydatów do organizacji, lecz ponieważ ten ich John Wooley miał już prawie trzydzieści lat, a przedtem nigdzie nie należał, dwaj wypróbowani członkowie Pure Nation pojechali do Kalifornii odwiedzić „matkę”, do której pisywał. I choć FBI wynajęło dla niej dom i opracowało legendę, telefonowała ona dwa lub trzy razy dziennie z automatu w miejscowym sklepie spożywczym. Film z ukrytej kamery wideo ujawnił, że dzwoniła do biura FBI w Phoenix. Ric Myers, przywódca Pure Nation, podejrzewał, że pani Wooley sama jest doświadczoną agentką. Wooleya nie wyrzucono z organizacji dla potrzeb FBI podawano mu po prostu fałszywe informacje.

Dominique tymczasem szukał amerykańskich neonazistów, skłonnych wykonać dla niego pewne zadanie. Jean-Michel znalazł Pure Nation; obecność Wooleya w grupie doskonale pasowała do planów Francuza.

Panią Wooley i jej synkiem zajmiemy się we właściwym czasie, pomyślał Dominique.

Już za parę tygodni, kiedy w Stanach zapanuje chaos, Wooleyowie będą jednymi z jego pierwszych ofiar. Starsza pani zostanie zgwałcona i oślepią w swym wynajętym domku, szpiega wykastruje się, ale pozostawi żywego, na przestrożę innym niedopieczonym bohaterom.

Przez jednostronne lustro Dominique patrzył w głąb przylegającej do gabinetu sali konferencyjnej, z której z kolei widać było jego podziemną fabrykę. Poziom niżej, tam gdzie niegdyś, w XIII wieku, podczas krucjaty przeciw albigensom, wytwarzano broń i zbroje, jego ludzie montowali cartridge i tłoczyli CD-ROM-y z gramami. W oddzielnym od reszty sali pomieszczeniu, przy izolowanej, przylegającej do rzeki ścianie, technicy ładowali wersje demonstracyjne do Internetu na całym świecie. Klienci dostaną te gry w każdym możliwym formacie.

Większość przygotowywanych w Demain gier zapewniało najzupełniej normalną, uczciwą rozrywkę. Tyle, że grafika, dźwięk i poziom atrakcyjności były tak doskonałe, że już pierwsza z nich, "Rycerz", zapewniła francuskiej firmie miejsce wśród największych firm produkujących oprogramowania na świecie.

Inne gry były jednak znacznie, ale to znacznie bliższe sercu Dominique'a. I stanowiły o przyszłości przedsiębiorstwa. W rzeczywistości stanowiły także klucz do przyszłości świata.

Mojego świata, pomyślał. Świata, którym będę rządził ukryty w cieniu. „Rozbierz Cyganke” była pierwszą z tych nowych, ważnych gier. Pojawiła się przed dziewięcioma miesiącami, a chodziło w niej o Cyganke podejrzanej kondyty. Gracz miał wymusić w wiosce wszystkie informacje prowadzące do znalezienia jej oraz części jej ubrań, rozrzuconych po okolicy. łączna sprzedaż „Cyganki” przekroczyła dziesięć tysięcy egzemplarzy. Można ją było kupić wyłącznie za zaliczeniem pocztowym, w meksykańskim przedstawicielstwie firmy, a w Meksyku przekupione władze nie ośmieliłyby się ruszyć Demain, niezależnie od tego, jakie gry oferowałyby na sprzedaż. Tę także umieszczono w sieci i reklamowano w faszystowskich magazynach.

Po „Rozbierz Cyganke” pojawił się "Rozpruwacz z getta", którego akcja toczyła się w warszawskim getcie, „Strumyk Inwalidów” - tu należało doprowadzić kaleki nad strumień i utopić je - "Reorientacja", ćwiczenie z grafiki komputerowej polegające na tym, by azjatyckim twarzom nadać europejskie rysy i „Strzelnica ciot", w którym gracze strzelali do homoseksualistów podczas ich parady.

Dominique najbardziej lubił jednak gry najnowsze. „Obóz koncentracyjny” i „Wieszanie”

były o wiele bardziej skomplikowane. Prowadzenie obozu koncentracyjnego w szatański sposób uczyło podstaw biznesu, a podczas polowania na czarnuchów gracze mogli dać myśliwym swe twarze. „Wieszanie” już przedstawiono w Internecie w Stanach i już przyjęto rekordową liczbę zamówień. „Obóz koncentracyjny” miano przedstawić najpierw we Francji, Polsce i Niemczech... w jednym, specjalnym miejscu w Niemczech.

Gry miały zaszczerpić w graczach nietolerancję, ale i tak był to tylko początek. W cztery tygodnie po rozpoczęciu ich sprzedaży Dominique miał zamiar wcielić w życie najambitniejszy ze swych projektów, ukoronowanie długich lat pracy. Tę grę mieli otrzymać darmo użytkownicy Internetu na całym świecie. Nazywała się „Zemsta to tylko początek”, a służyła wyłącznie przyśpieszeniu kryzysu takiego, o jakim Ameryka mogła śnić wyłącznie w najgorszych koszmarach. I - podczas gdy Stany będą się zajmować swoimi problemami, a Niemcy walczyć ze swymi szalejącymi neonazistami - on, Dominique, oraz jego wspólnicy spokojnie rozbudują swe przemysłowe imperia.

Rozbudujemy przemysłowe imperia? - pomyślał. Nie! Weźmiemy tylko to, co zawsze należało do nas.

W latach osiemdziesiątych prezydent Mitterand, pragnąc skierować strumień pieniędzy do pustej państwowej kasy, nacjonalizował wiele prosperujących francuskich firm. W latach dziewięćdziesiątych firmy te pod ciężarem świadczeń socjalnych, funduszy emerytalnych, darmowej opieki zdrowotnej i w ogóle troski o obywatela, przyzwyczajonego do państwa zajmującego się nim

od kołyski po grób, zaczęły się walić. Pociągnęły za sobą banki, a wszystko to spowodowało, że bezrobocie osiągnęło szokujące dwanaście i pół procenta w 1995 roku, a piętnaście procent obecnie; wśród wykształconych specjalistów procent ten był

zresztą dwukrotnie wyższy. Zgromadzenie Narodowe nie uczyniło nic, by zapobiec tej sytuacji, podpisywało się tylko pod kolejnymi pomysłami pana prezydenta i elity jego doradców.

Dominique miał zamiar rozpocząć kurację przez wykupienie ilu się da spośród zbankrutowanych firm państwowych i ponowne ich sprywatyzowanie. Niektóre z przywilejów pracowniczych ulegną oczywiście ograniczeniu, ale bezrobotni dostaną pracę, a pracujący pewność, że za tydzień też będą pracować. Miał także zamiar zdobyć pakiet kontrolny pewnego francuskiego banku. Pieniądze Demain podniosłyby go z upadku, zaś filie zagraniczne ułatwiłyby inwestycje międzynarodowe. Mógłby wówczas przelewać duże sumy z kraju do kraju, unikać podatków, handlować walutami na zasadach preferencyjnych. Już podpisał umowy o zakup brytyjskiego studia filmowego, chińskiej fabryki papierosów, kanadyjskiej firmy farmaceutycznej i niemieckiej agencji ubezpieczeniowej. A gdy za granicą miało się duży biznes, zaciskało się pętlę na szyi zagranicznego rządu.

Pojedynczy ludzie i małe firmy nie miały aż takich możliwości działania, ale międzynarodowe koncerny, owszem. Rację miał ojciec, mówiąc: „Kiedy masz sto tysięcy franków, zarobić milion to problem, ale jeśli masz milion, nie uda ci się uniknąć zarobienia drugiego”.

To, czego w latach osiemdziesiątych bezskutecznie próbowała Japonia - dominacji ekonomii światowej - Francja miała osiągnąć w dwudziestym pierwszym wieku. A on, Dominique; będzie nią rządził jako szara eminencja.

Niemcy, pomyślał z pogardą. Weszli do historii jako naród pokonany. pobity przez Juliusza Cezara w 55 roku p.n.e. Uratował ich dopiero Karol Wielki. Cesarz... Franków.

Dominique już zamówił u francuskiego piosenkarza coś, co nazwał „Hitla Rap”. W

prostym, hipnotycznym rytmie rapu piosenka opisywała Niemców takich, jakimi są naprawdę

- jako naród ponurych wieśniaków. Po osiągnięciu swych celów we Francji miał zamiar wskazać Hunom ich właściwe miejsce, choć nie mógł się oprzeć pokusie zabrania się nieco wcześniej za jednego z nich, Hausena.

Henri telefonował już z informacją o tym, że ich misja zakończyła się sukcesem. We Francji o pożarze grzmiąły środki masowego przekazu. Nim strażacy zdołali opanować sytuację, spaliło się kilka zabytkowych domów w St. Pauli. Doskonale, choć ciekawe, co też arystokratyczny pan Richter wymyśli w odpowiedzi? Czy zabije Jean-Michela? Zaatakuje dystrybutora produktów Demain na Niemcy? Wielce wątpliwe. Podniosłoby to stawkę do wysokości dla Niemca niebezpiecznej, jemu samemu zaś nie wyrządziłoby większej szkody.

Czy więc Richter skapituluje i zajmie swe miejsce przy nodze? To także wątpliwe. Jest człowiekiem

zbyt dumnym, by giąć się w pas. Może zdradzi prasie tajne plany wroga?

Niezbyt prawdopodobne, wie o nich za mało, a w ogóle, to kto by mu uwierzył? Jest przecież neonazistowskim sprzedawcą seksu. W każdym razie niczego nie da się udowodnić jemu, Dominique'owi, osobiście.

Ale przecież Richter coś zrobi. Musi. Wymaga tego jego honor. Dominique stanął tyłem do lustra i wrócił do gabinetu. Jedno wiedział na pewno: lepiej mu było w swych własnych butach, niż w butach Richtera.

□ **Czwartek; 15.23 - nad rzeką Leine, Niemcy**

Wychodząc zza kępy drzew, Karin Doring rozejrzała się i pozwoliła sobie na jeden ze swych bardzo rzadkich uśmiechów.

Jeszcze nigdy nie widziała niczego tak pięknego jak ten obóz. Teren nad brzegami Leine rodzina Manfreda wykupiła przed przeszło dziesięciu laty: dwadzieścia akrów pachnącego lasu, ograniczonego rzeką na wschodzie i wysokimi wzgórzami na zachodzie, dokładnie za ich plecami. Od północy chronił ich głęboki wąwóz, drzewa zaś uniemożliwiały jakąkolwiek obserwację z powietrza.

W obozie jej ludzie postawili namioty, cztery rzędy po pięć; w każdym z nich mieszkały dwie osoby. Od góry zamaskowane zostały gałązkami i liśćmi, tak że były niewidoczne dla władz, szukających skradzionej z planu filmowego ciężarówki. Samochody, którymi przyjechali do obozu członkowie grupy, zaparkowano w rzędzie od strony południowej i również zamaskowano.

Najbliższym większym miasteczkiem było Garbsen, leżące w odległości ponad trzydziestu kilometrów na południe. Poszukiwania terrorystów, którzy zaatakowali ekipę filmową, rozpoczną się właśnie tam i będą kontynuowane w kierunku Hanoweru, stolicy Dni Naporu, a więc daleko na południowy wschód od nich. Nikt nie będzie ich szukał tu, pośrodku krainy niemal wyjętej z baśni braci Grimm. Policji po prostu zabraknie ludzi, zwłaszcza podczas trzydniowych obchodów Dni Naporu, a nim się one zakończą, Karin i jej oddział zdążą opuścić to miejsce. A nawet jeśli komuś uda się dojść, że napad był jej dziełem, nawet jeśli obóz zostanie odnaleziony, władze nie dostaną ani jej, ani jej grupy. Wartownicy zdążą ostrzec ją w porę, specjalnie wyszkolone psy opóźnią nadejście policji, a tymczasem pamiętki utopi się w jeziorze lub spali. Przykre by to było, ale jednak konieczne; nie można przecież dopuścić, by ktoś znalazł tu dowody zbrodni.

Niech tylko spróbują nas złapać, pomyślała Karin i było to wyzwanie. Gdyby zaszła taka konieczność, znajdujący się w obozie ludzie walczyliby wraz i nią aż do ostatniego żołnierza.

Rząd Niemiec może sobie wprowadzać wszystkie te upokarzające prawa, jakby bezustannie przeproszał za wszystko cały świat, może dać się prowadzić na pasku Ameryce i Europie, ale ona i jej zwolennicy nigdy się nie ugną! Przyjdzie czas, że wszyscy Niemcy oddadzą cześć dziedzictwu, które pomogła zachować.

Czterdziestu członków Feuer, którzy znaleźli się w obozie, należało do jej najbardziej oddanych zwolenników. Wjeżdżający samochód powitały wiwaty. Rolf zaledwie zdążył

zaparkować go w rzędzie innych, na południe od obozu, a już przed jego maską zgromadzili się w półkołu jej Feuermenschen, „ludzie ognia”, bo tak ich nazywała. Z wzniesionymi prawymi rękami, dłońmi zaciśniętym w pięść, krzyczeli niezmordowanie *Sieger, Feuer!* -

Zwyciężaj, ogniu!

Karin w milczeniu wysiadła z samochodu. Okrążyła go, otworzyła tylne drzwi i wyjęła hełm, nieco zardzewiały: Rzemyk pod brodę był szorstki, popękany, ale czerwień, czep i biel, biała tarcza po prawej stronie oraz srebrno-biały *Wehrmachtadler*, orzeł i swastyka, po lewej, błyszcząły czysto.

Ujęła hełm w obie dłonie i podniosła w wyprostowanych rękach na wysokość twarzy, jakby koronowała króla.

- Żołnierze! - powiedziała. - Dziś odnieśliśmy wielkie zwycięstwo: Te pamiątki po Rzeszy odebrane zostały kolekcjonerom kuriozów, profesorom, niegdysiejszym wojownikom.

Trafiły z powrotem w ręce ludzi gotowych walczyć. Trafiły z powrotem w ręce patriotów!

Znów rozległ się głośny okrzyk- *Sieger, Feuer*. Karin podała hełm stojącemu obok niej młodemu mężczyźnie, który ucałował go, drżąc, i wyciągnął dłoń po więcej, bo Karin Doring rozdawała swym ludziom kolejne pamiątki. Sztylet SA zachowała dla siebie.

- Strzeżcie ich - powiedziała jeszcze. - Dziś przywrócimy im ich dawną świetność. Od dziś znów będą narzędziami wojny.

Żołnierze Feuer tłoczyli się wokół niej. W tym momencie podszedł siedzący do tej pory w kabinie Manfred.

- Jest do ciebie telefon - powiedział. Spojrzała na niego pytająco.

- Felix Richter.

Twarz dziewczyny pozostała nieruchoma; prawie zawsze była nieruchoma. Niemniej telefon od Richtera ją zaskoczył. Podczas obchodów w Hanowerze nie spodziewała się od niego telefonu.

Wręczyła Manfredowi trzymany w dłoni karabin, obeszła samochód, wspięta się do kabiny i zamknęła drzwi. Manfred położył słuchawkę na siedzeniu. Podniosła ją i zawahała się.

Karin nie lubiła Richtera. I nie tylko dlatego, że byli rywalami - jego ruch polityczny przeciw jej ruchowi militarnemu. Były to po prostu dwie różne drogi prowadzące do osiągnięcia tego samego celu, spełnienia snu rozpoczętego w 1933 roku, gdy Hitler objął

urząd kanclerza Rzeszy: ustanowienia aryjskiego świata. Oboje zdawali sobie przecież sprawę z tego, że cel ten można osiągnąć wyłącznie poprzez wielkie natężenie nacjonalizmu oraz ekonomiczny *Blitzkrieg* przeciwko zagranicznym inwestorom i zagranicznej kulturze. Oboje zdawali też sobie sprawę, że - by cel ten osiągnąć - potrzebne będą organizacje silniejsze i bardziej elastyczne niż te, którymi dysponowali obecnie.

Nie, u Richtera niepokoiło ją jedno - nie potrafiła się jakoś przekonać, że jest oddany nazizmowi. Miała wrażenie, że pragnie tylko zostać dyktatorem, dyktatorem wszystko jedno czego. W odróżnieniu od niej, która kochała Niemcy nad życie, on wydawał się jej człowiekiem, który byłby szczęśliwy rządząc Birmą, Ugandą lub choćby Irakiem.

Wcisnęła przycisk.

- Dzień dobry, Feliksie - powiedziała do słuchawki.

- Dzień dobry, Karin. Słyszałaś?

- O czym?

- A więc nie słyszałaś, bo inaczej byś nie pytała. Zostaliśmy zaatakowani. Niemcy zostały zaatakowane. Nasz ruch!

- O czym ty mówisz! Przez kogo?

- Przez Francuzów - powiedział Richter.

To jedno słowo wystarczyło, by zepsuć jej dzień. Dziadek Karin był *Oberfeldarzt*, podpułkownikiem służb medycznych. Stacjonował w okupowanej Francji. Francuzi zabili go, gdy opatrywał niemieckich żołnierzy rannych podczas upadku St. Sauveur. Kiedy dorastała, leżała w łóżku słuchając rodziców i ich przyjaciół rozmawiających o tchórzostwie Francuzów, o ich absolutnym braku lojalności i o tym, jak zdradzili swój własny kraj.

- Mów dalej.

- Dziś rano spotkałem się z wysłannikiem, którego Dominique przysłał na Dni Naporu.

Zażądał, bym przyłączył swą organizację do niego. Kiedy odmówiłem, zniszczył mój klub.

Spalił go do fundamentów.

Karin nie obchodziło to w najmniejszym nawet stopniu. Jego klub przeznaczony był dla degeneratów - bardzo dobrze, że już nie istnieje.

- A gdzieś ty był? - spytała. - Trzymali mnie na muszce.

Karin spojrzała na swoich ludzi, idących wśród drzew. Każdy z nich miał ze sobą jakiś symbol Rzeszy. Żaden z nich nie uciekłby przed Francuzem, uzbrojonym czy nie uzbrojonym.

- Gdzie teraz jesteś?

- Dopiero co przyjechałem do mieszkania. Karin, oni chcą stworzyć sieć organizacji, mających im służyć. Wyobrażają sobie, że będziemy jednym z głosów w tym chórze.

- To niech sobie wyobrażają! *Fuhrer* pozwolił, by inne rządy wyobrażały sobie, co chcą.

Potem zmusił je do posłuszeństwa.

- A jak? - spytał Richter

- O co ci chodzi? Narzucił im swoją wolę. Miał armię.

- Nie! Nie użył armii, lecz po prostu ludzi. Nie rozumiesz? Próbował obalić rząd Bawarii w puczu 1923 roku. Zabrakło mu poparcia i został aresztowany. W więzieniu napisał „Mein Kampf”, dzieło zawierające jego wizję przyszłych Niemiec, i w ciągu dziesięciu lat stał się przywódcą narodu. Nie zmienił się i nie zmienił poglądów, ale „Moja walka” podbiła masy, a kontrolując masy kontrolował *Vaterland*. Wówczas nie miało już znaczenia, co myślały lub robiły inne narody.

- Feliksie, nie muszę wysłuchiwać lekcji historii. - Karin była nieco zdezorientowana.

- To nie historia, to przyszłość! Musimy kontrolować ludzi, a ludzie są tu, Karin, tu i teraz. Mam plan, chcę dziś uczynić coś, co na zawsze zapisze się w historii.

Richter nadal nie obchodził jej w najmniejszym nawet stopniu. W końcu jest tylko próżnym, egoistycznym sukinsynem, mającym wprawdzie arogancję *Fuhrera* i coś z jego śmiałej wizji, ale bez koniecznej do jej zrealizowania odwagi.

A może nie? - pomyślała. Może pożar go zmienił. - Dobrze, Feliksie. Słucham. Co proponujesz?

Powiedział. Wysłuchała go z wielkim zainteresowaniem i nabrała do niego odrobinę szacunku.

Oczywiście, nadal chodziło mu o chwałę Niemiec... i Felixa Richtera. Widać to było w każdym jego słowie, każdej jego myśli, ale to, co powiedział, miało sens. I chociaż Karin każdą ze swych trzydziestu dziewięciu akcji przeprowadziła po dokładnym planowaniu, podobała się jej powstała pod wpływem chwili idea Richtera. To rzeczywiście coś nieoczekiwanego. Coś śmiałego. Coś doprawdy historycznego.

Spojrzała na swój obóz, swych wojowników, na pamiątki, które ściskali w dłoniach. Tu było wszystko, co kochała, tu było wszystko, czego potrzebowała. A jednak to, co proponował Richter dawało jej szansę zachowania tego wszystkiego oraz zadania miażdżącego ciosu Francuzom. Francuzom... wraz z resztą świata.

- W porządku, Felixie - powiedziała. - Masz rację, powinniśmy spróbować. Przyjedź do mojego obozu przed spotkaniem; to wszystko sobie omówimy. Dziś wieczorem Francuzi dowiedzą się, że nie są w stanie zwalczyć ognia ogniem.

- Doskonale. Bardzo mi się to podoba. Lecz jeden z nich dowie się tego wcześniej. Dowie się tego znacznie wcześniej.

Richter przerwał połączenie. Karin siedziała, nie wypuszczając słuchawki z dłoni. Tak zastał ją Manfred.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- A czy kiedykolwiek wszystko jest w porządku? - odparła gorzko. Wręczyła mu telefon; schował go do kieszeni wiatrówki.

Karin wysiadła z samochodu i zabrała się do tego, co lubiła najbardziej: dawania swym ludziom broni do ręki i rozniecania ognia w ich sercach.

□ **Czwartek, 15.45 - Hamburg, Niemcy**

Hood i Stoll spędzili wczesne popołudnie, wyjaśniając Marlinowi Langowi, czego potrzebują i ile są skłonni za to zapłacić. Lang zaprosił do gabinetu kilku swych najlepszych inżynierów, by zaopiniowali, które z potrzeb Centrum dadzą się zaspokoić. Hood z radością, choć bez szczególnego zdumienia, przyjął informację, że większość z tego, czego potrzebowali, znajduje się co najmniej na desce kreślarskiej. Z braku programu Apollo, finansującego badania naukowe oraz oferującego nowe technologie do dowolnego wykorzystania, cały ciężar postępu nieść musiały firmy prywatne. Oczywiście kosztowało je to drogo, sukces oznaczał jednak miliardy dolarów zysku. Pierwsze firmy patentujące dziś nowe technologie miały stać się w przyszłości nowymi Apple Computers, nowymi Microsoftami.

Obie strony zaczęły się właśnie dogadywać co do kosztów technik potrzebnych Centrum Regionalnemu, kiedy w fabryce rozległ się nagle dźwięczny głos gongu. Hood i Stoll aż podskoczyli w krzesłach. Lang ścisnął dłoń Paula.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Doprawdy, powinienem was uprzedzić. Mamy tu cyfrową... dzwonnice. Dzwon wybija dziesiątą, dwunastą i trzecią po południu. Sygnalizuje przerwę.

- Urocze - stwierdził Paul Hood. Serce nadal waliło mu w piersiach jak młotem.

- Naszym zdaniem jest to coś przyjemnie staroświeckiego. Aby stworzyć poczucie braterstwa, dzwon wybija godziny jednocześnie we wszystkich naszych fabrykach w Niemczech. Są połączone światłowodami.

- Rozumiem - pochwalił się Matt. - To taki wasz dzwonnik Quasimodo.

Hood uniósł pytająco brwi.

Po spotkaniu i powrocie do Hamburga, Hood, Stoll i Lang pojechali pięć kilometrów na północny wschód, do nowoczesnej dzielnicy City Nord. Ograniczona kręgiem Ubresee Ring, dzielnica ta była centrum administracyjnym i ekonomicznym Hamburga. W smukłych budynkach mieściło się wszystko, począwszy od Ministerstwa Energetyki, a skończywszy na zagranicznych firmach komputerowych, oraz sklepy i restauracje; nie zabrakło nawet hotelu.

Codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel, do City Nord, do pracy lub zabawy, dojeżdżało przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi.

Kiedy wreszcie znaleźli się na miejscu, miody, schludny sekretarz Hausena, Reiner, wprowadził ich od razu do gabinetu wiceministra spraw zagranicznych. Stoll podziwiał przez chwilę wiszący na ścianie stereogram.

- Dyrygenci - powiedział w końcu. - Sprytne. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- To mój projekt - stwierdził dumnie Reiner.

Hamburski gabinet Hausena znajdował się na szczycie kompleksu biurowego; jego okna wychodziły na czterystuczterdziestopięcioakrowy Stadtpark. Kiedy weszli, Hausen rozmawiał

przez telefon. Stop, oczywiście, natychmiast zainteresował się jego komputerami. Lang patrzył mu przez ramię, Paul Hood tymczasem podszedł do wielkiego okna. W głębokim, złotym świetle późnego popołudnia dostrzegł basen, tereny sportowe, widownię na otwartym powietrzu i słynny park ornitologiczny:

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że Hausen jest znów spokojny i opanowany -

jak zwykle. Cokolwiek martwiło go przedtem zostało albo załatwione, albo po prostu przestało martwić.

Gdybym tylko mógł to samo powiedzieć o sobie, pomyślał smutno Hood. Poczul się bardzo źle, kiedy Rodgers powiedział mu o grze w komputerze Billy'ego, ale jeszcze w Los Angeles miał do czynienia z takim natężeniem nienawiści, że wcale go to szczególnie nie zdumiało.

Z nienawiścią i śmiercią potrafił sobie poradzić, nie potrafił jednak zapomnieć o dziewczynie w hotelu. Wszystkie te szlachetne myśli o Ann Farris i Sharon pozostały daleko.

Zdumiała go i przeraziła gorączka, niepokój, wręcz strach towarzyszący rozmowie z odźwiernym.

Boże, pomyślał Paul, jakże pragnąłbym jej nienawidzić. Próbował, ale teraz, jak i przed laty, zawsze kończyło się to tak samo, zaczynał nienawidzić sam siebie. Nie potrafił obronić się przed wrażeniem, że to wszystko przez niego.

Ale tego nigdy nie dowiesz się na pewno - powiedział sobie. I ta pewność była niemal równie dokuczliwa jak poczucie klęski. Nie wiedzieć, dlaczego poniosło się klęskę.

Machinalnie przesunął dłonią po sportowej marynarce w miejscu, gdzie znajdowała się wewnętrzna kieszeń. W tej kieszeni tkwił portfel, w portfelu zaś znajdowały się bilety. A wraz z biletami wspomnienia.

- Niezły widok, co? - spytał Hausen. Jego pytanie zaskoczyło Paula. Wytrąciło go z równowagi. Rzeczywistość zwała się na niego całym swym ciężarem.

- Rzeczywiście, wspaniały. U siebie w domu nie mam nawet okna. Hausen uśmiechnął się.

- Mamy po prostu inne obowiązki zawodowe, *Herr Hood*. Ja muszę widzieć ludzi, którym służę. Muszę widzieć młodych ludzi pchających dziecinne wózki. Muszę widzieć stare małżeństwa spacerujące po parku, trzymające się za ręce. Muszę widzieć, jak bawią się dzieci.

- I tego panu zazdroszczę - przyznał Paul. - Ja w godzinach pracy patrzę na mapy, oceniając, czy ładunek bomb spełni swe zadanie lepiej niż inny rodzaj broni.

- A więc pana zadaniem jest niszczenie zepsucia i tyranii. Moim natomiast... - Hausen zawahał się, uczynił gest, jakby zrywał jabłko z jabłoni, znalazł właściwe słowo i kontynuował - ...moim natomiast przeciwieństwo tego, co pan robi. Staram się chronić życie, współpracę.

- Wspólnie bylibyśmy więc cholernie dobrym biblijnym patriarchą uśmiechnął się Paul.

Hausen odpowiedział mu pogodnym uśmiechem. - Ma pan na myśli Sędzięgo?

- Słucham? - Paulowi umknęło delikatne rozróżnienie.

- Sędzięgo - powtórzył Niemiec. - Przepraszam. Nie chciałem pana poprawiać; ale Biblia jest moim hobby. Właściwie nawet pasją, w końcu chodziłem do katolickiej szkoły podstawowej. Szczególnie lubię Stary Testament. Czy wie pan, kim byli Sędziowie?

Hood musiał przyznać, że nie. Mógł tylko założyć, że chodzi o coś w rodzaju współczesnych prawników, choć nie miał zamiaru dzielić się z nikim swym podejrzeniem.

Kiedy był jeszcze burmistrzem Los Angeles, miał na ścianie plaketkę z tekstem: „Jeśli nie wiesz na pewno, trzymaj gębę na kłódkę”. Rada ta wielce przysłużyła mu się podczas sprawowania urzędu.

- Sędziowie - wyjaśnił Hausen - to ludzie, którzy wyrosli spośród różnorodnych plemion Izraela, by stać się bohaterami narodowymi. Pan nazwałby ich zapewne przywódcami spontanicznymi, ponieważ nie mieli żadnych związków z władcami. Lecz kiedy raz objęli dowództwo, posiadali autorytet moralny i rozstrzygali wszystkie spory.

Hausen znów spojrział za okno. Sprawiał teraz wrażenie znacznie bardziej ponurego.

Paula poważnie zaintrygował wreszcie ten człowiek, który nienawidził neonazistów, znał historię Żydów i najwyraźniej, jakby to powiedziano w telewizji, „krył jakiś sekret”.

- Niegdyś, *Herr Hood*, a byłem wówczas bardzo młodym człowiekiem, uważałem, że Sędziowie to ostateczny i najwłaściwszy system rządów. Myślałem wówczas nawet: „Hitler to rozumiał. Był jak Sędzia Izraela. Może od Boga dostał mandat na sprawowanie władzy?”.

- Uważał pan, że Hitler spełnia boże dzieło? - Paul przyjrzał mu się z niedowierzaniem. -

Zabijając ludzi i wszczynając wojny?

- Sędziowie zabili wielu ludzi i wszczęli wiele wojen. Proszę nas zrozumieć, panie Hood.

Hitler pomógł nam odzyskać dumę po porażce I wojny światowej. Pomógł zakończyć kryzys.

Zdobyl ziemie, do ktorych wielu ludzi, wedlug swych wlasnych kryteriow, miało niezaprzeczalne prawo. Zaatakował narody, ktorými wielu Niemców pogardzało. Jak pan myśli, dlaczego neonazizm jest dziś aż tak popularny? Odpowiem panu: wielu Niemców nadal sądzi, że miał rację!

- Lecz przecież pan walczy dziś z tymi ludźmi. Jak to się stało, że przejrzał pan na oczy?

- Nie chciałbym okazać się człowiekiem nieuprzejmym, panie Hood powiedział Hausen poważnym, stłumionym i bezdźwięcznym głosem ale tego problemu nigdy jeszcze z nikim nie dyskutowałem. Nie mam też zamiaru zrzucać go na barki nowych przyjaciół.

- A czemuż to nie? Wraz z nowymi przyjaciółmi pojawiają się nowe punkty widzenia.

- Nie na ten temat - stwierdził sucho Niemiec.

Hausen lekko przymknął oczy. Nie było wątpliwości, że nie widzi już parku i spacerujących po parku ludzi. Znalazł się w jakimś innym, przygnębiającym świecie. Paul zdał sobie nagle sprawę z tego, jak głęboko się mylił. Nie stworzyliby razem idealnego patriarchy, nie stworzyliby razem idealnego Sędziego. Byli po prostu parą facetów żyjących w cieniu tego, co przydarzyło im się całe lata temu.

- Jest pan człowiekiem umiejącym współczuć - powiedział Hausen więc podzielę się z panem pewną myślą...

- Przepraszam, panowie - odezwał się nagle Stoll. - Co my tu właściwie mamy...

Hood obejrzał się. Hausen położył mu dłoń na ramieniu, jakby pragnął powstrzymać go od odejścia.

- W liście świętego Jakuba Apostoła, 2:10, czytamy: „Choćby ktoś przestrzegał całego Prawa, a przestąpiłby jedno tylko przykazanie, ponosi winę za wszystkie”. - Hausen cofnął

dłoń. - Wierzę w Biblię = wyznał - ale ponad wszystko wierzę w to.

- Panowie... *meine Herren*... - Matt Stoll wpatrywał się w komputer - podejdźcie wreszcie tu, dobra?

Hausen nigdy jeszcze nie wydawał się Paulowi postacią aż tak tajemniczą, ale w głosie Matta usłyszał znajomą nutkę: coś tu jest bardzo, bardzo nie tak. A Lang zasłonił usta dłońmi, jakby przed chwilą był świadkiem wypadku samochodowego. Klepnął więc zrezygnowanego Hausena po ramieniu, mocno, i pośpieszył do komputera.

□ Czwartek, 09.50 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

- Bardzo panu dziękuję, panie generale. Szczerze panu dziękuję. Ale odpowiedź nadal brzmi: „nie”.

Siedzący w gabinecie, niedbale odchylony w fotelu, generał Mike Rodgers doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że właściciel przemawiającego do niego głosu mówi dokładnie to, co myśli: Zdawał sobie także sprawę z tego, że właściciel głosu niemal nigdy nie odwoływał tego, co powiedział. Brett August znał cenę słowa już w wieku lat mniej więcej sześciu.

On sam jednak także mówił szczerze; więcej - pragnął szczerze mieć pułkownika na stanowisku dowódcy Iglicy. A nie należał do ludzi, którzy się poddają, a już zwłaszcza wtedy, kiedy znał nie tylko mocne, lecz także słabe punkty przeciwnika.

Weterani dziesięcioletniej służby w dowództwie oddziałów specjalnych sił powietrznych, August był przyjacielem Mike'a Rodgersa z dzieciństwa. Samoloty uwielbiał bardziej nawet niż sam Rodgers filmy sensacyjne. Dwaj młodzi chłopcy w weekendy jeździli na rowerach drogą 22 do Bradley Field w Harford w Connecticut. Wystarczyło im, że siedzieli na pustym polu i obserwowali startujące i lądujące samoloty. Obaj mieli wystarczająco wiele lat, by pamiętać, jak samoloty o napędzie tłokowym ustąpiły pola odrzutowcom; Rodgers pamiętał

nawet doskonale, jak się podniecał przy starcie któregoś z tych nowych 707. August po prostu wychodził wtedy z siebie.

Każdego dnia po szkole wspólnie odrabiali zadania domowe, jeden rozwiązywał problem matematyczny, drugi przyrodniczy; w ten sposób szybciej mieli wszystko za sobą. Potem kleili modele samolotów, pilnie dbając, by pomalować je w zgodzie z rzeczywistością i by kalkomanie znalazły się dokładnie w tych miejscach, w których powinny się znaleźć. Jeden jedyny raz się pobili - i to podczas dyskusji, gdzie należy umieścić białą gwiazdę na *FH-1*

Phantom. Na pudełku znajdowała się tuż pod usterzeniem ogonowym, Mike Rodgers był

jednak pewien, że umieszczono ją tam błędnie. Po bójce obaj poszli do biblioteki sprawdzić, który z nich miał rację. Mike miał rację. Gwiazda powinna znajdować się na kadłubie, dokładnie między ogonem i skrzydłami. Brett zachował się jak prawdziwy mężczyzna i przeprosił przyjaciela.

Brett August uwielbiał także astronautów. Śledził z zapałem wzloty i upadki amerykańskiego programu kosmicznego. Zdaniem Mike'a nigdy nie był tak szczęśliwy jak tego dnia, kiedy Ham, pierwsza amerykańska małpa w kosmosie, przyjechała do Harford z wizytą promocyjną. Patrząc na tego pierwszego swego prawdziwego kosmonautę, po prostu -

wpadł w euforię. Nie sprawiał wrażenia aż tak szczęśliwego nawet wtedy, kiedy wyznał, że wreszcie udało mu się zaciągnąć do łóżka Barb Mathias.

Nadszedł czas odbycia służby wojskowej. Obaj znaleźli się w Wietnamie. Rodgers zaciągnął się do armii, Brett do sił powietrznych. Mike walczył w dżungli, Brett zaś odbywał

loty rozpoznawcze nad Północnym Wietnamem. Podczas jednego z nich został zestrzelony na północny zachód od Hue i wzięty do niewoli. Ponad rok spędził w obozie dla jeńców wojennych, z którego, wraz z jeszcze jednym więźniem, uciekł w 1970 roku. Przez trzy miesiące przedzierał się na południe i wreszcie znaleziony został przez patrol piechoty morskiej.

Przeżycia te nie załamały Bretta Augusta. Wręcz przeciwnie, odwaga wykazywana przez amerykańskich jeńców wojennych najwyraźniej dodała mu ducha. Powrócił do Stanów, odzyskał siły i zdrowie, i wrócił do Wietnamu jako organizator siatki szpiegowskiej, której zadaniem było wyszukiwanie jeńców wojennych. Pozostał w ukryciu rok po wycofaniu się Amerykanów, a następnie spędził trzy lata na Filipinach, pomagając prezydentowi Marcosowi w jego walce z secesjonistami Moro. Był łącznikiem sił powietrznych z NASA - organizował

ochronę wystrzeżeń kolejnych satelitów szpiegowskich, po czym dołączył do SOC jako ekspert od walki z terroryzmem.

Chociaż Mike i Brett w latach po wojnie wietnamskiej widywali się rzadko, gdy tylko zdarzyła się im okazja do rozmowy, czuli się tak, jakby pożegnali się wczoraj. Któryś z nich przynosił na spotkanie model samolotu, drugi farby i kleje, i wtedy wreszcie obaj dobrze się bawili.

Więc kiedy pułkownik August powiedział swemu staremu przyjacielowi, że mu dziękuje, Rodgers uwierzył. Nie uwierzył natomiast w „nie”.

- Brett - powiedział - popatrz na to w ten sposób. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat więcej byłeś poza krajem, niż w kraju. Wietnam, Filipiny, Przylądek Canaveral...

- Ale dowcip, panie generale.

- ...a teraz Włochy. Mocno przestarzała baza NATO na uboczu...

- O czwartej zero zero przenoszę się na pokład luksusowego „Eisenhowera” pogadać z paroma krzykliwymi Francuzami i Włochami. Masz szczęście, że mnie złapałeś.

- Czyżbym rzeczywiście cię złapał?

- Przecież wiesz, co mam na myśli. 1, generale... - Mike.

- I, Mike, mnie się tu naprawdę podoba. Włosi są całkiem fajni.

- A pomyśl tylko, jak byśmy się wspaniale bawili, gdybyś wrócił do domu. Dobra, powiem ci nawet o niespodziance.

- Jeśli nie znalazłeś tego *Messerschmitta Bf-109*, którego szukaliśmy jako dzieci, to nie ma takich skarbów...

- A Barb Mathias? - rzucił w telefon Mike.

W słuchawce usłyszał ciszę głęboką jak ocean.

- Znalazłem ją. Jest rozwiedziona, nie ma dzieci. Mieszka w Enfield w Connecticut.

Pracuje w dziale reklamy miejscowej gazety i twierdzi, że z radością by się z tobą zobaczyła.

- Nadal wie pan, jak oszukiwać w kartach, generale.

Special Operations Center - Centrum Operacji Specjalnych [przyp. Red].

- Brett, cholera, przyjedź przynajmniej, to porozmawiamy sobie o tym w cztery oczy. A może powinienem znaleźć tu kogoś, kto wyda ci rozkaz przyjazdu?

- Generale, zaszczytem byłoby dowodzić jednostką taką jak Iglica, ale przez prawie cały czas musiałbym siedzieć w Quantico, a to z pewnością doprowadziłoby mnie do szaleństwa.

Teraz mogę sobie przynajmniej pojeździć po Europie, wtykając swoje trzy grosze w ten czy inny projekt.

- Trzy grosze? Brett, masz w głowie wiedzę wartą miliony! Chcę kupić ją całą. Powiedz, czy ci tam ludzie często słuchają tego, co masz im do powiedzenia?

- Bardzo rzadko - przyznał Brett August.

- No właśnie. Jesteś najlepszym taktykiem i strategiem w mundurze armii amerykańskiej, i wszyscy powinni cię słuchać.

- Może i masz rację. Ale przecież służę w siłach powietrznych. A poza tym mam już czterdzieści pięć lat. Nie jestem pewien, czy dałbym radę latać wokół Gór Diamentowych w Północnej Korei, zestrzeliwując rakiety *Nodong*.

- Pieprzysz. Jestem pewien, że nadal robisz te pompki na jednej ręce, które robiliśmy czekając na samoloty w Bradley. Twój własny program małego astronauty.

- Nadal je robię, choć nie tyle, co przedtem.

-- Może i nie-tyle, ale z pewnością więcej, niż ja byłbym w stanie zrobić. 1

prawdopodobnie znacznie więcej, niż są w stanie zrobić gówniarze z Iglicy. - Rodgers pochylił się i oparł na biurku. - Brett, przyjedź tu, to pogadamy. Potrzebuję cię. Chryste, przecież nie mieliśmy okazji popracować razem od dnia, kiedy się zaciągnęliśmy.

- Dwa lata temu skleiliśmy ten model F-14A *Tomcat*..

- Przecież wiesz, o co mi chodzi. Nie prosiłbym cię, gdybym nie wierzył, że dobrze się nam będzie pracowało. Słuchaj, chciałeś napisać książkę o Wietnamie, ale skarżyłeś się, że brak ci czasu. Dam ci czas. Chciałeś nauczyć się grać na pianinie. Kiedy masz zamiar to wszystko zrobić?

- Kiedyś. W końcu mam przecież zaledwie czterdzieści pięć lat. Mike Rodgers zmarszczył brwi.

- Zabawne, że raz to jest aż czterdzieści pięć lat, a raz tylko czterdzieści pięć lat.

- Zabawne?

Tym razem Mike zaczął stukać palcami po biurku. Pozostała mu w ręce już tylko jedna karta i miał zamiar zagrać ją dobrze.

- Poza tym tęsknisz za domem - powiedział w końcu. - Sam mi to powiedziałeś, kiedy widzieliśmy się tu po raz ostatni. A co jeśli obiecuję ci, że nie będziesz siedział kamieniem w jednym miejscu? Mam zamiar wysłać Iglicę na manewry z różnymi oddziałami specjalnymi z całego świata. Zrobimy to razem. Pracujemy teraz nad Centrum Regionalnym. Kiedy już będzie gotowe, wraz z Iglicą będziesz przemieszczał się z miejsca na miejsce. Będziesz mógł

spędzać miesiąc we Włoszech ze wszystkimi swoimi włoskimi przyjaciółmi, potem miesiąc w Niemczech, miesiąc w Norwegii...

- Teraz też mogę.

- Ale grasz nie w tej drużynie. Po prostu przyjedź na parę dni. Porozmawiasz ze mną, obejrzyś sobie ludzi... Ty przywieziesz klej, ja załatwię samolot.

Brett August zawahał się.

- Dobrze - powiedział po długiej przerwie. - Załatwię sobie przepustkę u generała DiFate.

Ale wracam tylko po to, żeby pogadać i złożyć model. Żadnych zobowiązań.

- Żadnych zobowiązań - zgodził się Rodgers.

- To załatw mi jeszcze kolację z Barb. Wymyśl, jak ściągnąć ją do Waszyngtonu.

- Załatwione.

Brett podziękował mu i odwiesił słuchawkę.

Mike Rodgers rozsiadł się wygodnie w fotelu. Uśmiechnął się szerokim, zadowolonym uśmiechem. Po utarczce z senatorem Fox i Marthą czuł się teraz tak, jakby sam objął dowództwo Iglicy. Wszystko

dobrze, byle wynieść się z tego budynku, byle dalej od całego tego politycznego gówna, byle tylko zrobić coś sensownego, zamiast siedzieć na tyłku.

Perspektywa pracy z Brettem podniosła go na duchu. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy wstydzić, że nadal jest w nim tyle z małego chłopca.

Zadzwonił telefon.

Mike Rodgers zdecydował, że jak długo jest szczęśliwy i robi swoją robotę nie ma większego znaczenia, czy czuje się, jakby miał lat pięć, czy czterdzieści pięć. Sięgając po słuchawkę doskonale zdawał sobie sprawę, że szczęście nie może trwać wiecznie.

□ **Czwartek, 15.51 - Hanower, Niemcy**

Bob Herbert posapywał lekko, oddalając się od samochodu.

Nie miał silniczka przy wózku i nie miał zamiaru go zakładać. Kiedy dożyje dziewięćdziesiątki, osłabnie, i nie będzie w stanie pojechać na dłuższy spacer, po prostu przestanie jeździć na dłuższe spacerki. Uważał, że fakt, iż nie może chodzić, nie oznacza jeszcze, że w ogóle nie może się poruszać. I choć był za stary, by bawić się w wyścigi na wózkach jak niektóre dzieciaki w centrum rehabilitacyjnym, nie widział sensu w powolnym pyrkaniu tu i tam, jeśli równie wolno mógł przenosić się tu i tam siłą własnych mięśni. Liz Gordon powiedziała mu kiedyś, że w ten sposób chce się ukarać za to, że żyje, a jego żona zginęła, ale Bob tego nie kupił. Po prostu lubił być samowystarczalny, a poza tym lubił też nagły przypływ energii ogarniający go, gdy własnymi siłami poruszał młyńskie koła wózka.

Przed tragedią 1983 roku nigdy nie ćwiczył regularnie, a pchanie wózka i tak wydawało mu się lepsze od bifetamin, które dawano im w Bejrucie, by nie zasnęli podczas kryzysu. W

Libanie kryzys był zjawiskiem permanentnym.

Jadąc pod górę wznoszącą się lekko uliczką postanowił, że nie będzie się jednak próbował zarejestrować przy stoliku. Nie miał zielonego pojęcia o niemieckim prawie, ale zapewne nie zezwalało mu ono na niepokojenie nawet neonazistów. Natomiast na pewno nie mogło mu zabronić wejścia do baru i kupienia sobie drinka, a to właśnie miał zamiar zrobić.

Napić się - to po pierwsze - i - po drugie - dowiedzieć się czegoś o Karin Doring. Nie spodziewał się oczywiście, by przyszło mu wymuszać od kogoś informacje przy użyciu siły, ale ludzie lubią mówić, często aż za bardzo. Ludzie spoza branży zawsze zdumiewali się słysząc, ile informacji uzyskać można po prostu podsłuchując.

Oczywiście, pomyślał, by podsłuchać kogoś należy zbliżyć się do niego na odległość ucha. Tłum neonazistów może oczywiście próbować go zatrzymać. I nie dlatego, że jest inwalidą na wózku; w końcu nie urodził się kaleką, został okaleczony w służbie swego kraju, lecz dlatego; że nie jest Niemcem i nie jest faszystą. Ale, choćby ci twardziele nie wiem jak próbowali zmienić sytuację, Niemcy nadal były wolnym krajem. Albo wpuszczą go do piwiarni, albo będą mieli na głowie międzynarodowy incydent.

Objechał piwiarnię od tyłu i zbliżył się do niej z drugiej strony, omijając w ten sposób stół rejestracji i unikając możliwego widoku kolejnych wzniesionych w hitlerowskim salucie dłoni. Stojący najbliżej mężczyzna obejrzał się i przyjrzał mu ciekawie. Szturchnął

sąsiadów; obróciło się jeszcze kilka głów. Młode twarze, patrzące z pogardą oczy, głośny śmiech.

- Panowie, kogo my tu mamy! Franklin Roosevelt zabłądził w drodze do Jałty!

Ach, przecież mieli nie kpić z kaleki, pomyślał Bob. No, w każdej grupie ludzi zawsze znajdzie się jakiś dowcipniś. Tylko dziwne, że ten facet odezwał się po angielsku. I nagle Herbert przypomniał sobie, co ma napisane na bluzie.

Kolejny mężczyzna podniósł kufel piwa.

- Panie Roosevelt, co za punktualność! Właśnie zaczęła się nowa wojna. - *Ja!* -

przypadł ten, który odezwał się jako pierwszy. - Tylko inaczej się skończy.

Herbert posuwał się do przodu. Żeby dojechać do piwiarni, musiał przejechać przez tłum tych schludnych małych hitlerków. Od najbliższego z nich dzieliło go dwadzieścia metrów.

Zerknął w lewo. Pośrodku ulicy; jakieś dwieście metrów dalej, stał policjant. Patrzył w drugą stronę, zaabsorbowany kierowaniem ruchem. Nie słyszał, co mówią ci kretyni? -

pomyślał Bob. Czy może bardzo

się stara, żeby nie wplątać się w jakieś kłopoty.

Stojący przed nim mężczyźni patrzyli w różne strony. Gdy znalazł się pięć metrów od nich, jak na komendę odwrócili się ku niemu. Jeszcze dwa metry. Jeszcze metr. Niektórzy już byli pijani, całym swoim zachowaniem sugerując, że dobrze czują się w tłumie i postąpią tak jak inni. Widząc twarze Bob ocenił, że tylko jakieś dwadzieścia pięć procent obecnych ma silną wolę i przekonania. Reszta to barany, gotowe iść gdzie im każą i robić co im każą. Tego nie powie ci żaden satelita szpiegowski.

Neonaziści nie poruszyli się. Koła wózka niemal najeżdżały im już na półbuty, na drogie adidasy. Nagle zatrzymały się.

Podczas podobnych sytuacji, w Libanie i nie tylko w Libanie, Bob Herbert zawsze starał

się zachować spokój. Jeśli konfrontacja kończyła się przedwcześnie, można było z góry założyć, że obie strony poniosą ofiary. Odbij siłą zakładników z opanowanego przez terrorystów samolotu, a na pewno dostaniesz porywaczy, ale możesz stracić zakładników.

Nikt jednak wiecznie nie utrzyma zakładników, albo nie będzie ci stał na drodze. Jeśli odczeka się wystarczająco długo, zawsze istnieje możliwość zawarcia kompromisu. -

Chciałbym przejechać - powiedział spokojnie.

Jeden z mężczyzn spojrzał mu w oczy.

- Nie. Ulica jest zamknięta. To zabawa prywatna.

W jego oddechu czuć było alkohol. Nie, z nim się nie dogadasz. Bob spojrzał na kogoś innego.

- Widziałem, jak inni przechodzili do wejścia. Proszę mnie przepuścić. - Masz rację -

odparł ten pierwszy. - Widziałeś innych ludzi, jak tędy przechodzili. Ale ty nie chodzisz, więc nie możesz przejść.

Bob zwalczył pokusę przejechania mu po nodze. Jedyne co by na tym wygrał to lanie kuflami piwa i pięściami.

- Nie szukam kłopotów - powiedział wobec tego. - Chce mi się pić. Chcę tylko kupić coś do picia.

Rozległy się śmiechy. Herbert poczuł się jak wsiowy zastępca szeryfa, który próbuje aresztować bandytę pod nieobecność tegoż szeryfa.

Przez tłum przedarł się inny mężczyzna, trzymający w ręku kufel. Zatrzymał się i wyprostował rękę tak, że kufel zawisł nad głową Boba. - Chce ci się pić? To może spróbujesz mojego piwa?

- Nie pijam alkoholu.

- A więc nie jesteś mężczyzną!

- Powiedziane jak na bohatera przystało.

Boba Herberta zdumiał dźwięk własnego głosu; zdumiało go to, że był taki spokojny. Ten gość był zwykłym gównianym tchórzem, tyle że miał za sobą dwustu-, albo i trzystuosobową armię. Tak naprawdę Bob marzył o tym, żeby móc wyzwąć go na pojedynek, tak jak tata wyzwiał raz na pojedynek kogoś, kto kiedyś, tam, w Missisipi, ośmielił się go obrazić.

Niemcy nadal się na niego gapili. Mężczyzna z kuflem uśmiechał się wprawdzie, ale nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Widać to było po jego oczach.

To dlatego, pomyślał Herbert, że właśnie sobie uświadomił, iż nic nie wygra wylewając na mnie to piwo. Przecież sam powiedział, że nie jestem mężczyzną. Zaatakować mnie to poniżej jego godności.

Z drugiej strony, piwo dodało temu facetowi odwagi. Może na przykład walnąć kogoś w łeb tym ciężkim kuflem. Gestapo uważało Żydów za podludzi, co nie przeszkadzało im zatrzymywać ich na ulicach i wyrywać im brody obcęgami.

Po chwili mężczyzna przyłożył kufel do ust. Pociągnął łyk piwa i przytrzymał go w ustach, jakby zastanawiał się, czy nie warto splunąć. Ale doszedł do wniosku, że nie warto.

Ktoś podszedł do wózka od prawej strony. Młody chłopak powiesił się niemal na oparciu, tym, w które wmontowany był telefon.

- Mówiliśmy już, że to prywatne przyjęcie. Nie zostałeś na nie zaproszony.

Herbert miał dość. Przybył tu na zwiad, chciał zebrać informacje, zrobić swoją robotę. Ci ludzie postawili go jednak w sytuacji „nieprzewidzianej”, często spotykanej w operacjach z użyciem czynnika ludzkiego. Miał teraz przed sobą alternatywę. Może się wycofać, przy czym nie będzie w stanie wypełnić zadania i straci resztę szacunku dla samego siebie lub może zostać, narażając się na ciężkie lanie. Ma jednak szansę - niewielką szansę -

przekonania tych śmieci, że siły, które niegdyś ich już powstrzymały, nadal istnieją i wcale tak bardzo nie osłabły.

Postanowił zostać.

Spojrzał chłopakowi wprost w oczy.

- A wiesz, że nawet gdyby zaproszono mnie na waszą zabawę, nie przyjąłbym zaproszenia. Nie lubię towarzystwa popychadeł, zadaję się z tymi, którzy wydają rozkazy, a nie z tymi, którzy je wykonują.

Niemiec nadal jedną ręką wspierał się na fotelu. W drugiej dzierżył kufel piwa. Patrząc w jego szaroniebieskie oczy Herbert dostrzegł jednak, jak uchodzi z niego powietrze, jak cała jego duma wylatuje z sykiem, pozostawiając pustą skorupę. Wiedział, co teraz nastąpi.

Wsunął prawą dłoń pod oparcie wózka.

Za całą broń Niemiec miał już wyłącznie piwo. Manifestując pogardę, przechylił kufel i powoli wylał je Bobowi na kolana.

Bob Herbert przyjął policzek. Wydawało mu się ważne - pokazać, że potrafi przyjąć obrazę. Kiedy pijak skończył i odstąpił na bok, nagrodzony za swój wyczyn bardzo słabymi brawami, wyszarpnął spod oparcia przycięty kij od szczotki, wycelował go szybkim ruchem nadgarstka i mocno dźgnął napastnika w jądra. Facet z wrzaskiem zgiął się wpół, poleciał do tyłu i wylądował w ramionach przyjaciół. Nie wypuścił kufla; ścisnął go w garści niczym króliczą łapkę na szczęście.

Rozległ się krzyk i tłum zaszarżował, niemal w hysterii. Herbert widział takie histeryczne tłumy przed amerykańskimi ambasadami i zawsze był to przerażający widok. Nagle w środku świata powstał mikrokosmos, w którym cywilizacja zniknęła, a ludzie zmieniali się w prymitywne drapieżniki. Zaczął się wycofywać. Pragnął oprzeć się plecami o ścianę, osłonić flankę i walić w tych Filistynów jak Samson, uzbrojony w oślą szczękę.

Nagle poczuł szarpnięcie i zorientował się, że jedzie szybciej, niż byłby w stanie sam popchnąć wózek.

- *Halt!* - krzyknął za nim jakiś zdyszany głos.

Obejrzał się. Szczupły, mniej więcej pięćdziesięcioletni policjant zrezygnował z kierowania ruchem. Podbiegł i stał teraz za nim, trzymając rączki wózka i oddychając ciężko.

Sprawiał wrażenie wstrząśniętego, choć piwnymi oczami patrzył na faszystów ze spokojną siłą.

Z tłumu rozległy się okrzyki. Policjant odkrzyknął coś w odpowiedzi. Z tonu głosu i kilku słów, które rozumiał, Herbert zorientował się, że naziści mówili policjantowi, co ten cudzoziemiec zrobił i że radzili mu, żeby zajął się własnymi sprawami. Policjant opowiedział

im, że właśnie się nimi zajmuje. Że jego sprawą jest pilnowanie porządku nie tylko na ulicy, ale i na chodniku.

Rozległy się gwizdy i pogróżki.

Po krótkiej wymianie zdań, policjant zapytał Herberta po angielsku: - Ma pan samochód?

- Tak.

- Gdzie go pan zaparkował?

Herbert wyjaśnił mu, gdzie zaparkował Mercedesa.

Policjant nadal cofał jego wózek. Bob położył dłonie na kołach i zatrzymał go.

- Dlaczego mam uciekać? - spytał. - Przecież to mnie napadnięto. - Ponieważ moim zadaniem jest zachowanie porządku - wyjaśnił policjant - a mogę go utrzymać tylko w ten sposób. Jest nas za mało, a podobne spotkania odbywają się w Bonn, w Berlinie, w Hamburgu. Bardzo mi przykro, *Mein Herr*, ale nie mam czasu zajmować się pańską sprawą.

Pomogę panu dotrzeć do samochodu, by mógł pan opuścić tę dzielnicę miasta.

- Ale przecież te sukinsyny mnie zaatakowały. - Herbert zdał sobie nagle sprawę, że nadal trzyma w dłoni kij. Schował go, nim policjantowi przyszło do głowy, żeby mu go odebrać. -

Co by było, gdybym ich oskarżył, gdybym zdecydował się ujawnić przed sądem, co zrobili?

- Przegrałby pan - stwierdził policjant. Obrócił wózek, tak że tłum znalazł się za ich plecami. - Powiedzieli, że ten człowiek chciał pomóc panu wjechać do piwiarni i że go pan uderzył.

- Jasne, pewnie...

- Powiedzieli też, że przez pana rozlał piwo. W najlepszym razie kazaliby panu za nie zapłacić.

- I pan by w to wszystko uwierzył?

- Nie ma najmniejszego znaczenia, w co bym uwierzył - stwierdził spokojnie policjant. -

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem uderzonego mężczyznę. Pan trzymał w ręku kij. To widziałem i to

musiałbym umieścić w raporcie.

- Rozumiem. Zobaczył pan mężczyznę w średnim wieku, jeżdżącego na wózku inwalidzkim, stojącego naprzeciwko dwustu zdrowych młodych faszystów i doszedł pan do wniosku, że to ja jestem tym złym facetem.

- Bo w świetle prawa pan nim jest - stwierdził spokojnie policjant. Herbert pojął te słowa i kontekst, w jakim zostały wypowiedziane. Wielokrotnie słyszał je wypowiedziane w Stanach w podobnej sytuacji; dotyczyły tam one innych kryminalistów, innych śmieci, lecz tak samo go zdumiewały. Przecież obaj wiedzieli, że sukinsyny łąją, lecz nikt nie miał zamiaru ukarać ich za to, co zrobili. I jak długo nikt z rządu i sił porządku nie zaryzykuje własnym bezpieczeństwem, tak długo wszystko będzie uchodzić im na sucho.

W każdym razie Boba pocieszył fakt, że jemu też ujdzie na sucho. No i szturchnięcie tej świni w jaja niemal warte było piwnej kąpieli. Odjeżdżał, słysząc trąbiące nerwowo samochody; pod nieobecność policjanta na skrzyżowaniu natychmiast powstał potężny korek.

Był niespokojny, rozdrażniony, wściekał się; uciekał, ale przysiągł sobie, że dorwie jeszcze tych łobuzów - nie tu, nie teraz, lecz gdzieś, kiedyś i to wkrótce.

Mężczyzna wyszedł z tłumu przed piwiarnią. Wszedł do środka, przeszedł przez kuchnię, wyszedł na podwórko, wskoczył na kosz od śmieci i przeszedł przez ogrodzenie. Alejką na tyłach domów wyszedł na uliczkę, na której pojawili się Bob Herbert i policjant. Szli w kierunku zaparkowanego Mercedesa. Młody mężczyzna poszedł za nimi. Karin Doring nakazała mu obserwowanie każdego człowieka, który mógł ich obserwować. Sympatycy ruchu, nie związani z żadnym szczególnym ugrupowaniem, nawet by o tym nie pomyśleli.

Śledził Boba i policjanta z dość dużej odległości. Widział, jak policjant pomógł kalece wsiąść do samochodu, jak umieścił wózek inwalidzki na specjalnym stanowisku z tyłu, jak stał czekając, aż Mercedes ruszy, po czym z wewnętrznej kieszeni bluzy wyjął pióro i telefon komórkowy. Podał typ i numer rejestracyjny odjeżdżającego Mercedesa. Kiedy policjant odwrócił się i ruszył szybko na skrzyżowanie, on odwrócił się także i wrócił do piwami.

W chwilę później z parkingu trzy przecznice dalej wyjechała półciężarówka.

□ **Czwartek, 16.00 - Hamburg, Niemcy**

- Co się dzieje? - spytał Hood, szybko podchodząc do siedzącego przy komputerze Matta Stolla. Lang stał, blady, sprawiając wrażenie zażenowanego, a Stoll jak szalony walił w klawisze.

- Dzieje się coś chorego - powiedział. - Za sekundkę wszystko ci pokażę. Wprowadziłem program diagnostyczny, staram się dojść, jak to coś tu trafiło.

Do Hooda podszedł Hausen. - Jak co tu trafiło? - spytał.

- Wie pan, wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę to coś komuś opisywać.

Paul Hood zaczynał się już czuć dokładnie jak Alicja, kiedy znalazła się po drugiej stronie lustra. Gdziekolwiek się obrócił, zdarzały się dziwne rzeczy i ludzie zachowywali się coraz bardziej niezrozumiale.

- Sprawdzalem wielkość pamięci pomocniczej i znalazłem plik, umieszczony w komputerze dziś, dwanaście po pierwszej po południu.

- Dwanaście po pierwszej? Przecież jedliśmy wtedy lunch. - Słusznie.

- Panie Stoll, ale przecież nikogo tu wówczas nie było, z wyjątkiem Reinera.

- Wiem. A tak przy okazji, Reiner wyszedł. Hausen przyjrzał mu się dziwnie.

- Wyszedł?

- Znikł. - Matt wskazał przez ramię na recepcję. - Gdy tylko usiadłem przy komputerze, zabrał torbę, zabrał tę włoską kurtkę i wyniósł się w cholerę. Od tej chwili pana telefony przyjmuje komputer.

Hausen spojrzał na komputer. - jak pan się zorientował?

- Po pierwsze, zostawił panu liścik miłosny. Za sekundkę pokażę go na ekranie. Najpierw chciałbym jednak obejrzeć sobie to.

Palcami wskazującymi wystukał komendę. Niebieski do tej pory ekran ściemniał.

Pojawiły się na nim białe poziome pasy, złożyły się w ogrodzenie z drutu kolczastego, po czym zmieniły się w napis: OBOZ KONCEMRACYJNY, aż wreszcie spłynęły w zalewającą ekran krew.

Rozpoczęto się wprowadzenie do gry. Na ekranie pojawiła główna brama obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, brama z napisem *ARBEIT MACHT FREI*.

- Praca wyzwala - przetłumaczył Lang. Usta zasłonił dłonią. Rozpoczął się krótki, doskonale

animowany film składający się z poszczególnych ujęć. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci wchodzących przez bramę na teren obozu. Mężczyźni w pasiakach odwróceniu twarzą do muru i esesmani bijący ich giętkimi pałkami. Mężczyźni, którym golono głowy. Obrączka, wręczana esesmanowi w zamian za buty. Ostre światło z wieży strażniczej przecinające poranną mgłę i obraz esesmana wrzeszczącego: - *Arbeitskommando austreten!*

- Formować drużyny robocze - przetłumaczył Lang. Ręka mu drżała. Więźniowie, łapiący łomy i łopaty. Więźniowie mijający bramę, zdejmujący czapki przed wypisanym na niej sloganem. Więźniowie bici i kopani przez strażników. Więźniowie budujący drogę.

Duża ich grupa rzuciła nagle narzędzia pracy i znikła w ciemności. W ten sposób rozpoczęła się gra. Menu oferowało graczowi wybór języka. Stoll zdecydował się na angielski.

Na zbliżeniu pojawił się oficer SS, przemawiając do gracza. Miał twarz Hausena.

- Dwudziestu pięciu więźniów zbiegło do lasu - powiedział. - Twoim zadaniem jest tak rozdzielić ludzi, by ich znaleźć, utrzymując przy tym produktywność obozu i nadal pałac zwłoki podludzi.

Na ekranie pojawiły się obrazy kontrolowanych przez gracza żołnierzy i psów na przemian z obrazami piętrzących się przy krematoriach zwłok. Stoll przestawił grę na automatyczne odgrywanie; nie potrafił układać trupów na paletach, do spalania.

- List - przypomniał mu wpatrzony w ekran Hausen. - Co było w tym liście?

Stoll uderzył Ctrl/Alt/Delete, likwidując grę i resetując komputer. Znalazł list.

- Facet był raczej małomówny, co? - spytał, uderzając w klawisze. - Tak - przyznał

Hausen. - Dlaczego pan pyta?

- Nie mam pojęcia, co napisał w liście, ale jest on raczej krótki.

List pojawił się na ekranie. Lang pochylił się nad komputerem i przetłumaczył go dla Amerykanów.

„Panie Zbawco Narodu” - przeczytał. - „Mam nadzieję, że spodoba się panu ta gra... póki jeszcze jest tylko grą”. Podpisano: „Reiner”.

Paul uważnie przyglądał się Hausenowi. Wiceminister stał wyprostowany. Usta miał skrzywione; wyglądało na to, że zaraz się rozplacze.

- Cztery lata - powiedział. - Byliśmy razem cztery lata. Walczyliśmy o prawa jednostki w gazetach, na ulicach, w telewizji.

- Wygląda na to, że miał za zadanie pana szpiegować - stwierdził Hood. Hausen odwrócił

się od komputera.

- Nie wierzę - powiedział z dziecinnym uporem. - Chodziłem na obiady do jego rodziców, u niego w domu. Pytał mnie, co myślę o jego narzeczonej. To niemożliwe.

- W ten sposób budzą zaufanie. Hausen spojrzał Paulowi wprost w oczy:

- Cztery lata! - Niemal krzyczał. - Dlaczego teraz?

- Dni Naporu - wtrącił fang. Stał, bezradny; ręce bezwładnie wisały mu po bokach. - To jego przewrotna deklaracja na Dni Naporu.

- Bardzo bym się dziwił, gdyby chodziło tylko o to - stwierdził Paul. - Co też pan mówi!

Czyż to nie oczywiste? - zdziwił się Lang.

- Nie. To nie jest amatorska gierka. Reiner, moim zdaniem, nie byłby w stanie jej stworzyć. Wprowadził ją do komputera za kogoś... kogoś, kto już go tu nie potrzebował.

Hausen schował nagle twarz w dłoniach. Jęknął tak głośno, zebrani w gabinecie spojrzeli na niego wstrząśnięci.

- Chryste Panie! - wychrypiał. Opuścił dłonie, zacisnął je w pięści. Reiner to głos ludu, o którym mówił.

- O którym kto mówił!? - Paul Hood spojrzał mu wprost w twarz. - Dominique. Gerard Dominique.

- Kto to jest Dominique? - spytał Lang. - Nie spotkałem się z nikim o tym nazwisku.

- I lepiej dla pana, żeby tak pozostało. - Hausen bezradnie pokręcił głową. - Dominique dzwonił, oznajmiając, że wraca. A jednak wątpię, czy kiedykolwiek się wycofał. Moim zdaniem zawsze tu był, czekał z jadem w chorej duszy.

- Richard, powiedz mi wszystko - poprosił Lang. - Powiedz mi, kim jest ten człowiek.

- To nie człowiek. To Belial. To szatan wcielony. - Hausen potrząsnął głową, jakby próbował otrząsnąć się z szoku. - Panowie, bardzo przepraszam, ale nie mogę teraz o tym mówić.

- Więc niech pan nie mówi. - Paul położył mu dłoń na ramieniu. Matt, dasz radę wysłać tę grę do Centrum?

Stoll skinął głową.

- Doskonale. Panie Hausen, czy rozpoznał pan swoje zdjęcie w tej grze?

- Bardzo mi przykro, ale nie.

- Nic nie szkodzi. Matt, masz coś, co poradziłoby sobie z tym problemem?

- Niestety. Potrzebujemy programu lepszego niż mój MatchBook. To, co przywiozłem na dyskietce, może służyć tylko do odnalezienia poszczególnych zdjęć. To jak przeszukiwanie dokumentu w celu znalezienia jednego specyficznego słowa.

- Rozumiem.

- Trzeba będzie puścić go do naszego archiwum fotograficznego tam, w domu. Może dowiemy się, skąd je wzięto.

- Tło za postacią z twarzą pana Hausena to także fotografia - zauważył Paul.

- I to wysokiej jakości - przytaknął Stoll. - Nie sądzę, by pochodziła z jakiegoś pisma.

Każę moim ludziom puścić Geologue. Zobaczymy, czego się dowiemy.

Geologue było sporządzoną przez satelity dokładną trójwymiarową mapą świata.

Używając jej, komputery były w stanie wygenerować trójwymiarowy obraz każdego metra kwadratowego na powierzchni Ziemi, widzianego pod dowolnym kątem. Mogło to potrwać parę dni, ale - o ile zdjęcia nie retuszowano - dowiedzą się, gdzie zostało zrobione.

Paul dał Mattowi wolną rękę. Stoll zadzwonił do swego asystenta, Eddiego Mediny, uprzedzając go, co trafi za chwilę do ich komputerów. Hood tymczasem mocno złapał

Hausena za ramię.

- Chodźmy na spacer - zaproponował. - Dziękuję, ale nie mam ochoty.

- Za to ja potrzebuję spaceru. Dla mnie też był to dziwny ranek Hausen zdołał się jakoś uśmiechnąć.

- No, dobrze - powiedział.

- Doskonale. Matt, zadzwoń na telefon komórkowy, gdybyś coś znalazł.

- Jak rozkazano, tak i będzie - powiedział nieporuszony geniusz komputerowy.

- Panie Lang, możemy potrzebować pańskiej pomocy. Pan Stoll nie za dobrze mówi po niemiecku.

- Rozumiem. Proszę się nie martwić, zostanę.

- Dziękuję. - Paul uśmiechnął się z wdzięcznością. - To nie potrwa długo.

Niemiec i Amerykanin wyszli z biura. Wsiedli do windy. Paul Hood nadal trzymał dłoń na ramieniu Hausena.

Hausen, oczywiście, kłamał. Paul spotykał już przedtem takich kłamców. Biedak marzył

oczywiście, by porozmawiać o tym, co go gnębiło, jednak, poczucie własnej godności kazało mu milczeć. Trzeba będzie to coś z niego wyciągnąć. Z pewnością nie jest przypadkiem, że jednego dnia coś bardzo podobnego przytrafiło się wiceministrowi spraw zagranicznych Niemiec i Billowi Squiresowi. A gdy podobne „przypadki” zdarzały się na dwóch kontynentach, sprawa z pewnością leżała w kompetencjach Centrum.

□ Czwartek, 10.02 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Po obiecującej rozmowie z Brettem Augustem, w oczach generała Rodgersa poranek nabrał nagle kolorów, zdarzenia zaś zaczęły następować szybko po sobie. Asystent Matta Stolla, Eddie, poinformował go o tym, co zdarzyło się w Niemczech, powiedział także, że dzwonił do Bernarda Ballona z *Gendarmerie Nationale*, Ballon jednak brał właśnie udział w akcji przeciw terrorystom, Nowym Jakobinom, i na razie nie odpowiedział na telefon.

Generała najbardziej jednak martwiło to, że Bob Herbert osobiście postanowił sprawdzić, co właściwie dzieje się podczas Dni Naporu. Nie chodziło mu wcale o to, że Bob jeździł na wózku inwalidzkim. Martwił się, ponieważ za bardzo przypominał on psa ze smakowitą kością w zębach. Nie lubił odpuścić sprawy - zwłaszcza sprawy nie rozwiązanej, Centrum zaś było w stanie udzielić mu pomocy tylko do pewnych granic. W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych, gdzie mogli korzystać z systemów łączności przez lokalne biura FBI, CIA lub nawet komisariaty policji, za granicą trudno było zmontować sieć komunikacyjną.

Wprawdzie satelity można było ustawić na pojedyncze telefony komórkowe lub na odbiór z niewielkiego terenu, ale oprócz tego, co konieczne, wyłapywały one także mnóstwo szumów.

To właśnie próbował wytłumaczyć senator Fox. Operacji wymagającej chirurgicznej precyzji nie sposób przeprowadzić bez udziału ludzi.

Herbert był w terenie dobrym agentem, choć Mike nie potrafił przestać martwić się o to, co zrobi pozbawiony czynnika łagodzącego w postaci Paula Hooda. Z drugiej strony Bob pozostawiony sam sobie... co za ekscytująca perspektywa. Jeśli ktokolwiek mógł w ogóle skłonić senatorów do dofinansowania okaleczonego programu HUMIM, to tylko on.

Liz Gordon pojawiła się wkrótce po telefonie Eddiego. Przekazała generałowi najnowsze dane o Iglicy. Major Shooter pojawił się w Quantico z właściwym piechocie morskiej wdziękiem - czy też, jak to ujęła Liz, brakiem tegoż - i szkolił żołnierzy zgodnie z podręcznikiem musztry.

- W gruncie rzeczy wcale nie jest to najgorsze - oznajmiła. - Pułkownik Squires stosował

bardzo oryginalne metody. Shooter pomoże im zaakceptować rzeczywistość i to, że wszystko się teraz zmieniło. Żołnierze cierpią i jako pokutę wielu z nich stosuje szczególnie ciężki trening.

- Pokutują, bo sądzą, że zawiedli Charliego? - spytał Rodgers.

- Tak. I mają poczucie winy. Syndrom Ocalonego. Oni żyją, on - nie. - Jak ich przekonać, że zrobili, co mogli?

- Nie sposób ich o tym przekonać. Potrzebują czasu, poczucia perspektywy. To zachowanie powszechnie spotykane w podobnych sytuacjach.

- Powszechnie spotykane w podobnych sytuacjach - powtórzył z goryczą generał - ale zupełnie nowe dla ludzi, którzy muszą sobie z nim poradzić.

- Oczywiście.

- Mam pytanie praktyczne - czy są w stanie wykonać zadanie, jeśli wykonanie zadania okaże się konieczne?

Liz zamyśliła się na chwilę.

- Obserwowałam ich dziś rano - powiedziała w końcu. - Wszyscy byli skupieni i oprócz wyzwolonej gniewem energii wydawali się w porządku. Ale będę musiała to jeszcze sprawdzić. Dziś rano wykonywali zwykłe, mechaniczne, powtarzalne czynności. Nie ponoszę odpowiedzialności za to, jak zachowują się pod ogniem.

- Liz - Mike Rodgers lekko się zdenerwował. - Potrzebuję właśnie takich gwarancji.

- Bardzo cię przepraszam, ale nie mam wątpliwości co do tego, że Iglica nie zawaha się w decydującym momencie. Wręcz przeciwnie - obawiam się, że zareaguje zbyt gwałtownie, zaprezentuje klasyczny Syndrom Odreagowania Poczucia Winy. Ludzie będą ryzykować, by ochraniać się nawzajem, by mieć pewność, że nie powtórzy się sytuacja z Rosji.

- Czy jest ktoś, kto napawa cię szczególnym niepokojem?

- Sandra DeVonne i Walter Pupshaw są najbardziej roztrzęsieni. Rodgers postukał palcem w blat biurka.

- Mam zadanie dla składu podstawowego, dla siedmiu osób. Mam siedmioro ludzi, Liz?

- Prawdopodobnie. Prawdopodobnie masz przynajmniej siedmioro. - Niewiele mi to daje.

- Wiem. Ale w tej chwili po prostu nie jestem w stanie powiedzieć ci nic pewnego. Dziś po południu wracam i odbędę indywidualne sesje z kilkoma członkami Iglicy. Będę wiedzieć więcej.

Darrell McCaskey zapukał do drzwi i został wpuszczony do środka. Wszedł, usiadł i natychmiast włączył laptopa.

- Doskonale - powiedział do Liz Mike Rodgers. - Tym, których nie jesteś pewna, damy przepustki. Zadzwoń do Shootera i każę mu wyznaczyć czterech lub pięciu rezerwowych ludzi z Andrews. Może ich doprowadzić do formy na określonych pozycjach i włączyć do zespołu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Niech na razie nie sprowadza ich do bazy. Nie chcesz chyba demoralizować ludzi, walczących ze skutkami żalu i gniewu.

Rodgers kochał i szanował swych ludzi z Iglicy, nie był jednak pewien, czy wybrana przez Liz droga rzeczywiście była najlepsza i najkrótsza. W latach sześćdziesiątych, kiedy służył w Wietnamie, nikogo za cholere nie obchodziły i smutek, i syndromy, i Bóg jeden wie, co jeszcze. Kiedy kumpel zginął w zasadzce, robiłeś co w twojej mocy, by zabrać z niej pluton w cholere, dbałeś o to, żeby ludzie zjedli, wyspali się, wypłakali i rankiem znów szli na patrol. Może na tym patrolu szlochali, a z pewnością byli o wiele bardziej ostrożni i troszkę gniewniejsi, może i gotowi byli strzelać do cienia, ale ściskali w garści M-16 i robili swoją robotę.

- Świetnie - powiedział ostro. - Personel zastępczy może ćwiczyć w Quantico.

- Jest jeszcze jedna rzecz - stwierdziła Liz. - Nie jest chyba najlepszym pomysłem, żebym komukolwiek dawała przepustkę. Raport ze wzmianką o syndromie ocalonego z powodu tak w gruncie rzeczy niewielkiej w skali operacji straty, może rzucić długi cień na ich karierę.

Chyba będzie lepiej, jeśli poproszę doktora Masura o znalezienie u nich jakiś dolegliwości fizycznych. Takich, których istnienia nie będą w stanie stwierdzić sami u siebie, na przykład takich jak anemia. A może jakiś rosyjski zarazek?

- Jezu! - westchnął Rodgers. - Czym ja tu dowodzę, przedszkolem? - Pod pewnymi względami rzeczywiście tak - stwierdziła Liz. - Nie chcę używać akademickiego żargonu, ale jako dorośli zbyt dobrze pamiętamy rany i żale dzieciństwa. W momencie stresu lub kiedy cierpimy, na powierzchnię wypływa samotne dziecko w każdym z nas. Wysłałbyś pięciolatek do Rosji, Mike? Albo do Korei?

Rodgers przetarł oczy grzbietem dłoni. Najpierw musiał tłumaczyć pewne rzeczy dorosłym ludziom niczym dzieciom, a teraz miał jeszcze kłamać żołnierzom i odgrywać z nimi głupie gierki. No, ale to Liz była psychologiem, nie on; on chciał tylko zrobić dla swych ludzi to, co najlepsze dla nich, a nie to, co najlepsze dla niego. Szczerze jednak mówiąc, gdyby pięciolatek nie wykonał jego polecenia, dostałby w tyłek i tylko wyszłoby mu to na dobre. No, ale ten rodzaj ojcowskiej troski też wyszedł z mody w latach sześćdziesiątych.

- Cokolwiek uznasz za stosowne, Liz - powiedział więc tylko i spojrzał na McCaskeya. -

Darrell, powiedz mi coś wesołego.

- No, więc FBI jest szczęśliwe jak cholera. - BALTIC AVENUE?

- Aha. Wszystko poszło wręcz doskonale. Mają ludzi z Pure Kation i ich komputer, a w komputerze nazwiska, adresy, trochę kont bankowych, listy subskrypcyjne prawicowych magazynów, skrytki broni i tak dalej.

- Jak dalej? - zainteresował się Rodgers.

- Najważniejsze są chyba plany ataku na mityng stowarzyszenia Chaka Zulu w Harlemie, w przyszłym tygodniu. Planowali wziąć zakładników i zażądać osobnego państwa dla czarnoskórych Amerykanów.

Liz parsknęła drwiąco.

- Coś ci się nie podoba? - spytał ją Mike.

- Nie wierzę w te cuda. Ludzie pokroju członków Pure Nation nie są aktywistami politycznymi, tylko szalonymi rasistami. Nie domagają się osobnych państw dla mniejszości, tylko je po prostu likwidują.

- FBI jest tego świadoma. Uważają, że Pure Nation chce nieco złagodzić swój wizerunek, by zyskać akceptację u białych.

- Biorąc zakładników?

- W komputerze był pierwszy szkic informacji dla prasy - oznajmił McCaskey, otworzył

plik na swoim laptopie i odczytał z ekranu: - Istotny fragment brzmi: „Siedemdziesiąt osiem procent białych Amerykanów nie chce, by kolorowi żyli wśród nich. Zamiast niszczyć biały świat, by oszczędzić trupów po obu stronach, apelujemy do większości: piszcie petycje do Waszyngtonu, żądając powstania nowej Afryki. Żądamy miejsca, w którym biali obywatele nie będą narażeni na muzykę rap, słuchanie niezrozumiałego języka, patrzenie na stroje cyrkowych kłownów i świętokradcze portrety czarnego Jezusa”. - Darrell spojrzał na Liz. -

Dla mnie to wystarczająco wściekłe.

Liz skrzyżowała nogi. Machała stopą.

- No, nie wiem - powiedziała. - Coś tu jest nie tak. - Ale co? - spytał ją Rodgers.

- Nienawiść z samej swej natury jest ekstremalna. To nietolerancja posunięta do ostatecznych granic. Nienawiść nie szuka kompromisu z tym, czego nienawidzi, a tylko jego zniszczenia. To oświadczenie jest... zbyt łagodne.

- Propozycje wygnania z kraju grupy obywateli dobranych według kryteriów rasowych nazywasz łagodną? - zdumiał się McCaskey.

- Nie. Chodzi o to, że na standardy Pure Nation jest ona całkiem przyzwoita. I dlatego nie kupuję tego pomysłu.

- Liz, przecież nawet takie grupy się zmieniają. Zmieniają się przywódcy, cele...

Psycholog tylko potrząsnęła głową.

- Zmienia się tylko obraz dla publiczności, można nazwać to kosmetyką. Chodzi o to, żeby prawidłowo myślący ludzie dali im kawałek sznurka, na którym można by powiesić tych, których nienawidzą.

- Zgoda. Więc niektórzy z Pure Nation chcą czarnych martwych, a inni nie chcą ich na swojej ulicy.

- O ile wiem, członkowie tej grupy oskarżeni zostali o zgwałcenie i zlinchowanie czarnej dziewczynki w 1994 roku. Powiedziałabym, że to nieco więcej, niż brak sympatii do kolorowych sąsiadów.

- Przecież nawet polityka grup nienawiści musi jakoś ewoluować zauważył McCaskey. -

A może padli ofiarą schizmy? W takich grupach zawsze występują podziały, rozbicia na frakcje. Nie mamy przecież do czynienia z najstabilniejszymi psychicznie ludźmi na tej planecie.

- I tu się mylisz - poprawiła go Liz. - Niektórzy z tych ludzi są wręcz przerażająco stabilni psychicznie.

- Wyjaśnij - poprosił ją Rodgers.

- Potrafią śledzić wybraną osobę lub grupę osób z wytrwałością, która by tobą wstrząsnęła. Kiedy chodziłam do szkoły, słyszałam o przypadku woźnego w jednej ze szkół

prywatnych w Connecticut. Wyłożył plastikiem wszystkie korytarze, po obu stronach, przy listwie podłogowej. Udawał, że zeskrobuje gumę do żucia z podłogi. Złapano go dwa dni przed planowanym wysadzeniem budynku w powietrze. Na procesie zeznał, że przemycał

plastik po pół metra dziennie.

- A ile go znaleziono?

- Dwieście siedemdziesiąt pięć metrów - powiedziała Liz.

Rodgers nie przesądził jeszcze, kto w tej dyskusji ma, a kto nie ma racji, ale zawsze był

zdania, że lepiej jest przecenić siły przeciwnika. A poza tym, choć Liz mogła nie mieć racji, podobała mu się przyjęta przez nią twarda linia.

- Załóżmy, że masz rację - powiedział. - Co się za tym kryje? Dlaczego Pure Nation miałyby napisać tego rodzaju oświadczenie prasowe? - Żeby nami zakręcić - odparła od razu Liz. - Przynajmniej takie mam wrażenie.

- Mów dalej.

- Dobrze. Założyli sklepik na Christopher Street, ulicy zamieszkaną w dużej części przez homoseksualistów. Zagrozili wzięciem zakładników ze stowarzyszenia czarnych. FBI ich zgarnia, mamy publiczny proces, homoseksualiści i czarni są wkurzeni.

- I uwaga ludzi zostaje skupiona na grupach nienawiści - zakończył McCaskey. - Po co im to, do diabła, potrzebne?

- Uwaga ludzi zostaje skupiona na tej grupie nienawiści - poprawiła go Liz. McCaskey tylko pokręcił głową.

- Przecież znasz środki masowego przekazu - powiedział. - jak znajdziesz węża, zaraz piszą o gnieździe węży. Znajdziesz gniazdo węży, szukają następnego.

- Dobra, w tym masz rację. No więc media znajdują inne gniazda. Pure Nation, Stowarzyszenie Białych, Bractwo Amerykańskich Aryjczyków. Prawdziwa parada psychopatów. I co dalej?

- Dalej? Przeciętny obywatel dostaje szału i rząd przyjmuje twardy kurs wobec rasistów.

Koniec sprawy.

- Żaden koniec sprawy. - Liz energicznie potrząsnęła głową. - Twardy kurs rządu nie wykończy takich grup, wiesz? Zawsze przetrwają, choćby w podziemiu. Co więcej, fala powraca. Historia uczy, że prześladowanie rodzi siły oporu. Informacja o planowanym ataku Pure Nation - jeśli planowali jakiś atak, czego wcale nie jesteśmy pewni - spowoduje powstanie sił oporu czarnych, sił oporu homoseksualistów, sił oporu Żydów. Pamiętacie slogan Żydowskiej Ligi Obronnej z lat sześćdziesiątych, „Nigdy Więcej”? Każda milicja przyjmie jakąś jego wersję. A kiedy ta polaryzacja zacznie się rozszerzać, kiedy zagrozi infrastrukturze państwa, zagrozi społeczeństwu jako takiemu, przeciętny biały Amerykanin się przestraszy. Zabawne, ale rząd nie będzie mu w stanie pomóc, ponieważ nie może wystąpić ostro wobec mniejszości. Jeśli zacznie z czarnymi, czarni będą krzyczeć, że to rasizm. Z homoseksualistami czy Żydami będzie podobnie. Nadejście na wszystkich i będziemy mieli wojnę domową.

- Więc nasz przeciętny Amerykanin - zakończył za nią Rodgers normalnie całkiem przyzwoity facet, zacznie grawitować ku rasistowskim grupom białych. Pure Nation, WHOA i cała reszta zaczną nagle wyglądać na zbawców narodu.

- O to właśnie chodzi - przytaknęła Liz. - Jak to powiedział przed paru laty przywódca milicji z Michigan? Coś jak „naturalna dynamika zemsty i zemsty za zemstę wyznacza im własny kurs”? Kiedy rozejdzie się informacja o Pure Nation i jej planach, to samo zdarzy się tu.

- No więc Pure Nation daje się złapać - zauważył Rodgers. - Osaczono ich, złapano, rozwiązano grupę, postawiono poza prawem. Są męczennikami sprawy białych.

- I strasznie im się to podoba - dodała Liz. McCaskey skrzywił się.

- To jak jakaś surrealistyczna sztuka - powiedział, i śpiewnym głosem zadeklamował: -

Oto biali rasiści, którzy wystawili policji własną grupę, by zrobić z nich męczenników, by spowodować rozruchy wśród mniejszości, by przestraszyć białych, by stworzyli oni bazę popierającą inne ruchy białych rasistów. - Gwałtownie potrząsnął głową. - Mam wrażenie, że oboje przypisujecie tym degeneratom znacznie więcej inteligencji, niż posiadają. Mieli plan.

Zostali złapani. Koniec.

Zadzwoił telefon.

- Nie jestem pewien, czy kupuję to wszystko, co sugeruje Liz - powiedział jeszcze do McCaskeya Mike Rodgers - ale warto się nad tym zastanowić.

- Pomyśl o tym, jakie szkody mogą wyrządzić jako zwykła przynęta - dodała jeszcze psycholog.

Rodgersowi nagle zrobiło się zimno. Mała grupka rasistów mogła przecież wodzić FBI za nos, po manowcach, we wszystkich kierunkach oprócz właściwego. Mając na karku stado dziennikarzy, FBI po prostu nie będzie mogła się przyznać, że z jej agentów zrobiono idiotów.

Podniósł słuchawkę. - Tak? - powiedział.

Okazało się, że dzwoni Bob Herbert.

- Bob? Alberto wprowadził mnie w sprawę przed kilkoma minutami. Gdzie jesteś?

- Gdzieś w Niemczech, na drodze w jakimś zadupiu - odparł spokojnie Bob - i potrzebuję czegoś.

- Czego?

- Algo natychmiastowej pomocy, albo bardzo krótkiej modlitwy.

□ Czwartek, 16.11 - Hamburg, Niemcy

Późnym popołudniem Hamburg wyglądał uroczo, więcej - czarująco. Promienie zachodzącego słońca odbijały się od powierzchni dwóch jezior. Paul Hood odnosił wręcz wrażenie, że ktoś zapalił pod miastem tysiące lamp. Drzewa w parku i stojące po ich obu stronach budynki odbijały czarnymi sylwetkami od intensywnie niebieskiego nieba.

Powietrze w Hamburgu także różni się od powietrza we wszystkich innych miastach.

Pachnie przedziwną mieszanką natury i przemysłu. Czuje się w nim odrobinę soli, niesionej przez łabę z Morza Północnego, paliwo i dym silników tysięcy statków płynących rzeką oraz zapach niezliczonej ilości drzew i kwiatów, doskonale czujących się na hamburskiej ziemi.

Nie jest to zapach oszałamiający, pomyślał Paul, ale z pewnością różny od wszystkich innych.

Nie miał jednak wiele czasu na zastanawianie się nad urokami środowiska naturalnego.

Gdy tylko wyszli z budynku i znaleźli się w parku, Hausen natychmiast zaczął mówić.

- Dlaczego ten dzień wydaje się panu taki dziwny? - spytał.

Paul wcale nie miał szczególnej ochoty rozmawiać o sobie, miał jednak nadzieję, że odrobina wyznań z jego strony pomoże rozwiązać Hausenowi język. Daj i bierz, bierz i daj -

oto walczyk znany każdemu, komu przyszło żyć i pracować w Waszyngtonie. Ten taniec okazał się po prostu nieco bardziej osobisty i znacznie ważniejszy od większości innych.

- Kiedy Matt, Bob i ja czekaliśmy na was w hotelu, miałem wrażenie... nie, mógłbym przysiąc, że widziałem dziewczynę, którą kiedyś znałem. Wybiegłem za nią jak szalony.

- 1 to była ona?

- Nie wiem. - Samo wspomnienie o tym, co się stało, znów doprowadziło go do rozpacz.

Rozpacz, że nigdy nie dowie się, czy rzeczywiście była to Nancy, rozpacz, ponieważ Nancy nadal panowała nad jego duszą. - Wsiadła do taksówki, nim ją dogoniłem. Ale tak trzymała głowę... i błysk jej włosów... jeśli nie ona, była to z pewnością jej córka.

- A ma córkę?

Paul tylko wzruszył ramionami. Sama myśl o tym, że Nancy Jo może mieć męża, dzieci, że może mieć własne życie, o którym on nic nie wie, wystarczyła, by wyprowadzić go z równowagi.

Więc czemu powracasz do tej sprawy? - spytał sam siebie i natychmiast odpowiedział

sobie na to pytanie: bo chcę zmusić Hausena do gadania.

Westchnął ciężko. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Wpatrywał się w trawę.

Niechętnie powrócił myślami do Los Angeles sprzed dwudziestu lat.

- Kochałem tę dziewczynę - powiedział. - Nazywała się Nancy Jo Bosworth. -

Spotkaliśmy się na wykładach z informatyki na Uniwersytecie Południowej Kalifornii; na studiach dla zaawansowanych. Była delikatna, pełna życia, włosy miała jak złota fala... -

uśmiechnął się. - Strasznie to pretensjonalne, wiem, ale po prostu nie umiem ich inaczej opisać. Miała włosy miękkie, gęste, anielskie i oczy błyszczące nienasyconą chęcią życia.

Nazywałem ją małym złotym aniołem, byłem dla niej wielkim srebrnym rycerzem. Po prostu ścięła mnie z nóg.

- To widać - zauważył Hausen i uśmiechnął się, po raz pierwszy od bardzo dawna. Paul cieszył się, że do czegoś dochodzi, bo snucie tych wspomnień zabijało go od nowa, powoli i okrutnie.

- Zaręczyliśmy się zaraz po studiach - mówił dalej. - Dałem jej pierścionek ze szmaragdem; razem go wybraliśmy. Dostałem posadę asystenta burmistrza Los Angeles, a Nancy zaczęła pracować jako programistka w firmie produkującej gry komputerowe. Dwa razy w tygodniu latała na północ, do Sunnyvale, tylko dlatego, żebyśmy nie byli daleko od siebie. Pewnego dnia w kwietniu 1979 roku - dwudziestego pierwszego kwietnia, przez długi czas wyrywałem tę kartkę ze wszystkich kalendarzy czekałem nad nią przed kinem. Nie przyszła. Zadzwoiłem do niej do domu. Nikt nie podniósł słuchawki, więc natychmiast pojechałem na miejsce. Prowadziłem jak szalony. Miałem klucze; wszedłem i znalazłem list.

Paul zwolnił kroku. Nadal pamiętał panujący w jej mieszkaniu zapach. Pamiętał łyzy, pamiętał, jak ścisnęło mu się gardło. Pamiętał piosenkę, dobiegającą z sąsiedniego mieszkania: Brooklyn Bridge, „The Worst That Could Happen”.

- Napisała ten list odręcznie i najwyraźniej w pośpiechu. Normalnie pisała starannie, czytelnie. Napisała, że musi wyjechać, że nie wróci i że nie powinienem jej szukać. Zabrała trochę ubrań, ale wszystko inne zostało na miejscu: płyty, książki, kwiatki w doniczkach, albumy ze zdjęciami, dyplom. Wszystko. Aha, zabrała także pierścionek zaręczynowy.

Zabrała albo wyrzuciła.

- Nikt nie wiedział, co się z nią stało? - spytał zdziwiony Hausen. - Nikt. Nawet FBI. Ich agenci przyszli następnego dnia rano i zaczęli mnie wypytywać nie mówiąc, o co właściwie chodzi. Nie mogłem im wiele powiedzieć, ale miałem nadzieję, że ją znajdą. Niezależnie od tego, co zrobiła, chciałem jej pomóc. Kilka następnych dni i nocy spędziłem na poszukiwaniach; odwiedziłem profesorów, których wykładów słuchaliśmy, naszych wspólnych przyjaciół, rozmawiałem z ludźmi, z

którymi pracowała i którzy bardzo się o nią niepokoili.

Zadzwoiłem nawet do jej ojca. Nie utrzymywała bliższych stosunków z rodziną, więc wcale nie zaskoczyło mnie, że nic o niej nie wiedział. W końcu doszedłem do wniosku, że z pewnością popełniłem jakiś błąd. A może miała kogoś i uciekła z nim?

- *Gott!* I potem już nigdy się nie odezwała? Hood powoli pokręcił głową.

- Nie odezwała się i niczego się o niej nie dowiedziałem. Chciałem, wie pan, przez ciekawość, ale sam nie próbowałem już jej znaleźć. Było to ponad moje siły. Za jedno powinienem jej jednak podziękować. Ratunek znalazłem w pracy, nawiązałem wiele wartościowych kontaktów... wtedy nie nazywaliśmy jeszcze tego „metodą”... - uśmiechnął się

- i w rezultacie wystartowałem do wyborów na stanowisko burmistrza i wygrałem je. Byłem najmłodszym burmistrzem w historii Los Angeles.

Hausen spojrzał na obrączkę na jego palcu. - Pan jest żonaty, prawda? - spytał.

- Tak - przytaknął Paul i również zerknął na obrączkę. - Ożeniłem się. Mam wspaniałą rodzinę i ciekawą pracę. - Opuścił dłoń i potarł palcami kieszeń z portfelem, w którym znajdowały się bilety - nie wiedziała o nich nawet jego żona. - Ale od czasu do czasu nadal myślę o Nancy i prawdopodobnie dobrze się stało, że tam, w hotelu, to nie była ona.

- Nie wie pan, czy to nie była ona. - Nie, nie wiem.

- Ale nawet jeśli była, pańska Nancy jest częścią przeszłości. Należała do innego Paula Hooda. Gdyby pan ją teraz spotkał, najprawdopodobniej poradziłby pan sobie z sytuacją.

- Najprawdopodobniej, choć wcale nie jestem pewien, czy ten Paul Hood aż tak bardzo różni się od tamtego. Nancy kochała we mnie chłopca, który życie i miłość traktował jak przygodę. Teraz jestem ojcem, byłem burmistrzem, stałem się czystej krwi obywatelem Waszyngtonu, ale to wcale aż tak mnie nie zmieniło. Lubię grę i ryzyko, denerwuję się na filmach z Godzillą i nadal sądzę, że jedynym przyzwoitym Batmanem był Adam West, a jedynym przyzwoitym Supermanem Christopher Reeve. Gdzieś, w głębi duszy, nadal jestem chłopcem uważającym się za rycerza, którego damą serca była Nancy. Szczerze mówiąc nie wiem, jak zareagowałbym, gdybyśmy spotkali się twarzą w twarz.

Paul znów włożył ręce w kieszenie. Znów dotknął portfela. Kogo próbujesz oszukać? -

spytał sam siebie. Wiedział doskonale, że gdyby teraz spotkał się z Nancy, dawna miłość natychmiast zapłonęłaby z nową siłą.

- No więc tak wygląda moja historia - powiedział. Szli obok siebie; szybko zerknął w lewo, na Hausena. - Teraz pańska kolej. Czy telefon, który odebrał pan w biurze, miał coś wspólnego z wielką utraconą miłością, z tajemniczym zniknięciem?

Przez moment Hausen szedł obok niego, pogrążony w godnej ciszy, a potem powiedział

poważnie:

- Z tajemniczym zniknięciem, owszem. Ale z miłością, nie. Z całą pewnością nie dotyczył

miłości. - Przerwał i odwrócił się twarzą do Paula. Wiał lekki wiatr, mierzwiąc mu włosy, poruszając jego płaszczem. - Panie Hood, ufam panu. Wyczuwam prawdę w pana bólu, w pana uczuciach; jest pan człowiekiem umiejącym współczuć... i szczerym. - Rozejrzał się dookoła, po czym spuścił wzrok. - Więc ja też szczerze panu wszystko wyznam, choć z mojej strony jest to najprawdopodobniej szaleństwo. Nigdy nie mówiłem o tym nikomu, nawet siostrze, nawet przyjacielom. - To politycy mają przyjaciół?

Niemiec uśmiechnął się.

- Niektórzy mają. ja mam. Nie chciałem obciążać ich tą sprawą, ale przecież ktoś musi o wszystkim wiedzieć, zwłaszcza teraz, kiedy on wrócił. Ktoś musi wiedzieć na wypadek, gdyby coś mi się stało.

Hausen spojrzał mu w oczy. W jego wzroku było cierpienie takie, jakiego Paul nie widział jeszcze nigdy w życiu. Zaskoczyło go to, kazało mu natychmiast zapomnieć o Nancy... i wzmogło ciekawość.

- Dwadzieścia pięć lat temu - rozpoczął Hausen - studiowałem nauki polityczne na Sorbonie. Moim najlepszym przyjacielem był Gerard Dupre, syn bogatego przemysłowca, radykał. Nie wiem, czy chodziło mu o zabierających pracę Francuzom imigrantów, czy też do głosu doszła po prostu mroczna część jego natury. W każdym razie nienawidził Amerykanów i Azjatów, a już zwłaszcza Arabów, Murzynów i katolików. Boże, nienawiść przeżerała go na wylot.

Niemiec obliznął wargi i znów opuścił wzrok. Hood nie miał wątpliwości, że walczy ze sobą i że dotyczy to nie tylko samego faktu spowiedzi, lecz i tego, co uczynił... cokolwiek to było.

- Pewnego wieczora siedzieliśmy w kawiarni „L'Exchange” na Rue Mouffetard na lewym brzegu, bardzo blisko uniwersytetu. W takiej niedrogiej knajpce. Cieszyła się wielką popularnością wśród studentów, powietrze w niej zawsze ciężkie było od zapachu mocnej kawy i jeszcze mocniejszych dyskusji. Było to zaraz na początku drugiego roku studiów.

Tego dnia Gerarda wszystko denerwowało. Kelner się spóźnił, drinki były letnie, noc zimna, a kolekcja mów Trockiego obejmowała tylko jego przemówienia z Moskwy; nie opublikowano w niej niczego z czasów meksykańskich, co zdaniem Gerarda było prawdziwym przestępstwem. Zapłacił rachunek - jak zawsze, tylko jemu nigdy nie brakowało pieniędzy i poszliśmy na spacer wzdłuż brzegów Sekwany. Było ciemno, kiedy spotkaliśmy dwie amerykańskie studentki, które dopiero co przyjechały do Paryża. - Wyznania najwyraźniej przychodziły Hausenowi z trudnością. - Chciały zrobić kilka zdjęć na pustym brzegu rzeki, pod mostem. Tymczasem zaszło słońce i nie wiedziały, jak wrócić do akademika. Chciałem im pomóc, ale Gerard przerwał mi, powiedział, że do tej pory był przekonany, iż Amerykanie wiedzą wszystko. Wrzeszczał, wściekał się na te dziewczyny.

Powiedział, że Amerykanie przyjechali do jego kraju, że go ukradli, więc jakim cudem dwie Amerykanki nie wiedzą, jak trafić do domu?

Hood poczuł, jak ściska mu się gardło. Chyba znał już koniec tej historii.

- Dziewczyny myślały, że żartuje - mówił dalej Hausen. - jedna z nich położyła mu dłoń na ramieniu. Chciała coś powiedzieć, nie pamiętam już nawet, co. A on na to, że jak śmie traktować go tak protekcyjnie... no i odepchnął ją. Dziewczyna potknęła się i wpadła do rzeki. W tym miejscu woda nie była głęboka, ale skąd ta bidula miała o tym wiedzieć?

Zaczęła krzyczeć. Boże, ale krzyczała! Przyjaciółka rzuciła aparat, pobiegła jej na ratunek, ale on złapał ją, złapał i ramieniem dusił za szyję. Ta w wodzie krzyczała, ta druga ledwie dyszała, a ja stałem jak sparaliżowany. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się nic podobnego. W

końcu jednak pobiegłem na pomoc tej dziewczynie w rzece. Łyknęła wody i zaczęła się krztusić. Tak się rzucała, że nie potrafiłem jej unieruchomić, nie mówiąc już o tym, by wyciągnąć ją na brzeg. Gerard wściekł się na mnie za to, że jej pomagam, wrzeszczał na mnie, no i trzymał tę swoją dziewczynę tak mocno...

Hausen przerwał. W oczach nadal miał wyraz cierpienia, jego czoło było blade, usta rozchyłone. Dłonie mu drżały. Zacisnął je w pięści, by nie było widać tego drżenia. Paul zrobił krok w jego kierunku.

- Nie musi pan... - powiedział.

- Wręcz przeciwnie, muszę. Teraz, kiedy Gerard wrócił, ta historia musi zostać opowiedziana. Może skończy się to moim upadkiem, ale on także musi upaść. - Hausen zacisnął wargi. Milczał chwilę, próbując się opanować.

- Gerard rzucił dziewczynę na ziemię. Była nieprzytomna. Potem wskoczył do rzeki i utopił tę drugą. Próbowałem go powstrzymać, ale poślizgnąłem się. Przytrzymał mi głowę... -

Hausen gestami pokazywał, jak to się odbyło - ...wrzeszczał coś o tym, jak to wszystkie Amerykanki są kurwami. Nim wylazłem na brzeg, było już za późno. Dziewczyna spływała z nurtem, widziałem ciągnące się za nią długie kasztanowate włosy. Zostawił ją, wyszedł i wrzucił do Sekwany tę drugą. Potem powiedział, żebym szedł za nim. Nie wiem... byłem prawie nieprzytomny... potykałem się w ciemności, pozbierałem swoje rzeczy i uciekłem z nim. Niech mi Bóg dopomoże, nie wiedziałem nawet, czy ta Amerykanka, którą dusił, rzeczywiście nie żyje, ale uciekłem razem z nim.

- I nikt was nie widział? Nikt nic nie słyszał, nie przybiegł sprawdzić, co się dzieje?

- Ktoś pewnie wszystko słyszał, ale nic to nikogo nie obeszło. Studenci zawsze się przekrzykiwali albo wrzeszczeli.

- I co pan zrobił potem?

- Pojechaliśmy na południe Francji, do posiadłości ojca Gerarda. Spędziliśmy tam kilka tygodni. Gerard prosił, żebym został, żebym wraz z nim zabrał się za interesy. On mnie naprawdę lubił.

Pochodziliśmy z zupełnie innych środowisk, a jednak szanował moje opinie.

Tylko ja jeden miałem śmiałość powiedzieć mu, że jest hipokrytą, że żyje w luksusie za pieniądze rodziny, a jednocześnie podziwia Trockiego i Marksa. Lubił sposób, w jaki go prowokowałem. Ale nie mógłbym z nim pracować. Więc wróciłem do Niemiec. I tu nie znalazłem jednak spokoju...

Hausen umilkł. Spojrzał na swe zaciśnięte w pięści dłonie. Nadal drżały, więc kilkakrotnie rozprostował palce.

- Poszedłem do ambasady francuskiej w Niemczech - oznajmił w końcu - i opowiedziałem im o wszystkim. O wszystkim. Powiedzieli, że przesłuchają Gerarda, a ja im powiedziałem, gdzie mogą mnie znaleźć. Byłem gotów iść do więzienia, byle odkupić winę.

- I co dalej?

- Francuska policja w niczym nie przypomina policji innych krajów stwierdził gorzko Hausen. - Im zależy na tym, żeby umarzać sprawy, a nie na tym, żeby je rozwiązywać, a już szczególnie wtedy, gdy ofiarami są cudzoziemcy. Dla nich sprawa tych dziewcząt pozostała nie rozwiązana i miała taką pozostać.

- Czy kiedykolwiek przesłuchano Gerarda?

- Nie wiem, lecz jeśli nawet go przesłuchano... niech pan pomyśli, co znaczy słowo biednego Niemca w porównaniu ze słowem syna francuskiego przemysłowca, miliardera.

- Ale musiałby wyjaśnić, dlaczego rzucił studia i...

- *Herr Hood*, Gerard należał do ludzi zdolnych; naprawdę zdolnych przekonać człowieka, że rzucił studia, bo w książce nie było meksykańskich mów Trockiego.

- Co z rodzicami dziewcząt?

- A czego mogli dokonać? Przyjechali do Francji, zażądali sprawiedliwości. Złożyli doniesienia o przestępstwie w ambasadzie francuskiej w Waszyngtonie i ambasadzie amerykańskiej w Paryżu. Wyznaczyli nagrody za dostarczenie informacji. Ciała ich córek odtransportowano do Stanów, Francuzi nie zrobili nic i to byłoby mniej więcej wszystko.

- Mniej więcej?

W oczach Hausena pojawiły się łzy.

- Gerard napisał do mnie kilka tygodni później. Napisał, że pewnego dnia powróci, by ukarać mnie za tchórzostwo i zdradę.

- I potem już się do pana nie odezwał?

- Aż do dziś, kiedy zadzwonił. Tu, w Niemczech, wrócił do mnie stary wstyd i poczucie winy.

- Przecież nie zrobił pan nic karygodnego. Próbował pan go powstrzymać.

- Moją zbrodnią było milczenie zaraz po fakcie - stwierdził Hausen. - Jak wielu tych, którzy wachali dymy Oświęcimia, milczałem i nie protestowałem.

- Istnieje kwestia stopnia winy, nie uważa pan? Niemiec tylko pokręcił głową.

- Milczenie jest milczeniem - powiedział. - Milczałem i dzięki temu morderca pozostał na wolności. Nazywa się teraz Gerard Dominique. Grozi mnie i mojej trzynastoletniej córce.

- Nie wiedziałem, że ma pan dzieci. Gdzie ona mieszka?

- Z matką, w Berlinie. Będą strzeżone, ale Gerard jest potężny i umie działać skrycie.

Może łapówkami nawiązać kontakt z ludźmi, którzy nie aprobują mojej działalności. -

Hausen potrząsnął głową. - Gdybym tego dnia krzyknął „Policja!”, przytrzymał Gerarda, zrobił coś, pozostałe lata przeżyłbym w spokoju. Ale nie zrobiłem nic. jedynym sposobem zadośćuczynienia była walka z nienawiścią taką jak ta, która spowodowała śmierć dziewczyn.

- Nie miał pan kontaktu z Gerardem, ale czy przez te wszystkie lata coś pan o nim słyszał?

- Nie. Znikł, jak pańska Nancy. Chodziły plotki, że zaczął pracować dla ojca, ale kiedy ten umarł, zamknął fabrykę części dla Airbusa, przez wiele lat przynoszącą ogromne dochody. Mówiono też, że ma decydujące wpływy w wielu radach nadzorczych, choć w nich nie zasiada, ale o tym nie wiem nic pewnego.

Paul miał zamiar zadać Hausenowi wiele pytań: o interesy starego Dupre, o tożsamość dziewcząt, o to, jak Centrum może pomóc mu w rozwiązaniu problemu wyglądającego na poważny przypadek szantażu, lecz ktoś stojący za nim powiedział cicho jedno słowo:

- Paul?

Hood odwrócił się i blask Hamburga przygasł w jego oczach. Hausen, miasto, sam czas przestały się liczyć, bo oto alejką szedł w jego kierunku smukły, wysoki anioł. Paul Hood znów stał przed kinem, czekając na Nancy.

I tym razem Nancy się zjawiała.

□ Czwartek, 16.22 - Hanower, Niemcy

Bob Herbert nie zadzwonił do Mike'a Rodgersa, gdy po raz pierwszy zobaczył w lusterku białą półciężarówkę.

Pojawiła się tam, kiedy krążył po mieście próbując postanowić, co robić teraz. Nie poświęcił uwagi jadącemu za nim samochodowi, zajęty był wymyśleniem sposobów na zdobycie jakiś informacji o porwanej dziewczynie. Po prostu nie da się tego zrobić, ale jakąś okrężną drogą...

Kiedy skręcił z Herrenhauser Strasse w boczną uliczkę, a półciężarówka skręciła za nim, obejrzał ją sobie bliżej. Z przodu i na tylnym siedzeniu siedzieli ludzie z kominiarkami na twarzach. Herbert zerknął na plan miasta, po czym skręcił gwałtownie w kilka kolejnych bocznych uliczek; po prostu sprawdzał, czy półciężarówka rzeczywiście jedzie za nim, jechała. Ktoś musiał obserwować go pod piwiarnią, a potem wysłać za nim pluton egzekucyjny. Podczas gdy Hanower pogrążał się w zapadającym szybko zmroku, zadzwonił

do Centrum. Alberto połączył go z Mike'em Rodgersem. To wówczas poprosił o natychmiastową pomoc lub krótką modlitwę.

- Co się stało? - spytał go Mike.

- Miałem drobne starcie z neonazistami, pod piwiarnią. Teraz chcą zlać mi tyłek.

- Gdzie jesteś?

- Trudno powiedzieć. - Herbert rozejrzał się dookoła. - Widzę brzezinę, ogrody, jezioro. -

Za oknem przemknął wielki znak z nazwą miejscowości. - Dzięki ci, Boże. To coś nazywa się Welfengarten.

- Bob! - krzyknął Rodgers. - jest tu Darrell. Ma numer telefonu miejscowego komisariatu policji. Możesz go zapisać i zadzwonić?

Herbert znalazł pióro w kieszonce na piersi. Stuknął nim w deskę rozdzielczą. Popłynął atrament.

- Dobra, strzelaj.

Nim jednak dowiedział się numeru, półciężarówka uderzyła w błotnik jego Mercedesa.

Samochód skoczył do przodu, pasy bezpieczeństwa mocno wbiły mu się w pierś.

- Cholera! - wrzasnął, wyprzedził jakiś samochód i dodał gazu. Generale, jest problem.

- Co się dzieje?

- Stuknęli mnie. Muszę się zatrzymać, nim zacznę rozjeżdżać przechodniów. Powiedźcie *Landespolitzei*, że jestem w białym Mercedesie.

- Nie, Bob, nie zatrzymuj się! - wrzasnął Mike. - Jeśli wciągną cię do środka, to koniec!

- Oni nie chcą mnie porwać! Chcą mnie zabić!

Półciężarówka znów uderzyła go w lewy tylny błotnik. Prawymi kołami Mercedes wskoczył na chodnik, omal nie rozjeżdżając mężczyzny, który właśnie wyprowadził na spacer pieska. Bob zdołał wrócić na drogę, choć przy okazji otarł się o zaparkowany samochód.

Zderzak odpadł i włókł się z trzaskiem po asfalcie.

Zahamował. Bał się, że metal może przeciąć oponę. Wrzucił tylny bieg. Udało mu się, oderwany zderzak z trzaskiem opadł na asfalt.

Zerknął w boczne lusterko, by sprawdzić, czy ma wolną drogę i może ruszyć. Cała ta scena była w gruncie rzeczy surrealistyczna. Przechodnie biegli, a naokoło śmigały samochody. I, nim zdążył włączyć się w poważnie zakłócony ruch uliczny, po jego lewej stronie pojawiła się biała półciężarówka. Siedzący obok kierowcy mężczyzna odwrócony był

w jego stronę. Przez otwarte okno wystawał pistolet maszynowy.

Mężczyzna pociągnął za spust.

□ Czwartek, 16.33 - Hamburg, Niemcy

Ubrana w krótką czarną spódnicę z pasującym do niej zakietem oraz białą bluzkę, z prostym naszyjnikiem z pereł na szyi, Nancy wyłoniła się z przeszłości powoli, jak miraż i jak w mirażu jej postać wydawała się niewyraźna. Być może dlatego, że Paul miał w oczach łzy.

Skrzywił się. Mrugnął. Dłonie zacisnął w pięści; w sercu czuł burzę uczuć, różnych uczuć. Nancy powoli się do niego zbliżała.

To ty, pomyślał najpierw.

A potem: dlaczego to u diabła zrobiłaś?

I: jesteś piękniejsza od tej dziewczyny, którą zapamiętałem.

I: A Sharon? Powinienem ją rzucić, lecz nie potrafię.

A wreszcie: Odejdź. Nie tego mi teraz potrzeba.

Ale Nancy była mu potrzebna. Napawał się jej widokiem. Nie walczył z falą dawnej szalonej miłości, która nagle zalała mu serce. Nie walczył z falą dawnego szalonego pożądania. Nie walczył z falą wspomnień.

- *Herr Hood?* - zaniepokoił się Hausen. Jego głos dobiegł Paula stłumiony i daleki, jakby dobywał się z wnętrza ziemi. - Co się stało?

- Nic. - Jego własny głos brzmiał równie niewyraźnie.

Paul nie odrywał wzroku od Nancy. Nie znikła, ale też nie odezwała się ani słowem. Nie odwróciła głowy, zbliżała się idąc ku niemu zmysłowym krokiem modelki.

- To Nancy - zdołał wykrztusić pod adresem Hausena. - Jak pana tu znalazła? -

zastanowił się Niemiec.

Nancy, wreszcie, była już blisko niego. Paul Hood nie próbował nawet wyobrazić sobie, co sądzi o jego wyglądzie. Stał sparaliżowany przez szok, z otwartymi ustami, ze łzami w oczach, powoli kręcąc głową. Był pewien jednego: w niczym nie przypominał rycerza w srebrzystej zbroi.

Teraz, z bliska, dostrzegł na twarzy dziewczyny wyraz rozbawienia, o którym świadczyło tylko lekkie wygięcie warg; niemal natychmiast ustąpił on jednak jakże dla niej charakterystycznemu, podniecająco szczeremu uśmiechowi.

- Cześć - powiedziała cicho.

Jej głos, podobnie jak twarz, wydawał się... dojrzały. W kącikach błękitnych oczu pojawiły się zmarszczki, dostrzegł też zmarszczki na niegdyś tak gładkim czole i w kącikach ust, przy górnej, tak cudownej i dolnej, nieco wydatniejszej, wardze. Zmarszczki nie odebrały jej jednak uroku, przeciwnie, wydały się Paulowi nieprawdopodobnie podniecające. Były świadectwem tego, że żyła, kochała, walczyła i przetrwała, i że nadal żyje, że nie złamały jej kaprysy losu.

Wyglądała także bardziej zdrowo, niż kiedykolwiek przedtem. Wysoka, sprawiała wrażenie klasycznej rzeźby; niewątpliwie uprawiała aerobik, biegała lub pływała. Obróciła ćwiczenia na swą korzyść, uczyniły one dla niej dokładnie to, co chciała, by uczyniły. Taką miała silną wolę, taka była zdecydowana.

Ależ oczywiście, pomyślał z goryczą. Wystarczyło jej silnej woli, by ode mnie odejść.

Nie używała już ciemnej wiśniowej szminki, którą pamiętał tak dobrze. Zastąpiła ją czymś bledszym, znacznie bardziej stonowanym. Na powiekach pojawił się także cień makijażu, a w uszach miała diamentowe kolczyki. Paul walczył z przemożną chęcią przytulenia jej i omal nie przegrał tej walki.

W końcu zdecydował się na dwa proste słowa.

- Cześć, Nancy - powiedział. Nie wydało mu się to najwłaściwszym powitaniem po wszystkich tych latach, ale w każdym razie brzmiało lepiej od wyzwisk i oskarżeń, które jako pierwsze przyszły mu na myśl. Jak każdy męczennik miłości, Paul odkrył urok świętoszkowatego minimalizmu.

Nancy odwróciła od niego wzrok. Podała dłoń Hausenowi. - Nancy Jo Bosworth - przedstawiła się.

- Richard Hausen.

- Wiem. Poznałam pana.

Nastąpiła krótka wymiana zdań, której Paul nie był świadomy. Nancy Jo Bosworth, powtarzał w myśli. Należała do tego rodzaju kobiet, które z pewnością zmieniłyby nazwisko.

A więc nie wyszła za mąż. Poczul przyływ szalonej radości, a zaraz po nim zalewającą duszę falę poczucia winy. Przecież jest żonaty.

Z trudem zmusił się do spojrzenia na Hausena. Był świadomy wysiłku, jaki włożył w obrócenie głowy; gdyby nie ów wysiłek, nawet by nie drgnęła. W oczach Niemca dostrzegł

wyraz współczucia, niemal smutku; współczucia i smutku, które skierowane były pod jego adresem. Rozumiał to uczucie. Jeśli nie będzie uważał, może zniszczyć niejedno życie.

- Chciałbym na moment pozostać sam - powiedział. - Proszę bardzo. Spotkamy się w moim biurze.

Paul skinął głową.

- A jeśli chodzi o to, co powiedział mi pan przed chwilą, jeszcze porozmawiamy: Z pewnością będę w stanie panu pomóc.

- Dziękuję bardzo.

Niemiec skłonił się im uprzejmie i odszedł.

Paul Hood znów spojrział na Nancy. Nie wiedział, co dostrzegła w jego oczach, ale on dostrzegł w jej oczach oddanie oraz pożądanie; mieszankę, której nikt nie potrafiłby się oprzeć.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała Nancy.

- Nic nie szkodzi. Właściwie już skończyliśmy. Uśmiechnęła się na te słowa.

- Nie to mam na myśli.

Paul poczuł rumieniec na policzkach i szyi. Czuł się jak kompletny idiota. Nancy delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Miałam powód, by cię opuścić w ten straszny sposób - powiedziała. - Ależ z pewnością.

- Poczuł, że odzyskuje odrobinę zdrowego rozsądku. - Nigdy niczego nie zrobiłaś bez powodu. - Odsunął dłonią jej dłoń. - Jak mnie tu znalazłaś?

- Musiałam wrócić z papierami do hotelu. Recepcjonista poinformował mnie, że pytał o mnie „Paul”, który potem wyszedł z wiceministrem spraw zagranicznych Hausenem.

Zadzwoniłam do biura Hausena, a potem zaraz tu przyszedłam.

- Ale dlaczego? Nancy roześmiała się.

- Przecież miałam mnóstwo doskonałych powodów. Chciałam cię zobaczyć, chciałam cię przeprosić, chciałam wszystko ci wyjaśnić... ale przede wszystkim chciałam cię zobaczyć.

Strasznie za tobą tęskniłam. Śledziłam twoją karierę w Los Angeles tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Byłam bardzo dumna z tego, czego dokonałeś.

- Miałem motywację.

- Zabawne, ale od razu się tego domyśliłam. Nigdy nie sądziłam, że twoje ambicje skierują się w tę stronę.

- Motywem nie była ambicja, lecz raczej rozpacz. Pracowałem ciężko by nie stać się Heathcliffem,

siedzącym w Wichrowych Wzgórzach i czekającym na śmierć. To mi właśnie zrobiłaś, Nancy. Pozostawiłaś mnie w niepewności, nie wiedziałem, co się właściwie stało, pragnąłem jednego - znalezienia cię i zadośćuczynienia za błąd, który być może popełniłem.

Pragnąłem cię aż tak, że gdyby okazało się, że uciekłaś z innym mężczyzną, zazdrościłbym mu raczej niż nienawidził go.

- Nie chodziło o innego mężczyznę.

- Nie szkodzi. Czy potrafisz choćby wyobrazić sobie taką rozpacz? Teraz Nancy lekko się zaczerwieniła.

- Tak - powiedziała - bo ja czułam coś bardzo podobnego. Ale wpadłam w straszne kłopoty. Gdybym pozostała... gdybym choćby powiedziała ci, gdzie jestem...

- To co? Co by się stało? Co takiego mogłoby być gorsze od tego, co rzeczywiście się stało? - Musiał odwrócić od niej twarz.

- Wybacz mi - powiedziała Nancy błagalnie, podeszła i jeszcze raz pogładziła go po policzku. Tym razem nie powstrzymał jej dłoni.

- Paul, ukradłam plany nowego układu scalonego, który moja firma miała sprzedawać zagranicznym kontrahentom. Dostałam za nie mnóstwo pieniędzy. Myślałam, że weźmiemy ślub, że będziemy bogaci, że staniesz się wielkim politykiem, politykiem nie do pokonania.

- Uważałaś, że tego właśnie pragnę? Wielkości za cudze pieniądze? Nancy tylko pokręciła głową.

- Miałaś nic o tym nie wiedzieć. Chciałam, żebyś mógł wystartować do wyborów, nie troszcząc się o pieniądze. Czułam, że byłbyś w stanie dokonać wielkich rzeczy, gdybyś tylko nie musiał się martwić o grupy interesów, o sponsorów. W tamtych czasach... myślałam, że coś takiego może ująć człowiekowi bezkarnie.

- Nie uwierzyłbym, że to zrobiłaś.

- Wiem. I dlatego nic ci nie powiedziałam. I dlatego też milczałam, kiedy wszystko się rozpadło. Straciłam cię... nie zniosłabym jeszcze twej pogardy. Miałaś bardzo określone poglądy na to, co jest nielegalne. Nawet w drobiazgach. Pamiętasz jak się rozzłościłaś na mandat za złe parkowanie, który dostałam pod „Cinerama Dome”, kiedy poszliśmy na

„Maratończyka”? Ostrzegałaś mnie, że dostanę mandat.

- Pamiętam - powiedział.

Oczywiście, że pamiętam, pomyślał. Pamiętam wszystko, co robiliśmy razem.

Nancy cofnęła rękę. Odwróciła się.

- No i jakoś mnie znaleźli - powiedziała. - Przez przyjaciółkę... pamiętasz Jessicę?

Hood skinął głową. Czuł zapach jej perfum, Chanel, widział perły, które zawsze nosiła; widział je tak wyraźnie, jakby dziewczyna wcale się od niego nie odsunęła.

- Jessica pracowała do bardzo późna. Właśnie wychodziłam, żeby się z tobą spotkać w kinie, kiedy zadzwoniła z informacją, że było u niej dwóch agentów FBI. Powiedziała, że jadą do mnie i chcą zadać mi kilka pytań. Wystarczyło mi czasu tylko na tyle, żeby zabrać paszport, kartę Bank- - Americard i trochę ubrań, i napisać ci ten krótki liścik. Zaraz wyniosłam się z domu. - Opuściła wzrok. - Wyniosłam się z kraju - wyznała.

- Wyniosłaś się z mojego życia. - Paul Hood mocno zacisnął usta. Wcale nie był pewien, czy pragnie, by Nancy kontynuowała opowieść.

- Jak już wspomniałam, był jeszcze jeden powód, dla którego nie skontaktowałam się z tobą. - Nancy znów spojrzała mu w oczy. - Założyłam, że zostaniesz przesłuchany, że będą cię obserwować, że mogą założyć ci podsłuch na telefon. Gdybym zadzwoniła lub napisała, z pewnością wpadłabym w łapy FBI.

- Masz rację - przyznał. - Agenci FBI byli i u mnie. Przesłuchali mnie nie mówiąc, o co jesteś oskarżona. Zgodziłem się poinformować ich, gdybyś się ze mną skontaktowała.

- Zgodziłeś się? Zgodziłeś się mnie wydać?

- Zgodziłem się. Tylko że nigdy bym cię nie porzucił.

- Przecież nie miałbyś wyboru. Odbyłby się proces, poszłabym do więzienia...

- Zgoda. A ja bym czekał.

- Czekałbyś dwadzieścia lat?

- Gdybym musiał. Ale nie musiałbym. Szpiegostwo przemysłowe, młoda zakochana dziewczyna... zawarłabyś układ z prokuratorem, przyznała się do winy i wyszła po pięciu latach.

Pięć lat. Poślubiłbyś kryminalistkę. - Nie. Poślubiłbym ciebie.

- Dobrze. Poślubiłbyś dziewczynę po wyroku. Nikt nigdy nie dopuściłby ani mnie, ani ciebie do jakiegokolwiek sekretu. Tak zakończyłyby się wszystkie twe sny o polityce.

- I co z tego? Miałem wrażenie, że kończy się całe moje życie!

Nancy zamilkła, a potem znów się uśmiechnęła.

- Biedny Paul. Bardzo to romantyczne, a także odrobinę teatralne... za to też cię kochałam. Prawda

wygląda jednak inaczej. Twoje życie nie skończyło się, kiedy odeszłam.

Spotkałeś dziewczynę... śliczną dziewczynę. Ożeniłeś się. Masz dzieci, których tak bardzo pragnąłeś. Znalazłeś swoje miejsce na ziemi.

Też mi miejsce, pomyślał Paul, nim zdołał się powstrzymać. Poczł się obrzydliwie i w myśli przeprosił Sharon.

- 1 co dalej? - spytał. Wolał raczej myśleć niż mówić.

- Przeniosłam się do Paryża - odparła Nancy. - Szukałam pracy jako programistka, ale perspektywy miałam kiepskie. Nie był to jeszcze wielki rynek, a w dodatku protekcyjny; Francuzi nie chcieli, by Amerykanie zabierali im miejsca pracy. W końcu wydałam to, co dostałam... Paryż jest drogi, zwłaszcza jeśli trzeba przekupywać władze, bo gdyby dostało się wizę, nazwisko pojawiłoby się na formularzach w ambasadzie...

Przeniosłam się do Tuluz, gdzie siedzibę miała ta firma.

- Ta firma?

- Ta, dla której wykrałam plany. Wolę nie podawać ci nazwy, bo w swojej znanej powszechnie szlachetności mógłbyś się na nich zemścić. Wiem, że byś próbował.

Miała rację. Zaraz po powrocie do Waszyngtonu pociągnąłby za sznurki i znalazł jakiś sposób, żeby ich przycisnąć.

- Najgorsze - mówiła dalej Nancy - jest to, że przez cały czas podejrzewałam o wydanie mnie tego gościa, któremu sprzedałam plany. Chciał mnie w ten sposób zmusić, żebym zaczęła pracować dla nich. Nie dlatego, bym była taka błyskotliwa, o nie, przecież ukradłam swój najlepszy pomysł, ale dlatego, że uważał, iż jak będę od niego zależna, to nigdy go nie wydam. Nie chciałam się u niego zatrudnić, wstydziałam się tego, co robiłam, ale przecież potrzebowałam pracy. - Uśmiechnęła się smutno. - A na dodatek w miłości ponosiłam klęskę za klęską, bo wszystkich porównywałam do ciebie.

- No, proszę! Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo mi miło to słyszeć.

- Nie, nie. Nie zachowuj się w ten sposób. Przecież nadal cię kochałam. Na stoiskach z prasą zagraniczną kupowałam „Los Angeles Times” tylko po to, żeby śledzić postępy twej kariery. Nie wiem już, ile razy chwytalam za pióro lub słuchawkę, żeby się z tobą skontaktować, ale zawsze myślałam, że lepiej będzie, jeśli tego nie zrobię.

- Więc czemu nagle zdecydowałaś się ze mną zobaczyć? - Paul znów poczuł ból... ból i smutek. - Czyżbyś myślała, że dziś to już nie będzie bolało?

- Po prostu nic już nie potrafiłam na to poradzić - przyznała Nancy. - Kiedy dowiedziałam się, że jesteś w Hamburgu, poczułam, że dłużej bez ciebie nie wytrzymam. I wydawało mi się, że ty chciałbyś zobaczyć mnie.

- To prawda - przyznał Hood. - Jezu, Nancy, nadal nie potrafię uwierzyć, że to rzeczywiście ty.

- To ja - powiedziała po prostu.

Paul spojrział w oczy, w które kiedyś patrzył za dnia i w nory. Pociągała go, i było to jednocześnie cudowne i wstrętne, sen i koszmar. Opierał się jej czarowi, ale mimo całej swej siły nie grał po prostu w tej samej lidze, musiał przegrać.

Chłodny o zmroku wiatr zmroził mu kark. Jakże pragnął jej nienawidzić, jakże pragnął po prostu odejść. Najbardziej jednak pragnął cofnąć się w czasie i powstrzymać ją, nim go opuściła.

Patrząc mu wprost w oczy, Nancy ujęła jego dłonie. Jej dotyk poczuł jak szok elektryczny, prąd przeszywający całe ciało. Teraz już wiedział, że musi przed nią uciec.

Cofnął się i nie czuł już nic.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział.

- Czego nie możesz zrobić? Bądź szczery. - I dodała jeszcze drobną złośliwość, taką, z jakiej zawsze była dumna. - Co z ciebie zrobiła ta polityka!

- Przecież wiesz, że to nie kwestia polityki. Nie mogę tu z tobą zostać.

- Nawet na godzinę? Nie możemy napić się kawy? Porozmawiać? - Nie - stwierdził Paul.

- Niczego od ciebie nie chcę.

Nancy uśmiechnęła się.

- To nieprawda, Paul. I doskonale wiesz, że to nieprawda.

Miała rację. Jej oczy, jej sposób chodzenia, sama jej obecność... wszystko to tchnęło nowe życie w coś, co nie całkiem jeszcze umarło. Paul omal nie krzyknął.

Staął obok Nancy. Ona patrzyła na południe, on patrzył na północ.

- Jezu, Nancy - powiedział - nie mam zamiaru wpędzić się z twego powodu w kompleks winy! To ty uciekłaś ode mnie! Porzuciłaś mnie bez słowa wyjaśnienia. Spotkałem kogoś, kogoś z kim żyłem, kogoś, kto powierzył mi życie i serce. Nie zrobię nic, by to zepsuć.

- O nic cię nie prosiłam. Wspólna kawa to przecież nie zdrada małżeńska.

- Tak jak pijaliśmy kawę, byłaby to zdrada. Nancy uśmiechnęła się. Spuściła wzrok.

- Rozumiem. Żał mi tego, co straciliśmy... bardziej, niż potrafiłbyś sobie wyobrazić. Ale rozumiem. -

Spojrzała mu w oczy. - Mieszkam w „Ambasadorze”. Zostaję tam do dzisiejszego wieczora. Jeśli zmienisz zdanie, zostaw mi wiadomość.

- Nie zmienię zdania. - Paul nie opuścił wzroku. - Choć bardzo bym chciał.

Nancy uścisnęła mu dłoń.

- A więc polityka cię nie skorumpowała. Nie jestem zaskoczona. Raczej rozczarowana.

- Zapomnisz o rozczarowaniu. W końcu potrafiłaś przecież zapomnieć o mnie.

Wyraz twarzy dziewczyny zmienił się nagle. Po raz pierwszy Paul dostrzegł prawdziwy smutek, ukryty do tej pory pod uśmiechem i tęsknym spojrzeniem.

- Czy ty rzeczywiście w to wierzysz?

- Oczywiście. Inaczej nie zostawiłabyś mnie w ten sposób.

- Mężczyźni nie rozumieją miłości - powiedziała Nancy. - Nigdy, w najpiękniejszy nawet dzień, z najwspanialszym nawet mężczyzną, nie czułam się jak przy tobie. Nie spotkałam nikogo tak inteligentnego, tak łagodnego, tak współczującego. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Przykro mi, że wstrząsnęłam tobą, wracając w twoje życie, ale chciałam, żebyś wiedział, że nigdy cię nie zapomniałam, Paul. I nigdy cię nie zapomnę.

Ruszyła w stronę wyjścia z parku, nie oglądając się za siebie. On jednak patrzył na nią.

Paul Hood znów stał pod kinem, z dwoma biletami w kieszeni, cierpiąc, bo porzuciła go kobieta, którą kocha.

□ **Czwartek, 16.35 - Hanower, Niemcy**

Gdy tylko zobaczył broń, Bob Herbert wrzucił wsteczny bieg i z całej siły pociągnął

ręczny gaz. Nagłe przyśpieszenie rzuciło go na pas. Krzyknął, czując nagły ucisk na piersi, pociski ominęły go jednak, dziurawiąc wyłącznie maskę i przedni błotnik. Herbert nadal cofał

samochód, mimo iż trafił błotnikiem w latarnię z siłą, która wyrzuciła Mercedesa z powrotem na ulicę. Nadjeżdżające samochody hamowały lub skręcały ostro, by uniknąć kolizji, kierowcy wrzeszczeli i trąbili na niego jak szaleni.

Bob całkowicie ich ignorował. Spojrzał przed siebie - pasażer z przedniego siedzenia półciężarówki właśnie wychylał się przez okno. Celował wprost w niego.

- Te sukinsyny wcale nie mają zamiaru przestać! - wrzasnął. Nie był dość szybki, wszystko musiał robić rękoma. Wcisnął gaz, obracając kierownicę w lewo, lewą ręką wparł

się w nią mocno. Pędząc przed siebie, błyskawicznie pokonał dzielące go od białego samochodu trzy metry. Uderzył go w lewy tylny błotnik. Rozległ się trzask gnieczonego metalu, półciężarówka skoczyła do przodu, mógł już wyjechać na ulicę. Z ręką na gazie przemknął obok niej, od strony kierowcy, i popędził przed siebie.

Gdzieś tam, z tyłu, ruch uliczny został już całkowicie zahamowany. Przechodnie uciekali w panice. Bob nagle przypomniał sobie o telefonie komórkowym. Podniósł go z siedzenia.

- Mike, jesteś tam?

- Chryste, czyżbyś nie słyszał, jak wrzeszczę?

- Nie. Jezu, wściekli się teraz na mnie na dwóch kontynentach. - Bob, o co...

Herbert nie usłyszał reszty. Upuścił telefon, klnąc strasznie - to tramwaj skręcił w ulicę tuż przed maską jego samochodu. Przyśpieszył, zdołał go wyminąć i zostawić za sobą jako przeszkodę dla półciężarówki. Złapał słuchawkę.

- Przepraszam, generale, nie słyszałem, co pan mówi. - Pytałem, co się dzieje.

- Mike, mam za sobą uzbrojonych szaleńców, którzy postanowili zorganizować sobie prywatne Grand Prix w Hanowerze.

- Wiesz, gdzie jesteś?

Bob zerknął we wsteczne lusterko. Biała półciężarówka z piskiem opon objeżdżała właśnie tramwaj.

- Zaczekaj - powiedział do słuchawki.

Odłożył telefon i położył na kierownicy obie dłonie. Ścigający go samochód mknął ulicą, Bob zaś rozejrzał się dookoła. Budynek Hanoweru przemykały obok niego; pędził Lange Laube, skręcił ostro raz i drugi, i znalazł się na Goethe Strasse. Zdał sobie sprawę z tego, że ma szczęście; ruch tu był niewielki, większość ludzi zdecydowała się przeczekać Dni Naporu w domu.

Nagle usłyszał słaby głos Mike'a Rodgersa.

- O, cholera! - zaklął, podnosząc słuchawkę. - Przepraszam, Mike. Już jestem.

- A gdzie dokładnie jesteś? - Nie mam pojęcia.

- Widzisz jakąś tabliczkę z nazwą ulicy?

- Nie. Zaczekaj, tak. - Wpatrzył się w przemykające obok kamienice. - Goethe Strasse.

Jestem na Goethe Strasse.

- Wywołujemy mapę na komputerze. Trzymaj się! - Dobra, dobra. Mam jakiś wybór?

Półciężarówka wypadła na Goethe Strasse, potrącając przy tym zaparkowany samochód, i jeszcze przyspieszyła. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy tym durniom sam Pan Bóg zagwarantował nieetykalność, czy byli głupszy niż ustawa przewiduje, czy też może po prostu i zwyczajnie wściekli, ale najwyraźniej nie mieli zamiaru dać za wygraną. Bob uznał, że są wkurzeni, bo ośmielił się postawić im nie dość, że Amerykanin, to jeszcze kaleka. Tego rodzaju zachowania nie mieli zamiaru tolerować.

No i oczywiście w zasięgu wzroku nie ma żadnego policjanta, pomyślał jeszcze. Ale jak powiedział ten glina sprzed piwiarni, niemal cała *Landespolitzei* zajęta była obserwowaniem uczestników Dni Naporu, a poza tym kto mógł się spodziewać wyścigu samochodowego w samym centrum miasta. W słuchawce rozległ się głos Rodgersa.

- Bob, na razie jest nieźle. Jedź Goethe Strasse na wschód, jeśli tylko możesz. Biegnie prosto do Rathenau Strasse, skręcającej na południe. Tam zorganizujemy ci pomoc.

- O cholera! - wrzasnął Herbert po raz kolejny i po raz kolejny puścił telefon.

Półciężarówka znów trochę się do niego zbliżyła. Strzelec wychylił się z okna i zaczął

walić w opony. Bob nie miał wyboru: musiał skręcić na mniej zatłoczony pas, prowadzący z powrotem do miasta. Szybko nadrobił trochę dystansu.

Pędził przed siebie; na drodze wokół niego robiło się pusto. Nagle prędkość ucieczki zmniejszyła się radykalnie i omal nie stracił poczucia kierunku. Wpadł w dziurę na drodze, zaczął się ślizgać i tylko z największym trudem, delikatnie operując hamulcem, opanował

roztącnzonego Mercedesa. Zatrzymał się maską na zachód, w kierunku, z którego przyjechał.

Półciężarówka minęła go i z wyciem opon zatrzymała się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Złapał za telefon.

- Mike, jedziemy z powrotem. Goethe do Lange Laube.

- Zrozumiałem. Darrell już siedzi na telefonie. Nie panikuj, pomożemy ci. - Nie panikuję.

- Półciężarówka ruszyła ku niemu z rykiem silnika. Tylko dopilnuj, żebyś był w stanie panikować w przyszłości.

W tylnym lusterku dostrzegł strzelca przeładowującego broń. Ci ludzie nie wiedzieli po prostu, co to znaczy dać za wygraną, a jego szczęście prędzej czy później musiało się wyczerpać. Nagle kątem oka dostrzegł stojący z tyłu wózek inwalidzki. Postanowił, że go po prostu wyrzuci. Nie zatrzyma w ten sposób ścigającego go samochodu, ale z pewnością trochę go uszkodzi. No i, jeśli przeżyje, dobrze się zabawi, wypełniając zapotrzebowanie na kolejny.

„Powód utraty” (był to jedyny punkt nie wymagający odpowiedzi „tak” lub „nie”):

„Wyrzucony z pędzącego samochodu podczas ucieczki przed neonazistowskimi zabójcami”.

Zwolnił i kiedy półciężarówka znalazła się wystarczająco blisko, wcisnął przycisk na desce rozdzielczej. Tyłne drzwi nie otworzyły się jednak, tylko śpiewny kobiecy głos poinformował go uprzejmie: „Żałujemy, lecz urządzenie nie działa, gdy pojazd jest w ruchu”.

Nacisnął ręczny gaz i Mercedes gwałtownie przyspieszył. Bob obserwował

półciężarówkę w lusterku pilnując, by znajdowała się wprost za nim. W ten sposób trudno go było trafić z bocznego okna. Dostrzegł jednak, jak strzelec wypycha nogą przednią szybę, jak szyba wypada, błyska w słońcu, uderza o asfalt i rozpryskuje się na drobne kawałeczki. W

dziurze pojawiła się lufa pistoletu maszynowego. Trzymający go mężczyzna celował, walcząc z wpadającym do szoferki powietrzem. W tym obrazie było coś koszmarnego; facet przypominał czarownicę na miotle, zmagającą się z porywistym wiatrem.

Bob miał na reakcję zaledwie ułamek sekundy. Z całej siły uderzył dłonią w hamulec.

Mercedes zatrzymał się nagle, a ścigający go samochód z całej siły wyrzucił go w bagażnik, który uniósł się i zwinął w harmonijkę. Ponad nią Herbert dostrzegł strzelca, rzuconego na pustą ramę i puszczającego broń. Pistolet maszynowy zadudnił po dachu Mercedesa.

Kierowca również rzucony został do przodu, mocno uderzając piersią w kierownicę. Stracił

kontrolę nad półciężarówką, zatrzymała się jednak, gdy tylko noga ześlizgnęła mu się z gazu.

Jedyną kontuzją Herberta było bolesne otarcie w miejscu, w którym pas znów werznął mu się w ciało.

Zapadła przeraźliwa cisza, lecz niemal natychmiast przerwał ją dźwięk odległych samochodowych klaksonów.

Nie do końca pewny, czy udało mu się w pełni zneutralizować załogę półciężarówki, Bob Herbert wcisnął gaz, zamierzając uciekać dalej. Mercedes nawet nie drgnął, choć koła z piskiem ślizgały się po asfalcie. Zderzaki szczepiły się ze sobą tak, że nie sposób ich było rozerwać. Bob zaprzestał wysiłków. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak mocno bije mu serce. Ciekawe, pomyślał, czy uda mi się wyciągnąć wózek, czy uda mi się wysiąść.

Nagle ryknął silnik półciężarówki. Herbert poczuł szarpnięcie. Spojrzał w lusterko. Ktoś nowy zajął miejsce za kierownicą, wrzucił wsteczny bieg i puścił sprzęgło. Zaraz potem ruszył do przodu, i znów do tyłu, i jeszcze raz w przód.

Próbuje oberwać zderzaki, pomyślał, i w tym momencie samochody się rozdzieliły.

Półciężarówka ruszyła na wstecznym biegu, przyspieszyła i znikła za rogiem.

Bob siedział kurczowo trzymając się kierownicy. Próbował zdecydować, co właściwie powinien teraz zrobić. Z daleka dobiegł go dźwięk policyjnej syreny, syreny, która zmusiła terrorystów do ucieczki. Była to jedna z tych donośnych syren, które sprawiały, że policyjne Ople brzmiały jak amerykańskie Buicki. Pod oknem Mercedesa pojawili się ludzie, pytając go o coś cichymi głosami. Mówili po niemiecku.

- *Danke*. Dziękuję. Dobrze się czuję. *Gesund*. jestem zdrowy.

Zdrowy? - pomyślał. Pomyślał też o przesłuchaniu na policji. Niemieccy gliniarze nie słynęli z uprzejmości. W najlepszym przypadku potraktują go obiektywnie. W najgorszym...

W najgorszym przypadku, pomyślał, na komisariacie spotkam paru sympatyków neonazizmu. W najgorszym przypadku trafię do więzienia. W najgorszym przypadku ktoś odwiedzi mnie w celi o północy, zaopatrzony w nóż albo kawałek stalowego drutu.

- Pieprzę to - powiedział głośno, podziękował gapiom, uprzejmie poprosił, żeby ustąpili z drogi, wrzucił bieg, podniósł telefon i pojechał za półciężarówką.

□ Czwartek, 11.00 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Nazywał się „Kraken”, jak legendarna wielka morska ośmiornica. Ustawił go Matt Stoll, jako jeden z pierwszych pracowników zatrudnionych w Centrum.

Kraken był potężnym systemem komputerowym, połączonym ze światowymi bazami danych. Miał dostęp do archiwów fotograficznych i do zbiorów odcisków palców FBI, do książek Biblioteki Kongresu i archiwów wycinków prasowych w każdym większym amerykańskim mieście, do danych giełdowych, rozkładów jazdy pociągów i lotów linii lotniczych, do książek telefonicznych z całego świata i spisu policyjnych oraz wojskowych jednostek w Stanach i za granicą.

Stoll ze swym jakże niewielkim personelem napisał też program, który zapewniał nie tylko dostęp do danych, lecz także ich analizę. Program ten umożliwiał na przykład wyodrębnienie ust, nosa lub oka terrorysty i znalezienie ich w dowolnym zbiorze danych policji lub prasy. Za jego pomocą można było też porównywać pejzaże przez wyodrębnienie kształtu góry, fragmentu horyzontu lub wybrzeża morskiego. Dwaj zatrudnieni na pełen etat operatorzy, dzienny i nocny, dyżurowali w archiwum. Zdolność systemu wynosiła ponad trzydzieści operacji jednocześnie.

Odnalezienie właściwej fotografii wiceministra spraw zagranicznych Hausena zajęło Krakenowi zaledwie piętnaście minut. Zdjęcie to zrobił fotograf Reutera. Opublikowała je przed pięcioma miesiącami berlińska gazeta, z okazji wystąpienia Hausena na przyjęciu dla niedobitków Holocaustu. Dowiedziawszy się o tym Eddie nie potrafił powstrzymać się od refleksji nad okrucieństwem losu, który spowodował takie wykorzystanie zdjęcia zrobionego przy takiej okazji.

Pejzaż za jego plecami był nieco trudniejszy do rozpoznania, programiści mieli jednak szczęście. Zamiast szukać po całym świecie, Deirdre Donahue i Natt Mendelshon zaczęli od Niemiec, po czym sprawdzili Austrię, Polskę i Anglię. Po czterdziestu siedmiu minutach program odnalazł właściwe miejsce na mapie - południową Francję. Deirdre sprawdziła źródło informacji, zapisała historię poszukiwań i włączyła ją do pliku.

Eddie przefaksował informację Mattowi, Kraken zwinął zaś potężne macki i spoczął, czujny, w swej sekretnej jaskini.

□ Czwartek, 17.02 - Hamburg, Niemcy

Paul Hood wracał do biura Hausena pogrążony w oceanie wspomnień, czystych i jasnych, choć spoczywających do tej pory w najgłębszym ukryciu umysłu. Wspomnień o tym, co robili i o czym rozmawiali przed przeszło dwudziestu laty Nancy Jo Bosworth i on sam.

Pamiętał, jak siedzieli w meksykańskiej restauracji w Studio City dyskutując, czy będą, czy też nie będą mieli dzieci. Zdecydowali, że owszem, będą i przy taco i gorzkiej kawie do białego rana omawiali wady i zalety życia rodzinnego.

Pamiętał, jak w kinie w Westwood, czekając na początek filmu z Paulem Newmanem, omawiali postępowanie Komisji Prawnej Kongresu dyskutującej, czy postawić prezydenta Nixona w stan oskarżenia. Czuł zapach popcornu Nancy i smak batoników, które zjadała.

Pamiętał, jak po raz pierwszy wypróbowali czarno-białą grę wideo „Pond”, a potem przegadali noc, zastanawiając się nad przyszłością techniki.

Od lat nie myślał o tych (i innych) okazjach, potrafił jednak przytoczyć dosłownie całe zdania z ich dyskusji, pamiętał zapachy, pamiętał, na co patrzyli i co widzieli. Pamiętał wyraz jej twarzy i to, w co była ubrana. Pamiętał, tak jakby zdarzyło się to wczoraj. Pamiętał jej energię, żywotność; uwielbiał ją, choć niemal go onieśmielała. Nancy należała do kobiet ciekawych wszystkiego, wykorzystujących każdą nową możliwość, badających każde nowe zjawisko. A kiedy ten uroczy szaleniec nie pracował, bawił się na dyskotekach i w łóżku, wrzeszczał aż do ochrypnięcia na meczach futbolu, koszykówki, baseballu, krzyczał ze złości lub uciechy przy Scrabble lub nowej grze komputerowej, jeździł na rowerze po Griffith Park i kolejką po Bronson Caverns, podczas gdy Paul próbował zlokalizować miejsce, w którym nakręcono „Robot Monster”. Nancy nie potrafiła wytrzymać na filmie bez notesu, w którym zapisywała pomysły, choć potem nie potrafiła odczytać wykonanych po ciemku gryzmołów.

Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, było częścią procesu twórczego, warunkiem koniecznym myślenia i robienia czegoś, co zawsze ją fascynowało. Jego zaś fascynowała jej energia, entuzjazm, nieskrępowana twórcza fantazja, jej magnetyzm. Była jak grecka muza Terpsychora, pogrążona w cielesnym i duchowym tańcu, który oczarowany śledził.

I niech cię diabli, pomyślał, ale nadal jesteś nią oczarowany. Chryste, sztorcował się w duchu. Człowieku, dorośnij!

Nic jednak nie jest aż tak proste. Był dorosły, był rozsądny, dorosłości i rozsądkowi zawdzięczał jednak wyłącznie wiedzę o tym, dlaczego coś się dzieje, a nie jak poradzić sobie z tym, co się zdarzyło.

Więc co się właściwie zdarzyło? Jakim cudem Nancy udało się sprawić, że znikło gdzieś dwadzieścia lat wściekłości, którą odczuwał dzień po dniu wraz z dwudziestoma latami nowego

życia, które zbudował sobie z takim trudem.

Paul śledził w myśli, jakby szedł po schodach, każdy krok, który doprowadził go do dzisiejszej sytuacji. Nancy znika. Rozpacz. Spotyka Sharon w sklepie z ramami. Ona chce oprawić dyplom szkoły kucharskiej, on podpisane zdjęcie gubernatora. Rozmawiają.

Wymieniają numery telefonów. Dzwoni do niej. Sharon jest ładna, inteligentna, spokojna.

Poza kuchnią, którą kocha, nie jest twórcza i brak jej nadnaturalnej energii Nancy. Gdyby istniało coś takiego jak reinkarnacja, można byłoby powiedzieć, że w żyłach Nancy płynie krew kilkunastu osób, zaś w żyłach Sharon krew samej Sharon i nikogo więcej.

I bardzo dobrze - powiedział sobie wtedy z naciskiem. Jeśli chcesz się ustabilizować, założyć rodzinę, musisz znaleźć kogoś, kto potrafi się ustabilizować. A tej umiejętności Nancy z całą pewnością nie posiadała. Jego życie nie było może doskonałe, lecz choć z Sharon nie przeżywał niebiańskich uniesień, dobrze czuł się w Waszyngtonie mając przy boku rodzinę szanującą go, kochającą i nie mającą zamiaru uciekać w nieznanne. Czy Nancy kiedykolwiek rzeczywiście go szanowała? Co w nim w ogóle widziała? Po jej zniknięciu podczas ciągnących się w nieskończoność miesiący wielokrotnie dokonywał sekcji ich miłości, lecz nigdy nie udało mu się stwierdzić, jaki był w nią jego wkład.

Wszedł do budynku, wsiadł do windy i nagle doszedł do wniosku, że się nim manipuluje.

Nancy rzuciła go, objawiła się kilkanaście lat później i natychmiast mu się oferowała.

Praktycznie rzuciła mu się w ramiona. Dlaczego? Czyżby z poczucia winy? Nie, nie ona, ona miała sumienie cyrkowego kłowna. Tort w twarz, woda za spodnie, ach, huragan śmiechu i wszystko zostaje zapomniane, przynajmniej przez nią. Ludzie to akceptowali, bo choć egoistka, nie była złośliwa, raczej czarująca. Samotność? Nancy nie znała prawdziwej samotności. Nawet sama zawsze znajdowała towarzystwo, zdolne ją co najmniej rozbawić.

Wyzwanie? Tak, to możliwe. Niemal słyszał, jak zadaje sobie pytanie: „Czy nadal masz w sobie to coś, Nancy, stara przyjaciółko?”.

Gdyby nawet odpowiedział sobie na wszystkie pytania, niczego by to oczywiście nie zmieniło. W końcu dziś jest dziś, świat rzeczywisty jest rzeczywisty, on ma lat czterdzieści, nie dwadzieścia, a zamiast szalonej komety jego wszechświatem rządzi stabilna mała planetka. Nancy przyszła, Nancy odeszła; teraz przynajmniej wie, co się stało.

Następna myśl mocno go zaskoczyła.

Możesz wreszcie przestać obwiniać Sharon, że nie jest Nancy, pomyślał. Czyżby rzeczywiście gdzieś, w głębi duszy, obwiniął żonę o to, że nie jest kimś innym? Boże, ależ go to przestraszyło! Schodami wspomnień zstąpił w głąb jakiś zarośniętych pajęczynami lochów.

Jakby tego było mało, Paulowi Hoodowi żal było w dodatku Hausena, którego zostawił z obnażoną duszą i słowami mrocznej spowiedzi na wargach. Pozostawił go bez pomocy ze strony tego, któremu człowiek ów wyznał swój najtajniejszy sekret. Przeprosi go za to, oczywiście, a Hausen, prawdziwy dżentelmen, przeprosiny te z pewnością przyjmie. Poza tym sam też wyznał mu swój sekret, mężczyzna rozumie mężczyznę. Jeśli chodzi o tajemnice serca i szaleństwa młodości, mężczyźni z łatwością sobie wybaczą.

Hausen stał wraz ze stołem w swym gabinecie. Obok nich tkwił nieruchomy Lang.

- Dostał pan to, czego pragnął? - spytał Hooda polityk.

- Aż za dużo - odparł Paul z uśmiechem. - Bardzo panu dziękuję. A tu, wszystko w porządku?

- Cieszę się, że porozmawialiśmy - stwierdził Niemiec i jakimś cudem również zdołał się uśmiechnąć.

Stoll tymczasem pracowicie stukał w klawiaturę.

- Szefie - stwierdził, nie odrywając wzroku od monitora - *Herc* Hausen nie zdradził nam wprawdzie, gdzie się pan podział, uważam jednak za zastanawiające, że Paul Hood i Superman nigdy nie pojawiają się w tym samym czasie.

- Daj spokój. - W głosie Hooda zabrzmiał wyraźny ton ostrzeżenia. - Natychmiast, szefie.

Proszę o wybaczenie.

Paulowi natychmiast zrobiło się żal, że tak na niego naskoczył.

- Nic nie szkodzi - powiedział znacznie łagodniej. - Co za cholerny dzień. Znaleźliśmy coś?

Matt Stoll wywołał na ekran planszę rozpoczynającą grę.

- No... jak tłumaczyłem właśnie panom Hausenowi i Langowi, ta gra została zainstalowana wraz z uruchamiającym ją kodem czasowym. Wprowadził ją asystent wiceministra spraw zagranicznych, Hans...

- Który najwyraźniej znikł - uzupełnił Lang. - Próbowaliśmy u niego w domu i na siłowni, z której zwykle korzysta. Nie znaleźliśmy go.

- I jego skrzynka nie przyjmuje elektronicznej poczty - dodał Stoll. - Tak więc z całą pewnością dał dyla. Wiemy tyle, że fotografia pana Hausena zrobiona została podczas przemówienia na przyjęciu dla Żydów, którzy przetrwali Holocaust, tło zaś pochodzi stąd.

Wydał odpowiednią komendę. Tytułowa strona gry znikła z monitora, zastąpiona fotografią wprowadzoną do systemu przez Krakena Centrum. Hood pochylił się i przeczytał

podpis.

- Rzeka Tarn w Montauban, most le Vieux Pont. - Wyprostował się. - Francja czy Kanada? - spytał.

- Południowa Francja - odparł Stoll. - Kiedy wszedłeś, miałem właśnie zamiar pokazać raport Deirdre. - Wywołał na ekran właściwy plik. *Route nationale* - czytał - bla, bla, bla...

biegnie na północ i północny zachód wzdłuż rzeki Garonne aż do Tarn w Montauban, ludność pięćdziesiąt jeden tysięcy, w mieście znajduje się to i to... - przesunął na ekranie dane demograficzne - ...aha, mam. Budynek jest twierdzą zbudowaną w 1144 roku, historycznie związaną z tendencjami separatystycznymi Langwedocji. Jako forteca służył podczas wojen religijnych i dla miejscowych ludzi jest nadal symbolem oporu.

Matt wrócił do poszukiwań istotnych danych, przeskakując po szczegółach tekstu.

- Mamy coś o właścicielu? - zainteresował się Hood.

- Szukam. - Matt wpisał słowo WŁAŚCICIEL i zażądał poszukiwań. Tekst przeskoczył w przyspieszonym tempie i na monitorze ukazało się, podkreślone, poszukiwane słowo. - Mam.

„Sprzedane w zeszłym roku firmie produkującej oprogramowanie komputerowe pod warunkiem, że właściciel nie dokona zmian... ” i tak dalej, i tak dalej. O, tu. „... prywatnej francuskiej firmie Demain, zarejestrowanej w mieście Tuluza w 1979 roku”.

Paul spojrział na niego ostro i sam pochylił się nad ekranem.

- Zaczekaj - poprosił. Sprawdził datę. - Zawiadom Deirdre albo Nata, żeby zdobyli mi więcej informacji o tej firmie. Jak najszybciej.

Matt Stoll przytaknął, wyczyścił ekran i wydzwonił „Strażników Krakena”, jak nazywał

swój personel. Wysłał im pocztą elektroniczną polecenia wyszukania dodatkowych informacji o Demain, rozsiadł się w fotelu, założył ręce na piersi i czekał.

Nie musiał czekać długo. Deirdre niemal natychmiast przysłała krótki artykuł z

„Videogaming Illustrated”, wydanie z czerwca 1990 roku.

Gry dnia jutrzejszego.

Asteroidy już ci się znudziły? Masz dość „Inwazji”? Nawet jeśli nie, nawet jeśli nadal kochasz hity dnia wczorajszego, z pewnością zainteresuje cię francuska firma Demain, co dosłownie oznacza „Jutro”. Firma ta opracowała całkowicie nowe gry na domowe systemy Atari, Intellivision i Odyssey. Pierwsza z nich, gra przygodowa pod tytułem „Rycerz”, znajdzie się w sklepach już w tym tygodniu. To jak na razie jedyna gra opracowana na trzy dominujące na rynku systemy gier wideo.

Podczas konferencji prasowej, szef działu badań i rozwoju Demain, Jean-Michel Horne,

powiedział:

„Dzięki

rewolucyjnemu,

bardzo

szybkiemu

opracowanemu przez nas procesorowi, grafika i sposób rozgrywki będą dokładniejsze i znacznie bardziej interesujące niż w innych grach”.

„Rycerz” ma kosztować \$ 34.00 - wraz z kuponem uprawniającym do zniżki na następny produkt firmy, grę przygodową „Doberman”.

Paul przez chwilę zastanawiał się nad konsekwencjami tego, co podano w artykule.

Informacje te niewątpliwie pozwoliły złożyć w całość kilka oddzielnych kawałków łamigłówki.

Nancy ukradła plany nowego procesora i sprzedała je francuskiej firmie, być może - nie, prawdopodobnie! - właśnie Demain. Gerard, rasista, zrobił fortunę na produkcji gier komputerowych. I, na boku, zainwestował w gry rasistowskie.

Dlaczego? Bo takie ma hobby? Z całą pewnością nie. Małe zastrzyki nienawiści, aplikowane od czasu do czasu, z pewnością nie satysfakcjonowałyby człowieka, którego opisał mu Hausen.

Załóżmy jednak, że produkuje takie gry, myślał Paul. Na jedną z nich trafił chłopak Charliego Squiresa. A co, jeśli jej twórcą jest Dominique? Czy coś takiego da się rozsyłać Internetem?

Ponownie - założmy, że tak. Po co? Z pewnością nie tylko po to, żeby zarobić. Hausen nie pozostawił najmniejszych wątpliwości, że Dominique ma wystarczająco wiele forsy.

Z pewnością chodzi mu o coś znacznie poważniejszego. W Internecie pojawiają się rasistowskie gry. Hausen jest szantażowany. Czyżby miało to coś wspólnego z rozpoczynającymi się Dniami Naporu?

Tego rodzaju rozmyślania nie prowadziły niestety do niczego. Brakowało zbyt wielu elementów łamigłówki. Była jednak osoba, która, gdyby zechciała, mogłaby je dla niego odnaleźć.

- Panie Hausen? - spytał. - Czy mógłbym na krótki czas pożyczyć od pana samochód z kierowcą?

- Ależ oczywiście. Czego jeszcze panu potrzeba?

- Na razie niczego. Matt, wyślij ten artykuł do generała Rodgersa. Poinformuj go, że niejaki Dominique może być dystrybutorem rasistowskich gier, człowiekiem, którego szukamy. Jeśli mają coś o nim...

- Na pewno coś dostaniemy. Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem. - Doceniam to. -

Paul poklepał go po ramieniu i natychmiast ruszył w stronę drzwi. Matt Stoll odprowadził go wzrokiem.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości - powiedział w powietrze. - Szef jest Supermanem.

□ Czwartek, 17.17, Hanower, Niemcy

- Bob - odezwał się głos w słuchawce. - Mamy dobre wieści.

Bob Herbert z radością dowiedział się, że jego asystent, Alberto ma dla niego jakieś dobre wieści. Klatka piersiowa cholernie bolała go w miejscu, gdzie otarły ją pasy, a w dodatku wściekał się na myśl o tym, że terroryści mu uciekli. Nie zdołał znaleźć półciężarówki, więc z końca zjechał w którąś z bocznych uliczek i z telefonu komórkowego wydzwonił Centrum. Na jego prośbę Alberto miał się skontaktować z Narodowym Biurem Rozpoznania i przy ich pomocy spróbować znaleźć terrorystów. Gdy go znajdą, on sam miał

zamiar udać się na wskazane przez nich miejsce. Niemieckiej policji było w okolicy tak niewiele, że z pewnością nie mógł na nią liczyć.

Zdumiało go, kiedy telefon zadzwonił zaledwie sześć minut później. Przetworzenie satelitarnego „oka” z jednego obiektu na inny trwało na ogół sześć razy dłużej.

- Masz szczęście - oznajmił Alberto. - NBR już wcześniej obserwowało twój teren dla Larry'ego, zajmującego się sprawą porwania praktykantki z planu filmowego. Larry chce pobić Griffa w tej sprawie. No i bardzo dobrze. Reszta naszych stacjonarnych satelitów zajęta jest obserwowaniem rozwoju sytuacji na południowych Bałkanach.

„Lamy” odnosiło się do dyrektora CIA Larry'ego Rachlia, „Griff” do dyrektora FBI, Griffa Egenes. Obaj rywalizowali ze sobą zaciekłe i od bardzo dawna. Podobnie jak Centrum, FBI i CIA miały dostęp do danych NBR. Egenes znany był z tego, że zbiera informacje jak wiewiórka orzeszki.

- No i co ma NBR? - spytał Herbert. Nie czuł się dobrze, rozmawiając z Alberto przez nie zabezpieczoną linię, ale jaki miał wybór? Mógł tylko mieć nadzieję, że nie słucha go nikt niepowołany.

- Dla Larry'ego, nic. Ani śladu filmowej ciężarówki, ani śladu dziewczyny. Darrell twierdzi, że Griff też nie ma niczego nowego. Wygląda na to, że jego policyjne źródła zajęte są gdzie indziej. .

- To akurat wcale mnie nie dziwi. Cała policja jest w terenie. Ugania się za faszystami.

- Lepiej za faszystami niż z faszystami, nie?

- Słusznie. A co z moim samochodem, Alberto? Nie chcesz mi powiedzieć, czy co?

- jeśli już o to chodzi, to rzeczywiście, nie chcę. Szeffie, jesteś sam jak palec, nikt nie może cię wesprzeć. Nie powinieneś...

- Gdzie?!

Alberto westchnął.

- Stephen go znalazł. Pomyłka wykluczona. Pojawił się dokładnie tam, gdzie według ciebie powinien się pojawić. jedzie na zachód jedną z autostrad, choć z fotografii nie wynika, którą.

- Nie szkodzi. Znajdę ją na mapie.

- Wiem, że traciłbym tylko czas próbując odwiedzić cię... - Słusznie, synu.

- ...więc tylko poinformuję generała Rodgersa, co masz zamiar zrobić. Potrzeba ci jeszcze czegoś?

- Tak. Daj mi znać, gdyby zjechali z autostrady.

- No jasne. Stephen cię zna, Bob. Powiedział, że każe swoim ludziom, aby mieli go na oku. Osobista przysługa.

- Podziękuj mu i powiedz, że ma mój głos na tegorocznego Conrada. Chociaż, lepiej nic nie mów. To rozbudzi jego próżne nadzieje.

- A czy jego próżne nadzieje nie są zawsze rozbudzone? - spytał Alberto i odłożył słuchawkę.

Bob Herbert wyłączył telefon. Na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech; po tym, co przeszedł, uśmiech poprawił mu samopoczucie. Sprawdzając mapę w poszukiwaniu biegnącej ze wschodu na zachód autostrady, przypomniał sobie Conrady i jeszcze poweselał.

Conrady były nieoficjalną, nawet żartobliwą, nagrodą wręczaną na bardzo prywatnej kolacji przez najwyższych rangą pracowników amerykańskiego wywiadu. jej nazwa pochodziła od nazwiska polskiego pisarza Josepha Conrada, który w 1907 roku opublikował

powieść „Tajny agent”, jedną z pierwszych wielkich historii szpiegowskich o agencie-prowokatorze, pracującym w zakazanych dzielnicach Londynu. Kolacja miała odbyć się za pięć tygodni.

Uroczystość ta zawsze wypadła wspaniale - w dużej części dzięki biednemu Stephenowi Viensowi.

Bob zapamiętał drogę i zmusił swego okulawionego wierzchowca do pracy. Samochód ruszył, choć trzeszczał i piszczął w sposób bardzo dla tej marki nietypowy.

Viens był najlepszym przyjacielem Matta Stolla na uczelni i człowiekiem równie poważnym, co Matt wesołym. Od czasu, gdy najpierw objął funkcję zastępcy dyrektora, a potem dyrektora NBR, używał zdumiewających talentów technicznych do zwiększenia wagi i skuteczności działania swej agencji. W ciągu ostatnich czterech lat setka satelitów podlegających NBR, dostarczyła dokładne czarno-białe fotografie powierzchni Ziemi w każdym żądanym powiększeniu i pod każdym żądanym kątem. Viens lubił powtarzać: dam wam zdjęcie szkoły wraz z sąsiedztwem... lub zdjęcie dziecka, czytającego elementarz na boisku.

Ponieważ był człowiekiem poważnym, Stephen Viens bardzo poważnie traktował

Conrady. Naprawdę pragnął dostać nagrodę, o czym wiedzieli wszyscy i właśnie dlatego komitet postanowił, że rok po roku będzie przegrywał... jednym głosem. Bobowi żart ten nigdy się nie podobał, ale, jak stwierdził szef CIA i przewodniczący komitetu Conrada, Rachlin: „Do diabła, przecież jesteście tajnymi agentami”.

W każdym razie Bob zdecydował, że tego roku zełga Larry'emu, a potem zagłosuje na Viensa. Podjął tę decyzję nie tyle nawet ze względu na jakość wykonanej przez niego pracy, co jego postawę i charakter. Z powodu wzrostu aktywności terrorystów w Stanach Zjednoczonych Pentagon wystrzelił serię satelitów *Ricochet*, każdy wart czterysta milionów dolarów. Umieszczono je na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów nad Ameryką Północną z zadaniem obserwacji terytorium Stanów Zjednoczonych. Gdyby się o tym dowiedziano, wszyscy - począwszy od skrajnej lewicy, a skończywszy na skrajnej prawicy -

protestowaliby przeciw oczom Wielkiego Brata śledzącym ich z nieba. Oczy te były jednak pod kontrolą Viensa, więc ci, co o nich wiedzieli nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, iż nigdy nie zostaną użyte dla osiągnięcia doraźnych politycznych lub osobistych korzyści.

Herbert wyjechał na autostradę. Mercedes nie ciągnął już tak gładko jak niegdyś i nie sposób było wydusić z niego więcej niż osiemdziesiątkę - wolniej od gąsienicy, jak mówiła prababcia Shel w Missisipi.

I nagle zadzwonił telefon. Od poprzedniego połączenia minęła zaledwie chwila, więc był

to prawdopodobnie Paul Hood, nakazujący mu zaprzestania akcji. Bob zdecydował już jednak, że jej nie zaprzestanie. Nie, póki nie obedrze drani ze skóry i nie zapakuje ich do swego canoe.

- Tak? - powiedział do słuchawki.

- Bob, tu Alberto, mam nowe zdjęcie terenu, K2K.

K2K oznaczało koło o średnicy dwóch kilometrów z celem pośrodku. Satelity zostały zaprogramowane na zdjęcia w półkilometrowych interwałach i to polecenie można im było wydać jedną prostą komendą. Zdjęcia o różnej średnicy dawało się wykonać po przeprogramowaniu urządzenia, co wymagało zestawu bardziej skomplikowanych komend.

- Twoi ludzie zjechali z autostrady - oznajmił Alberto. - Gdzie? Daj mi jakiś charakterystyczny punkt terenu.

- Mam tylko jeden. Niewielki las i dwupasmowa droga, prowadząca na północny zachód.

Bob rozejrzał się dookoła.

- Od cholery tu drzew i lasów, wiesz? - powiedział. - Masz może coś jeszcze?

- A mam. Policję. Mniej więcej tuzin gliniarzy otacza pozostałości spalonego pojazdu.

Bob wpatrywał się przed siebie, ale tak naprawdę nic nie widział. W głowie kołatała mu jedna tylko myśl.

- Tego z filmu?

- Czekaj. Stephen przysłała kolejne zdjęcie.

Herbert mocno zacisnął wargi. Połączenie Centrum z NBR pozwalało Albertowi na oglądanie zdjęć w tej samej chwili, w której dostawali je ludzie Viensa. Z CIA było podobnie, lecz - z powodu braku agentów w terenie CIA nikogo nie mogła przysłać na miejsce zdarzenia, ani oficjalnie, ani nieoficjalnie.

- Mamy widok półkilometrowy - poinformował go asystent. W tle Herbert słyszał hałas rozmów.

- Levy i Warren zagląдают mi przez ramię. - poskarżył się Alberto.

- Słyszę, słyszę.

Marsha Levy i Jim Warren byli analitykami materiałów fotograficznych. Tworzyli wspólnie wspaniały zespół. Marsha miała oko jak mikroskop, Jima los obdarzył talentem dopasowywania wypatrzonych przez nią szczegółów do całościowego obrazu sytuacji. Kiedy wspólnie oglądali zdjęcie, zleceniodawca dowiadywał się nie tylko tego, co na nim jest, lecz także co może być w tle lub poza obrzeżem, i jak to wszystko znalazło się tu, gdzie się znalazło.

- Twierdzą, że widzą pozostałości drewnianych mebli, które znajdowały się w przyczepie.

Powiększamy. Marsha twierdzi, że wygląda na modrzew. - To ma sens. Tanie i twarde, nadaje się do objazdu po wiejskich drogach.

- Słusznie. Jim uważa, że ogień wybuchł z tyłu, od zbiornika paliwa. - Zapalnik czasowy.

Mogli spokojnie uciec.

- Mówi, że masz rację. Zaczekaj, jedzie kolejne zdjęcie.

Bob spojrzał przed siebie, szukając oznaczenia zjazdu z autostrady. Terrorysty mieli nad nim niewielką przewagę. Ciekawe, czy pojechali tu przypadkiem... czy wręcz przeciwnie.

- Słuchaj! - w głosie Alberta brzmiało podniecenie. - Mamy półkilometrowe zdjęcie terenu na wschód od wraku. Marsha twierdzi, że widzi fragment polnej drogi i coś jak ludzki kształt na jednym z drzew.

- Coś jak?

Nagle odezwała się Marsha Levy. Bob bez trudu wyobraził sobie, jak ta mała, twarda brunetka wyrywa telefon Albertowi.

- Tak, Bob, „coś jak”. Pod liśćmi widzę ciemny kształt. Z pewnością nie gałąź; no i jest za wielki jak na ptasie gniazdo lub gniazdo os.

- Przerazona dziewczyna mogła ukryć się na drzewie. - Albo ostrożna dziewczyna.

- Słuszna uwaga. A gdzie jest moja biała półciężarówka?

- Miałam ją na zdjęciu z przyczepą filmową. Policjanci nie zwrócili na nią uwagi.

To już byłby szczyt, pomyślał Herbert. Wsiowi gliniarze w starciu z neonazistowskimi terrorystami.

Po prawej dostrzegł zjazd. Droga prowadziła do lasu. Wokół rozciągały się pola.

Cudowny wiejski pejzaż.

- Chyba jestem tu, gdzie powinienem być - powiedział w słuchawkę. - Jest jakiś sposób na dostanie się pod to drzewo tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi policji?

Sądząc z odgłosów, w Centrum odbyła się najprawdopodobniej krótka konferencja.

- Tak - powiedział w końcu Alberto. - Możesz zjechać z autostrady, zatrzymać się na poboczu i skorzystać z tej gruntowej drogi.

- Nie mogę. Jeśli porywacze uciekają w las, a nie z lasu, mógłbym na nich wpaść. Albo oni mogliby wpaść na mnie. A tego przecież nie chcemy. - No, dobrze. Więc możesz ich obejść udając się... niech no sprawdzę... na południowy wschód... taca... jakieś pół kilometra, do strumienia. Skręć na wschód, jakieś trzysta metrów przed... o, cholera, nie mam żadnego punktu charakterystycznego.

- Poradzę sobie.

- Szefie...

- Powiedziałem, że sobie poradzę. Co dalej?

- Potem, po jakiś osiemdziesięciu metrach drogi trafisz na powykręcane stare coś. A, Martha mówi, że to dąb. Cholernie trudny teren!

- Wspiąłem się raz na szczyt pomnika Waszyngtona. Wlazłem tam na tyłku i tyłem, a schodziłem do przodu.

- Wiem. Było to jedenaście lat temu i tutaj, w Stanach.

- Nic mi nie będzie. Jak bierzesz forszę, musisz być gotowy na grzebanie w gównie. Nie można cały czas opalać się na leżaczku.

- Nie mówię o grzebaniu w gównie, szefie, tylko o facycie na wózku inwalidzkim, próbującym przeprowiać się przez strumienie i wjeżdzać w górki-dołki.

Bob Herbert poczuł w tym momencie pewne wątpliwości, ale zaraz o nich zapomniał.

Chciał to zrobić. Nie, musiał to zrobić. I w głębi serca wiedział, że da radę to zrobić.

- Słuchaj - powiedział - nie możemy zawiadomić policji, bo nie wiemy, czy jacyś policjanci nie sprzyjają przypadkiem tym gorylom. Ile czasu minie, nim dziewczyna zdecyduje się poddać, bo jest głodna i zmęczona? Po prostu nie mamy wyboru.

- Mamy - zaprotestował Alberto. - Ludzie Larry'ego najpewniej wyciągnęli już z tych zdjęć te same wnioski co my. Niech no zadzwonię, sprawdzę, co chcą zrobić.

- Nie. Nie będę siedział na tyłku, podczas gdy czyjeś życie jest w niebezpieczeństwie.

- Życie was obojga będzie w niebezpieczeństwie.

- Chłopcze, w większym niebezpieczeństwie byłem dziś po prostu prowadząc ten cholerny samochód - stwierdził Herbert zjeżdżając z autostrady. - Będę ostrożny i dotrę do niej, zobaczycie. Obiecuję. Zabiorę ze sobą telefon. Będzie włączony, nie otworzę jednak gęby, póki nie upewnię się, że w pobliżu nie ma nikogo.

- Oczywiście. - Alberto westchnął. - Nadal mi się to nie podoba dodał - ale... powodzenia, szefie.

- Dzięki.

Herbert skierował sfatygowanego Mercedesa na dwupasmową drogę. Stała tam stacja benzynowa z restauracją i motelem. BRAK WOLNYCH MIFJSC - głosiła wywieszka, co oznaczało, że albo motel pełen jest neonazistów na wycieczce, albo właściciel nie życzy ich sobie w okolicy. Zjechał na parking, zatrzymał się za parterowym, nowoczesnym budynkiem, zacisnął kciuki i uruchomił mechanizm wysuwający fotel inwalidzki. Bał się, że uderzenie w bagażnik mogło go uszkodzić, nie uszkodziło jednak i w pięć minut później zjeżdżał już po łagodnej pochyłości w niebiesko-pomarańczowym świetle zapadającego zmroku.

□ **Czwartek, 17.30 - Hamburg, Niemcy**

Punktualnie o wpół do szóstej przed hotel, w którym zatrzymał się Jean-Michel, zajęła długa limuzyna.

Wszystkie popołudniowe dzienniki donosiły o pożarze w klubie na St. Pauli i wszystkie były też pełne słów potępienia pod adresem jego właściciela. Feministki były zadowolone z tego, że się spalił, komuniści byli zadowoleni z tego, że się spalił, a prasa zachowywała się tak, jakby i jedni, i drudzy znaleźli się nagle poza wszelkim podejrzeniem. Jean-Michel miał

wrażenie, że Richter potępiany był na równi za prowadzenie klubu oraz agencji towarzyskiej i za działalność polityczną. Pokazano nawet stare nagranie, w którym bronił się przed zarzutami twierdząc, że prostytutka ma znaczenie terapeutyczne. Twierdził, że towarzystwo kobiet relaksuje mężczyzn, dzięki czemu są w stanie stawić czoło wyzwaniom codziennego życia.

Ten człowiek nie jest idiotą, pomyślał Francuz. Potępienie przez feministki, komunistów i prasę, nie cieszących się bynajmniej sympatią przeciętnego obywatela, służyło wyłącznie zbliżeniu tegoż do Narodowej Partii Socjalistycznej XXI Wieku.

Horne wyszedł przed hotel dwadzieścia pięć po piątej. Czekał pod markizą, nie mając wcale pewności, czy Richter się pojawi, a jeśli tak, to czy nie przyjedzie ciężarówką pełną goryli, pragnących wyłącznie zemsty za spalenie klubu. Okazało się jednak, że nie jest to w jego stylu. Z tego, co słyszał, w ten sposób postąpiła by raczej Karin Doring. Richter był

człowiekiem dumnym.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed hotelem i odzwierny otworzył drzwi, Francuz spojrzał w lewo i lekko skinął głową. Pan Dominique nalegał, by Henry i Yves wzięli udział

w wycieczce, więc teraz obaj ulokowali się w samochodzie, z podopiecznym ściśniętym pomiędzy ich masywnymi cielskami. Usiedli tyłem do kierunku jazdy, opierając się o przegrodę oddzielającą kabinę pasażerską od kierowcy. Yves zamknął drzwi. W skąpym świetle dochodzącym zza przyciemnianych szyb twarze ich wszystkich wydawały się szare, niezdrowe.

Jean-Michel nie zdziwił się bynajmniej, kiedy stwierdził, że Richter zachowuje się znacznie spokojniej niż podczas ich poprzedniego spotkania. Siedział sam na tylnym siedzeniu, naprzeciwko ich trójki, nie drgnął nawet, milczał i tylko się w nich wpatrywał. Na powitanie odpowiedział wyłącznie skinieniem głowy, a kiedy już ruszyli, po prostu pożerał

ich wzrokiem. Twarz ukrytą miał w cieniu, plecy wyprostowane, ręce złożone na kolanach, na żółto-brązowym materiale spodni.

Oczywiście trudno było oczekiwać, by okazał się serdeczny i rozmowny. Już Don Kichot wiedział, że

obowiązkiem zwycięzcy jest opatrzyć rany pokonanego. A poza tym mieli przecież sprawy do załatwienia.

- *Herr Richter* - powiedział cicho - pan Dominique nie chciał, by sprawy posunęły się tak daleko.

Przed chwilą Richter wpatrywał się w Henriego; teraz jego oczy przesunęły się, niczym sterowane małym silniczkiem.

- Mam to traktować jako przeprosiny? Horne potrząsnął głową.

- Jako gałązkę oliwną, która - mam nadzieję - zostanie przyjęta odparł.

- Pluję na nią i na pana. - W głosie Niemca nie było śladu uczucia. Jean-Michela nieco to zaskoczyło. Henri chrząknął i poruszył się niespokojnie.

- *Herr Richter* - powiedział w końcu Francuz. - Przecież musi pan zdawać sobie sprawę, że z nami pan nie wygra.

Richter uśmiechnął się lekko.

- To samo powtarza mi *Hauptmann Rosenlocher* z hamburskiej policji, a przecież wygrywam. Przy okazji, bardzo dziękuję za pożar w klubie. *Herr Hauptman* jest tak zajęty szukaniem kogoś, kto pragnął mnie zabić, że i on, i jego przepracowany oddział

nieprzekupnych wypuścili mnie z garści.

- Pan Dominique nie jest policjantem. Jest wyjątkowo hojnym patronem. Pańska działalność polityczna nie doznała najmniejszego uszczerbku, a w dodatku otrzyma pan pieniądze w ilości wystarczającej, by bez przeszkód wrócić do interesów.

- A jaką cenę będę musiał za to zapłacić? - Cenę wzajemnego szacunku.

- Szacunku? Mam mu się podporządkować! Jeśli zrobię to, czego żąda, przeżyję. Jeśli nie, nie przeżyję!

- Pan nic nie rozumie.

- Nie rozumiem? - zdziwił się Richter, sięgając do kieszeni marynarki. Henri i Yves unieśli się z siedzenia, ale Niemiec zignorował ich, wyciągnął, papierośnicę, włożył do ust papierosa, a papierośnicę schował do kieszeni. I znów zamarł, wpatrzony w Horne'a. -

Doskonale pana rozumiem. Całe popołudnie myślałem, próbując odkryć, dlaczego upokorzenie mnie było dla was takie ważne.

Wyciągnął rękę z kieszeni. Trzej Francuzi w tej samej chwili dostrzegli, że w dłoni nie trzyma

zapalniczki, lecz było już za późno. Małeńki *Browning FN Model Baby* wystrzelił

dwukrotnie. Strzał okazał się głośny, zagłuszył nawet charakterystyczne „puk”, z jakim pociski przeszły czoła obu goryli.

Samochód skręcił w lewo; dwa bezwładne ciała przesunęły się na stronę kierowcy.

Horne, któremu ciągle dzwoniło w uszach, z przerażeniem spojrzął na opierające się o niego zwłoki Henri'ego. Brązowoczerwona krew spływała mu z małeńskiej rany na grzbiet nosa. Na pół z krzykiem, na pół z jękiem Jean-Michel odepchnął swego ochroniarza, spojrzął na Yvesa, któremu krew zdążyła już rozlać się po twarzy i wreszcie wbił przerażony wzrok w twarz Richtera.

- Kiedy już dotrzemy na miejsce, każę ich pogrzebać w lesie - powiedział Niemiec, wypluwając papierosa. - A przy okazji, nie palę. Nadal trzymając w dłoni *Browninga*, Richter pochylał się, wyjmując broń z kabur pod pachami obu goryli. Jeden z pistoletów położył obok siebie, na siedzeniu, drugiemu przyjrzał się dokładnie.

- *FAB PA-15* - stwierdził. - Pistolet armii francuskiej. Obaj byli żołnierzami, prawda?

Francuz zaledwie skinął głową.

- To wyjaśnia ich fatalny refleks. Francuskie wojsko nigdy nie umiało wyszkolić żołnierza do walki. W odróżnieniu od niemieckiego.

Odłożył pistolety, troskliwie obmacał pierś i boki gościa, po czym wygodnie rozparł się w siedzeniu, założył nogę na nogę, a ramiona skrzyżował na piersiach.

- Najważniejsze są szczegóły - stwierdził. - Jeśli je widzisz, czujesz, słyszysz i pamiętasz, w najgorszym razie przetrwasz, a w najlepszym zwyciężysz. No i zaufanie - stwierdził

poważnie. - Nie wolno ci szafować zaufaniem. Poniosłem ryzyko będąc wobec pana szczerym... i zapłaciłem cenę.

- Byłem torturowany! - Jean-Michel właściwie wrzeszczał. Z równowagi wyprowadziło go nie tylko śmierć obu ochroniarzy, lecz także spokój, z jakim rozprawił się z nimi Richter.

Z trudem powstrzymał się przed wyskoczeniem z limuzyny. Ale... jest przecież przedstawicielem pana Dominique'a. Musi zachować się spokojnie, musi zachować się z godnością.

- Czy pan rzeczywiście sądzi, że Dominique zaatakował mnie właśnie dlatego? - spytał

Richter. Uśmiechnął się szeroko po raz pierwszy tego popołudnia. Wydawał się wręcz rozluźniony. - Niech pan zmańdrzeje z łaski swojej. Dominique zaatakował mnie, by wskazać mi właściwe miejsce. I wskazał. Uświadomił mi, że moje właściwe miejsce jest na szczycie, nie na dole drabiny.

- Na szczycie? - Zdumiewająca była bezczelność tego człowieka. Oburzenie pozwoliło Francuzowi zapomnieć o strachu, o poczuciu słabości. - Szczyt pańskiej drabiny to dwa martwe ciała. - Wskazał trupy. - Odpowie pan za śmierć tych ludzi!

- Nie. Nadal mam pieniądze. No i dowodzę największą grupą neonazistów na świecie.

- Kłamstwo! Pańska grupa nie jest...

- Nie była - przerwał mu Richter, uśmiechając się tajemniczo.

Horne nie wiedział, o co mu chodzi. Siedział zmieszany i nadal bardzo, bardzo przestraszony. Richter poprawił się na siedzeniu.

- Dzisiejszy dzień przysłużył mi się, wie pan, panie Horne? - powiedział. - Otworzył mi oczy. Rozumie pan, nas wszystkich zajmują interesy, osiąganie celów, pułapki rzeczywistości. Tracimy pojęcie o własnej sile. Pozbawiony możliwości zarabiania na życie, musiałem zadać sobie pytanie o to, gdzie leży moja siła. O to, jakie stawiam sobie cele. I wtedy właśnie uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że zbyt dawno nie zadawałem sobie tego pytania. Wie pan, nie spędziłem dzisiejszego dnia oplakując straty. Dzwoniłem do ludzi, którzy mnie popierają z prośbą, by przybyli do Hanoweru o ósmej wieczorem. Powiedziałem im, że wygłoszę oświadczenie. Oświadczenie, zmieniające ton polityki niemieckiej... polityki europejskiej!

Horne milczał, obserwując uważnie Niemca.

- Przed dwiema godzinami Karin i ja zawarliśmy porozumienie, łączące Feuer i Narodowych Socjalistów XXI Wieku. W Hanowerze ogłosimy utworzenie unii.

Jean-Michel wyprostował się w siedzeniu.

- Co? Wy? Przecież jeszcze dziś rano twierdził pan, że nie jest przywódczynią...

- Powiedziałem tylko, że nie jest wizjonerką - sprostował Richter. To dlatego ja będę przywódcą związku, a ona jego dowódcą wojskowym. Nasza partia znana będzie pod nazwą *Das National Feuer* - Narodowy Ogień. Spotkam się z Karin w jej obozie. Poprowadzimy Feuer do Hanoweru, a tam, z moim ludźmi oraz mniej więcej tysiącem nie zrzeszonych zwolenników, już obecnych na miejscu, w trzy tysiące zorganizujemy marsz taki, jakiego Niemcy nie widziały od lat. Władze nie zrobią oczywiście nic, by nas powstrzymać. Nawet jeśli podejrzewają Karin o dzisiejszy atak na ekipę filmową, zabraknie im odwagi, by ją aresztować. Dziś, panie Horne... dziś będzie pan świadkiem narodzin nowej siły w Niemczech, a jej przywódcą będzie człowiek, którego próbował pan upokorzyć.

Słuchając tego przemówienia Jean-Michel uświadomił sobie w całej pełni, do czego doprowadził, jak bardzo zawiódł pana Dominique'a. Na moment zapomniał nawet o strachu.

- *Herr* Richter, pan Dominique ma swoje plany - powiedział udając spokój. - Wspaniałe plany, oraz

większe od pańskich środki, by wprowadzić je w życie. Jeśli potrafi zdeorganizować życie w Stanach Zjednoczonych - a potrafi i zdeorganizuje - z pewnością zdoła zniszczyć pana.

- Spodziewam się, że będzie próbował. Ale nie zabierze mi Niemiec. Czego może użyć?

Pieniądzy? Niektórych Niemców da się może kupić, ale z pewnością nie wszystkich. Jeśli zaś zaatakuje mnie bezpośrednio, stworzy bohatera. Jeśli mnie zabije, będzie miał do czynienia z Karin Doring, a ona go znajdzie, to mogę panu obiecać. Czy pamięta pan, jak skutecznie Algierczycy sterroryzowali Paryż w 1995 roku, podkładając bomby w metrze i grożąc wysadzeniem w powietrze wieży Eiffla? Jeśli Dominique wypowie nam wojnę, my wypowiemy wojnę Francji. Organizacja Dominique'a jest wielka, a więc stanowi łatwy cel.

My operujemy na mniejszą skalę, jesteśmy trudniejsi do trafienia. Dziś można nam zniszczyć firmę, jutro jakieś biuro, ale my po prostu przeniesiemy się i otworzymy nowe. A za każdym razem depczący nas mamut straci kolejny kawałek futra.

Limuzyna jechała z Hamburga na południe. Za jej przyciemnianymi szybami szybko zapadał zmrok, ciemny jak przeczucia Horne'a.

Richter wziął głęboki oddech.

- Za kilka lat ten kraj będzie mój - powiedział cicho. - Ja go odbuduję, tak jak Hitler odbudował potęgę Niemiec na ruinach Republiki Weimarskiej. Ironia losu kazała panu, panie Horne, być architektem tej odbudowy. Pokazał mi pan, że mam wroga, z którego istnienia w ogóle nie zdawałem sobie sprawy.

- *Herr* Richter, nie wolno panu traktować pana Dominique'a jako wroga! On nadal może panu pomóc.

- Jest pan wspaniałym dyplomatą, panie Horne. - Niemiec uśmiechnął się kpiąco. -

Pewien człowiek pali mi firmę i pozbawia mnie środków do życia, a pan nie tylko twierdzi, że jest on sojusznikiem, ale jeszcze w dodatku w to wierzy. Nie. Myślę, że nie ma przesady w twierdzeniu, że nasze cele są diametralnie różne.

- Pan się myli. - Jean-Michel tak bardzo bał się zawieść mocodawcę, że znalazł w sobie odwagę na zaprzeczenie Richterowi. - Marzy pan, by znów dać Niemcom powód do dumy.

Pan Dominique chce tego samego. Silne Niemcy oznaczają silniejszą Europę. Nasi wrogowie to nie Europejczycy, lecz Azjaci i Amerykanie. Sojusz z panem znaczy dla nas bardzo wiele.

Wie pan, jak mój mocodawca kocha historię, jak bardzo pragnie odnowić stare związki...

- Dość! - Richter powstrzymał potok wymowy Francuza, unosząc w górę dłoń. - Dziś dowiedziałem się, jak widział nasz sojusz. Nasz sojusz miał polegać na tym, że on rozkazuje, a ja słucham.

- Tylko dlatego, że jego plany są bardziej dalekosiężne! Richter wpadł w furję. Zerwał się z siedzenia.

- Bardziej dalekosiężne! - krzyknął. - Kiedy siedziałem w biurze trzęsąc się z gniewu, telefonując po ludziach i próbując odzyskać szacunek dla samego siebie, zadałem sobie następujące pytanie: „Jeśli Dominique nie popiera mych celów, choć udaje, że je popiera, to o co mu chodzi?” I nagle zdałem sobie sprawę, że jest jak pszczelarz. Budzi nas tu, w Niemczech, budzi Amerykę i Anglię byśmy latali bzyząc, żądłili, niepokoiłi, wyprowadzali z równowagi. Po co? By to, co stanowi o wielkości każdego narodu - jego biznes - zaczął

inwestować w przemysł, finanse i przyszłość jedyne go stabilnego kraju na zachodzie. Europy: Francji! - Niemiec uspokoił się trochę, ale jego oczy nadal miały płomień. - Moim zdaniem Dominique tworzy przemysłową oligarchię, którą ma zamiar rządzić.

- Pan Dominique ma zamiar rozszerzyć pole swej działalności ekonomicznej. To oczywiste - przytaknął Horne. - Ale nie robi tego dla siebie. Nie robi tego nawet dla Francji.

Robi to dla Europy!

- *Lass mich in Ruhe* - powiedział Richter z kpiącym uśmiechem. Usiadł, trzymając broń pod ręką. Sięgnął do samochodowego borku, wypił kilka łyków wody mineralnej i przymknął

oczy.

Daj mu spokój, przestrzegł sam siebie Jean-Michel. Przecież to szaleństwo. Richter jest szaleńcem. W samochodzie wiozącym dwa trupy, stojąc twarzą w twarz ze światem, który lada chwila zostanie zburzony i odbudowany na nowo, postanowił uciąć sobie drzemkę!

- *Herr Richter* - powiedział. - Nalegam, by zgodził się pan na współpracę z panem Dominique. Jest w stanie panu pomóc... i pomoże. Obiecuję. - Panie Horne, nie mam ochoty dłużej pana słuchać - odpowiedział

Niemiec, nie otwierając oczu. - Mam za sobą długi, ciężki dzień, a od celu dzielą nas jeszcze co najmniej dwie godziny jazdy. Niektóre z bocznych dróg nie są w najlepszym stanie. Pan też powinien odpocząć. Sprawia pan wrażenie nieco zdenerwowanego.

- *Herr Richter*, błagam. Gdyby tylko zechciał mnie pan wysłuchać... - Nie zechcę.

Dojedziemy na miejsce w milczeniu, a potem pan będzie słuchał. A później przekaże pan swe obserwacje i wnioski Dominique'owi. Choć nie wykluczam, że zdecyduje się pan nie wracać do Francji, bowiem wkrótce dowie się pan, dlaczego jestem taki pewien, iż to Felix Richter, a nie Gerard Dominique, będzie następnym *Fuhrerem* Europy.

Czwartek, 17.47 - Hamburg, Niemcy

Hotel „Ambasador” znajdował się w Heidenkampsweg, po drugiej stronie Hamburga.

Paul Hood nie zdawał sobie niemal sprawy z tego, że jedzie samochodem po zatłoczonych ulicach, nie widział piękna krzyżujących się kanałów, nie widział fontann. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, wyskoczył z limuzyny i natychmiast pobiegł do znajdujących się w hotelowym holu telefonów. Poprosił centralę o połączenie z panną Bosworth. Przysłuchiwał

się ciszy w słuchawce pewien, że lada chwila recepcja poinformuje go, iż panna Bosworth już się wyprowadziła albo nigdy nie mieszkała w tym hotelu i po prostu go oszukała.

- Proszę poczekać - odezwał się po angielsku męski głos. - Połączę pana z jej pokojem.

Hood podziękował i stał nieruchomo, ściskając słuchawkę w dłoni. Serce biło mu szybko, mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. Myślał o wszystkim i o niczym. Próbował skupić się na Gerardzie Dominique'u, ale nie umiał, oczami wyobraźni widział wyłącznie Nancy.

Myślał o tym, co mieli i o tym, co mu zrobiła. O tym, co stracili. I wściekał się na siebie, bo mocno bijące serce najwyraźniej wyrывało mu się spod kontroli. Nancy Jo ponownie zawładnęła nim całym. A to nie prowadziło... nie mogło prowadzić do niczego dobrego.

- Słucham?

Paul bezwładnie oparł się o ścianę. - Cześć - powiedział do słuchawki.

- Paul? To ty? - Nancy wydawała się szczerze zaskoczona. Ale chyba przyjemnie zaskoczona.

- Tak, to ja. Jestem na dole. Możemy porozmawiać? - Oczywiście. Wjedź do mnie, na górę.

- Może będzie lepiej, jeśli ty zjedziesz na dół.

- Dlaczego? Boisz się, że rzucę się na ciebie? Jak niegdyś?

- Nie. - Paul poczuł się nieco nieswojo. Przecież nie bał się, wcale się nie bał, do cholery!

- Więc wjedź na górę i pomóż mi się pakować. Piąte piętro, skręć w prawo, ostatni pokój po lewej.

Odwiesiła słuchawkę. Paul stał przez moment, wsłuchany w sygnał. Przynajmniej serce mu się trochę uspokoiło.

Co robisz, idioto? - spytał sam siebie, ale nim pogrążył się w żalu, trzeźwo odpowiedział

sobie na to pytanie: szukam informacji o Gerardzie Dominique'u. Szukam informacji o rasistowskich

grach. O tym, co być może dzieje się w Tuluzie. Wkrótce wróć do biura Hausena zdać mu relację z tego, czego się dowiedziałem.

Odwiesił słuchawkę i poszedł do windy.

Nancy otworzyła mu drzwi ubrana w obcisłe džinsy i koszulkę polo włożoną w spodnie, uwydatniająca jej wątle ramiona. Kołnierzyk podkreślał smukłość szyi. Włosy związała w koński ogon - jak niegdyś, kiedy jechali na wycieczki rowerowe. Uśmiechnęła się do niego swym charakterystycznym, uroczym uśmiechem, po czym podeszła do łóżka, na którym leżała otwarta walizka. Paul ruszył za nią. Zauważył, że właśnie kończy się pakować.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziała Nancy. - Myślałam, że skoro powiedzieliśmy sobie „do widzenia”, to żegnamy się na zawsze.

- Już raz pożegnałaś się ze mną na zawsze.

Spojrzała na niego, zaskoczona. Stał w nogach łóżka, czekając na odpowiedź.

- Dobrze, masz rację - przyznała. Domknęła walizkę, zestawiała ją na podłogę i usiadła na łóżku z wdzięki m, jakby siadała w kobiecym siodle. Uśmiech powoli znikł z jej warg. - Więc o co ci chodzi, Paul? Dlaczego przyszedłeś?

- Mam mówić szczerze? Przyszedłem zadać ci kilka pytań na temat twojej pracy.

- Mówisz poważnie? - spytała, obrzucając go zdumionym spojrzeniem.

Paul przymknął oczy i skinął głową.

- A więc wolałabym, żebyś nie był taki szczerzy. - Nancy wstała i odwróciła się do niego plecami. - Nie zmieniłeś się, Paul, prawda? W sypialni jesteś romantyczny jak Scaramouche, w pracy święty jak święty Franciszek.

- Nie. Przecież jestem w sypialni... i zachowuję się jak święty Franciszek. Uśmiechnęła się... a potem roześmiała głośno.

- Prowadzisz dwa do zera, święty Pawle - przyznała.

- Papieżu Pawle - poprawił ją. - A przynajmniej tak nazywają mnie w Waszyngtonie.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Podeszła do niego bliżej. - Założę się, że zostałeś tak nazwany przez sfrustrowaną wielbicielek.

- No... masz rację. - Paul Hood zarumienił się mocno.

Nancy była już bardzo blisko. Próbował się odsunąć, ale objęła go w pasie, zaczepiła palce o pasek spodni i przytrzymała. Patrzyła mu prosto w oczy.

- No więc, papieżu Pawle, o co chciałeś mnie zapytać?

Paul patrzył jej w oczy. Nie wiedział, co zrobić z rękami, w końcu założył je za plecy, przytrzymując lewe ramię prawą dłonią. Czuł dotyk jej kolana po wewnętrznej stronie swego uda.

A co, myślałeś, że to będzie takie łatwe? - spytał sam siebie. Przecież wiedziałeś; że nie, pomyślał jeszcze. Najbardziej niepokoiło go jednak, że ciągle jej pragnie.

- Jesteś niepoważna - stwierdził. - Jak mogę tak z tobą rozmawiać?

- Pierwsze zdanie już powiedziałaś. - Głos Nancy był miękki, cichy. - Pora na następne.

- Nancy, nie - powiedział stanowczo. - Nie możemy. Po prostu nie możemy.

Nancy cofnęła się. Opuścił wzrok.

- Twoja praca - powiedział i odetchnął głęboko. - Chciałbym się dowiedzieć... chodzi o to

- teraz już zaczął się uspokajać - że muszę wiedzieć, nad czym właściwie pracujesz.

Spojrzała na niego, już nie tak przyjaźnie.

- Tyś chyba zwariował - stwierdziła, odwracając się. - Nancy...

- Najpierw mnie odtrącasz, a potem mówisz, że potrzebujesz mojej pomocy. Dla mnie to pewien problem, wiesz?

- Nie odtrąciłem cię. Ja cię nie odtrąciłem.

- Więc czemu właściwie stoję tu, a ty stoisz tam? Paul wyjął portfel z kieszeni marynarki.

- Bo to ty odtrąciłaś mnie - stwierdził. Wypuścił z dłoni dwa bilety do kina. Spłynęły wolno na łóżko. Nancy śledziła ich lot. - A teraz mam swoje życie i nie myślę go rujnować.

Nie mogę.

Podniosła bilety, przyjrzała się im, pocierając je lekko kciukiem i palcem wskazującym, i nagle przedarła. Połówkę wręczyła Paulowi, drugą schowała w kieszeni dzinsów.

- Nie odtrąciłam cię - powiedziała cicho. - Każdego dnia żałowałam, że nie porwałam cię ze sobą. Przecież widziałam ją w tobie, tę dumę błędnego rycerza. Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który w Sylwestra nie żałuje niczego. Robisz zawsze to, co uważasz za słuszne.

Podejmujesz decyzję i trzymasz się jej bez względu na okoliczności.

Paul schował swe potówki biletów z powrotem do portfela.

- Jeśli ma cię to pocieszyć, wiedz, że wolałbym, byś mnie ze sobą porwała. - Uśmiechnął się nagle. - Choć nie wiem, jak podobałoby mi się odgrywanie Bonnie i Clyde'a w samolotach.
- Nie podobałoby ci się. Skłoniłbyś mnie pewnie, żebym oddała się w ręce sprawiedliwości.

Wziął ją w ramiona, przytulił. Odpowiedziała mu uściskiem, .mocnym, coraz mocniejszym. Tym razem było to jednak niewinne. I z jakiegoś powodu poczuł smutek.

- Nancy?
- Wiem - powiedziała, ale nie puściła go. - Chcesz dowiedzieć się wszystkiego o mojej pracy.
- W sieci zdarzyło się dziś coś nieprzyjemnego...
- Ale coś bardzo przyjemnego dzieje się w tym pokoju. Czuję się całkowicie bezpieczna.

Czy nie mogę czuć się tak bezpieczna jeszcze przez jakiś czas?

Paul stał, słuchając tykania swego zegarka, patrząc na zapadający za oknem mrok, koncentrując się na wszystkim, byle nie na wspomnieniach i tym, co się z nimi wiąże. Doba hotelowa zaczyna się wczesnym popołudniem, myślał. Nie wyprowadziła się, bo chciała mnie zobaczyć. Spodziewała się czegoś więcej.

Nie przyszedł jednak spełniać jej oczekiwań. Najwyższy czas skończyć z tym, co się tu działo.

- Nancy - szepnął jej do ucha. - Muszę ci zadać jedno pytanie. - Tak? - W jej głosie brzmiała nadzieja.
- Czy słyszałaś kiedyś o mężczyźnie nazwiskiem Gerard Dominique? Zesztywniała mu w ramionach. Nagle, gwałtownie, odepchnęła go.
- Nie potrafisz być bardziej romantyczny? Paul zaczerwienił się, jakby dostał w twarz.

- Bardzo cię przepraszam. Wiesz... - zawahał się. Spojrzał jej w oczy. - Przecież wiesz, że potrafię być bardziej romantyczny. Ale nie przyszedłem do ciebie w poszukiwaniu romansu.

W jej oczach dostrzegł ból. Nancy nagle opuściła wzrok. Spojrzała na zegarek.

- Muszę zdążyć na samolot - powiedziała. - Powinnam już jechać. - Zerknęła na łóżko, na leżącą obok niego walizkę. - I nie pojedę twoim samochodem. Dziękuję.

Paul nie poruszył się. Miał wrażenie, że dwadzieścia lat znikło jakby nigdy nie istniało.

Znów stał w jej mieszkaniu i znów się kłócili. Zawsze zaczynało się od jednego płatka śniegu i

zawsze kończyło śnieżycą. Zabawne, jak łatwo zapomina się o kłótniach, a przecież było ich wiele.

- Nancy - powiedział - sądzymy, że Gerard Dominique może stać za rasistowskimi grami, które pojawiły się w Stanach. Podobna gra pojawiła się także w komputerze Hausena... i Hausen w niej występuje.

- Gry komputerowe łatwo wyprodukować. - Nancy podeszła do szafy, wyjęła modny kremowy żakiet i włożyła go. - Zeskanowanie zdjęcia także nie jest trudne. Potrafi to każdy nastolatek wyposażony w odpowiednie urządzenia.

- Dominique dzwonił dziś do Hausena z pogrózkami.

- Do funkcjonariuszy rządowych bez przerwy ktoś telefonuje z pogrózkami. A może Hausen sobie na to zasłużył? Potrafi denerwować.

- Jego trzynastoletnia córeczka także? Nancy zacisnęła wargi.

- Przykro mi. Nie powinnam tego powiedzieć.

- Oczywiście, rozumiem, pytanie brzmi jednak następująco: pomożesz mi, czy nie? Czy pracujesz dla tego człowieka?

Nancy odwróciła się.

- Myślisz, że skoro przed laty raz już zdradziłam pracodawcę, jestem gotowa zrobić to powtórnie, prawda?

- Są pewne subtelne różnice.

Westchnęła. Stała przygarbiona. Paul zdał sobie sprawę z tego, że burza minęła, nim naprawdę się zaczęła.

- W rzeczywistości nie ma żadnych różnic. Paul Hood potrzebuje czegoś ode mnie, więc znów mam sobie zmarnować życie, by dostał czego chce. - Mylisz się. Za pierwszym razem o nic cię nie prosiłem.

- Jesteś prawdziwie współczującym człowiekiem.

- Bardzo cię przepraszam. Żał mi tej upartej dziewczyny, którą kiedyś znałem, ale to, co zrobiłaś, zmieniło życie bardzo wielu osób. Twoje, moje, mojej żony, mężczyzn, których ty poznałaś, ludzi, których mogliśmy poznać wspólnie...

- Twoich dzieci - dodała z goryczą. - I naszych dzieci. Dzieci, których nigdy nie mieliśmy.

I Nancy znów go objęła. Rozplakała się. Przytulił ją, czuł, jak drży mu w ramionach. Co za strata. Co za cholerna strata. Po co było to wszystko... - pomyślał.

- Tak - przyznała. - Pracuję dla Gerarda Dominique'a. Ale nie wiem nic ani o jego poglądach politycznych, ani o jego życiu osobistym, więc nie sądzę, żebyś mógł mi w czymś pomóc.

- Nic więcej nie możesz mi powiedzieć? Nad czym pracujesz? - Nad planami. Planami amerykańskich miast.

- Takimi zwykłymi, jak mapa?

- Nie - odparła, potrząsając głową. - To coś, co nazywamy „obrazem z punktu widzenia”.

Podróżny wprowadza koordynaty i na monitorze dostaje obraz dokładnie taki, jaki ma przed sobą. Potem mówi, dokąd chce dotrzeć, albo pyta, co jest za rogim, albo gdzie jest najbliższa stacja metra lub przystanek autobusowy i komputer pokazuje mu drogę. Z jego punktu widzenia. Może także zażądać wydruku zwykłej mapy. Pomaga to ludziom planować podróż albo podejmować decyzje, jak poruszać się po danym mieście.

- Czy Dominique robił przedtem przewodniki turystyczne? - Jeśli tak, to nic o tym nie wiem. Te będą pierwsze.

Paul milczał przez chwilę. Musiał to sobie przemyśleć. - Widziałaś plany marketingu? - spytał w końcu.

- Nie. Ale w tym nie ma nic dziwnego. To nie moja działka. Chociaż... jest coś takiego...

nie puściliśmy żadnych informacji prasowych. Na ogół dziennikarze przychodzą do mnie i pytają, co jest wyjątkowego w programie, dlaczego ludzie muszą go mieć, no, wiesz. Na ogół

robi się to bardzo wcześnie, żeby dział sprzedaży zdążył pozbierać zamówienia na targach komputerowych. Ale jeśli chodzi o mapy - nada.

- Nancy, musiałem cię o to zapytać. Przepraszam. Oprócz mnie odpowiedź poznają tylko moi najbliżsi współpracownicy.

- Możesz umieścić ogłoszenie w „Newsweeku”. Nie potrafię niczego ci odmówić, kiedy znów widzę cię tak cholernie przejętego pracą.

- Nancy, być może zginą ludzie.

- Proszę, nie tłumacz się. Innego cię kochałam, rycerzu. Hood znów się zarumienił.

- Dziękuję - powiedział i spróbował skoncentrować się na tym, co miał jeszcze do zrobienia. - Nancy, a powiedz mi, czy Demain pracuje nad jakąś nową technologią?

- Zawsze. Ale do sprzedaży gotowa jest właściwie tylko jedna rzecz: układ krzemowy stymulujący

komórki nerwowe. Wyprodukowano go dla ludzi po amputacjach, do lepszego operowania protezami, a także dla podtrzymania zamierających funkcji rdzenia pacierzowego.

- Uśmiechnęła się. - Wcale nie jestem taka pewna, czy to rzeczywiście my opracowaliśmy ten układ, czy też Demain dostała go tą drogą, co i mój „prezent”. W każdym razie wprowadziliśmy sporo zmian. Umieszczony w joysticku generuje impulsy, jedne wywołujące u gracza poczucie przyjemności i drugie, sugerujące niebezpieczeństwo. Wypróbowałam je.

Oddziałują poza świadomością.

Paul miał wrażenie takie, jakby rzeczywistość dała mu pałką w łeb. Układ stymulujący odczucia przyjemności lub agresji, którym handluje bigot. Rasistowskie gry w sieci w Stanach. Coś niczym akcja w powieści fantastyczne-naukowej, ale sama technika leżała przecież na ulicy, gotowa do wzięcia.

- Czy te dwie sprawy można połączyć? Rasistowskie gry i układ stymulowania odczuć?

- Jasne. Czemu nie.

- I sądzisz, że Dominique byłby do tego zdolny?

- Przecież mówiłam ci już, że nie należę do wtajemniczonych. Po prostu nie wiem. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, że może stać za tymi grami.

- Mówisz tak, jakby cię to zaskoczyło.

- Bo i zaskoczyło. Kiedy dla kogoś pracujesz, to siłą rzeczy jakoś go sobie wyobrazasz.

Dominique jest z pewnością patriotą, ale żeby zaraz radykałem?

Paul przypomniał sobie, że obiecał Hausenowi nie wspominać nikomu ani słowem o jego przeszłości. Zresztą wątpił, czy Nancy uwierzyłaby mu, gdyby wspomniał.

- A zajmowałaś się może Tulużą?

- Jasne. Użyliśmy obrazu mostu prowadzącego do tej ślicznej fortecy jako tła dla jakiejś promocji gry.

- Widziałaś może produkt końcowy? Nancy potrząsnęła głową.

- Ja natomiast widziałem. W grze w komputerze Hausena. Nancy, jeszcze tylko jedno.

Czy możliwe jest, że twoje mapy zostaną użyte w grach?

- Oczywiście.

- Z nałożonymi na nie postaciami?

- Tak, to nie problem. Można przecież łączyć zdjęcia i obrazy generowane przez komputer. Jak w filmie.

Paul Hood miał wrażenie, że w głowie zaczyna mu się formować całościowy obraz sytuacji... obraz wyjątkowo mało atrakcyjny. Powoli podszedł do telefonu, usiadł i podniósł

słuchawkę.

- Dzwonię do biura - powiedział. - Dzieje się coś, czego zaczynam się poważnie bać.

- Proszę bardzo. A ponieważ chodzi tu o losy świata, nie musisz dzwonić na koszt osoby wzywanej.

Spojrzał na nią zdziwiony. Uśmiechała się wesoło. Niech cię Bóg błogosławi, pomyślał.

Za to, że humor zmienia ci się tak błyskawicznie jak dawniej.

Wystukując numer Rodgersa, powiedział jeszcze:

- Być może wcale się nie mylisz i rzeczywiście chodzi tu o losy świata. I być może tylko ty będziesz w stanie go ocalić.

□ Czwartek, 12.02 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Zanotowawszy wszystko, o czym mówił Paul, Mike Rodgers przekazał jego prośby Ann, Liz i Darrellowi. W myśl normalnej procedury po informacji należało zgłaszać się oddzielnie do wywiadu, archiwum, działu rozpracowywania kodów i tak dalej, Paul potrzebował jednak bardzo wielu różnych informacji, a poza tym przekazanie prośby numerowi drugiemu było dobrym sposobem na wtajemniczenie go w sprawę.

Mike powiedział tylko, że skontaktuje się z nim najszybciej jak to będzie możliwe.

W chwilę później zadzwonił Alberto z informacją o planach Boba Herberta. Generał

podziękował mu i powiedział, że nie ma zamiaru rozpraszać go w tej chwili telefon i. Nawet gdyby Bob wyłączył dzwonek, wciąż działałby sygnalizator wibracyjny komórki. A poza tym wiedział, że on, Mike, pomoże mu w potrzebie. Tylko oni dwaj rzeczywiście walczyli, a to łączy ludzi.

Rodgers odłożył słuchawkę, czując dumę z poczynań współpracownika i zarazem troskę o niego. Instynkt nakazywał mu zadzwonić po oddział jednej z amerykańskich baz w Niemczech, ale ostatnią rzeczą, jakiej pragnęły oba rządy, był incydent z udziałem amerykańskiego obywatela w mundurze, mogący sprowokować neofaszystów do eskalacji zdarzeń. W tych okolicznościach chyba rzeczywiście najlepiej było pozwolić Herbertowi na samodzielne działanie.

Generał zastanawiał się właśnie, jakie ma Bob szanse na sukces, kiedy pojawił się Darrell McCaskey. Jak to zwykle w podobnej sytuacji sprawiał wrażenie urażonego, pod pachą zaś niósł stosik charakterystycznych dla FBI białych teczek, każda oznaczona: ŚCIŚLE TAJNE.

- Szybko sobie poradziłeś. McCaskey ciężko opadł na fotel.

- Tylko dlatego, że jak mawia Larry Rachlin mamy na tego gościa okrągłe nic.

Przyniosłem ci trochę innych informacji, ale jeśli o niego chodzi, zero. - A co w ogóle wiemy?

McCaskey otworzył pierwszą teczkę.

- Tak naprawdę nazywa się Gerard Dupre. Jego ojciec miał w Tuluzie świetnie prosperującą fabrykę części do Airbusa. W latach osiemdziesiątych, kiedy zaważyła się gospodarka francuska, Gerard zainwestował rodzinną fortunę w gry komputerowe i komputery. Pozostaje jedynym właścicielem firmy Demain, wartej około miliarda dolarów.

- Tak forsa to nie... jak to powiedziałeś...

- Okrągłe nic. Nie, rzeczywiście. Ale gość jest czysty jak koń lady Godivy. Jedyna plamka na jego honorze to próba prania pieniędzy przez Nauru Phosphate Investment Trust Fund. Dostał za to po

łapach.

- Opowiedz mi wszystko. - Rodgers miał wrażenie, że słyszał kiedyś nazwę Nauru, ale zupełnie nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy. McCaskey zajrzał do teczki.

- W 1992 roku Dominique wraz z kilkoma innymi francuskimi biznesmenami wpłacał podobno pieniądze do fikcyjnego banku na Nauru. W rzeczywistości poprzez łańcuch prawdziwych banków trafiały one do Szwajcarii.

- A ze Szwajcarii?

- Powędrowały na pięćdziesiąt dziewięć różnych kont w całej Europie. - Zaś z któregośkolwiek z tych pięćdziesięciu dziewięciu kont mogły wybyć dokądkolwiek?

- Dokładnie. Dominique został ukarany grzywną za unikanie francuskich podatków, zapłacił ją wraz z zaległymi podatkami i na tym się skończyło. Ponieważ kilka z tych

„przejściowych” banków było w Stanach Zjednoczonych, FBI założyło mu teczkę.

- Nauru to na Pacyfiku, mam rację? McCaskey zajrzał w akta.

- Tak. Na północ od Wysp Salomona. Ma jakieś szesnaście kilometrów kwadratowych, prezydenta, żadnych podatków i najwyższy na świecie dochód na głowę obywatela. Jedyne przemysły to wydobywanie fosfatów. Służą do produkcji nawozów sztucznych.

Aha, o tym właśnie słyszałem, pomyślał Rodgers. Rozmyślając o Herbercie siedział w fotelu zgarbiony, teraz jednak wyprostował się nagle. - Tak, Nauru - powtórzył. - Japończycy okupowali Nauru podczas wojny. A trochę wcześniej wyspa była kolonią niemiecką.

- Wierzę ci na słowo.

- A co z nazwiskiem Dominique? Wolał je niż Dupre? Wstydził się rodziny?

- Liz pracowała ze mną i kiedy dostaliśmy dane, zaczęła zadawać te same pytania. Nie ma jednak żadnego dowodu na to, żeby rzeczywiście wstydził się rodziny. Wychowywano go w wierze katolickiej, rodzice byli bardzo religijni, więc Liz twierdzi, że może wziął nazwisko od imienia świętego Dominika. FBI jest zdania, że daje kupę forsy na dobroczynną działalność dominikanów i na szkołę nazwaną imieniem największego z nich, świętego Tomasza z Akwinu. Liz sądzi, że przynależność do szeregów *domini canes*, „psów bożych”, podoba mu się ze względu na katolicką ortodoksję oraz zmysł organizacyjny.

- O ile dobrze pamiętam, święty Dominik miał też opinię kogoś w rodzaju inkwizytora.

Niektórzy historycy przypisują mu rolę organizatora masakry albigensów w Langwedocji.

- Ja tam nie znam się na tego rodzaju sprawach - przyznał McCaskey. - Ale skoro już o tym wspomniałeś, mamy tu jedną interesującą sprawę. - Zjrzał do kolejnej teczki, oznaczonej słowami GRUPY NIENAWIŚCI. - Słyszałeś może kiedyś o jakobinach?

Mike skinął głową.

- Tak nazywali się francuscy bracia z zakonu dominikanów, w XIII wieku. Mieli siedzibę na Rue St. Jacques, stąd nazwa. Podczas rewolucji francuskiej antymonarchiści zbierający się w tym klasztorze dominikanów także nazwani zostali jakobinami. Byli skrajnym odłamek rewolucji. Należeli do nich: Robespierre, Danton i Marat.

McCaskey skrzywił się.

- Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie uczę cię historii. Dobra, spróbujemy jeszcze raz.

A o Nowych Jakobinach słyszałeś?

- Zdziwisz się, ale owszem. Po raz pierwszy usłyszałem o nich właśnie dziś. Alberto wspomniał coś o pułkowniku *Gendarmerie*, któremu się nie podobają.

- Pewnie chodziło mu o pułkownika Ballona. Dziwny facet, a na ich punkcie ma fioła. Od siedemnastu lat Nowi Jakobini atakują cudzoziemców we Francji, głównie Marokańczyków i Algierczyków. Działają dokładnie odwrotnie; niż większość chciwych chwały terrorystów, którzy natychmiast przypisują sobie publicznie każde porwanie, każdy zamach. Uderzają mocno, celnie i znikają.

- Siedemnaście lat? - Rodgers myślał przez chwilę. - A kiedy Dupre zmienił nazwisko?

McCaskey uśmiechnął się szeroko. - Trafiłeś - oznajmił.

Generał patrzył w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Szedł za ciosem. - A więc Dominique może być związany z grupą francuskich terrorystów, a nawet jej przewodzić. Jeśli my o tym wiemy, to z pewnością wiedzą o tym także Francuzi.

- Musimy siedzieć i czekać, co Ballon będzie miał nam na ten temat do powiedzenia.

Poinformowano mnie, że siedzi teraz w zasadzce i nie ma nastroju do przyjmowania telefonów.

- Aż tak źle mu idzie?

- Najwyraźniej. Dominique uwielbia samotność, jak wszyscy miliarderzy. - Zamiłowanie do samotności nie czyni człowieka nieosiągalnym. Jeśli nie da się pobić go atakiem frontalnym, można zawsze spróbować manewru okrążającego. Co z tymi pieniędzmi, które transferował przez Nauru? Można ich użyć przeciw niemu. Być może to tylko jedna gałąź

wielkiego drzewa?

- Niewątpliwie. Człowiek pokroju Dominique'a byłby w stanie użyć setek, jeśli nie tysięcy banków do finansowania rasistów.

- Dobra, tylko czemu miałby ich finansować? Jego front rozciąga się na cały świat, musi być w nim jakiś słaby punkt. Pragnie władzy? Wcale mi na to nie wygląda. Jest francuskim patriotą, więc co go obchodzi Anglia, Południowa Afryka i tak dalej? Dlaczego osłabia się, operując na taką skalę?

- Bo jest także międzynarodowym biznesmenem. Ataki terrorystyczne bezbłędnie osiągają jeden cel: osłabiają wiarę w system. Jeśli terroryści porwą samolot, przestajemy wierzyć w system bezpieczeństwa lotnisk i na pewien czas liniom lotniczym spadają dochody.

Jeśli bomba wybucha w tunelu, ludzie zaczynają jeździć po mostach albo w ogóle nie wychodzą z domu.

- Ale w końcu wszystko wraca do normy.

- Do tej pory wracało - zgodził się McCaskey. - Co się jednak stanie., jeśli jednocześnie osłabi się kilka ogniw w łańcuchu. Albo kilkakrotnie, raz za razem, zaatakują jedno?

Przyjrzyj się Włochom. Czerwone Brygady porwały premiera Aldo Moro w 1978 roku i mocno wstrząsnęło to krajem. W 1991 roku napłynęło tam mnóstwo uchodźców albańskich, uciekających przed nędzą w domu i terroryści znów zaczęli atakować. Między tymi wydarzeniami upłynęło trzynaście lat, z dokładnością niemal do tygodnia, a przecież biznes zaczął mieć wątpliwości. Dla biznesu Włochy znów są niepewne. Rząd stracił zaufanie.

Zagraniczne inwestycje spadły niemal z dnia na dzień. Co by się stało, gdyby terroryści jeszcze bardziej się uaktywnili? Straty finansowe nie dałyby się nawet oszacować. Tylko popatrz na Hollywood.

- A co ma do tego Hollywood?

- Pewnie myślisz, że wytwórnie zaczęły budować studia na Florydzie, bo jest tam więcej słońca przy niższych cenach nieruchomości? Nic takiego. Bały się, że trzęsienia ziemi i rozruchy na tle rasowym zniszczą przemysł filmowy.

Generał próbował uporządkować fakty, którymi zarzucił go McCaskey. Sądząc z wyrazu twarzy, McCaskey zajęty był mniej więcej tym samym. - Darrell, jak myślisz, ile grup białych rasistów mamy w Stanach Zjednoczonych?

- Nie muszę myśleć. - Policjant szybko przekartkował akta w trzymanej na kolanach teczce. - Według najnowszych obliczeń FBI istnieje siedemdziesiąt siedem grup białych rasistów, neonazistów, skinheadów i tak dalej, zrzeszających około trzydziestu siedmiu tysięcy członków, z czego siedem tysięcy to uzbrojeni żołnierze.

- A jak to się rozkłada?

- Geograficznie? Ogólnie rzecz biorąc są w każdym większym mieście każdego stanu; włączając w to Hawaje. Niektórzy atakują czarnych, niektórzy Azjatów, niektórzy Żydów, niektórzy Meksykanów, niektórzy wszystkich na raz, ale są wszędzie.

- Jakoś wcale mnie to nie dziwi. - Rodgers był wściekły, ale nie zrezygnował. Pamiętał z historii bolesne rozczarowanie Ojców Założycieli, kiedy zdali sobie sprawę, że odzyskanie niepodległości nie położyło kresu nierówności i nienawiści. Pamiętał nawet cytaty z listu Jeffersona do Johna Adamsa. By zdławić nienawiść, by dać ludziom równość, Jefferson pisał:

„Popłyną jeszcze rzeki krwi, miną lata spustoszeń, a jednak jest to cel wart rzek krwi i lat spustoszenia”. Nie dopuści, by on sam lub ktokolwiek z jego współpracowników ugiął się pod tym ciężarem.

- O czym myślisz? - spytał go McCaskey.

- O tym, jak nakopać durniom w dupę w imieniu Jeffersona - odparł Mike, nie zwracając najmniejszej uwagi na zdumione spojrzenie policjanta. Odchrząknął. - Powiedz, czy w komputerze Pure Nation znaleziono coś naprawdę istotnego?

McCaskey zajrzał do trzeciej teczki.

- Nie - powiedział. - Właściwie to wszyscy dziwimy się, jak niewiele było tam nowych informacji.

- Pech, czy może zdążyli wymazać dane?

- Nie jestem pewien. W Biurze po prostu boją się zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

Wygląda na to, że będziemy mieli wspaniałą prasę, a już zwłaszcza wśród czarnych. Nikomu nic się nie stało, a za kratkami mamy kilku naprawdę złych facetów.

- Tylko poszło wam trochę za gładko - dodał za niego Rodgers.

- Owszem. Poszło nam trochę za gładko. I, jak sądzę, Biuro jest dokładnie tego samego zdania. Najważniejsze pytanie na dziś brzmi: dlaczego do ataku na Chaka Zulu przysłano ludzi z zewnątrz? Jedną z najwścieklejszych grup rasistowskich, Koalition, ma swoją bazę w Queens. To zaraz na drugim brzegu East River, bliżej niż Pure Nation miała do nich nawet w Nowym Jorku. A jednak nie mamy dowodu choćby na to, że się kontaktowali.

- Ciekawe, czy powtórzyli taktykę Osi z czasów wojny. - Chodzi ci o dezinformację?

Rodgers skinął głową.

- Bob i ja mamy tę sprawę w aktach. Jeśli znajdziesz chwilę czasu, przejrzyj „Das Bait”.

W największym skrócie wygląda to tak: jeśli chcesz dostarczyć przeciwnikowi fałszywych

informacji, pozwól mu wziąć do niewoli oddział swoich żołnierzy, tylko przedtem udzielił im fałszywych informacji. Jeśli przeciwnik kupi to, co mu powiedzą, dziesięciu - dwunastu ludzi może sparaliżować dywizję lub nawet całą armię, czekającą na inwazję, która nigdy nie nastąpi lub zastawiającą pułapkę w złym miejscu. Alianci nie uprawiali tego typu praktyk ze względu na złe traktowanie żołnierzy w obozach jenieckich, ale Niemcy i Japończycy robili to praktycznie bez przerwy. Jeśli w dodatku ujęci żołnierze nie wiedzą, że zostali oszukani, prawdziwych informacji nie wydobędzie się z nich nawet za pomocą narkotyków. Trzeba wysłać ludzi w teren, przeprowadzić śledztwo. Ilu agentów FBI prowadziło tę sprawę?

- Mniej więcej trzydziestu.

- A teraz? Ilu sprawdza tropy albo przesłuchuje zatrzymanych? - Siedemdziesięciu do osiemdziesięciu w całym kraju.

- A są to najlepsi eksperci od rozpracowywania grup rasistowskich. A więc parę osób trafia do więzienia i co się dzieje? FBI ściąga z pola niemal wszystkich swych ludzi!

McCaskey milczał chwilę. W końcu potrząsnął głową.

- Ma to jakiś sens jako taktyka, ale nie wygląda mi na zachowanie pasujące do tych twardzieli. Oni wierzą w pałkę, nie w blef. Już raczej poszliby na dno, grmiąc ze wszystkich dział.

- Więc czemu nie walczyli?

- Ależ walczyli. Próbowali zabić naszych ludzi...

- Ale nikogo nie zabili. I przecież pozwolili się zgarnąć.

- Mieliśmy przewagę. FBI ciągle jeszcze potrafi walczyć. - McCaskey wydawał się bronić swej agencji.

- Przecież wiem. Tylko, że jeśli są tacy twardzi, to czemu się poddali? Czy nie przysłużyliby się lepiej sprawie, gdyby udawali męczenników, a z FBI zrobili tępych zabójców?

- To nie żadni kamikadze. Może tylko się chwala, może są bezlitośni tylko wobec słabszych, może po prostu chcą żyć.

- Żyć? Przecież nic im się nie stanie. O co właściwie można ich oskarżyć? Strzelali do agentów federalnych. Spiskowali. Zbierali broń. Jeśli przyznają się do winy w zamian za obniżenie wymiaru kary, spędzą w więzieniu osiem do dziesięciu lat. Osiem do dziesięciu lat spędzą oglądając telewizję kablową i ćwicząc w doskonale wyposażonych salach gimnastycznych, a wyjdą mając trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Przez swoich ludzi zostaną powitani jak bohaterowie. Coś takiego musi się spodobać każdemu żądnemu chwały psychopacie.

- Może. Ale zupełnie nie pasuje do schematu, który znamy z doświadczenia. Poddać się, przekazując fałszywy sygnał, a potem spokojnie pójść do więzienia? Nie. Nadal twierdzę, że to za mało, by usatysfakcjonować tych ludzi.

- A ja twierdzą, że być może rodzi się nowe pokolenie terrorystów. Zdolne do prowadzenia skomplikowanych gier.

McCaskey przyjrzał mu się, zaskoczony.

- Wiem, co myślisz - stwierdził Rodgers. - Nadal uważasz, że przypisujemy im przesadną dalekowzroczność.

- Jakakolwiek dalekowzroczność wydaje się przesadna. Nie lubię nie doceniać przeciwnika, ale to ludzie o mentalności obłąkanej twierdzą, którymi rządzi wyłącznie ślepa wściekłość. Każda zmiana ich zachowania wydaje mi się aberracją.

- Umieją jednak słuchać rozkazów. Jeśli posłuszysz się odpowiednią marchewką, zrobią, co chcesz. Przemyśl to sobie. Jaka cena skłoniłaby białego rasistę do wykonania takiego polecenia?

- Swoboda. Swoboda zaatakowania celu, którego najbardziej nienawidzi. - Kupuję. A co daje każdemu człowiekowi moralne prawo do ataku? - To, że został zaatakowany jako pierwszy.

- Właśnie. - Generał zaczął się rozkręcać. McCaskey może sobie myśleć co mu się podoba, Mike czuł jednak przez skórę, że w tym przypadku to on ma rację. - A teraz załóż, że chcesz, by ktoś cię zaatakował. Co robisz? Antagonizujesz go. Sprawiasz, że czuje się zagrożony...

Zadzwonił telefon.

- Rasistowskie gry komputerowe - powiedział nagle McCaskey. - Samo to nie wystarczy.

Nagle w oczach agenta pojawiło się zrozumienie... i strach.

- Wystarczy, jeśli ofiary będą dodatkowo zastraszone groźbą ataku. Wystarczy zasugerować jednej grupie czarnych, że jest zagrożona, a już galwanizują się wszyscy czarni.

Chryste, Mike, to jest właśnie to, za co Pure Nation z rozkoszą dałaby się aresztować. Za to, żeby dać Chaka Zulu do zrozumienia, że byli celem ataku, nawet jeśli wcale nim nie byli. Ani się obejrzysz, a już wszyscy czarni poprą zmilitaryzowaną grupę Zulu, a wtedy całe mnóstwo białych nie będzie miało wyboru, tylko obrócić się przeciw nim.

Mike Rodgers energicznie skinął głową i w tym momencie telefon zadzwonił ponownie.

Zerknął na okienko u podstawy aparatu - wyświetlony był na nim kod Ann Farris.

- Dokładnie to zdarzyło się przecież w latach sześćdziesiątych - mówił dalej McCaskey -

kiedy Czarne Pantery stały się zbrojnym ramieniem grup obrony praw obywatelskich.

- Jeśli to wszystko rzeczywiście do siebie pasuje - Dominique, jego pieniądze, grupy nienawiści, destabilizacja Europy i Stanów Zjednoczonych, to mamy poważny problem o skali światowej - stwierdził generał i włączył głośnik telefonu. - Przepraszam, że kazałem ci czekać, Ann powiedział

do słuchawki.

- Mike, Darrell mówił mi, że szukasz informacji prasowych o Demain. Zadzwoiłam do „D'Alton i D'Altori”, do ich nowojorskiej agencji prasowej. Przetaksowali mi najnowsze informacje.

- No i co?

- Prawie wszystko to klasyczne reklamy gier komputerowych, oprócz jednej informacji.

O nowym joysticku.

- I..

- Z nowym Enjoystickiem nie tylko grasz w grę, lecz ją czujesz. Rodgers wyprostował się w fotelu. Aż za dobrze pasowało to do rasistowskich gier. Poczul, jak na czoło występuje mu zimny pot.

- Mów dalej.

- Ma aprobatę Federalnej Komisji łączności. Konstrukcja opiera się na nowej technologii stymulowania komórek nerwowych przez połączenie bioelektroniczne do linii papilarnych.

Chyba po to, żeby nie dopuścić do aktywowania go innymi niż palce częściami ciała. Demain twierdzi, że z Enjoystickiem gracz dzieli uczucia z bohaterem gry.

- Miłość, nienawiść i wszystko, co mieści się pomiędzy?

- Aż tak dokładni nie są. Osobiście nie wierzę w możliwość stworzenia czegoś takiego.

Czuję się, jakbym wpadła w środek akcji filmu fantastyczno-naukowego.

- Nie wpadłaś. Większość ludzi ciągle nie pojmuje potęgi techniki, ale technika nie przestaje od tego istnieć. Dzięki, Ann. Bardzo mi pomogłaś. - Nie ma o czym mówić, Mike.

Rodgers odwiesił słuchawkę. Mimo - a może z powodu, pomyślał palącej konieczności ułożenia klocków zagadki Pure Nation, wdzięczny był Ann za tę krótką rozmowę. Nie należeli nawzajem do swych fan-klubów. Ann nie robiła sekretu z tego, że uwielbia Paula Hooda, broniła go zawsze i w każdej sytuacji, co często stawiało ją po przeciwnej stronie barykady, jako że Rodgers w rozwiązywaniu kryzysów nie był aż tak dyplomatyczny. On jednak pracował nad poprawą sytuacji, a ona uczyła się, że nie wszystkie sprawy trzeba koniecznie załatwiać na sposób Hooda.

Jest w tym prawdopodobnie lekcja dla całej cywilizacji, pomyślał generał. Niestety, nie był to najlepszy czas na wygłaszanie kazań. Spojrzał na McCaskeya, kreślącego notatki na okładce jednej z teczek.

Agent stenografował błyskawicznie, sto czterdzieści słów na minutę.

- To wszystko tu jest, Mike - powiedział podniecony. - Niech to diabli, cholera, przecież wszystko tu mamy.

- No to dawaj.

McCaskey skończył pisać.

- Powiedzmy, że Dominique, tak jak to zrobił w przypadku Nauru, używa banków do przekazywania funduszy rasistowskim grupom - powiedział. - Wybija nas z uderzenia, oferując nam Pure Nation z bogactwem fałszywych informacji, a sam cicho oliwi kółka maszynierii. Jest także gotowy do rozpowszechniania rasistowskich gier po sieci; gier, które można rozgrywać przy pomocy Enjoysticka. Ludzie dobrze się czują, występując przeciw mniejszościom. - Podniósł wzrok znad notatek. - Zgadzam się z Ann, ten kawałek wygląda jak z „Niesamowitych opowieści?“, ale tę sprawę możemy odłożyć na później. Nie jest w końcu najważniejsza.

- Zgoda.

- Czarni oburzają się na gry. Gazety też się oburzają. Przyzwoici obywatele również.

Tymczasem Pure Nation wcale nie występuje o układ. Nic z tych rzeczy. Wolą proces, sala sądowa to forum publiczne takie, o jakim marzą. Proces rozpoczyna się szybko, dowody są w końcu przekonujące, więc FBI naciska na sąd, żeby znalazł termin, a oskarżeni nie mają zamiaru przeszkadzać w skompletowaniu ławy przysięgłych. Udowadniają jary to z nich prawdziwi mężczyźni, robiąc z siebie kozły ofiarne. Swe poglądy prezentują spokojnie, kulturalnie. Jeśli będą dobrzy - a wielu z tych ludzi jest dobrych - mogą nawet sprawić, że zabrzmia one racjonalnie.

- Kupuję. Bardzo wielu białych przyzna im rację, choćby w sekrecie. Tych białych, którzy winą za wysokie podatki obciążają bezrobocie i opiekę społeczną, zaś winą za bezrobocie i opiekę społeczną obciążają czarnych.

- No właśnie. W miarę postępu procesu murzyńscy aktywiści są coraz bardziej wściekli i ktoś - obojętne po której stronie - robi coś, co doprowadza do incydentu. I tak zaczynają się rozruchy, bo od początku chodziło tu tylko o rozruchy. Ludzie Dominique'a pilnują, żeby zaczęły się rozszerzać, aż wreszcie w Nowym Jorku i Los Angeles, w Chicago i Filadelfii, w Detroit i Dallas, dochodzi do wybuchu. Wkrótce całe Stany stają w ogniu.

- Nie tylko Stany. Bob Herbert uważa, że podobnie stanie się w Niemczech.

- No i masz. Dominique wszczyna piekło wszędzie... z wyjątkiem Francji. To dlatego Nowi Jakobini działają cicho, skutecznie i bez zwracania na siebie uwagi. - McCaskey otworzył teczkę Dominique'a i zaczął przerzucać kartki. - Ci faceci są wyjątkiem wśród terrorystów, bo rzeczywiście terroryzują. Doniesień o przestępstwie jest wyjątkowo niewiele; najczęściej grożą ludziom przemocą, a potem wydają szczegółowe rozkazy: ta grupa ma opuścić to a to miasteczko, a jeśli wrócą, to pożałują. Nie ruszają wielkiej polityki, na przykład, jak wyrzucić Brytyjczyków z Irlandii. Ich rozkazy da się wykonać bez problemu.

- Chirurgiczne uderzenia, nie stanowiące dobrego materiału dla prasy - zauważył

Rodgers.

- Nie stanowiące żadnego materiału dla prasy - poprawił go agent FBI. - Francuzi mafią to w nosie. No więc świat się wali, Francja zaś sprawia na tym tle wrażenie wyjątkowo stabilnej. Dominique ściąga pod swe skrzydła banki, przemysł, inwestycje. Staje się bardzo poważnym międzynarodowym graczem. Być może nawet najpoważniejszym.

- I nikt nie jest w stanie powiązać go z terroryzmem.

- Jeśli choćby spróbuje, nocą odwiedzają go Nowi Jakobini. - McCaskey nie odrywał

wzroku od akt. - Ci goście mają wszystkie cechy starej dobrej mafii. Pobicia, wypadki, egzekucje i tak dalej.

Mike Rodgers opadł na fotel.

- Paul powinien już wrócić do biura Richarda Hausena w Hamburgu stwierdził. Zajrzał

do leżącego przed nim notatnika. - Kod RH3 automatycznie wybierze jego numer. Przekaż mu, co ustaliliśmy i powiadom go, że zrobię wszystko, żeby skontaktować się z pułkownikiem Ballonem. Ten Dominique to facet, do którego powinniśmy dotrzeć jak najszybciej. Wygląda, że wyłącznie Ballon ma na to jakąś szansę.

- Powodzenia. Coś mi wygląda na to, że siedzisz w wyjątkowo kolczastych malinach.

- Włożę rękawiczki. Jeśli uda mi się zamienić z nim kilka słów, a myślę, że mi się uda, zaoferuję mu coś, czego z pewnością nie znajdzie we Francji.

- Co takiego? - zainteresował się McCaskey.

- Pomoc.

□ Czwartek, 18.25 - Wünstorf, Niemcy

Jeśli brać pod uwagę wyłącznie fizyczne zmęczenie, była to najtrudniejsza, najbardziej frustrująca, ale też i najbardziej owocna godzina w życiu Boba Herberta.

Musiał pokonać teren pokryty patykami, zgniłymi liśćmi, obłamanymi gałęziami drzew, miejscami wyjątkowo błotniste. Na przeszkodzie stanął mu także strumyk, który, choć głęboki na zaledwie kilkanaście centymetrów, mimo wszystko opóźnił go dodatkowo.

Kilkakrotnie wspinał się na strome wzgórza - tak strome, że musiał zsiadać z wózka i ciągnąć go za sobą. Kilka minut po szóstej zaczęło się robić ciemno w ten szczególny, mroczny sposób, jakże charakterystyczny dla gęstych lasów. Choć jego wózek wyposażony był w dwie potężne latarki, po jednej pod każdą ze stóp, Bob widział przed sobą na odległość nie większą od średnicy koła wózka. To także go spowalniało; nie miał zamiaru wpaść w jakąś szczelinę i skończyć jak ten myśliwy sprzed pięciu tysięcy lat, którego znaleziono zamarznętego, leżącego twarzą w dół na zboczu jakiejś góry.

Jeden Bóg wie, co by sobie o mnie pomyśleli za pięć tysięcy lat, zastanowił się. Mimo wszystko bardzo mu się jednak spodobał ten pomysł. Wyobraził sobie kilku nadętych uczonych, mozolących się nad jego szczątkami w roku siedmiotysięcznym. Próbował także wymyślić, za co wzięliby tatuaż Motomyszy na jego lewym bicepsie.

A w dodatku cały był obolały. Bolały go zadrapania po gałązkach, mięśnie, oraz oczywiście klatka piersiowa w miejscu, w którym podczas pościgu samochodowego kilkakrotnie wrzynał się w nią pas bezpieczeństwa.

Nawigował po lesie, korzystając z mającego już lat trzydzieści kompasu, który zwiedził z nim cały świat. Przebyty dystans mierzył licząc obroty kół; jeden pełny obrót oznaczał cztery przejechane metry. Próbował także wyobrazić sobie, dlaczego neonaziści skierowali się właśnie tu. Zgoda, nie mogli wezwać na pomoc swych sojuszników w policji, jako że wezwanie to usłyszeli by inni policjanci. Tu przynajmniej mieli policję na miejscu. Tylko...

dla czego w ogóle potrzebowali pomocy? Potrafił wymyślić jedną tylko odpowiedź na to pytanie: szukali kogoś, żeby im znalazł Boba Herberta. Przypuszczenie to było dla niego dość pochlebne, zgoda, ale jednocześnie całkiem sensowne. Uciekli przed syreną, przestraszyli się, że Bob zdoła ich zidentyfikować i teraz zechcieli go dorwać, bo pewnie złożył na nich doniesienie na komisariacie. Gdyby złożył, policjant mógłby udzielić im informacji, kim jest i gdzie się zatrzymał.

Potrząsnął głową. Byłoby doprawdy ironią losu, gdyby znalazł tu dziewczynę. Pojechał

do Hanoweru wyłącznie po informacje i prośbę, ci durnie doprowadzili go do niej, sami o tym nie wiedząc.

Uśmiechnął się. Któż mógłby pomyśleć, że dzień rozpoczęty w wygodnym fotelu lotniczym zakończy się szaloną wędrówką po lesie w poszukiwaniu zakładniczki, z neonazistami na tropie.

Zaledwie kilka minut zabrało mu znalezienie drzewa, na którym, być może, kryła się dziewczyna. Wyraźnie odróżniało się od innych: wysokie, powykręcane, ciemne. Miało co najmniej trzysta lat; wręcz trudno było opędzić się od myśli o tyranach, których widziało...

wzrastających w siłę i upadających. Bob czuł się lekko zawstydzony, wyobrażając sobie, jak głupie musiały wydawać mu się ich szaleństwa.

Wyjął latarkę z pokrowca przy podnóżku i zaświeceł nią w górę. - Jodie % - zawołał

cicho. - Jesteś tam?

Czuł się nieco głupio, wołając siedzącą na drzewie młodą dziewczynę. Niemniej z uwagą wodził wzrokiem po liściach i nadstawiał uszu. Nic nie usłyszał.

- Jodie - powtórzył. - Nazywam się Bob Herbert. Jestem Amerykaninem. Jeśli siedzisz tam, na górze, zejść, proszę. Pragnę ci pomóc. Czekał. Nadal nic się nie działo. Po mniej więcej minucie zdecydował, że objedzie drzewo i sprawdzi, co widać z drugiej strony, nim jednak zdołał się poruszyć, za plecami usłyszał trzask łamanej gałązki. Obejrzał się pewien, że to musi być Jodie, ze zdumieniem zdał sobie jednak sprawę z tego, że widzi wysoką sylwetkę, przytuloną do pnia.

- Jodie? - powtórzył raz jeszcze, choć miał już całkowitą pewność, że nie może to być dziewczyna.

W odpowiedzi usłyszał głęboki, męski głos. - *Mein Herr*, ręce do góry.

Usłuchał rozkazu. Powoli podniósł ręce na wysokość twarzy. Mężczyzna ruszył w ciemności w jego kierunku. Gdy znalazł się bliżej, wszedł w promień światła latarki i wówczas okazało się, że jest funkcjonariuszem policji, mundurem nie przypominał jednak żadnego z funkcjonariuszy przy półciężarówce. Miał na sobie granatową policyjną kurtkę i czapkę.

I nagle Bob Herbert wszystko zrozumiał. Syreny. Nagły koniec pościgu. Ucieczkę w ten las.

Wpadł w pułapkę.

- Pięknie, pięknie - powiedział głośno.

Policjant zatrzymał się w odległości ponad metra od wózka, poza zasięgiem siedzącego na nim człowieka, nawet gdyby człowiekowi temu udało się wyjąć kij spod oparcia. Stał na lekko rozstawionych nogach, . twarz zasłaniał mu daszek czapki tak, że w żaden sposób nie dało się odczytać jej wyrazu. Pod rozpiętą kurtką widać było skórzany pas z zatkniętym zań telefonem komórkowym.

Bob przyjrzał mu się dokładnie.

- Zadzwonili po ciebie z samochodu, kiedy jeszcze ciągle byli w mieście, prawda? -

spytał. - Udawali, że uciekają przed policją. Wiedzieli, że za nimi pojedę. Ty jechałeś za mną.

Policjant nie rozumiał chyba ani słowa z tej przemowy. Nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. Herbert czuł obrzydzenie do samego siebie. Policja bez kłopotu dowiedziała się, kto wynajął Mercedesa. Sam ułatwił im sprawę, płacąc cholerną firmową kartą gotówkową. Narodowe Centrum Rozwiązywania Sytuacji Kryzysowych - oficjalna nazwa Centrum. Samo to, w połączeniu z hukem, z jakim pojawił się w Hanowerze, powiedziało im, że czegoś szuka. Zawołał Jodie, więc teraz wiedzieli już nawet, czego. Życie uprzyjemnić mógł tym ludziom wyłącznie wręczając im kopie fotografii satelitarnych.

Dobrze przynajmniej, że Jodie nie kryła się jednak na drzewie, -bo gdyby się tam ukryła, wraz z nim od śmierci dzieliłyby ją już tylko sekundy.

Nie miał zamiaru błagać o życie. Nie chciał umierać, ale nie chciał też żyć ze świadomością, że prosił taką świnię o cokolwiek. Popęłił błąd i musi za niego zapłacić.

Przynajmniej, pomyślał, nie będę musiał pełznąć jak żółw przez całą powrotną drogę do samochodu.

Ciekawe, czy usłyszę huk strzału, nim dosięgnie mnie pocisk. Mężczyzna stał blisko.

- *Auf Wiedersehen* - powiedział policjant.

□ Czwartek, 18.26 - Tuluza, Francja

Znajdująca się w odległości krótkiej przejażdżki samochodem od popularnego Place du Capitole i rzeki Garonne, Rue St. Rome to jedyna handlowa uliczka w obrębie starego miasta Tuluzy. Wiele z jedno-i dwupiętrowych średniowiecznych domów starówki osiadło w ziemi lub pochyliło się ze starości, podłogi zaś wypaczyły się z powodu bliskości rzeki. Stare domy uparcie trzymały się jednak uliczek, zupełnie jakby chciały powiedzieć tanim, lśniącym, zupełnie do nich nie pasującym neonom reklamującym motorowery i zegarki Seiko, niegdyś nowym antenom telewizyjnym i ciągle nowym antenom satelitarnym: „Nie. Nie oddamy wam naszej ziemi!”. Tak więc obserwatorzy setek lat podbojów i ucieczek, milczący świadkowie tysięcy ludzkich istnień, tysięcy ludzkich marzeń, nadal królowali nad siecią krzywych uliczek i tłumami śpieszących się ludzi.

Na drugim piętrze jednego z tych domów, w którym mieścił się odrapany sklepik

„Magasin Vert” i który został specjalnie do tego celu wynajęty, siedział pułkownik Bernard Ballon z *Gendarmerie Nationale*, na czterech małych telewizyjnych ekranach obserwując obrazy przekazywane przez kamery umieszczone na zewnątrz Demain. Siedziba firmy znajdowała się jakieś trzydzieści kilometrów na północ od centrum miasta, ale jak na dane wywiadowcze, które udało mu się zebrać, równie dobrze mogłaby sobie być oddalona o trzydzieści kilometrów na północ od centrum kuli ziemskiej.

Ballon i jego ludzie umieścili ukryte kamery z czterech stron starej budowli znajdującej się w miasteczku Montauban. Nagrywali każdą wjeżdżającą do środka lub wyjeżdżającą na zewnątrz ciężarówkę, każdego idącego do pracy lub wychodzącego z pracy człowieka.

Potrzebowali zaledwie jednej twarzy na filmie, twarzy któregoś ze znanych policji Nowych jakobinów. Gdyby ją dostrzegli, Ballon wraz z elitarnym szturmowym oddziałem policji byłby w środku w ciągu dwudziestu minut. Samochody stały niedaleko, policjanci siedzieli przy radiostacjach lub obserwowali pozostałe monitory, broń czekała, przygotowana, w brezentowych torbach, nawet nakazy rewizji mieli wypełnione... pod warunkiem, że znajdą coś, co sądy nazywają *raison de suspicion* - uzasadnionym podejrzeniem. Na tyle uzasadnionym, by oparło się w sądzie wściekłemu atakowi obrony.

Być może „wielka akcja” Dominique'a rzeczywiście była blisko, ale ten tajemniczy przemysłowiec nie zrobił się przez to ani odrobinę mniej ostrożny. Ballon podejrzewał, że czas „wielkiej akcji” rzeczywiście zbliża się wielkimi krokami. Po siedemnastu długich, frustrujących latach śledzenia nieuchwytnego miliardera, siedemnastu latach nieustannej obserwacji, aresztów i prób złamania Nowych Jakobinów, po siedemnastu latach, podczas których praca zmieniła się w obsesję, Ballon był pewien, że Dominique jest gotów do akcji. I nie chodzi bynajmniej o reklamowaną wszędzie grę komputerową. Wielokrotnie wprowadzał

na rynek nowe gry i nigdy nie pracowało przy tym tylu ludzi.

Sam Dominique też nigdy jeszcze nie pracował z takim poświęceniem, pomyślał Ballon.

Dominique pozostawał teraz w pracy na noc, z rzadka tylko wracając do swej wiejskiej posiadłości pod Mountauban. Jego pracownicy siedzieli po godzinach - nie tylko programiści, lecz także eksperci od Internetu i sprzętu komputerowego. Pułkownik obserwował na monitorach, jak wchodzą i wychodzą.

Jean Goddard... Marie Page... Elile Tourneur...

Znał ich wszystkich, choć tylko z widzenia. Wiedział, gdzie się urodzili i wychowali.

Znał imiona ich bliskich oraz przyjaciół. Wiedzę o Dominique'u i jego współpracownikach zdobywał wszędzie tam, gdzie się dało. Robił to wszystko, bo był przekonany, że dwadzieścia pięć lat temu, w Paryżu, *gdy* on sam był świeżo upieczonym policjantem, człowiek ten popełnił morderstwo.

Czterdziestoczteroletni Ballon zeszywniał w niewygodnym, składanym drewnianym krzeselku. Niezdarnie zmienił pozycję, wyprostował nogi, roztargnionym spojrzeniem obrzucił prowizoryczne centrum dowodzenia. Piwne oczy miał przekrwione, brodę i czerwone policzki pokrywał mu kilkudniowy zarost, zaciskał cienkie wargi. Podobnie jak pozostałych siedmiu mężczyzn, miał na sobie dżinsy i flanelową koszulę. W końcu oni wszyscy byli przecież robotnikami, remontującymi wynajęty przez siebie budynek. Na parterze trzech kolejnych policjantów pracowicie cięło drewno na deski, które nigdy nie zostaną użyte.

Ballon z najwyższym trudem przekonał przełożonych, by dali mu miesiąc na zorganizowanie zasadzki. *Gendarmerie Nationale* była, przynajmniej w teorii, jednostką samodzielną, ślepą na podziały polityczne i terytorialne. W rzeczywistości wszyscy jednak zdawali sobie sprawę z tego, jak potężne siły prawa i mediów potrafiłyby rzucić przeciw nim Dominique.

- I po co to wszystko? - spytał go komisarz Canton. - Bo podejrzewasz człowieka o przestępstwo popełnione przed przeszło dwudziestu laty? Przecież sąd nie mógłby go za nie skazać!

Oczywiście. Ta zbrodnia uległa przedawnieniu. Czyż jednak samo przestępstwo i człowiek, który je popełnił, stali się przez to mniej potworni? Owego wieczora, podczas śledztwa na miejscu zbrodni, młody wówczas Ballon dowiedział się, że widziano tu Gerarda Dupre wraz z innym, nie zidentyfikowanym mężczyzną. Dowiedział się, że zaraz po morderstwie obaj wyjechali do Tuluzy. Policja nie zamierzała ich ścigać. Nie zamierzała ścigać Gerarda Dupre, pomyślał z goryczą Ballon, tej bogatej świni. W rezultacie najprawdopodobniej uniknął on oskarżenia o morderstwo.

Głęboko rozczarowany, zrezygnował wówczas z pracy w policji. Przeszedł do *Gendarmerie*, zajął się rodziną Dupre. Mijały lata; coś, co niegdyś było wyłącznie hobby, stało się pasją jego życia. Z tajnych rządowych akt, przechowywanych w archiwum w Tuluzie, dowiedział się, że stary Dupre podczas II wojny światowej kolaborował z Niemcami, był wtyczką w *Resistance* i doniósł na wielu członków ruchu oporu. W ciągu trzech lat zginęło przez tego sukinsyna co najmniej trzydzieści osób. Po wojnie otworzył fabrykę, która odniosła wielki finansowy sukces, produkując części dla

Aerospatiale Airbus. Uczynił to dzięki amerykańskim pieniądząm przeznaczonym na odbudowę zniszczonej wojną Europy.

Gerard zaś najwyraźniej nienawidził wszystkiego, co związane było z ojcem. *Pere Dupre* przeżył wojnę sprzedając informacje Niemcom, Gerard otaczał się młodymi niemieckimi studentami, którzy potrzebowali jego pieniędzy, by przeżyć. *Pere Dupre* po wojnie ukradł

pieniądze Amerykanom, Gerard produkował programy na amerykański rynek i za to brał

ciężką forszę. *Pere Dupre* nienawidził komunistów, więc, jako student, Gerard bardzo się do nich zbliżył. Wszystko, co robił, robił przeciw ojcu.

A potem z młodym Dupre zdarzyło się coś dziwnego. Opuścił Sorbonę i zabrał się za kolekcjonowanie dokumentów historycznych. Ballon rozmawiał z kilkoma antykwariuszami, u których dokonywał zakupów. Mieli wrażenie, iż Gerarda Dupre zdumiewa sama możliwość posiadania listów napisanych przez wielkie postaci z historii.

Jeden z nich powiedział mu: „Gerard czuł się tak, jakby zaglądał wielkiemu człowiekowi przez ramię. Oczy mu błyszczały na myśl, że może śledzić bieg historii”.

Dupre kupował dokumenty z czasów rewolucji francuskiej oraz ubrania, broń i pamiątki z epoki. Kupował jeszcze starsze dokumenty religijne. Kupował nawet gilotyny.

- Nie ma niczego niezwykłego w tym, że ludzie, rozczarowani rzeczywistością, za pomocą pamiątek i listów kreują swój własny, bezpieczny świat - powiedział

współpracujący z żandarmerią psycholog.

- A może zechce rozszerzyć ten świat? - spytał go wówczas Ballon. - Bardzo prawdopodobne - odparł psycholog. - Spokojna przystań nigdy nie jest zbyt wielka.

Kiedy Dupre zmienił nazwisko na Dominique, Ballon nie miał żadnych wątpliwości, że uważa się on za współczesnego świętego. Świętego - patrona Francji. Lub może oszalał. Lub jedno i drugie. Kiedy na terrorystycznej scenie w tym samym czasie pojawili się Nowi Jakobini, nie miał też wątpliwości, że są oni żołnierzami strzegącymi duchowej czystości fortecy Dominique'a, Francji, tak czystej i cnotliwej jak w wizjach oryginalnych jakobinów.

Żandarmeria nie zgodziła się na wszczęcie śledztwa. I nie tylko dlatego, że Dominique był człowiekiem potężnym. Ballon bardzo szybko odkrył, że *Gendarmerie* jest niemal równie ksenofobiczna jak człowiek, przeciwko któremu chciał wystąpić. Nie zrezygnował dlatego, że tylko mógł utrzymać przy życiu ideę prawa służącego ludziom - wszystkim ludziom.

Niezależnie od rasy i religii. Syn belgijskiej żydówki, którą rodzina wydziedziczyła za małżeństwo z ubogim francuskim katolikiem, Ballon doskonale rozumiał, do czego może doprowadzić nienawiść. Gdyby odszedł, bigoci zwyciężyliby po raz kolejny.

Wpatrując się teraz w obraz siedziby Demain Ballon musiał się zastanowić, czy przypadkiem już nie wygrali.

Silnymi palcami przesunął po policzkach. Podobało mu się to, jakie są szorstkie. Oto dowód męskości, którego próżno szukałby gdzie indziej. Jak tu czuć się prawdziwym mężczyzną, siedząc na tyłku w gorącym, dusznym pokoju? Podczas nie kończących się powtórek z procedury: „Niebieski” - sygnał ataku, „Czerwony” - sygnał „zostań gdzie jesteś,

„Żółty” - wycofać się, „Biały” - cywil w niebezpieczeństwie; sygnały radiowe w sytuacji, gdy głos może kogoś zdradzić: jeden impuls - atak, dwa „zostań gdzie jesteś, trzy - wycofać się.

Plany na wypadek nieprzewidzianego niebezpieczeństwa...

Ballon zaczynał już nawet poważnie podejrzewać, że Dominique wie o zastawionej przez niego pułapce i specjalnie nie robi nic, by go skompromitować i tym sposobem wbić osinowy kołek w duszę prowadzonego przeciw niemu śledztwa.

A może popadam w paranoję? - spytał samego siebie. Słyszał, że jeśli zbyt wiele czasu poświęca się jednej sprawie, paranoja jest nieunikniona. Kiedyś śledził jednego z ludzi Dominique'a, Jean-Michela Horne'a. Pewnego dnia Horne szedł sobie na jakieś spotkanie pogwizdując, a on myślał, że gwizdzie specjalnie, żeby go zirytować.

Mocniej pogładził się po twarzy. Uda się, pomyślał i nagle z obrzydzeniem poderwał się z krzesła. Z najwyższym trudem powstrzymał się przed kopnięciem w witrażowe okno, które z pewnością było starsze od niego.

Siedzący w pokoju policjanci aż podskoczyli.

- Proszę mi powiedzieć, sierżancie - zgrzytnął Ballon - dlaczego po prostu nie zdobędziemy Demain szturmem? I nie zastrzelimy Dominique'a? Dopiero wtedy mielibyśmy spokój!

- Szczerze mówiąc, nie wiem - przyznał siedzący obok niego sierżant Maurice *Ste. Marie*.

- Już wolałbym zginąć w akcji, niż z nudów.

- Dostanę go! - Ballon zignorował sierżanta. Wymachiwał teraz pięściami w kierunku telewizyjnych monitorów. Cały aż się trząsał. - To zdegenerowany do szpiku kości, sadystyczny szaleniec, który chce skorumpować świat i uczynić go rajem sadystów.

- Czyli odwrotnie niż my - stwierdził spokojnie sierżant. Pułkownik obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- O co panu chodzi?

- Jesteśmy szaleńcami walczącymi o wolność świata, mnożącemu sadystów takich jak Dominique. Tak czy inaczej, to wszystko wydaje mi się bez sensu.

- Bo jest, jeśli zapomnimy o nadziei. - Ballon złapał krzesło, ustawił je na miejscu i usiadł

na nim ciężko. - Czasami sam o niej zapominam, ale nadal mam nadzieję. Matka zawsze miała nadzieję, że rodzina wybaczy jej małżeństwo z ojcem. Ta nadzieja przebijała z każdej urodzinowej kartki, którą im wysyłała.

- A czy jej wybaczyli? - zainteresował się sierżant. Ballon przyjrzał mu się uważnie.

- Nie. Ale dzięki tej nadziei nie wpadła w depresję. Dzięki nadziei i miłości do ojca i do mnie. - Wpatrzył się w monitor. - Nadzieja i nienawiść, jaką żywię do Dominique'a, ratuje mnie z głębokiej depresji. Dostanę go...

Zadzwoił telefon. Słuchawkę podniósł jeden z młodszych policjantów. Zamocowane było na niej urządzenie przeciwpodśluchowe, mieszające wysokie i niskie tony głosu na wyjściu i porządkujące je na wejściu.

- Panie pułkowniku, mamy kolejną rozmowę ze Stanami - powiedział. - Przecież mówiłem im, że mają nie łączyć! - wrzasnął Ballon. - To albo jakiś cholerny wygodniś, pragnący na naszych ramionach przejechać linię mety, albo sabotażysta próbujący nas powstrzymać. Każ mu wynosić się do diabła.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Teraz chcą mi pomagać! - wściekał się Ballon. - Teraz! A gdzie byli przez siedemnaście lat!

- Może chodzi im o coś zupełnie innego - powiedział ostrożnie sierżant *Ste. Marie*.

- Jakie mamy na to szanse? Dominique zatrudnia ludzi na całym świecie. Lepiej, żebyśmy zostali czyści, nie do kupienia...

- Gotowali się we własnym sosie - odpowiedział sierżant. Pułkownik Ballon przyjrzał

się filmowanym przez kamerę liściom, przewiewanym pod murem średniowiecznej fortecy będącej dziś siedzibą Demain. Jego podwładny miał oczywiście rację. Cztery dni... i żadnych rezultatów.

- Czekaście - warknął.

Żandarm powtórzył to słowo do słuchawki. Z twarzą bez wyrazu obserwował dowódcę.

Ballon pogłaskał zarośnięte policzki. Nie pozna odpowiedzi, póki nie przyjmie rozmowy.

Co jest ważniejsze? - spytał się w duszy. Duma czy dorwanie Dominique'a?

- Przyjmę rozmowę - zdecydował, ruszając w stronę telefonu z wyciągniętą ręką. Sierżant *Ste. Marie* obserwował go z wyraźnie widocznym na twarzy zachwytem.

- Nie szczerzcie się tak, sierżancie. Sam podjąłem tę decyzję. Nie mieliście z nią nic wspólnego.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł służbiście sierżant, ale nie przestał szczerzyć zębów.

Pułkownik wziął słuchawkę.

- Tu Ballon. O co chodzi? - rzucił.

- Panie pułkowniku - powiedział telefonista - mam na linii generała Rodgersa z Narodowego Centrum...

- Pułkowniku Ballon - przerwał mu Rodgers - proszę mi wybaczyć, ale po prostu muszę z panem porozmawiać.

- *C'est evidentment.*

- Czy mówi pan po angielsku? Jeśli nie, natychmiast ściągnę tłumacza... - Mówię po angielsku - przyznał niechętnie Ballon. - O co chodzi, generale Rodgers?

- Jak rozumiem, poluje pan na naszego wspólnego przeciwnika. - Poluję. Bez skutku. ..

- Naszym zdaniem ma on zamiar rozpowszechnić za pomocą sieci oprogramowanie komputerowe, mogące spowodować rozruchy w wielu miastach na całym świecie. Naszym zdaniem chce wykorzystać te rozruchy do wywołania chaosu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych i państwach europejskich.

Ballon poczuł suchość w ustach. Tego człowieka albo zesłał mu Bóg, albo sam szatan.

- Skąd pan to wie?

- Gdybym nie wiedział, rząd odebrałby nam wszystkie przeznaczone na Centrum pieniądze.

To stwierdzenie też spodobało się Francuzowi.

- A co z jego oddziałami terrorystycznymi? - spytał. - Co pan o nich wie? - Miał wielką nadzieję na uzyskanie nowych informacji. Jakichkolwiek nowych informacji.

- Nic - przyznał Amerykanin. - Podejrzewam jednak, że nasz człowiek współpracuje blisko z szeregiem neonazistowskich grup w moim kraju.

Ballon milczał przez chwilę. Nadal nie w pełni ufał rozmówcy.

- Pańskie informacje są interesujące, ale niezbyt użyteczne - stwierdził w końcu. - Ja potrzebuję dowodów. Muszę wiedzieć, co dzieje się w środku tej fortecy.

- Jeśli w tym problem, mogę pomóc. - W głosie Rodgersa brzmiało niemal błaganie. -

Dzwonię, pułkownik Ballon, by zaproponować panu pomoc dowódcy sił NATO we Włoszech. Nazywa się pułkownik Brett August i jego specjalnością jest...

- Czytałem informacje o pułkowniku Auguście. Fachowiec od antyterroryzmu.

- I mój przyjaciel z dzieciństwa. Jeśli go poproszę, będzie z panem współpracował. Mam także, w Niemczech, sprzęt, który mogę panu pożyczyć.

- Jaki to sprzęt? - Ballon znów stał się podejrzliwy. W tym miejscu i w tym czasie ten człowiek wydał mu się po prostu za dobry. Tak dobry, że wręcz nie sposób mu się było oprzeć. Tak dobry, że być może posłuszny rozkazom Dominique'a. Tak dobry, że być może zastawiający na niego pułapkę.

- To taki nowy rodzaj... rentgena - tłumaczył generał Rodgers. - Taki, z którym mój człowiek może prawie dokonać cudów.

- Nowy rodzaj rentgena? - powtórzył z powątpiewaniem Ballon. Przecież nic mi to nie pomoże. Nie muszę wiedzieć, gdzie siedzą ludzie... - Ale pomoże panu przeczytać ich gazetę.

Albo zobaczyć ruch warg. Ballon był zainteresowany, ale nie pozbył się podejrzliwości.

- Generale Rodgers, jaką mam pewność, że nie współpracuje pan z Gerardem Dominique'em? - spytał.

- Taką, że ja również wiem o podwójnym morderstwie, które popełnił dwadzieścia pięć lat temu. Wiem, ponieważ mamy człowieka, który był z nim podczas jego popełnienia. Nie mogę powiedzieć panu nic więcej oprócz tego, że chcę, by Dominique stanął przed obliczem sprawiedliwości.

Ballon spojrzał na swoich ludzi. Gapili się na niego wyczekująco. - Patrzcie w monitory!

- ryknął.

Usłuchali. Pułkownik miał dość. Pragnął już tylko, by coś wreszcie zaczęło się dziać.

- Doskonale - powiedział. - Jak mam się skontaktować z tym pańskim cudotwórcą?

- Niech pan nie rusza się z miejsca. Zadzwoń do pana.

Ballon potwierdził i odwiesił słuchawkę. Sierżantowi *Ste. Marie* rozkazał zabrać czterech ludzi na zewnątrz i obserwować budynek. Gdyby nabrał podejrzeń, że ktoś ma na nich oko lub że dom jest otoczony, miał mu o tym natychmiast meldować przez radio. Pułkownik czuł

jednak instynktownie, że Rodgers należy do tych dobrych, podobnie jak instynktownie czuł, że Dominique należy do złych.

Mam tylko nadzieję, że instynkt mnie nie oszuka, pomyślał. Ludzie sierżanta wyszli, a on zasiadł przy telefonie.

□ Czwartek, 09.34 - Studio City, Kalifornia

Nazywał sam siebie „Narożnikiem”. Taśmy magnetofonowe sprzedawał z plecaka ze skóry pantery. Od przeszło roku codziennie, mniej więcej o siódmej rano, ten młody mężczyzna zostawiał poobijanego Volkswagena na parkingu za ciągiem sklepów przy Laurel Canyon w Studio City, po czym ruszał na Ventura Boulevard. Szedł niespiesznie; długie, smukłe nogi, widoczne spod suszonych liści sudańskiej pagana przytrzymywanej paskiem na ramieniu, zrobionym ze skóry geparda, obute miał w czarne skórzane sandały. Spod paska sukni widać było przepoconą czarną podkoszulkę z wypisanymi na niej na biało słowami NAROŻNY RAP. Włosy z boku głowy miał wystrzyżone, zaś te na ciemieniu splecione wokół kawałka drewna. Oczy osłaniały mu lustrzane okulary. Białe w nos i język kolczyki z drobnymi diamentami lśniły od potu i śliny.

Narożnik nigdy nie śpieszył się z dojściem na miejsce. Szedł powoli, z uśmiechem. W

którymś momencie wyrzucał skręta i psychicznie przygotowywał się na występy... i na sprzedaż. Dymek pomagał mu się odprężyć, powodował, że chude ramiona i kościste dłonie same poruszały się w rytm brzmiącej mu w głowie muzyki. Zaczynał podrygiwać w jej rytm.

Klaskał w dłonie.

Na każdy dzień miał nowe słowa. Te na dziś brzmiały: MamMamMam co chcę jak dymka uszczknąć mogę. Kiedy dymka mam wreszcie jestem sam. Kto skręta kopci jest wolny od chciwości. Kiedy się nie bawię od chciwości innych krwawię. A kiedy się bawię jestem wolny prawie. HejHejHej bracia jak ja palcie, palcie, palcie".

Narożnik zatrzymał się na rogu, ale jego ciało poruszało się nadal. Zrzucił plecak, nie gubiąc rytmu. Wyjął z niego nagrane kasety, włączył mały magnetofon i rozpoczął

przedstawienie. Sprzedawał jakieś pięć do sześciu taśm dziennie, na zasadzie dżentelmeńskiej umowy z kupującym. Ponieważ nie zamierzał przerywać tańca, napis na kawałku tektury instruował klienta, by wziął sobie kasetę płacąc za nią ile uważa. Większość zostawiała mu pięć dolarów, niektórzy dolara lub dwa, niektórzy nawet dziesiątkę. Przeciętnie wychodziło z tego jakieś trzydzieści dolarów dziennie. Wystarczało mu to na jedzenie, dymka i benzynę.

„MamMamMam co chcę... ”

Raz mu się udało. Przeprowadzono go wtedy do studia po drugiej stronie ulicy, na Radford Avenue. Pojawił się w serialu komediowym, w scenie ulicznej i zarobił tyle, żeby nagrać sobie parę kaset. Przedtem wszystkie nagrywał podczas występu na ulicy. Wówczas każda kasetka Narożnika była oryginałem. Teraz klienci mieli wybór.

Pracę kończył zazwyczaj między ósmą a dziewiątą wieczorem, kiedy wypożyczalnia wideo przy jego ulicy wypożyczyła już wszystko, co miało tego dnia pójść, drugostore i księgarnia zamykały swe

podwoje, a ruch malał. Wracał wtedy do samochodu, zjeżdżał w boczną uliczkę albo na parking sklepu spożywczego i czytał przy świetle ulicznej lampy lub świeczki.

W ostatnim dniu swego życia Narożnik przyszedł na miejsce pracy o siódmej dziesiątej. W

ciągu następnych dwóch godzin sprzedał jedną taśmę za dziesięć dolców. O dziewiątej piętnaście zapalił skręta i zaśpiewał: „Pieprzę dystrykt, Waszyngton, DC”.

Tańczył z zamkniętymi oczami, kiedy dwaj młodzi mężczyźni przechodzili przez Laurel Canyon. Obaj byli wysocy, jasnowłosi. Szli niespiesznie, zjadając kebaby. Ubrani byli w białe tenisowe stroje, przez ramię przewieszane mieli sportowe torby. Kiedy zbliżyli się do rapera, jeden z nich zajął pozycję nieco za nim, po jego lewej stronie, drugi pozycję nieco za nim, po jego prawej stronie. Kiedy przechodnie wokół nich sfoczyli się, pragnąc zdążyć na zielone światło, obaj jak jeden mąż wyjęli z toreb łyżki do opon, zamachnęli się i uderzyli Narożnika po kolanach.

Raper padł, wyjąc. Uderzył twarzą o chodnik, lustrzane okulary rozprysły się na małe kawałeczki. Ludzi zwolnili i gapili się na niego, widzieli, jak z wysiłkiem zwija się w kłębek.

Nim jednak zdążył choćby spojrzeć na napastników, jeden, a potem drugi, z całych sił

uderzyli go łyżkami po głowie. Choć czaszka rozprysła się od razu, choć chodnik wokół

leżącego zalany był krwią, każdy z młodych mężczyzn zadał jeszcze dwa sosa. Ciało Narożnika podskakiwało, uderzane, a potem znieruchomiało.

- Jezu! - krzyknęła jakaś dziewczyna. Straszna prawda o tym, co się właśnie stało docierała do tłumu powoli, pełznąca jak wąż. - Jezu! Twarz dziewczyny była straszliwie blada.

- Co wyście zrobili!

Jeden z młodych mężczyzn stał w bezruchu. Drugi, klęcząc, obmacywał ubranie ofiary.

- Uciszyliśmy to gówno - powiedział ten, który wstał.

Stara, czarna, opierająca się na lasce kobieta, krzyknęła: - Policja Pomocy!

Jasnowłosy chłopak spojrział na nią, po czym podszedł do niej powoli. Ludzie ustępowali mu z drogi. Staruszka zrobiła krok wstecz, lecz nie spuściła wzroku.

- Hej! - krzyknął biały w średnim wieku, wciskając się pomiędzy nich. - Daj pan...

Chłopak mocno przydepnął mu nogę. Mężczyzna padł, krzycząc z bólu. Murzynka wtuliła się w okno wystawowe drugstore'u. Napastnik zbliżył się do niej, pochylił.

- Zamknij tę śmierdzącą japę! - wysyczał.

- Nie zamknę, póki oddycham amerykańskim powietrzem - odparła Murzynka.

Blondyn tylko uśmiechnął się krzywo i wbił jej w usta koniec łyżki do opon. Staruszka skuliła się; z jej przewróceniem nie miał najmniejszych kłopotów. Młody biały z tłumu rzucił

się i przykrył ją swym ciałem.

- Mam - powiedział ten, który klęczał przeszukując kieszenie Naroźnika, pokazując kluczyki do Volkswagena.

Jego kolega cofnął się spokojnie, powoli, jakby przygotowywał się do drugiego serwisu po pierwszym, który ugrzązł w siatce. Obaj młodzieńcy stanęli obok siebie, ramię w ramię, tłum zaś otoczył ich luźnym, lecz groźnym kotem.

- Nie powstrzymają nas wszystkich! - krzyknął ktoś.

Chłopak trzymał kluczyki w lewej ręce. Prawą wyciągnął z torby *Colta M1911A* kalibru 0,45 cala.

- Założymy się? - spytał.

Tłum nie tyle rozstał się przed nimi, co wręcz rozpląnął. Napastnicy poszli powoli Laurel Canyon, ignorując spojrzenia przechodniów i rozlegające się za ich plecami krzyki.

Bez problemu znaleźli samochód Naroźnika; wiedzieli, gdzie parkuje, śledzili go przez kilkanaście dni. Odjechali, skręcając z Laurel Canyon w stronę Hollywood Hills. Przez nikogo nie ścigani, znikli wśród samochodów jadących do Hollywood.

Policja pojawiła się w siedem minut później.. Do akcji włączyły się helikoptery. Jeden z nich znalazł Volkswagena, zaparkowanego przy skrzyżowaniu Coldwater Canyon i Mulholland Drive. Został tam porzucony, w środku zaś nie znaleziono żadnych śladów.

Strażacy z remizy na szczycie wzgórza przypomnieli sobie wprawdzie, że widzieli samochód, stojący na poboczu z włączonym silnikiem, ale nie zapamiętali ani marki, ani wyglądu kierowcy. Żaden z nich nie zauważył przyjazdu Volkswagena, ani odjazdu owego samochodu. `

Policja zabrała plecak Naroźnika. Nie znaleziono w nim taśm, tylko czterdzieści dolarów i trochę drobnych.

□ Czwartek, 18.41 - Hamburg, Niemcy

Gdy Paul Hood pojawił się z powrotem w biurze Hausena, kilka kroków za nim szła Nancy, która do środka weszła niepewnie, jakby nie wiedziała, czy spotka przyjaciół, czy wrogów. Zastała jednak tam ludzi, których, przynajmniej na razie, całkowicie pochłaniały ich własne problemy.

W recepcji siedział Hausen, rozmawiając przez telefon komórkowy najwyraźniej doszedł

do wniosku, że normalne telefony mogą być na podsłuchu. Telefony komórkowe nie były całkowicie bezpieczne, ale korzystając z nich nie musiał się przynajmniej obawiać, że przeciwnik słucha każdego słowa.

Lang przysiadł na brzegu biurka, z zaciśniętymi wargami przyglądając się Hausenowi.

Matt siedział przy biurku tego ostatniego, stukając w klawisze komputera.

Niemiecki polityk rozmawiał po niemiecku z kimś, kto miał na imię Envin. Ten język zawsze wydawał się Hoodowi szorstki, ale nigdy taki szorstki jak w tej chwili. No i rozmówca nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

Kiedy go zobaczył, Lang natychmiast ruszył w jego kierunku.

- Pozwoli pan przedstawić sobie Nancy Jo Bosworth - powiedział Hood. - Jest pracowniczką Demain. - Wypowiadając te słowa zdumiewał się, że wyszły one z jego ust.

Musiał oszaleć, że w ogóle do niej pojechał. Musiał kompletnie i beznadziejnie oszaleć.

- Rozumiem - odparł uprzejmie Lang, krzywiąc wargi w ledwie widocznym uśmiechu.

- Nie jestem przyjaciółką Dominique'a - pośpieszyła z wyjaśnieniami Nancy. - Nawet go nie znam.

- Wygląda na to, że nikt go nie zna. - Lang nadal uśmiechał się zimnym uśmieszkiem.

Hood przeprosił go i przedstawił Nancy Stollowi. Zostawił ją przy komputerze, a potem wrócił do recepcji.

- Z kim rozmawia *Herr* Hausen? - spytał przemysłowca.

- Z ambasadorem Francji w Berlinie. Próbuje zorganizować natychmiastowy wyjazd do Francji celem przeprowadzenia śledztwa w sprawie tej gry i przeciw jej producentowi. Chce spotkać się z Dominique'em w obecności przedstawicieli francuskich władz. - Pochylił się nieco w kierunku rozmówcy. - Próbował zadzwonić bezpośrednio do Dominique'a, ale nie zdołał przedrzeć się aż tak daleko. Wydaje się bardzo poruszony. Zawsze wyjątkowo poważnie traktował przestępstwa o podłożu rasistowskim.

- I jak mu idzie z ambasadorem?

- Wcale mu nie idzie. Dominique ma najwyraźniej ogromne wpływy. Kontroluje banki, kilka gałęzi przemysłu i wręcz przerażającą liczbę polityków.

Paul spojrział na niego ze współczuciem. Wiedział, jak trudne są wojny z systemem w Waszyngtonie, ale nie potrafił nawet wyobrazić sobie, jakie granice przebiegają między narodami, zwłaszcza narodami mającymi, jak te dwa, długą tradycję wzajemnej nienawiści.

Wrócił do gabinetu. Stanął obok Nancy obserwując, jak Stoll płynnie prowadzi przez bagna animowanego psa. Stwierdził, że z trudnością koncentruje się na grze.

- jak ci idzie, Matt? - spytał.

Stoll wcisnął P, pauzując grę. Obrócił się. Czoło miał zmarszczone.

- Ale obrzydlistwo, szefie. To, co postaci robią z ludźmi za pomocą sznurów, noży i psów jest wręcz niewyobrażalne. Zresztą będzie pan mógł sobie to wszystko obejrzeć.

Podłączyłem magnetowid do monitora. Mam grę na taśmie. Przejrzę ją później, poszukam obrazów skierowanych do podświadomości i w ogóle wszystkiego, co mogłem przeoczyć za pierwszym razem.

- Rozumiem, że to ta gra, którą otrzymał *Herr Hausen*? - wtrąciła Nancy.

- Tak. - Stoll wrócił do gry. Niemal natychmiast jeden z prowadzonych przez niego psów wpadł w lotne piaski i zaczął w nich tonąć. Cholera! - wrzasnął. - Wiecie, kiedy byłem sam, szło mi...

- Graj dalej. - Nancy podeszła i przycisnęła skierowaną w dół strzałkę kursora.

- Hej, co pani wyprawia? Proszę się nie wtrącać w moją grę. - Coś pan przeoczył.

- Ja przeoczyłem... ?

Tymczasem za naciśnięciem strzałki pies przeleciał przez pułapkę i znalazł się w podziemnej jaskini. Sterowany strzałką w prawo i strzałką w lewo zbierał nazistowskie pamiątki i jakąś szaloną liczbę punktów.

- Skąd wiedziałaś, co zrobić? - spytał Hood.

- Bo to adaptacja mojej gry, „Potwór Z Moczarów” - odparła Nancy. - Ma jej sceny -

pierwszy plan, tło, pułapki. Inne są jednak i scenariusz, i postaci. U mnie był potwór z bagien, uciekający przed swym twórcą i wściekłymi wieśniakami. Z całą pewnością nie coś takiego.

- Ale to bez wątplenia twoja gra?

- Bez wątplenia. - Nancy odeszła od klawiatury. - Niech pan wyjdzie przez ściek burzowy po lewej - poinstruowała Stolla.

- Dzięki - odburknął, pochłonięty grą.

Hood też się odsunął. Przewyciężył jakoś pokusę złapania Nancy za **rękę** i odciągnięcia jej. Zauważył, że Stoll odprowadza ich wzrokiem. Mimo wszystkich cnót Centrum, mimo podjętych przy zatrudnianiu pracowników środków bezpieczeństwa, nie różnili się oni od ludzi pracujących w niemal wszystkich innych instytucjach na świecie. Potrafili utrzymać w sekrecie tajemnice wagi państwowej, ale pojęcie „prywatnej sprawy” nie mieściło się w ich słowniku.

Nancy poszła za nim z własnej woli. W jej oczach dostrzegł troskę, miłość... i ślady rozczarowania.

- Paul - powiedziała cicho - wiem, że w przeszłości zawałam parę spraw, ale to nie moja robota. Tych zmian mogło dokonać mnóstwo ludzi. - Masz na myśli ludzi z wewnętrznego kręgu Dominique'a?

Skinęła głową.

- Wierzę ci. Ale pytanie brzmi: co mamy teraz zrobić?

Hood nie doczekał się jednak odpowiedzi, w tym momencie zapiszczał bowiem jego telefon komórkowy.

- Słucham?

- Paul? Tu Darrell. Możemy pogadać? - Tak.

- Rozmawiałem z Liz i Mike'em. Wyszło nam, że ten facet to sam Pan Macher.

Wystarczająco potężny, żeby uniknąć aresztowania.

- Wyjaśnij.

- Najwyraźniej używa łańcuszka banków do prania pieniędzy i inwestowania ich w grupy nienawiści na całym świecie. Prawo obwąchuje mu nogawki, ale jeszcze ani razu nie ugryzło.

Tymczasem klient gotów jest wprowadzić na rynek nowy joystick, umożliwiający graczowi odczuwanie tego, co czują postaci.

- Zakładam, że jest on kompatybilny z nazistowskimi grami?

- A pewnie. Na razie mamy jednak ważniejsze problemy. Pure Nation, ta grupa, którą zgarnęliśmy

dziś rano, mogła być podstawiona. Wygląda na to, że oni i te gry są częścią planu zmienienia Stanów Zjednoczonych w strefę walk rasowych. I znów - brak nam jasnych dowodów. Tylko **wątle** powiązania i intuicja.

- Intuicja rzadko nas zawodziła. Czy wiecie, jak ma to być rozłożone w czasie?
- Trudno powiedzieć. Media obsiadły Pure Nation jak muchy i nie wygląda, żeby miały zrezygnować.
- Z pewnością nie zrezygnują.
- Gry są już gotowe do ładowania z sieci. To skoordynowana akcja, a koordynator nie dopuści do tego, żeby ludzie przestali się bać. Kilka uderzeń w mniejszości rasowe i beczka prochu nie tyle zapali się, co wybuchnie. Rozmawiałem właśnie z kilkoma przyjaciółmi w Biurze. **Zgadza**my się co do jednego - w najgorszym wypadku pojedyncze incydenty zaczną występować w ciągu kilku dni, jeśli nie kilku godzin.

Paul Hood nawet nie pytał, jakim cudem jeden zagraniczny biznesmen zdołał ustawić na właściwym miejscu tyle klocków łamigłówki - czy, jak **to mawiał** Rodgers, kiepskich wieści

- nie zauważony i nie odkryty. Dysponując wyłącznie pieniędzmi i cierpliwością, w latach 1987-1995 japońska sekta Aum Shiriko operowała spokojnie z manhattańskiego biura, kupując co jej się tylko podobało, od sprzętu komputerowego i systemu laserowego zdolnego analizować pluton począwszy, do kilkudziesięciu ton stali na wyrób noży skończywszy, a wszystko to, by przyspieszyć wybuch wojny między Stanami Zjednoczonymi i Japonią. Choć do wojny prawdopodobnie by nie doszło, jedno z miast amerykańskich mogło ucierpieć w wybuchu jądrowym, gdyby nie agenci senackiej Komisji Dochodzeniowej, którzy wspólnie z CIA i FBI spenetrowali sektę i aresztowali wyznawców kultu zagłady.

- Jak z waszej strony wyglądają szanse powstrzymania go? - spytał Paul.

- Na razie nie wiemy, czego gość chce, nie znamy celów, więc oczywiście nie sposób odpowiedzieć na to pytanie.

- Ale sądzisz... czujesz... że to., co się dzieje, jest dziełem jednego człowieka?

- Moim zdaniem tak - potwierdził McCaskey.

- Więc jeśli dostaniemy tego człowieka, poradzimy sobie z resztą? - Prawdopodobnie.

- Więc na tym się skupimy. A przy okazji - czy ktoś wie coś o Bobie? - No, właściwie...

owszem.

Hoodowi bardzo nie spodobało się to twierdzenie. - O co chodzi?

McCaskey zdał relację z planów Herberta. Paul słuchał, czując zalewające go poczucie winy; w końcu to on pozwolił Bobowi na samodzielne działanie. Kaleka w wózku inwalidzkim i oddział neonazistów, ścigający się po jakimś niemieckim lesie... toż to absurd!

I nagle się wściekł. Herbert powinien zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli coś mu się stanie, Kongres uziemi Centrum. Nie miał prawa narażać istnienia całej organizacji.

Miał rację czy nie, stworzył jednoosobowy amerykański oddział walczący z neonazistami w Niemczech. Jeśli naruszy prawo, jeśli choćby zostanie złapany, faszyci wykręcą się twierdząc, że byli prześladowani, że zostali zaatakowani i musieli się bronić. Fala krytyki przeleje się nad Centrum, administracją waszyngtońską i Hausenem.

No i, oczywiście, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że neonaziści wyeliminują go raczej niż złapią. Ci mężczyźni z półciężarówki mogli nie wiedzieć, kim jest, ale nawet jeśli wiedzą, nie wszyscy radykałowie pragną rozgłosu. Niektórym wystarcza to, że pozbędą się przeciwnika.

Gdyby sądził, że Bob go posłucha, Paul w tej chwili rozkazałby mu wrócić do hotelu.

Posunąłby się nawet do poproszenia Hausena o wysłanie po niego ludzi... ale miał jeszcze co najmniej dwie wątpliwości. Musiałby zaufać obowiązującym w biurze wiceministra zasadom bezpieczeństwa, którym nie mógł już ufać i musiałby wierzyć, że znajdą czuwającego spokojnie w zasadzce Boba, nie robiąc hałasu i sami nie tworząc niebezpiecznej sytuacji, a w to nie wierzył.

- Czy Viens go obserwuje? - spytał.

- Niestety, nie - odparł McCaskey. - Ma tylko jednego satelitę w tej okolicy, nie mógł

poświęcić go wyłącznie nam. Wyglądało to tak, że musieliśmy wyłączyć Larry'ego, by dać Bobowi trochę z tego, czego chciał.

- Podziękujcie mu ode mnie. - Hood powiedział to całkiem szczerze, choć w duchu aż się skręcał. A więc to tak. Będzie musiał po prostu czekać, aż skończy się ta gra w nadziei, że Herbert pozostanie anonimowy... i bezpieczny.

- Paul, czekaj. Właśnie łączą rozmowę o ważniejszym priorytecie. Czekaj. W słuchawce słyszał głos dziennikarza CNN. Dziennikarz mówił coś o śmierci jakiejś ważnej osobistości w Atlancie. Usłyszał tylko kilka słów i McCaskey znów był na linii.

- Słuchaj, Mike jest z nami. Zdaje się, że mamy kłopoty. - Co się dzieje?

- Dzwonił mój kontakt w FBI, Don Worby - wyjaśnił McCaskey. Właśnie dostali wiadomość o pięciu równoczesnych zabójstwach czarnych przez białych w pięciu różnych miastach. Nowy Jork, Los Angeles, Nowy Orlean, Baltimore i Atlanta. Wszystkie podobne: od dwóch do czterech młodych białych płci męskiej zabija czarnego tapera. W Atlancie dostali Sweet T, najslawniejszą taperkę, kiedy wychodziła z mieszkania...

- Musiałem słyszeć właśnie to. - Skąd?

- Z CNN.

- Powinniśmy zatrudnić ich ludzi.

- Czy obaj w pełni zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? - wtrącił się Mike Rodgers. Głos miał poważny, wręcz ponury. - Te ataki to współczesna wersja Nocy Kryształowej.

Paul nie skojarzył ich sobie w ten sposób, ale Mike miał rację. Bardzo przypominało to Noc Kryształową, kiedy to Gestapo zorganizowało akty wandalizmu skierowane przeciw żydowskim bożnicom, cmentarzom, szpitalom, szkołom, warsztatom i sklepom w całym kraju. Aresztowano również trzydzieści tysięcy Żydów, rozpoczynając tym historię Holocaustu. Aresztowani zginęli w piecach Dachau, Sachsenhausen i Buchenwaldzie.

Atak był podobny, pomyślał Paul, ale są duże różnice.

- Nie! - powiedział nagle, mocno zaniepokojony. - To nie była druga Noc Kryształowa.

To był tylko wstęp.

- Jak to? - Rodgers również się zaniepokoił.

- Neonaziści zabili taperów. Wściekną się tylko ich najwierniejsi zwolennicy. Zaatakują białych, z których wielu w ogóle nie aprobeje rapu. Skończy się to eskalacją incydentów rasowych, walkami ulicznymi; amerykańskie miasta staną w ogniu. Dopiero wtedy objawią się neonaziści. Wtedy, gdy biała Ameryka będzie miała dość tego, że awanturników powstrzymuje się raczej niż atakuje. Wtedy, kiedy przeciętny obywatel będzie miał dość tego, że dokonano tak niewielkiej liczby aresztowań. Kiedy telewizja pokaże czarnych radykałów domagających się ich krwi. Wtedy dopiero nastąpi prawdziwa Noc Kryształowa..

Skoordynowany, zbrojny atak.

- Ale jaki będą mieli z tego pożytek sami neonaziści? - zainteresował się Rodgers. - Nie mogą łamać prawa, a potem stawać do wyborów.

- Ci co śliczniejsi, owszem. Ci, co zganiają łamanie prawa, ale nie nietolerancję, która za nim stała.

Ten plan miał sens i im dłużej Paul o nim myślał, tym błyskotliwszy wydawał, mu się w swej prostocie. Przypomniawszy sobie swą córkę, Harleigh, która przecież także słuchała rapu.

Był wprawdzie wielkim zwolennikiem wolności słowa i wypowiedzi, ale przesłuchiwał każdą płytę z nalepką ZA ZGODĄ RODZICÓW - nie po to, żeby coś cenzurować, lecz po to, by porozmawiać. Teksty często wydawały mu się zbyt brutalne - sam nie miałby nic przeciw temu, by niektórzy taperzy znaleźli sobie inną pracę. A przecież swego czasu był liberalnym politykiem! Z rozmów z innymi rodzicami - w szkole i po kościele - wiedział, że podzielają oni jego uczucia, tylko wyrażają je znacznie dosadniej. Gdyby czarni zaczęli mścić zabitych taperów, sympatie białej klasy średniej byłyby prawdopodobnie po stronie morderców, zwłaszcza gdyby twierdzili oni, że próbowali tylko zapobiec „większemu złu”. A kolejne ataki czarnych tylko udowodnią prawdę tego twierdzenia.

Rozpoczną się rozruchy, sytuacja zmusi policję do ograniczenia działań i neonaziści staną się aniołami-stróżami białych. A także, oczywiście, zwycięzcami następnych wyborów.

W niespełna pięćdziesiąt pięć lat po śmierci Hitlera jego pogrobowcy mogą stać się poważną siłą polityczną w Ameryce, pomyślał.

- Złamane marzenia o harmonii społecznej zamiast łamanych w kazamatach palców -
powiedział głośno. - Co za koszmar.

- Paul - pocieszył go Rodgers. - Nadal możemy ich powstrzymać. Jeśli pokażemy ludziom, co
szykował dla nich Dominique, zorientują się, jak obrzydliwie nimi manipulowano. ..

- Jeśli powiesz mi jak, chętnie załatwię faceta.

- Sposób być może istnieje. Właśnie skończyłem rozmowę z pułkownikiem Bernardem Ballonem z
francuskiej *Grupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale*. Jest w Tuluzie, zastawił tam sidła
na naszego zwierza, choć poluje na niego z innych powodów.

- Jakich? - spytał Paul. W tym momencie do gabinetu wszedł Hausen. Sprawiał wrażenie głęboko
poruszonego.

- Zdaniem Ballona Dominique jest głową ugrupowania terrorystycznego znanego pod nazwą Nowi
Jakobini. Walczą przede wszystkim z cudzoziemcami, co pasuje do tego, co wiemy.

- I co pan pułkownik zamierza zrobić z monsieur Dominique'em, kiedy go już dostanie? -
spytał Hood.

Hausen, przyglądający się Nancy, obrócił się nagle i wbił spojrzenie w jego twarz.

- O tym nie rozmawialiśmy - przyznał Rodgers. - Zakładam, że jego zadaniem jest aresztowanie
faceta i Nowych Jakobinów. Ballon obawia się jednak, że Dominique mu się wymknie. Przy jego
pieniądzach i wpływach...

- Tu się może mylić. - Paul patrzył na Hausena. Myślał o sprawie morderstwa dwóch studentek. - Co
o nim sądzisz. Nieoficjalnie?

- Z rozmowy wnioskuję, że Ballon należy do ludzi, którzy serdecznie by się ucieszyli, gdyby
Dominique potknął się przypadkiem na bardzo wąskich i bardzo stromych betonowych schodach.

- Jak rozumiem, Mike, znalazłeś jakiś sposób na nawiązanie z nim przyjacielskich stosunków?

- Jeden. Potrzebuje bardzo dokładnych informacji, których nie jest w stanie dostarczyć satelita.

- Nie mów nic więcej! - Paul Hood zerknął na jakże niewinnie wyglądający plecak Matta Stolla. -
Jak mogę skontaktować się z pułkownikiem Ballonem?

Zapisał podany mu numer telefonu, obserwując Hausena. Już poprzednio widział go zdenerwowanego, ale teraz w jego twarzy dostrzegł coś więcej niż zdenerwowanie.

Wyglądało na to, że pokrywający ją przez z górą dwadzieścia pięć lat werniks pękł nagle i odpadł, obnażając nie maskowaną niczym nienawiść. Paul szybko zakończył rozmowę.

Poprosił Rodgersa, żeby ten informował go o wszystkim na bieżąco, przypomniał

McCaskeyowi, że ma się z nim skontaktować natychmiast, *gdy* tylko dowie się czegoś o Herbercie, zakończył rozmowę i natychmiast zwrócił się do Hausena.

- Jak panu poszło? - spytał.

- Kiepsko. Ambasador Francji „da mi znać”, kiedy będziemy mogli wkroczyć do akcji. W

języku dyplomacji oznacza to „idź do diabła”. Hausen nie spuszczał wzroku z Hooda. - Co to było z tym Dominique'em? - spytał.

- W Tuluzie jest pułkownik żandarmów, chętny do tańca z jego głową na tacy - odparł

Paul. Zerknął na Nancy. - Przepraszam - powiedział - ale tak to wygląda.

Nancy skrzywiła się smutno.

- Rozumiem, ale chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę. Ruszyła do wyjścia. Paul złapał ją za rękę.

- Nancy, nie wracaj do niego - poprosił.

- Dlaczego? Czyżbyś uważał, że w trudnej sytuacji mogę potrzebować czyjejś obrony?

Hausen natychmiast podszedł do Stolla i Langa, i pilnie zajął się grą. Paul poprowadził

Nancy w drugi róg gabinetu.

- To naprawdę bardzo trudna sytuacja - powiedział jej z naciskiem. - Jeśli Ballon wejdzie do siedziby Demain i aresztuje jej personel, rozpocznie się śledztwo, sięgające tak daleko jak to tylko możliwe.

- Istnieje coś takiego jak przedawnienie.

- Oczywiście. Prawo nic ci nie może zrobić. Co się jednak stanie, jeśli twoje nazwisko znajdzie się na czarnej liście? Jaka firma zatrudni kogoś oskarżonego o szpiegostwo przemysłowe, nadużycie albo przekazywanie tajemnic produkcyjnych konkurencji?

- Jakaś firma podobna do Demain - odparła Nancy.

Paul zrobił krok w jej kierunku. Nadal trzymał ją za rękę, ale raczej czule niż mocno.

Tak, jak trzyma się za rękę kobietę, nie jeńca.

- Niewiele istnieje firm podobnych do Demain - powiedział. - I dzięki Bogu. To, co robią, jest złe. Cokolwiek się zdarzy, nie wolno ci tam wrócić. - Każda wielka firma ma swoje wstydlive sekrety.

- Ale nie takie. Jeśli kiedykolwiek otworzy się ta szczególna puszcza Pandory, zginą setki, być może tysiące ludzi. Zmieni się cały świat... i to bynajmniej nie na lepsze.

Choć Nancy patrzyła na niego, jednocześnie buntowniczym i smutnym wzrokiem, jej dłoń zamknięta w jego dłoni promieniowała ciepłem oddania. Paul pragnął przytulić ją, pocałować, ochronić przed światem. Kim jestem, by mówić o niemoralności? - spytał sam siebie.

- A więc - stwierdziła Nancy - nie chcesz, żebym wróciła do pracy. I chcesz, żebym pomogła ci postawić Dominique'a przed obliczem sprawiedliwości?

Z jej dłonią w swej dłoni, nadal patrząc jej w oczy, Hood powiedział cicho: - Tak.

- Nawet jeśli go dopadniecie, Dominique osądzony zostanie według prawa w wersji dla bogaczy. Takiego, jakim uwielbia szafować francuska sprawiedliwość, bo to ono kupuje politykom nadmorskie rezydencje.

- Nie zdoła w ten sposób zapłacić za wszystko, co zrobił.

- A co będzie ze mną? Co stanie się z informatorem, donosicielem, głównym świadkiem oskarżenia?

- Obiecuję, że ci pomogę. Obiecuję .ci, że dostaniesz dobrą pracę.

- O cholera, wielkie dzięki. Jeszcze się nie domyśliłeś, że nie tego ód ciebie chcę, Paul.

Odwróciła się od niego. Patrzyła w ziemię. Hood nie puścił jej dłoni. Nie powiedział nic więcej. Nie chciał wzbudzać fałszywych nadziei. Nancy opanowała się po chwili i znów spojrzała mu w oczy.

- Oczywiście, że ci pomogę - oznajmiła. - Zrobię dla ciebie wszystko, czego będziesz chciał.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. Od czego są w końcu byłe narzeczone?

Hood dotknął jej policzka i na tym się skończyło. Sprawdził w notatniku numer Ballona.

Wystukując go, nie patrzył na Nancy. Pożądanie w jego wzroku rozwiało by wprawdzie wszystkie jej wątpliwości, ale oboje doprowadziłoby do katastrofy.

□ **Czwartek, 18.44 - Wünstorf, Niemcy**

Trzask, który usłyszał Bob Herbert, nie był odgłosem wystrzału z pistoletu. Zdał sobie z tego sprawę natychmiast - wystrzelony pocisk rozsadziłby mu mózg, pozbawiając go zdolności usłyszenia czegokolwiek, nim dobiegłaby go fala dźwiękowa.

Prawie natychmiast zorientował się też, że dźwięk ten dobiegł z góry. Z drzewa z hukiem spadła gałąź. Wprawdzie niemiecki policjant odskoczył przed nią, ale nie zdążył już uchylić się przed dziewczyną, która w chwilę później zleciała mu na głowę. Oboje przewrócili się na ziemię, dziewczyna jednak znalazła się „na górze i pierwsza zdołała stanąć na nogach.

Policjant nie wypuścił z dłoni pistoletu, więc nadepnęła mu na nadgarstek i wyrwała broń.

- Masz! - Praktycznie wepchnęła ją siłą w rękę Herberta. Bob natychmiast wycelował w głowę Niemca, który posłusznie znieruchomiał.

Bob przyjrzał się wybawicielce. Stała obok niego, chwiejąc się lekko, najwyraźniej mocno szokowana.

- Jodie Thompson? - upewnił się.

Dwukrotnie, szybko, skinęła głową. Dyszała, niemal zachłystując się powietrzem. Serce pewnie wali jej ze strachu, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Biedactwo.

- Nazywam się Bob Herbert. Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych. Jestem pani bezgranicznie wdzięczny za to, co pani dla mnie zrobiła.

- Nie pierwszy... raz rzucam się na przystojnego... faceta - wydyszała Jodie. Bob uśmiechnął się. Musiała jechać na czystej adrenalinie, ze strachu i być może trochę z podniecenia nieoczekiwaną przygodą.

- Zakładam, że nie spadła pani z drzewa, bo się tam pani urodziła? - Nie. Szłam i zabłądziłam. Zasnęłam na gałęzi. Obudził mnie pan tymi krzykami. Od razu zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- Dzięki Bogu za to, że nie sypia pani twardo. A teraz chyba najlepiej będzie upewnić się, że nasz przyjaciel...

- Uwaga! - wrzasnęła dziewczyna.

Bob nie odwrócił się wprawdzie tyłem do jeńca, ale popełnił błąd patrząc na dziewczynę.

Niemiec poderwał się z ziemi, nim Amerykanin zdążył wystrzelić i rzucił się na broń. Wózek inwalidzki przewrócił się; dwaj mężczyźni rozpaczliwie walczyli o życie. Herbert stracił w tym

pojedyńku kontakt z pistoletem i zdecydował się wcale go nie szukać. Leżał na plecach, przykryty ciałem napastnika. W tej pozycji zdołał wyciągnąć spod prawego oparcia swego

„Miejskiego Rzeźnika”. Jodie doskoczyła do Niemca i zaczęła szarpać go za kurtkę, dając mu czas na ujęcie noża za specjalnie dostosowaną do dłoni rękojeść tak, że pięciocentymetrowe ostrze sterczało między wskazującym i środkowym palcem prawej pięści.

Policjant macał wokół wózka i samego Boba. Drapał ziemię paznokciami w poszukiwaniu pistoletu. Jodie wrzeszczała w niebogłosość, szarpiąc Niemca i w tym momencie Bob złapał go lewą ręką za włosy, unieruchomił mu głowę i zadał cios w miękką tkankę podbródka. Pociągnął ostrze w dół, przecinając zarówno żyłę, jak i tętnicę szczękową. Nóż utkwił wreszcie w mięśniach szyi.

Niemiec przestał szukać broni, choć nie przestał się ruszać. Najpierw próbował wyjąć nóż, ale przeciw sile lewej ręki Boba, ciągnącej głowę w dół, i prawej, pchającej nóż do góry, niewiele mógł zdziałać. Herbert nie zwolnił nacisku - przede wszystkim nie chciał, by przeciwnik zaczął krzyczeć, a poza tym wcale nie marzył o tym, by zdołał odwrócić się tak, że Jodie dostrzeże ranę.

Minęło zaledwie kilka sekund, a Niemiec już miał kłopoty z oddychaniem. Krew wypełniła mu usta i zaczęła ściekać po wargach. Próbował się odtoczyć, ale dwie mocne dłonie nie dopuściły i do tego. Patrzył na swego zabójcę wzrokiem, w którym był ból i niezmiernie zdumienie, a krew zmieniała w błoto ziemię dookoła. Słabo, jak dziecko, próbował go uderzyć, aż wreszcie, wreszcie, zwiotczał. I tym razem z całą pewnością nie miał

już wstać.

Bob rozkazał Jodie, by odeszła i odwróciła się.

- Jest pan pewien, że nic się nie stanie? - spytała dziewczyna słabym głosem.

- Jestem pewien - upewnił ją Bob.

Wstała, zatoczyła się lekko i oddaliła o kilka kroków. Bob przede wszystkim zepchnął z siebie Niemca, po czym odsunął się nieco i od wózka, i od martwego ciała. Następnie wytarł

nóż o kurtkę ofiary i schował go z powrotem do pochwy.

- W porządku, Jodie? - spytał. Dziewczyna skinęła głową.

- Nie żyje, prawda? - upewniła się.

- Tak, nie żyje. Przykro mi, ze względu na ciebie.

Jodie jeszcze raz skinęła głową, tym razem jakby z większym ożywieniem.

Herbert odczekał chwilę, a potem powiedział:

- Jeśli pomożesz mi sięść na wózek, to się stąd wyniesiemy. Pomogła mu bez słowa skargi.

- Panie Herbert... - powiedziała w pewnej chwili. - Mów mi Bob.

- Bob... czy wiesz coś o ludziach, którzy próbowali mnie zabić? Przywołał w pamięci opis satelitarnego zdjęcia okolicy.

- Sądzę, że są na północ od nas, nad jeziorem. - Jak daleko na północ?

- Kilka minut. - Sięgnął po telefon. - Zaraz poinformuję przełożonych, że cię odnalazłem.

Potem pojedziemy do Hamburga i odleciś do domu.

- Wołałabym nie.

- Dlaczego? Jesteś zmęczona? Ranna? Głodna? Wprawdzie nie mam jedzenia, ale...

- Nie, w ogóle nie o to chodzi. Tylko... kiedy siedziałam tak na drzewie, myślałam tylko o tym, jak bardzo ich nienawidzę.

- Ja również. Podobni do nich pozbawili mnie nóg i żony. Walczyli o sprawę, która dziś nie ma już najmniejszego sensu.

- I myślałam też, że może przeżyłam po coś.

- Oczywiście. Po to, żeby cało i zdrowo wrócić do domu, do rodziny. - Jeśli to prawda, to i tak do nich wrócę. Tyle, że nieco później. Przecież muszę coś zrobić.

- Doskonale. Kiedy wrócisz do Stanów, sprzedaj prawa filmowe do swojej przygody.

Mówię zupełnie poważnie. Niech ludzie wiedzą, co się dzieje w rzeczywistym świecie. Ale umowę podpisz pod warunkiem, że mnie zagra Tom Selleck. I musisz zachować pełną kontrolę nad filmem, pamiętaj. Inaczej wyjdzie z tego jakieś drętwe gówno.

- Studiowałam w szkole filmowej. Moment największego napięcia jeszcze przecież nie nadszedł.

Bob skrzywił się straszliwie.

- Co to za bzdury? - Prawą, wyprostowaną dłonią uczynił gest, jakby coś ścinał. -

Dziewczyna z Long Island pomaga agentowi rządowemu zabić neonazistowskiego niemieckiego policjanta. Wygląda mi to na moment cholernego napięcia.

- Ale nie ostatecznego. Jak ci się widzi coś takiego: „Amerykańska dziewczyna wbija dziadka w dumę walcząc z jego dawnymi nieprzyjaciółmi?”. Więcej treści, mniej sensacji.

- Masz źle w głowie - orzekł Bob i zabrał się za wybieranie numeru. - W Bejrucie mawialiśmy o

takich: dzielny, ale głupek.

- Czasami człowiek musi zrobić to, co po prostu musi zrobić. - Jodie podeszła do trupa policjanta, wyjęła mu z dłoni pistolet i wytarła go o nogawkę dzinsów.

- Odłóż go! - rozkazał jej stanowczo. - Nie chcemy, żeby przypadkiem wystrzelił, wzywając posiłki.

Jodie tymczasem przyjrzała mu się uważnie.

- Takich P-38 używaliśmy podczas kręcenia filmu - wyjaśniła. - Rekwizytor pokazał mi, jak strzelać.

- Brawo dla rekwizytora. I co, strzelałaś? Skinęła głową.

- Trafiłam w pień z dziesięciu metrów - pochwaliła się.

- Ślicznie. Ale powinnaś wiedzieć jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, trzymasz w dłoni P5, a nie P1, bo tak brzmi współczesna nazwa *Walthera P38*, którego używałaś. Oba strzelają nabojami 9x19 mm i są do siebie bardzo podobne. To po pierwsze. Po drugie i ważniejsze, pnie na ogół nie odpowiadają ogniem. Ludzie zaś, owszem.

Skończył wybierać numer. Czekał na połączenie, kiedy Jodie podeszła do niego cichutko, z zaciśniętymi ustami. Przycisnęła guzik wyłączający telefon.

- Hej! Won z tym paluchem - zdenerwował się Bob.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc, panie Herbert... Bob... ale teraz idę. - Nigdzie nie idziesz. W tym obozie siedzą pewnie setki uzbrojonych psychopatów. Nawet nie wiesz, do czego są zdolni!

- Mam wrażenie, że jednak wiem.

- Nie, nie wiesz! - Herbert niemal krzyczał. - Porwała cię Karin Doring! Wiesz, dlaczego nie zginęłaś od razu? Bo wyświadczyła ci przysługę, jak kobieta kobiecie!

- Wiem. Sama mi to wyjaśniła.

- Nie popełni tego błędu po raz drugi. - Bob zaczął się uspokajać. A szeregowi członkowie jej organizacji nie popełnią go nawet po raz pierwszy! Chryste, z pewnością nie zdołasz nawet przedostać się przez strażę. - Znajdę jakiś sposób. Potrafię zachowywać się cicho.

- No dobra, załóżmy, że wartownicy będą zieloni, albo udławią się własną śliną, albo jedno i drugie na raz. Co masz zamiar zrobić, kiedy znajdziesz się w obozie? Zabić Karin?

- Nie - odparła Jodie. - Nie chcę być jak ona. Chcę tylko, żeby mnie zobaczyła. Chcę, żeby zobaczyła mnie żywą i wcale nie przestraszoną. W tej przyczepie zostawiła mnie bez niczego. Odarła mnie z nadziei, z dumy... Muszę odzyskać jedno i drugie.

- Przecież odzyskałaś!

- To, co widzisz, nazywasz dumą? To nie jest żadna duma, tylko wstyd. Strach przed wstydem. Wstydzę się tego, że być może nie starczy mi odwagi, by stanąć z nią twarzą w twarz. Muszę odgryźć ucho katowi, który mnie torturował.

Bob kompletnie stracił wątek.

- Co, proszę? - spytał, zdezorientowany.

- Dziadek mi to kiedyś powiedział. Jeśli nie odgryzę ucha katowi, nigdy nie będę w stanie wejść do ciemnego pokoju albo w pustą uliczkę. Już zawsze będę się bała. Dziadek twierdził

także, że Hitler rządził, bo wzbudzał strach. Chcę, żeby ci ludzie zobaczyli teraz, że wcale mnie nie przestraszyli. A nie mogę im tego pokazać, jeśli nie wejdę do obozu.

Bob podjechał do dziewczyny.

- Coś w tym jest - przyznał - ale wypad do obozu niczego nie załatwi. Przeżyjesz jakieś dziesięć sekund chwały, a potem cię pochowają.

- Nie, jeśli mi pomożesz. - Jodie pochyliła się ku niemu. - Chcę się im pokazać, to wszystko - powtórzyła. - Jeśli teraz nie ucieknę, nie będę uciekać już nigdy, ale jeśli ucieknę, to tej suce się udało. Udało się jej zabić moją duszę!

Z tym Herbert nie mógł się już spierać. Gdyby był na miejscu Jodie, pragnąłby zrobić dokładnie to, co chciała zrobić ona... nie, więcej! Nie znaczyło to jednak, że ma zamiar poddać się jej decyzji.

- A jak niby ja mam żyć ze świadomością, że coś ci się stało? - spytał. - A poza tym, zastanów się. Nie wpadłaś w panikę. Walczyłaś, uratowałaś mi życie. Niczego już nie musisz udowadniać.

- Wręcz przeciwnie. Mój osobisty demon jest gdzieś tam, na wolności. Mam zamiar stawić mu czoła i nikt nie zdoła mnie przed tym powstrzymać. Z pewnością poruszam się szybciej niż ty.

- Niech cię nie zmyli wózek inwalidzki, pani Joyner-Kersee. Kiedy chcę, potrafię nim latać. - Bob usunął jej palec z telefonu i znów wystukał numer. - A poza tym, nie mogę przecież pozwolić im cię zabić, bo będziesz potrzebna jako świadek na procesie. Dzisiejszy ranek spędziłem w towarzystwie pewnego członka niemieckiego rządu. Wiceministra spraw zagranicznych Richarda Hausen. Pan minister jest niezwykle oddany idei zniszczenia neonazistów. Zemścij się w ten sposób.

- Jest oddany idei zniszczenia neonazistów - powtórzyła Jodie. A oni prawdopodobnie oddani są idei zniszczenia jego. Setki na jednego. Jak myślisz, kto wygra?

- Zależy, kim jest ten „jeden”. - No właśnie.

Bob spojrzął jej w oczy.

- Trafiłaś w dziesiątkę - przyznał. - Ale nadal nie pozwalam ci iść. Jodie skrzywiła się, wstała i odeszła.

- Jodie, uspokój się - syknął Herbert. - Wracaj natychmiast. Dziewczyna nawet nie pofatygowała się odpowiedzieć, potrząsnęła tylko głową, nie zwalniając kroku. Bob zaklął

pod nosem, wyłączył telefon i ruszył w pogoń. Podjeżdżał właśnie pod niewielkie wzniesienie wśród gęstej kępy drzew, jechał po gołej ziemi, kiedy za plecami usłyszał trzask gałązki. Zatrzymał się, chwilę nasłuchiwał, po czym zaklął znowu w duchu.

Ktoś nadchodził. Albo ich usłyszano, albo postanowiono sprawdzić, co stało się z policjantem. Zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia. Jodie wyprzedziła go o jakieś dwadzieścia metrów i oddalała się nadal. Nie mógł na nią krzyknąć, gdyż natychmiast zdradziłby swoje położenie. Mógł zrobić tylko jedno.

W lesie panowała niemal absolutna ciemność. Powoli, cicho, Herbert wprowadził wózek za jedno z drzew. Zatrzymał się i czekał, wytężając słuch.

Szło dwóch ludzi; wyraźnie słyszał ich kroki. Zatrzymały się mniej więcej tam, gdzie leżało ciało. Czy zrezygnują teraz, czy pójdą dalej?

Po krótkiej przerwy kroki znów zaczęły się zbliżać. Wyjął kij spod oparcia i czekał. Dobiegające z prawej kroki Jodie ucichły. Wściekał się, bo nie był w stanie w żaden sposób nakazać jej powrotu.

Oddychał powoli; wciągał powietrze aż do żołądka. Nauczył się tego podczas rehabilitacji, nazywano to „Brzuchem Buddy”. Podczas rehabilitacji nauczył się też, że męskość nie mierzy się tym, czy ma nogi tylko tym, czy potrafi działać...

Intruzi minęli go, niczego nie podejrzewając. Zaczekał aż odejdą kawałek, „szybko podjechał do tego, który szedł z tyłu, zamachnął się i z całej siły uderzył go w udo.

Mężczyzna skulił się i osunął na ziemię, a kiedy jego przyjaciel obrócił się, sięgając po pistolet maszynowy, dostał czubkiem kija w kolano. Padł głową w stronę napastnika i drugi cios wylądował na jego potylicy. Pierwszy trafiony jęczał, ale próbował wstać. Bob trafił

gościa w kark, pozbawiając go przytomności. Unieszkodliwiwszy obu, przyjrzał się im z szyderczym uśmiechem.

Słynna amerykańska lekkoatletka [przyp. red.].

Powiniennem ich zabić, pomyślał sięgając po nóż. Ale... zabójstwo z zimną krwią uczyniłoby go równie złym jak oni. Schował więc kij i zabierając pistolet maszynowy, czeskiego *Skorpiona*, pośpieszył za Jodie.

Jechał przez ciemny las najszybciej jak potrafił, choć zdawał sobie sprawę z tego, że Jodie odeszła najprawdopodobniej zbyt daleko, żeby zdążył ją dogonić. Zastanowił się, czy nie warto przypadkiem zadzwonić do Hausena z prośbą o pomoc, ale czy Hausen może komuś zaufać? Z tego, co mówił Paul, wynikało, że nawet jego osobisty sekretarz okazał się neonazistą. Policja odpadała także. Herbert zabił człowieka; prawdopodobnie aresztowano by go, nim zdecydowano by się pomóc Jodie. Zresztą, nawet gdyby wezwani policjanci okazali się uczciwi, jaki glina wmaszerowałaby do obozu uzbrojonych po zęby neonazistów w czasie Dni Naporu? Zwłaszcza takich, którzy z zimną krwią zmasakrowali ekipę filmową.

Tak, jak uczono go od początku jego kariery w wywiadzie, Bob Herbert spokojnie dokonał inwentaryzacji tego, co wiedział na pewno. Po pierwsze, jest w sytuacji, w której zdać się może wyłącznie na siebie. Po drugie jeśli Jodie dotrze do obozu neonazistów, nim on zdoła ją dogonić, zginie. Po trzecie, prawdopodobnie zdoła dotrzeć na miejsce przed nim.

Zaciskając zęby z bólu, o który przyprawiały go liczne choć drobne skaleczenia, zacisnął dłonie na kołach wózka i pojechał w ciemność.

□ Czwartek, 18:53 - Tuluza, Francja

Wpatrując się w jeden ze stojących przed nim monitorów, pułkownik Ballon snuł myśli niewiele różniące się od myśli przeciętnego Francuza a mianowicie, że nie lubi Amerykanów.

Miał dwie młodsze siostry, obie mieszkały w Quebecu. Obie aż nazbyt chętnie karmiły go historiami o prymitywnych, pewnych siebie, prostackich Amerykanach, których jest tak wielu i którzy są, do diabła, za blisko! Kontakty z turystami w Paryżu uświadomiły mu w czym problem. Amerykanie pragnęli po prostu być Francuzami! Pili, palili i ubierali się jak Francuzi. Udawali, że jak Francuzi są artystami, że są nonszalancy jak Francuzi. Nie umieli wyłącznie mówić jak Francuzi; nawet w Paryżu spodziewali się, że wszyscy znają angielski.

Były także inne sprawy. Ponieważ Napoleon poniósł straszliwą klęskę w kampanii rosyjskiej, wydawali się uważać, że francuscy żołnierze do pięt nie dorastają amerykańskim i należą im się w najlepszym razie z rzadka i z łaski rzucone kości z pańskiego stołu.

Ale przecież Waterloo i linia Maginota to tylko niechlubne wyjątki w skądinąd dumnej historii zwycięstw, myślał Ballon. I miał rację. Bez francuskiej pomocy dla Jerzego Waszyngtona nie byłoby dziś Stanów Zjednoczonych, choć Amerykanie za skarby świata by się do tego nie przyznali. I nie przyznaliby się do tego, że to bracia Lumiere, a nie Edison, wymyślili film. I że to bracia Montgolfier, a nie bracia Wright, nauczyli ludzi latać. Jedyne dobre w Amerykanach było to, że dzięki nim Francuzi nie musieli już nienawidzić wyłącznie Niemców.

Zapisał numer telefonu. Pułkownik przyglądał mu się przez chwilę. To pewnie on. Paul Hood.

Nie pragnął rozmawiać z monsieur Hoodem, ale za to pragnął dorwać Dominique'a, więc oczywiście nie miał wyboru. Błyskawicznie rozstrzygnąwszy swe problemy - jak rozstrzygał wszystkie problemy - Ballon równie błyskawicznie sięgnął po telefon.

- *Oui?*

- Pułkownik Ballon? - *Oui.*

Rozmówca nawet się nie zawahał.

- *Je suis Paul Hood. Vous avez besoin d'assistance?* Ballona straszliwie to zaskoczyło.

- *Oui* - odpowiedział. - *Vous parlez la langue?* - *Je parle en peu* - usłyszał w odpowiedzi.

Hood mówił po francusku. Odrobinę.

- A więc rozmawiajmy po angielsku -. zdecydował Ballon: - Nie mam zamiaru słuchać, jak morduje pan mój ojczysty język. Za bardzo go lubię. .

- Rozumiem. Sześć lat francuskiego w szkole średniej i na studiach nie czyni z człowieka lingwisty.

- Szkota nikogo nie czyni kimś. Kształtuje nas życie. Ale nie rozmawiamy o życiu.

Siedzenie w tym cholernym pokoiku to z pewnością nie życie, panie Hood. Chcę Dominique'a. Powiedziano mi, że dysponuje pan sprzętem, dzięki któremu go dostanę.

- Dysponuję.

Skąd pan dzwoni? - Z Hamburga.

- Doskonale. Może pan przylecieć jednym z tych Airbusów, które przyniosły fortunę staremu Dominique'owi. Jeśli się pan pośpieszy, możemy się spotkać za jakieś dwie godziny.

- Przyjedziemy jak najszybciej.

- Przyjedziemy? - Ballon czuł wręcz, jak odpływa z niego radość. Przyjedziemy z kim?

- Będzie ze mną wiceminister spraw zagranicznych Richard Hausen i dwójka współpracowników.

Jeszcze przed chwilą Ballon był człowiekiem szczęśliwym. Zmieniło się to błyskawicznie. Niemiec, oczywiście, pomyślał. I to w dodatku ten Niemiec. Bóg mnie nie kocha, chociaż obiecywał. Przecież obiecywał!

- Pułkownik Ballon, czy coś się stało?

- Stało. Nie będę siedział tu beczynnie przez dwie godziny. Mam co robić. Zaraz wszczynam wojnę z moim rządem o wpuszczenie do Francji z nieoficjalną wizytą niemieckiego polityka, któremu tylko rozgłos w głowie.

- Ja jestem o nim lepszego zdania - stwierdził Hood. - Szukanie rozgłosu może być bezinteresowne, jeśli pomaga w osiągnięciu szlachetnego celu.

- Niech mnie pan nie uczy bezinteresowności. On jest generałem, ja siedzę w okopach.

Ale - dodał Francuz szybko - ta dyskusja jest oczywiście bezprzedmiotowa. Ja potrzebuję pana, pan chce mieć tu jego, więc sprawa załatwiona. Zadzwoń w parę miejsc, a potem, o ósmej, spotkamy się na Aerodrome de Lasbordes.

- Jeszcze chwilę. Panie pułkowniku, zadał mi pan swoje pytania, a teraz ja pragnę zadać panu swoje.

- Oczywiście.

- Naszym zdaniem Dominique ma zamiar wykorzystać Internet do działań szerzących nienawiść,

nakłaniających do rozruchów i destabilizujących rządy.

- Pana współpracownik, generał Rodgers, wspomniał mi coś o tym. - Doskonale. Czy wspomniał panu coś o tym, że chcemy go powstrzymać, nie straszyć?

- Nie wspominał. Dał do zrozumienia. Moim jednak zdaniem Dominique jest terrorystą.

Jeśli pomoże mi pan udowodnić, że mam rację, wejść do jego firmy i aresztuję go.

- Mówiono mi, że w przeszłości udawało mu się uniknąć aresztowania. - Udawało -

przyznał Ballon. - Ja jednak nie mam zamiaru wyłącznie go aresztować. Pozwoli pan, że przedstawię mu, jak wygląda sytuacja, co, jak sądzę, zastąpi odpowiedzi na wszystkie pańskie pytania. My, Francuzi, udzielamy ogromnego poparcia naszym prywatnym przedsiębiorcom.

Prosperowali mimo trudności, jakie przeżywała nasza gospodarka. Prosperowali mimo kajdanów, jakie nałożył na nich rząd. Przyznaję także, choć ze wstydem, że bardzo wielu Francuzów aprobuje działania Nowych Jakobinów. Nikt tu nie lubi imigrantów, a Nowi Jakobini atakują ich jak stado psów. Gdyby ludzie wiedzieli, że za tymi atakami stoi Dominique, byłby on dla nich jeszcze większym bohaterem. - Mówiąc te słowa Ballon z napięciem wpatrywał się w monitor. Oczami wyobraźni widział Dominique'a, siedzącego w gabinecie, dumnego i zadowolonego z siebie. - Francuzi to ludzie rządzący się emocjami -

mówił dalej - większość z nas wierzy w harmonię. W zaleczanie ran. We wzajemną zgodę.

Dla was, Amerykanów, oznacza to wywieszenie białej flagi, ja jednak nazywam to inaczej.

Nazywam to cywilizacją. A Dominique nie jest cywilizowany. Dominique gwałci prawo francuskie i prawa boskie. Jak ojciec, ma diamentowe sumienie - nic go nie drażni. Moim celem jest sprawić, by odpowiedział za swe zbrodnie.

- Jak pan, wierzę w krucjaty moralne - powiedział Hood - i pana krucjatę poprę za pomocą wszystkich środków, jakimi dysponuje moja organizacja, ale nadal nie wiem, jaki jest cel tej krucjaty.

- Celem tej krucjaty jest Paryż - stwierdził po prostu Ballon. - Słucham?

- Mam zamiar aresztować Dominique'a, skonfiskować jego papiery i programy komputerowe, po czym rzucić służbę w żandarmerii. Prawnicy dopilnują już, by Dominique nigdy nie stanął przed sądem, ale podczas gdy będą się układali, ja pójdę do prasy z katalogiem jego zbrodni. Morderstw i gwałtów, które popełnił bądź kazał popełnić, podatków, których nie zapłacił, firm, które zrujnował, i funduszy, które sprzeniewierzył. Jako pracownik w służbie rządu nie mógłbym tego zrobić.

- Bardzo dramatyczny gest, lecz jeśli prawo francuskie w czymkolwiek przypomina prawo amerykańskie, zostanie pan oskarżony, aresztowany i postawiony przed sądem.

- Oczywiście, lecz mój proces będzie procesem Dominique'a. Kiedy się skończy, on także będzie

skończony. Skompromitowany.

- Pan również.

- W moim zawodzie, owszem. Ale są inne zawody. Potrafię uczciwie urobić na życie.

- Czy pańscy koledzy mają podobne odczucia?

- Nie wszyscy - przyznał Ballon. - Ale wszyscy będą działać w ramach... jak brzmi to słowo... ograniczeń?

- Ograniczeń - podpowiedział Hood.

- O! Słusznie. Będą działali w ramach ograniczeń misji. I pana też nie proszę o nic więcej.

Jeśli i pan pomoże udowodnić światu, czym rzeczywiście zajmuje się Demain, jeśli da mi pan powód, bym wydał rozkaz ataku, Dominique jest skończony. I może to nastąpić dziś.

- To mi wystarczy. Tak czy inaczej, przyjeżdżamy - powiedział Hood i dodał jeszcze: -

Merci.

Ballon podziękował mu szorstko, przerwał rozmowę i tylko siedział w fotelu ze słuchawką w garści. Palec położył na widelkach.

- Dobre wieści? - zainteresował się sierżant *Ste. Marie*.

- Bardzo dobre wieści - odparł pułkownik bez entuzjazmu. - Mamy pomoc. Niestety, pomocy tej udzielają nam Amerykanie. I jeden Niemiec. Richard Hausen.

Sierżant tylko jęknął.

- No to możemy iść do domu - stwierdził. - Hun załatwi przecież Dominique'a jedną ręką.

- Zobaczymy. Zobaczymy, na co stać fiutka, kiedy w pobliżu nie ma żadnego podziwiającego go dziennikarza.

I Ballon, czując, jak szok powoli ustępuje wściekłości - Amerykanie i Niemiec! -

zadzwoił do starego przyjaciela z CDT, *Comite Departamental de Tourisme*, by sprawdzić, czy nie mogliby po prostu przymknąć oko, kiedy samolot wyląduje. Jeśli nie, będzie musiał

rozpocząć walkę na śmierć i życie. Walkę z drapieżnikami z Paryża.

□ **Czwartek, 18.59 - Hamburg, Niemcy**

Kiedy Paul Hood pomagał Mattowi Stollowi zbierać ekwipunek, fang dzwonił przez telefon komórkowy na lotnisko pod Hamburgiem, polecając przygotować do startu odrzutowiec swojej firmy. Matt Stoll zapiął plecak, sprawiając wrażenie wyraźnie zaniepokojonego.

- Być może umknęło mi to i owo z twojej rozmowy z *Herr* Langiem - powiedział - ale proszę, wyjaśnij mi, dlaczego właściwie lecę do Francji.

- Masz prześwietlić siedzibę Demain pod Tulużą.

- To rozumiem. Ale do środka wkroczą przygotowani ludzie? Profesjoniści?

Hood spojrzał na Hausena. Niemiec stał w drzwiach między gabinetem i recepcją, rozmawiając przez telefon. Załatwiał właśnie sprawy formalne związane z przelotem i lądowaniem *Ixarjeta 36A* Langa. Samolot mieścił dwie osoby załogi, sześciu pasażerów i mógł przelecieć bez międzylądowania pięć tysięcy kilometrów. Biorąc pod uwagę średnią prędkość przelotu - sześćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę - z pewnością dotrą na miejsce o czasie.

- Załatwione! - zgodził się Lang, zakończył rozmowę i spojrzał na zegarek. - Samolot będzie gotów na siódmą trzydzieści - oznajmił.

Hood nie spuszczał oka z Hausena. Przez głowę właśnie przeleciała mu myśl, jednocześnie irytująca i mrożąca krew w żyłach. Hausena zdradził jego własny doradca. A co, jeśli w biurze założono podsłuch? Odciągnął Matta na bok.

- Słuchaj, chyba mam sklerozę. Ten chłopak pracujący dla niego... Reiner. Mógł tu coś zostawić.

Stoll skinął głową.

- Masz na myśli coś takiego? - spytał. Sięgnął do kieszeni koszuli, wyjmując z niej zwinięty kawałek celofanu. W środku znajdował się mały owalny przedmiot, niewiele większy od łebka szpilki. - Wyczyściłem pokój, kiedy wyszedłeś. Zapomniałem ci o tym powiedzieć, bo pojawiła się gra i w ogóle zrobiło się gorąco.

Paul westchnął. Ścisnął go za ramię.

- Niech cię Bóg błogosławi, Matt - powiedział. - Czy oznacza to, że nie muszę jechać?

Hood tylko pokręcił głową.

- Domyślałem się, ale co szkodziło zapytać? - Stoll był niepokojony.

Odszedł. Paul, nadal wściekły na siebie za tak poważne przeoczenie, obrócił się ku Nancy, która

akurat przechodziła obok. Czekala ich niebezpieczna misja - za spapranie czegoś takiego mogli zapłacić niepowodzeniem misji, zniszczeniem kariery, a nawet życiem.

Skup się na pracy, upomniał sam siebie. Nie daj się zbić z tropu ani Nancy, ani głupim przypuszczeniom.

- Coś się stało? - spytała go dziewczyna. - Nie, nic - odparł.

- Pamiętam ten wyraz twarzy. Stoisz tu i w myślach karcisz się za coś.

Paul rozejrzał się dookoła, pragnąc upewnić się, że Matt ich nie obserwuje.

- Wszystko w porządku - upewniła go Nancy.

- Co w porządku? - odpowiedział pytaniem. Zaczynało brakować mu cierpliwości.

Bardzo pragnął już się stąd wydostać, jakoś się od niej oddalić.

- Jesteś tylko człowiekiem. To w porządku, że od czasu do czasu popełniasz pomyłki, albo pragniesz czegoś, co nie należy do ciebie. Albo że pragniesz czegoś, co do ciebie należy.

Paul poszukał wzrokiem Hausena - robił to tylko dlatego, by nie sprawić wrażenia, że ucieka od Nancy. Ale... w rzeczywistości przecież od niej uciekał. I ona najwyraźniej zdawała sobie sprawę, bo zastąpiła mu drogę.

- Boże, Paul, dlaczego tak strasznie się męczysz? Tylko po to, żeby być doskonałym?

- Słuchaj, to nie czas ani miejsce...

- Tak? A myślisz, że będzie lepszy czas, lepsze miejsce? - Nie - odparł po prostu.

- Więc przez chwilę zapomnij o mnie. Spójrz na siebie. Kiedy byliśmy młodszy, pracowałeś ciężko tylko po to, żeby wyrwać się przed stawkę. Teraz jesteś przed stawką i nadal się szarpiesz. Dlaczego? Dla kogo? Chcesz być przykładem dla dzieci, dla podwładnych?

- Nie. - Hood był już mocno zirytowany. Dlaczego wszyscy zawsze czepiają się jego pracy, jego zasad? - Próbuję tylko robić to, co uważam za słuszne. I w życiu osobistym, i w pracy chcę robić po prostu to, co jest słuszne. Jeśli wszystkim innym ludziom na świecie wydaje się to zbyt proste, zbyt nieokreślone, to już ich problem, nie mój.

- Możemy ruszać - powiedział w tym momencie Hausen, chowając telefon do kieszeni marynarki. Podszedł do nich szybkim krokiem, najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie. Z

pewnością nie zdawał sobie sprawy, że coś przerywa. - Dostaliśmy pozwolenie na natychmiastowy start. Martin - zwrócił się do Langa - wszystko załatwiłeś?

- Samolot jest twój. Ja nie lecę. Tylko płatałbym się wam pod nogami.

- Rozumiem - stwierdził Hausen. - No to lepiej się zbierajmy. Stoll z wysiłkiem założył

na ramiona plecak z *T-Birdem*.

- Pewnie - powiedział ponurym głosem - lepiej się zbierajmy. Po co wracać do hotelu, w którym mógłbym zamówić sobie gorącą kolacyjkę i zjeść ją w gorącej kąpieli? Lepiej pchać się do Francji i walczyć z terrorystami.

Hausen gestem wskazał im drzwi. Widać było, że się niecierpliwi jak ktoś, kto pragnie wyprawić z domu gości po bardzo późnej kolacji. Paul nie widział go jeszcze aż tak ożywionego. Czyżby, pomyślał, kapitan Ahab poczuł wreszcie bliskość wieloryba, czy może, jak sądził Ballon, to reakcja polityka, heroicznym czynem mogącego zdobyć sobie wielkie poparcie i popularność prasy?

Wziął Nancy za rękę i pociągnął ją w kierunku wyjścia. Oparła mu się, zatrzymała i odwróciła. W niczym nie przypominała już tej pewnej siebie kobiety, która podeszła do niego w parku. Samotna, smutna, opuszczona i wymagająca opieki, wydała mu się bardzo pociągająca.

Wiedział, co myśli. Nancy myślała o tym, że powinna ich powstrzymać, a nie aktywnie pomagać im w zniszczeniu tego, co pozostało z jej życia. Patrząc na nią, przez chwilę miał

nawet ochotę skłamać, powiedzieć to, co chciałyby usłyszeć: że może spróbować od nowa.

Miał przecież za zadanie chronić swój kraj i potrzebował do tego jej pomocy.

A kiedy raz jej skłamiesz, pomyślał, będziesz w stanie okłamać Mike'a i innych, Kongres; nawet Sharon.

- Nancy, mamy robotę do zrobienia - powiedział tylko. - Obiecałem, że ci pomogę i dotrzymam obietnicy.

Miał jeszcze zamiar po raz kolejny przypomnieć jej, kto odszedł od kogo, ale w końcu zrezygnował, bo i jaki miałyby to cel? Kobiety nie myślą logicznie, a już zwłaszcza konsekwentnie.

- To mój problem, nie twój - powiedziała nagle Nancy, jakby odczytała jego myśli i zapragnęła udowodnić mu, jak bardzo się myli. - Powiedziałeś, że będzie ci potrzebna moja pomoc. Doskonale. Drugi raz już cię nie porzucę.

Odrzucając włosy tym gestem, który zwrócił na nią jego uwagę w hotelu, Nancy ruszyła w kierunku Hausena. Długie jasne włosy odsłoniły skroń i policzki; było tak, jakby ten jeden ruch zwyciężył wszystkie jej wątpliwości, cały gniew.

□ Czwartek, 13.40 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Kiedy był jeszcze małym chłopcem mieszkającym w Houston w Teksasie, Darrell McCaskey wystrugał sobie z drzewa balsa *Smith & Wessona* i nosił go za paskiem spodni zawsze, w każdej sytuacji; czytał, że tak postępują prawdziwi agenci FBI. Do lufy przyczepił

okrągłą muszkę, wyposażył broń w szczerbinę i do niej umocował gumkę. Zaczepił ją o kurek i kiedy naciskał spust, mógł strzelać kawałkami kartonu jak prawdziwymi kulami.

Trzymał te „kule” w kieszonce koszuli, na piersiach, łatwo je było wyciągnąć, no i były, oczywiście, całkiem bezpieczne.

Zaczął nosić przy sobie broń w szóstej klasie. Trzymał ją, ukrytą pod zapiętą na wszystkie guziki koszulą. Przez to chodził sztywnym krokiem Johna Wayne'a i inne dzieciaki się z niego śmiały, ale małego Darrella nic to nie obchodziło. Jego koledzy nie rozumieli po prostu, że przestrzeganie prawa to obowiązek wszystkich, a nie praca niektórych. Poza tym Darrell był niewysoki, zaś hippisi i inne obdartusy bez przerwy urządzały strajki i okupacje, więc lepiej było mieć przy sobie coś do obrony.

McCaskey strzelił do pierwszego nauczyciela, który próbował go rozbroić. Potem napisał

wypracowanie, do którego przygotowywał się bardzo dokładnie, studiując konstytucję.

Dotyczyło ono prawa do posiadania broni i dzięki niemu pozwolono mu zatrzymać *Smith & Wessona* pod warunkiem, że będzie go używał wyłącznie do samoobrony przed radykałami.

Jako świeżo upieczony agent FBI, Darrell McCaskey lubił - więcej, uwielbiał - zasadzki i prowadzenie śledztwa bezpośrednio w terenie. Polubił je jeszcze bardziej, kiedy został

zastępcą specjalnego agenta, bo dawało mu to większą autonomię. Kiedy awansował na specjalnego agenta, a potem specjalnego agenta nadzorującego, zaczął się martwić, bo mniej czasu spędzał teraz na ulicy.

Kiedy zaproponowano mu stanowisko szefa biura w Dallas, przyjął awans przede wszystkim z powodu żony i trójki dzieci. Zarabiał znacznie lepiej, praca była bezpieczniejsza i mógł częściej widywać się z rodziną. Siedząc za biurkiem i koordynując pracę innych, na nowo uświadomił sobie jednak, jak bardzo brak mu zasadzek i świeżego miejskiego powietrza. Dwa lata współpracy z władzami policyjnymi Meksyku podsunęły mu pomysł

nawiązania oficjalnych sojuszy z zagranicznymi siłami prawa i porządku. Dyrektor FBI zaaprobował pomysł wstępnego opracowania Federalnego Układu o Współpracy Międzynarodowej, znanego jako FIAT.

Błyskawicznie zaaprobowany przez Kongres i jedenaście zagranicznych rządów, FIAT

umożliwił McCaskeyowi pracę w Mexico City, Londynie, Tel-Awiiwie i paru innych światowych stolicach. Przeniósł się z rodziną do Waszyngtonu, znacznie szybciej, niż odbyłoby się to normalnie, awansował na zastępcę dyrektora wydziału i był jedynym człowiekiem, którego Paul Hood poprosił o pełnienie funkcji łącznika Centrum z innymi agencjami wywiadowczymi. Obiecano mu (i dano) względną samodzielność, mógł blisko

Federal International Alliance Treaty [przyp. red].

współpracować z CIA, Tajną Służbą, przyjaciółmi z dawnych czasów z FBI i mnóstwem zagranicznych wywiadów i policji.

Nadal był jednak przywiązany do biurka. Dzięki światłowodom i komputerom nie musiał

też wychodzić z za niego tak często, jak wtedy, kiedy uruchamiał FIAT-a. Dzięki dyskietkom i poczcie elektronicznej nie musiał chodzić do sali ksero, nie musiał nawet wychylać się ze swego gabinetu! Żałował, że minęły czasy jego bohaterów z dzieciństwa, agenta FBI Melvina Purvisa i agenta Urzędu Skarbowego Eliota Nessa. Niemal czuł smak przygody, jaką było ściganie Kelly'ego Rozpylacza po całym Środkowym Zachodzie, lub tropienie bandytów Al Capone'a po chwiejnych schodkach melin i ciemnych, dachach domów w zaułkach Chicago.

Nacisnął kilka przycisków w telefonie. Zamiast ścigać bandytów, uruchamiam kod łączący z NBR, pomyślał. Wiedział, że nic w tym wstydliwego, choć nie wydawało mu się prawdopodobne, by jego dzieciaki, zainspirowane przykładem ojca, zaczęły wystrugiwać z drewna... telefony.

Bez zwłoki połączono go ze Stephenem Viensem. NBR właśnie odbierała satelitarne zdjęcia siedziby Demain w Tuluzie, ale same satelitarne zdjęcia to za mało. Mike Rodgers poinformował go, że Ballon i jego ludzie będą być może musieli wkroczyć do środka, a jeśli tak, to nie powinni poruszać się na ślepo. Poza tym, niezależnie od tego co Rodgers nagadał

Francuzowi, nikt z zespołu technicznego Matta Stopa nie wiedział, do jakiego stopnia ta nowa aparatura będzie w stanie prześwietlić Demain i ile im powie o układzie pomieszczeń oraz rozmieszczeniu sił przeciwnika.

Viens używał satelity do odbioru sygnałów fonicznych, podsłuchując wychodzące z Demain rozmowy. Satelita ten „czytał” ściany budynku na tej samej zasadzie, na jakiej laser czyta płytę CD, tylko że zamiast wyłobień CD rozpoznawał i interpretował wibracje.

Czystość odbioru zależała od składu i grubości ścian. Mając do czynienia na przykład z metalem, przenoszącym drgania ze znacznie większą wiernością niż porowata cegła, komputer mógł odczytać treść prowadzonej w środku rozmowy. Potrójne okna sprawiały mu jednak kłopot, zewnętrzna szyba nie wpadała w drgania, a przynajmniej nie na tyle, by dało się coś z tego odczytać.

- Budynek jest z czerwonej cegły - powiedział Viens i w jego głosie łatwo dało się odczytać

rozczarowanie.

McCaskey smutno zwiesił głowę.

- Właśnie miałem dzwonić do ciebie z tą informacją, ale przedtem chciałem się jeszcze upewnić, że niczego nie uzyskamy - mówił dalej szef NBR. - W środku mają nowocześniejsze materiały, prawdopodobnie płyty kartonowo-gipsowe na stelażu z aluminium, ale cegła tłumi wszystko, co inaczej mogłoby wychodzić na zewnątrz.

- A samochody?

- Brak nam wystarczająco czystych zdjęć samochodów. Za dużo w okolicy drzew, pagórków i rozjazdów autostrad.

- No to nas załatwili.

- Generalnie rzecz biorąc, owszem.

McCaskey czuł się teraz tak, jak czułby się dowódca najnowocześniejszego niszczyciela stojącego w suchym doku. Zarówno on sam, jak i Paul oraz Mike, bezustannie podkreślali konieczność posiadania na miejscu ludzkich źródeł informacji i oto trafili na klasyczny przykład braku tychże. „Miliardy utopione w sprzeczce, a brak nam Maty Hari” - powiedział

kiedyś Herbert. Miał rację.

Podziękował Viensowi i zakończył rozmowę. Jakże chciałby być teraz w terenie, jakże chciałby być tym agentem, szpiegiem, od którego zależałoby powodzenie całej operacji.

Zazdrościł Mattowi Stollowi, trzymającemu w garści wszystkie źródła informacji. Najgorsze, że Matt prawdopodobnie wcale nie doceniał sytuacji, w której się znalazł. Zapewne rzeczywiście był geniuszem komputerowym, ale nie najlepiej funkcjonował pod presją.

McCaskey wrócił do komputera, zapisał fotografie i natychmiast uruchomił pentagoński STTSIM, symulację sytuacyjną, dla ELTS - Europejskiego Terytorialnego Uderzenia Taktycznego. Polityczne skutki zniszczenia gospodarek narodowych wydawały się ciężkie i bardzo dalekosiężne. Podobnie z taktyką Stanów Zjednoczonych głoszącą, że należy oszczędzać zabytki kultury, nawet gdyby oznaczało to zwiększenie strat. W przypadku siedziby Demain dopuszczalne „strat”, jak to eufemistycznie określano, wyglądały następująco: pojedyncza seria uszkodzająca strukturę lub inne niewielkie uszkodzenia umożliwiające natychmiastową rekonstrukcję. Innymi słowy, gdyby nieostrożnie trafił serią w mur, niefortunny strzelec znalazłby się w niezłych tarapatach. A gdyby chlusnęła na nią twa krew, to lepiej dla ciebie, żebyś przeprosił i miał pod ręką wiadro wody i szczotkę.

W jednej z francuskich baz danych McCaskey znalazł dokładne plany fortecy, którą być może przyjdzie im zdobywać. Okazały się one bezwartościowe, ponieważ ukazywały stan na rok tysiąc siedemset siedemdziesiąty siódmy, gdy znajdujący się w najbliższym sąsiedztwie most Vieux Pont

był dopiero w budowie. Dominique z pewnością dokonał pewnych zmian we własnym zakresie, a jeśli otrzymał na to jakieś pozwolenie, to w papierach nie było o nim nawet wzmianki. Być może dostarczył wymagane plany, ale jeśli tak, to nikt o tym nie widział. Ten Dominique najwyraźniej smarował wiele dłoni i to przez wiele, wiele lat.

McCaskey jeszcze raz sprawdził zdjęcia NBR, ale nie powiedziały mu one niczego.

Zazdrościł Stollowi, musiał jednak przyznać, że miał się on czego obawiać. Nawet z pomocą Ballona Dominique będzie miał nad nimi sporą przewagę ognia, gdyby sytuacja zrobiła się poważna. Narzucono im też za wiele ograniczeń. Akta Nowych Jakobinów były co najmniej skromne, niemniej zawarte w nich informacje o szczegółach metod używanych przy zastraszaniu lub mordowaniu ofiar i o torturach stosowanych celem zdobycia informacji wręcz mroziły. Jeśli zdecydują się na wejście, będzie musiał przekazać te dane Hoodowi. I będzie musiał mu jeszcze powiedzieć, że nawet Melvin Purvis i Eliot Ness przemyśleliby sobie wszystko kilkakrotnie przed podjęciem decyzji.

Nie mamy czasu na przetransportowanie Iglicy na pozycje, pomyślał McCaskey, a jedyny taktyk jakiego mamy w okolicy, Bob Herbert, ani się odezwie.

Przycisnął guzik łączący go z Mike'em Rodgersem. Musi przekazać mu wszystkie złe wiadomości dotyczące fortecy Dominique'a. Powinni też zastanowić się wspólnie, jakie działania podjąć, by nie dopuścić do rzezi ich odważnego, lecz jakże niedoświadczonego oddziału, jedyne, którym dysponowali w terenie.

□ Czwartek, 20.17 - Wünstorf, Niemcy

Podczas rehabilitacji Bob Herbert przeszedł przez dwie fazy emocjonalne.

Najpierw był święcie przekonany, że kalectwo go nie pokona. Zadziwi lekarzy, będzie chodził. Potem, gdy wyszedł ze szpitala i fizykoterapia ruszyła pełną parą, nabrał

przekonania, że już nigdy nie będzie w stanie zrobić niczego.

Pracował nad zwiększeniem siły ramion, mięśni lędźwiowych i mięśni brzucha. Bolało tak, jakby sam szatan dźgał mu je widłami. Jedyne, czego naprawdę wówczas pragnął to poddać się, uciec, zaszyć w domu, żyć z rządowej renty inwalidzkiej, oglądać telewizję i nie ruszać się nawet na podwórko. Dwie święte pielęgniarki sposobem, a jak trzeba było to i siłą, przeprowadziły go jednak przez rehabilitację. Jedna z nich, rezygnując na moment ze świętości, przekonała go także, że może mieć normalne, w pełni satysfakcjonujące życie seksualne. Nabrawszy tej pewności Bob nie miał już zamiaru rezygnować z czegokolwiek i kiedykolwiek.

Aż do dziś.

Ponieważ nie pragnął zawiadomić zgromadzonych w obozie ludzi o tym, że nadchodzi, nie mógł użyć niewielkich, lecz potężnych świateł, które wbudował mu w wózek elektryk Centrum, Finar Kinlock. Grunt był nierówny i trudny. Czasami opadał gwałtownie, a miejscami był tak stromy, że nie sposób było nim zjechać. W ciemności wózek bezustannie plątał mu się w jakieś krzaki. Musiał wypychać go z nich tak mocno, że dwukrotnie lądował

na ziemi. Stawianie wózka i wspinanie się doń było najcięższą pracą, jaką przyszło mu wykonać w życiu; za drugim razem niemal zabrakło mu już sił. Kiedy wreszcie usiadł na skórzanym siedzeniu, koszulę miał przemoczoną od zimnego potu i był tak zmęczony, że aż drżał. Nie pragnął niczego oprócz możliwości wezwania pomocy. Musiał raz za razem przekonywać samego siebie, że nie wolno mu zaufać nikomu. Strach przed zdradą kojarzył

mu się z dawnymi, hitlerowskimi Niemcami bardziej niż wszystko, co przeżył dotąd.

Przez całą drogę wpatrywał się w stary, fosforyzujący kompas, a mimo to po przeszło godzinie drogi zobaczył światła o dobre dwieście metrów na południowy zachód od miejsca, w którym się zatrzymał. Bardzo uważnie śledził wzrokiem drogę samochodu. Jechał powoli po gruntowej drodze, o której wspomniał Alberto. Choć światła stopu miał słabe, Bob dostrzegł w oddali ich błysk. Zaświeciło światło w kabinie, otworzyły się drzwi, ciemne sylwetki oddaliły się od pojazdu, po czym znów zapadła ciemność i cisza.

Najwyraźniej trafił tu, gdzie powinien był trafić.

Bob Herbert ruszył lasem w stronę, w którą pojechał samochód. Nie mógł skorzystać z drogi, nie

niał pewności, czy nie pojawi się na niej ktoś jeszcze. Ramiona niemal odmówiły mu posłuszeństwa. Miał tylko wdziękę, że Jodie nie weźmie go za niemieckiego nazistę i nie skoczy na niego z drzewa.

Kiedy dotarł wreszcie do samochodu, zwolnił. Do tej pory trzymał *Skorpiona* na kolanach, teraz ukrył broń pod nogą, choć w razie potrzeby nadal mógł jej szybko użyć.

Kiedy wystarczająco zbliżył się już do obozu, dostrzegł wierzchołki namiotów, a za nimi wzbijający się w górę dym z ognisk. Widział także stojących pomiędzy namiotami młodych mężczyzn, spoglądających w kierunku ognisk. Wreszcie zauważył również tłum dwustu do trzystu osób, zwróconych w stronę mężczyzny i kobiety, stojących na kawałku wolnego miejsca nad brzegiem jeziora.

Przemawiał mężczyzna. Herbert schował się za drzewem. Słuchał go, zafascynowany; rozumiał prawie wszystko.

- ...dzisiejszy dzień kończy czas walki o różne cele. Od dziś na zawsze nasze grupy będą pracować razem, zjednoczone wspólnym celem i nazwą: *Das National Feuer!*

Mężczyzna wykrzyknął tę nazwę nie tylko dla efektu, lecz po prostu po to, by go usłyszano. Tłum ryknął, a Herbert poczuł, jak nagle wraca **mu** siła, a wraz z nią pojawia się także gniew. Ci ludzie wrzeszczeli i wymachiwali rękami, jakby ich drużyna zdobyła właśnie puchar świata. Nie zaskoczyło go nawet, że darowali sobie hitlerowskie pozdrowienie, że nie krzyczeli: *Sieg Heil!* Bo choć niewątpliwie wyczekiwali zwycięstwa i oczyszczenia, choć nie brakło między nimi łotrów i zabójców, nie byli to *Partaigenose* Adolfa Hitlera. Nie, ci tu wydawali się znacznie niebezpieczniejsi, ponieważ najwyraźniej wiele nauczyli się na błędach poprzedników. Mimo to niemal każdy z nich trzymał coś we wzniesionej dłoni: sztylet, medal, choćby parę butów - najprawdopodobniej pamiątki ukradzione z planu filmowego. Na tym nowym *Partaitagu* Adolf Hitler był więc jednak reprezentowany.

Kiedy owacje wreszcie mocno przycichły, Bob usłyszał za plecami cichy głos.

-, Czekałam na ciebie.

Odwrócił się i zobaczył Jodie. Wydawała się zdenerwowana.

- Powinnaś zaczekać na mnie tam - wyszeptał, wskazując za plecy. - Przydałaby mi się pomoc. - Wziął ją za rękę. - Jodie, proszę, wracajmy. Bardzo cię proszę. Przecież to szaleństwo.

Dziewczyna łagodnie wyswobodziła się z jego uścisku.

- Boję się, to prawda - przyznała. - Ale też lepiej niż przedtem **wiem**, że muszę zwalczyć strach.

- Boisz się, lecz także cierpisz na obsesję, której obiekt zaczął już żyć własnym życiem.

Uwierz mi, Jodie, pójść tam teraz, do nich... to wcale nie jest takie ważne, jak ci się wydaje.

Zamilkł, bo i tak zagłuszyły go wrzeszczące głośniki. Wolałby nie słyszeć tych słów; mężczyzna mówił jednak czysto, donośnie i na dobrą sprawę wcale nie potrzebował

mikrofonu. Bob pociągnął Jodie, ale dziewczyna nie zamierzała ruszyć się z miejsca.

- Stojąca obok mnie kobieta - niosło się po lesie - współprzywódczyni naszego ruchu, Karin Doring... .

I znów rozległy się entuzjastyczne okrzyki. Mężczyzna przerwał. Kobieta pochyliła głowę, lecz nie odezwała się ani słowem.

- Karin wysłała emisariuszy do Hanoweru - mówca odezwał się natychmiast, gdy przycichła owacja.
- Za kilka minut wszyscy pojedziemy do miasta, do naszej piwiarni, gdzie ogłosimy światu fakt zjednoczenia. Zaprosimy braci, by przyłączyli się do naszego ruchu.

Wspólnie pokażemy cywilizowanemu światu jego przyszłość. Przyszłość, w której nagradzana będzie zaradność i ciężka praca...

Owacja: - ...w której zdegenerowana kultura i bezwartościowe jednostki oddzielone zostaną od zdrowego pnia społeczeństwa...

Owacja. Hałaśliwa i tym razem bynajmniej nie cichnąca.

- ...w której oczy świata skupione będą na naszych sztandarach i naszych osiągnięciach.

Hałas był już niemal nie do zniesienia. Herbert wykorzystał go, krzycząc do Jodie.

- Chodź! - Szarpnął ją za rękę. - Ci ludzie rzucą się na ciebie jak stado wściekłych psów.

Dziewczyna spojrzała w ich kierunku. W ciemności Bob nie widział wyrazu jej twarzy. Z

trudem opanował ochotę, by przerzucić ją przez kolano i odjechać jak najszybciej się da.

- Jeśli władze wypuszczą na nas w Hanowerze swe psy - pozwólmy im na to. Pozwólmy im Ja sam, osobiście, przez przeszło rok prześladowany byłem przez *Hauptmanna* Rosenlochera z hamburskiej policji. Był przy mnie, kiedy przekroczyłem nakazaną prędkość.

Był przy mnie, kiedy zbyt głośno puściłem muzykę. Był przy mnie, kiedy spotykałem się z przyjaciółmi. Ale nigdy, nigdy mnie nie pokonał. Niech atakują wszystkich nas razem i każdego z osobna. Zobaczą, że nasz ruch jest dobrze zorganizowany, a nasza wola jest silniejsza od ich woli.

Jodie nadal przyglądała się zebranym.

- Nie chcę umrzeć - powiedziała nagle. - Ale nie chcę też żyć żałośnie, pokonana.

- Słuchaj, przecież nie...

Dziewczyna wyrwała mu się. Nawet nie próbował znów jej złapać. Pojechał za nią, przeklinając upór, przez który nie założył w wózku silnika. Potem zaczął przeklinać dziewczynę, chociaż rozumiał ją i nawet czuł dla niej szacunek, mimo iż była całkowicie głucha na wszelkie rozsądne argumenty.

Podobnie jak on.

Tymczasem owacja przycichła nieco i Herbert miał wrażenie, że kroki Jodie słyszeć całkiem wyraźnie. Zresztą usłyszał je chyba także stojący najbliżej nich wartownik, bo odwrócił się nagle, dostrzegł w płomieniach ognisk ich sylwetki i zaczął krzyczeć coś do znajdujących się najbliżej mężczyzn i kobiet. W chwilę później już biegł w ich kierunku, zaalarmowani zaś ludzie formowali się w szereg, nie mając najwyraźniej zamiaru dopuścić ani Boba, ani dziewczyny w pobliże tłumu i Karin Doring, jej celu.

Bob przystanął. Jodie, bynajmniej. Prychając z niechęcią, Herbert chcąc nie chcąc ruszył jej śladem.

□ Czwartek, 20.36 - na południowy zachód od Vichy

- Nikt mnie nie pytał o zdanie. Od początku wiadomo było, że nauczę się pilotażu.

Paul Hood stał za Richardem Hausenem, pilotującym *learjeta* nad Francją. Hausen musiał mówić bardzo głośno, by przekrzyczeć ryk dwóch potężnych turboodrzutowych silników.

Etatowy pilot Langa, kobieta nazwiskiem Elisabeth Stroth, siedziała w fotelu drugiego pilota.

Była to ładna, młoda, najwyżej dwudziestosiedmioletnia brunetka, mówiąca doskonale zarówno po francusku, jak i po angielsku. Lang nakazał jej lecieć z nimi; po wylądowaniu miała pozostać w maszynie i wrócić wraz z nią. Elisabeth nie brała udziału w konwersacji, ograniczając się do rozmów z wieżą kontrolną w Hamburgu i - teraz - w Tuluzie oraz do poinformowania pasażerów o planie lotu. Jeśli interesowało ją, co mówił Hausen, to w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać.

Hood początkowo siedział w kabinie wraz z Mattem i Nancy. Po dziewięćdziesięciu minutach lotu nie marzył już o niczym innym tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od nich.

Stoll wyprowadził go z równowagi, ponieważ nie mógł przestać mówić, Nancy, ponieważ nie mogła zacząć.

Rozparty na jednej z pluszowych kanap umieszczonych wzdłuż burt odrzutowca, Matt opowiadał, jak to nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał z kimś współpracować. Poszedł do Centrum właśnie dlatego, że jest samotnikiem i dlatego, że potrzebowano tam samotnika, kogoś samodzielnie piszącego programy i - kiedy trzeba - majstrującego przy komputerach.

Wspomniał też, a jakże, że nie jest członkiem Iglicy i nie ma obowiązku działać w terenie.

Robi to, bo szanuje szefa, a nie dlatego, że jest taki odważny. Resztę czasu zajęło mu uzalenie się nad niedoskonałością aparatury. Powiedział, że nie daje żadnych gwarancji. Paul stwierdził, że oczywiście, rozumie.

Nancy prawie przez cały czas wpatrywała się w okno. Paul pytał ją, o czym myśli, ale nie chciała mu odpowiedzieć. Oczywiście, że się domyślał. Żałował, że w niczym nie może jej pomóc.

Dziewczyna udzieliła im jednak pewnych informacji na temat rozkładu pomieszczeń w siedzibie Demain. Matt zgrał je z planami budynku, które wcześniej otrzymał z Centrum. Do ich odbioru użył własnoręcznie napisanego programu komunikacji radiowej, dzięki któremu, należące do NBR satelity *Hermit* wyposażone były w możliwości *Ultrapipeline*: maszyny Centrum mogły komunikować się drogą radiową z komputerami w terenie. Opatentowany przez Stolla program zwiększał przepustowość *Herwitlinku* z dwu-do pięciokilobajtowych bloków przez użycie protokołu Z-modem

w połączeniu z szerokozakresową transmisją radiową o częstotliwości od 2,4 do 2,483 gigahertzów.

Nie spowodowało to w ich sytuacji jednak żadnego przełomu. Nancy nie mogła im wiele powiedzieć. Znała układ pomieszczeń produkcyjnych i działu programistów, nic nie wiedziała jednak o tym, jak wyglądają gabinety dyrekcji albo prywatne pomieszczenia Dominique'a.

Paul pozostawił ją wreszcie z jej myślami, a Stolla z wersją gry „Dungeon” dla wielu graczy, której używał, aby się odprężyć i poszedł do kabiny pilotów. Wesoły, niemal w ekstazie, Hausen opowiedział mu tam o swej młodości.

Jego ojciec, Maximilian, był pilotem Luftwaffe, specjalistą od lotów nocnych. Podczas pierwszego lotu bojowego jego *Heinkel He-219* zestrzelił pięć *lancasterów*. Jak wielu Niemców, i on bez wstydu opowiadał o wojennych wyczynach ojca. Służby wojskowej nie sposób było przecież uniknąć i nie pomniejszała ona w niczym szacunku i miłości, jakimi Richard Hausen darzył ojca. Niemniej usłyszawszy o zestrzelonych samolotach Paul nie mógł

obronić się przed myślą o rodzinach załóg tych pięciu bombowców.

Wyczuwszy zapewne jego zakłopotanie, Niemiec spytał: - A pana ojciec... służył w wojsku?

- Był lekarzem wojskowym - odparł Hood. - Stacjonował w Ford McC7ellan w Alabamie, składając połamane kości i walcząc z... - zerknął na siedzącą w fotelu drugiego pilota dziewczynę - ...różnymi chorobami - dokończył.

- Rozumiem - powiedział Hausen.

- Ja też - wtrąciła Elisabeth, uśmiechając się lekko.

Paul odpowiedział jej uśmiechem. Czuł się trochę jak w Centrum, gdzie bezustannie zmuszany był do balansowania na cienkiej linii między poprawnością polityczną a dyskryminacją seksualną.

- A pan nigdy nie marzył o zawodzie lekarza? - zainteresował się Hausen. - Nie, nigdy.

Chciałem pomagać ludziom. Sądziłem, że najlepszym sposobem dopomożenia im jest polityka. W moim pokoleniu częściej spotykało się przekonanie, że lepsza byłaby rewolucja, ja jednak zdecydowałem się pracować z tak zwanym establishmentem.

Mądry wybór. Rewolucje rzadko są odpowiedzią na jakiegokolwiek pytanie.

- A pan? Zawsze chciał pan być politykiem? Hausen potrząsnął głową.

- Od chwili kiedy zacząłem chodzić, pragnąłem latać - wyznał. Miałem siedem lat, kiedy na naszej farmie w Westfalii, niedaleko Renu, ojciec nauczył mnie latać na jednopłatawym *Fokkerze Spider* z 1913 roku, którego sam odrestaurował. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej w Bonn, miałem wtedy dziesięć lat, przesiadłem się na dwumiejscowego dwupłatawego *Buckera*. - Niemiec

uśmiechnął się. - Niestety, widziałem jak to, co z powietrza piękne, na ziemi zmienia się nie do poznania. Więc, podobnie jak pan, kiedy dorosłem, postanowiłem pomagać ludziom.

- Rodzice musieli być z pana bardzo dumni. . Hausen zmarszczył brwi.

- Nie, nie byli. Wytworzyła się raczej skomplikowana sytuacja. Ojciec należał do ludzi o zdecydowanych przekonaniach; między innymi wiedział także, jak jego syn powinien zarabiać na życie.

- Chciał, żeby pan latał?

- Chciał, żebym robił to, co on, owszem.

- Dlaczego? Przecież nie porzucił pan rodzinnego biznesu? - Gorzej. Porzuciłem rodzinne przekonania.

- Rozumiem. Nadal się gniewają?

- Ojciec odszedł dwa lata temu. Tuż przed jego śmiercią długo rozmawialiśmy, choć wiele pozostało nie wypowiedziane. Z matką kontaktuję się dość regularnie, choć po śmierci ojca bardzo się zmieniła.

Słuchając go Paul przypomniał sobie rozmowę z Ballonem i jego sugestią jakoby Hausen marzył wyłącznie o popularności. Sam będąc politykiem, doceniał znaczenie dobrej prasy.

Pragnął wierzyć, że ten człowiek jest szczery. W każdym razie, we Francji z pewnością nie będą cierpieć na nadmiar zainteresowania dziennikarzy.

Polityczny „Paragraf 22”, pomyślał z odrobiną autoironii. Nikogo, by doniósł o naszym tryumfie. To niedobrze. Ale dobrze, że nie będzie też tam nikogo opisującego upokorzenie, którego doznamy, jeśli poniesiemy klęskę.

Miał właśnie wracać do kabiny; kiedy wezwał go do niej krzyk Stolla. - Szefie, chodź szybko. Coś się dzieje w komputerze.

W głosie komputerowego czarodzieja nie było już strachu. Jego miejsce zastąpił głęboki niepokój. Hood niemal biegł białym, grubym dywanem. - Co się dzieje? - wydyszał.

- Zobacz tylko, co się przyczepiło do mojej gry.

Paul usiadł obok niego, nieco po prawej. Nancy opuściła swe miejsce przy oknie i usiadła po jego lewej. Matt opuścił zasłonę na okno, by ułatwić im czytanie z ekranu laptopa.

Wszyscy wpatrywali się weń z napięciem.

Na monitorze pojawił się obraz pseudogotyckiego zwoju. Jedna biała dłoń przytrzymała go u góry, druga na dole. Napis na zwoju głosił: Słuchajcie, przyjaciele! I raczcie wybaczyć nam, że przerywamy waszą przygodę.

Czy wiecie, że z danych grupy obywatelskiej Projekt Wyrok wynika, że trzecia część czarnych mężczyzn w grupie wiekowej dwadzieścia-dwadzieścia dziewięć lat przebywa w więzieniu, pod nadzorem sądowym lub na zwolnieniu warunkowym? Czy wiecie, że oznacza to dziesięcioprocentowy wzrost w ostatnich pięciu latach? Czy wiecie, że ci czarni kosztują nasz naród przeszło sześć miliardów dolarów rocznie? Będziemy z wami za osiemdziesiąt trzy minuty. Czekać!

- Matt, skąd to się wzięło? - spytał Paul. - Nie mam zielonego pojęcia.

- Narzucone informacje pojawiają się zwykle na interaktywnych portach terminali lub portach transferu plików... - wtrąciła Nancy.

- Albo na portach poczty elektronicznej, nie? - przerwał jej Matt. Problem w tym, że ta informacja nie urodziła się w Centrum, tylko gdzieś... indziej. A to „gdzieś indziej” jest zapewne doskonale ukryte.

- Co to znaczy?

- Skomplikowane wiadomości, takie jak ta, przeprowadza się na ogół przez serię komputerów.

- Nie możesz odtworzyć ich drogi? Stoll pokręcił głową.

- Masz rację sądząc, że wtęty tworzy się używając jednego komputera, żeby włamać się do drugiego, tego drugiego, żeby wejść na trzeci i tak dalej. Ale wcale nie wygląda to jak łączenie kropek, gdzie każdy komputer jest jedną kropką. Każda maszyna to tysiące możliwych ścieżek. Jak stacja rozrządowa, tylko torów dla naszego wyobrazonego pociągu jest mnóstwo, a każdy prowadzi w innym kierunku.

Na ekranie pojawił się kolejny zwój.

Czy wiecie, że bezrobocie wśród czarnych mężczyzn i kobiet jest ponad dwukrotnie większe, niż wśród białych mężczyzn i kobiet? Czy wiecie, że dziewięć z dziesięciu albumów na liście przebojów kasowych nagrali czarni i że wasze białe córki i wasi biali synowie kupują sześćdziesiąt procent tej tak zwanej muzyki? Czy wiecie, że pięć procent kupowanych w naszym kraju książek kupują czarni?

Będziemy z wami za osiemdziesiąt dwie minuty. Czekać!

- Czy to coś - Hood palcem wskazał ekran - pojawia się wszędzie? Stop już stukał w klawiaturę jak oszalały.

- Sprawdzam - powiedział, wywołując adres:

listserv@cfivm.sfc.ufs.stn.

- To grupa dyskusyjna zajmująca się filmami kung-fu robionymi w Hongkongu -

wyjaśnił. - Nie znam dziwniejszego adresu poczty elektronicznej.

Ekran zmienił się po chwili. Pojawiła się na nim korespondencja: Moim zdaniem interpretacja postaci Wong Fei Honga dokonana przez Jackie Chana jest ostateczna. Wprawdzie bohater Jackiego poza bezpośrednią akcją ukazuje cię mocno ucharakteryzowany, niemniej oddziałuje na widza...

- Możemy spokojnie uznać - stwierdził Matt - że nasi przyjaciele ograniczyli się do graczy.

- I bardzo mądrze - wtrąciła Nancy. - Biorąc pod uwagę, że mają zamiar rzucić na ten rynek rasistowskie gry...

- Ale przecież nie będą rozdawać ich jawnie - zauważył Paul. - To znaczy, chodzi mi o to, że nie mogą ich przecież reklamować w zwykłych miejscach na Internecie.

- Nie mogą - przyznał Stoll - ale wieści rozchodzą się szybko. Jeśli ktoś zechce zagrać, będzie wiedział, gdzie szukać gry.

- Z Enjoystickiem, który dostarczy mu dodatkowych wrażeń - stwierdził Paul. -

Dzieciaki, które w ogóle nie wiedzą o co tu chodzi, będą miały uciechę.

- A kwestie prawne? - zainteresowała się Nancy. - Miałam wrażenie, że są pewne ograniczenia co do treści, które wolno przysyłać przez Internet? - Bo są - przyznał Stoll.

Wrócił do sieciowych „Dungeons” i prezentowanych na nim zwoi. Na moment zapomniał

najwyraźniej o wszystkich swych strachach. - Internetem rządzą te same prawa, co wszystkimi innymi rynkami wymiany informacji. Ściga się i każe ludzi handlujących dziecięcą pornografią. Nie wolno szukać płatnych morderców. Jednak brak przepisu zabraniającego rozpowszechniania informacji statystycznych, które łatwo znaleźć w każdej bibliotece, nawet jeśli cytuje się je w jawnie rasistowskim celu. Ci ludzie popełnili jedno przestępstwo: włamali się do gry. Gwarantuję wam, że te zwoje znikną za parę godzin, nim kontrolerzy Internetu zdążą zacząć je tropić.

Nancy zerknęła na Paula.

- Jesteś oczywiście pewien, że to robota Dominique'a - stwierdziła. - Możliwości ma, prawda? - Paul odpowiedział jej pytaniem.

- Co jeszcze nie czyni z niego kryminalisty. - Nie. Ale zabójstwo i kradzież, owszem.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem opuściła wzrok. Stoll, najwyraźniej nie zdając

sobie sprawy z tego, co dzieje się w kabinie, powiedział:

- Jest w tym wszystkim coś, co przypomina mi tę grę u Hausena. Pochylił się i dotknął

palcem ekranu. - Cieniowanie pod dolnym zwojem nie jest czarne, lecz granatowe. Ktoś, kto ma związki z biznesem wydawniczym, zrobiłby coś takiego po prostu z przyzwyczajenia. W

rozbiciu kolorów granatowe cienie wychodzą lepiej niż czarne. I faktura papieru... wygląda jak prawdziwy... - dotknął góry zwoju - ...podobnie wyglądała skóra jelenia w lesie w poprzedniej grze.

- To już przesada. - Nancy usiadła wygodniej.

Matt zdecydowanie pokręcił głową.

- Ze wszystkich ludzi w tym samolocie najlepiej wiesz, jak twórcy przyozdabiają swe gry

- powiedział. - Prawdopodobnie pamiętasz początki znacznie lepiej ode mnie. Pamiętasz, jak łatwo było odróżnić kiedyś gry Activision od gier Imagicu albo Atari; każda miała swój specyficzny styl. Jezus, łatwo było nawet odróżnić gry Davida Crane'a od innych gier Activision. Twórcy zostawiali odciski palców na całym ekranie.

- Znam te czasy lepiej nawet niż sądzisz, Matt. I mówię ci z całą pewnością: Demain nie pracuje w ten sposób. Naszym zadaniem jest władowanie w grę tak wielu kolorów i realistycznej grafiki, jak to tylko możliwe.

- Co nie znaczy przecież, że ta gra nie jest dziełem Demain - wtrącił Hood. - Dominique nie ryzykowałby chyba produkowania rasistowskich gier wyglądających dokładnie tak, jak wszystkie inne z jego firmy.

- Widziałam projekty pracujących dla niego ludzi - Nancy natychmiast ostudziła jego zapał. - Siedziałam tu, zastanawiając się właśnie nad grafiką. Niepodobna do niczego.

- A ktoś z zewnątrz? - spytał ją Paul.

- W którymś momencie nawet kogoś z zewnątrz system po prostu przewieli. Testowanie, sprawdzanie, ładowanie - jest mnóstwo okazji. - A co, jeśli cały proces przeprowadzono na zewnątrz?

Stoll strzelił palcami.

- Ten mały Reiner Asystent Hausena. Mówił, że robi stereogramy. Z pewnością znał się na komputerach.

- Słusznie - zgodził się Paul. - Nancy, słuchaj, jeśli grę zaprojektował ktoś z zewnątrz, jaka jest minimalna liczba ludzi w Demain mających styczność z dyskietkami?

- Po pierwsze i najważniejsze - odparła dziewczyna - coś aż tak niebezpiecznego z pewnością nie dotarłoby do firmy na dyskietkach.

- A to czemu?

- Bo dyskietka to jak dymiący rewolwer w dłoni mordercy. Zapisany na niej program zawierający kod czasowy byłby w sądzie dowodem, że Dominique rozpowszechnia materiały rasistowskie.

- Chyba że wymazano by je natychmiast po wgraniu programu - zauważył Stoll.

- Nie. Materiały wyjściowe trzyma się, póki nie będzie całkowitej pewności, że wszystko poszło dobrze. Tak to się po prostu u nas robi. W każdym razie tego rodzaju materiał z pewnością został przekazany łączem modemowym na pozbawioną napędu dyskietek stację roboczą.

My też takie mamy, szefie - wtrącił Matt. - Używamy ich do przechowywania potencjalnie niebezpiecznych materiałów, które nigdy nie powinny zostać skopiowane z serwera - z komputera włączonego do sieci - na dyskietkę, łatwą przecież do ukrycia.

Techniczna wiedza Paula Hooda zaledwie wystarczała do zrozumienia, o czym mowa.

- Jedyni ludzie dysponującymi stacjami roboczymi bez napędów dyskietek - wtrąciła Nancy - to wiceprezesi Demain odpowiedzialni za nowe gry i strategie sprzedaży.

Matt zakończył działający na jego laptopie program.

- Podaj mi nazwiska kogoś z pracowników Demain - poprosił - wystarczająco biegłego, by zrozumieć funkcjonowanie programu.

- Ze szczegółami? Jest ich zaledwie dwójka: Etienne Escabort i Jean-Michel Horne.

Stoll wpisał te nazwiska do komputera, przesłał je Centrum i poprosił o wszystkie dostępne informacje. Podczas gdy czekali na odpowiedź, Hood rozmyślał nad czymś, co nie dawało mu spokoju od czasu rozmowy z Ballonem. Pułkownik bez entuzjazmu przyjął

informacje, że Hausen ma wziąć udział w akcji. Nazwał go psem na prasę.

A co, jeśli w rzeczywistości wygląda to znacznie gorzej? - spytał sam siebie. Nie podobało mu się to, że myśli źle o człowieku, który wydał mu się z gruntu sympatyczny, ale cóż, taką miał pracę. Jej częścią było bezustanne powtarzanie prostego pytania: „A co, jeśli...?”. A co, jeśli Hausen i Dominique wcale nie są przeciwnikami? Przecież za jedyny dowód na to, że nimi są, ma słowo samego Hausena i jego relację o tym, co zdarzyło się w Paryżu przed ponad dwudziestu laty. A co, jeśli pracują razem? Chryste, Ballon powiedział

przecież, że ojciec Dominique'a zrobił fortunę na Airbusach. Na samolotach! A Hausen jest cholernym asem pilotażu!

Hood poszedł tym tropem. A co, jeśli Reiner zrobił dokładnie to, czego zażądał od niego szef? A co, jeśli jego zadaniem było przedstawienie Hausena jako ofiary rasistowskich przekonań, by wciągnąć Centrum, Ballona i niemiecki rząd w śmierdzącą sprawę drastycznego przekroczenia kompetencji? Kto zaatakowałby Dominique'a po raz drugi, gdyby pierwszy atak skończył się kompromitacją atakujących?

- Aha! - przerwał mu te rozmyślania Stoll. - No i mamy. W aktach prawnych Lowella Coffeya znaleźliśmy informacje, że w 1981 pani Escarbot oskarżona została przez jedną z paryskich firm o kradzież z IBM programu do wyświetlania map bitowych. Demain zapłaciło za odstąpienie od oskarżenia. Przeciw Horne'owi dziewiętnaście lat temu wszczęto postępowanie o przestępstwo kryminalne, które następnie umorzono. Wygląda na to, że opatentował we Francji bardzo zaawansowany czterobitowy układ, według pewnej kalifornijskiej firmy ukradziony od nich. Kalifornijczycy nie potrafili jednak udowodnić mu kradzieży. Nie potrafili także znaleźć winnego wyprowadzenia układu z ich firmy...

Matt przerwał nagle. Poblądł strasznie, spojrział na Paula, potem na Nancy...

- Oczywiście - powiedziała spokojnie dziewczyna. - W tym biznesie nie istnieją dwie Nancy Jo Bosworth. Chodzi o mnie.

- Wszystko w porządku - upewnił go Paul. - Wiem o tym, co się zdarzyło.

Matt nie potrafił tak od razu przejść nad tym do porządku dziennego. Skinął głową, wpatrując się w dziewczynę.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział - ale sam trochę programuję i po prostu muszę powiedzieć, że to mocno nie w porządku.

- Wiem.

- Matt, daj spokój! - wystąpił ostro Hood.

- Dobra, dobra. - Stoll wyprostował się w fotelu, zacisnął pas, którego nie odpiął od momentu startu, obrócił się i zajął oglądaniem widoków za oknem.

I wtedy to właśnie Paul Hood pomyślał: „A niech to wszystko diabli wezmą”. Proszę, oto warczy na Matta, podczas gdy tak naprawdę powinien zacząć zastanawiać się, co właściwie Nancy miała do roboty w parku. I to akurat wtedy, kiedy szczerze sobie rozmawiał z Hausenem. Czyżby rzeczywiście był to przypadek, czy też oni wszyscy współpracowali z Dominique'em. Nagle Hood poczuł się strasznie niepewnie. W nawale spraw, czując wręcz przymus powstrzymania Dominique'a przed rozpowszechnieniem swych rasistowskich przekonań i swych rasistowskich gier, on sam beznadziejnie zaniedbał kwestie bezpieczeństwa i najprostszą wręcz ostrożność. Co więcej, pozwolił na rozbitcie swej grupy. A jego ekspert od spraw bezpieczeństwa, Bob Herbert, po prostu pojechał sobie gdzieś w plener.

Prawdopodobnie poważnie przesadzał. Instynkt podpowiadał mu, że przesadza, mózg jednak szeptał:

myśl, próbuj, odkryj prawdę. Odkryj prawdę przed dotarciem do siedziby Demain.

Nie opuścił Stolla, choć Nancy usiadła po przeciwnej stronie samolotu. Wiele rzeczy jej się tu nie podobało i nie miała zamiaru robić z tego tajemnicy. Stoll, przepełniony niesmakiem, nie próbował nawet ukryć swych uczuć. Tylko Paul Hood utrzymywał swe uczucia w tajemnicy, choć z pewnością nie na długo.

W głośnikach rozbrzmiał głos Elisabeth oznajmiającej, że rozpoczęli podejście do lądowania w Tuluzie.

- Matt, daj mi swego laptopa - powiedział Paul.

- Chcesz, żebym włączył pasjansa? - spytał Stoll. Pasjans był ulubioną grą komputerową jego szefa.

- Nie. - Hood włączył komputer. - Mam zamiar spróbować „Tetrisa”. - Mówiąc to, szybko stukał w klawisze.

Matt,

pojawiło się na ekranie,

proszę, nic nie mów. Po prostu połącz mnie z Darrellem.

Stop potarł nos, pochylił się i wpisał numer telefonu oraz swe hasło. Zaszumił dysk. Na monitorze pojawił się napis PROSZĘ CZEKAĆ. Kiedy znikł, zastąpiony słowem GOTÓW, wygodniej rozsiadł się w fotelu. Głowę odwrócił w stronę okna, ale nadal wpatrywał się w ekran.

Paul szybko wpisał swój osobisty kod transmisji, a po nim wiadomość: Darrell, potrzebuję każdego szczegółu, który będziesz w stanie zdobyć, dotyczącego wiceministra spraw zagranicznych w rządzie Niemiec, Richarda Hausena. Sprawdź jego deklaracje podatkowe z lat siedemdziesiątych. Szukaj dowodów zatrudnienia w Airbus Industries albo przez człowieka nazwiskiem Dupre lub Dominique.

Potrzebuję także danych o powojennym życiu, pracy i poglądach pilota Luftwaffe nazwiskiem Maximillian Hausen. Zadzwoń, jeśli coś zdobędziesz. Danych potrzebuję na dziś, najpóźniej o 16.00

Standardowego Czasu Wschodniego.

Paul skończył i z niesmakiem wpatrzył się w ekran.

- I znów zawaliłem - stwierdził. - Matt, co powinienem zrobić teraz? Stoll przejął od niego komputer i wysłał wiadomość pocztą elektroniczną. - Chcesz zapisać którąś z tych gier? -

spytał.

- Nie.

Wpisał na ekranie :-).

- Właściwie - Paul wyłączył komputer - chciałbym machnąć twoim laptopem i wyrzucić go za okno.

- Nie powinieneś grać, kiedy jesteś napięty - zauważyła Nancy. Przez szerokość kabiny spojrzała na niego. - To jak ze sportem albo z seksem. Przede wszystkim trzeba się rozluźnić.

Komputer wrócił do właściciela. Hood przysiadł się do dziewczyny. Zapiął pasy.

- Przykro mi, że cię w to wplątałem - powiedział.

- Które „to”? Wyprawę do Francji czy cały ten niewyraźny interes?

- Wyprawę do Francji. Nie powinienem narzucać ci czegoś takiego w imię naszej... -

przerwał, szukając właściwego słowa i, nie znalazłszy lepszego, zakończył: - ...przyjaźni.

- Nic nie szkodzi - odparła Nancy. - Naprawdę, nic nie szkodzi, Paul. Szczerze mówiąc jestem już zmęczona nie kończącą się ucieczką, Demain i życiem emigrantki, w którym trzeba pograć się po uszy, by się nim nacieszyć. Jak to powiedział Sidney Carton w drodze na szubienicę, w „Opowieści o dwóch miastach”? „Robię rzecz znacznie, znacznie lepszą od wszystkiego co robiłem dotychczas”. To znacznie, znacznie lepsza rzecz od tych, które robiłam dotychczas.

Paul uśmiechnął się do niej ciepło. Tak bardzo pragnął powiedzieć jej, żeby nie martwiła się szubienicą, ale nie wiedział przecież, co się z nią stanie, tak jak nie wiedział, komu w istocie pozostała wierna. Samolot miękko dotknął kołami pasa startowego, a on miał tylko nadzieję, że widoczny na twarzy dziewczyny strach dotyczył jej, a nie jego, przyszłości.

□ Czwartek, 14,59 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Pocztę elektroniczną Paula Hooda odebrał pierwszy zastępca Darrella McCaskeya, Sharri Jurmain. Absolwent Akademii FBI przekazał go taką samą pocztą elektroniczną do osobistego komputera szefa oraz do doktora Johna Benna z Ośrodka Informacji Centrum.

Ośrodek Informacji składał się w rzeczywistości z dwóch małych, połączonych ze sobą pokoiów oraz dwudziestu dwóch komputerów obsługiwanych przez dwóch programistów, pracujących pod osobistym nadzorem doktora Benna, byłego bibliotekarza Biblioteki Kongresu. Ten urodzony w Wielkiej Brytanii kawaler przez dwa lata pracował w dziale informacyjnym ambasady w Katarze i był tam w 1971 roku, gdy to arabskie państwo ogłosiło niepodległość, wyswobodzając się spod władzy Anglików. Pozostał na miejscu jeszcze siedem lat, po czym przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie mieszkał z siostrą, wdową po dyplomacie. Oczarowany samym Waszyngtonem oraz Amerykanami, Benn nie wrócił już do Anglii. W 1988 roku otrzymał amerykańskie obywatelstwo.

Jedynym nabytym podczas spokojnych lat spędzonych w Katarze talentem, którym popisował się ze szczególną dumą, była zdolność cytowania z pamięci całych fragmentów najdziwniejszych i najdawniej zapomnianych dzieł literatury angielskiej. Nawet z pomocą grup Usenetowych jeszcze nigdy nikt w Centrum nie odgadł prawidłowo ani jednego z nich.

Kiedy dotarła do niego poczta elektroniczna od Hooda, Benn pił właśnie przedwczesną popołudniową herbatkę udając, że jest panem Boffinem z „Naszego wspólnego przyjaciela”

Dickensa. Wezwanie poprzedził syntetyzowany głos oznajmiający słowami Yeatsa z „The Lake Isle of Innisfree”: „A teraz wstanę i pójdę”, a także podający kod osoby przedstawiającej wezwanie.

- Jeszcze raz atakujemy wyłom, przyjaciele, jeszcze raz - zadeklamował Benn, przysiadając się do komputera numer jeden. I on, i jego asystenci, Sylvester Neuman i Alfred Smythe, natychmiast rozpoznali „pozdrowienia” Stolla, obrazek „ :-) ”, śmieszka, leżącą na boku uśmiechniętą twarz. Podczas jednego z cięższych ataków paranoi Stoll poinformował

ich, że gdyby kiedyś zmuszony został do nadania informacji, podpisze ją znaczkiem „ :-(”, czyli smutną buźką.

Zespół wziął się do pracy, sprawnie zbierając informacje.

Po biografie wiceministra spraw zagranicznych Richarda Hausena oraz informacje o jego ojcu, Smythe wszedł na sieć, by ściągnąć dane z ECRC Munich, Deutche Elektronen Synchotron,

German

Electro-Synchotron,

DKFZ

Heidelberg,

Gesellschaft

für

Wissenschaftliche Dataverarbeitung GmbH, Konrad Zuse Zentrum für Informationstechnik, Konrad Zuse Center i Comprehensive TeX Archive Network Heidelberg.

Neuman użył trzech komputerów na wejście do gopherów Internetu i odszukanie informacji w Deutsches Klimarechenzentrum Hamburg, EUNET Germany, German Network Information Center i ZIB, Berlin am Ufer. Z pomocą doradcy Matta Stolla, asystenta oficera operacyjnego Grady'ego Reynoldsa, zdobyli informacje dotyczące deklaracji podatkowych, zatrudnienia i wykształcenia zarówno z Niemieckiej Republiki Federalnej, jak i byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niestety, akta wielu Niemców, zwłaszcza tych ze wschodu, do tej pory istniały tylko na papierze, dane dotyczące wykształcenia i finansów polityków musiały jednak zostać wpisane do komputera celem udostępnienia ich różnym komisjom. Co więcej, wiele liczących się firm wskanowało wszystkie swe dokumenty i przynajmniej te były już dostępne.

Biuro Darrella McCaskeya, mające niemal wyłączność na kontakty z innymi rządowymi agencjami, udostępniło im łącza do FBI, Interpolu oraz kilku niemieckich instytucji prawa i porządku, takich jak: *Bundeskriminalamt* - niemiecki odpowiednik FBI, *Landespolizei* - coś w rodzaju policji stanowej, *Bundespostpolizei* - Policja Poczta i *Bundeszollpolizei*, czyli Służby Celne. Zarówno *Bundespostpolizei*, jak i *Bundeszollpolizei* często udawało się złapać przestępców, z którymi zwykła policja miała spore problemy.

Podczas gdy dwaj asystenci przeglądali archiwa sieciowe i wyciągali z nich dane o Hausenie, dr Benn zapisywał ich treść w krótkim, łatwym do zapamiętania raporcie.

Ponieważ Paul prosił o telefon, raport zostanie mu odczytany. Dane pozostaną jednak w komputerach, przygotowane do wysłania siecią i wydruku.

Czytając docierające do niego informacje, pamiętając brzmienie oryginalnej prośby, doktor powoli nabierał pewności, że Hoodowi nic się nie pomyliło. Wyglądało na to, że istnieją pewne wątpliwości, który Hausen robił co i w trakcie swojej kariery. Mimo to Benn nie przerywał pracy; musiał się śpieszyć, by zdążyć na wyznaczony termin.

Grupy zainteresowań użytkowników Internetu [przyp. red.].

□ Czwartek, 15.01 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Każdej skierowanej do Centrum prośbie o informacje komputer nadawał automatycznie numer, notował też czas jej nadejścia. Numery poprzedzone były cyfrą albo dwu- lub trzycyfrową liczbą, identyfikującą nadawcę. Ponieważ o prośby takie często zwracali się ludzie znajdujący się w niebezpiecznej sytuacji, o ich nadejściu informowani byli i inni.

Gdyby coś drastycznego spotkało agenta w terenie, jego zastępca miał wkroczyć i zakończyć sprawę.

O nadejściu zgłoszenia nadanego przez Hooda, Mike'a Rodgersa poinformował

dobiegający z jego komputera pisk. Gdyby nie było go w pokoju, pisk ten rozlegałby się co minutę. Mike był jednak w gabinecie, zajadając spóźniony lunch. Pogryzając odgrzanego w kuchence mikrofalowej hamburgera, zapoznał się z treścią zgłoszenia. I zaczął się poważnie niepokoić.

Generał i jego szef pod wieloma względami bardzo się od siebie różnili, a przede wszystkim mieli całkiem inny światopogląd. Paul wierzył głęboko, że ludzie są w zasadzie dobrzy, podczas gdy Rodgers uważał ludzkość za zbiorowisko z natury egoistycznych jednostek, najbardziej przypominających polujących na wyznaczonym sobie terytorium drapieżników. Uważał też, że ma dowód na słuszność swych przekonań, bowiem gdyby nie były słuszne i on, i miliony żołnierzy takich jak on, pozostaliby bez pracy.

Wierzył również, że jeśli Paul ma jakieś wątpliwości co do klanu Hausenów, to są to wątpliwości uzasadnione.

- Leci do Francji na akcję przeciw terrorystom, a za wsparcie ma Matta Stolla - oznajmił

czterem ścianom pustego gabinetu. Zerknął na monitor komputera. Jakże żałował, że nie może wstukać komendy CR i niemal natychmiast mieć do dyspozycji Centrum Regionalne wraz z ludźmi z Iglicy. A tak musiał zacząć od komendy MAPEURO.

Na monitorze pojawiła się barwna mapa Europy. Nałożył na nią siatkę i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Przeszło osiemset kilometrów - powiedział do siebie, szacując odległość między północnymi Włochami i południową Francją.

Nacisnął ESC. Wystukał NATOITALY.

Po pięciu sekundach na ekranie pojawiło się dwukolumnowe menu, Oferujące wybór praktycznie wszystkiego, od rozmieszczenia oddziałów do środków transportowych, od uzbrojenia po gry wojenne. Wybrał transport. Kolejne menu. Powietrzny. Trzecie menu oferowało wybór samolotów i lotnisk. Wolny był akurat helikopter *Sikorsky CH-53i* Gigantyczna, dwusilnikowa maszyna miała

zasięg przeszło dwóch tysięcy kilometrów i ładownię wystarczająco wielką dla jego planów. Prędkość maksymalna trzystu piętnastu kilometrów na godzinę była jednak zdecydowanie za mała. Przesunął wzrokiem w dół listy.

Znalazł, czego potrzebował.

V-22 Osprey. Maszyna pionowego startu i lądowania, wspólne dzieło Bella i Boeinga.

Zasięg - blisko dwa tysiące. Prędkość podróżna - sześćset kilometrów na godzinę. I - co najlepsze ze wszystkiego - jeden z prototypów VI Floty testowała właśnie w Neapolu.

Generał Rodgers uśmiechnął się szeroko. Skasował menu i wywołał na ekran swą osobistą książkę telefoniczną. Kursorem najechał na pozycję NATO - BEZPOŚREDNIE

POLĄCZENIA, a z niej wybrał numer telefonu najwyższego rangą dowódcy oddziałów NATO w Europie, generała Vincenza DiFate.

W ciągu trzech minut Rodgers zdołał odnaleźć generała na przyjęciu w ambasadzie Hiszpanii w Londynie i przerwać mu zabawę. Pokrótce wytłumaczył, dlaczego musi wypożyczyć *Ospreya* i dziesięciu francuskich żołnierzy.

□ Czwartek, 21.02 - Wünstorf, Niemcy - Ty durny kaleko!

W swoim czasie Herbert słyszał gorsze epitety. Słyszał, jak miotano je na czarnych w Missisipi, na Żydów w dawnym Związku Radzieckim, na Amerykanów w Bejrucie. To jednak, co wykrzyknął młody wartownik zbliżając się do Jodie, wydawało mu się najgłupszą obelgą pod słońcem. A jednak, choć był bardzo słaby, poczuł, że się wkurza.

Wyrwał ukrytą w wózku latarkę. Przez okno od strony pasażera zajrzał do środka samochodu, za którym tu dojechał. Następnie szybko przejechał na bok, ubezpieczając się na wypadek, gdyby komuś wpadło do głowy strzelać do światła. Ukryty w mroku widział, jak wartownik podszedł do Jodie i jak dziewczyna wreszcie się zatrzymała. Wyciągnął spod nogi *Skorpiona*.

Jodie oraz chłopak znajdowali się jakieś dziesięć metrów od niego i mniej więcej dwadzieścia pięć metrów od tłumu neonazistów. Zabawa trwała, niezakłócona.

Jodie zasłaniała mu cel.

Chłopak odezwał się po niemiecku. Odparła, że nie rozumie. Krzyknął coś za siebie, pewnie nie wiedział, co ma robić i prosił o instrukcje. Obracając się, przesunął się nieco w lewo. Bob wymierzył w jego łydkę i strzelił. Muskularny młody Niemiec padł, wrzeszcząc.

- Teraz i ty jesteś kaleką - mruknął Herbert, podjechał wózkiem do pasażerskich drzwi półciężarówki i otworzył je.

Tłum ucichł jak na rozkaz. Ludzie rzucili się na ziemię, daleko od leżącego chłopaka.

Ukształtowanie terenu uniemożliwiało im strzelanie z miejsca, w którym leżeli, nie było jednak wątpliwości, że długo tak leżeć nie będą.

- Jodie, rób co masz zrobić i wiejemy! - wrzasnął na dziewczynę. Jodie obejrzała się na niego, a potem spojrzała na wlepione w siebie, blade twarze.

- Nie dostaliście mnie! - krzyknęła mocnym, pewnym głosem. I nigdy nie dostaniecie! .

Bob otworzył drzwi od strony pasażera. - już! - ponaglił ją.

Jodie zerknęła jeszcze na rannego chłopaka, a potem pobiegła.

- Siadaj za kierownicą - poinstruował ją Herbert, wciągając się na siedzenie pasażera. -

Zostawili kluczyki w stacyjce.

W tym momencie rozległy się krzyki. Jeden z odważniejszych neonazistów wstał. W ręku trzymał pistolet, który wycelował w ich kierunku.

- O, cholera - zaklął Herbert i natychmiast wystrzelił przez otwarte drzwi. Dziewczyna wrzasnęła w panice, obiema dłońmi zakrywając uszy. Trafiony w udo Niemiec zwałił się na ziemię, na trawę trysnęła krew.

Bob wysiadł z samochodu, wpełzł na wózek i osłaniał ich odwrót zza otwartych drzwi.

Jodie udało się uruchomić silnik. Już nie była taka spokojna jak przedtem, trzęsła się, oddychała ciężko, zdradzała wszystkie objawy załamania po ciężkim stresie. Nie wolno było dopuścić, by wpadła w histerię.

- Jodie, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Rozpląkała się.

- Jodie...

- Co?! - wrzasnęła. - Co?! Co?! Co?! - Cofaj. Bardzo powoli.

Dziewczyna kurczowo ścisnęła kierownicę. Wzrok miała wbity we własne nogi. Za szpalerem nacierających kłębił się zdezorientowany tłum. Dalej widać było przemawiającego przedtem mężczyznę - rozmawiał ze stojącą obok kobietą. Atak mógł nastąpić w każdej chwili, już za parę sekund.

- Jodie - powiedział Herbert, bardzo spokojnie. - Wrzuć wsteczny bieg i ruszaj powoli.

Powoli.

Bob doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie wsiądzie do samochodu, jeśli przedtem nie opuści *Skorpiona*, a opuszczając broń przyśpieszy tylko moment ataku. Zerknął za siebie.

Niewiele widział w ciemności, ale miał wrażenie, że przez co najmniej kilkaset metrów teren jest piaski i nie zarośnięty. Jego plan zakładał, że otwarte drzwi jadącego tyłem, powolutku, samochodu będą go pchały wraz z wózkiem, umożliwiając mu prowadzenie ognia. Potem mógłby wsiąść i dopiero wtedy zaczęłaby się prawdziwa ucieczka.

W każdym razie taki wymyślił plan. - Jodie, słyszałaś, co mówiłem.

Dziewczyna chlipnęła, pociągnęła nosem i, nareszcie, przestała płakać. - Dasz radę ruszyć i pojechać do tyłu? Bardzo, bardzo powoli? Niepewnie, boleśnie wręcz powolnie, opuściła dłoń na dźwignię biegów.

- Jodie - głos Herberta był nadal bardzo spokojny. - Naprawdę powinniśmy już się stąd wynosić.

Poruszyła dźwignią i w tym momencie przednie opony eksplodowały. Przód samochodu podskoczył, z daleka rozległ się warkot serii. Otwarte drzwi odrzuciły do tyłu wózek wraz z siedzącym w nim Herbertem. W metal karoserii uderzyły pociski z pistoletu maszynowego.

Tłum rozstąpił się, robiąc miejsce kobiecie trzymającej pod ramieniem ziejącą broń.

Dziś rano - czy rzeczywiście było to zaledwie dziś rano? Lang powiedział o niej: „To może być tylko Karin Doring”.

Rzeczywiście.

Herbert cofnął się za samochód, otworzył drzwi z tyłu i - ukryty za nimi - wystrzelił serię.

Przydusił nią do ziemi pierwszą linię, ale nie powstrzymał kobiety. Szła ku nim, nieuchronna i twarda jak sama śmierć.

Jodie znów się rozplakała. Bob zobaczył leżącą na tylnym siedzeniu broń... oraz coś, czego mógłby użyć.

Wystrzelił w tłum.

- Jodie - powiedział. - Musisz mnie osłonić. Potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

W przednie drzwi znów uderzyły pociski. Jeszcze seria, a przebiją je na wylot, pomyślał

Herbert. Potem przebiją tylne drzwi. Potem przebiją mnie.

- Jodie! - wrzasnął. - Sięgnij na tylne siedzenie, weź broń i strzelaj! Strzelaj, albo zginiemy.

Jodie kurczowo trzymała się kierownicy. - Jodie!

Po policzkach płynęły jej łzy.

Zrozpaczony, Bob strzelił koło jej uda. W powietrze uniosła się chmurka gąbki z siedzenia. Dziewczyna wrzasnęła.

- Jodie, weź broń i zastrzel Karin Doring, albo zwycięży na zawsze! Jodie spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami. To zrozumiała. Obróciła się i z tylnego siedzenia ściągnęła dwa pistolety.

- Zwolnij bezpieczniki. Takie małe dźwigienki na... - Zwolniłam.

Spojrzał na nią. Pociągała nosem, ale już nie płakała. Strzeliła w szybę, odchyliła się na siedzeniu i z bojowym okrzykiem wykopała z ramy popękane szkło.

- Zdumiewające! - wyszeptał z podziwem. - Celuj - powiedział głośniej, zaglądając do samochodu. - Oszczędzaj amunicję!

Nie spuszczając wzroku z pierwszej linii przeciwnika wziął z samochodu sześć butelek gazowanej wody mineralnej. Karin Doring zbliżała się; jeden z mężczyzn na jej widok nabrał

odwagi. Wstał.

- O, sukinsyn! - krzyknęła Jodie i strzeliła w jego kierunku. Spudłowała, oczywiście, ale Niemiec rzucił się na ziemię.

Wychowałem sobie małą morderczynię, pomyślał Bob, potrząsając głową. Z dwóch butelek wylał wodę, cofnął się nieco i nożem wyciął kawałek lewej opony wózka, uzyskując w ten sposób rurkę. Nawet Karin Doring nie da rady przejść przez ścianę ognia.

W dach samochodu uderzyły kule... i zrykoszetowały. Jodie rzuciła się w lewo, zrozumiała, że w ten sposób nic nie zyska, bo blokują ją drzwi i padła na siedzenia. Niemal w tej samej chwili kolejna seria wbiła się w oparcia.

- Jodie! - wrzasnął Bob. - Włącz zapalniczkę.

Jodie włączyła zapalniczkę i natychmiast znów się położyła. Jasne było, że już nie wstanie.

Karin zbliżyła się na odległość trzystu metrów. Jej ludzie pojęli wreszcie, że niebezpieczeństwo nie jest wcale takie wielkie i również ruszyli przed siebie. Herbert tymczasem zdążył otworzyć bak i z zaimprovizowanego węża właśnie napełniał butelki.

Pociski waliły w karoserię samochodu już niemal bez przerwy. Wśród tłumu gęsto pojawiały się iskierki płomieni wylotowych. Jeszcze z pół minutki i czeka ich oboje los potwora profesora Frankensteina, wraz z narzeczoną wydanego w łapy wściekłych i wystraszonych wieśniaków.

Usłyszał trzask wyskakującej zapalniczki. Nie, Jodle z pewnością mu nie pomoże.

Podjechał do przodu, najszybciej jak potrafił. Dziur w tych drzwiach było stanowczo za wiele. Sięgnął do środka, wydarł trochę gąbki z rozdartego strzałami siedzenia. Jedną butelkę postawił na podłodze, drugą nabił gąbką. Wyrwał gorącą zapalniczkę, przyłożył do gąbki i czekał, aż zacznie się tlić.

Nic z tego. Nagle, przerażony Bob Herbert uświadomił sobie, że siedzenie samochodu zrobiono w całości z niepalnych materiałów.

Zaklął i wcisnął zaimprovizowaną zatyczkę do butelki. Wrzucił zapalniczkę do benzyny i rzucił bombę wysokim łukiem. Modlił się, by gąbka wpadła do środka.

Jego modlitwa została wysłuchana. Butelka wybuchła w powietrzu, oblewając tłum kroplami płonącej benzyny i obrzucając odpryskami szkła. Rozległy się rozpaczliwe wrzaski.

Jodle uniosła głowę z siedzenia. Spojrzała na fajerwerki, a potem na ich autora.

- Bomby mi się skończyły - oznajmił Bob. - Proponuję, żebyśmy wynosili się stąd w cholerę.

Jodle ruszyła tyłem, a on tymczasem przymknął drzwi. Zamknąć już się nie dały. Karin Doring przepychała się przez tłum. Strzelała do samochodu. Inni dołączyli do niej.

- Auuu...

Herbert spojrział w lewo. Jodle zachwiała się, oparła na jego ramieniu. Samochód zwolnił, stanął. Bob pochylił się i dostrzegł, że Jodle została ranna. Na oko powyżej żeber, a poniżej obojczyka. Powieki miała mocno zaciśnięte, dyszała ciężko. Spróbował przesunąć się nieco, tak, by jej ramię spoczęło na jego barku, nie uciskając rany. Układając ją dostrzegł, że w kieszeni bluzki ma paczkę papierosów. Wyjął ją szybko i aż podskoczył z radości, kiedy zobaczył wciśnięty za celofan kartonik zapalek.

Łagodnie położył dziewczynę na siedzeniu. Pochylił się błyskawicznie, podniósł z podłogi drugą butelkę benzyny i postawił ją między nogami. Karin zdążyła przejść już przez tłum; przystanęła teraz, wciskając nowy magazynek do gniazda pistoletu maszynowego. Bob zatkał

butelkę chusteczką. Zapalił zapalną. Chusteczka paliła się znacznie szybciej niż zakładał.

- Ci twoi ludzie albo są niepalni, albo spalą cię na stosie - powiedział wychylając się i rzucając bombę w Karin. Usłyszał trzask pękającego szkła, zobaczył błysk - zarośła wokół

zajęty się błyskawicznie.

Teraz najważniejsza stała się Jodle. Dziewczyna trzymała się za bark. Wiedział, że w tej chwili czuje tylko odrętwienie, że ból pojawi się dopiero wtedy, kiedy zacznie się poruszać.

Złożył fotel i wciągnął go do samochodu, głównie po to, żeby mieć w razie potrzeby pod ręką telefon. Nie był pewien, czy telefon w limuzynie przetrwał strzelaninę. Ostrożnie pomógł

Jodle usiąść.

- Słuchaj - powiedział. - Musisz coś zrobić. Słyszysz, co mówię? Skinęła głową raz, słabo.

- Nie mogę dodać gazu. Będziesz musiała nacisnąć pedał za mnie. Myślisz, że dasz radę?

Kolejne skinienie.

Bob bokiem przesunął się nieco za nią i położył dłonie na kierownicy. Kiedy uniósł

wzrok przez moment widział jakiegoś mężczyznę, siłą powstrzymującego Karin przed szarżą przez ogień.

- Jodle? Zaczyna brakować nam czasu. Będę cię bronił, ale teraz lepiej już stąd wiejmy.

Po raz trzeci dziewczyna tylko skinęła głową. Obliznęła wargi. Jęknęła, wyciągając nogę.

Oczy nadal miała zamknięte, Herbert jednak widział, jak po omacku szuka stopą właściwego pedału.

- Doskonale - powiedział spokojnie, serdecznie. - No, już. A teraz przyciśnij lekko.

Spełniła jego polecenie. Samochód powoli pojechał tyłem. Obejmując ją jedną ręką, z drugą na kierownicy, Herbert obrócił głowę i poprowadził limuzynę wyboistą drogą w las. W

tylnym oknie odbijała się pomarańczowa łuna pożaru.

Chaos w Dni Naporu, pomyślał z satysfakcją. Feuer zatrzymany przez ogień. Była w tym ironia, przepyszna... gdyby miał czas się nią delectować. Samochód nadal jechał tyłem. Czuł

szarpnięcia kierownicy – jechali w końcu na felgach, a w dodatku od czasu do czasu trafiali w jakieś krzaki. Wkrótce to, co było obozem, zmieniło się w odblask płomienia na chmurach zasłaniających nocne niebo. Bob pomyślał nawet, że być może wydostaną się żywi z tego lasu.

W tym momencie zgasł silnik samochodu.

□ **Czwartek, 21.14 - Wünstorf, Niemcy**

Karm Doring spokojnie strzepnęła z rękawa płonące krople benzyny. Myślała o tchórzostwie swych żołnierzy, nie dopuszczała jednak, by rozczarowanie przeszkodziło jej w działaniu. Jak lis wpatrywała się w ofiary. Przez płomień i dym, przez tłum miotających się ludzi, jej ludzi, śledziła wzrokiem oddalający się samochód.

Spryciarz z niego, pomyślała gorzko. Nie włączył świateł. Jechał tyłem, wykorzystując słabe światełka wstecznego biegu. I one jednak w końcu znikły. Nie szkodzi. Przy pasie miała sztylet SA. Pocisk dla mężczyzny, ostrze noża dla dziewczyny.

Manfred podszedł od tyłu i położył jej dłoń na ramieniu.

- Karin, obudź się! Mamy rannych. Richter potrzebuje twojej pomocy, żeby doprowadzić tu wszystko do...

- Chcę tych dwoje - warknęła w odpowiedzi. - Niech Richter sam radzi sobie z tym szaleństwem. Chce być przywódcą? Niech będzie,

- Nie jest przywódcą naszych ludzi. W tej chwili z pewnością go nie zaakceptują.

- Więc ty się tym zajmij.

- Przecież wiesz, że do piekła pójdą wyłącznie za tobą.

Karin zrobiła krok wstecz, strącając z ramienia przyjacielską dłoń. Obróciła się. Jej twarz zastygła w maskę furii.

- Do piekła? Wystarczył jeden uzbrojony Amerykanin, żeby uciekali jak karaluchy.

Pokonał ich kaleka na wózku inwalidzkim, mający do pomocy rozhisteryzowaną dziewczynę.

Wstyd mi za nich. Wstyd mi za siebie.

- To jeszcze jeden powód, by jak najszybciej zapomnieć o tym incydencie - stwierdził

Manfred. - Przypadek jeden na tysiąc. Przez chwilę nie byliśmy po prostu wystarczająco czujni.

- Pragnę zemsty. Pragnę krwi.

- Nie! Zeszliśmy z tej drogi. Ta droga prowadzi do nikąd. Zgoda, nie wypadło to najlepiej, ale przecież nas nie pobili...

- To tylko słowa. Gówniane słowa

- Karin, posłuchaj mnie. Możesz dodać ludziom ducha w inny sposób. Możesz pomóc Richterowi, możesz poprowadzić nas do Hanoweru...

Karin Doring obróciła się, przesywając spojrzeniem płonące zarośla.

- Póki tych dwoje żyje, nie mam prawa prowadzić nikogo. Nigdzie. Stałam obok Richtera... widziałam jak moi ludzie... moi żołnierze... nie zrobili nic... - Znalazła drogę przez ogień, znikła w kłębach rzedniejącego dymu. Manfred poszedł za nią.

- Nie dogonisz samochodu - powiedział.

- Jedzie gruntową drogą, bez świateł. - Karin pobiegła równym truchtem. - Złapię go, albo przynajmniej wyśledzę. To wcale nie powinno być trudne.

Manfred pobiegł za nią.

- Nie myślisz - zauważył. - Skąd wiesz, że nie zastawił na ciebie zasadzki?

- Nie wiem.

- Co ja bez ciebie zrobię? - krzyknął rozpaczliwie. - Dołącz do Richtera. Sam proponowałeś.

- Nie o to mi chodziło. Boże, porozmawiajmy chociaż... Karin przyśpieszyła i zaczęła się od niego oddalać.

- Karin!

Wymagający wielkiego wysiłku bieg wśród drzew, po nierównym terenie, sprawiał jej wielką przyjemność. Czowała budzącą się w ciele energię: - Karin..!

Nie chciała niczego słyszeć. Nie myślała już o tym, do jakiego stopnia zawiedli ją zwolennicy i do jakiego stopnia ona zawiodła ich. Jednego jednak była pewna: by wynagrodzić im i sobie klęskę, którą właśnie ponieśli, by znów poczuć się czystą, musi umyć dłonie we krwi.

I umyje. Tak czy inaczej, w Niemczech lub w Stanach, dziś lub jutro.

□ Czwartek, 21.32 - Tuluza, Francja

Podczas gdy Hausen pewnie i miękko sadzał maszynę na pasie, Paul Hood wyglądał

przez okno. Od początku nie miał wątpliwości, gdzie dokołują. Jaskrawe światło umieszczone na dachu małego terminalu oświetlało grupę jedenastu mężczyzn ubranych w dżinsy i robocze koszule. Dwunasty miał na sobie ciemny garnitur. Raz za razem spoglądał na zegarek, bez przerwy przyglądał włosy. Z pewnością nie był prawnikiem. Brakowało mu cierpliwości.

Wśród „robotników” Paul rozpoznał Ballona. To po prostu musiał być ten facet z twarzą buldoga.

Ballon ruszył w ich kierunku, nim samolot zdążył się zatrzymać. Mężczyzna w garniturze truchtał za nim.

Matt Stoll odpiął pas. Wstał i wyprostował się. Trzasnęły kolana. - Nie dali nam nawet orzeszków - zauważył z wyrzutem.

Paul przyjrzał się mężczyźnie przypominającemu buldoga, który właśnie rozkazywał

podtoczyć schodki. Tak, to z pewnością Ballon. Kiedy drugi pilot otworzyła w końcu drzwi, schodki już czekały. Wysiadł pierwszy; za nim szli Nancy, Stoll i Hausen. Francuz oglądał

sobie każdego z gości, ale szczególnie długo i nieprzyjaźnie przyglądał się Hausenowi.

Dopiero gdy Paul zszedł na pas, bliżej zainteresował się jego osobą.

- Dobry wieczór - przywitał go Amerykanin. - Nazywam się Paul Hood.

Francuz potrząsnął wyciągniętą dłonią, odwzajemniając przywitanie. - Jestem pułkownik Ballon - powiedział. Kciukiem wskazał mężczyznę w garniturze. - A to monsieur Marais, celnik. Prosił, żebym uświadomił wam, że lotnisko w Tuluzie nie jest lotniskiem międzynarodowym i zezwolenie wam na lądowanie tu było przysługą oddaną mnie osobiście oraz *Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale*.

- *Vive la France* - burknął pod nosem Stoll.

- *Les passeports* - zwrócił się Marais do pułkownika.

- Chce zobaczyć wasze paszporty - przetłumaczył pułkownik. - Potem, mam nadzieję, będziemy mogli ruszać dalej.

- A jeśli zapomniałbym paszportu... czy to znaczy, że mógłbym wrócić do domu? -

zainteresował się Stoll.

Francuz przyjrzał mu się uważnie.

- Czy to pan zna się na tej maszynie? - spytał. - Owszem.

- Więc nie. Jedzie pan z nami, choćbym miał zastrzelić Maraisa.

Widząc, że nic się nie da wytargować, Matt - a za nim i reszta **towarzystwa** - wyjął

paszport z kieszeni. Marais sprawdził je bardzo dokładnie, porównując każdą twarz z fotografią. Uroczyście wręczył te sprawdzone Ballonowi, a dopiero on oddał je właścicielom.

- *Continuez* - pośpieszył pułkownika Marais.

- No, więc... mam wam także powiedzieć, że oficjalnie w ogóle się we **Francji** nie znaleźliście. I że powinniście opuścić jej terytorium przed upływem dwudziestu czterech godzin.

- Nie istniejemy, ale istniejemy - zauważył Stoll. - Arystoteles zakochałby się w tym facecie.

- Dlaczego akurat Arystoteles? - spytała stojąca za jego plecami Nancy. - Wierzył w abiogenezę, to znaczy uważał, że żywe istoty mogą powstać z materii nieożywionej. W XVII wieku Francesco Redi dowiódł fałszywości tego twierdzenia. A my dowiedliśmy dziś fałszywości dowodu Rediego.

Hood, rozdawszy paszporty, stał patrząc Maraisowi w oczy. Czytał w jego twarzy jak w otwartej księdze - coś tu było nie tak. Marais zresztą zaraz zabrał Ballona na stronę. Przez dłuższą chwilę rozmawiali po cichu, **po** czym Ballon wrócił. Jego twarz przypominała teraz pysk smutnego buldoga.

- Co się stało? - spytał go Paul.

- Boi się. - Pułkownik spojrzał na Hausena. - Nie chce, by ta wyjątkowo nieformalna sprawa dotarła do prasy.

- Nie dziwię mu się - stwierdził zimno Hausen. - Nikt nie chciałby chyba szeroko reklamować faktu, że jego kraj dał światu takiego Dominique'a.

- Nikt - przyświadczył Ballon - może z wyjątkiem obywatela kraju, który dał światu Hitlera.

W

podobnych

sytuacjach

instynkt

nakazywał

Paulowi

Hoodowi

podjęcie

natychmiastowej mediacji, teraz jednak postanowił on sobie, że się nie odezwie. I Niemiec, i Francuz zachowali się nieodpowiedzialnie; gdyby interweniował, zrobiłby sobie z nich wrogów.

Nancy nie miała takich skrupułów.

- Przyjechałam powstrzymać nowego Hitlera, a nie słuchać dowcipnych uwag o starym -

powiedziała. - Znajdzie się tu może ktoś chętny do pomocy? - I, nie czekając na odpowiedź, nie zwracając nawet uwagi na Ballona, Maraisa i resztę żandarmów, poszła w stronę terminalu.

Hausen spojrzał najpierw na Hooda, a potem na Francuza. **Ma** rację - przyznał. - A ja bardzo panów przepraszam.

Ballon zacisnął usta - najwyraźniej nie był całkiem gotów na przyjęcie przeprosin - a potem nagle złagodniał.

- *A demain* - powiedział stanowczo, zwracając się do Maraisa, po czym gestem wydał

rozkaz swym ludziom. Hood, Stoll i Hausen poszli za nimi. Paul Hood, różnym krokiem przemierzając terminal tuluzkańskiego lotniska zastanawiał się, czy słowa pożegnania, wybrane przez Ballona, nie kryły przypadkiem drugiego dna. *A demain* oznaczało przecież nie tylko „do jutra”, lecz takie precyzyjnie określało cel ich operacji.

Pułkownik poprowadził swych gości do dwóch czekających na nich półciężarówek.

Spokojnie, lecz stanowczo doprowadził do tego, że Stoll znalazł się bezpiecznie w jednej z nich, wciśnięty między Paula Hooda i Nancy. Sam usiadł z przodu, obok kierowcy. Trzej z jego ludzi zajęli ostatnie siedzenie. Żaden z nich nie był chyba uzbrojony. Uzbrojeni policjanci jechali drugim samochodem, z Hausenem.

- Czuję się jak botanik na „Bounty” - zauważył Matt, kiedy już ruszyli w drogę. - Jego zadaniem było przesadzić chlebowce, których poszukiwał kapitan Blight. Bardzo o niego dbano.

- A co z nami wszystkimi? - Nancy zmarszczyła się lekko. - Skończymy na Tahiti - orzekł

Paul.

Nancy nie uśmiechnęła się. Nawet na niego nie spojrzała. Paul nie potrafił obronić się przed wrażeniem, że jest na „Statku Głupców” raczej niż na „Bounty”. Teraz, kiedy rzeczywistość zastąpiła

romantyczne wspomnienia, doskonale pamiętał humory Nancy, pamiętał jak bez żadnego powodu raz była smutna, to znów gniewna lub przygnębiona. Te jej humory nie trwały długo, ale kiedy trwały, zdarzały im się przykre, bardzo przykre chwile.

Właściwie nie wiedział, co przeraża go bardziej: czy to, że zdążył zapomnieć, jak to było, czy też to, że Nancy właśnie popadła w humorki.

Ballon odwrócił się ku nim z przedniego siedzenia.

- Wykorzystałem wszystkie wyświadczone kiedykolwiek komukolwiek przysługi, by ściągnąć was do Francji - powiedział. - A niewiele ich zostało po tym, jak dostałem nakaz rewizji w Demain. Ten nakaz kończy się dziś o północy. Wolałbym go nie zmarnować. Za pomocą zdalnie sterowanych kamer wideo obserwowaliśmy siedzibę firmy dzień i noc, z nadzieją, że znajdziemy coś, co usprawiedliwiłoby rozpoczęcie akcji. Jak na razie nie znaleźliśmy niczego.

- A czego spodziewacie się po nas?

- Jeśli już mamy pomarzyć... najlepiej, gdybyście pokazali nam twarze znanych terrorystów. Członków... żołnierzy Nowych Jakobinów, pogrobowców stronnictwa, które nie wahało się mordować starców i dzieci, jeśli tylko należeli do arystokracji. - Kluczykiem wiszącym na łańcuszku u przegubu dłoni, Ballon otworzył samochodowy schowek. Wręczył

Hoodowi wyjętą z niego teczkę. Było w niej kilkanaście rysunków i zamazanych fotografii. -

To znani nam jakobini - powiedział. - Muszę zidentyfikować któregoś z nich wewnątrz, żeby rozpocząć akcję.

Paul przekazał zdjęcia Mattowi.

- Będziesz w stanie zobaczyć którąś z tych twarzy wystarczająco wyraźnie, by dokonać pozytywnej identyfikacji? - spytał.

Stoll przejrzał materiały.

- Może? - stwierdził. - To zależy od tego, za czym obiekt będzie stał, czy będzie się poruszał, ile czasu zajmie konstruowanie obrazu...

- Zgłasza fan mnóstwo zastrzeżeń - zirytował się Francuz. - A ja po prostu muszę zidentyfikować któregoś z tych potworów tam, w środku.

- Nakaz rewizji nie daje panu żadnych możliwości? - zainteresował się Hood.

- Najmniejszych. - Pułkownik był wyraźnie wściekły. - Nie pozwolę jednak, by kiepską jakość zdjęć wykorzystać jako pozór do mylnej identyfikacji i interwencji.

- Fajnie - zauważył Stoll, oddając mu teczkę. - Przynajmniej nie będę pracował w stresie.

- Zdolność do pracy w stresie odróżnia amatorów od prawdziwych profesjonalistów.

Nancy spojrzała gniewnie na Francuza.

- Mam wrażenie, że prawdziwy zawodowiec nie dopuściłby znanego terrorysty do środka

- powiedziała. - Mam też wrażenie, że Dominique kradł, prawdopodobnie zabijał i jest gotów rozpocząć wojnę. Zrobił swoje. Czy czyni to z niego profesjonalistę?

- Ludzie tary jak Dominique stawiają się ponad prawem - odparł spokojnie żandarm. -

Nasza sytuacja nie jest niestety aż tak komfortowa. - Bzdura. Mieszkam w Paryżu.

Amerykanie są tu traktowani jak śmiecie

i to przez wszystkich, od właścicieli budynków, w których wynajmują mieszkania, począwszy, na policji skończywszy: Prawo nas nie broni.

- Ale przestrzega pani prawa, prawda? - Oczywiście!

- Właśnie. Kiedy jedna strona działa poza prawem, jest po prostu stroną działającą poza prawem. Jest siłą złą. Ale jeśli obie strony działają poza prawem, mamy już coś innego.

Chaos.

Paul postanowił przerwać im tę rozmowę. Zmienił temat. - Długo jeszcze będziemy jechali? - spytał.

- Mniej więcej piętnaście minut. - Ballon spojrzał na Nancy. Nancy odwróciła wzrok. -

Pani Bosworth - powiedział - przytoczyła pani dobre argumenty. Bardzo mi przykro, że tak ostro potraktowałem pana Stolla. Ale mam do czynienia ze sprawą wielkiej wagi. - Przyjrzał

się po kolei każdemu z nich. - Czy rozważyliście państwo ryzyko zwycięstwa?

- Nie - przyznał Paul, zaciekawiony. - Co ma pan na myśli?

- Jeśli dokonamy chirurgicznego cięcia i upadnie sam Dominique, jego przedsiębiorstwo i firmy z nim związane przetrwają. Jeśli jednak nie przetrwają, stracimy miliardy dolarów.

Francuska gospodarka i francuski rząd Martą poważnie zdestabilizowane. Stworzy to próżnię

- taką, jaką znamy z przeszłości. - Spojrzał na jadącą za nimi drugą półciężarówkę. - Próżnię, w której, jak uczy historia, kwitnie niemiecki nacjonalizm. W której niemieccy politycy podgrzewają atmosferę. - Ballon obrócił wzrok. Patrzył teraz Paulowi wprost w oczy. - Kiedy powstaje taka próżnia - stwierdził - Niemcy zaczynają łakomie spoglądać na Austrię, na Sudety, na Alzację i

Lotaryngię. Pani Bosworth, panowie... spacerujemy po linie. Jeśli nie chcemy spaść, musimy iść bardzo ostrożnie. Prawo jest rozpiętą pod tą liną siatką. Ostrożność i prawo - tylko one umożliwią nam przejście nad przepaścią.

Nancy wyjrzała za okno. Hood doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie okaże skruchy. Przerwanie kłótni musiało wystarczyć Ballonowi za przeprosiny.

- Ja także wierzę w prawo i w system, który zbudowaliśmy, by je chronić. Pomożemy panu w pańskim spacerku, panie pułkowniku. Ballon lekko skinął głową - ten drobny gest był jak do tej pory jedynym dowodem na to, że toleruje ich obecność.

- Dzięki, szefie - westchnął Stoll. - Jak mówiłem, cieszę się, że nie będę musiał pracować w stresie.

Czwartek, 21.33 - Wünstorf, Niemcy

Kiedy samochód stanął, Jodie zdjęła nogę z pedału gazu, oparła głowę na zagłówku i zamknęła oczy.

- Nie mogę się ruszać - westchnęła.

Bob Herbert włączył światelko w kabinie. Pochylił się ku niej. - Kochanie, będziesz musiała - stwierdził.

- Nie...

Bob zaczął wydzierać gąbkę z rozdartego siedzenia.

- Dalej nie pojedziemy - tłumaczył jej. - Albo ruszamy w drogę, albo już nie żyjemy.

- Nie dam rady.

Herbert odchylił kołnierz jej bluzki i delikatnie starł krew z rany. Rana wlotowa okazała się bardzo niewielka; nie zdziwiłby się, gdyby pochodziła od pocisku kalibru 5,6 mm, wystrzelonego przez jakiegoś gówniarza z karabinka sportowego.

Dumy mały ludzki śmieć, pomyślał. Porzygałby się na widok własnej krwi. - Boję się -

powiedziała nagle Jodie. - Myliłam się - dodała i jęknęła: - Przecież nadal się boję!

- To normalne. Za wiele od siebie wymagasz.

Współczuł dziewczynie, ale nie mógł sobie pozwolić na okazanie współczucia. Nie mógł

jej stracić. Nie teraz. Ani przez chwilę nie wątpił, że Karin będzie ich ścigać, sama lub w towarzystwie. Neofaszystowski kaduceusz domagał się ofiary krwi i tylko pomazany krwią ofiar mógł służyć jako symbol potęgi.

- Słuchaj, Jodie, jesteśmy już blisko miejsca, w którym to wszystko się zaczęło, jakiś kilometr od głównej drogi. Jeśli uda się nam do niej dotrzeć, wszystko będzie w porządku.

Otworzył schowek. Znalazł w nim buteleczkę aspiryny. Dał dziewczynie dwie pastylki.

Do popicia miała butelkę wody mineralnej z tylnego siedzenia. Kiedy skończyła, opuścił

dłonie i zaczął nimi macać za siedzeniem. Szukał czegoś.

- Jodie, musimy wiać. - Znalazł to, czego szukał. - Ale najpierw, kochanie, musimy zająć się raną.

- Jak? - Jodie szeroko otworzyła oczy. Poruszyła ramieniem i skrzywiła się z bólu.

- Przede wszystkim trzeba wyjąć kulę. Nie mam jednak ani bandaża, ani nici, żeby szyc brzegi. Będę musiał użyć... innego sposobu.

Dziewczyna nagle oprzytomniała. - Przypalisz ją, prawda?

- Już to kiedyś robiłem. Musimy jakoś wydostać się z tego bagna, a mnie brakuje siły, żeby zrobić to samemu. Wiem, że będzie cię bolało, ale przecież i tak cierpisz. Musimy coś z tym zrobić.

Jodie odchyliła głowę.

- Kochanie? Nie mamy czasu do stracenia. - No... dobrze. Do roboty.

Trzymając dłonie nisko, tak, by nie mogła ich zobaczyć, Bob zapalił zapałkę i w jej płomieniu opalił czubek noża, sterylizując go w ten sposób. Po kilku sekundach zdmuchnął

płomień. Palcami otworzył ranę. W żółtym świetle samochodowej lampki metal błysnął

słabo. Herbert odetchnął głęboko. Lewą ręką zakrył usta dziewczyny.

- Ugryź mnie, jeśli chcesz - powiedział, unosząc nóż. Jodie jęknęła.

Cały problem w wydobywaniu pocisku polega na tym, żeby nie pogorszyć sytuacji, nie spowodować obrażeń większych, niż już istniejące. Pocisk należało jednak wyjąć koniecznie, bo inaczej mógł wędrować, rozdzierając tkanki, lub nawet rozpaść się. Szpitalny chirurg uczyniłby to peanem lub pęsetą, on jednak dysponował wyłącznie nożem. Oznaczało to, że musi dostać się pod kulę i wyjąć ją jak najszybciej. Jodie z pewnością będzie próbowała się wyrwać, ostrze rozetnie ranę.

Przyglądał się jej przez chwilę, oceniając sytuację. Pocisk przeszedł pod kątem, z lewa na prawo. Nóż musi podążyć dokładnie jego śladem. " Wstrzymał oddech, znieruchomiał i zabrał się do roboty.

Jodie krzyknęła, lecz jej okrzyk stłumiła położona na ustach ręka. Walczyła, wiała się, ale przytrzymał ją łatwo - wózek inwalidzki sprzyja rozwojowi mięśni górnej części ciała. Bez poważniejszych problemów podłożył ostrze pod kulę i użył go jak dźwigni, by ją wyciągnąć.

Wyszła powoli i stoczyła się na dół.

Herbert schował nóż. Puścił dziewczynę. W ręku trzymał zapałki. - Potrzebuję pięciu sekund na zasklepienie rany. Wytrzymasz? Skinęła głową raz, szybko. Usta miała mocno zaciśnięte.

Bob zapalił zapałkę, a nią pudełko z pozostałymi zapałkami. W ten sposób uzyskał

większą temperaturę niż przez podgrzanie ostrza noża, dzięki czemu wszystko mogło odbyć się szybciej. A teraz liczyła się już każda sekunda.

Znów zasłonił jej usta, po czym przycisnął do ciała płonące zapalniczki. Jodie zeszytywniała.

Herbert znał ten ból, wiedział, że pogorszy się on jeszcze, gdy z ciała wyparuje wilgoć.

Ugryzła go, mocno. Nie krzyknął jednak, lecz pochylił się do jej ucha.

- Widziałaś może Kennetha Branagha w „Henryku V”?

Sekunda. Krew zaczęła wrzeć. Jodie kurczowo złapała go za nadgarstek. - Pamiętasz, co powiedział swym żołnierzom?

Dwie sekundy. Ciało poczerniało. Zęby przebiły mu skórę.

- Powiedział, że pewnego dnia pokażą dzieciom blizny i będą się chwalić, jacy byli twardzi.

Trzy sekundy. Ciało zaczęło syczeć. Jodie słabła. Oczy uciekły jej w głąb czaszki.

- To o tobie. Tylko, że ty będziesz pewnie miała operację kosmetyczną. Cztery sekundy.

Pod wpływem ciepła rana zaczęła się zasklepiać. Jodie opuściła rękę.

- Nikt ci nigdy nie uwierzy, że rzeczywiście zostałeś postrzelony. Że w Dniu Świętego Kryspina tańczyłaś u boku króla Boba Herberta.

Pięć sekund. Wyciągnął zapalniczki; wyszły ze spalonego ciała z cichym plaśnięciem.

Wyrzucił je, a potem strząsnął ze skóry Jodie nadal tłące się na niej węgielki. Bolesna operacja wreszcie dobiegła końca. Rana została zamknięta.

Zdjął lewą dłoń z jej twarzy. Krwawiła.

- No, to oboje możemy się teraz pochwalić bliznami - stwierdził, otwierając drzwi. - Jak sądzisz, możesz iść?

Jodie spojrzała mu wprost w oczy. Była zrana potem:

- Poradzę sobie - powiedziała. Nie patrząc na ranę, poprawiła bluzkę. - Skaleczyłam cię w rękę, prawda?

- Nic mi nie będzie - chyba że masz wściekliznę. A teraz... może mogłabyś mi pomóc?

Powinniśmy wynosić się stąd, i to gazem.

Jodie wysiadła i obeszała samochód. Poruszała się wolno, niepewnie, ale z każdym krokiem nabierała pewności siebie i kiedy znalazła się obok niego, odzyskała już wiele z dawnego temperamentu. Miała jednak pewne kłopoty z wyciągnięciem wózka. Herbert wskoczył nań wprost z samochodowego

siedzenia.

- Idziemy - zarządził. - Wprost na wschód. W lewo. - Ale przecież ja nie przyszedłam z tej strony?

- Wiem. No, do roboty.

Pojechali. Wózek wydawał się przewracać na każdym korzeniu, na każdej gałęzi. Gdzieś, na razie jeszcze daleko za plecami, wśród ciszy chłodnej nory usłyszeli trzask gałązki.

- Nigdy się nam nie uda - powiedziała Jodie.

- Uda się, uda. Jeśli tylko będziemy dalej jechać w tym kierunku. Jodie pochyliła się i przyśpieszyła lekko. Jechali w mroku i w tym mroku Bob wyjawiał dziewczynie, czego jeszcze od niej oczekuje.

□ Czwartek, 21.56 - Tuluza, Francja

Ballon, Hood, Hausen i Nancy wysiedli z zaparkowanych półciężarówek. Rzekę Tarn przekroczyli pieszo, po wysokim, ceglany moście. Światło umieszczonych mniej więcej co dwadzieścia metrów latarni wystarczająco skutecznie rozpraszało mrok. Widzieli dobrze. Paul był świadom tego, że są równie dobrze widziani. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia.

Dominique z pewnością zakładał, że jest obserwowany i ich wejście na scenę nie powinno skłonić go do przedsięwzięcia dodatkowych środków ostrożności.

Dotarłszy do niegdysiejszej *bastida* całe towarzystwo rozsiadło się na opadającym w stronę rzeki pagórku na trawie, ukryte za gęstą kępą krzaczków. Stoll, przez cały czas burczący coś do siebie, oddał komputer pod opiekę Nancy i zabrał się za rozpakowywanie *T-Birda*.

- Jest pan pewien, że nie robimy niczego nielegalnego? - zwrócił się do Ballona. - Nie mam zamiaru skończyć jako gwiazda "Midnight Express II", skarcona laską.

- My, Francuzi, nie postępujemy w ten sposób - obruszył się Ballon. - I nie robimy nic nielegalnego.

- Powinienem zapoznać się z nakazem jeszcze w samolocie. Ale co by mi z tego przyszło? Przecież nie umiem po francusku.

Stoll podłączył urządzenie wielkości pudełka do butów z procesorem obrazów wielkości niedużego faksu. Ustawił go przodem do fasady budynku, a następnie włączył liniowy skaner lasera. Zadaniem skanera było oczyścić obraz z szumów, spowodowanych rozpraszającymi światło cząsteczkami powietrza.

- Panie pułkowniku, wie pan może, jak grube są te ściany? - spytał Ballona.

- Przeważnie piętnaście centymetrów.

- Więc nie powinny sprawiać większych kłopotów. - Stoll przykucnął i włączył generator tetrahertzowy. Nie upłynęło nawet dziesięć sekund, kiedy rozległ się cichy pisk - Ale na pewno będziemy wiedzieli za jakieś pół minuty - dodał.

Nie wstając wyczekiwał, kiedy generator obrazów wydrukuje to, co przetworzył. Papier wysuwał się ze szczeliny z prędkością mniej więcej średnio szybkiego faksu. Ballon przyglądał mu się z napięciem.

Matt Stoll oderwał kartkę, gdy tylko wysunęła się w całości. Francuz obejrzał ją przy świetle małej latarki. Zaglądali mu przez ramię, zaciekawieni... i, nagle, serce Paula Hooda stało się ciężkie jak głaz. Z czymś takim daleko nie zajadą.

- Co to jest? - spytał Ballon. - Woda w basenie?

Stoll podniósł się; kolana mu trzasnęły. Przyjrzał się kartce.

- To obraz ściany grubszej niż piętnaście centymetrów - wyjaśnił. Przystudiował dane ze skanera, wydrukowane u spodu strony. - Promień dotarł na głębokość stu pięćdziesięciu sześciu milimetrów - wyjaśnił i tam się zatrzymał. Co oznacza, że albo ściana jest grubsza, niż pan sądził, albo coś ją ekranuje od środka.

Paul spojrział na Nancy. Stała ze zmarszczonymi brwiami, a potem przyjrzała się uważnie pięciopiętrowemu budynkowi. Wszystkie okna zasłonięte były okiennicami. Z pewnością wyłożono je materiałami odbijającymi fale radiowe.

Ballon z wściekłością cisnął wydruk na ziemię.

- To po to tu przyjechaliśmy? - niemal krzyknął.

- Płacisz i ryzykujesz. - Stoll najwyraźniej odczuł ogromną ulgę. Chyba od razu wiedzieliśmy, że nie będzie to takie łatwe jak włamanie się do rządowych komputerów. - Już mówiąc te słowa zorientował się, że popełnił błąd. Ballon oświetlił go latarką. Hood patrzył

na niego zdziwiony.

- Pan umie włamywać się do komputerów? - spytał Francuz. Matt rzucił szefowi żalosne spojrzenie.

- No... Tak, to znaczy, umiem. Ale to nielegalne, a już zwłaszcza...

- Próbowaliśmy z komputerami Dominique'a, ale nie znaleźliśmy ich nigdzie na sieci.

Moi najlepsi ludzie ciągle pracują nad tym problemem. - Nie udało się wam dlatego, że nie wiedzieliście, gdzie szukać - wtrąciła Nancy. - Znaleźliście jakieś jego gry?

- Oczywiście.

- Więc zapewne kryli się za nimi. Za MUD-ami; "Multi-User Dungeons".

- Hej, bawiłem się czymś takim w samolocie - ucieszył się Stoll.

- Wiem. Widziałam, jakie wystukujesz komendy. Także przy tej poczcie elektronicznej, którą wysłałeś.

Paulowi nagle zrobiło się gorąco ze wstydu.

- To jak czytanie z warg - wytłumaczyła mu dziewczyna. - Mając odrobinę doświadczenia, identycznie czytasz z klawiatury. W każdym razie, kiedy programujemy jakąś grę, zawsze zostawiamy ukrytą w niej bramkę do innej gry. W „Żelazną Szczękę”, którą zrobiłam dla Demain, wpisałam na przykład „Tetris”.

- To twoja gra? - ucieszył się Stoll. - Była znakomita!

- Moja, moja. Nikt nigdy nie czyta przewijających się na końcu napisów. Gdybyś je przeczytał, znalazłbyś „Tetris”. Wystarczyło tylko zaznaczyć właściwe litery w fikcyjnych imionach Ted Roberts i Trish Fallo.

- Jakim cudem można się tego domyślić? - zdumiał się Hood.

- Nie można - Nancy uśmiechnęła się wesoło. - Dlatego to taka fajna zabawa. Puszczamy informacje przez magazyny dla graczy i BBS.

- I nikt nie pomyśli, by poszukać kodu aktywującego w niewinnej przygodówce, co?

Bulletin Board System - komputer wykonujący w trybie ciągłym specjalizowany program pozwalający łączyć się z nim innym komputerom [przyp. red.].

- Właśnie. Chodzi dokładnie o to. O niewinny kod. Program w czyimś komputerze w Pipidowie Górnej może uwolnić rasistowskie gry w całym Internecie.

- Dlaczego wcześniej niczego nie powiedziałaś?

- Szczerze mówiąc, wyleciało mi to po prostu z głowy. Nawet nie pomyślałam, że ktoś może przemycić rasistowskie gry w niewinnych rolplejach. Dlaczego nie zgłaszasz pretensji do Matta? On jest twoim komputerowym czarodziejem.

- Ma rację dziewczyna - zgodził się Stoll. - Powinienem być o tym pomyśleć. To jak w tym starym powiedzeniu: zamiast polować na słonia powinienes zająć się do lodówki.

Hood nie pamiętał takiego przysłowia; zresztą przysłowia nic go w tej chwili nie obchodziły.

- A więc rasistowskie gry zostały ukryte - stwierdził. - Gdzie ich szukamy?

- A jeśli nawet je znajdziemy - wtrącił Hausen - to czy zdołamy prześledzić ich drogą do Dominique'a?

- Trudno powiedzieć, gdzie szukać - powiedział Stoll. - Mogli je zaprojektować, żeby odbijały się jak piłka. Ze „Skorpionów” do „Phoenix”, z „Kosmicznych Pazurów” do

„Człowieka-tygrysa”.

- A czy taka ukryta gra musi objawić się w grze Demain? - spytał Hood.

- Nie. Kiedy już ją ukryto, jest jak wirus. Wpisano w nią czas, kiedy ma się ujawnić.

- A więc nie sposób złapać złodzieja z ręką w kieszeni ofiary?

- Nie sposób - zgodził się Matt. - Nawet jeśli coś takiego znajdziemy i unieszkodliwimy, co wydaje mi się wątpliwe, bo pewnie istnieją zapasowe kopie, odcisków palców tam nie będzie.

- Nic mi to nie pomaga. Nic a nic - głos Ballona był pełen obrzydzenia.

Hood zerknął na zegarek.

- On zaraz będzie w sieci - powiedział. - Nancy, jesteś pewna, że nic więcej o tym nie wiesz? O sposobie, w jaki działa albo o tym, co mogli wymyślić programiści?

- Jestem pewna. A poza tym, ja nie zajmuję się wykańczaniem tego rodzaju programów.

Ustalam parametry, rysuję kształt. Inni zajmują się jego kolorowaniem. Zarabiają kupę forsy, pracują oddzielnie i są bezwzględnie lojalni w stosunku do szefa. Kiedy robimy coś takiego jak włączanie gry w grę; to głównie już po wszystkim. To zupełnie nie moje pole działania.

Na moment zapadła całkowita cisza. Nagle Matt klasnął w dłonie i niema] upadł na trawę.

- Wiem, jak to zrobić! - krzyknął. - Wiem, jak dorwać sukinsyna! Ballon przysiadł obok niego.

- Jak?

Reszta towarzystwa zgromadziła się obok nich. Matt rozplątał kable laptopa i podłączył go do *T-Birda*.

* Przygodowe gry komputerowe [przyp. red.].

- Programiści pracują jak malarze - wyjaśnił. - Widzieliśmy to przecież w biurze pana Hausena. Korzystają z krajobrazu, który mają obok siebie. Teraz jest ciemno, ale jeśli zrobię tetraherzowe „fotografie”, drzewom, wzgórzom, ich skład chemiczny pojawi się w formie graficznej. Będziemy wiedzieli, jaki kształt ma tu wszystko, łącznie z liśćmi i kamieniami.

Podładujemy go do komputera...

- I dzięki programowi porównawczemu sprawdzimy, czy coś się powtarza - dokończyła za niego Nancy. - Matt, to genialny pomysł!

- A pewnie, że genialny. jeśli mamy choć odrobinę szczęścia, całą operację da się przeprowadzić stąd. Jeśli będę potrzebował więcej mocy, zawsze mogę podładować pliki do Centrum.

Matt pracował szybko, pewnie. Paul stał obok niego, niezbyt orientując się wprawdzie, w czym rzecz, ale w pełni ufając współpracownikowi. W tym momencie zadzwonił jego telefon.

Odszedł kilka kroków w stronę rzeki i włączył go.

- Tak?

- Paul, tu John Benn. Możesz rozmawiać? - Mogę.

- Mam dla ciebie pełen raport, ale to chyba jest najważniejsze. Maximillian Hausen, ojciec naszego Hausena, pracował jako pilot dla Pierre'a Dupre od 1966 do 1979 roku.

- Powiedziałaś, 1966? - Tak.

A więc było to przedtem, nim Richard Hausen i Gerard Dupre spotkali się na uczelni. A więc nie wydawało się szczególnie prawdopodobne, by spotkali się dopiero na Sorbonie, jak twierdził Hausen. Niemal na pewno znali się już wcześniej. Paul zerknął na Niemca, przypatrującego się pracującemu Stollowi. Nie bardzo przejmował się tym, kiedy się spotkali, bardziej niepokoiło go pytanie, czy dalej się kontaktują. Czy są wrogami, czy też sojusznikami.

- Jest jeszcze coś - usłyszał w słuchawce. - Wygląda na to, że Hausen senior pozostał

lojalnym nazistą, spotykającym się po wojnie, w tajemnicy, z innymi nazistami, należącymi do grupy Białych Wilków, planujących powstanie N Rzeszy.

Hood odwrócił się plecami do grupy.

- Czy Richard też do nich należał? - spytał cicho. - Nie mamy dowodów ani na tak, ani na nie.

To przynajmniej przyniosło mu jakąś ulgę. - Masz jeszcze coś, John?

- Na razie nie.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

- Nie ma o czym mówić - powiedział Benn. - Dobrej nory.

Hood wyłączył telefon. Przez chwilę przyglądał się ciemnym wodom rzeki Tarn.

Dobrej nory? Czy to możliwe? - spytał sam siebie. Odwrócił się i dołączył do grupy.

□ **Czwartek, 22.05 - Wünstorf, Niemcy**

Jorfie poruszała się tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to słabe, mocno uginające się nogi. Zdumiewające, myślała, jak wiele rzeczy traktowałam do dziś jako oczywiste. Na przykład zdrowe ciało. Na przykład spacer po lesie dla przyjemności. Pchanie, a czasami ciągnięcie inwalidzkiego wózka z inwalidą w środku nadawało spacerowi zupełnie inną perspektywę. A jeśli dodać jeszcze do tego, że ścigał ich po owym lesie ktoś, kogo słyszeli, lecz nie widzieli, o przyjemności nie mogło być po prostu mowy.

Jorfie potknęła się, odzyskała równowagę, pchnęła wózek, jęknęła i wsparła się na nim.

Wózek bez niej nie pojechałby ani kroku, ona bez wózka nie byłaby w stanie utrzymać się na nogach.

- Stój. Nawet nie próbuj zrobić kroku! Zatrzymała się posłusznie.

- Ręce nad głowę.

Usłuchała bez słowa sprzeciwu.

- Zrób dwa kroki w lewo. Nie oglądaj się!

Spełniła i to polecenie. Słyszała, jak Karin Doring rusza przed siebie, ciężko dysząc.

Drgnęła, gdy trzy pociski jeden za drugim trafiły w skórzane oparcie wózka. Martwe ciało osunęło się na ziemię.

- Boże... Boże! - westchnęła.

Karin okrążyła ją. Nawet w ciemności przerażona dziewczyna widziała jej wściekłą twarz. Widziała także nóż.

- Jak śmiałaś pojawić się w moim obozie!? - wrzasnęła Karin. W jej głosie było teraz znacznie więcej gniewu, niż kiedy spotkały się po raz pierwszy. Kopnęła zastawiający jej drogę wózek. - Jak śmiałaś rzucić mi wyzwanie?! Jak śmiałaś mnie obrazić!?

- Prze... przepraszam... - Jorfie aż trzęsła się ze strachu. - Przecież... przecież gdybyś była mną, zrobiłabyś to samo.

- Ale ty nie jesteś mną! Nie poświęciłaś niczego..!

Nagle zza drzew rozległy się trzy strzały. Karin drgnęła, ale utrzymała sil na nogach, mimo że trafiły ją trzy pociski. Uniosła głowę; na jednej z niższych gałęzi dostrzegła Herberta.

Padła na kolana.

Bob rzucił broń, a potem zawisł na gałęzi. Ramiona miał tak silne, że nie sprawiło mu to najmniejszych kłopotów.

- W tej chwili dziewczyna z pewnością bardzo cieszy się z tego, że nie jest tobą, Karin - powiedział.

Karin Doring przegrywała walkę z opadającymi na oczy powiekami. Powoli potrząsała głową, próbowała unieść broń, ale pistolet wypadł jej ze słabnącej... z martwej dłoni.

Jodie nie patrzyła na ciało. Nogą odsunęła zwłoki martwego policjanta, które poprzednio położyli na wózku. Pomogła Bobowi usiąść. Potem, wyczerpana, oparła się o drzewo.

- Zrobiłaś, co musiałaś i zrobiłaś to jak prawdziwy zawodowiec - powiedział jej Herbert. -

Jestem z ciebie dumny. - Sięgnął po upuszczoną wcześniej broń. - A teraz...

Nie zdążył dokończyć zdania. Z ciemności, z dzikim wrzaskiem zaatakował go jakiś człowiek. Manfred Piper z rozmachem zadał mu cios nożem w pierś.

□ Czwartek, 22.06 -Tuluza, Francja

Paul Hood schował telefon do kieszeni marynarki i po pokrytym śliską trawą zboczu wrócił do grupki swych towarzyszy, stojących pod drzewami, mniej więcej w tym miejscu, w którym ich zostawił. Tylko Matt Stoll przesunął się o parę metrów w stronę mostu. Z nowego miejsca miał niczym nie zakłócony widok na rzekę i jej przeciwległy brzeg.

Podchodząc, Paul usłyszał skierowane do Nancy słowa Ballona:

- ...może i nas widzą, ale niech ich diabli. Nic mnie to nie obchodzi. Tak samo było, kiedy wpadłem na byłą żonę z kochankiem. To, co widzisz, może ci się nie podobać, ale brak aprobaty nie zmieni rzeczywistości.

- Nie o to pytałam. Pytałam, czy spodziewa się pan, że widzą nas z Demain. A jeśli widzą, to jak pan sądzi, co się może zdarzyć?

- Jesteśmy na terenie publicznym. Nawet gdyby nas widzieli, nie mogliby nic zrobić.

Zresztą nie sądzę, by Dominique stanął do walki. Nie teraz, kiedy ładują się jego gry.

Paul podszedł do Hausena. Już miał zamiar poprosić go o rozmowę, kiedy akurat obok nich znalazł się Ballon.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Nie jestem pewien. Matt, kontrolujesz sytuację?

- Mniej więcej. - Stoll siedział na ziemi z wyprostowanymi nogami. Na kolanach położył

komputer. Walił w klawiaturę jak oszalały. - Jak powiedzieć po francusku sztywniak?

- Trup to będzie *le cadaver*...

- Dobra, niech będzie kadawer. Nasi chłopcy to kadawery. Pierwsza gra ruszyła dokładnie o dziesiątej. Dokładnie. Dziesiąta zero zero. Zapisałem ją na dysku. *T-Bird* jednym zdjęciem pokrywa mniej więcej trzydzieści osiem stopni, więc całość powinienem mieć za jakieś dziesięć minut.

- A potem... ?

- Potem będę musiał zagrać. Dostać się do kolejnych ekranów, kolejnych obrazów.

- Dlaczego nie prześlesz tego wszystkiego do Centrum?

- Bo nie zrobiliby niczego, czego nie jestem w stanie zrobić tu. Piszę małą modyfikację do mojego

„MatchBooka”, żeby mógł czytać obrazy z *T-Birda*. Potem wszystko już w rękach bogów. Jeśli niczego przesadnie nie spaprzę, dostaniemy szereg obrazów tła z gry. Komputer piśnie, kiedy trafi na tutejszy. - Stoll przestał walić w klawisze i wziął głęboki, bardzo głęboki oddech. Włączył grę. - Nie będę się przy niej dobrze bawił oświadczył. - Jest o linczu.

Nancy podeszła do nich, jeszcze gdy rozmawiali. Klęknęła za Mattem, delikatnie położyła mu dłonie na ramionach.

- Pomogę ci, dobrze? - spytała. - Całkiem nieźle gram.

Paul przez chwilę się im przyglądał. To, jak dotknęła Matta, sprawiło, że poczuł zazdrość.

Obserwował jej delikatne niczym płatki kwiatu dłonie, opadające na jego ramiona i czuł tęsknotę. Zarówno zazdrość, jak i tęsknota wydały mu się obrzydliwe.

Nagle, jakby świadomie wybrała ten moment, Nancy odwróciła się powoli. Miał czas, by spojrzeć w innym kierunku - gdyby chciał. Ale nie chciał. Ich spojrzenia spotkały się... i utonął w jej oczach. Dopiero myśl o Hausenie sprawiła, że oprzytomniał. Sprawa Hausena z pewnością ważniejsza była od zauroczenia Nancy.

- *Herr* Hausen, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów? Niemiec spojrział na niego z nadzieją, niemal błagalnie.

- Oczywiście - powiedział. Najwyraźniej głęboko poruszyło go to, czego był świadkiem...

ale poruszenie nie dowodzi przecież, po której stoi stronie. Paul położył mu rękę na ramieniu i odprowadził go kawałek w stronę rzeki. Ballon szedł kilka kroków za nimi. W porządku. Jego też dotyczyła ta sprawa.

- Ten telefon, który miałem przed chwilą - powiedział do Niemca był z Centrum. Nie ma sposobu, żeby delikatnie zadać takie pytanie, więc spytam po prostu: dlaczego nie powiedział

nam pan, że pański ojciec pracował dla Pierre'a Dupre?

Hausen stanął jak wrośnięty w ziemię. - A pan skąd o tym wie?

- Poprosiłem moich ludzi, żeby zajrzeli w akta niemieckiego urzędu podatkowego.

Pracował dla Dupre seniora jako pilot od 1966 do 1979 roku. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- To prawda - przytaknął w końcu Hausen. - I o to między innymi pokłóciliśmy się z Gerardem tej nocy, w Paryżu. Mój ojciec nauczył go pilotażu, traktował go jak syna, zaraził

nienawiścią...

Ballon dołączył do nich. Pochylił się, jego twarz zaledwie centymetry dzieliły od twarzy Niemca.

- Pański ojciec pracował dla tego potwora? - wysyczał. - A gdzie jest teraz?

- Umarł dwa lata temu.

- To jeszcze nie wszystko - wtrącił Hood. - Proszę nam opowiedzieć o poglądach politycznych ojca.

Hausen głęboko zaczerpnął powietrza.

- Były mi wstrętne - wyznał. - Ojciec należał do Białych Wilków grupy, która po wojnie podtrzymywała przy życiu hitlerowskie ideały. Jej członkowie regularnie się spotykali.

Ojciec...

- Co, ojciec? - ponaglił go Ballon. Hausen opanował się z trudem.

- Wierzył w Hitlera i w cele III Rzeszy. Koniec wojny był dla niego po prostu przeszkodą, nie klęską. Walczył dalej, na swój sposób. Kiedy miałem jedenaście lat... -

przerwał, odetchnął głęboko - ...ojciec i dwaj jego przyjaciele wracali z kina do domu.

Spotkali syna rabina. Szedł z synagogi. Potem matka wysłała mnie do Berlina, do szkoły z internatem. Ojca zobaczyłem znowu wiele lat później, już po tym, jak na Sorbonie zaprzyjaźniłem się z Gerardem.

- Chce mi pan powiedzieć, że Gerard wstąpił na Sorbonę tylko po to, żeby się z panem zaprzyjaźnić, żeby ściągnąć pana do domu? - w głosie Hooda brzmiało wyraźne niedowierzanie.

- Niech pan zrozumie, proszę, że od najwcześniejszych lat byłem kimś, z kim trzeba się było liczyć. To, co zrobił ojciec, wzbudziło we mnie najwyższe obrzydzenie. Ciągłe słyszę, jak woła, żebym się do nich przyłączył, jakby była to jakaś jarmarczna uciecha, której nie powinienem przeoczyć. Słyszę, jak ten chłopak jęczy, słyszę zadawane mu ciosy, zgrzyt butów po chodniku, kiedy go kopali. Jakie to było wstrętne! Matka kochała ojca; wysłała mnie z domu tej samej nory, po to, żebyśmy się nawzajem nie zniszczyli. Mieszkałem z kuzynem w Berlinie. To tam założyłem pierwszą antynazistowską grupę. Na szesnaste urodziny dostałem własny program radiowy, a w miesiąc później ochronę policyjną. Jednym z powodów, dla których pojechałem za granicę, była groźba zamachu na moje życie. Nigdy nie udawałam, że myślę inaczej, niż myślę. - Hausen spojrzał na Ballona. W jego wzroku był

gniew. - Nigdy... Czy jest pan w stanie to zrozumieć?

- A co z Gerardem? - spytał Paul.

- Prawie dokładnie to, co opowiedziałem panu wcześniej. Był bogatym i zepsutym młodym człowiekiem, który dowiedział się wszystkiego na mój temat od mojego ojca. Sądzę, że byłem dla

niego wyzwaniem. Białym Wilkom nie udało się mnie zastraszyć. Gerard próbował powstrzymać mnie za pomocą dyskusji, racjonalnej argumentacji. Tej nocy, kiedy zabił dziewczyny... zrobił to, by dowieść, że tylko barany i tchórze przejmują się nakazami prawa. Jeszcze uciekając mówił, że ludzie zmieniający świat narzucają mu swe własne reguły i zmuszają innych, by żyli według nich.

Hausen spojrział w ziemię, Paul na Ballona. Francuz był wyraźnie wściekły. - Był pan co najmniej świadkiem zabójstwa - powiedział - ale nie zrobił pan nic, tylko uciekł i ukrył się.

Po czyjej pan jest stronie, panie Hausen?

- Postąpiłem wówczas źle i płacę za to do tej pory. Zrobiłbym wszystko, gdybym mógł

dziś powrócić do tamtej nocy i wydać Gerarda policji. Nie mogę. Bałem się, nie wiedziałem, co robić... i uciekłem. Próbowałem naprawić ten błąd, panie Ballon. W każdej chwili życia próbowałem go naprawić.

- Niech mi pan powie coś więcej o ojcu - przerwał mu Hood.

- Po tej historii z synem rabina widziałem się z nim zaledwie dwukrotnie. Po raz pierwszy w posiadłości Pierre'a Dupre, kiedy uciekliśmy tam z Gerardem. Powiedział, że muszę się do nich przyłączyć, że tylko w ten sposób mogę się uratować. Kiedy odmówiłem, nazwał mnie zdrajcą. Drugi raz... tej nocy, kiedy zmarł. Pojechałem do niego, do Bonn. Umierał, ale znów nazwał mnie zdrajcą. Czuwałem przy łożu śmierci ojca i nawet wtedy nie przyznałem mu racji. Matka była świadkiem. Jeśli chcecie, możecie do niej zadzwonić, sprawdzić, czy kłamię.

Ballon zerknął na Paula, Paul jednak nadal wpatrywał się w twarz Hausena. Czuł to samo co podczas lotu do Francji. Chciał wierzyć, że ten człowiek jest szczery. Gra szła jednak o życie wielu ludzi, no i mimo przekonywających słów, mimo oświadczeń polityka, pozostał

przecież cień wątpliwości. Wyjął telefon z kieszeni, wybrał numer. W słuchawce usłyszał głos Johna Benna.

- John, chcę wiedzieć, kiedy umarł Maximillian Hausen.

- Nasz nagle wszechobecny nazista, co? Zajmie mi to jakąś minutkę. Zaczekasz?

- Zaczekam.

Benn odszedł od telefonu.

- Przepraszam - powiedział Hood do Hausena. - Jestem to winien Mattowi i Nancy.

- Na pana miejscu postąpiłbym podobnie - odparł Hausen - ale powtarzam, że nienawidzę Gerarda Dominique'a, jego Nowych jakobinów, neonazistów wszelkiej maści i wszystkiego, co sobą

reprezentują. Gdyby nie śmierdziało to właśnie faszyzmem, wydałbym własnego ojca.

- Musiał pan dokonywać w życiu trudnych wyborów.

- I dokonałem ich. Gerard się mylił. Tylko tchórze operują poza prawem. - Paul? -

rozległo się w słuchawce - Mam. Hausen senior nie żyje. W przyszłym miesiącu upłyną dwa lata od jego śmierci. W bońskiej gazecie był krótki nekrolog: były pilot Luftwaffe, pilot prywatny i tak dalej.

- Dzięki. Bardzo ci dziękuję. - Hood wyłączył telefon. - Panie Hausen, jeszcze raz bardzo pana przepraszam.

- A ja powtarzam, że nie ma powodu... - Paul!

Krzyk Motta przerwał im rozmowę. Ballon popędził w jego kierunku. - Co masz? - Hood biegł o krok za Ballonem.

- Zero. To znaczy, niezależnie od tego, co usiłowałem zrobić, mój komputer nie był

wystarczająco szybki, żeby zdążyć z analizą przed rokiem dwutysięcznym. Już miałem dzwonić do Centrum o pomoc, kiedy Nancy wymyśliła coś znacznie lepszego.

Nancy wstała z klęczek.

- W innych grach Demain można przejść z poziomu na poziom pauzując grę i wciskając strzałki kursora w określonej sekwencji - wyjaśniła. - Dół, góra, góra, dół, lewa, prawa, lewa, prawa.

- I jesteśmy już na poziomie drugim, chociaż nie doszliśmy do końca **poziomu** pierwszego.

- Czyżby Dominique był tak głupi, by w nowych grach zostawić kody starszych?

- W każdym razie zostawił. Sprawdziliśmy to na komputerze. Tych **kodów** nie wpisuje się do każdej gry, raczej trzeba je usuwać z nowych. **Ktoś**, gdzieś o tym zapomniał.

Ballon stał wyprostowany, wpatrzony w siedzibę Demain. - No i co? - spytał go Hood. -

Czy to panu wystarczy? Pułkownik wyrwał radiostację zza pasa.

- Zachował pan tę grę? - spytał.

- Przejście z poziomu pierwszego na drugi zostało zapisane na twardym dysku.

- Sierzancie *Ste. Marie!* - krzyknął do mikrofonu Francuz. - *Allonsi 58*

□ **Czwartek, 22.12 - Wünstorf, Niemcy**

Manfred zaatakował godząc nożem w dół, w siedzącego na wózku inwalidzkim Boba Herberta.

Gdyby Bob mógł wstać, obrona przed takim atakiem przyszłaby mu bez trudności.

Ramieniem należy po prostu posłużyć się jak krótką pałką wyciągnąć je dłonią w górę lub dłonią w dół i zablokować nim ramię napastnika. Jeden ruch wystarczy wtedy, by zbić jego atak w górę i od ciała, do siebie i od ciała, lub w dół i od ciała, jednocześnie schodząc mu z drogi, co daje czas na przyjęcie następnego ciosu. Co ważniejsze, ma się też okazję do kontrataku, bo przeciwnik zostaje wytrącony z równowagi, nadstawiając odsłonięty bok lub kark i aż prosi się, żeby mu sprawić lanie.

Jeśli znajdujesz się blisko napastnika lub pod nim, do obrony nadal używasz przedramienia, tylko najpierw zginasz je w łokciu w kształt litery „V”. Postępujesz tak jak poprzednio z jedną różnicą, blokować należy bliżej nadgarstka niż łokcia, by nóż nie ześlizgnął się i nie ugodził cię w korpus.

Manfred zaatakował z góry, wspierając cios ciężarem ciała. By odeprzeć ten atak, Bob musiał zgiąć rękę w łokciu. Wzniósł lewe ramię na wysokość czoła, zaciskając dłoń w pięść, by skuteczniej oprzeć się naciskowi przeciwnika. Zablokował pierwsze uderzenie, po czym zniemacka wyprowadził mocny prawy prosty. Niemiec niemal nie zauważył uderzenia. Cofnął

trzymającą nóż dłoń, przesunął ją lekko w prawo i zadał cios do lewej, celując w pierś.

Herbert opuścił wzniesioną rękę, zgiął ją i osłonił się po raz drugi. Usłyszał wrzask Jodie, ale nie zareagował nań, nie kazał dziewczynie uciekać, zbyt był skupiony na walce. Żołnierze giną wcale nie dlatego, że nie umieją walczyć, lecz dlatego, że na moment przestali uważać.

Tym razem napastnik ani myślał się cofać. Ponieważ ramię miał zablokowane, wygiął

rękę w nadgarstku. Ostrze noża opierało się na skórze Boba. Lada chwila mogło ją przeciąć na kiści dłoni. Herbert kupił sobie dodatkową sekundę, przesuwając ramię bliżej ciała przeciwnika i kiedy ten poprawiał uchwyt, sięgnął prawą dłonią nad blokującą nóż lewą, złapał Niemca za prawą, zaciśniętą na rękojeści garść, kciukiem nacisnął ciało między jego kciukiem a palcem wskazującym, zacisnął dłoń, opuścił przeszkadzające mu teraz lewe ramię i skręcił trzymającą nóż rękę w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Mocno i gwałtownie.

Nadgarstek Manfreda pękł ze słyszalnym trzaskiem. Nóż upadł na ziemię. Niemiec skoczył i złapał go natychmiast w lewą dłoń. Wyjąc z bólu i wściekłości, zadał Bobowi nieoczekiwany cios kolanem w brzuch. Wózek przewrócił się, napastnik runął na leżącą na ziemi, bezradną ofiarę. Przyciskając ją całym ciałem, uderzył. Skóra oparcia wózka pękła ze słyszalnym trzaskiem. Drogi cios. Trzeci. Jodie wrzeszczała: - Przestań! Przestań!

Niemiec, szczerząc zęby, uniósł wysoko nóż do kolejnego uderzenia. Nagle z boku rozległ się trzask. - Manfred znieruchomiał i sięgnął do **gardła**.

W jego krtani ziała dziura, rana wlotowa, pozostawiona przez pocisk wystrzelony przez Jodie, z pistoletu Karin. Z przebitej pod żuchwą tętnicy szyjnej popłynęły dwa strumienie krwi. Nóż upadł na ziemię, w chwilę później w jego ślad poszło martwe ciało.

Bob odwrócił się. Widział Jodie jako ciemną sylwetkę na tle jeszcze ciemniejszego nieba.

- O Boże! - Usłyszał. - Boże, Boże, Boże... - Nic ci nie jest?

- Zabiłam człowieka... - Nie miałaś wyboru.

- Zabiłam człowieka... Człowieka! - Dziewczyna zaszlochała.

- Nie. - Herbert zakręcił wózkiem i ruszył w jej stronę. - Uratowałaś człowiekowi życie.

Uratowałaś życie mnie.

- Przecież... przecież go zastrzeliłam - Musiałaś. Na wojnie giną ludzie.

- Na wojnie?

- Wypowiedziano nam wojnę - stwierdził spokojnie Bob. - Posłuchaj mnie, on nie dał ci żadnej, najmniejszej szansy. Rozumiesz, co mówię? Nie zrobiłaś nic złego. Nic.

Jodie stała nieruchomo. Płakała. - Rozumiesz? - powtórzył.

- Nie chciałam - powiedziała do martwego ciała dziewczyna. - Nie chciałam.

- Słuchaj, zajmijmy się ważniejszymi sprawami. Czy mogłabyś wyświadczyć mi grzeczność.

Grzeczność? - Nie celuj we mnie, dobrze?

Powoli, bardzo powoli, Jodie poruszyła dłonią, w której trzymała broń. Rozwarta zaciśnięte palce, pistolet upadł na ziemię. Spojrzała na **siedzącego** na wózku mężczyznę, jakby dopiero teraz go dostrzegła.

- Nic ci nie jest? - wyszeptała. - Jakim cudem cię nie zranił? Dobry, stary kewlar. Nigdzie się bez niego nie ruszam. Kilkuwarstwowy, kuloodporny, na oparciu i na siedzeniu. Prezydent poddał mi ten pomysł. Podobnie zabezpieczono jego fotel w Gabinetcie Ovalnym.

Jodie sprawiała wrażenie, jakby w ogóle go nie słyszała. Zachwiała się i **upadła** na ziemię. Bob podjechał do niej i delikatnie pociągnął ją za rękę. Spojrzała mu w oczy.

- Wiele dziś przeszłaś - powiedział, pomagając dziewczynie wstać. Nie przyszło jej to łatwo. - Ale już widzimy metę. Ostatnia prosta, stąd do autostrady mamy niespełna dwa kilometry. Wystarczy tylko...

Przerwał i zaczął nadśłuchiwać. Z daleka dobiegł go tupot nóg. - Co się stało? - spytała Jodie.

Bob słuchał jeszcze przez chwilę.

- Cholera - powiedział w końcu. - Wstawaj. Ruszamy. Powiedział to tak stanowczo, że Jodie

zareagowała.

- Co się dzieje?

- Masz natychmiast się stąd wynosić. - Dlaczego?

- Zbliżają się. Prawdopodobnie, by sprawdzić, co się stało z szefostwem. - Herbert popchnął dziewczynę. - Znikaj!

- A co z tobą?

- Ja też będę wiał, ale na razie ktoś musi osłonić twój odwrót. - Nie. Nie zostawię cię.

- Kochanie, mnie przecież glacą za taką robotę. Tobie, nie. Pomyśl o rodzicach. No, i w każdym razie, tylko bym cię opóźnił. Lepiej dla mnie, żebym się wkopał w ziemię i bronił nas stąd.

- Nie! - krzyknęła dziewczyna. - Sama nie ucieknę!

Bob zorientował się, że kłótnia z nią jest bez sensu. Była przerażona, wyczerpana i prawdopodobnie równie głodna jak on.

- Dobra - powiedział. - jak razem, to razem.

Poprosił Jodie, żeby poszła po pistolet maszynowy, który upuścił schodząc z drzewa, po czym podjechał do ciała Karin. Zabrał broń i przy świetle latarki odnalazł sztylet, który wsunął pod lewą nogę. Sprawdził, czy w magazynku pozostały naboje. Manfredowi zabrał

nóż; innej broni przy nim nie znalazł. Przeszukał mu także kieszenie, a potem dołączył do czekającej nań dziewczyny.

Przez prawie cały czas Bob Herbert czuł się tak, jakby trafił wprost w „Wheelie and the Chopper Bunch”, film rysunkowy, który oglądał podczas rehabilitacji. Jego bohater nie uznawał żadnych zasad, a towarzyszył mu zwariowany kierowca-kaskader. Dopiero w tej chwili, po raz pierwszy od czasu gdy utracił nogi, poczuł się jak Rambo - ktoś ogarnięty obsesją wykonania zadania i dysponujący wolą wystarczająco silną, by je wykonać. Przed przeszło pół wiekiem Murzyn, Jesse Owens, upokorzył Hitlera pokonując jego aryjskich lekkoatletów podczas olimpiady w Berlinie. Dziś, wściekła pogoń Karin za jodle dowiodła, jak bardzo dziewczyna podważyła jej autorytet. Jeśli w dodatku kaleka na wózku inwalidzkim ucieknie bandzie twardzieli... być może obali to mit nazistowskiego supermana. Przynajmniej wśród tej grupy neonazistów.

□ Czwartek, 22.41 -Tuluza, Francja

Paul Hood idąc w stronę starej twierdzy - dziś siedziby nowoczesnej firmy komputerowej

- nie wiedział, czego właściwie powinien się spodziewać. Kiedy wraz z małą grupką współpracowników przekraczał mostek w ślad za ludźmi Ballona, zastanawiał się, ile wielkich armii maszerowało w ciągu wieków tą drogą, ile z nich odniosło olśniewające zwycięstwo, a ile poniosło druzgocącą klęskę.

Prawie nie dyskutowano o tym, co zrobią, kiedy już dostaną się do środka. Ballon stwierdził tylko, że jego zamiarem zawsze było odnalezienie dowodów związku Dominique'a z Nowymi jakobinami, a potem aresztowanie go. Jego ludzie zostali przygotowani do wykonania tego właśnie zadania. Hausenowi i Hoodowi udało się jednak przekonać go, by zgodził się na zabranie Nancy i Matta - ich zadaniem było sprawdzenie, co można znaleźć w komputerach firmy. Może kryje się tam na przykład lista Nowych jakobinów i ich sympatyków, albo jakieś dowody na związek Demain z faszystowskimi grami? Cokolwiek, co mogłoby spowodować upadek Dominique'a.

Nie rozmawiano także o tym, co Dominique może przedsięwziąć, by ich powstrzymać. A człowiek ten dysponował przecież nie tylko armią terrorystów. Zabijał sam. Będzie zapewne gotów zrobić wszystko, by uratować swe imperium.

Bo i czemu nie? - myślał Hood, podchodząc coraz bliżej głównego wejścia. Dominique sądzi prawdopodobnie, że stoi ponad prawem. Od czasu paraliżującego strajku kolei i metra w 1995 roku Francja ugięła się pod ciężarem dysput z pracownikami sektora publicznego i straszego bezrobocia. Kto ośmielił się podnieść rękę na przemysłowca zatrudniającego tylu pracowników? Zwłaszcza, jeśli ten będzie się głośno skarżył, że jest prześladowany.

Przełożeni Ballona będą musieli przyznać publicznie, że ich człowiek to fanatyk. A jeśli są ludźmi wielkiego miłosierdzia, to na rym poprzestaną, pomyślał jeszcze Paul.

Do *bastide* wchodziło się przez żelazną bramę. jedynym ustępstwem wobec nowoczesności były małe; czarne kamery wideo, zamontowane na arabeskowym wzorze na jej szczycie. Tuż za bramą stała wielka, ceglana budka, zaprojektowana w duchu epoki. Na powitanie zbliżającej się grupy wyszło z niej dwóch ludzi. Jednym był uzbrojony strażnik, drugim młody człowiek w eleganckim garniturze. Nie sprawiali wrażenia Zdziwionych.

- Jestem pułkownik Ballon z *Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale* -

przedstawił się Ballon, kiedy podeszli do bramy. Wyciągnął z kieszeni skórzany portfelik, wyjął z niego kawałek papieru, rozwinął go i pokazał przez pręty. - Oto nakaz rewizji, wystawiony przez sędziego Christophe'a Labique'a z Paryża, podpisany także przez mego dowódcę, generała Francois Charriera.

Mężczyzna w garniturze wyciągnął przez bramę wymanikiowaną dłoń. - Jestem Vaundran z kancelarii Vaundran, Vaundran i Boisnard. Reprezentujemy Demain. Proszę pokazać mi nakaz.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że mam obowiązek wyłącznie przedstawić dokument i wyjaśnić cel wizyty?

- Wezmę go, przeczytam i dopiero wówczas zostaniecie wpuszczeni. - Prawo stanowi, że może go pan przeczytać podczas przeszukania. Zna pan prawo, prawda? Kiedy znajdziemy się w środku, może pan go sobie zachować.

- Zostałem poinstruowany, by przed wpuszczeniem was do środka okazać dokument mojemu klientowi.

Ballon przyglądał mu się przez chwilę, nieprzychylnie, a potem wyciągnął nakaz do kamery.

- Pana klient właśnie go ogląda - stwierdził. - To nakaz, nie prośba. Otwórzcie bramę.

- Bardzo mi przykro, ale do tego musi pan mieć coś więcej niż kawałek papieru. Musi pan mieć powód.

- I mam. W grach firmy Demain i załadowanej do Internetu grze rasistowskiej

„Wieszanie” pojawiły się elementy identyczności.

- Jakie to elementy?

- Kod wyboru poziomu. Mamy to zapisane w komputerze. Macie prawo zapoznać się z dowodami przed procesem, lecz nie przed przeszukaniem.

Prawnik przez chwilę przyglądał się pułkownikowi, po czym westchnął i skinął na strażnika. Obaj ruszyli w kierunku budki. Strażnik zatrzasnął drewniane drzwi. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Macie sześćdziesiąt sekund! - krzyknął do nich Ballon. Spojrzał na zegarek. - Sierżancie *Ste. Marie*?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Ma pan ładunki do wysadzenia zamka? - Tak jest, panie pułkowniku!

- Przygotujcie je.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, co zamierza robić - wtrącił prawnik.

Ballon nie odrywał wzroku od zegarka.

- Mniejsze pomyłki rujnowały ludziom kariery - zauważył Vaundran. Pułkownik zerknął na niego.

- Dziś, tu, tylko jedna kariera narażona jest na szwank - powiedział. - Nie, dwie - poprawił się i opuścił wzrok na cyferblat zegarka.

Hausen przetłumaczył tę wymianę zdań dla potrzeb Paula, Matta i Nancy. Obserwując wydarzenia Paul zastanawiał się, co też mogą osiągnąć dzięki tej operacji. Dominique z pewnością świadom był ich obecności **pod** jego firmą. Miał wystarczająco wiele czasu, by zniszczyć wszystkie kompromitujące go materiały. Zyskał nawet kilka chwil, by upewnić się, **że** o niczym nie zapomniał.

Przed upływem minuty strażnik wystukał kod na panelu w budce. **Ballon** zebrał swych ludzi przy bramie. W chwilę później prawnik znikł w bocznym wejściu, a francuscy policjanci byli już w środku. Podeszli do wielkich złotych wrót. Jeden ze strażników otworzył

je kodem, wystukany **na** znajdującym się na drzwiach panelu cyfrowego zamka. Przed wejściem do środka **Ballon** wręczył mu nakaz.

Gdy tylko żandarmi znaleźli się w budynku, natychmiast zajęli pozycje po obu stronach wejścia. Pułkownik wyjaśnił im, że gdyby znaleziono cokolwiek, co trzeba byłoby zabrać, zostaną wezwani. Hood wiedział, że ćwiczyli to zadanie tak często, że prawdopodobnie byłiby w stanie wykonać je z zawiązanymi oczami. Na razie mieli jednak stać, pilnować wejścia i nie wypuszczać nikogo.

Ballon wraz z resztą poszli w głąb budynku. Przeszli holem, który gdyby byli turystami na wycieczce - podziwialiby godzinami ze względu na wspaniałość łuków i fascynujące płaskorzeźby. Do rzeczywistości przywrócił Amerykanów dopiero głos pułkownika, który przypomniał, dlaczego tu są.

- Tędy - powiedział cicho **Ballon**, kiedy dotarli do końca korytarza. Ignorując spojrzenia kolejnych strażników, którzy najwyraźniej także **dostali** polecenie, by ich przepuścić, ich piątka przeszła krótkim korytarzem o zasłoniętych oknach do sali programistów.

Hood nie spodziewał się teraz, po nocy, spotkać wędrujących tu i tam pracowników. Nie było nawet sprzątaczek. Tylko kilku strażników, którzy kompletnie ich ignorowali.

Mimo dodatków w postaci świateł, alarmów, kamer i nowoczesnych materiałów dekoracyjnych, siedziba Demain zachowała swój średniowieczny charakter. Przynajmniej tak się wszystkim wydawało, póki strażnik nie wprowadził ich do sali komputerowej. Były refektarz przerobiony **został** na coś przypominającego Narodowe Biuro Rozpoznania. Ściany pomalowano na biało, w sufit wpuszczono jarzeniowe lampy. Na szklanych stołach stało przynajmniej trzydzieści terminali komputerowych. Przed każdą stacją wpuszczono w podłogę plastikowe, formowane próżniowo

krzesło. Jediną różnicę stanowiło - znowu - to, że wszystkie stanowiska były puste. Dominique nie ryzykował. Nakaz rewizji tracił ważność za nieco ponad godzinę. Policja, nie mając komu zadawać pytań, z góry znajdowała się na przegranej pozycji.

- Ale zabawki - stwierdził Stoll, rozglądając się dookoła. - Więc niech pan zacznie się bawić - polecił mu Ballon. Matt zerknął na Paula, który tylko skinął głową.

- Wybierz miejsce - zaproponował Nancy.

- Wszystkie są równie dobre - odparła. - Terminale podłączone są do jednego centralnego komputera.

Stop skinął głową, podszedł do najbliższego, podłączył doń swego laptopa i włączył go.

- Prawdopodobnie założyli ograniczenia dostępu do systemu - zauważyła Nancy. - Jak masz zamiar ominąć je i zalogować się do stacji? Może i mogłabym spróbować pomóc ci z niektórymi hasłami, ale zabierze to sporo czasu.

- Wcale nie musi. - Matt włożył dyskietkę w napęd B. - Zawsze mam przy sobie program Bulldozer. Sam go napisałem. Zaczyna się szybkim Handshake Locatorem, programem szukającym matematycznych kluczy do dekrypcji. Wcale nie musi poznawać ich dokładnie.

Jeśli nie działa jeden do sześciu i osiem do dziesięciu, nie próbuje siódemek. Uczy się języka, co trwa zwykle kilka minut. Potem włącza się Bulldozer. Przeszukuje menu. Kiedy je już znajdzie, jestem w systemie. Podczas, gdy będziemy przeszukiwali komputery, prześlę wszystkie dane do Centrum.

Ballon złapał go za ramię, potrząsnął głową i przyłożył palec do ust. Stoll walnął się ręką w czoło.

- O, cholera, zapomniałem, co jest złotem Francuz skinął głową.

Nancy podpowiedziała parę haseł, które warto było wypróbować, Hausen tymczasem podszedł do Ballona.

- Pułkowniku, a co zrobimy w sprawie samego Dominique'a? - Zaczekamy.

- Na co?

Ballon podszedł bliżej.

- Czekamy, żeby się zdenerwował - powiedział do ucha niemieckiego polityka. - Przed chwilą uświadomiłem panu Stollowi, że Dominique z pewnością nas obserwuje. Mam nadzieję, że znajdziemy coś w tych komputerach.

- A jeśli nie znajdziemy? - To mam pana.

- Mnie?

- Poproszę pana Stolla i pannę Bosworth, by wysłali komputerem wiadomość: pana zeznanie o morderstwie w Paryżu. W każdym razie mocno zaszkodzimy Dominique'owi. -

Francuz uśmiechnął się. - Chociaż istnieje jeszcze trzecia możliwość. Dominique czekał na pana dwadzieścia pięć lat. Jeśli przestraszy się możliwości ujawnienia sekretów z przeszłości, poczuje silną pokusę nie dopuszczenia do tego, by wyszedł pan od niego żywy.

- Czyżby spodziewał się pan, że wyśle przeciw nam swych Nowych Jakobinów?

- Zostawiłem swoich ludzi nieco na uboczu, że tak powiem. Jeśli uzna, że dopadnie pana, nim zdołają się wmieszać w sprawę, pokusa z pewnością będzie wielka. Gdyby spróbował, wyprowadzę stąd was wszystkich i zwalę mu chałupę na głowę. - Ballon puścił oko; w jego wykonaniu wyglądało to niezbyt atrakcyjnie. - Przecież wie pan, jak długo czekałem, żeby go dopaść. Nie zamierzam teraz odpuścić.

Odszedł przyjrzeć się, co porabiają Stoll i Nancy. Hausen pozostał na miejscu; stał jak wmurowany w podłogę.

Paul zaglądał Mattowi przez ramię. Z wyrazu twarzy Hausena odczytał, że sprawy idą kiepsko. Zazwyczaj nieruchoma, teraz była napięta, zmarszczone brwi świadczyły o głębokim namyśle. Zdecydował, że nie będzie jednak zadawać żadnych pytań. Niemiec lubił

przemyśleć sobie wszystko dokładnie, nim otworzy usta. Jeśli będzie miał coś do powiedzenia, powie we właściwej chwili.

Został więc na miejscu, z mieszaniną strachu i dumy obserwując w milczeniu stukającego w klawiaturę komputera młodego, pocącego się mężczyznę, od którego zależały losy świata.

□ Czwartek, 17.05 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Kiedy przekazywane przez Matta Stolla z Francji dane pojawiły się na komputerze Eddiego Mediny w Centrum, Eddie przede wszystkim zdjął marynarkę, wrócił na miejsce i powiedział swemu zmiennikowi na wieczornej zmianie, drugiemu zastępcy oficera operacyjnego, Randallowi Battle'owi, by poinformował o wszystkim generała Rodgersa.

Battle skontaktował się z Mike'em, kiedy z ekranu zniknęła sygnaturka Stolla :), czyli śmieszek. Zastąpił ją ekran z informacją o podładowywaniu wielkiego pliku nazwanego L'OPERATION ECOUTER.

Rodgers rozkazał Battle'owi przesłać materiały na swój komputer. Przeglądał je w towarzystwie Darrella McCaskeya i Marthy Mackall.

Pierwsza była notatka od Stopa.

Eddie, nie chcę zabierać czasu na linii dłuższymi informacjami.

Bulldozer dostał się do plików Demain. Oryginały wymazano, ale kopie pozostały. Mam zamiar przesłać wszystko w tej sesji.

Potem zaczęły nadchodzić fotografie ludzi, służące jako materiał wyjściowy przy opracowywaniu gier. Potem segmenty testowe, ukazujące białych mężczyzn ścigających Murzynów i Murzynki, białych mężczyzn gwałcących czarne kobiety, czarnych mężczyzn rozrywanych przez psy. I znów notatka od Stolla.

Oryginały gier wykluwają się z gniazda gdzieś tam. Miejsce dobrze ukryte.

Obrazki czarnych mężczyzn i kobiet wiszących z drzew, przedstawiające te sceny z różnych perspektyw. Runda premiowa: dzieciak ściga się z czasem, ćwicząc strzelanie do huśtających się na huśtawkach czarnych dzieci.

Ed, uruchomiłem alarm. Wszędzie tu ganiają jacyś ludzie. Nasz francuski opiekun, pułkownik Ballon, ściska w garści wielkiego gnata.

Mam się wyłączyć. Cześć.

Obrazy dochodziły do nich jeszcze przez kilka chwil, ale Rodgers już ich nie obserwował.

Włączył się na drugą linię i już po kilku sekundach połączony był z kabiną pilotów V-32

Osprey.

□ **Czwartek, 23.07 - Tuluza, Francja - Padnij!**

Lewą ręką pułkownik Ballon pociągnął Matta Stolla na ziemię, a kiedy ludzie Dominique'a wpadli do środka, przycisnął włącznik nadawania krótkofalówki. W prawej dłoni trzymał pistolet - jedyną broń, jaką dysponowała ich piątka.

Skulony wraz z innymi na podłodze Hood naliczył dwunastu... piętnastu... siedemnastu napastników wpadających przez drzwi i zajmujących pozycję przy ścianie od strony korytarza. Oprócz małych okienek, do których trzeba byłoby wspinać się po drabinie, drzwi były jedynym wyjściem z sali komputerowej.

Hausen leżał na ziemi między nim a klęczącym Ballonem.

- Gratulacje, panie pułkowniku - powiedział. - Dominique połknął Prę Paul wiedział, że pomiędzy tymi dwoma zaszło coś, o czym nie ma pojęcia, ale w tym momencie nie miało to chyba najmniejszego znaczenia, zwłaszcza, że Ballon wydawał się nie przejmować tą sprawą. Spokojny, chłodno obserwował nowo przybyłych.

Paul zaledwie na nich zerknął, wydali mu się jednak po prostu oberwańcami. Ubrani byli w stroje proste, w wielu przypadkach wręcz nędzne. Uzbrojenie też mieli przeróżne. Nie musiał pytać Ballona, by wiedzieć, że to Nowi Jakobini.

- Mam nadzieję, że ci faceci to dowód, którego tak pan szukał? zainteresował się Stoll.

- *Levez!* - krzyknął jeden z mężczyzn, wymachując pistoletem. Reszta rozstawiła się tak, by w razie potrzeby móc pokryć ogniem całą salę.

- Chce, żebyśmy wstali - szepnął Ballon. - Jeśli wstaniemy, będą mogli zacząć do nas strzelać.

- Gdyby chcieli, już by zaczęli - zauważyła Nancy.

- Ale musieliby zaryzykować - odparł Francuz. - Nie wiedzą, kto z nas jest uzbrojony. -

Pochylił się ku nim i powiedział ciszej: - Moi ludzie już wiedzą, zajmują pozycje...

- Nim się przygotowują, może być za późno - zauważył Paul.

- Nie, jeśli pozostaniemy w ukryciu. Wtedy to oni będą musieli przyjść do nas. Na to jesteśmy przygotowani.

- My, nie - powiedziała Nancy.

- Gdybyście przypadkiem znaleźli się pod ostrzałem, ale poza zasięgiem wzroku moich ludzi, krzyczcie: *Blance* Białe. To im powie, że jesteście nie uzbrojonym personelem.

- Mam zamiar dać tym bydlakom szansę postrzelania - przerwał mu Hausen: -

Zobaczymy, z czego są zrobieni.

I wstał.

- *Herr Hausen!* - syknął wściekły Ballon.

Niemiec zignorował go. Hood wstrzymał oddech, słyszał uderzenia serca w uszach; czekał w napięciu na to, co miało teraz nastąpić.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. W końcu jeden z jakobinów krzyknął: - *Anons donc!*

- Chce, żeby Hausen wyszedł - przetłumaczył pułkownik. - Z sali czy z budynku? - spytał go Hood.

- Albo może z tej niebezpiecznej sytuacji - dodał ponuro Stoll. Francuz tylko wzruszył ramionami.

Hausen ruszył w kierunku napastników. Jego odwaga imponowała Paulowi, choć pozostał nieufny i po prostu musiał zadać sobie pytanie, czy to rzeczywiście odwaga, czy może tylko pewność siebie. Pewność siebie zdrajcy.

Ballon czekał także. Kiedy Hausen wyszedł za drzwi, jego kroki ucichły. Nadśłuchiwali, ale niczego nie usłyszeli. Najwyraźniej został zatrzymany. Jakobini wezwali do wyjścia resztę zakładników. Paul spojrzał pytająco na pułkownika.

- Miał pan do czynienia z tymi terrorystami. Co robią w podobnych sytuacjach? - spytał.

- Biją i mordują ludzi w każdej sytuacji. „łaska” to słowo nie figurujące w ich słownikach.

- Ale nie zabili Hausena - zauważyła Nancy. - *Maintenant!* - rozległo się od drzwi.

- Dopóki nas nie rozbroją, nie zabiją nikogo - wyjaśnił Francuz.

- A więc powinniśmy wyprowadzić stąd Nancy i Matta - stwierdził Hood. - Może uda im się uciec.

- I ciebie - powiedziała Nancy.

- Być może warto byłoby spróbować - Ballon zastanawiał się przez chwilę - ale istnieje niebezpieczeństwo, że wezmą was jako zakładników. Będą was zabijać pojedynczo, póki nie wyjdę.

- Jak możemy temu zapobiec? - spytała dziewczyna.

- Jeśli coś takiego miałyby się zdarzyć, wezwę ludzi. Szkolono ich, jak postępować w podobnych sytuacjach.

- Ale nadal nie ma żadnych gwarancji - orzekł Paul.

Terrorysta znów krzyknął coś w ich kierunku. Groził, że wyda swym ludziom rozkaz ataku, jeśli intruzi nie zastosują się do jego polecenia. Natychmiast.

- Nie - zgodził się Ballon z Paulem. - Nadal nie ma żadnych gwarancji. Ale jeśli zdecydują się zabijać zakładników, będą musieli ustawiać każdego z was w drzwiach, tak, żebym go widział. W to, co widzę, mogę strzelać. Jeśli strzelę, terrorysta trzymający zakładnika zostanie zabity. Da wam to możliwość ucieczki.

Hood zazdrościł Francuzowi jego bezczelnej pewności siebie. Od Mike'a Rodgersa nauczył się, że tego właśnie potrzebują ludziom dowodzącym takimi operacjami. On sam nie był akurat pewien niczego. Myślał wyłącznie o żonie i dzieciach. Myślał o tym, jak bardzo go potrzebują i o tym, jak je kocha. Być może nigdy go już nie zobaczą, wyłącznie z powodu złego słowa wypowiedzianego w złej godzinie, jakiegoś drobnego błędu.

Spojrzał na Nancy, uśmiechającą się smutnym półuśmiechem. Tak bardzo chciał

wynagrodzić jej swój udział w tym, jak ułożyło się jej życie. Teraz jednak nie był w stanie zrobić nic, nie miał nawet pewności, co udałoby mu się zrobić później, gdyby istniało jakieś

„później”. Więc tylko uśmiechnął się do niej wesoło. Na razie musiało to wystarczyć.

- Dobra - podjął decyzję Ballon. - Wstawajcie i powoli idźcie do drzwi. Zawahali się.

- Nogi jakoś nie chcą mi się ruszyć - wyznał Stoll.

- Zmusz je - rozkazał mu krótko Hood. Wstał, Nancy również. Matt, niechętnie, poszedł w ich ślady.

- No proszę, a zawsze byłem pewien, że to dobrzy faceci muszą wygrać - powiedział

Matt. - No i co, podnosimy ręce, czy idziemy tak po prostu? Co robimy?

- Spróbuj się opanować - powiedział mu Hood, ruszając pomiędzy komputery.

- Dlaczego ludzie zawsze mi to powtarzają - poskarżył się Stoll. Gdybym mógł, to przecież uspokoilibym się i bez dobrych rad.

- Matt, zaczynasz mi działać na nerwy - ostrzegła go Nancy. Zamknij się, dobra?

Stoll zamknął się posłusznie. Resztę drogi przeszli w milczeniu.

Gdy podeszli bliżej, Paul uważniej przyjrzał się najbliższemu terrorystcie, temu, który stał

przy drzwiach. Mężczyzna miał gęstą czarną brodę oraz wąsy, ubrany był zaś w szarą bluzę, dzinsy i ciężkie buty. Pod pachą trzymał wojskowy karabin. Wyglądało na to, że nie zawaha się go użyć.

Wyszli na korytarz zachowując milczenie. Czekał już tam na nich Hausen, obrócony twarzą do ceglanej ściany; stał oparty o nią dłońmi, z szeroko rozstawionymi nogami. Jeden z jakobinów trzymał mu pistolet przy głowie.

- O cholera - skomentował sytuację Stoll.

Znaleźli się w wąskim, ciemnym korytarzyku. W tym momencie złapani zostali pod pachy, każde przez dwóch terrorystów, i pchnięci na ścianę. Główn dotknęły lufy pistoletów.

Przywódcą napastników był spokojny; stał przy drzwiach odwrócony do nich bokiem, tak że widział i salę komputerową, i jeńców. Nancy drżała, Stoll, stojący po jej prawej stronie, po prostu trzął się ze strachu. Patrzył w głąb korytarza, jakby rozważał możliwość ucieczki.

- Mamy nakaz rewizji - powiedział. - Myśleliśmy, że to wszystko odbywa się legalnie.

- *Tais-toi* - warknął przywódca.

- Żaden ze mnie komandos. Wszyscy jesteśmy cywilami. Ja tylko pracuję *przy* komputerach.

- Cisza.

Stop zamknął usta.

Przywódcą Nowych Jakobinów przyglądał się im uważnie przez chwilę, a potem zerknął w głąb sali. Krzyknął, rozkazując wyjść ostatniemu z potencjalnych zakładników.

- Wyjdę, kiedy wypuścicie ich wszystkich - odpowiedział mu po francusku Ballon.

- Nie. Wychodzisz pierwszy.

Tym razem pułkownik nie raczył odpowiedzieć. Najwyraźniej postanowił zostawić wybór kolejnego ruchu przeciwnikowi. Jakobin skinieniem głowy wskazał Hausena. Stojący przy nim jego podwładny złapał go za głowę. Kiedy ruszyli w stronę drzwi, Nancy krzyknęła.

Paul pomyślał: czy dadzą Ballonowi jeszcze jedną szansę, czy też po prostu zastrzelą ofiarę, wrzucając ciało do sali i zagrozą egzekucją kolejnego zakładnika.

Z ciemności, od strony drzwi prowadzących do głównego korytarza, rozległ się strzał.

Paul nie od razu uświadomił sobie, co się dzieje; dopiero po chwili zrozumiał, że korzystając z zamieszania, krzyków i kłótni, nie słyszani przez nikogo ludzie Ballona usunęli z drzwi ozdobną klamkę. Mieli na muszce wszystkich znajdujących się na korytarzu ludzi.

Terrorysta trzymający Hausena upadł. Trzymał się za prawe udo i wrzeszczał. Niemiec skorzystał z zamieszania - rzucił się w kierunku drzwi, zza których strzelano. Terrorysty zostawili go w spokoju. Z pewnością bali się, że jeśli strzelą, zostaną skoszeni.

Hausen otworzył drzwi i znikł za nimi. Komandosi musieli widzieć, że się zbliża i ukryć się, bo Paul nie dojrzał żadnego. Hood nie miał szansy na ucieczkę, bo choć trzymający go mężczyzna patrzył w drugą stronę, nadal czuł ucisk lufy na karku.

Hood pocił się; czuł pot spływający mu spod pach i po piersi. Oparte o ścianę dłonie były nieznośnie lepkie. Obiecał sobie, że jeśli przeżyje, ucałuje nie tylko żonę i dzieci, lecz także Mike Rodgersa, bo przecież Mike spędził, życie na stawianiu czoła podobnym sytuacjom.

Jego szacunek dla zastępcy stał się bardzo wielki.

Nagle poczuł, że dłonie mu drżą.

Nie, pomyślał, przecież nie chodzi o dłonie. Stare cegły muru wpadły w wibrację. Niebo za zakratowanymi oknami pojaśniało. Powietrze wydawało się drgać. A przywódca Nowych Jakobinów krzyczał na swoich ludzi, żeby kończyli robotę i wynosili się stąd w diabły.

□ Czwartek, 23.15 - Wünstorf, Niemcy

Pogoń była coraz bliżej, Bob Herbert, przemierzający las na wózku, nie myślał jednak o zbliżających się krokach. Myślał wyłącznie o tym, o czym zapomniał podczas ucieczki z obozu. Myślał o tym, co było kluczem do przeżycia... i do zwycięstwa.

Jak się, do cholery, nazywał ten Niemiec?

Jodie dyszała, przedzierając się przez las. Bob miał ochotę poprosić ją, żeby podeszła od tyłu i dała mu porządnego kopniaka.

Nie pamiętam.

Ale przypomni sobie. Nie ma wyboru. Nie pozwoli, żeby Mike Rodgers wygrał to starcie.

Obaj z Mike'em byli wielbicielami historii wojskowości i na ten temat wielokrotnie dyskutowali. Gdybyś miał wybór pytali się nawzajem - czy poszedłbyś do bitwy z małym oddziałem wyćwiczonych żołnierzy czy też wielką armią rekrutów? Rodgers zawsze wybierał

to drugie rozwiązanie i wtedy mocno się spierali. Bob powoływał się na przykład Samsona, który pokonał Filistynów, mając do dyspozycji wyłącznie oślą szczękę. W XIII wieku Aleksander Newski i jego nędznie uzbrojona armia rosyjskich chłopów odparła atak ciężkozbrojnych rycerzy teutońskich. W XV wieku, pod Agincourt, niewielka grupka Anglików walczących u boku Henryka V pokonała przeważające siły francuskie.

Na każdy jego przykład Mike mógł jednak przedstawić swój. W 480 roku p.n.e. Persowie pobili dzielnych Spartan na Przełęczy Termopilskiej, meksykański generał Santa Anna zdobył

Alamo, brytyjska 27. brygada lansjerów, „Lekka Brygada”, wybita została do nogi podczas samobójczej szarży w czasie Wojny Krymskiej. Dodajcie do tej listy niejakiego Roberta Westa Herberta, myślał, słuchając kroków i trzasku łamanych kopami wózka gałązek - faceta, któremu nie wystarczyło rozsądku, by zapisać mogące uratować go i jego towarzyszkę nazwisko. Przynajmniej umrze w dobrym towarzystwie: króla Leonidasa, Jima Bowie, Errola Flynna.

Wspomnienie Errola Flynna pomogło mu opanować nerwy, pomogło mu nastawić się właściwie do walki z tak wielką siłą przeciwnika. Pocieszał się też nadzieją, że Jodie ucieknie. Ciśnienie skakało mu na samą myśl o tym, że stawką może być jej skóra.

Nagle - i tylko dlatego, że przestał się tym zamartwiać - potrzebne nazwisko samo wskoczyło mu do głowy.

- Jodie, popchnij mnie - poprosił.

Dziewczyna szła do tej pory obok niego. Teraz podeszła do wózka od tyłu.

- Pchaj! - popędził ją Herbert. - Możemy wyjść z tego cało, ale będziemy potrzebowali czasu.

Jodle, zmęczona, obolała i ranna, wzięta się do roboty, Bob zaś sięgnął po broń, która miała dać mu zwycięstwo w bitwie.

W odróżnieniu od skazanego na śmierć majora Vickersa granego przez Errola Flynna, Bob Herbert miał zamiar powstrzymać przeciwnika. W odróżnieniu od Samsona, nie miał

zamiaru użyć jako broni oślej szczęki. Dysponował przecież satelitarnym telefonem komórkowym.

Czwartek, 17.15 - Waszyngton, Dystrykt Columbia

Telefon Mike Rodgersa zadzwonił, gdy ten czekał na połączenie z pułkownikiem Augustem, który miał mu przekazać najświeższe informacje. Ze swego telefonu komórkowego dzwonił Bob Herbert. Rodgers włączył głośnik, tak by rozmowę słyszeli Darrell, Martha i ich rzecznik prasowy, Ann Farris.

- Jestem w ciemnym lesie, gdzieś między Wünstorf a jeziorem - zameldował Bob. - Mam dobrą wiadomość: jest ze mną Jodle Thompson. Mike wyprostował się w fotelu, w tryumfie wyrzucając w powietrze zaciśniętą pięść. Ann zeskoczyła z krzeseł i zaczęła bić brawo.

- Wspaniale! - cieszył się generał. Rzucił McCaskeyowi znaczące spojrzenie. - Zrobiłeś coś, czego nie byli w stanie zrobić ani Interpol, ani FBI, które nadal tylko zadaje pytania i opluwa niemieckie władze.

- Dobra, ale jest też zła wiadomość. Siedzi nam na tyłku banda neonazystowskich kundli.

Musisz mi znaleźć numer telefonu.

Rodgers pochylił się do klawiatury, zawiadamiając Johna Benna o pilnym zleceniu kombinacją klawiszy: F6/Enter/17.

- Czyj numer, Bob?

Bob powiedział mu, czyj. Rodgers wystukał na komputerze:

Hauptmann Rosenlocher, Hamburg Landespolitzei.

McCaskey przysunął się nieco bliżej i zerknął na nazwisko. Podczas gdy generał

przekazywał je Bennowi, on już dzwonił do Interpolu.

- Ten Rosenlocher najwyraźniej zawziął się na przywódcę neonazystów. To chyba jedyny człowiek, któremu możecie zaufać - tłumaczył Herbert. - Z tego, co podsłuchałem, jest w Hanowerze.

- Znajdziemy go i każemy mu się z tobą skontaktować - obiecał Mike. - Lepiej byłoby zaraz, niż później. Śpieszymy się jak możemy, ale ci goście nadrabiają dystans. Słyszę samochód. Jeśli znajdą trupy, które za sobą pozostawiliśmy...

- Rozumiem. Trzymasz się?

- Wytrzymam tyle, co Jodle. Dziewczyna praktycznie mi się przewraca. - Powiedz jej, żeby się trzymała. I ty też się trzymaj. - Rodgers przełączył się na program Geologue, znalazł

Wünstorf, przyjrzał się terenom pomiędzy miasteczkiem a jeziorem. Wyglądało to dokładnie tak jak w opisie Herberta. Drzewa, pagórki i niemal nic więcej. - Bob, masz jakieś pojęcie o tym, gdzie jesteście? Widzisz jakieś cechy charakterystyczne terenu?

- Tu nic nie widać, Mike. Jeśli o mnie chodzi, mogliśmy nawet wykryć O. Corriganą.

„Odwrotnego Corriganą”, przypomniał sobie generał. Bob nie chciał niepokoić Jodie informacją, że być może zmierzają w złym kierunku.

- Dobra, w porządku. Zaraz będziesz miał informacje o położeniu wszystkich zainteresowanych stron.

McCaskey nadal konwersował z Interpolem, więc Rodgers osobiście zadzwonił do Viensa. Viens poinformował go, że nawet satelity wyposażone we wzmacniacze światła do obserwacji nocnych mogą szukać człowieka w terenie przez całe pół godziny. Mike zwrócił

mu uwagę, że gra idzie o ludzkie życie. Viens powtórzył, już nie tak spokojnie, że może to trwać do pół godziny.

Mike grzecznie mu podziękował i wrócił do studiowania mapy. Rzeczywiście, siedzieli tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. A jeśli Bob słyszy pogoń, to prawdopodobnie nie zdąży go zdjąć ani samochód, ani nawet helikopter.

- No i co, mamy wreszcie coś o tym gliniarzu? - spytał McCaskeya. - Właśnie nad tym pracuję - usłyszał w odpowiedzi.

„Pracuję”. Generał instynktownie reagował na to słowo jak byk na czerwoną płachtę.

Nienawidził go. Robota nie miała być wykonywana, lecz wykonana. Nienawidził także przekazywania złych wiadomości ludziom w terenie, ale lepsze to niż utrzymywanie ich w nieświadomości, więc powrócił do telefonu.

- Bob, NBR próbuje cię namierzyć. Może uda się nam pomóc ci w utrzymaniu dystansu od przeciwnika. I na razie ciągle szukamy tego policjanta. Problem w tym, że nawet jeśli go znajdziemy, to jesteś w miejscu, do którego cholernie trudno dotrzeć.

- Jakbym nie wiedział. Same cholerne drzewa i pagórki. - Nie lepiej byłoby spróbować okrążyć przeciwnika?

- Nie! Jadę po trudnym terenie, ale z obu stron teren jest jeszcze trudniejszy.

Musielibyśmy dosłownie pełzać. - Herbert zamilkł na chwilę. - Generale - powiedział w końcu - jeśli uda się panu choćby znaleźć tego glinę, jest jedna rzecz, której moglibyśmy spróbować.

Rodgers uważnie wysłuchał wyjaśnień. To, co zaproponował jego oficer wywiadu, było pomysłowe, mogło być skuteczne i ...nie rokowało większych szans powodzenia. Nie mieli jednak wyboru,

musieli spróbować.

□ Czwartek, 23.28-Tuluza, Francja

Dziesięć monitorów telewizji przemysłowej zamontowanych zostało w rzędach po pięć, we wnęce w gabinecie Dominique'a. Nim jego siedziba zadrżała w posadach, Dominique siedział spokojnie w skórzanym fotelu, bez niepokoju obserwując to, co działo się w korytarzu i w sali komputerowej.

Ach, jacyż głupi są ludzie, myślał obserwując, jak włamują się do jego systemu. Był

skłonny pozwolić im odejść w spokoju, lecz okazali wyjątkową bezczelność i odnaleźli w komputerach te nieszczęsne pliki. Panna Bosworth nie była aż tak dobra, więc pewnie sprawy wziął w swe ręce ten młody człowiek. Dominique miał nadzieję, - że przeżyje. Chciał go zatrudnić u siebie.

Nie zaniepokoił się nawet, gdy komandosi odcięli jego ludziom drogę ucieczki. Rozkazał

tylko Nowym Jakobinom otoczyć komandosów. Zadbął przecież, by w obiekcie było aż pięćdziesięciu jego żołnierzy. Nic nie miało prawa zakłócić ładowania gier.

Nie martwił się niczym, póki stara forteca nie wpadła w wibracje. Dopiero wtedy wysokie czoło zmarszczyło się, ciemne oczy zmrużyły, a powieki opadły, osłaniając je przed bijącym od monitorów blaskiem. Za pomocą panelu kontrolnego wbudowanego w biurko, Dominique przełączył kamery na widok na zewnątrz budynku.

Uderzyło go bijące od strony rzeki jaskrawe białe światło. Zmniejszył kontrast i obserwował, jak samolot zniża powoli lot, oświetlając sobie drogę światłami nawigacyjnymi.

Był to samolot pionowego startu i lądowania, silniki ustawione miał teraz śmigłami do góry opuszczał. się jak helikopter. Na parkingu tu i ówdzie stały samochody, nie miał miejsca, by dotknąć podwoziem ziemi, więc zawisł na wysokości mniej więcej pięciu metrów.

Opuszczono z niego sznurowe drabinki, po których schodzili żołnierze.

Francuscy żołnierze.

Dominique zacisnął wargi. Był wściekły. Coś w nim krzyczało: „Co tu robi armia i to w dodatku wyposażona w amerykańskiego *Ospreya*?”, choć przecież znał odpowiedź na to pytanie.

Podczas gdy dwudziestu żołnierzy lądowało na asfalcie parkingu, zadzwonił do Alaina Bouleza. Były szef paryskiej policji czekał na niego w podziemnym centrum treningowym wraz z odwozem Nowych Jakobinów.

- Alain, obserwowałeś monitory?

- Tak, proszę pana.

- Można odnieść wrażenie, że NATO nie ma do roboty nic lepszego niż atakowanie sojuszników. Dopilnuj, by zostali zawróceni i poinformuj mnie o tym. Będę na pokładzie

„Śmiałego”.

- Oczywiście, proszę pana.

Dominique zadzwonił z kolei do swego szefa operacji.

- Etienne, jak wygląda ładowanie gier?

- „Obóz koncentracyjny” już jest dostępny. „Wieszanie” będzie gotowe na dwunastą.

- Masz się pośpieszyć.

- Ależ proszę pana, kiedy chowaliśmy program nastawiliśmy go... - Masz się pośpieszyć!

Przerwał rozmowę i połączył się z pilotem swego helikoptera *LongRanger*.

- Andre? Schodzę do ciebie. Przygotuj „Śmiałego”.

- Natychmiast, proszę pana.

Dominique wyłączył interkom, wstał i na pożegnanie przyjrzał się swej kolekcji gilotyn.

W świetle telewizyjnych monitorów sprawiały upiorne wrażenie. Usłyszał strzał, potem drugi.

Pomyślał o Dantonie, przed egzekucją mówiącym katom: „Pokażcie moją głowę ludowi.

Warta jest oglądania”. Lecz... nawet jeśli jego siedziba zostanie zdobyta, gry znajdą się na sieci, a on będzie wolny. Ukryje się w jednej z wielu swych firm w kraju lub poza jego granicami; w końcu opracował drogi ucieczki. Firma produkująca plastiki na Tajwanie. Bank w Paryżu. Tłocznia CD-ROM-ów w Madrycie.

Wyłączył telewizory, włożył skórzane rękawiczki i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu, kierując się w stronę windy. Nie uciekam, tłumaczył sobie. Po prostu zmieniam kwatery główną. Co to by była za strata, gdybym stał się ofiarą pierwszego, właściwie przypadkowego starcia.

Winda zawiozła go do podziemnego przejścia, prowadzącego do znajdującego się z tyłu budynku lądowiska. Na końcu korytarza musiał otworzyć drzwi, wyposażone w elektroniczny zamek. Po ich drugiej stronie zdjął pistolet ze znajdującego się tam regału na broń i po stromych schodach wszedł na poziom lądowiska.

Helikopter *LongRanger* grzał już silnik. Dominique ruszył wzdłuż ogona, zgiął się lekko przechodząc pod wirnikiem nośnym, a gdy znalazł się przy drzwiach do kabiny, zobaczył

biegnącego w jego kierunku jednego ze swych ludzi.

- Proszę pana, straż przemysłowa nie zaangażowała się jeszcze w walkę. Co mamy robić?

- Macie zatrzeć wszelkie ślady moich związków z Nowymi Jakobinami. Zróbcie to tak, żeby wydawało się, że przybyli tu z własnej woli, pragnąc pozbyć się cudzoziemców.

- Jak to zrobić, *monsieur*?

Dominique podniósł pistolet i strzelił mu w czoło.

- Macie sprawiać wrażenie, jakbyście się im opierali - wyjaśnił, rzucił pistolet i wskoczył na pierwszy szczebel schodków prowadzących do kabiny helikoptera.

- Lecimy - rozkazał pilotowi, wchodząc do obszernego wnętrza i zamykając za sobą drzwi.

Łądowisko widział przez lewe okno. Siedzenie drugiego pilota było puste. Wnętrze zajmowały dwa rzędy miękko wyściełanych foteli. Nie trzymał się zapinaniem pasów.

Helikopter powoli uniósł się w powietrze. Rytmiczny łopot wirników wydawał się rozbijać maskę stoicyzmu Dominique'a. Skrzywił się gniewnie, wpatrując w byłą siedzibę swej firmy. Wiszący do tej pory nad parkingiem samolot zaczął się przesuwać w stronę zwolnionego miejsca; usiadł, zajmując niemal całe lądowisko. Żołnierzy nie było już na parkingu. W dole dostrzegł błyski strzałów.

Dominique czuł się strasznie. Ci żołnierze byli jak Wizygoci, niszczyli wszystko, co im wpadło w ręce. Jakże chciał krzyknąć na nich: „To coś więcej, niż jesteście w stanie pojąć! Ja jestem wcieleniem przeznaczenia cywilizacji!”.

Helikopter przeleciał rzekę... i nagle zawrócił, wracając do twierdzy. - Andre! Andre, co robisz?! - zawołał Dominique, przekrzykując ryk silnika.

Żadnej odpowiedzi. Helikopter obniżył lot. - Andre? Andre!

- Przez telefon powiedziałeś mi, że śledziłeś wszystkie moje ruchy. Ale tego jednego nie zdołałeś wyśledzić. Podkradłem się do pilota i zdziesiąłem biedaka w łeb. Z siłą, która wzbierała we mnie przez dwadzieścia pięć lat.

Richard Hausen obrócił się i spojrzał swemu pasażerowi prosto w oczy. Dominique poczuł, jak pot ścieka mu po karku.

- Wystartowałem, żeby zrobić miejsce dla *Ospreya* - poinformował go Hausen. - A teraz wracamy, Gerardzie. A także, można by powiedzieć, cofamy się w czasie o dwadzieścia pięć lat.

Dominique przez chwilę szukał właściwej odpowiedzi, ale tylko przez chwilę. Jak wtedy, w Paryżu, jakkolwiek dyskusję uniemożliwił unoszący się wokół przeciwnika odór fałszywej świętości. Tego

odoru Dominique nienawidził, podobną nienawiścią zareagował wówczas, gdy Niemiec próbował bronić tych dziewczyn.

Tracąc kontrolę nad sobą, nie rozpoznając już delikatnej granicy między rozsądkiem a żądzą zemsty, Dominique z dzikim okrzykiem rzucił się na Hausena. Złapał go od tyłu za włosy, szarpnął, odgiął mu głowę przez oparcie fotela. Niemiec krzyknął; pierwsze szarpnięcie omal nie skrzyło mu karku. Puścił drążek i złapał ramię przeciwnika. Helikopter runął w dół. Dominique uderzył o fotel pilota i musiał puścić Hausena, którego siła ciężkości rzuciła na panel kontrolny.

Oszołomiony Niemiec, któremu z rany na czole ściekała do oczu krew, z trudem orientował się w rzeczywistości. Helikopter wyszedł z lotu nurkowego. tło to napastnikowi możliwość oderwania się od fotela. Dominique podniósł z podłogi słuchawki i, kątem oka przyglądając się dźwigni skoku łopat wirnika, zarzucił ich sznur na Bryję pilota.

Zacisnął go mocno.

□ **Czwartek, 17.41 - Waszyngton, Dystrykt Columbia**

Mike Rodgers studiował komputerową mapę Niemiec, kiedy Darrell McCaskey podskoczył radośnie, pokazując mu wyprostowane kciuki.

- Złapałem go! - krzyknął. - Mam na linii *Hauptmanna* Rosenlochera Mike porwał słuchawkę.

- *Hauptmann* Rosenlocher? Czy pan mówi po angielsku? - Owszem. Z kim mam przyjemność?

- Jestem generał Mike Rodgers, dzwonię z Waszyngtonu. Bardzo mi przykro, że niepokoję pana o tak późnej porze. Chodzi o atak na plan filmowy i porwanie tej dziewczyny.

- *Ich wiess!* - przerwał mu niecierpliwie policjant. - Cały dzień prowadziliśmy intensywne śledztwo. Dopiero przyjechałem...

- Mamy dziewczynę. - *Was?*

- Znalazł ją jeden z moich ludzi. Są w lasach niedaleko Wünstorfu.

- Tam odbywa się jakieś spotkanie. Karin Doring i jej grupa. Mamy podstawy podejrzewać, że Felix Richter złożył im wizytę. Moi ludzie już się tym zajęli.

- Pańscy ludzie niczego nie działają. - Skąd pan to może wiedzieć?

- Sytuacja im nie sprzyja. Neonaziści próbowali zabić mojego człowieka i dziewczynę.

Hauptmann, oni uciekają od kilku godzin. Nie ma już czasu, by pomóc im na miejscu. Duża grupa tych bandytów niemal ich doścignęła. Tylko pan może pomóc mi ich uratować.

- Jak?

Rodgers wyjaśnił mu, o co chodzi. Rosenlocher zgodził się chętnie. W minutę później ekspert od łączności, Rosalin Green, rozpoczęła konieczne przygotowania.

□ Czwartek, 23.49 - Wünstorf, Niemcy

W ciemności rozległ się dzwonek telefonu. Znajdujący się najbliżej aparatu młody chłopak nazwiskiem Rolf Murnau zamarł i zaczął nasłuchiwać. Kiedy telefon zadzwonił po raz drugi, obrócił promień latarki w lewo. Zrobił kilka kroków, przedzierając się przez gęste drzewa. Światło jego latarki oświetliło leżące na ziemi ciało; szerokie bary wskazywały, że jest to ciało Manfreda Pipera. Obok niego leżała Karin Doring.

- Chodźcie tu! O mój Boże, chodźcie tu szybko! - krzyknął chłopak.

Kilka osób, kobiet i mężczyzn, natychmiast ruszyło biegiem w jego kierunku; promienie ich latarek podskakiwały w ciemności. Kiedy znaleźli się już na miejscu, kiedy z niedowierzaniem gapili się na Manfreda, telefon zadzwonił po raz trzeci. Parę osób podeszło także do Karin.

Rolf przyklęknął przy Manfredzie. Widział wielką, wilgotną plamę krwi na jego kurtce, widział _ ściekające z niej na ziemię strumyczki. Powoli obrócił ciało. Mężczyzna miał

zamknięte oczy.

- Nie żyje! - powiedział ktoś o Karin. - Niech to diabli, nie żyje!

Telefon dzwonił i dzwonił. Rolf spojrzał wprost w światła latarek.

- I co mam teraz zrobić? - spytał.

Usłyszał kroki zbliżającego się człowieka.

- Odbierz! - polecił mu Felix Richter.

- Tak jest! - Chłopak, oszołomiony i odrętwiały po stracie swych bohaterów, swych ukochanych przywódców, sięgnął do kieszeni kurtki Manfreda. Wyciągnął z niej telefon.

Przez moment miał wrażenie takie, jakby okradał zwłoki, potem poczuł obrzydzenie, a wreszcie, z wahaniem, powiedział: - /a? .

- Mówi *Hauptmann* Karl Rosenlocher - rozległo się w słuchawce. Chcę rozmawiać z kimś, kto teraz wami dowodzi, bydlaki.

Rolf podniósł głowę.

- Panie Richter, ten człowiek chce rozmawiać z dowódcą. - Kto to jest „ten człowiek”?

- *Hauptmann* Karl Rosenlocher.

Mimo ciemności chłopak zorientował się, że Richter nagle sztywnieje. Wokół nich zbierało się coraz więcej osób; wiadomość o śmierci Karin i Manfreda rozchodziła się z ust do ust. Wokół ciał oraz stojącego obok Richtera gromadziła się coraz większa grupa osób.

Jean-Michel pojawił się w chwili, w której Richter podjął wreszcie decyzję i zabrał Rolfowi telefon.

- Mówi Felix Richter - powiedział do słuchawki.

- Mój głos znasz. Dzwonię, żebyś mógł posłuchać tego głosu.

Po chwili ze słuchawki rozległ się mówiący po angielsku dziewczęcy głos: - Chcę, żebyście wiedzieli, że nie udało się wam mnie pokonać. I nigdy się nie uda, żadnemu z was.

- Dziecko, dopadniemy cię z pewnością - powiedział Richter. Na linię wrócił

Rosenlocher.

- Nikogo nie dopadniecie, Richter - oznajmił. - Jodie jest teraz bezpieczna, pod ochroną mych ludzi, a wraz z nią Amerykanin, który jej pomagał. To od niego dowiedziałem się, gdzie są. A jeśli chodzi o ciebie... z tego pożaru nic cię nie uratuje.

Richter z niepokojem wpatrzył się w ciemny las. Gestem nakazał kilku ludziom podejść bliżej. Zasłonił słuchawkę dłonią.

- Broń - powiedział. - Przygotujcie broń. Rozkaz został natychmiast wykonany.

- Będziecie musieli nas pokonać - oznajmił do telefonu.

- Po co? - Głos policjanta był spokojny, pewny. - Ten pożar zaczął się w waszym obozie.

- A co to ma znaczyć?

- Jak myślisz, jakim cudem Amerykanin dostał się do was dziś wieczorem? Przecież był tylko on, sam jak palec i na wózku inwalidzkim. Jeździ na wózku, nie myłę się, prawda?

Richter próbował przeszyć wzrokiem mrok nory.

- Zinfiltrowaliśmy was, Richter. Moi ludzie są teraz wśród pańskich ludzi. Oni mu pomogli.

- To kłamstwo!

- Byli z tobą przez cały dzień. Obserwowali. Przygotowywali się. Pomogli Amerykaninowi. Straciłeś dzisiaj paru ważnych ludzi, prawda, Richter?

W otaczającym go mroku Niemiec nie dostrzegając niczego groźnego, ale, szczerze mówiąc, nie widział w ogóle nic.

- Nie wierzę w to i nie wierzę panu - stwierdził.

- To zaatakuj mnie; Richter. Proszę bardzo. Być może dojdzie nawet do strzelaniny?

Ludzie będą do siebie strzelać w kompletnej ciemności. Kto wie, czyja kula trafi kogo?

- Nie ośmieli się pan mnie zamordować. Prawda wyjdzie na jaw. Zostanie pan zmiżdżony. Jest przecież jakieś prawo!

- Karin zignorowała prawo, zabijając ludzi na planie filmowym. Myślisz, że ludzie przejmą się twoim losem, Richter? Czy rzeczywiście zmartwią się, kiedy ich poinformujemy, że w walce zginęła para morderców?

- Pan nie wygra, Rosenlocher. Jeśli zaniecham pościgu, jeśli się teraz wycofam, nic pan nie osiągnie.

- Decyzja należy do ciebie. Ja tylko zadzwoniłem się pożegnać. No i poinformować cię także, że nie będę płakał na pogrzebie.

Policjant przerwał rozmowę. Richter cisnął telefonem o ziemię.

- Niech to wszyscy diabli! - krzyknął.

- Co się stało? - spytał ktoś.

Richter wściekle gapił się na swych ludzi. Potrząsał w powietrzu zaciśniętą pięścią.

- *Hauptmann* Rosenlocher twierdzi - wysyczał - że zostaliśmy zinfiltrowani przez ludzi z hamburskiej *Landespolizei*.

- Tu? - zdumiał się Rolf.

- Tu. - Richter rozejrzał się dookoła. - Oczywiście, że kłamie - myślał głośno. - To szaleństwo, to idiotyzm Tylko... dlaczego miałby kłamać? Przecież ma już dziewczynę i Amerykanina. Niczego przez to nie zyskuje.

- To może nie kłamał? - spytał nerwowo jeden z mężczyzn. Richter niemal przeszył go wzrokiem.

- Chcesz, żebym odwołał pościg? Może właśnie ty jesteś jego człowiekiem...

- *Herr* Richter! - zawołał ktoś. - Znam Jorgena od lat. Wiem, że jest wierny sprawie.

- Może ten policjant jednak nie kłamał? - odezwał się ktoś inny, bojaźliwie.

- Dlaczego? Co zyskuje kłamiąc? Sieje strach? Chce spowodować rozłam? Utrudnić podjęcie decyzji? Wywołać panikę? - Richter umilkł na chwilę, a potem wrzasnął gardłowo: -

Co chce zyskać?!

- Czas - odpowiedział mu zza placów głos Jean-Michela Horna. Niemiec gwałtownie obrócił się w jego kierunku.

- Co pan wygaduje?! - krzyknął.

- Policja zyskuje na czasie - wyjaśnił spokojnie Francuz. - Znajdujemy ciała, zatrzymujemy się przy nich, żeby je obejrzeć i być może pogrzebać, potem kłócimy się o to, kto może, a kto nie może być zdrajcą. A Rosenlocher jest coraz bliżej.

- No i co z tego? Przecież ma, czego szukał?

- Ma? Doprawdy? Nie sędzę, by Amerykanin i dziewczyna zdążyli dotrzeć do autostrady.

Może ten pokurcz miał przy sobie telefon? Może zadzwonił na policję? Przecież podczas przemówienia nazwał pan swego najgorszego wroga po imieniu.

Richter nie mówił nic, tylko się na niego gapił.

- Przecież nietrudno jest zorganizować telefoniczną konferencję, udawać, że Amerykanin i dziewczyna są z policją.

Richter tylko przymknął oczy.

- Popęłnił pan jeden z tych błędów, których przywódcom popełniać nie wolno. - Francuz był bezlitosny. - Poinformował pan Amerykanina, jak można pana pokonać, podał mu pan nazwisko jedyne go człowieka, któremu mógł zaufać. A teraz daje mu pan szansę osłabienia pana najstarszą psychologiczną zagrywką świata.

Pod Richterem ugięły się kolana. Nagle wyprostował się, pogroził niebu Pięścią.

- Brać ich - wrzasnął. Ludzie zawahali się.

- Powinniśmy najpierw pogrzebać Karin i Manfreda - powiedział ktoś. - Tego właśnie chce od was policja

- Nic mnie to nie obchodzi. Powinniśmy ich pogrzebać.

Rolf przeżywał męki żalu i wściekłości; zupełnie nie wiedział, co powinien zrobić. Ale jedno pamiętał: obowiązek przede wszystkim. Zatoczył krąg światłem latarki.

- Idę za Amerykaninem - oznajmił. - Tego wymagaliby od nas Manfred i Karin. Mam zamiar ich ścigać.

Kilka osób poszło za nim bez słowa, inni wahali się, ale w końcu się do nich przyłączyli.

Ruszyli szybko, by nadrobić stracony czas i dać jakieś ujście gniewowi.

A jednak, przedzierając się przez las, Rolf płakał. Płakał łzami małego dziecka kryjącego się tuż pod powierzchnią jego świeżej daty męskości, płakał łzami dziecka, którego sny o przyszłości z Feuer właśnie zmieniły się w popiół.

□ Czwartek, 23.55-Tuluza, Francja

Głównym zajęciem pułkownika Augusta w NATO była pomoc przy planowaniu manewrów. Chociaż jego specjalnością pozostała piechota, miał szczęście pracować z ekspertami od walk morskich i powietrznych. Jeden z jego kolegów, lotnik nazwiskiem Boisard, latał nad Bośnią, ratując zestrzelonych pilotów. August lubił pracować z fachowcami jak on, lubił próbować, jakiego rodzaju rozwiązania taktyczne można przenieść z jednego rodzaju wojsk do innego, jak je mieszać, co zrobić, by znów zaskoczyć przeciwnika.

Jeśli chodzi o tuluzańską *bastide* zdecydował się jednak na taktykę najprostszą: „dwóch na dwóch”. Dwaj ludzie poruszają się do przodu, podczas gdy dwaj kryją ich ogniem, po czym następuje zamiana ról. Nawet jeśli atakował oddział kilku, dziesięciu lub dwudziestu żołnierzy, czwórki czuły się za siebie odpowiedzialne. Umożliwiało to dokonanie szybkiego, zdecydowanego uderzenia z chirurgiczną wręcz precyzją. W przypadku, gdyby poległ jeden z czwórki, trójka poruszała się „podwójnym żabim skokiem”. Ten z tyłu przesuwał się do środka pod ochroną kolegi z przodu, a potem do przodu pod ochroną kolegi z tyłu; w ten sposób unikał niebezpieczeństwa postrzelenia przez swoich. W przypadku śmierci dwóch z czwórki, pozostali dwaj parli żabim skokiem. Gdyby zginęło trzech, czwarty miał

przywarować i ogniem przygniatać do ziemi przeciwnika.

Do siedziby Demain weszło dwudziestu dwóch żołnierzy NATO pod dowództwem samego pułkownika. Jeden z nich otrzymał postrzał w dłoń, drugi w kolano. Wśród żandarmów ranny był wyłącznie pułkownik Ballon, który dostał w ramię. Trzech z dwudziestu ośmiu Nowych jakobinów zginęło, czternastu było rannych.

August zeznawał później przed specjalną komisją francuskiego Zgromadzenia Narodowego wyjaśniając, dlaczego terroryści ponieśli aż takie straty. Jego zdaniem spowodowane to było stawianym przez nich twardym, lecz chaotycznym oporem.

„Zachowywali się jak gracze w szachy, znający poszczególne ruchy, lecz nie ogólne zasady gry” - czytał z oświadczenia przygotowanego przez Lowella Coffeya II. „Terroryści zaatakowali z twierdzy bez planu, podzielili swe siły i dostali lanie. Kiedy schronili się do budynku i próbowali przegrupować, zaatakowaliśmy my. Wreszcie, gdy zostali okrążeni, próbowali się przebić. Zaciskaliśmy im pętlę na szyi, póki się nie poddali, i taki był koniec.

Cała operacja od pierwszego do ostatniego wystrzału trwała dwadzieścia dwie minut”.

Paulowi Hoodowi wydawała się znacznie dłuższa.

Kiedy wielki *V-22 Osprey* usiadł na lądowisku i przywódca Nowych jakobinów nakazał egzekucję zakładników, strzały padły nie tylko przez wyjętą klamkę, lecz także przez dziurę

wydrążoną w gipsie fałszywego stropu oraz przez okno, do którego spuścił się po linie jeden z żandarmów. Punkty wybrano fachowo - pierwsi zostali ranni terroryści, których zadaniem było zastrzelić Paula, Matta i Nancy.

Gdy tylko padli, Hood nucił się na przyjaciół i przycisnął ich do ziemi. Ballon został ranny, kiedy próbował osłonić Matta.

Nowi Jakobini wpadli w panikę; próbując uciec z korytarza, w którym służyli za tarcze strzeleckie, na otwartą przestrzeń, zupełnie zapomnieli o jeńcach. Wrócili po dziesięciu minutach, usiłując powstrzymać atak. W tym czasie trójka Amerykanów i Francuz zdążyli schronić się w kuchence. Nancy przemyśla i obandażowała ranę Pułkownika, Paul Hood zaś poświęcił wszystkie siły na powstrzymanie go przed powrotem do walki. Matt siedział z boku, ponieważ, według jego własnych słów, „mdliło go na widok kiwi”.

Jako pierwsi do kuchenki dotarli żołnierze z międzynarodowego batalionu NATO.

Korytarz został już zabezpieczony, a do Ballona wezwano sanitariusza.

Trójkę Amerykanów ewakuowano do *Ospreya*. August i jego francuski tłumacz urządzili sobie obok maszyny centrum dowodzenia. Odebrawszy raport o zabezpieczeniu przez oddział

pierwszego piętra i rozpoczęciu ataku na drugie, generał dokonał formalnej prezentacji, a potem natychmiast zwrócił się do rozmawiającego przez radio tłumacza. W tym czasie jego żołnierze atakowali już gabinety dyrekcji.

Paul zażądał informacji o tym, czy na terenie znaleziono Dominique'a i Hausena. Marzył

także o kontakcie z Rodgersem. Bał się o Herberta; chciał wiedzieć, czy nic mu się nie stało.

To jednak musiało poczekać, przynajmniej do chwili, kiedy oni sami będą już bezpieczni.

Matt Stoll rozgościł się w kabinie. Hood miał właśnie zaprosić do środka Nancy, kiedy na niebie pojawiło się światło, maleńkie niczym daleka gwiazda i przesuujące się ze wschodu na zachód. Nagle gwałtownie urosło i zaczęło się zbliżać. Wkrótce usłyszeli charakterystyczny łopot wirnika helikoptera. Pułkownik August obserwował go pilnie.

- To jeden z pańskich? - spytał Paul.

- Nie. Być może ten, który wystartował, robiąc nam miejsce do lądowania. Zakładaliśmy, że wieją nim jakieś szychy z Demain.

Z krańca lądowiska podbiegł ku nim jeden z żandarmów. Przez ramię przerzucone miał ciało mężczyzny ubranego w sportową koszulę.

- *Sous-lieutenant!* - krzyknął do tłumacza. Położył jęczącego człowieka obok *Ospreya* i wdał się w rozmowę z podporucznikiem. Po dłuższej chwili Francuz odwrócił się w stronę pułkownika.

- Ten mężczyzna jest pilotem - wyjaśnił. - Rozgrzewał silnik helikoptera Dominique'a, kiedy dostał w głowę od jakiegoś blondyna.

- Hausen! - krzyknął Paul.

Helikopter tracił wysokość. Obracał się wokół osi; było jasne, że nie leci już, lecz spada.

August krzyknął do wszystkich, by padli na ziemię i osłonili głowy. Paul przykrył Nancy swym ciałem, pułkownik jednak nie wykonał własnego rozkazu. Na stojąco obserwował, jak helikopter wyrównuje lot na wysokości jakiś sześćdziesięciu metrów i zaczyna oddalać się w stronę rzeki.

- Kim jest ten Hausen, panie Hood? - spytał.

- Niemieckim

politykiem

i

pilotem.

Nienawidzi

Dominique'a,

człowieka

odpowiedzialnego za całe to zamieszanie.

- Nienawidzi go wystarczająco, by porwać helikopter?

- Więcej niż wystarczająco. Sądzę, że byłby skłonny popełnić samobójstwo, byle zabrać Dominique'a ze sobą.

- Dominique'a, helikopter i wszystko, co akurat znalazłoby się pod helikopterem -

powiedział August, nie odrywając oczu od maszyny. Zawróciła na północ, wznosząc się, a potem wyrównała lot. - Widziałem to już przedtem, stare urazy wyrywające się spod kontroli.

- Pułkownik zwrócił się do tłumacza: - Czy Manigot i Boisard nadal są na parterze?

Podporucznik sprawdził przez radio i potwierdził.

- Oczyszczają teren, panie pułkowniku - zameldował. - Niech zjawią się tu natychmiast.

Pan dowodzi.

- Tak jest. - Podporucznik zasalutował słuźbiście.

August spojrział na siedzącego w kabinie *Ospreya* pilota. Palcem wskazującym zatoczył krąg nad głową. Pilot natychmiast włączył silniki.

- O co tu chodzi? - spytał go Hood.

Pułkownik już biegł ku prowadzącym do kabiny schodkom.

- Ktoś pragnie posadzić ten helikopter, a ktoś inny pragnie lecieć dalej - wyjaśnił. - Jeśli nie wyjaśnimy tej sytuacji na miejscu, nie nastąpi ani jedno, ani drugie.

- Na miejscu?! - krzyknął Paul.

W tym momencie podbiegli do nich dwaj komandos NATO. Wskoczyli na pokład; silniki ryknęły potężnie, uniemożliwiając jakąkolwiek rozmowę. Matt wybiegł z *Ospreya*, Paul i Nancy cofnęli się, i - w niespełna dwie minuty od zauważenia helikoptera - wielka maszyna już była w powietrzu.

□ Piątek, 00.04 - Wünstorf, Niemcy

Policyjny radiowóz pędził autostradą ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Hauptmann Rosenlocher patrzył w lewo, lecz nie na kierowcę; szukał wzrokiem śladów jakiegokolwiek „aktywności” na granicy lasu. Jechali z wyłączoną syreną. Od czasu do czasu, gdy istniało niebezpieczeństwo, że ktoś zajedzie im drogę, kierowca włączał na moment migające niebieskie światelko. Z tyłu siedział w milczeniu mężczyzna w mundurze *Landespolitzei*. Podobnie jak jego dowódca, zajęty był obserwowaniem drogi.

Za radiowozem Rosenlochera jechały dwa inne, nazwane kodowo Dwójką i Trójką. W każdym z nich siedziało sześciu policjantów z jego piętnastoosobowej jednostki taktycznej.

Pięciu z nich dysponowało snajperskimi karabinami *M1*. Pięciu miało pistolety maszynowe *HK 53*. Wszyscy uzbrojeni byli w długolufę *Walthery P1*, wszyscy pilnie wypatrywali mężczyznę na wózku inwalidzkim i młodej dziewczyny.

Siwowłosy policjant o pomarszczonej twarzy zastanawiał się, czy Richter kupił jego blef.

On sam nie miał żadnego doświadczenia w operacjach psychologicznych, był ekspertem od tajnych operacji i tłumienia rozruchów. Generał Rodgers zapewnił go jednak, że coś podobnego zadziałało doskonale w przypadku chorwackich porywaczy samolotu TWA nad Paryżem. A to, co mówił generał Rodgers, miało sens. Większość rewolucjonistów, zwłaszcza tych nowych, jeszcze niepewnych siebie, na ogół łatwo było przekonać; że w ich szeregach jest zdrajca. Bo i na ogół był. Zadzwoił telefon.

- *Ja?* - rzucił w słuchawkę Rosenlocher.

- *Herr Hauptmann*, tu Rodgers. Mamy wreszcie was wszystkich na naszym satelicie. Bob i dziewczyna są jakieś trzy kilometry na północ od pana. Kierują się w stronę autostrady.

Neonaziści zatrzymali się, ale teraz znów się ruszają. Nie sposób powiedzieć, kto pierwszy spotka kogo. Loteria.

Policjant zerknął na prędkościomierz.

- Szybciej - polecił kierowcy. Chłopak o buzi dziecka tylko chrząknął. - Dziękuję, generale - powiedział do telefonu Rosenlocher. - Zadzwonię, kiedy tylko będę miał coś do przekazania.

- Życzę szczęścia - usłyszał w odpowiedzi. Podziękował raz jeszcze i na tym rozmowa się skończyła. Wprostował się, wpatrzył w noc. Na oparciu siedzenia czekała śrutówka. Sięgnął

po nią. Dłonie miał spocone, jak zawsze przed akcją. W odróżnieniu od wszystkich innych miał

jednak nadzieję, że ta zakończy się strzelaniną. Bardzo pragnął wykorzystać świetną okazję do rozdeptania robactwa, pragnącego zniszczyć jego kraj.

- Jeszcze trochę szybciej - powiedział do kierowcy. Chłopak zacisnął zęby i dodał gazu.

Za oknami przemykał nocny pejzaż. Pozostałe dwa samochody również przyśpieszyły. I nagle po lewej stronie, wśród ciemnych zarośli, Rosenlocher dostrzegł dwie jaśniejsze postaci. Znikły błyskawicznie.

- Mamy jedno skrzydło sił Richtera - powiedział. - Wyczuwam tych sukinsynów nawet przy stu osiemdziesięciu kilometrach na godzinę. Zwolnij. Kierowca zdjął nogę z gazu. W

sekundę później z lasu, z wysiłkiem, wyłoniły się kolejne dwie postaci: mężczyzna na wózku inwalidzkim i młoda dziewczyna.

- Stop!

Samochód zjechał na pobocze. Rosenlocher złapał za mikrofon radiostacji. Pozostałe samochody zatrzymały się również.

- Dwójka i Trójka, widzicie ich? - Dwójka, widzę.

- Trójka, tak, widzę.

- Dwójka, kryjesz południową flankę. Trójka, skreć na północ, jak ich zabiorę.

Trzy samochody stały na poboczu w odległości dwudziestu metrów jeden od drugiego.

Kierowcy pozostali na miejscach, policjanci wysiedli. Gdyby ponieśli straty, rannych natychmiast odwieziono by do szpitala w Hanowerze. Funkcjonariusze z Dwójki i Trójki przesunęli się na północ i na południe. W ciemności, ukryci za barierką, ustawili się w tyralierę. Gdyby do Amerykanów otwarto ogień, mieli rozkaz strzelać.

Rosenlocher jako pierwszy przeskoczył przez barierkę. Od granicy lasu, z którego, jak najszybciej potrafili, zbliżali się do nich Bob i Jodie, dzieliło go najwyżej trzydzieści metrów.

Podniósł śrutówkę. Wymierzył za plecy dziewczyny; wydawało mu się, że dostrzegł tam ruch.

- Pośpieszcie się! - krzyknął do Herberta.

Jodie pchała wózek jak najszybciej potrafiła. Dyszała spazmatycznie i potykała się, ale nie ustawała w wysiłkach.

Policjant tymczasem widział już pościg. W światłach przejeżdżających od czasu do czasu samochodów dostrzegał nawet poszczególne twarze. Młode twarze, niektóre gniewne, niektóre po

prostu wystraszone. Zdawał sobie sprawę, że wystarczy drobny błąd którejkolwiek ze stron, a sytuacja wymknie się spod kontroli. Miał nadzieję, że instynkt samozachowawczy okaże się silniejszy, że nikt nie da się ponieść emocjom.

Minęło kilka chwil. Widział już, jak napięta jest twarz Herberta, obracającego koła wózka, widział, że dziewczyna płacze, na pół pchając go, na pół się na nim opierając. Widział

też grupkę neonazistów, która wyłoniła się z lasu, ludzi najwyraźniej skłonnych zaryzykować życiem, by dać dowód odwagi. Już po chwili zorientował się jednak, że nie zaatakują. Nie było wśród nich Karin Doring i Manfreda Pipera. Nie wiedział, dlaczego ich nie ma, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że bez głowy ciało nie będzie myśleć, że bez serca nie będzie działać. Łotry mogły targnąć się na życie osamotnionego przeciwnika, nie zaryzykują jednak starcia z wyszkolonymi policjantami.

Bob i Jodie dotarli do linii policjantów. Zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami, kierowcy Dwójki i Trójki wysiedli teraz, by pomóc Herbertowi przedostać się przez barierkę autostrady. W ruchach policjantów nie było ani pośpiechu, ani oznak niepokoju; pracowali sprawnie i skutecznie sprawność i skuteczność była znakiem firmowym tego oddziału.

Policjanci nie opuszczali stanowisk. Kierowcy ulokowali Amerykanów w pierwszym samochodzie i rozpoczęła się procedura wycofywania. Funkcjonariusze odchodzili od barierki po jednym, zaczynając od zewnętrznych w szeregu. Zatrzymywali się przy drzwiach samochodów, skąd osłaniali swoich kolegów. Wkrótce przy barierce pozostał tylko jeden człowiek: *Hauptman Rosenlocher*.

Rosenlocher odwrócił się i spokojnie poszedł w stronę pierwszego samochodu. Właściwie spodziewał się, że umrze. W każdej grupie terrorystów i innych twardzieli nieodmiennie znajdował się jeden tchórz. A jednak szedł z dumnie uniesioną głową. Tchórzy onieśmielali ludzie, którzy nie chcieli być tchórzami. Ludzie, którzy nie okazywali strachu. Szedł świadom każdego dźwięku, słysząc odgłos swych kroków, z których każdy mógł być ostatni.

Podszedł do samochodu od strony pasażera i spokojnie rozkazał ludziom wsiadać.

Odjechali bez jednego strzału. Kierowca dostał polecenie włączenia syreny. Musieli jak najszybciej dostać się do szpitala.

Siedząca na tylnym siedzeniu radiowozu Jodie oparła się ciężko o Boba. Nie była w stanie opanować szloch.

- Ramię mnie boli - poskarżyła się. - Cicho, kochanie.

- Wszystko mnie boli! Wszystko! Bob przytulił ją mocno.

- Zaraz się o ciebie zatroszczymy - powiedział cicho. - Nic ci nie będzie. Jesteś bezpieczna. Zachowałeś się jak prawdziwa bohaterka.

Dziewczyna nie mogła się od niego oderwać. Na szyi czuł ciepło jej oddechu i wilgoć łez.

Tulił ją, tak dumny z tego, jak się zachowała, że i jemu szklily się oczy.

- A co z panem, panie Herbert? Czy panu też nic nie jest? - spytał Rosenlocher.

- Nic. Zupełnie nic.

- Pana przyjaciel, generał, miał świętą rację. Powiedział, że wystarczy, żebym kupił panu odrobinę czasu. Niech pan rozluźni pętlę - tak powiedział - a już Bob sam się z niej wyslizgnie.

- Jasne. Wyślizgnie z szubienicy i wyląduje na lotnych piaskach. Dzięki, że pan nas stamtąd wyciągnął, *Herr Hauptmann*. Do śmierci będę panu przysyłał kartki na Boże Narodzenie.

Rosenlocher z uśmiechem sięgnął po telefon. Poprosił centralę o połączenie z generałem Rodgersem w Waszyngtonie. Czekał, czuł ciężar opartej o prawe kolano śrutówki i myślał

o tym, że potrzeba było wojny, żeby obalić Hitlera. Teraz, kiedy Bob i dziewczyna znajdą się wreszcie w szpitalu, oni wrócą do lasu, by tropić neonazistów. Co za ironia: po tylu latach pościgu i podchodów, po ćwiczeniach w posługiwaniu się bronią i w taktyce partyzanckiej, tego *Fuhrera* uda się, być może, obalić bez jednego wystrzału.

Rzeczywiście, to ironia, ale ironia pasująca do sytuacji, pomyślał jeszcze. Być może czegoś się jednak nauczyliśmy. Jeśli oprzeć mu się odpowiednio wcześniej, każdy z tych samozwańczych królów okazuje się nagi.

Rosenlocher rozkoszował się podobnymi myślami, z przyjemnością przekazując słuchawkę Bobowi Herbertowi, by mógł on zameldować swemu przełożonemu, że jego misja zakończyła się sukcesem.

□ **Piątek, 00.16 - Wünstorf, Niemcy**

Felix Richter obserwował powracające, rozbite siły swej armii. - Gdzie Amerykanie? - spytał nerwowo.

Rolf był wśród pierwszych, którzy do niego podeszli. Spojrzał na zwłoki Karin i Manfreda. Głowy i ramiona przykryto im wiatrówkami. Przypominali mu przejechane na drodze psy. Odwrócił wzrok.

- Gdzie Amerykanie? - spytał go Richter, podchodząc bliżej. - Czekają na nich policja.

Nic nie mogliśmy zrobić.

- Nic nie mogliście zrobić?! - wrzasnął Richter. - Czy tak zachowałyby się Karin?

- Karin byłaby tam z nami! - krzyknął ktoś. - Nie czekałaby, aż wrócimy. Umiała nie tylko gadać!

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem jak ona...

- Nie. Bo pan nie jest - przerwał mu Rolf. - Odchodzi. Felix Richter zastąpił mu drogę.

- Posłuchaj mnie. Wszyscy słuchajcie - podniósł głos. - Nie wolno porzucać sprawy tylko dlatego, że zdarzyły się przejściowe trudności. Musimy walczyć, jesteśmy to winni tym, którzy polegli.

Parę osób zatrzymało się, podniosło ciała. Reszta na nich czekała.

- Nie pozwólcie, żeby tak się wszystko skończyło! - krzyknął Richter. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozpoczął się generalny exodus w kierunku obozu. Rolf szedł śladem przecinających ciemność promieni latarek. Czyżby to były owe światła scenicznych reflektorów, które tak niedawno mu obiecywano, mające oświetlać ich symbole, ich dokonania, ich przyszłość?

- To tylko drobna niedogodność, nie porażka - krzyczał Richter. Nie dajcie się powstrzymać!

Nikt nie zwracał na niego uwagi, mimo że powtarzał te słowa raz za razem, próbując rozdmuchać iskierkę entuzjazmu.

- Ich nie obchodzi pańskie subtelne rozróżnienia - odezwał się z tyłu Jean-Michel Horne.

- *Herr* Richter, ci ludzie wiedzą tylko, że stracili serce. Jeśli okaże się pan mądry i będzie postępował w sposób zdecydowany, niektórzy być może je odzyskają. Teraz jednak czas wracać do domu. - Francuz ruszył przed siebie, śladem latarek, pozostawiając Wodza samego w ciemności.

□ Piątek, 00.17 - Tuluza, Francja

Osprey wisiał nad ziemią jak burzowa chmura, ciemna i pomrukująca groźnie, a jego światła nawigacyjne migwały niczym błyskawice. Pułkownik August stał za fotelem pilota, obserwując jak jego maszyna wznosi się na pułap trzystu metrów.

Helikopter znajdował się jakieś pięć kilometrów od nich w dole rzeki. Leciał na południowy wschód. Nadal zataczał się po niebie, od czasu do czasu nurkował ostro, a potem równie ostro się wznosił. Przypominał wagonik kolejki górskiej w wesołym miasteczku, chociaż teraz jakby się trochę uspokoił, niczym narowisty byk, złapany na łąso i powoli godzący się z losem. August nie zamierzał jednak ryzykować, podejrzewał, że z prawnego punktu widzenia nie uda mu się usprawiedliwić interwencji, chyba że udowodni, że pilot nie panował nad maszyną i stanowiła ona zagrożenie dla ludzi na ziemi.

- Przybliżona prędkość dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę poinformował go pilot *Ospreya*, obserwując oddalający się od nich helikopter. Ich maszyna pochyliła się lekko, gondole silników przeszły do poziomu.

Zamiast wisieć w powietrzu, zaczęli przesuwac się do przodu. Lecąc z prędkością rzędu sześciuset kilometrów na godzinę, bez problemu mogli dogonić helikopter, ale szef załogi nie był jeszcze gotowy. Wraz ze swymi trzema ludźmi pracował w ładowni, przygotowując wciągarkę o udźwigu tysiąca kilogramów oraz sześćdziesięciometrową linę. Używano ich przede wszystkim do załadunku na terenach, na których maszyna nie mogła wylądować.

August rozkazał obsłudze przygotować wciągarkę, a kiedy wyjaśnił, jak planuje jej użyć, Manigot i Boisard poprosili go o postawienie przed sądem polowym i plutonem egzekucyjnym; stwierdzili, że na wykonaniu zadania wcale nie wyjdą lepiej, a tak przynajmniej będą mieli spokój. Pułkownik nie podzielał jednak ich optymizmu. Powiedział

im to, co zawsze mówił swym podkomendnym: jeśli robota została dobrze zaplanowana i wykonana przez zawodowców, idzie tak gładko jak wstanie rano z łóżka, a zawsze możliwe niespodzianki po prostu czynią życie bardziej interesującym.

Osprey parł przed siebie ze śmigłami ustawionymi prawie pionowo. Pułkownikowi Augustowi mniej chodziło o prędkość, niż o możliwość śledzenia helikoptera. Gdyby jego pilot zdecydował się na gwałtowną zmianę kursu, chciał mieć możliwość powtórzenia jego manewru. Nakazał także ciszę radiową. Nie ma nic bardziej deprymującego niż przeciwnik bez głosu i twarzy.

Pilot *Ospreya* skorygował wysokość - lecieli teraz jakieś trzydzieści metrów na helikopterem. Powtarzał jego manewry, kierując się to na wschód, to na zachód, zgodnie z biegiem rzeki. Najwyraźniej facet kontrolujący *LongRangera* znał się na pilotażu, lecz ani w ząb nie rozumiał zasad nawigacji. Uciekał, za przewodnika wzięwszy sobie rzekę.

Doganiali helikopter niepowstrzymanie jak gwałtowna, wściekła burza. *LongRanger* dawał z siebie wszystko, ale nie był w stanie uciec. Nie minęły nawet dwie minuty, a maszyna NATO już nad nim wisiała. Próbował usunąć się na bok, ale samolot bezbłędnie powtarzał

wszystkie jego manewry. A obsługa wyciągarki cały czas przygotowywała sprzęt. Skończyła wreszcie i jej szef połączył się z kabiną pilotów.

- Kapral Taylor gotowy, panie pułkowniku - zameldował. Pułkownik August założył rękawiczki. Skinął głową.

- Powiedz im, żeby otworzyli ładownię. Idę do nich.

Pilot przyjął rozkaz. August wyszedł z kabiny. Wnętrzem kadłuba szarpał wiatr, powodowany przez wielkie łopaty śmigieł, obracające się przy otwartym włazie. Okrywający wręgi kadłuba brezent trzepotał głośno. Mimo owego huraganu pułkownik poruszał się szybko. Zespół przygotował się wykonania zadania; najgorszą rzeczą, jaka mogła go teraz spotkać, było oczekiwanie. Oczekiwanie jest jak lód w upały; topnieje wysysając energię.

Dotarł na miejsce, kiedy jego ludzie sprawdzali zaczepy przy spadochronach.

- Gotowi? - spytał.

- Tak jest! - padła odpowiedź.

Jeszcze raz przedstawił im plan, przedyskutowany wcześniej z Manigotem i Boisardem.

Taylor miał opuścić Manigota piętnaście metrów w dół, tuż za tylnym wirnikiem śmigłowca, do miejsca znajdującego się w połowie długości między kabiną i ogonem. Poza zasięgiem wirnika nośnego akurat wystarczało na to miejsca. Problem stanowiło tak naprawdę te pięć do ośmiu sekund, podczas których wiszący na linie żołnierz lub lina, na której wisi, znajdowały się tuż poza końcówkami łopat. Gdyby helikopter w tym momencie zwolnił albo zmienił

kierunek lotu, Manigot lub lina zostałyby posiekane na plasterki. Na wypadek, gdyby helikopter w ogóle zdecydował się wykonać jakiś manewr, Manigot miał rozkaz natychmiast zwolnić linę i lądować na spadochronie; misja zostałaby w takim razie przerwana. Gdyby do tego nie doszło, obaj żołnierze powinni wylądować na belce ogonowej, przejść po niej i wtargnąć do kabiny. W każdym razie tak to sobie zaplanowali. Ćwiczyli nawet symulacje, z helikoptera na helikopter. Tylko, że te ćwiczebne helikoptery wisiały nieruchomo nad ziemią.

Teraz, stojąc w otwartym luku, spoglądając w dół na cel, pułkownik zdał sobie sprawę z ryzyka wysyłania ludzi z jednego ruchomego obiektu w powietrzu do innego.

Miał już wydać rozkaz przerwania misji, kiedy coś się zdarzyło z *LongRangerem*.

□ Piątek, 00.51 -Tuluza, Francja

Richard Hausen leżał w kabinie pilota, masując szyję i zastanawiając się, dlaczego Dominique jeszcze go nie wykończył. Dopiero po chwili usłyszał dźwięk silnika goniącego ich samolotu, poczuł też wibracje. Ktoś siedział im na ogonie. Zdawał sobie sprawę, że ścigający ich ludzie nie zestrzelą Dominique'a tak po prostu, że mogą go powstrzymać tylko w jeden sposób: przedostając się na pokład helikoptera.

Choć był niezbyt przytomny i mocno obolały, a w dodatku nie wiedział na pewno, czy coś takiego jest w ogóle wykonalne; rozumiał jednak, że znacznie łatwiej by im było, gdyby helikopter po prostu zawisł w powietrzu, nie wykonując żadnych uników. Potrząsnął więc głową, mrugnął oczyszczając pole widzenia, a następnie poszukał na tablicy przyrządów automatycznej funkcji ZAWIS. Kiedy ją wreszcie znalazł, wcisnął przycisk, rzucił się na Dominique'a, i pociągnął go na podłogę kabiny.

□ Piątek, 00.52 - Tuluza, Francja

Osprey przeleciał nad wiszącym helikopterem. August rozkazał pilotowi zawrócić; pilot wykonał jego polecenie i wreszcie znaleźli się bezpośrednio nad ściganą maszyną.

Pułkownik obejrzał ją sobie przez otwarty właz. Obie maszyny tkwiły nieruchomo, choć oczywiście nie sposób było powiedzieć, jak długo potrwa to w przypadku *LongRangera*. Być może Dominique próbuje ich wywabić.

Nie, pomyślał. Przecież nie może mieć pewności, czy chcą go atakować, czy też po prostu tropić. Co więcej, z kabiny ich nie zobaczy, nie będzie więc wiedział, czy ktoś z zespołu lub cały zespół opuścił pokład *Ospreya*. Instynkt podpowiadał mu, że to nie Dominique unieruchomił maszynę; a więc, prawdopodobnie, dokonał tego Hausen.

Manigot, Boisard i Taylor czekali na rozkaz.

Kto nie ryzykuje, nie wygra, a ci, co boją się ryzyka, nie powinni nosić munduru. Jest zadanie do wykonania i są ludzie, gotowi je wykonać.

- Do roboty - powiedział po prostu.

Taylor włączył wciągarkę, szybko opuszczając Manigota. Manigot opadał w tempie metra na sekundę; na belce ogonowej znalazł się po piętnastu sekundach. Zaczepił karabinek, umocował linę i błysnął latarką. Boisard zjechał czysto i łatwo, lądując po przeciwnej stronie belki ogonowej. Manigot odczepił linę, a Taylor wciągnął ją szybko. Ciężki hak na jej końcu uniemożliwił linie wkręcenie się w wirnik.

W słabym świetle padającym z otwartego włazu *Ospreya* August obserwował Boisarda, odczepiającego linę od pasa i przesuwającego ją przez stalowe karabinki na pasie Manigota.

Ubezpieczony, Manigot powoli ruszył wzdłuż belki ogonowej, kierując się w stronę kabiny.

W tym momencie helikopter zanurkował. Nie pionowo, rozpaczliwie, jak przedtem; wyglądało to raczej na dobrze przemyślaną próbę ucieczki. Manigot zaczął zjeżdżać w stronę wirnika nośnego. Tylko błyskawicznemu refleksowi zawdzięczał, że nie spadł wprost na obracającą się głowicę; zdążył złapać się rury wydechowej tuż przed nim. Boisard dosłownie zawisł na belce ogonowej nurkującej maszyny.

Pułkownik dopadł radia i nakazał pilotowi pościg, a potem wyteżył wzrok obserwując, czy jego ludzi nie skaczą.

Nie skoczyli. Mają być żołnierzami pewnymi siebie, lecz z pewnością nie lekkomyślnymi.

Najprawdopodobniej bali się, że po skoku mogą wylądować na obracającym się wirniku.

Wściekły z powodu odległości i niedostatecznego oświetlenia, pułkownik August trwał

przy otwartym włazie nawet wtedy, gdy jego maszyna rzuciła się w pogoń za helikopterem, który, w końcu, znów wyrównał lot. Dowódca zwrócił się do kaprała Taylora.

- Opuszczaj wciągarkę! - krzyknął. - Zjeżdżam.

- Panie pułkowniku, nie mamy przecież gwarancji, że helikopter utrzyma lot poziomy...

- Już! - warknął August, wkładając wyciągnięty z szafki spadochron. - Podczepię mu linę od belki ogonowej, a kiedy dostanę się do Boisarda, po prostu zawleczeni cholerę do domu.

- Panie pułkowniku, testowaliśmy urządzenie na tonię, a helikopter ma masę...

Wiem, jaka masę ma helikopter. Ale jak długo obraca mu się wirnik nośny, nie jest to istotne. Powiedz pilotowi, że cna się go Trzymać niezależnie od wszystkiego. Kiedy zaczepię hak, dwukrotnie błysnę latarką. Niech zawraca.

Taylor zasalutował i podszedł do panelu kontrolnego, manifestując pewność, której najwyraźniej nie czuł.

Jak ptak, od którego wzięła swą nazwę *Osprey* - rybołów - parł przed siebie, nie zważając na przeszkody. Wciągarka ruszyła i August zaczął zjeżdżać powoli, pod kątem do helikoptera.

Wirował przy tym i obrócił się kilkakrotnie, nim wreszcie zdołał chwycić belkę ogonową.

Poruszając się .po przeciwnej niż Boisard stronie helikoptera, tak by nie naruszyć jego równowagi.

Spojrzał przed siebie, a, potem zaczął przesuwać się wzdłuż grzbietu belki ogonowej w kierunku Manigota. Pęd powietrza niemal zatrzymywał go w miejscu, jednak zdążył się już zbliżyć do kabiny, kiedy *LongRanger* nagle wyprostował się i skręcił na wschód. *Osprey* nieco spóźnił się z powtórzeniem jego manewru, lina napięła się i zagrała jak struna; helikopter zadrżał nagle... ale wciągarka wytrzymała.

August ześlizgnął się z grzbietu kadłuba na bok Przede wszystkim sprawdził, czy nic nie stało się Manigotowi, a potem spojrzał w dół. Jego stopy dzieliły od płozy niespełna dwa metry, ciemne i przewiewane silnym wiatrem, ale miał te płozy pionowo pod sobą. Gdyby się teraz puścił, po drodze w dół po postu musiałby przelecieć obok nich.

Napiął mięśnie ramion. Przywołał w pamięci to wszystko, co twierdził zawsze o planowaniu. Też mi planowanie! Znalazł się w sytuacji koszykarza wykonującego rzut osobisty - albo trafiasz, albo nie trafiasz.

Zdjął rękawice. Odpiął się od liny, opinającej kadłub helikoptera, poczekał, aż znów wyrówna on nieco lot i skoczył, już w locie wyciągając ręce.

Pęd powietrza pchnął go nieco w tył, ale nie aż tak daleko, by minął tylną część płozy.

Zawisł na niej na lewym ramieniu, natychmiast złapał się jej prawym i podciągnął. Wisiał tak pod kątem czterdziestu pięciu stopni, szarpany wiatrem, uderzając w drzwi kabiny pasażerskiej, walcząc z siłą grawitacji.

Zauważył, że pilot go obserwuje. Ktoś jeszcze leżał na podłodze kabiny, pomiędzy siedzeniami, usiłując wstać. Pilot odwrócił się i natychmiast spróbował rzucić maszynę w lot nurkowy. Lina wytrzymała, obie połączone nią maszyny aż się zatrzęsły i pilot helikoptera znów zainteresował się światem, tym razem nie patrzył jednak na człowieka, lecz na linę.

August rozpaczliwie machał nogami, usiłując zaczepić je o płozę. Udało mu się wstać; natychmiast sięgnął do drzwi kabiny, otwierając je gwałtownym szarpnięciem. Wskoczył do kabiny pasażerskiej. Dwa kroki, dzielące go od kabiny pilotów, pokonał w ułamku sekundy.

Przeszedł nad zbierającym się z podłogi mężczyzną z rękę zgiętą w łokciu, na wysokości talii, i łokciem uderzył pilota w głowę. Niczym maszyna walnął go jeszcze dwa razy, po czym wywłókł z siedzenia. Padł na nie, złapał drążek i natychmiast zwrócił się do wstającego z podłogi mężczyzny.

- Hausen? Wstawaj! Cholernie potrzebny mi pilot! Niezbyt przytomny Niemiec zataczał się niczym pijak - Próbowałem wyrównać... dla pana... dwa razy...

- Dzięki, ale teraz...

Hausen pracowicie wspinał się na siedzenie.

- Niech pan się pośpieszy! - wrzasnął na niego pułkownik - Przecież ja nie wiem prawie nic o pilotażu!

Zadyszany polityk wspinał się wreszcie na fotel. Rękawem koszuli przeciągnął po zakrwawionym czole.

- Już dobrze... mam go...

August wyskoczył z fotela jak oparzony. Bez ceregieli wrzucił Dominique'a do kabiny pasażerskiej, podszedł do otwartych drzwi, wychylił się przez nie i sprawdził, co się dzieje.

Boisard dzielnie parł w stronę Manigota.

- My tu jesteśmy bezpieczni! - krzyknął do niego. - Kiedy go dostaniesz, odczep linę!

Boisard potwierdził i pułkownik wrócił do kabiny. - Da pan sobie radę? - spytał Hausena.

- Nic mi nie będzie - zapewnił go Niemiec.

- Proszę lecieć równo, póki nie powiem. Potem wrócimy do Demain. Hausen skinął głową. August pochylił się nad Dominique'em, podniósł go i rzucił na fotel.

- Nie wiem, coś zrobił - oznajmił - ale mam nadzieję, że coś wystarczająco złego, żeby trafić za kratki do końca życia.

Półprzytomny, zakrwawiony Dominique zdołał jednak podnieść głowę i nawet się uśmiechnąć.

- Możecie mnie powstrzymać - wysyczał przez rozchwiane zęby ale nie powstrzymacie nas wszystkich. Nienawiść... nienawiść jest pewniejsza od lokaty bankowej.

- A na moim koncie zgromadziło się sporo z procentów - zakpił August i przyłożył mu jeszcze raz. Dominique zwiotczał. Pułkownik podszedł do otwartego luku. Trzęsącą się ze zmęczenia ręką pomógł wleźć do środka Manigotowi, a kiedy Boisard odczepił linę, także i jemu. Zamknął wreszcie drzwi i ciężko opadł na podłogę.

Najsmutniejsze, że ten sukinsyn ma przecież rację, pomyślał. Ci, co sami nienawidzą, i ci, co handlują nienawiścią, mają się przecież doskonale. Walczył z nimi. libry był w tej walce, nie ma co zaprzeczać. I choć jego zmęczony mózg nie od razu dogonił galopujące serce, pułkownik August uświadomił sobie, że kiedy wreszcie wylądują, będzie musiał załatwić pewien telefon.

□ **Piątek, 00.53 - Tuluza, Francja**

Żandarmeria opanowała sytuację w siedzibie Demain przed lądowaniem *Ospreya*.

Nowych jakobinów wyłapano, skuto kajdankami, rozdzielono na grupki po dwóch i zamknięto w niewielkich, przeszklonych pomieszczeniach biurowych; każdego pilnowało dwóch ludzi. Ballon wierzył święcie, że męczennicy i bohaterowie to albo ekshibicjoniści, albo nakręcane zabawki. Bez świadków, jego zdaniem, nie będą próbowali niczego spektakularnego. Błyskawiczna klęska terrorystów potwierdziła jeszcze jedno jego przekonanie - że to tchórze polujący stadem, niezdolni do samotnej walki, do przeciwstawienia się równej lub większej liczbie przeciwników.

Może miał rację, a może jej nie miał, w każdym razie obyło się bez oporu. Po więźniów przyjechały samochody miejscowej policji, pojawiła się także karetka, Ballon jednak nie dał

się do niej wsadzić. Postanowił czekać na powrót *Ospreya* i helikoptera. Wraz z resztą towarzystwa przyglądał się z dala ich walce. O jej wyniku i ujęciu Dominique'a dowiedzieli się dopiero z meldunku pilota amerykańskiej maszyny.

Po wylądowaniu pułkownik August osobiście zajął się Dominique'em. Wyszli razem; pułkownik trzymał jeńca chwytem policyjnym: wyprostowane ramię, spoczywające pod pachą trzymającego, ręka wygięta i skrzycona w stronę ciała. Gdyby Francuz próbował

uciekać, wystarczyło przygiąć mu dłoń, powodując nieznośny ból. Dominique nie próbował

jednak uciekać, zaledwie zdolny był iść prosto. Pułkownik przekazał go żandarmom. Ballon umieścił więźnia w swoim samochodzie, pod strażą czterech ludzi.

- Powiedzcie *Herr Hausenowi* - powiedział Augustowi przed odjazdem - że może wezwać tylu dziennikarzy, ilu tylko zechce. Powiedzcie mu, że sam napiszę pochwalny artykuł!

Odjechał z zapewnieniem, że jego słowa zostaną przekazane.

Pilot *Ospreya* wezwał przez radio sanitariuszy. Rany Boisarda i Manigota okazały się wprawdzie powierzchowne, ale za to było ich sporo. Poza tym Manigotowi pękły dwa żebra.

W najgorszym stanie był Hausen. Podczas lotu powrotnego, żeby zachować przytomność, sięgnął po ostatnie rezerwy energii i cały czas rozmawiał z pułkownikiem Augustem.

Opowiadał, jak to Dominique najpierw próbował go udusić, ale on wrywał mu się za każdym razem, walczył o kontrolę nad helikopterem. Zaraz po wylądowaniu zamilkł; stracił

przytomność i bezwładnie osunął się na drążek Paul wszedł na pokład; pragnął towarzyszyć mu do momentu ewakuacji. Usiadł obok niego na fotelu drugiego pilota. Wspólnie czekali, aż sanitariusze

skończą z rannymi podczas akcji żołnierzami. W pewnym momencie powiedział:

- Richard...

Hausen podniósł głowę. Uśmiechał się. - Dostaliśmy go - wyszeptał.

- Ty go dostałeś.

- Byłem gotów umrzeć, gdybym mógł zabrać go ze sobą. O nic innego mi nie chodziło.

Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać. Wszystko dobrze się skończyło.

Pojawiła się lekarka z asystentem; Paul wstał i ustąpił im miejsca. Rany na szyi, czole, głowie i żuchwie niemieckiego polityka zostały dokładnie zbadane, celem sprawdzenia, czy nie występuje niebezpieczeństwo krwotoku. Dziewczyna sprawdziła mu następnie oczy, puls i wreszcie, już pobieżnie, kręgosłup.

- Łagodny szok - powiedziała do asystenta. - Zabieramy go. Pojawiły się nosze. Paul szedł z transportowanym do samochodu Hausenem.

- Paul - powiedział Niemiec, kiedy spuszczano go po schodach kabiny. - Tu jestem.

- Paul, nic się nie skończyło. Rozumiesz?

- Wiem. Uruchomimy Centrum Regionalne. Przejmij inicjatywę. A teraz nic już nie mów.

Hausen umilkł i odezwał się dopiero, kiedy nosze wkładano do samochodu.

- Waszyngton - powiedział, uśmiechając się słabo. - Następnym razem spotkamy się w Waszyngtonie. Tam jest spokojniej.

Hood pożegnał go uśmiechem i uściskiem dłoni.

- Może powinniśmy zaprosić go na przesłuchanie w sprawie budżetu? - zauważył Matt Stoll, który szedł za nimi. - Po tym co dzisiaj się stało, będzie to kaszka z mleczkiem.

Paul odwrócił się. Ścisnął ramię przyjaciela.

- Zachowałeś się jak prawdziwy bohater, Matt - powiedział. - Dziękuję.

- Ach, szefie, przecież to nic takiego. Zdumiewające, czego potrafi dokonać człowiek..

kiedy nie ma wyboru i kiedy chodzi o jego własny tyłek - To nie tak. Wielu ludzi wpada pod ogniem w panikę. Ty nie wpadłeś. - A tam Po prostu niczego po sobie nie pokazałem Ale, ale... ma pan

chyba do załatwienia jeszcze jedną sprawę, więc odchodzę na bok i spokojnie dostanę załamania nerwowego.

Z tymi słowy Matt odszedł. Nancy stała za nim w cieniu. Paul przyglądał się jej przez chwilę, a potem podszedł do niej. Bardzo chciał powiedzieć, że ona też zachowała się bohatersko, ale nie powiedział nic. Nancy nigdy nie przyjmowała dobrze bezpośrednich, niewymyślnych komplementów, a poza tym wiedział doskonale, że nie tego od niego oczekuje. Ujął jej dłonie.

- Cóż - powiedział - mam wrażenie, że to ostatni nasz wspólny wypad na miasto.

Nancy roześmiała się krótko. Po jej policzku płynęła łza.

- Wtedy rzeczywiście nie umieliśmy korzystać z życia. Kolacja, jakaś książka, dziennik o dziesiątej, popołudniowy seans filmowy w weekendy... Paulowi zaciążył nagle portfel w wewnętrznej kieszeni marynarki, a przede wszystkim dwa odcinki biletów. Jej nie ciążyło nic.

Patrzyła mu w oczy wzrokiem, w którym była miłość i tęsknota. Nie miała zamiaru ułatwiać mu rozstania. Delikatnie pogładził jej dłonie, ujął ją za ramiona i pocałował w policzek. Słony smak łez... jakże pragnął objąć ją, przytulić, ucałować.

Zrobił krok wstecz.

- Będzie śledztwo, spotkania przed komisjami, proces. Chciałbym znaleźć ci adwokata.

- Chętnie. Dziękuję.

- Jestem pewien, że ktoś przejmie w końcu aktywa Demain, kiedy ta sprawa już ucichnie.

Moi ludzie mają kontakty w różnych dziwnych miejscach. Nie zostawimy cię na lodzie. A na razie... Matt oczywiście coś dla ciebie znajdzie.

- A więc mam swojego rycerza - stwierdziła sucho Nancy. Paul nagle się zirytował.

- Dla mnie też nie jest to miłe. Ale nie mogę dać ci tego, czego pragniesz.

- Czyżby?

- Chyba że zabrałbym coś komuś innemu. Komuś, kogo kocham. Większość dorosłego życia spędziłem z Sharon. Jesteśmy ze sobą związani. Traktuję to bardzo poważnie.

- Czyżbyś rzeczywiście tego tylko pragnął? Bardzo poważnego związku? Powinieneś wżatywać ku gwiazdom! Nam się to zdarzało. Nawet kiedy kłóciliśmy się, w naszych kłótniach było uczucie.

- Owszem, ale nic już po nim nie pozostało. Sharon i ja jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Wiele przemawia za stabilizacją; dobrze jest wiedzieć, że ktoś na ciebie czeka...

- Na dobre i złe, w dobrych i złych czasach, w zdrowiu i chorobie... - stwierdziła gorzko Nancy.

- To - i nawet taki drobiazg, że przychodzi, kiedy umówiliśmy się do kina.

Nancy skrzywiła się. Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, mrugnęła kilkakrotnie, strząsając łzy z powiek

- To się nazywa bezpośrednie trafienie - powiedziała w końcu. Paulowi przykro było, że musiał ją zranić, ale cieszyło go, że znalazł w sobie siłę, by powiedzieć to, co powinno zostać powiedziane. Nie sprawiło mu to przyjemności, lecz wiedział, że postąpił słusznie.

Nancy opuścił-a wzrok.

- A więc wygląda na to - powiedziała - że powinnam pojechać do domu z pułkownikiem Ballon.

- Policja już jedzie. Dopilnuje, żebyśmy dotarli do miasta.

- Zawsze byłeś tępy. Chodziło mi o to, że jest samotny. Żartowałam - Rozumiem. Nie zrozumiałem. Przykro mi.

Dziewczyna odetchnęła głęboko.

- Nie jest ci nawet w przybliżeniu tak przykro jak mnie - powiedziała i znów spojrzała mu w oczy. - Cóż, chociaż nie wyszło tak, jak się spodziewałam, miło było znów cię zobaczyć.

Cieszę się, że jesteś szczęśliwy. Naprawdę cieszę się.

Odeszła tym swoim kołyszącym krokiem, który przypominał sobie, kiedy zobaczył ją przed hotelem; włosy przerzucała z ramienia na ramię. Hood odprowadził ją wzrokiem. Nie odwracając się, Nancy podniosła rękę, jak policjant zatrzymujący ruch i potrząsnęła głową.

Choć spóźniona, ich ostatnia randka jednak się odbyła.

□ **Poniedziałek, 09.32 - Waszyngton, Dystrykt Columbia** Hood, Stoll i Herbert powitani zostali w Centrum przyjęciem na parę osób, zorganizowanym w specjalnie zabezpieczonej sali konferencyjnej. Kiedy zjawili się na miejscu, co starsi pracownicy oczekiwali ich już z kawą, rogalikami i babeczkami.

- Wykupiliśmy z baru wszystkie ciasta o francuskich i niemieckich nazwach -

powiedziała Ann Farris, witając Paula cmoknięciem w powietrze.

Ed Medina i John Benn spędzili sobotę i niedzielę budując scenę z żołnierzami, symbolizującymi siły międzynarodowego batalionu NATO, Hooda i Herberta. Bronili oni fortu o nazwie „Uczciwość” przed zniekształconymi sylwetkami wylewającymi się z transportera o nazwie „Nazizm”. Posiniaczony, lecz nieugięty Bob wzruszył się na ten widok, Matt Stoll udął, że niczego nie rozumie, a Paul poczuł się zażenowany. Miką Rodgers, ukryty w cieniu, stał z założonymi na piersi rękami, sprawiając wrażenie lekko zazdrosnego.

Zmuszony do wygłoszenia mowy, Paul wspiął się na stół.

- W wyjątkowej sytuacji zrobiliśmy tylko to, co generał Rodgers i jego Iglica robią codziennie - powiedział.

- Czyli dostaliście szau za granicą, przyczyniając pracy dyplomatom - podsumował

Lowell Coffey.

- Ależ nie! - oburzył się Matt. - Walczyliśmy o prawdę, sprawiedliwość i amerykański styl życia!

- Zapomniałam zabrać chorągiewki - poskarżyła się Ann. Paul uciszył znajdujące się na sali dwadzieścia parę osób.

- Jak powiedziałem, szliśmy tylko za przykładem naszych kolegów. A skoro już o tym mowa... Miką, chciałbyś nam coś powiedzieć?

Rodgers przecząco potrząsnął głową, gestem dając znać szefowi, żeby mówił dalej. Paul bardzo pragnął zmusić generała do uczestnictwa w swym tryumfie, lecz ten człowiek nie lubił

samochwalstwa. Piłka była po jego stronie boiska.

- Podczas weekendu generał Rodgers sfinalizował plany przejęcia dowództwa Iglicy przez pułkownika Brett A. Augusta. Pułkownik August osobiście ujął Dominique'a. Ze względu na encyklopedyczną znajomość operacji taktycznych i wielką odwagę osobistą będzie wspaniałym uzupełnieniem naszego zespołu.

Rozległy się pojedyncze oklaski.

- Jak z pewnością wszyscy zauważyliście, prasa rozpisywała się o upadku Dominique'a i znaczeniu operacji L'ECOUTER. Widziałem wiele artykułów rozwodzących się nad tym, jak to podejrzliwość i uprzedzenia skądinąd przyzwoitych obywateli miały zostać wykorzystane do niszczenia ludzi i podważania zasad, na których opiera się życie społeczne. Mam nadzieję, że zawarte w nich ostrzeżenie będzie żyło dłużej niż gazeta. Ann, chciałbym porozmawiać z tobą na ten temat. Zobaczmy, może uda się nam opracować specjalny program dla szkół.

Ann Farris skinęła głową, patrząc na niego z dumą.

- Dowody, które Matt wygrzebał z komputerów Demain, są teraz w posiadaniu francuskiej policji. Ponieważ przestępstwo miało wymiar międzynarodowy, przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Niemiec i innych krajów dopilnują, by Dominique się nie wywinął.

Pragnę pogratulować Mattowi i jego zespołowi. Wczoraj udało się im znaleźć źródło rasistowskich gier i to tu, w naszym kraju, w bankowym komputerze w Montgomery w Alabamie. Zostały tam umieszczone przez Internet. Przechowywane były możliwie jak najbliżej miejsca, w którym, w 1955 roku, Rosa Parks odmówiła ustąpienia miejsca w autobusie białemu mężczyźnie. Dominique wierzył w historię. Szkoda tylko, że niczego się z niej nie nauczył.

- Samuel Coleridge powiedział: „Gdyby człowiek umiał uczyć się od historii, jakże wspaniałych lekcji by mu udzieliła. Lecz uczucia i podziały zaślepiają nasze oczy” -

stwierdził poważnie Rodgers.

- Mam wrażenie, że udało się nam otworzyć kilka par oczu w Europie, zwłaszcza dzięki Bobowi - zauważył Paul.

- I Jodie Thompson - uzupełnił Herbert. - Gdyby nie ona, leżałbym gdzieś w lesie, przywalony kupką kamieni.

- Owszem - zgodził się Hood - nie wolno nam zapomnieć o Jodie. Zostałem poinformowany, że obchody Dni Naporu zawaliły się pod własnym ciężarem. Wielu młodych, rozczarowanych ludzi po prostu wcześniej wróciło do domu.

- Biedne małeństwa - uzalila się nad nimi Martha. - Chcecie się założyć, że wrócą?

- Masz rację. Nie położyliśmy kresu nienawiści. Ale przynajmniej zwróciliśmy uwagę ludzi na jej istnienie. O dziesiątej spotykam się z senator Barbarą Fox...

Tu i tam rozległy się gwizdy. Paul podniósł rękę.

- Zapewniam was, że nie wyjdzie stąd, póki nie wycofa propozycji cię w budżecie, którymi nam groziła. A tak naprawdę... podczas weekendu myślałem o tym, jak zużyć nadprogramowe fundusze. Myślałem o oddziale, działającym w ramach Centrum lub niezależnie od niego. Nazywałby się Web Patrolem lub może Net Force i czuwałby nad Infostradą.

- Dlaczego nie nazwać go Policją Komputerową, albo może Drogówką Infostrady? -

zapropował Stoll. Parę osób jęknęło ciężko.

- O co wam chodzi? Net Force? Czy to brzmi lepiej?

- Tylko prasa i Kongres będą w stanie potraktować to poważnie, a przecież o to chodzi -
stwierdził rozsądnie John Benn.

- A skoro już mowa o Kongresie - przerwał im tę dyskusję Paul to nie chcę, żeby senator Fox na mnie czekała. Więc dziękuję wszystkim za to powitanie, a zwłaszcza pragnę podziękować generałowi Rodgersowi za pomoc, której nam udzielił.

Wyszedł, odprowadzany pełnymi szacunku pozdrowieniami i kilkoma wesołymi okrzykami. Po drodze klepnął Rodgersa w ramię i poprosił go, by mu towarzyszył. Z sali wyszli razem.

- Czy możemy zrobić coś, by pułkownik August poczuł się u nas mile widziany? - spytał
generała.

Mike potrząsnął głową.

- Przychodzi mi na myśl tylko jedna sprawa. Mam zamiar urwać się podczas lunchu do Waszyngtonu i poszukać tam modelu myśliwca Messerschmitt *Bf 109*. Kiedyś, jako dzieci, kleiliśmy modele samolotów. Tego jednego klasyka nam zabrakło.

- Weź rachunek na firmę. - Nie. Za to zapłacę sam.

- Rozumiem. Chcesz wziąć udział w spotkaniu z panią senator?

- Nie. Raz na tydzień to aż za często. A poza tym z takimi sprawami zawsze radziłeś sobie lepiej ode mnie. Mnie brakuje wyczucia.

- Całkiem niedawno spróbowałem zrobić coś, czym ty zarabiasz na życie. Muszę powiedzieć, że masz sporo wyczucia.

- No to załatwione. Jeśli jej nie przekonamy, wsadzimy ją do helikoptera w kajdankach.

- Jestem za.

W tym momencie asystent Hooda, „Pluskwa” Benet, wystawił głowę z gabinetu z wejściem od korytarza informując ich, że pani senator właśnie przybyła.

Na skrzydłach dobrych życzeń Mike'a, Paul Hood pośpieszył przywitać Barbarę Fox przy wyjściu z

windy. Pani senator przybyła w towarzystwie dwóch asystentów. Minę miała chytrą.

- Dzień dobry, Paul - powiedziała na powitanie. - Odpocząłeś w weekend?

- Z przerwami. Żona wściekała się na mnie, bo omal nie dałem się zabić.

- To świetnie. - Ruszyli korytarzem. - Jeśli o mnie chodzi - kontynuowała Barbara Fox -

to nie odpoczywałam. Zastanawiałam się, jak mam wywalić ludzi pracujących dla człowieka, który właśnie ocalił wolny świat. Zaplanowałeś to sobie, Paul? Tylko po to, żeby utrudnić mi życie?

- Niczego nigdy nie uda mi się ukryć przed kobietą.

- Telewizja będzie miała używanie. Zwłaszcza, że mężczyzna jeżdżący na wózku inwalidzkim ocalił ładną dziewczynę. To nie tylko cud,

to marzenie dziennikarza! Prasa po prostu kocha pannę Thompson. Zwłaszcza, że godzi się na sprzedanie praw filmowych do swoich przygód wyłącznie pod warunkiem, że sama będzie reżyserowała. Cwana

Dotarli pod drzwi gabinetu Hooda i tam zatrzymali się na chwilę.

- To Bob i Mike pomogli Jodie Thompson, nie ja - powiedział Paul. - Słusznie. Ty tylko ugasiłeś ognisko, ocaliłeś nasze miasta przed zagładą w rozruchach rasowych i skończyłeś karierę miliardera gotowego zostać kolejnym *fuhrerem*. Nic więcej. Cóż, jestem zdecydowana dokonać tych cięć, Paul. Jestem to winna podatnikom.

- O tym powinniśmy porozmawiać w gabinecie. Ale w cztery tezy. Jest jedna bardzo ważna sprawa...

- Przed moimi współpracownikami nie ukrywam niczego. Nie są może tak wspaniali jak twoi, ale pracują dla mnie.

- Rozumiem, lecz mimo wszystko chciałbym choćby przez-chwilę porozmawiać z tobą sam na sam.

Senator Fox spojrzała na doradców.

- Zaczekajcie, dobrze? - poprosiła. - Zaraz wracam.

Neil Lippes i Bobby Winter odrzucili propozycję powrotu do recepcji. Paul zamknął drzwi gabinetu.

- Usiądź, proszę - powiedział, obchodząc biurko. - Dziękuję, postoję. To nie potrwa długo.

Paul uznał, że nie powinien kryć się za biurkiem. Osobiście nie znosił teatralnych gestów; chciał

przeprowadzić całą sprawę tak szybko i czysto, jak to tylko możliwe. I wiedział, że powinien pomóc tej kobiecie.

Podniósł leżącą na biurku kopertę. Podał ją pani senator, ale nie puścił.

- Dostarczono mi to w weekend, via niemiecka poczta dyplomatyczna. To od wiceministra spraw zagranicznych, Hausena - wyjaśnił i umilkł. Odwiedził wcześniej mieszkanie Matta Stolla. Poprosił go o przeprowadzenie analizy komputerowej. Nie było żadnych wątpliwości. Bał się tej chwili, odkąd spojrzął na zawartość paczki. Moment prawdy nadszedł teraz; nie sposób było go uniknąć.

- Słucham - ponagliła go senator.

- Wiele lat temu Gerard Dominique i Richard Hausen studiowali razem w Paryżu. Pewnej nocy wypuścili się na miasto. Pili.

Rumiane z natury policzki senator Fox przybladły. Ciemnych oczu nie odrywała od koperty.

- Mogę? - poprosiła.

Paul oddał jej kopertę. Uniosła ją w obu dłoniach. Przesunęła po niej palcami, próbując wyczuć, co jest w środku.

- Zdjęcia - powiedziała. Paul zrobił krok w jej stronę.

- Pani senator, może pani usiądzie - zaproponował łagodnie. Potrząsnęła głową. Wyjęła jedną, przypadkowo wybraną fotografię. Przyjrzała się jej.

Zobaczyła dziewczynę, stojącą na szczycie wieży Eiffla. Za nią rozciągała się przymglona panorama Paryża

- Lury - powiedziała cicho Barbara Fox. Odłożyła zdjęcie, przycisnęła kopertę do piersi. -

Co się z nią stało, Paul?

- Hausen usiłował go powstrzymać. - Paul Hood przyglądał się kobiecie, płaczącej, tulącej do piersi kilka zdjęć. - To Dominique ją zamordował. Te zdjęcia były w jego gabinecie w Demain.

- Moja mała - wyszeptała senator. Oddychała ciężko, szybko. - Moja mała Lury.

Paul bardzo pragnął przytulić ją, pocieszyć, ale tylko stał nie robiąc i nie mówiąc nic, świadom tego, jak niewystarczające byłyby wszystkie jego słowa i gesty. Był także świadkiem tego, jak słowo stawało się ciałem. Cokolwiek miałyby nastąpić w przyszłości, senator Fox na zawsze pozostanie z nim związana. Nie ucieknie od tego, co przeżyli wspólnie.

Barbara Fox najwyraźniej także zdawała sobie z tego sprawę. Westchnęła ciężko i oddała mu

kopertę.

- Zatrzymaj ją dla mnie przez jakiś czas - poprosiła. - Po dwudziestu pięciu latach... cóż, jakie to dziś popularne określenie... po dwudziestu pięciu latach poznałam prawdę. Nie jestem jeszcze gotowa na to, by znów radzić sobie z krzywdą, która mnie spotkała. Na procesie Dominique'a dużo będzie się pewnie mówić o krzywdach.

- Oczywiście, rozumiem. - Hood położył kopertę na biurku. Publiczna osobowość Barbary Fox powróciła na miejsce niemal natychmiast. Łzy znikły, pani senator wyprostowała się i przemówiła mocnym głosem:

- A więc? Wiesz, że teraz nie mogę już dokonać cięć?

- Nie zrobiłem tego, co zrobiłem, by zyskać w politycznej dyskusji. - Wiem. I to jeszcze jeden powód, dla którego muszę walczyć o ciebie. Kiedy zajęłam się to sprawą, byłam ostra, to prawda, ale Centrum udowodniło, ile jest warte. I ty też. W wykonaniu każdego innego znanego mi człowieka ta chwila cuchnęłaby manipulacją. Waszyngton nie jest polem, na którym rosnąć może współczucie, lecz dzisiaj to się udało. A ja całym sercem i duszą wierzę, że musimy popierać cennych ludzi. I cenne instytucje. - Podała mu rękę. Paul uściśnął ją z szacunkiem. - Dziękuję ci za to, czego dziś dokonałeś - powiedziała jeszcze Barbara Fox. -

Zadzwoń później umówić się na kolejne spotkanie. Może uda się nam zadowolić zarówno podatników, jak i ciebie.

Paul uśmiechnął się lekko.

- Ostrzegam, będę sporo potrzebował. Mam pomysł na nową agencję.

- Być może znajdę sposób na załatwienie ci dodatkowych pieniędzy. Obetniemy trochę z budżetu Centrum i oddamy z dodatkami na tę nową inicjatywę. Taka głupia gierka, ale wszyscy są zadowoleni.

Z tym słowy Barbara Fox wyszła z gabinetu i pomaszerowała do windy, ignorując pytające spojrzenia doradców.

Paul zamknął za nią drzwi. Usiadł za biurkiem. Schował kopertę do szuflady. Wyciągnął

portfel, wyjął z niego dwa bilety do kina, podarł je, schował do koperty i również wsunął do szuflady.

Po dwudziestu pięciu latach on także poznał prawdę.

KONIEC

